

Tajny pielgrzym

John le Carre



calibre 0.9.43

JOHN LE CARRE

TAJNY PIELGRZYM

PRZEKŁAD JERZY KOZŁOWSKI

TYTUŁ ORYGINAŁU THE SECRET PILGRIM

Dla Aleca Guinnessa z wyrazami sympatii i wdzięczności

Od razu muszę się do czegoś przyznać. Gdybym pod wpływem nagłego impulsu nie wziął do ręki pióra i nie skreślił krótkiego listu do George'a Smileya, prosząc go o wystąpienie przed moimi absolwentami na zakończenie wykładów - i gdyby Smiley wbrew moim oczekiwaniom nie wyraził zgody - nie otworzyłbym przed wami tak szczerze swego serca.

Co najwyżej uraczyłbym was nieco ubarwionymi wspomnieniami, którymi - jeśli mam być szczerzy - dość często karmiłem studentów: pełnymi dramatycznego napięcia opowieściami o wyczynach współczesnych rycerzy, mężnych i przebiegłych, a także oczywiście niezmiernie pożytecznych. Oczarowywałem was gawędami o nocnych zrzutach na Kaukazie, niebezpiecznych przeprawach szybkimi łodziami, desantach, sygnałach świetlnych i urywanych w połowie zakodowanych przekazach radiowych. O nieznanym bohaterach zimnej wojny, którzy odsłużywszy swoje, skromnie powracali do przeciętnej egzystencji w społeczeństwie, które chronili. O uchodźcach wyrwanych w ostatniej chwili z paszczy wroga.

I do pewnego stopnia takie było nasze życie. Robiliśmy to wszystko, a niektórzy z nas nawet dobrze kończyli. Wysyłaliśmy dobrych ludzi do imperium zła, gdzie narażali dla nas życie. I zwykle wierzone im, a czasem mądrze wykorzystywano owoce ich pracy. Wierzę, że tak było, bo cóż wart jest nawet najlepszy szpieg, jeśli tak nie jest?

Żeby rozweselić towarzystwo, przy drugiej whisky w studenckim barze, opowiedziałbym o akcji trzyosobowej grupy odbiorczej z Cyrku, która pracowała we Wschodnich Niemczech pod moim błyskotliwym dowództwem. Leżeliśmy przemarznięci do szpiku kości na zboczu w Górach Harcu, wyczekując nieoznaczonego samolotu z wyłączonymi silnikami, z którego

rozwinie się czarny spadochron. I co znaleźliśmy, gdy nasze modlitwy zostały w końcu wysłuchane i ześlizgnęliśmy się po lodowcu po nasz skarb? Kamienie, odpowiedziałbym zaciekawionym do najwyższego stopnia studentom. Bryły prawdziwego szkockiego granitu, które w treningowym pojemniku wysłali przez pomyłkę ekspedytorzy z naszej szkockiej bazy lotniczej.

Ta historia wywoływała przynajmniej jakiś oddźwięk wśród słuchaczy. Nie można było tego powiedzieć o innych opowieściach, którymi zwykle już w połowie moje audytorium okazywało znużenie.

Podaję, że chęć napisania do Smileya tliła się we mnie dłużej, niż zdawałem sobie z tego sprawę. Sam pomysł zrodził się podczas jednej z regularnych wizyt w kierownictwie wyszkolenia, gdzie omawiałem postępy moich studentów. Wpadłem wówczas na chwilę do baru dla oficerów na kanapkę i piwo i przypadkowo natknąłem się na Petera Guillama. Podczas długich poszukiwań przecieku w Cyrku Peter był dla George'a tym, kim był Watson dla Sherlocka Holmesa. Ostatecznie zdrajcą okazał się nasz dyrektor operacyjny Bili Haydon. Peter nie miał wiadomości od George'a od... jakiegoś roku, może więcej. George kupił wiejski domek gdzieś w północnej Kornwalii i dawał upust swej awersji do telefonów. Dostał synekurę na uniwersytecie w Exeter, gdzie pozwolono mu korzystać ze zbiorów biblioteki. Smutną resztę wyobraziłem sobie sam: George, pustelnik na odludziu podczas samotnych spacerów i filozoficznych rozmów z samym sobą. George podczas krótkich wizyt w Exeter, gdzie szukał odrobinę ludzkiego ciepła, George oczekujący na starość na miejsce w szpiegowskiej Walhalli.

A co z Ann, jego żoną? Pytając o nią, ściszyłem głos, jak zawsze, gdy mowa o Ann. Było bowiem

tajemnicą poliszynela, i to bardzo bolesną, że Bili Haydon znalazł się na długiej liście jej kochanków.

Ann to Ann, stwierdził Peter po walijsku wzruszając ramionami. Ma bogatych krewnych z wielkimi rezydencjami w Helford, mieszka trochę u nich, trochę u George'a.

Zapytałem o adres Smileya.

- Tylko mu nie mów, że ci go dałem - zaznaczył Peter, kiedy mi zapisywał adres. W stosunku do George'a zawsze odczuwało się wyrzuty sumienia, zdradzając jego miejsce pobytu. Wciąż właściwie nie wiem, dlaczego.

Trzy tygodnie później do Sarratt przybył Toby Esterhase, żeby wygłosić swój głośny referat o sztuce tajnej inwigilacji na terenie wroga. I oczywiście został na obiedzie, który szalenie umiliła mu obecność naszych trzech pierwszych studentek. Po bitwie trwającej niemal równie długo jak moja kariera pedagogiczna w Sarratt kierownictwo uznało wreszcie, że możemy szkolić także dziewczyny.

Sam zacząłem rozmowę o Smileyu.

Były czasy, kiedy wolałbym trzymać Toby'ego poza domem, ale były też i takie, kiedy dziękowałem Bogu, że mam go przy sobie. Z upływem lat, co zauważam z przyjemnością, człowiek robi się coraz mniej wybredny.

- Mój Boże, Ned! - zawołał Toby ze swym nieuleczalnym węgierskim akcentem, odrzucając do tyłu starannie napomadowaną grzywę siwych włosów. - Chcesz powiedzieć, że nic nie słyszałeś?

- Niby o czym? - zapytałem cierpliwie.

- Mój drogi, George przewodniczy Komitetowi Praw Rybaków. Czy do tej waszej dziury nie docierają żadne wiadomości? Właściwie muszę o tym pogadać z szefem w cztery oczy. Szepnę mu słówko w klubie.

- Może zechciałbyś mi najpierw wyjaśnić, czym jest Komitet Praw Rybaków - zaproponowałem.

- Ned, wiesz co? Chyba robię się nerwowy. Może już cię skreślili z listy?

- Może - odparłem.

Ale i tak mi powiedział - zresztą wiedziałem, że to robi - a ponieważ w odpowiednim momencie okazałem zdziwienie, poczuł się jeszcze ważniejszy. W pewnym sensie jestem zdziwiony po dziś dzień. Komitet Praw Rybaków, wyjaśnił dumnie Toby swemu mniej uprzywilejowanemu koledze, to nieformalna grupa, w której skład wchodzi oficerowie rosyjskiego i brytyjskiego wywiadu. Zadaniem komitetu, mówił dalej Toby - który według mnie stracił zdolność dziwienia się czemukolwiek - jest określenie celów dla obydwu służb wywiadowczych i wypracowanie systemu współpracy.

- Chodzi o to, Ned, żeby zlokalizować miejsca zapalne na świecie - oznajmił z doprowadzającą mnie do szału wyższością. - Myślę, że najpierw skoncentrują się na Bliskim Wschodzie. Tylko nie powołuj się na mnie, dobrze?

- I Smiley jest przewodniczącym tego komitetu? - zapytałem z niedowierzaniem, starając się przetrwać usłyszaną wiadomość.

- No, chyba nie na długo. Latka lecą, wiesz, co mam na myśli. Ale Rosjanom tak bardzo zależało na spotkaniu z nim, że wysłaliśmy go, żeby przeciął wstęgę. Trzeba dać staruszkowi satysfakcję. Pogłaskać go trochę. Kilka banknotów w kopercie.

Nie wiedziałem, co dziwiło mnie bardziej: zaloty Toby'ego Esterhase'a z centralą moskiewską czy to, że George Smiley patronuje temu małżeństwu. Kilka dni później, za przyzwoleniem kierownictwa, napisałem pod kornwalijski adres podany mi przez Guillama. Zapewniłem przy tym szefa, że jeśli George nie lubi publicznych wystąpień choć w połowie tak

jak ja, absolutnie nie przyjmie zaproszenia. Do czasu otrzymania odpowiedzi czułem się trochę przygnębiony, lecz kiedy w eleganckim liściku poinformował mnie, że bardzo uradowało go moje zaproszenie, poczułem się jak nowicjusz, którego zjada trema.

Dwa tygodnie później, ubrany specjalnie na tę okazję w nowiutki garnitur, stałem przy barierce na dworcu Paddington, obserwując, jak z wiekowych pociągów wysypują się podstarzali pasażerowie. Chyba nigdy tak bardzo nie zdawałem sobie sprawy z anonimowości Smileya. Gdzie tylko spojrzałem, widziałem jego sobowtórów: pękatych okularników w średnim wieku, z których każdy tak jak George sprawiał wrażenie, że jest trochę spóźniony na coś, czego wolałby nie robić. Nagle uścisnął mi dłoń i chwilę później siedział obok mnie w służbowym roverze, grubszy niż w moich wspomnieniach i siwowłosy, trudno zaprzeczyć, ale pełen wigoru i w doskonałym humorze. Tak wesołego nie widziałem go od nieszczęsnego romansu jego żony z Haydonem.

- No to, Ned, powiedz, jak się czujesz w roli profesora?

- A ty jak się czujesz na emeryturze? - odparłem wybuchając śmiechem. - Niedługo też się na nią wybieram!

Zapewnił mnie, że na emeryturze jest cudownie. Upaja się nią, powiedział cierpko i dodał, że nie powinienem się niczego obawiać. Tutaj wykład, tam odczyt. Spacery, kupił nawet psa.

- Słyszałem, że zmusili cię do objęcia przewodnictwa nad jakimś niezwykłym komitetem - powiedziałem. - Podobno spiskujecie z rosyjskim niedźwiedziem przeciw złodziejowi z Bagdadu.

George nie lubi plotek, ale zauważyłem, że uśmiechnął się.

- Tak mówią? - założę się, że to Toby - oznajmił i spoglądając z zadowoloną miną na rozciągający się za oknem ponury krajobraz, rozpoczął jakąś opowieść o dwóch staruszkach z jego wsi, które straszliwie się nienawidzą. Jedna z nich jest właścicielką sklepu z antykami, druga dziedziczką wielkiego majątku. Rover toczył się wśród niegdyś sielskiego krajobrazu hrabstwa Hetford, a ja coraz mniej myślałem o staruszkach ze wsi George'a, a coraz bardziej o nim samym. Miałem do czynienia ze Smileym odrodzonym, który opowiada dykteryjki o staruszkach, przewodniczy komitetom z rosyjskimi agentami i spogląda na świat z taką samą lubością jak ktoś, kto właśnie wyszedł ze szpitala.

Tego wieczora, wciśnięty w stary garnitur, siedział obok mnie na honorowym miejscu w jadani Sarratt, spoglądając dobrotliwie na wypolerowane lichtarze i stare zdjęcia grupowe, z Bóg wie którego roku. A po kolacji spojrzał na zaciekawione twarze młodego audytorium, czekającego na słowa mistrza.

- Panie i panowie, pan George Smiley - zaanonsowałem uroczyście, wstając. - Legenda wywiadu. Dziękuję.

- Co ze mnie za legenda - zaprotestował Smiley, wolno dźwigając się z krzesła. - Jestem raczej starym tłusciochem wepchniętym między deser a porto.

Wreszcie legenda przemówiła. Zdałem sobie sprawę, że nigdy dotąd nie byłem świadkiem wystąpienia Smileya przed szerszym gronem. Przypuszczałem, że nie sprawdzi się jako mówca; znałem jego wstręt do narzucania swych opinii innym i używania prawdziwych nazwisk agentów. Tak więc pewność siebie w jego głosie zaskoczyła mnie, zanim jeszcze pojąłem treść wypowiedzianych słów. Przy pierwszych zdaniach obserwowałem twarze studentów, które nie zawsze były życzliwe. Teraz patrzyli na niego z entuzjazmem, zainteresowani i ufni. A ja pomyślałem, śmiejąc się w duchu, że spóźnionym podziwem: tak, tak, oczywiście, oto druga natura George'a. Oto aktor, który zawsze w nim drzemał, ukryty Grajek, Szczurołap, który wyprowadził dzieci z miasta. Oto człowiek, którego kochała Ann Smiley, oszukał Bili Haydon, i któremu my wszyscy okazywaliśmy ślepe posłuszeństwo ku zdziwieniu osób z zewnątrz.

W Sarratt istnieje mądry zwyczaj, aby nie nagrywać i nie zapisywać wystąpień podczas uroczystych kolacji. Później nie można oficjalnie nawiązać do tego, co się wówczas mówi. Gość honorowy cieszył się „wolnością głupca”, jak to z niemiecka określił Smiley, choć znam wielu ludzi, którzy bardziej zasłużyli sobie na ten tytuł. A ponieważ jestem zawodowcem nauczonego słuchać i pamiętać, nie musiał powiedzieć wiele słów, kiedy zorientowałem się - co moi studenci szybko wychycili - że Smiley zwraca się prosto do mego heretyckiego serca. Mam na myśli tę drugą, rogatą osobę, która mieszka we mnie i którą, jeśli mam być szczery, starałem się ignorować, odkąd zaczął się ostatni etap mojej kariery. Mam na myśli ukrytego sceptyka, który ku memu niezadowoleniu towarzyszył mi, zanim jeszcze niechętny agent nazwiskiem Barley Blair przeszedł przez walącą się żelazną kurtynę i kierując się głosem serca oraz swoistym poczuciem przyzwoitości, spokojnie odszedł, ku zdumieniu Piątego Piętra.

Im lepsza restauracja, tym gorsza wiadomość: tak mówimy o Szeffie.

- Pora, żebyś przekazał wiedzę kolejnym pokoleniom chłopców, Ned - oznajmił przy podejrzeniu dobrego lunchu w Connaught. - Oraz dziewcząt. Niedługo chyba pozwolą im zakładać sutanny - dodał z obmierzłym ironicznym uśmiechem, ale zaraz wrócił do przyjemniejszego tematu. - Znasz wszystkie chwytły. Grasz w tej drużynie od dawna. Twoja ostatnia runda w Sekretariacie była naprawdę imponująca. Najwyższy czas, żeby z tego skorzystać. Uważamy, że powinieneś przejąć Wylegarnię i przekazać kaganek wiedzy przyszłym szpiegom.

jak ja, absolutnie nie przyjmie zaproszenia. Do czasu otrzymania odpowiedzi czułem się trochę przygnębiony, lecz kiedy w eleganckim liściku poinformował mnie, że bardzo uradowało go moje zaproszenie, poczułem się jak nowicjusz, którego zjada trema.

Dwa tygodnie później, ubrany specjalnie na tę okazję w nowiutki garnitur, stałem przy barierce na dworcu Paddington, obserwując, jak z wiekowych pociągów wysypują się podstarzali pasażerowie. Chyba nigdy tak bardzo nie zdawałem sobie sprawy z anonimowości Smileya. Gdzie tylko spojrzałem, widziałem jego sobowtórów: pękatych okularników w średnim wieku, z których każdy tak jak George sprawiał wrażenie, że jest trochę spóźniony na coś, czego wolałby nie robić. Nagle uściśnął mi dłoń i chwilę później siedział obok mnie w służbowym roverze, grubszy niż w moich wspomnieniach i siwowłosy, trudno zaprzeczyć, ale pełen wigoru i w doskonałym humorze. Tak wesołego nie widziałem go od nieszczęsnego romansu jego żony z Haydonem.

- No to, Ned, powiedz, jak się czujesz w roli profesora?

- A ty jak się czujesz na emeryturze? - odparłem wybuchając śmiechem. - Niedługo też się na nią wybieram!

Zapewnił mnie, że na emeryturze jest cudownie. Upaja się nią, powiedział cierpko i dodał, że nie powinienem się niczego obawiać. Tutaj wykład, tam odczyt. Spacery, kupił nawet psa.

- Słyszałem, że zmusili cię do objęcia przewodnictwa nad jakimś niezwykłym komitetem - powiedziałem. - Podobno spiskujecie z rosyjskim niedźwiedziem przeciw złodziejowi z Bagdadu.

George nie lubi plotek, ale zauważyłem, że uśmiechnął się.

- Tak mówią? - założę się, że to Toby - oznajmił i spoglądając z zadowoloną miną na rozciągający się za oknem ponury krajobraz, rozpoczął jakąś opowieść o dwóch staruszkach z jego wsi, które straszliwie się nienawidzą. Jedna z nich jest właścicielką sklepu z antykami, druga dziedziczką wielkiego majątku. Rover toczył się wśród niegdyś sielskiego krajobrazu hrabstwa Hetford, a ja coraz mniej myślałem o staruszkach ze wsi George'a, a coraz bardziej o nim samym. Miałem do czynienia ze Smileyem odrodzonym, który opowiada dykteryjki o staruszkach, przewodniczy komitetom z rosyjskimi agentami i spogląda na świat z taką samą lubością jak ktoś, kto

właśnie wyszedł ze szpitala.

Tego wieczora, wciśnięty w stary garnitur, siedział obok mnie na honorowym miejscu w jadalni Sarratt, spoglądając dobrotliwie na wypolerowane lichtarze i stare zdjęcia grupowe, z Bóg wie którego roku. A po kolacji spojrzął na zaciekawione twarze młodego audytorium, czekającego na słowa mistrza.

- Panie i panowie, pan George Smiley - zaanonsowałem uroczyście, wstając. - Legenda wywiadu. Dziękuję.

- Co ze mnie za legenda - zaprotestował Smiley, wolno dźwigając się z krzesła. - Jestem raczej starym tłuściochem wepchniętym między deser a porto.

Wreszcie legenda przemówiła. Zdałem sobie sprawę, że nigdy dotąd nie byłem świadkiem wystąpienia Smileya przed szerszym gronem. Przypuszczałem, że nie sprawdzi się jako mówca; znałem jego wstręt do narzucania swych opinii innym i używania prawdziwych nazwisk agentów. Tak więc pewność siebie w jego głosie zaskoczyła mnie, zanim jeszcze pojąłem treść wypowiedzianych słów. Przy pierwszych zdaniach obserwowałem twarze studentów, które nie zawsze były życzliwe. Teraz patrzyli na niego z entuzjazmem, zainteresowani i ufni. A ja pomyślałem, śmiejąc się w duchu, ze spóźnionym podziwem: tak, tak, oczywiście, oto druga natura George'a. Oto aktor, który zawsze w nim drzemał, ukryty Grajek, Szczurołap, który wyprowadził dzieci z miasta. Oto człowiek, którego kochała Ann Smiley, oszukał Bili Haydon, i któremu my wszyscy okazywaliśmy ślepe posłuszeństwo ku zdziwieniu osób z zewnątrz.

W Sarratt istnieje mądry zwyczaj, aby nie nagrywać i nie zapisywać wystąpień podczas uroczystych kolacji. Później nie można oficjalnie nawiązać do tego, co się wówczas mówi. Gość honorowy cieszył się „wolnością głupca”, jak to z niemiecka określił Smiley, choć znam wielu ludzi, którzy bardziej zasłużyli sobie na ten tytuł. A ponieważ jestem zawodowcem nauczonego słuchać i pamiętać, nie musiał powiedzieć wiele słów, kiedy zorientowałem się - co moi studenci szybko wychwycili - że Smiley zwraca się prosto do mego heretyckiego serca. Mam na myśli tę drugą, rogatą osobę, która mieszka we mnie i którą, jeśli mam być szczery, starałem się ignorować, odkąd zaczął się ostatni etap mojej kariery. Mam na myśli ukrytego sceptyka, który ku memu niezadowoleniu towarzyszył mi, zanim jeszcze niechętny agent nazwiskiem Barley Blair przeszedł przez wałącą się żelazną kurtynę i kierując się głosem serca oraz swoistym poczuciem przyzwoitości, spokojnie odszedł, ku zdumieniu Piątego Piętra.

Im lepsza restauracja, tym gorsza wiadomość: tak mówimy o Szefie.

- Pora, żebyś przekazał wiedzę kolejnym pokoleniom chłopców, Ned - oznajmił przy podejrzeniu dobrym lunchu w Connaught. - Oraz dziewcząt. Niedługo chyba pozwolą im zakładać sutanny - dodał z obmierzłym ironicznym uśmiechem, ale zaraz wrócił do przyjemniejszego tematu. - Znasz wszystkie chwyt. Grasz w tej drużynie od dawna. Twoja ostatnia runda w Sekretariacie była naprawdę imponująca. Najwyższy czas, żeby z tego skorzystać. Uważamy, że powinieneś przejąć Wylęgarnię i przekazać kaganek wiedzy przyszłym szpiegom.

Jeśli mnie pamięć nie myli, ostatnio zastosował podobny zestaw metafor, kiedy po dezercji Barleya Blaira usunął mnie ze stanowiska szefa Naszej Rosji i przydzielił do Inkwizycji, tego wysypiska odpadów.

Zamówił kolejne dwa kieliszki armaniaku.

- A co u twojej Mabel? - kontynuował, jakby właśnie sobie o niej przypomniawszy. - Ktoś mi mówił, że coraz lepiej gra w golfa. Mój Boże! Mam nadzieję, że będziesz ją trzymał z dala ode mnie! No i jak? Sarratt w dni robocze, weekendy w domu w Tunbridge Wells. Dla mnie wygląda to jak triumfalne ukoronowanie kariery. Co ty na to?

Co ja na to? Powtórzę za innymi: kto potrafi, ten działa, kto nie potrafi, uczy. A uczy tego, czego nie może już robić, ponieważ albo dusza, albo ciało straciły motywację; ponieważ widział za dużo, tłumiał w sobie za dużo, ulegał za często, ale życia posmakował za mało. I tak zabiera się do zasiewania starych marzeń w nowych umysłach i ogrzewa się przy ogniu młodości.

Co sprowadza mnie z powrotem do pierwszych zdań przemówienia Smileya tamtego wieczoru, bo nagle jego słowa poruszyły mnie do głębi. Zaprosiłem go, ponieważ był legendą przeszłości. Lecz ku radości wszystkich zebranych okazał się ikonoklastycznym prorokiem przyszłości.

Nie będę was zanudzał szczegółami werbalnej podróży Smileya po kuli ziemskiej. Błądził po Bliskim Wschodzie, który oczywiście absorbował wówczas jego myśli, a także docierał do granic władzy kolonialnej w czasach rzekomo postkolonialnych. Wspomnił o krajach trzeciego i czwartego świata oraz zasugerował stworzenie terminu „kraje piątego świata”. Zastanawiał się głośno, czy jakiegokolwiek zamożne państwo poważnie przejmuje się ludzkimi nieszczęściami i nędzą. Uważał, że nie. Wyśmiał pomysł, jakoby szpiegostwo stawało się zanikającą profesją teraz, kiedy zimna wojna dobiegła końca - Każde kolejne państwo, które wyzwala się z pęt komunizmu, mówił, każdy nowy sojusz, każdy powrót do starych ideałów, upadek status quo sprawia, że szpiegdy będą mieć pracę dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przemawiał, z czego zdałem sobie sprawę dopiero później, dwukrotnie dłużej niż miał w zwyczaju, ale nie słyszałem, aby zaskrzybiało jakieś krzesło czy zadzwoniło szkło - nawet wtedy, kiedy zaciągnęli go do biblioteki i usadzili na honorowym miejscu przed kominkiem, żądni dalszych opowieści o kolejnych herezjach i przewrotach. Moje dzieci, z których każde tak trudno było zadowolić, zakochane w George'u! Nie słyszałem żadnego dźwięku oprócz wartkiego strumienia słów Smileya i wybuchów śmiechu, gdy niespodziewanie objawił autoironię lub przyznał się do porażki. Starym jest się tylko raz, myślałem, słuchając razem z nimi i tak jak oni podekscytowany.

Opowiadał im o przypadkach, o których nie wiedziałem, i dam sobie głowę uciąć, że nikt z Centrali nie upoważnił go do ich rozpowszechniania, a już na pewno nie nasz radca prawny Palfrey, który w odpowiedzi na otwartość naszych byłych wrogów skrzętnie ukrywał każdą bezużyteczną tajemnicę, jeśli zdołał położyć na niej swe usłużne łapy.

Smiley rozvodził się nad przyszłą rolę oficerów prowadzących siatki wywiadowcze. Dopasowując się do zmienionej rzeczywistości, powinni mieć cechy mentora, pasterza, rodzica i przyjaciela. Widział w nich doradców, sprzedawców odpustów, showmanów i protektorów, ludzi, którzy posiadają dar traktowania szalonej rzeczywistości jako czegoś zwyczajnego i tym samym stają się partnerami swych współpracowników w świecie złudzeń. W tej kwestii nic się nie zmieniło, powiedział. I nie zmieni się. Sparafrazował Burnsa: „Szpieg pozostanie szpiegiem, choćby nie wiem co”.

Ale ledwie ukoił ich tymi słodkimi słowami, a już ostrzegł przed śmiercią duszy, która grozi tym, co manipulują ludźmi i tłumią spontaniczne uczucia.

- Kiedy próbujemy być wszystkim dla wszystkich szpiegów, ryzykujemy, że w końcu staniemy się nikim dla samych siebie - wyznał ze smutkiem. - Nie myślcie, że stosowane przez was metody nie pozostawiają żadnego śladu. Cel może uświęcać środki. Gdyby tak nie było, śmiałym twierdzić, że i was nie byłoby tutaj. Ale jest cena, którą trzeba zapłacić, a tą ceną często bywamy my sami. W waszym wieku sprzedanie duszy przychodzi łatwo. Potem jest trudniej.

Mieszał sprawy śmiertelnie poważne z frywolnymi i nikogo nie raził taki kontrast. A mnie zdawało się, że stawia pytania, które ja zadawałem sobie niemal od początku kariery, ale nigdy nie zdołałem ich wyartykułować: „Czy warto było?”, „Co zyskałem?”, „Co się z nami teraz stanie?”. Czasem pytania były odpowiedziami: zwykle mówiliśmy, że George nie pyta, jeśli nie zna

odpowiedzi.

Rozśmieszył nas i wzruszył, budził niejasny szacunek, a zarazem szokował kontrastami. I co ważniejsze, naruszył tkwiące w nas uprzedzenia. Uwolnił mnie od samoakceptacji i rozbudził drzemiącego buntownika, uspiętego wygnaniem do Sarratt. George Smiley jak grom z jasnego nieba odświeżył moją ciekawość świata i zamieszał mi w głowie.

Czytałem kiedyś, że sparaliżowani strachem ludzie nigdy się nie uczą. Jeśli jest tak w istocie, nie mają również prawa uczyć innych. Ja nie boję się bardziej od innych ludzi, którzy widzieli śmierć i wiedzą, że jest ona przeznaczona także im. Myślę jednak, że doświadczenie i odrobina cierpienia sprawiły, że trochę za bardzo obawiam się prawdy, nawet przed samym sobą. George Smiley zajął się tym. George był dla mnie kimś więcej, niż tylko mentorem i przyjacielem. Choć nie zawsze obecny w moim życiu, sprawował nad nim pieczę. Czasami myślałem o nim jak o ojcu, który zastąpił mi tego nieznanego. Wizyta George'a w Sarratt przywróciła mej pamięci niebezpieczną przejrystość. A teraz, kiedy mogę już delektować się wspomnieniami, chciałbym, żebyście wybrali się ze mną w podróż w przeszłość i zadali sobie te same pytania.

Niektórzy ludzie - oświadczył lekko Smiley, posyłając zalotny uśmiech ślicznotce z Trinity College, którą sprytnie usadziłem tuż przed nim - obawiają się, że gdy zagrożona jest ich przeszłość, stracą wszystko, co mieli, a może nawet wszystko, kim byli. Ja nie mam takich obaw. Pracowałem, aby zmienić oblicze czasów, w których żyłem. Gdyby więc przeszłość wciąż była wokół mnie, oznaczałoby to, że poniosłem porażkę. Ale tak nie jest. Zwyciężyliśmy. Nie chodzi zresztą o zwycięstwo. Może to nie my zwyciężyliśmy, tylko nasi przeciwnicy przegrali. A może uwolnieni od konfliktu ideologicznego, który nas kiedyś przygniatał, dopiero teraz staniemy wobec prawdziwych problemów. Mniejsza z tym. Najważniejsze, że długa wojna dobiegła końca. Najważniejsza jest nadzieja.

Zdjął okulary i z roztargnieniem poruszał palcami przy gorsie koszuli, szukając, co uświadomiłem sobie dopiero po jakimś czasie, szerokiego końca krawata, którym zwykł czyścić szkła. Niezdarnie zawiązana czarna mucha nie dawała się do tego wykorzystać, użył więc w zastępstwie jedwabnej chusteczki z kieszonki.

- Jeśli w ogóle czegoś żałuję, to zmarnowanego czasu i umiejętności: dróg, którymi nie powinniśmy pójść, przyjaciół, z którymi nie powinniśmy się wiązać, energii, którą źle spożytkowaliśmy, złudzeń, którymi się mamiliśmy. - Znów nałożył na nos okulary i, jak mi się wydawało, uśmiechnął się do mnie. Nagle poczułem ją jak jeden z moich studentów. Wróciłem do lat sześćdziesiątych. Byłem wtedy świeżo opierzonym agentem, a George Smiley - tolerancyjny, cierpliwy i mądry George - obserwował pierwsze próby mojego lotu.

W tamtych czasach byliśmy świetnymi facetami, a dni wydawały się dłuższe. Prawdopodobnie moi obecni studenci w niczym nam nie ustępują, lecz naszego patriotyzmu nie mąciło wówczas nic. Gdy kurs dobiegł końca, byłem gotów ocalić świat, nawet gdybym miał w tym celu przeszczerać całą kulę ziemską. Na moim roku studiowało nas dziesięciu. Po paru latach szkolenia w Wylęgarni w Sarratt, w szkockich dolinach i na obozach w Wiltshire rwaliśmy się do pierwszych zadań operacyjnych jak konie czystej krwi do wyścigu.

My też dojrzewaliśmy w ważnym dla historii okresie, choć panowały wówczas odwrotne tendencje polityczne. Stagnacja i wrogość wyzierały na nas z każdego zakątka globu. Wszędzie czaiło się czerwone niebezpieczeństwo, nie wyłączając naszej rodzinnej ziemi. Mur berliński stał od dwóch lat i wszystko wskazywało na to, że będzie stał przez kolejnych dwieście. Bliski Wschód był wulkanem, tak jak teraz, tyle tylko, że w tamtych czasach ulubionym obiektem nienawiści Brytyjczyków był Naser, choćby dlatego, że przywrócił Arabom godność, a na dodatek kumał się z

Rosjanami. Na Cyprze, w Afryce i w Azji Południowo-Wschodniej nieznanie zniewolone narody buntowały się przeciw kolonialnym władcom. I jeśli nawet nieliczni odważni Brytyjczycy od czasu do czasu odnosili wrażenie, że przez to wszystko nasza władza kurczy się, zawsze mogliśmy liczyć na bratni naród amerykański, który znów wciągnąłby nas do gry.

Jako przyszli bohaterowie tajnych służb mieliśmy wszystko, co trzeba: słuszną sprawę, okrutnego wroga, pobłażliwego sojusznika, rozdarty konfliktami świat, podnoszące nas na duchu kobiety - choć tylko na odległość - oraz dziedzictwo wielkiej tradycji, bowiem Cyrk w tamtych latach wciąż pławił się w blasku wojennej chwały. Niemal wszyscy nasi dowódcy zdobyli ostrogi szpiegując Niemców. I wszyscy, kiedy na seminariach z przejściem zadawaliśmy im pytania, zgodnie twierdzili, że jeśli chodzi o ochronę świata przed jego własnymi okrucieństwami, komunizm stanowi większe zagrożenie niż Hitler.

- Dostaliście w spadku niebezpieczną planetę - lubił powtarzać legendarny Jack Arthur Lumley, szef szkolenia w Sarratt. - A jeśli chcecie znać moją prywatną opinię, macie cholerne szczęście.

Och, jak bardzo pragnęliśmy znać jego opinię! Jack Arthur był prawdziwym bohaterem. Przez trzy lata regularnie jeździł do okupowanej przez Niemców Europy, zupełnie jakby wpadał tam na herbatkę. Samodzielnie wysadzał mosty. Nikt nie wie, ile razy schwytano go i ile razy uciekał. Zabijał gołymi rękami, stracił nawet kilka palców w walce. A kiedy zimna wojna zajęła miejsce gorącej, Jack prawie nie zauważył różnicy. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat nadal potrafił ozdobić uśmiechem makietę człowieka naturalnych rozmiarów, strzelając z odległości dwudziestu kroków z dziewięćmilimetrowego browninga, otworzyć spinaczem zamek w drzwiach, w ciągu pół minuty podłączyć ukrytą bombę do łańcuszka przy muszli klozetowej, czy jednym rzutem przyszpilić cię do maty. Jack Arthur wyrzucał nas na spadochronach z bombowców, posyłał na plaże Kornwalii w pontonach i upijał podczas nocnych pijatyk w knajpach. Jeśli Jack Arthur twierdził, że żyjemy na niebezpiecznej planecie, wierzyliśmy mu bezgranicznie!

zastąpił mi tego nieznanego. Wizyta George'a w Sarratt przywróciła mej pamięci niebezpieczną przejrzystość. A teraz, kiedy mogę już delektować się wspomnieniami, chciałbym, żebyście wybrali się ze mną w podróż w przeszłość i zadali sobie te same pytania.

Niektórzy ludzie - oświadczył lekko Smiley, posyłając zalotny uśmiech ślicznotce z Trinity College, którą sprytnie usadziłem tuż przed nim - obawiają się, że gdy zagrożona jest ich przeszłość, tracą wszystko, co mieli, a może nawet wszystko, kim byli. Ja nie mam takich obaw. Pracowałem, aby zmienić oblicze czasów, w których żyłem. Gdyby więc przeszłość wciąż była wokół mnie, oznaczałoby to, że poniosłem porażkę. Ale tak nie jest. Zwyciężyliśmy. Nie chodzi zresztą o zwycięstwo. Może to nie my zwyciężyliśmy, tylko nasi przeciwnicy przegrali. A może uwolnieni od konfliktu ideologicznego, który nas kiedyś przygniatał, dopiero teraz staniemy wobec prawdziwych problemów. Mniejsza z tym. Najważniejsze, że długa wojna dobiegła końca. Najważniejsza jest nadzieja.

Zdjął okulary i z roztargnieniem poruszał palcami przy gorsie koszuli, szukając, co uświadomiłem sobie dopiero po jakimś czasie, szerokiego końca krawata, którym zwykł czyścić szkła. Niezdarnie zawiązana czarna mucha nie dawała się do tego wykorzystać, użył więc w zastępstwie jedwabnej chusteczki z kieszonki.

- Jeśli w ogóle czegoś żałuję, to zmarnowanego czasu i umiejętności: dróg, którymi nie powinniśmy pójść, przyjaciół, z którymi nie powinniśmy się wiązać, energii, którą źle spożytkowaliśmy, złudzeń, którymi się mamiliśmy. - Znów nałożył na nos okulary i, jak mi się wydawało, uśmiechnął się do mnie. Nagle poczułem ją jak jeden z moich studentów. Wróciłem do lat

sześciodziesiątych. Byłem wtedy świeżo opierzonym agentem, a George Smiley - tolerancyjny, cierpliwy i mądry George - obserwował pierwsze próby mojego lotu.

W tamtych czasach byliśmy świetnymi facetami, a dni wydawały się dłuższe. Prawdopodobnie moi obecni studenci w niczym nam nie ustępują, lecz naszego patriotyzmu nie mąciło wówczas nic. Gdy kurs dobiegł końca, byłem gotów ocalić świat, nawet gdybym miał w tym celu przeszperać całą kulę ziemską. Na moim roku studiowało nas dziesięciu. Po paru latach szkolenia w Wylęgarni w Sarratt, w szkockich dolinach i na obozach w Wiltshire rwaliśmy się do pierwszych zadań operacyjnych jak konie czystej krwi do wyścigu.

My też dojrzewaliśmy w ważnym dla historii okresie, choć panowały wówczas odwrotne tendencje polityczne. Stagnacja i wrogość wyzierały na nas z każdego zakątka globu. Wszędzie czaiło się czerwone niebezpieczeństwo, nie wyłączając naszej rodzinnej ziemi. Mur berliński stał od dwóch lat i wszystko wskazywało na to, że będzie stał przez kolejnych dwieście. Bliski Wschód był wulkanem, tak jak teraz, tyle tylko, że w tamtych czasach ulubionym obiektem nienawiści Brytyjczyków był Naser, choćby dlatego, że przywrócił Arabom godność, a na dodatek kumał się z Rosjanami. Na Cyprze, w Afryce i w Azji Południowo-Wschodniej nieznanie zniewolone narody buntowały się przeciw kolonialnym władcom. I jeśli nawet nieliczni odważni Brytyjczycy od czasu do czasu odnosili wrażenie, że przez to wszystko nasza władza kurczy się, zawsze mogliśmy liczyć na bratni naród amerykański, który znów wciągnąłby nas do gry.

Jako przyszli bohaterowie tajnych służb mieliśmy wszystko, co trzeba: słuszną sprawę, okrutnego wroga, pobłażliwego sojusznika, rozdarty konfliktami świat, podnoszące nas na duchu kobiety - choć tylko na odległość - oraz dziedzictwo wielkiej tradycji, bowiem Cyrk w tamtych latach wciąż pławił się w blasku wojennej chwały. Niemal wszyscy nasi dowódcy zdobyli ostrogi szpiegując Niemców. I wszyscy, kiedy na seminariach z przejściem zadawaliśmy im pytania, zgodnie twierdzili, że jeśli chodzi o ochronę świata przed jego własnymi okrucieństwami, komunizm stanowi większe zagrożenie niż Hitler.

- Dostaliście w spadku niebezpieczną planetę - lubił powtarzać legendarny Jack Arthur Lumley, szef szkolenia w Sarratt. - A jeśli chcecie znać moją prywatną opinię, macie cholerne szczęście.

Och, jak bardzo pragnęliśmy znać jego opinię! Jack Arthur był prawdziwym bohaterem. Przez trzy lata regularnie jeździł do okupowanej przez Niemców Europy, zupełnie jakby wpadał tam na herbatkę. Samodzielnie wysadzał mosty. Nikt nie wie, ile razy schwytano go i ile razy uciekał. Zabijał gołymi rękami, stracił nawet kilka palców w walce. A kiedy zimna wojna zajęła miejsce gorącej, Jack prawie nie zauważył różnicy. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat nadal potrafił ozdobić uśmiechem makietę człowieka naturalnych rozmiarów, strzelając z odległości dwudziestu kroków z dziewięćmilimetrowego browninga, otworzyć spinaczem zamek w drzwiach, w ciągu pół minuty podłączyć ukrytą bombę do łańcuszka przy muszli klozetowej, czy jednym rzutem przyszpilić cię do maty. Jack Arthur wyrzucał nas na spadochronach z bombowców, posyłał na plaże Kornwalii w pontonach i upijał podczas nocnych pijatyk w knajpach. Jeśli Jack Arthur twierdził, że żyjemy na niebezpiecznej planecie, wierzyliśmy mu bezgranicznie!

Ale tym trudniejsze wydawało się czekanie. Gdybym nie dzielił tych męczarni z Benem Arno Cavendishem, byłoby mi jeszcze ciężiej. Przy niezliczonych zadaniach związanych z Centralą entuzjazm powoli zamieniał się w gorycz.

Ben i ja urodziliśmy się pod tą samą gwiazdą. Byliśmy w tym samym wieku, mieliśmy podobne wykształcenie, taką samą budowę ciała i niemal co do centymetra ten sam wzrost. Mogliśmy się spodziewać, że spotkamy się w Cyrku, powtarzaliśmy sobie z przejściem. Pewnie cały czas o tym

wiedzieli! Nasze matki były cudzoziemkami, ale jego matka nie żyła. Imię Arno odziedziczył po jej niemieckich krewnych. Obydwa też, być może tytułem rekompensaty za częściowo obce pochodzenie, zdecydowanie identyfikowaliśmy się z angielskimi warstwami wyższymi - atletyczni, hedonistyczni, wykształceni w szkołach prywatnych, urodzeni, żeby dowodzić, jeśli nie rządzić. Kiedy patrzę na zdjęcie grupowe naszego roku, widzę, że Ben odgrywał tę rolę lepiej ode mnie, jego wygląd tchnął bowiem dojrzałością, która mnie jeszcze umykała, miał dołek w brodzie, silnie zarysowaną szczękę i widać było, że mężczyzna pokonał już w nim młodzieńca.

I dlatego, o ile wiem, to Ben dostał wymarzoną posadę w Berlinie, kierując agentami z krwi i kości wewnątrz Niemiec Wschodnich, a ja raz jeszcze zostałem w rezerwie.

- Oddajemy cię na parę tygodni do grupy obserwacyjnej, Ned - oznajmił Szeff, przybierając ton dobrego wujaszka, który zaczynał grać mi na nerwach. - Zdobędziesz trochę doświadczenia, a im przyda się dodatkowa para rąk. Mnóstwo przebieranek. Zobaczysz, spodoba ci się.

Zmiana dobrze mi zrobi, pomyślałem, przyjmując ten rozkaz z podniesionym czołem. Przez ostatni miesiąc przy ciemnym biurku na Trzecim Piętrze łamałem sobie głowę nad planami sabotażu Światowej Konferencji Pokojowej, powiedzmy że w Belgradzie. Pod nadzorem flegmarijnego przełożonego, który godzinami przesiadywał w barze dla oficerów, z entuzjazmem zmieniałem trasy pociągów, którymi jechali delegaci, blokowałem hotelowe przewody kanalizacyjne i anonimowymi sygnałami o podłożeniu bomby opróżniałem salę konferencyjną. Miesiąc przedtem codziennie o szóstej rano przyczajęłam się odważnie w śmierdzącej piwnicy niedaleko ambasady egipskiej, czekając na przekupioną sprzątaczkę, która za pięć funtów przynosiła mi zawartość kosza na śmieci ambasadora z poprzedniego dnia. W porównaniu z tak skromnymi dokonaniem kilka tygodni w towarzystwie najlepszych na świecie obserwatorów brzmiało jak darmowa wycieczka.

- Przydzielili cię do operacji „Tłuścioch” - poinformował mnie Szeff, podając bezpieczny adres niedaleko Green Street na West Endzie. Kiedy wchodziłem do środka, usłyszałem stukot piłeczki pingpongowej oraz zdartą płytę gramofonową z piosenkami Gracie Fields. Załamałem się i znów moje modlitwy uleciały ku Benowi Cavendishowi i jego heroicznym agentom w Berlinie, wiecznym mieście szpiegów. Monty Arbuck, dowódca naszej grupy, zapoznał nas ze sprawą tego samego wieczora.

Muszę z góry za siebie przeprosić. W tamtych latach niewiele wiedziałem o społeczeństwie. Należałem do kasty oficerskiej, służyłem bowiem w Royal Navy i uważałem za całkowicie naturalne, że należy mi się odpowiednio wysokie miejsce na drabinie społecznej. Cyrk jest jedynie lustrzanym odbiciem Anglii, której służy, więc wydawało mi się równie słuszne, że nasi obserwatorzy i przedstawiciele pokrewnych fachów, czyli włamywacze i eksperci od podsłuchu, powinni rekrutować się z klasy robotniczej. Nie można przecież śledzić kogoś w eleganckim meloniku. A akcent lektora BBC nie daje gwarancji zachowania anonimowości poza londyńskimi salonami, tym bardziej, gdy ktoś chce podszyć się pod ulicznego sprzedawcę, sprzątacza lub pracownika poczty. Powinniście więc wyobrazić sobie mnie jako nieopierzonego bosmana między bardziej doświadczonymi, a mniej uprzywilejowanymi majtkami. I powinniście sobie wyobrazić Monty'ego nie takiego, jaki był, ale takiego, jakim ja widziałem go tego wieczora - surowego i wściekłego gajowego. Było nas dziesięcioro, wliczając Monty'ego: trzy zespoły po trzy osoby, w każdym jedna kobieta, żeby można było obserwować damskie ubikacje. Taka była zasada. A Monty był naszym kontrolerem.

- Dobry wieczór, College - powiedział, stając przy tablicy i zwracając się bezpośrednio do mnie. - Obecność kogoś z wyższych sfer przyda nam trochę klasy.

Śmiech na sali, a najgłośniejszym śmieję się ja. Wszyscy dobrze się bawią.

- Cel na jutro, College, to jego królewska wysokość Tłuscioch, zwany inaczej...

Odwróciwszy się do tablicy, Monty wziął do ręki kawałek kredy i mozolnie wykaligrafował długie arabskie nazwisko.

- A charakter naszej misji, College, to PR - podsumował. - Mam nadzieję, że wiesz, co to jest PR, co? Bez wątpienia uczą was tego na tym waszym uniwersytecie dla szpiegów?

- Public relations - odpowiedziałem, zdziwiony, że wzbudzam tak wielką wesołość. Okazało się niestety, że w żargonie obserwatorów skrót PR oznacza „pilnować i relacjonować”, a naszym zadaniem na jutro i na cały okres obserwacji naszego królewskiego gościa było pilnowanie, aby nie stała mu się żadna krzywda, i zdawanie Centrali relacji z jego poczynań - towarzyskich i handlowych.

- College, zostałeś przydzielony do grupy Paula i Nancy - oznajmił Monty, kiedy już przekazał nam wszystkie szczegóły operacyjne. - Będiesz numerem trzy w tej sekcji i masz łaskawie robić to, co ci każą, choćby nie wiem co.

Teraz natomiast zamierzam zaznajomić was z osobą Tłusciocha, ale nie słowami Monty'ego, lecz moimi, i to z dwudziestopięcioletniej perspektywy. Nawet dziś ze wstydem myślę o tym, za kogo się wówczas uważałem, i jak musieli mnie postrzegać Paul i Nancy.

Musicie najpierw zrozumieć, że handlarze bronią w Wielkiej Brytanii uważają się za swoistą elitę - tak było w przeszłości i tak jest teraz - i cieszą się niewspółmiernymi do zasług przywilejami ze strony policji, urzędników państwowych i wywiadu. Z powodów, których nigdy w pełni nie pojąłem, ich potworna profesja zapewnia im zaufanie tych służb. Być może zawdzięczają to kreowanej przez siebie iluzji, jakoby broń stanowiła prawdę o życiu i śmierci. Być może w zbłąkanych umysłach naszych urzędników towar, którym handlują, utożsamiany jest z władzą, jaką mają nad innymi użytkownicy broni. Nie wiem. Ale przez wszystkie te lata poznałem życie na tyle, by wiedzieć, że wielu mężczyzn kocha wojnę, ale niewielu ma szansę wziąć w niej udział, i że więcej broni kupuje się dla zaspokojenia tej miłości niż dla bardziej usprawiedliwionych celów.

Musicie też zrozumieć, że Tłuscioch był szczególnie cenionym klientem na tym rynku. A nasza misja PR stanowiła jedynie małą część dużo większego przedsięwzięcia, mianowicie prób utrzymania dobrych stosunków z tak zwanym bratnim krajem arabskim. Przez co do dziś dnia rozumie się nadskakiwanie, przekupywanie i przypochebianie się arabskim książętom, wyludzanie korzystnych kontraktów dla zaspokojenia naszego głodu paliwowego, a przy okazji sprzedawanie produktów brytyjskiego przemysłu zbrojeniowego, aby diabelskie młyny w Birmingham kręciły się dzień i noc. To wszystko być może tłumaczyło głęboko zakorzenioną niechęć Monty'ego do naszej misji. W każdym razie lubię tak o tym myśleć. Starzy obserwatorzy znani są z moralizatorskich zapędów i nie brakuje ku temu powodów. Najpierw obserwują, później myślą. Monty osiągnął już fazę myślenia.

Co do Tłusciocha, miał wszelkie prawa do takiego traktowania. Był nicponiowatym i kapryśnym bratem władcy bogatego w ropę szejkatu. Zdarzało mu się zapominać, co kupił poprzednim razem. Przyleciał zgodnie z planem odrzutowcem szejka i wylądował na lotnisku wojskowym pod Londynem, specjalnie zamkniętym z tej okazji. Chciał trochę się zabawić i zrobić zakupy, do których zaliczały się takie drobiazgi, jak kilka opancerzonych rolls-royce'ów dla niego i połowa błyskotek od Cartiera dla jego przyjaciółek z całego świata, około stu niezbyt nowoczesnych wyrzutni rakietowych ziemia - powietrze i eskadra lekko przestarzałych myśliwców bojowych dla jego królewskiego brata. Nie mówiąc już o korzystnych rządowych kontraktach na części zamienne, usługi i szkolenie, które miały zapewnić kilka tłustych lat Royal Air Force i producentom sprzętu zbrojeniowego. Ach, no i ropa. Mieliśmy dostać ropę. Na paliwo, oczywiście.

Jego świta poza prywatnymi sekretarzami, astrologami, pochlebcami, niańkami, dziećmi i dwoma nauczycielami składała się z osobistego lekarza i trzech ochroniarzy.

Towarzyszyła mu również żona, którą od pierwszego dnia obserwatorzy Monty'ego nazywali Pandą, ze względu na ciemne koła wokół oczu, widoczne, kiedy podnosiła zasłonę, i pełne zadumy i smutku zachowanie przedstawiciela zagrożonego gatunku. Tłuścioch miał kilka żon, lecz faworyzował Pandę, choć była najstarsza, ale zapewne najbardziej tolerancyjna wobec wybryków męża, który lubił wizyty w nocnych klubach i kasynach. Za te słabości moi koledzy szczerze go nienawidzili, ponieważ Tłuścioch znany był z tego, że rzadko kładł się spać przed szóstą rano, przepuściwszy przedtem sumę dwudziestokrotnie większą od tej, na którą oni wszyscy razem musieli pracować przez rok.

Świta Tłuściocha zajmowała pokoje w wielkim hotelu na West Endzie na dwóch piętrach połączonych specjalnie zainstalowaną windą. Tłuścioch, jak wielu innych czterdziestoletnich lubieżników, martwił się o swoje serce. Spokoju nie dawał mu też podsłuch i uważał windę za miejsce, gdzie może swobodnie rozmawiać. Lecz technicy z Cyrku zmyślnie zainstalowali tam mikrofony. Zamierzali dzięki nim zdobyć najsmaczniejsze kąski o najnowszych intrygach dworskich i nieprzewidzianych przeszkodach w realizacji listy wojskowych zakupów Tłuściocha.

Wszystko szło jak po maśle aż do trzeciego dnia, kiedy nagle na horyzoncie pojawił się pewien nieznany drobny Arab w czarnym płaszczu z aksamitnym kołnierzem. Było to w dziale z damską bielizną w jednym z wielkich domów towarowych przy Knightsbridge, gdzie Panda ze swym orszakiem przeglądała stertę białej falbaniastej bielizny rozłożonej na ladzie. Panda również miała swoich szpiegów. I dowiedziała się, że dzień wcześniej sam Tłuścioch szperał czule w tych samych artykułach, a nawet polecił, aby kilkanaście sztuk przesłano do Paryża, gdzie w subwencionowanym luksusie usychała z tęsknoty jego ulubiona przyjaciółka.

W dniu trzecim, jak mówiłem, morale naszej trzyosobowej sekcji zostało poważnie nadwreżone. Paul Skordeno był milczkowatym facetem o dziobatej cerze i niewyparzonemu języku. Nancy oznajmiła mi, że Paul jest nie w sosie, ale nie chciała powiedzieć, dlaczego.

- Uderzył dziewczynę, Ned - powiedziała, ale teraz myślę, że miała na myśli coś znacznie poważniejszego.

Sama Nancy mierzyła ledwie półtora metra wzrostu i wyglądała jak kloszard. Dla własnej wygody, jak to nazywała, nosiła fildekosowe rajstopy i solidne buty z gumowymi podszewkami, które rzadko zmieniała. Pozostałe potrzebne jej insygnia: szaliki, płaszcze, wełniane czapki w różnych kolorach, nosiła w plastikowej torbie.

Podczas obserwacji nasza sekcja pracowała po osiem godzin zawsze w tym samym szyku: Nancy i Paul grali z przodu boiska, a młody Ned dreptał im po piętach w obronie. Kiedy zapytałem Skordeno, czy można wprowadzić zmiany w naszym rozstawieniu, kazał mi przyzwyczać się do tego, co mam. Pierwszego dnia pojechaliśmy za Tłuściochem do Sandhurst, gdzie wydano lunch na jego cześć. Nasza trójka jadła jaja z frytkami w barze niedaleko głównej bramy, gdy nagle Skordeno zaczął najpierw pomstować na Arabów, potem na Zachód, który ich wykorzystuje, a następnie - ku mej konsternacji - na Piąte Piętro, które nazwał bandą faszystowskich snobów.

- Jesteś masonem, College? Zapewniłem go, że nie.

- Więc się pośpiesz i wstąp do łoży. Nie zauważyłeś, z jakim lekceważeniem Szeff ścisnął ci dłoń? Nigdy nie trafisz do Berlina, jeśli nie zostaniesz masonem.

Drugiego dnia akcji wałęsaliśmy się po Mount Street, gdzie Tłuścioch przymierzał się do kupna pary dubeltówek firmy Purdy. Najpierw niebezpiecznie wymachiwał jedną ze strzelb, a potem wpadł w szał, kiedy okazało się, że będzie musiał na nie czekać dwa lata. Paul dwukrotnie posłał mnie do

sklepu, żeby zorientować się w rozwoju sytuacji, i z zadowoleniem wysłuchał wiadomości, że sprzedawcy z coraz większą podejrzliwością traktują moje zdawkowe pytania.

- Wydawało mi się, że będziesz tam się czuł jak ryba w wodzie - powiedział, szczerząc zęby jak trupia czaszka. - Polowania, strzelanie, wędkę. Ci z Piątego Piętra uwielbiają takie rozrywki, College.

Tej samej nocy nasza trójka czuwała w furgonetce zaparkowanej przed burdelem na South Audley Street, natomiast w Centrali niemal doszło do wybuchu paniki. Tłścioch był tam ledwie dwie godziny, kiedy zadzwonił do hotelu i kazał natychmiast przyjechać swemu osobistemu lekarzowi. Przeraziliśmy się, że to serce. Wkroczyć, czy nie wkroczyć? I gdy Centrala wciąż się wahała, my wyobrażaliśmy już sobie śmierć Tłściocha w ramionach jakiejś nadmiernie gorliwej kurwy, i to przed podpisaniem czeku za nasze przestarzałe myśliwce. Dopiero o czwartej nad ranem koledzy z podsłuchu rozproszyli nasze obawy. Wyjaśnili, że Tłściocha dotknęła tylko męska niemoc, i wezwał lekarza, żeby wstrzyknął w królewski zadek afrodyzjak. Wróciliśmy do domu o piątej, Skordeno był siny ze złości, lecz wszystkich pocieszała myśl, że w południe Tłścioch uczestniczy w Luton w uroczystym pokazie jeszcze niedawno najnowszego brytyjskiego czołgu i mogliśmy liczyć na dzień odpoczynku. Ale nasza radość okazała się przedwczesna.

- Panda chce sobie kupić trochę drobiazgów - oświadczył dobrotliwie Monty, kiedy przyjechaliśmy na Green Street. - Teraz wasza kolej. Przykro mi, College.

I tak znaleźliśmy się w dziale z bielizną damską w jednym z wielkich domów towarowych przy Knightsbridge, gdzie miałem przeżyć swoje pięć minut chwały. Ciągle myślałem o Benie: Ben, zamieniłbym pięć moich dni na jeden twój. Lecz nagle Ben wyparował mi z głowy i przestałem mu zazdrościć. Wycofałem się na korytarz i przemówiłem do mikrofonu nieporęcznego zestawu radiowego, w tamtych czasach ostatniego krzyku techniki. Wybrałem częstotliwość, pozwalającą mi na bezpośredni kontakt z bazą. Tę samą, której Skordeno zabronił mi używać.

- Pandzie depcze po piętach małpizyon - poinformowałem Monty'ego moim najspokojniejszym głosem, opisując tajemniczego osobnika żargonowym określeniem obserwatorów. - Około stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, czarne kręcone włosy, gęste wąsy, wiek około czterdziestu lat, czarny płaszcz, czarne buty z gumowymi podeszwami, arabska fizjonomia. Widziałem go na lotnisku, kiedy przyleciał Tłścioch. Pamiętam go. To ten sam facet.

- Miej na niego oko - brzmiała lakoniczna odpowiedź Monty'ego. - Paul i Nancy niech pilnują Pandę, a ty pilnuj małpizyona. Które piętro?

- Pierwsze.

- Depcz mu po piętach i zostań w kontakcie ze mną.

- Niewykluczone, że jest uzbrojony - odrzekłem, a moje oczy znów ukradkiem powędrowały w stronę osobnika będącego tematem naszej rozmowy.

- W cierpliwość?

Nie uważałem tego za śmieszne.

Pozwólcie mi dokładnie opisać tę scenę, gdyż sytuacja była bardziej skomplikowana, niż można przypuszczać. Nie tylko nasza trójka śledziła poruszający się w ślimaczym tempie orszak Pandę. Bogate arabskie księżniczki nie zjawiają się w wielkich domach towarowych przy Knightsbridge bez zapowiedzi. Poza parą sklepowych ochroniarzy w czarnych kurtkach i pasiastych spodniach dwaj niezwykle widoczni detektywi usytuowali się przy obu wyjściach, rozstawiając szeroko nogi i trzymając ręce przy biodrach, gotowi w każdej chwili wziąć się za bary z wirującymi derwiszami. Na domiar wszystkiego, tego ranka Scotland Yard przysłał własną ochronę w postaci mężczyzny o kamiennej twarzy w przepasanym płaszczu, który zajął miejsce tuż przy Pandzie i groźnym wzrokiem

mierzył każdego, kto się do niej zbliżał. Nie zapominajcie też o Paulu i Nancy w najlepszych niedzielnych ubraniach, którzy odwrócili się plecami do wszystkich i przeglądając zestawy bielizny, obserwowali naszą podopieczną w lustrach.

Wszystko to, musicie pamiętać, miało miejsce w spokojnym i naperfumowanym zaciszu haremu, w świecie delikatnych koronek, grubych dywanów i omdlałych półnagich manekinów, nie wspominając o życzliwych, siwiejących sprzedawczyniach w ubraniach z czarnej krepy, które wypracowały umiejętność zajmowania się szczegółami kobiecej intymności z właściwą sobie delikatnością.

Zauważyłem, że inni mężczyźni w ogóle nie wchodzi do działu z damską bielizną lub przechodzą pospiesznie, odwracając wzrok. Ja zachowałbym się tak samo, gdybym nie zobaczył tego ponurego drobnego mężczyzny z czarnym wąsem i płomiennymi brązowymi oczami, który uparcie podążał za orszakiem Pandy w odległości piętnastu kroków. Gdyby Monty nie przydzielił mnie na tyły, być może w ogóle bym go nie zauważył, albo nie tak szybko. Niebawem stało się jasne, że i ja, i on z racji naszych zadań musimy utrzymywać tę samą odległość od celu, przy czym ja zachowywałem się nonszalancko, a on z pewnego rodzaju intensywnym i mistycznym napięciem. Nie spuszczał z niej wzroku. Nawet kiedy kolumna lub jakiś klient zasłaniały mu widok, wyciągał szyję w jedną i drugą stronę i znów wbijał w nią gorące i - byłem już całkiem pewien - fanatyczne spojrzenie.

Dostrzegłem w nim ten żar już wtedy, gdy zobaczyłem go na lotnisku, gdzie stał na palcach przy szklanej ścianie i rozpychał się, żeby jak najlepiej widzieć królewską parę. Wtedy nie zrobił na mnie szczególnego wrażenia. Wszystkich poddawałem temu samemu krytycznemu badaniu. Nie wyróżniał się w tłumie tworzących komitet powitalny dyplomatów, członków świty i gapiów. A jednak uderzyła mnie w nim jakaś intensywność. A więc to jest Bliski Wschód, dumalem, patrząc, jak przyciska zapadniętą twarz do szyby. Właśnie takie prymitywne namiętności musimy okiełznać, jeśli chcemy jeździć samochodami, ogrzewać domy i spokojnie handlować bronią.

Małpison zrobił kilka kroków do przodu i zainteresował się gablotą ze wstążkami. Poruszał się jak małpison przystało, stawiając nogi szeroko, acz dyskretnie; wydawało się, że skradające kroki stawia dopiero od kolan. Wybrałem ekspozycję podwiązek obok niego i udawałem, że ją oglądam, jednocześnie starając się potajemnie ustalić, czy w okolicach pasa i pach nie widać podejrzanych wyrzuteń. Miał na sobie klasyczny płaszcz mordercy: obszerny, bez paska, bez trudu maskujący obecność broni z długą lufą i tłumikiem lub pistoletu samopowtarzalnego podczepionego pod ramię.

Obserwowałem jego dłonie; w moich czułem nerwowe mrowienie. Lewa zwisała luźno przy boku, ale prawa, która wyglądała na silniejszą, bez przerwy wędrowała w stronę klatki piersiowej i zastygała w bezruchu, jak gdyby zbierał się na odwagę i szykował do rozstrzygającego posunięcia.

Krzyżowy chwyt prawą ręką, pomyślałem; prawdopodobnie pod pachę. Nasi trenerzy nauczyli nas wszystkich możliwych kombinacji.

I jego oczy: ciemne, płonące, pełne namiętności oczy zeloty nawet z profilu zdawały się koncentrować na pośmiertnej egzystencji. Może zaprzysiągł jej zemstę? Lub jej rodzinie. Czyżby fanatyczni mułowie obiecali mu miejsce w niebie, jeśli dokona tego czynu? Moja wiedza o islamie pozostawiała dużo do życzenia i pochodziła głównie z kilku szkolnych lektur i powieści P.C. Wrena. Wiedziałem jednak wystarczająco dużo, żeby mieć się na baczności w obecności zdesperowanego fanatyka, który miał własne życie za nic.

Niestety sam byłem nieuzbrojony. Bardzo mnie to złościło. Obserwatorzy podczas normalnej służby nie mając marzyć o broni, ale tajna ochrona ma inny charakter i Paul Skordeno otrzymał z sejfów Monty'ego broń boczną.

- Jedna wystarczy, College - powiedział mi Monty ze swym uśmiechem starca. - Nie chcemy, żebyś rozpętał trzecią wojnę światową, prawda?

Zatem kiedy znów ruszyłem za Arabem, pozostało mi tylko zdecydować się na jeden ze sposobów, które opanowaliśmy podczas zajęć z dyskretnego uśmiercania. Powiniennem zaatakować go od tyłu ciosem w kark czy podwójnym uderzeniem nad uszami? Każda z tych metod zabiłaby go w jednej chwili, lecz żywego można było jeszcze przesłuchać. Może więc lepiej złamać mu najpierw prawą rękę i odebrać broń? Ale jeśli pozwolę mu wyciągnąć broń, sam mogę zginąć pod ostrzałem kilku ochroniarzy znajdujących się na piętrze.

Zauważyła go!

Panda spojrzała małpisonowi prosto w oczy, a małpison odwzajemnił spojrzenie!

Czyżby go poznała? Byłem pewien, że tak. Ale czy odgadła również jego zamiary? I czy w jakimś dziwnym paroksyzmie orientального fatalizmu przygotowywała się na śmierć? Kiedy obserwowałem tę milczącą wymianę spojrzeń, przez głowę przeleciały mi najgorsze z możliwych wersje tego, co miało nastąpić. Ich spojrzenia spotkały się, a Panda w jednej chwili zastygła w bezruchu. Jej pokryte klejnotami krabowate małe dłonie, które grzebały w wyłożonych na ladzie materiałach, znieruchomiały, po czym jak gdyby na jego rozkaz opadły bezwolnie. Stała tak bez ruchu, bez woli, nie usiłując nawet oderwać się od jego przenikliwego wzroku.

I wreszcie z rezygnacją i dziwną pokorą na twarzy odwróciła się od niego, szepcząc coś do swych towarzyszek i wypuszczając ostatnią falbaniastą rzecz, którą ścisnęła w dłoni. Tego dnia nosiła się na brązowo i gdyby była mężczyzną, zaryzykowałbym stwierdzenie, że miała na sobie franciszkański habit z szerokimi i dłuższymi od ramion rękawami oraz brązową opaskę, która ciasno opinała głowę.

Zauważyłem, że westchnęła, po czym powoli i - czego byłem pewien - z rezygnacją poprowadziła swą świtę do wyjścia. Za nią ruszył jej osobisty ochroniarz, za nim policjant ze Scotland Yardu. Za policjantem kobiety z orszaku, a za nimi sklepowi ochroniarze. Wreszcie przyszła kolej na Paula i Nancy, którzy okazując niezdecydowanie, oderwali się od oglądanych szlafroków i jak inni klienci odmaszerowali w ślad za orszakiem Pandy. Paul, który z pewnością podsłuchiwał moje rozmowy z Montym, nie raczył na mnie spojrzeć ani razu. Nancy, dumna ze swoich zdolności aktorskich, odgrywała właśnie kłótnię małżeńską. Próbowałem zobaczyć, czy Paul rozpiął marynarkę. On również przedkładał nad inne chwyt krzyżowy. Ale widziałem tylko jego szerokie plecy.

- No dobrze, College, pokaż mi - usłyszałem w lewym uchu pogodny głos Monty'ego, który wyrósł przy mnie jakby za sprawą czarów. Nie miałem pojęcia, jak długo tam stał. Minęło południe i nasza zmiana dobiegła końca, ale nie była to najlepsza pora na zmianę warty. Małpison znajdował się niespełna pięć metrów od nas, krocząc lekko, lecz zdecydowanie za Pandą.

- Możemy zdjąć go na schodach - zaproponowałem półgłosem.

- Mów głośniej - poradził mi Monty tym samym radosnym tonem. - Mów normalnie, nikt cię nie słucha. Jak będziesz tak mamrotał pod nosem, pomyślą, że przyszedłeś obrabować kasę.

Ponieważ znajdowaliśmy się na pierwszym piętrze, Panda ze swym orszakiem miała oczywiście skorzystać z windy, bez względu na to, czy zamierzała pojechać do góry, czy na dół. Obok windy znajdowały się wahadłowe drzwi prowadzące na kamienną klatkę schodową, która w tamtych czasach była wilgotna i niezbyt czysta, wyłożona linoleum. Mój plan, który nakreśliłem Monty'emu w kilku urywanych zdaniach, kiedy szliśmy za małpisonem w stronę wyjścia, cechował się wielką prostotą. Gdy grupa Pandy zbliży się do windy, ja i Monty podejmiemy do niego z obu stron, chwycimy go pod ręce i zaciągniemy na klatkę schodową. Osłabimy go kopniakiem w kroczce,

odbierzemy broń i odeślemy na Green Street, gdzie skłonimy do złożenia dobrowolnych zeznań. W trakcie szkolenia wykonywaliśmy podobne manewry dziesiątki razy. Raz, ku naszemu zakłopotaniu, porwaliśmy w ten sposób niewinnego urzędnika bankowego śpieszącego do żony i rodziny, którego przez pomyłkę wzięliśmy za członka naszej grupy szkoleniowej.

Ale nawet jeśli Monty mnie słyszał, nie dał tego po sobie poznać, doprowadzając mnie do głębokiej frustracji. Obserwował ochroniarzy sklepowych, którzy torowali drogę przez tłum, żeby Panda i jej entourage mogli skorzystać z windy. Uśmiechał się jak zwykły klient, który przypadkowo ma szansę zerknąć na członka rodziny królewskiej.

- Zjeżdża na dół - oświadczył z satysfakcją. - Założę się, że ma ochotę na tanie błyskotki. Wydawałoby się, że ci z Zatoki Perskiej nie zwracają sobie głowy sztuczną biżuterią, ale jest wręcz przeciwnie, nigdy nie mają jej dosyć; pewnie myślą, że robią doskonały interes. Chodź, synu. Czekaj nas niezła zabawa. Rozejrzemy się.

Pomimo ogromnego zdenerwowania doceniłem mistrzowską sztukę kamuflażu Monty'ego. Egzotyczna świta Pandy w arabskich strojach wzbudzała żywe zainteresowanie wśród klientów. Monty zamienił się w jednego z nich i cieszył się z widowiska. I znów miał rację, rzeczywiście orszak Pandy podążył do działu ze sztuczną biżuterią, co również przewidział małpison, bo gdy wyszliśmy z windy, wyprzedził całą grupę, żeby zająć dogodne miejsce przy błyszczących gablotach, ustawiając się lewym barkiem do ściany, dokładnie tak, jak powinien się ustawić praworęczny strzelec przy chwycie krzyżowym.

A mimo to Monty, nie myśląc o zajęciu strategicznej pozycji do oddania strzału, po prostu ruszył za nim i ustawivszy się w pobliżu, dał mi znak, żebym do niego dołączył. W końcu kazał mi stanąć w ten sposób, że nie małpison, lecz Monty zajmował środkową pozycję.

- Dlatego właśnie zawsze przyjeżdżam na Knightsbridge, synu - wyjaśniał na tyle głośno, że słyszała go połowa klientów na piętrze. - Nigdy nie wiadomo, kogo się spotka. Ostatnio przyprowadziłem tu twoją matkę, pamiętasz, i poszliśmy do delikatesów Harrodsa. Pomyślałem: „Halo, znam cię, jesteś Rex Harrison”. Mogłem wyciągnąć rękę i dotknąć go, ale nie zrobiłem tego. W Knightsbridge krzyżują się drogi całego świata, zgodzi się pan ze mną? - uklonił się małpisonowi, który odwzajemnił pozdrowienie bladym uśmiechem. - A ciekawe, skąd tych tutaj przyniosło. Wyglądają na Arabów i pewnie są bogaci jak Krezus. I nawet nie płacą podatków, śmiem twierdzić. Członkowie rodziny królewskiej nie płacą podatków. Nigdzie na świecie królowie nie płacą sobie podatków, to byłoby wbrew logice. Widzisz tego wielkiego policjanta, synu? Pewnie ze służb specjalnych, można to poznać po jego głupawej minie.

Tymczasem orszak Pandy rozproszył się między podświetlanymi szklanymi ladami, a on z trudem skrywając niepokój, prosiła o wyjmowanie pudeł z błyskotkami. Tak samo jak w dziale z bielizną, brała do rąk kolejne przedmioty, badając uważnie każdy z nich przy świetle, ale zawsze odkładała je i przechodziła do następnych. I tym razem, kiedy podziwiała i rezygnowała z kolejnych świecidełek, jej zmartwiony wzrok powędrował w naszą stronę. Najpierw spojrzała na małpisona, a później na mnie, jak gdyby dostrzegając we mnie jedyną szansę ratunku.

Lecz Monty, kiedy zerknąłem na niego, szukając potwierdzenia swoich przypuszczeń, wciąż się uśmiechał.

- W dziale z bielizną było dokładnie tak samo - szepnąłem, zapominając o jego poleceniu, żeby mówić normalnie.

Ale Monty kontynuował swój hałaśliwy monolog.

- Ale w środku, synu, zawsze to powtarzam, w środku wszyscy jesteśmy tacy sami, królowie czy nie królowie. Absolutnie. Wszyscy rodzimy się nadzy, wszyscy zamienimy się w proch. Zdrowie jest

największym bogactwem, lepiej mieć dużo przyjaciół niż pieniędzy, pamiętaj. Wszyscy mamy te same pragnienia, te same słabostki i grzeszki. - I dalej perorował, jakby na złość mojej wyostrojonej czujności.

Panda poprosiła o kolejne pudełka. Lada pokryła się okazałymi tiarami, bransoletami i pierścionkami ze strasów. Panda wybrała potrójny naszyjnik ze sztucznymi rubinami, przyłożyła go do szyi i wzięła lusterko, żeby się przejrzeć.

Czyżbym sobie to wyobrażał? Nie! Za pomocą lustra obserwowała małpiszona i nas! Wbiła w nas spojrzenie najpierw jednego, a potem obu ciemnych oczu. Jej wzrok zdawał się ostrzegać nas i błagać. W końcu odłożyła lusterko, odwróciła się od nas i ruszyła jakby rozgniewana w stronę kolejnej lady, sunąc majestatycznie wzdłuż szklanej gabloty.

W tym samym momencie małpiszon zrobił krok do przodu. Zauważyłem, jak podnosi rękę do zapięcia płaszcza. Zapominając o ostrożności, ja też zrobiłem krok do przodu i zamachnąłem się prawą ręką, napinając palce i układając dłoń tak, jak uczono mnie w Sarratt. Zdecydowałem się na cios łokciem w serce, a następnie na uderzenie kantem dłoni w górną wargę, w miejsce, gdzie chrząstka nosowa styka się z górną szczęką. Znajduje się tam skupisko nerwów i dobrze wymierzony cios może na jakiś czas unieruchomić przeciwnika. Małpiszon otworzył usta i nabrał powietrza. Spodziewałem się okrzyku skierowanego do Allaha albo sloganu jakiejś sekty fundamentalistów - choć nie jestem pewien, ile w tamtych czasach wiedzieliśmy i czy w ogóle zawracaliśmy sobie głowę arabskimi fundamentalistami. Natychmiast podjąłem decyzję, żeby też wydać z siebie okrzyk nie tylko po to, żeby go skonfundować. Wdech miał dostarczyć więcej tlenu do krwiobiegu i zwiększyć siłę uderzenia. Właśnie głęboko wciągałem powietrze, kiedy poczułem dłoń Monty'ego. Zacisnęła mi się jak żelazny pierścień wokół nadgarstka i z nieoczekiwaną siłą unieruchomiła rękę. Przyciągnął mnie do siebie.

- Nie rób tego, synu, ten dżentelmen był przed tobą - powiedział głosem nie znoszącym sprzeciwu. - Pan ma do załatwienia pewną delikatną sprawę, prawda?

Rzeczywiście. Monty nie zwalniał uścisku, dopóki nie przekonałem się, o czym mowa. Małpiszon odezwał się. Nie do Pandy, nie do członków jej orszaku, lecz do dwóch sklepowych ochroniarzy w pasiastych spodniach, którzy pochylili ku niemu głowy, początkowo protekcyjnie, a później z pełnym zdziwieniem zainteresowaniem, gdy ich wzrok skierował się na Pandę.

- Panowie, jej królewska mość pragnie dokonać zakupów w sposób dyskretny - tłumaczył. - Bez niedogodności związanych z pakowaniem, wypisywaniem rachunków i tak dalej. Takie ma życzenie. Jeszcze trzy, cztery lata temu była mistrzynią w targowaniu się. O, tak. Jeśli coś jej się spodobało, potrafiła wynegocjować najkorzystniejszą cenę. Ale dzisiaj, w jej wieku, bierze sprawy jak najbardziej dosłownie w swoje ręce. Jestem w związku z tym upoważniony przez jego królewską mość, aby uiścić hojną zapłatę za wszystkie zakupione tutaj towary, z zastrzeżeniem jednak, że nic nie przedostanie się do opinii publicznej w formie pisanej czy mówionej. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno, panowie.

I z kieszeni wyjął nie śmiertelnie niebezpiecznego walthera, nie półautomatycznego hecklera&kocha czy choćby naszego ulubionego zwykłego dziewięćmilimetrowego browninga, tylko skórzany marokański portfel wypchany banknotami o najróżniejszych nominałach.

- Doliczyłem się trzech pierścionków, jednego ze sztucznym szmaragdem, dwóch z diamentowymi strasami. Do tego dochodzi potrójny naszyjnik ze sztucznymi rubinami. Życzeniem jego królewskiej mości jest, aby hojnie wynagrodzono wszelkie niedogodności, które w związku z naszą wizytą musiał znosić wasz profesjonalny personel. Doliczamy też prowizję dla łaskawych panów ze wspomnianym już zastrzeżeniem dotyczącym dyskrecji.

Monty rozluźnił uścisk. Kiedy sunęliśmy w stronę wyjścia, ośmieliłem się spojrzeć na niego. Z ulgą przekonałem się, że jego twarz, choć zamyślona, ma zaskakująco łagodny wyraz.

- Na tym polega trudność w naszym fachu, Ned - wyjaśnił mi spokojnie, po raz pierwszy zwracając się do mnie po imieniu. - Życie wygląda inaczej, niż sądzimy. Sam przyznaję, że czasem brakuje mi wroga z prawdziwego zdarzenia. Trzeba się dobrze naszukać, żeby go znaleźć. Otacza nas zbyt wielu dobrych ludzi.

Zapamiętajcie koniecznie - Smiley napominał młode audytorium takim tonem, jakby namawiał ich do złożenia datków przy wyjściu - że wykształceni w ekskluzywnych prywatnych szkołach Angliki lub Angielki, panie mi wybaczą, są największymi obłudnikami na świecie. - Począł, aż umilknie śmiech. - Tak było, tak jest i tak będzie, dopóki nie zmienimy skandalicznego systemu szkolnictwa w tym kraju. Nikt nie oczaruje was z taką łatwością, nikt lepiej nie ukryje uczuć, nikt sprawniej nie zatrze za sobą śladów, nikt nie będzie miał większych problemów z wyznaniem, że jest skończonym durniem. Nikt nie wykaże się większą odwagą, gdy jest śmiertelnie przerażony, nikt nie zrobi równie szczęśliwszej miny, gdy jest w depresji, nikt nie będzie komuś bardziej pochlebiał, nienawidząc go jednocześnie - tylko Angliki z rzekomo uprzywilejowanych klas. Taki ktoś będzie przeżywał głębokie załamanie nerwowe, ale stojąc w kolejce do autobusu, potraktuje cię jak najlepszego przyjaciela, a ty w ogóle nie zorientujesz się w jego myślach. Dlatego nasi najlepsi oficerowie okazują się najgorszymi, a najgorsi najlepszymi. I dlatego każdemu z was najtrudniej będzie prowadzić jednego agenta: samego siebie.

Nie miałem żadnych wątpliwości, że Smiley myślał o największym oszuście z nas wszystkich, o Billu Haydonie. Ale dla mnie Smiley mówił o Benie, a także, choć trudniej mi to przyznać, o młodym Nedzie, a być może również o tym starszym.

Stało się to po południu tego samego dnia, kiedy o mały włos nie unicestwiłem przez pomyłkę ochroniarza Pandy. Zmęczony i przygnębiony wróciłem do mieszkania w Battersea. Okazało się, że drzwi są zamknięte tylko na klamkę, a w mieszkaniu dwaj mężczyźni w szarych garniturach plądrują w moim biurku.

Kiedy wpadłem do środka, ledwie raczyli na mnie spojrzeć. Bliżej mnie stał Szeff, a dalej pękaty mężczyzna w niesprecyzowanym wieku o wyglądzie sowy, który przyglądał mi się zza okrągłych okularów z niewypowiedzianym współczuciem.

- Kiedy ostatnio odezwał się twój przyjaciel Cavendish? - zapytał Szeff. Zerknął na mnie przelotnie, lecz zaraz wrócił do papierów.

- Jest chyba twoim przyjacielem, prawda? - zapytał z żalością w głosie pękaty mężczyzna, kiedy ja próbowałem się opanować. - Ben? Arno? Jak go nazywasz?

- Oczywiście, że jest. Ben jest moim przyjacielem. Ale o co chodzi?

- Kiedy ostatnio się do ciebie odezwał? - powtórzył Szeff, odsuwając na bok stertę listów od mojej ówczesnej dziewczyny. - Dzwoni do ciebie? Jak się kontaktujecie?

- Tydzień temu dostałem od niego pocztówkę. I co z tego? - Gdzie ona jest?

- Nie wiem. Zniszczyłem ją, jeśli nie ma jej w biurku. Czy łaskawie zechcecie mi wyjaśnić, o co tu chodzi?

- Zniszczyłeś ją?

- Wyrzuciłem.

- Zniszczenie jest działaniem rozmyślnym. Jak wyglądała? - dopytywał się Szeff, wyciągając następną szufladę. - Nie ruszaj się.

- Zdjęcie dziewczyny, a na odwrocie parę słów od Bena. Czy to ważne, jak wyglądała? Proszę stąd wyjść.

- Co pisał?

- Nic. Że to jego ostatnia zdobycz. „Drogi Nedzie! To moje najnowsze trofeum. Dobrze, że ciebie tutaj nie ma. Pozdrowienia, Ben”. A teraz wynoście się!

- Co przez to rozumiał? - Szef wyciągał następną szufladę.

- Cieszył się chyba, że mu jej nie odbiję. Taki żart.

- Zwykle odbijałeś mu dziewczyny?

- Nie mamy wspólnych kobiet. Nigdy nie mieliśmy.

- A co macie wspólnego?

- Przyjaźnimy się po prostu - odparłem ze złością. - Czego do diabła szukacie? Będzie lepiej, jak zaraz stąd wyjdziecie. Obydwaj.

- Nigdzie nie ma - Szef poskarżył się tłustemu towarzyszowi, odrzucając na bok kolejną stertę moich prywatnych listów. - Żadnych pocztówek. Nie kłamiesz przypadkiem, Ned?

Pękaty mężczyzna nie spuszczał ze mnie oczu. Cały czas przyglądał mi się z żalną empatią, jak gdyby chciał powiedzieć, że wszyscy musimy przez to przejść i nic na to nie można poradzić. - W jaki sposób przesłał ci tę pocztówkę, Ned? - zapytał. Jego głos, tak jak zachowanie, był ostrożny i skruszony.

- Jak to jak? Pocztą - rzuciłem niegrzecznie.

- Zwykłą pocztą? - dopytywał się ze smutkiem pękaty mężczyzna. - A nie w specjalnej przesyłce służbowej?

- Pocztą wojskową - odparłem. - Została nadana w Berlinie. Miała brytyjski znaczek. Doręczył ją miejscowy listonosz.

- Pamiętasz może numer poczty terenowej, Ned? - zapytał ogromnie nieśmiało pękaty mężczyzna. - Ze stempla pocztowego.

- Wydaje mi się, że był to zwykły berliński numer - odciąłem się. Trudno było oburzać się na kogoś tak nieskończenie uprzejmego. - Chyba czterdzieści. Czemu to takie ważne? Mam tego dość.

- Ale na pewno została wysłana w Berlinie? Może tak ci się tylko zdawało? Zastanów się dobrze. To był na pewno berliński numer?

- Wyglądała tak samo jak wszystkie poprzednie. Nie oglądałem jej pod mikroskopem - powiedziałem a gniew znów mnie ogarnął na widok kolejnej szuflady opróżnianej przez Szefa.

- Pocztówka z seksowną dziewczyną, Ned? - zapytał pękaty mężczyzna z uśmiechem winowajcy, który miał zapewne przeproszać za zachowanie jego i Szefa.

- Tak, z rozebraną dziewczyną: jakąś dziwką, jak sądzę, która spogląda do tyłu, eksponując nagie plecy. Dlatego to wyrzuciłem. Ze względu na sprzątaczkę.

- A więc przypominasz sobie! - zawołał Szef, odwracając się nagle do mnie. - „Wyrzuciłem ją”. Szkoda, żeś od razu tego nie powiedział!

- No, nie wiem, Rex - przekonywał Szefa pojednawczym tonem pękaty mężczyzna. - Ned był bardzo zaskoczony, kiedy tu wszedł. I czy można mu się dziwić? - Znów skierował na mnie strapione spojrzenie. - Przydzielono ci tymczasowo do obserwatorów, prawda? Monty twierdzi, że jesteś niezły. Nawiasem mówiąc, kolorowe było? Zdjęcie na pocztówce?

- Tak.

- Zawsze przysyłał pocztówki, czy czasem też listy?

- Tylko pocztówki. - Ile?

- Trzy albo cztery, odkąd tam wyjechał.

- Zawsze kolorowe?

- Nie pamiętam. Możliwe. Tak. - I zawsze z dziewczynami na zdjęciu?

- Chyba tak.
- Pamiętasz bardzo dobrze. Oczywiście, że pamiętasz. Pewnie też zawsze rozebrane?
- Tak.
- Gdzie są stare kartki?
- Musiałem je wyrzucić.
- Ze względu na sprzątaczkę? - Tak.
- Żeby uchronić ją przed zgorzeniem? - Tak!

Pękaty mężczyzna powoli przetrawiał usłyszane informacje.

- A więc te nieprzyzwoite pocztówki... wybaczone, nie chcę cię urazić... to był tylko taki żart.

- Z jego strony, owszem.

- Ale ty nie wysyłałeś mu żadnych pocztówek? Przyznaj się, proszę. Nie wstydź się, nie mamy na to czasu.

- Nie wstydzę się! Nie wysyłałem mu żadnych pocztówek. Tak, to był taki żart. Zresztą dla mnie coraz bardziej uciążliwy. Jeśli chcecie wiedzieć, ich widok na stoliku w holu trochę mnie już irytował. Pana Simpsona również. Jest tu gospodarzem. Zasugerował, żebym napisał do Bena i poprosił go, żeby nie przysyłał takich pocztówek. Mówił, że przez nie dom zyskuje złą reputację. A teraz, czy któryś z was może mi wreszcie wyjaśnić, co się dzieje!

Tym razem odpowiedział Szefer.

- Myśleliśmy, że ty nam pomożesz zrozumieć - rzekł grobowym głosem. - Ben Cavendish zniknął. Jego agenci w pewnym sensie też. Kilku z nich można zobaczyć w porannym wydaniu „Neues Deutschland”. Banda brytyjskich szpiegów ujęta na gorącym uczynku. Wieczorne gazety w Londynie opisują tę historię. Nie widziano go od trzech dni. To jest pan Smiley. Chce z tobą porozmawiać. Masz mu powiedzieć wszystko, co wiesz. Naprawdę wszystko. Zobaczymy się później.

Musiało mnie na chwilę zamroczyć, bo kiedy znów ujrzałem Smileya, stał na środku dywanu, przyglądając się ponuro spustoszeniom, które narobił w moim mieszkaniu wspólnie z Szeferem.

- Mam dom po drugiej stronie rzeki na Baywater Street - wyznał, jakby był to dla niego wielki ciężar. - Może powinniśmy tam zajrzeć, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Nie jest tam bardzo czysto, ale trochę lepiej niż tutaj.

Pojechaliśmy tam skromnym austinem Smileya. George prowadził tak wolno, że można by pomyśleć, iż wiezie inwalidę, ale być może tak właśnie mnie wówczas widział. Zapadał zmierzch. W wodzie odbijały się białe światła latarni z mostu Alberta. Ben, pomyślałem z rozpaczą, co się stało? Ben, co oni ci zrobili?

Baywater Street była zakorkowana, więc zaparkowaliśmy w bocznej uliczce. Parkowanie dla Smileya okazało się czymś tak skomplikowanym, jak wprowadzenie do portu wielkiego liniowca, ale w końcu manewry zostały uwieńczone sukcesem. Pamiętam, z jakim trudem dotrzymywałem mu kroku. Jego rozkołysane ramiona zdawały się na swój sposób ignorować moją obecność. Pamiętam, z jakim skupieniem przekręcał klucz w drzwiach i jego czujność, kiedy wchodził do przedpokoju. Jak gdyby nie czuł się bezpiecznie we własnym domu - i tak było, o czym dowiedziałem się później. Przed drzwiami stały butelki mleka z kilku dni, a w salonie talerz z nadjedzoną pieczenią z groszkiem. Talerz gramofonu obracał się bezgłośnie. Nie trzeba było geniusza, żeby stwierdzić, że opuścił mieszkanie w pośpiechu, prawdopodobnie wezwany wczoraj wieczorem przez Szefera, kiedy pałaszował kolację przy dźwiękach muzyki.

Oddalił się do kuchni w poszukiwaniu wody do whisky. Ruszyłem za nim. Coś w postaci Smileya sprawiało, że czułem się odpowiedzialny za jego samotność. Otwarte puszki leżały porzucone w różnych miejscach, a w zlewku piętrzyły się brudne talerze. Kiedy przygotowywał nam drinki,

wziąłem się za zmywanie, więc Smiley wyłowił zza drzwi ścierkę i zaczął wycierać i odkładać naczynia do szafek.

- Tworzyliście z Benem wspaniałą tandem, prawda? - zapytał.
- Zamieszkaliśmy w Sarratt w tej 1.nej kwaterze.
- Czyli co: kuchnia, dwie sypialnie, łazienka?
- Bez kuchni.
- Podczas szkolenia też dobierali was razem?
- Przez ostatni rok. Wybierało się partnera i z nim się ćwiczyło.
- Wybierało się? Czy o wyborze decydowali inni?
- Najpierw my dobieraliśmy się w pary, a wybór ten mógł być zaakceptowany lub nie.
- Zostaliście ze sobą na dobre i na złe? - Mniej więcej.
- Przez cały ostatni rok? Właściwie przez połowę kursu? Dzień i noc? Jak prawdziwe małżeństwo?

Nie rozumiałem, dlaczego wyciąga ze mnie rzeczy, które powinny być mu znane.

- I wszystko robiliście razem? - kontynuował. - Wybacz, ale minęło tyle czasu od mojego szkolenia. Wspólne zajęcia, wspólne posiłki, wspólna kwatera: właściwie całe życie.

- Razem chodziliśmy na zajęcia w grupach, treningi. Nie ma w tym nic dziwnego, skoro jesteśmy mniej więcej takiej samej budowy ciała. - Pomimo niepokojącej tendencyjności pytań, zacząłem odczuwać wielką potrzebę rozmowy z nim. - Cała reszta była jakby naturalną tego konsekwencją.

- Ach tak.

- Czasem nas rozdzielali, powiedzmy do jakiegoś specjalnego zadania lub jeśli uważali, że jeden partner za bardzo polega na drugim. Ale dopóki podział obowiązków był w miarę równy, trzymali nas razem.

- Nikt nie mógł was pokonać - przypomniał z aprobatą Smiley, biorąc do rąk następny mokry talerz. - Byliście najlepszą parą. Ty i Ben.

- Po prostu Ben był najlepszym studentem - powiedziałem. - Każdemu partnerowi zapewniłby wygraną.

- Tak, oczywiście. Wszyscy znamy takich ludzi. Znaliście się przed wstąpieniem do służby?

- Nie, ale mieliśmy podobne doświadczenia. Chodziliśmy do tej samej szkoły, lecz do różnych klas. Obaj studiowaliśmy w Oksfordzie, choć na różnych wydziałach. Obydwaj specjalizowaliśmy się w językach, ale mimo to nigdy się nie poznaliśmy. Krótko służył w piechocie. Ja też, tyle że w marynarce wojennej. I gdyby nie Cyrk, pewnie byśmy się nie poznali.

Biorąc do ręki delikatną porcelanową filiżankę, zajął do niej niepewnie, jakby czegoś w niej szukał.

- Wysłałbyś Bena do Berlina?

- No jasne. Czemu miałbym tego nie zrobić?

- No właśnie, czemu?

- Dzięki matce mówi doskonale po niemiecku. Jest inteligentny, pomysłowy. Ma wpływ na ludzi. Jego ojciec zasłużył się podczas wojny.

- Tak jak twoja matka, jeśli sobie dobrze przypominam. - Miał na myśli jej działalność na rzecz holenderskiego ruchu oporu. - A co on robił? Znaczący się, jego ojciec? - kontynuował, jakby naprawdę nie wiedział.

- Łamał szyfry - odpowiedziałem dumnie, jakbym to ja był jego synem. - Był doskonałym matematykiem. Geniuszem. Pomógł zorganizować system podwójnych agentów przeciw Niemcom, rekrutował wśród nich agentów i odsyłał ich do Niemiec. W porównaniu z nim moja matka była małą

plotką.

- Benowi to imponowało?

- Trudno się dziwić.

- Chodzi mi o to, czy mówił o tym - nalegał Smiley. - Często? Odniosłeś wrażenie, że było to dla niego coś ważnego?

- Mówił tylko, że chciałby mu dorównać. Mówił, że taki ojciec rekompensuje fakt, że matka Bena była Niemką.

- Mój Boże - powiedział Smiley ze zbolaną miną. - Biedak. To były jego słowa? Nie koloryzujesz?

- Oczywiście, że nie! Mówił, że z takim pochodzeniem w Anglii trzeba biec dwa razy szybciej, żeby dogonić innych.

Smiley wydawał się szczerze poruszony.

- Mój Boże - powtórzył. - Co za niesprawiedliwość. I myślisz, że on ma tyle sił?

I znów mnie zaskoczył. W naszym wieku wydaje się, że mamy nieograniczony zapas sił.

- Do czego? - zapytałem.

- No, nie wiem. Ile sił trzeba, żeby biec dwa razy szybciej niż wszyscy inni w Berlinie?

Podwójnie mocne nerwy? Wieczny stres. Dwa razy mocniejsza głowa do alkoholu, a co do kobiet, trzeba być twardym.

- Jestem pewien, że Ben spełnia wszystkie te wymagania - oświadczyłem lojalnie.

Smiley powiesił ścierkę na zagiętym gwoździu, który wyglądał na jego własny wkład w upiększenie kuchni.

- Prowadziliście rozmowy o polityce? - zapytał, kiedy przeszliśmy z drinkami do salonu.

- Nigdy.

- W takim razie możemy być go pewni - oznajmił, wydając z siebie cichy smutny śmiech. Ja też się zaśmiałem.

Przy pierwszej wizycie domy zawsze robią na mnie wrażenie męskich lub kobiecych, a mieszkanie Smileya miało niewątpliwie kobiecy charakter z tymi wszystkimi słodkimi zasłonami, lustrami o rzeźbionych ramach i innymi elementami kobiecej wrażliwości. Zastanawiałem się, z kim mieszka, a może nie mieszkał z nikim. Usiedliśmy.

- Czy znasz jakiś powód, żeby nie posyłać Bena do Berlina? - uśmiechnął się dobrotliwie znad okularów.

- Cóż, tylko taki, że sam chciałbym tam po „chać. Wszyscy marzą o przydziale do Berlina, to jak linia frontu.

- Ben wyparował - wyjaśnił Smiley, rozsiadając się wygodnie i przymykając oczy. - Nie chcę przed tobą nic ukrywać. Powiem ci wszystko, co wiemy. W ostatni czwartek pojechał do Berlina Wschodniego na spotkanie ze swym głównym agentem, Hansem Seidlem, możesz zobaczyć jego zdjęcie w „Neues Deutschland”. Było to pierwsze samodzielne spotkanie Seidla z Benem. Wielkie wydarzenie. Przełożonym Bena w berlińskiej placówce jest Haggarty. Znasz go? - Nie.

- Słyszałeś o nim? - Nie.

- Ben nigdy ci o nim nie wspominał?

- Nie. Już mówiłem. Nigdy nie słyszałem tego nazwiska.

- Wybacz. Czasem, w zależności od kontekstu, odpowiedź może się różnić, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Nie wiedziałem.

- Haggarty podlega w placówce berlińskiej tylko szefowi placówki. O tym też nie wiedziałeś?

- Nie.
- Czy Ben ma stałą dziewczynę?
- Nic o tym nie wiem.
- A dorywco?
- Wystarczyło, że poszedł na zabawę, a zaraz lgnęły do niego jak pszczoły do miodu.
- A po zabawie?
- Nie chwalił się. Nigdy tego nie robił. Nawet jeśli z nimi sypiał, nie mówił o tym. To nie jest tego typu mężczyzna.
- Podobno spędzaliście razem urlopy. Gdzie jeździliście?
- Do Twickenham. Do Lord's. Trochę łowiliśmy. Zwykle wyjeżdżaliśmy również z innymi ludźmi.
- Ach tak.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego przerażały mnie słowa Smileya. Może tak bardzo bałem się o Bena, że przerażało mnie wszystko. Odnosiłem coraz silniejsze wrażenie, że w oczach Smileya jestem czemuś winny, choć jeszcze nie ustaliliśmy, co to takiego. Wymieniał kolejne fakty, jakby dokonywał podsumowania zebranych dowodów w sprawie.

- Willis jest na górze - powiedział, jakby tłumaczył niezwykle zawiłą sprawę. - Willis jest szefem placówki berlińskiej, nadzoruje całość. Podlega mu Haggarty, bezpośredni przełożony Bena. Haggarty jest odpowiedzialny za codzienną obsługę siatki Seidla. Siatkę tę tworzy, a raczej tworzyło, dwunastu agentów, dziewięciu mężczyzn i trzy kobiety. Obecnie wszyscy są aresztowani. Nielegalna siatka tych rozmiarów, komunikująca się częściowo drogą radiową, a częściowo drogą tajnej korespondencji, wymaga co najmniej równie licznego zespołu bazowego, który by ją utrzymał. Nie mówiąc już o ocenie czy dystrybucji produktu.

- Wiem.

- Na pewno, ale pozwól mi dokończyć - nadal mówił w tym samym żółtym tempie. - Potem pomożesz mi wypełnić luki. Haggarty to silna osobowość. Pochodzi z Ulsteru. Kiedy nie jest na służbie, pije, bywa hałaśliwy i nieprzyjemny. Ale gdy pracuje, nic takiego nie ma miejsca. Jest sumiennym oficerem o fantastycznej pamięci. Na pewno Ben nigdy ci o nim nie wspominał?

- Powiedziałem już. Nie.

Nie chciałem, żeby zabrzmiało to aż tak dobitnie. Nigdy nie wiadomo, ile razy możesz zaprzeczać, zanim twoje zaprzeczenia zabrzmiały fałszywie, nawet w twoich własnych uszach. I oczywiście właśnie tę technikę stosował Smiley, żeby wydobyć ze mnie ukryte informacje.

- Tak, rzeczywiście już mówiłeś - zgodził się z charakterystyczną dla niego uprzejmością. - A ja słyszałem, że powiedziałeś „nie”. Byłem tylko ciekaw, czy odświeżyłem ci pamięć.

- Nie.

- Haggarty i Seidl byli przyjaciółmi - ciągnął dalej, jeszcze wolniej wypowiadając słowa, o ile to możliwe. - Na tyle, na ile pozwalało im zajęcie, którym się parali, przyjaźnili się. Seidl był kiedyś jeńcem wojennym w Anglii, a Haggarty w Niemczech. Kiedy Seidl pracował w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym jako robotnik rolny pod Cirencester w złagodzonych warunkach dla niemieckich jeńców, zakochał się w angielskiej dziewczynie z okolicy. Strażnicy w obozie zostawiali mu nawet rower przy głównej bramie z wojskowym płaszczem przewieszonym przez kierownicę, pod którym ukrywał jeniecki strój, i przymykali oko pod warunkiem, że wracał przed pobudką. Seidl nigdy nie zapomniał o swojej wdzięczności wobec Anglików. Kiedy urodziło się dziecko, na chrzest przyszli strażnicy Seidla i inni jeńcy. Wzruszające, co? W najwyższym stopniu brytyjskie. Ta historia niczego ci nie przypomina?

- Jakim cudem? Przecież mówi pan o niemieckim agencie!

- I to spalonym. Jednym z agentów Bena. Losy Haggarty'ego w niemieckiej niewoli nie były tak radosne. Mniejsza o to. W tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, kiedy Haggarty nominalnie pracował w Komendanturze Sojuszniczej, kiedyś zagadnął Seidla w barze w Hanowerze, zwerbował go i wysłał z powrotem do Niemiec Wschodnich, do Lipska, jego rodzinnego miasta. Od tamtej pory go prowadzi. Przyjaźń Haggarty'ego i Seidla przez ostatnich piętnaście lat stanowiła podstawę funkcjonowania placówki berlińskiej. W chwili aresztowania w zeszłym tygodniu, Seidl zajmował czwarte co do ważności stanowisko we wschodniemieckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Kiedyś był ich ambasadorem w Hawanie. Ale ty nigdy o nim nie słyszałeś? Nikt ci o nim nie wsoomniął? Ani Ben, ani nikt inny?

- Nie - odparłem najbardziej znużonym głosem, na jaki mnie było stać.

- Raz na miesiąc Haggarty robił wypad do Berlina Wschodniego i przesłuchiwał Seidla. W samochodzie, w bezpiecznym mieszkaniu, na ławce w parku, gdziekolwiek. Zwyczajna procedura. Po wzniesieniu muru przez jakiś czas zawiesił kontakty, ale później ostrożnie je wznowił. Musiał przekroczyć granicę w pojeździe władz okupacyjnych, powiedzmy w wojskowym jeepie, wprowadzić dublera, wyskoczyć w odpowiednim momencie i w ustalonym miejscu przesiąść się do samochodu. Wygląda to niebezpiecznie, ale w praktyce plan sprawdzał się. Gdy Haggarty był na urlopie lub chorował, spotkania nie odbywały się. Parę miesięcy temu w Centrali zdecydowano, że Haggarty powinien przedstawić Seidlowi swego następcę. Haggarty jest już w wieku emerytalnym, a Willis siedzi w Berlinie tak długo, że zapuścił korzenie, poza tym zna za dużo sekretów, żeby wałęsać się po tamtej stronie żelaznej kurtyny. Dlatego Ben znalazł się w Berlinie. Ben był świeży. Czyścusięki. Haggarty osobiście zapoznawał go ze sprawą, przypuszczam, że gruntownie. Jestem pewien, że nie był pobłażliwy. Haggarty nie jest pobłażliwym człowiekiem, a dwunastoosobowa siatka to skomplikowana sprawa. Kto pracuje dla kogo i dlaczego. Kto zna czyją tożsamość. Kontakty, szyfry, kurierzy, pseudonimy, symbole, łączność radiowa, skrytki na listy, atramenty, samochody, płace, dzieci, urodziny, żony, kochanki. Niemało, żeby wcisnąć na raz w jedną głowę.

- Wiem.

- Ben ci powiedział, tak?

Tym razem nie wybuchnąłem. Starąłem się trzymać nerwy na wodzy.

- Uczyliśmy się o tym na kursie. Ad infinitum - powiedziałem.

- Tak. No myślę. Problem polega na tym, że teoria nie zawsze pokrywa się z rzeczywistością, prawda? Kto jest jego najlepszym przyjacielem oprócz ciebie?

- Nie wiem. - Zaskoczył mnie nagłą zmianą tematu. - Chyba Jeremy.

- Jaki Jeremy?

- Galt. Z naszego kursu. - A kobiety?

- Mówiłem już. Nie miał nikogo szczególnego.

- Haggarty chciał zabrać Bena do Berlina Wschodniego i osobiście dokonać prezentacji - ciągnął dalej Smiley. - Ale Piąte Piętro nie zgodziło się. Próbowali odzwyczaić Haggarty'ego od spotkań z agentem, a poza tym wołanie wysyłać do czerwonych dwóch ludzi, skoro wystarczy jeden. Tak więc Haggarty zapoznał Bena z całą procedurą wypadu najpierw na mapie i Ben wyjechał do Berlina Wschodniego sam. W środę zrobił próbę generalną i przeprowadził rekonesans. W czwartek znów się tam wybrał, tym razem na spotkanie. Wjechał legalnie w samochodzie komendantury. O trzeciej po południu przekroczył punkt kontrolny „Charlie” i w umówionym miejscu wyskoczył z gazika. Jego dubler kręcił się po ulicach przez trzy godziny, wszystko zgodnie z planem. Ben wskoczył do samochodu dziesięć po szóstej, a za dziesięć siódma wjechał z powrotem do Berlina Zachodniego.

Jego powrót odnotowano w punkcie kontrolnym. Odwieziono go do mieszkania. Akcja przebiegła bez zarzutu. Willis i Haggarty czekali na niego w kwaterze placówki, ale on zadzwonił do nich z domu. Powiedział, że spotkanie odbyło się zgodnie z planem, ale że ma wysoką temperaturę i bóle brzucha. Zapytał, czy można odłożyć odprawę do rana. Bardzo niechętnie, ale zgodzili się. Od tamtej pory ślad po nim zaginął. Pomimo niedyspozycji miał pogodny głos, co przypisali nerwom. Czy widziałeś kiedyś, jak Ben choruje? - Nie.

- Powiedział, że ich wspólny przyjaciel jest w świetnej formie, że to prawdziwa osobowość i tak dalej. Nic więcej nie mógł powiedzieć przez zewnętrzny telefon. Jego łóżko było nietknięte, nie wziął ze sobą żadnych ubrań. Nie ma dowodów, że dzwonił z mieszkania, nie ma dowodów, że go porwano, i nie ma dowodów, że nie porwano. Jeśli miał zamiar zdezerterować, czemu nie został w Berlinie Wschodnim? Nie mogli go zwerbować i wysłać z powrotem do nas, bo w takim przypadku nie aresztowaliby jego siatki. A jeśli chcieli go porwać, dlaczego nie zrobili tego, kiedy przebywał po tamtej stronie muru? Nie ma żadnych konkretnych dowodów, że wyjechał z Berlina Zachodniego którymś z otwartych kanałów: pociągiem, autostradą, drogą powietrzną. Kontrola nie jest wystarczająco skuteczna, a on, jak mówisz, jest świetnie wyszkolony. Równie dobrze mógł zostać w Berlinie. Z drugiej strony myśleliśmy, że przyjdzie do ciebie. Nie rób takiej przerażonej miny. W końcu jesteś jego przyjacielem. Najlepszym przyjacielem. Najbliższą mu osobą. Młody Galt nie może się z tobą równać. Sam nam to powiedział. „Najlepszym kumpłem Bena był Ned. Jeśli Ben zwróci się do któregoś z nas, to na pewno będzie to Ned”. Obawiam się, że dowody raczej potwierdzają jego słowa.

- Jakie dowody?

Bez wymownego milczenia, bez dramatycznej zmiany tonu, bez żadnego ostrzeżenia: nieśmiały George Smiley był po prostu sobą.

- W jego mieszkaniu znaleziono list zaadresowany do ciebie - powiedział. - Bez daty, wrzucony do szuflady. Właściwie raczej napisany w pośpiechu bilecik niż list. Prawdopodobnie był pijany. Obawiam się, że to list miłosny. - Wręczył mi fotokopię do przeczytania, a sam zajął się przygotowaniem dla nas następnej porcji whisky.

Być może robię to, żeby odwrócić uwagę od skrępowania, jakie wówczas czułem. Ale zawsze kiedy odgrzebuję z pamięci tę scenę, wchodzę w położenie Smileya i zastanawiam się, jak musiało mu być ciężko w tej sytuacji.

Łatwo wyobrazić sobie, kogo miał przed sobą: ambitnego, wyszkolonego agenta, który usiłuje wyglądać na starszego, pali fajkę, marynarza, sprytnego potakiwacza, chłopaka, który nie może się doczekać wieku średniego, czyli młodego Neda z początku lat sześćdziesiątych.

Ale z drugiej strony istniały sprawy, które mogły drastycznie zmienić sposób, w jaki mnie postrzegał. Cyrk, choć nie wiedziałem o tym wtedy, znajdował się w ciężkiej sytuacji, prześladowany przez tajemnicze fatum. Aresztowanie agentów Bena, choć samo w sobie tragiczne, było jedynie ostatnim ogniwem w łańcuchu katastrof, które dotykały nas na całym świecie. W pomocnej Japonii rozplynęła się w powietrzu cała stacja podsłuchowa Cyrku z trzyosobowym personelem. Na Kaukazie w ciągu jednej nocy zlikwidowano nasze szlaki ewakuacji uchodźców. Straciliśmy szpiegowskie siatki w Węgrzech, w Czechosłowacji i w Bułgarii: wszystko w ciągu trzech miesięcy. A w Waszyngtonie amerykańscy „kuzyni” coraz głośniej wyrażali niezadowolenie z naszej działalności i grozili, że na dobre zerwą łączące nas specjalne stosunki.

W takim klimacie absurdalne teorie stają się chlebem powszednim. Pogłębia się bunkrowa mentalność. Niczego nie można zrzucić na karb przypadku, zbiegi okoliczności są wykluczone. Jeśli Cyrk odnosił sukcesy, to tylko dlatego, że pozwalali nam na nie nasi przeciwnicy. Powszechnie

rzucano oskarżenia. Według Amerykanów w Cyrku działał niejeden „kret”, ale cała gromada „kretów”, którzy wzajemnie sobie pomagali. I łączyła ich nie tylko szkodliwa wiara w Marksa, co i tak było już czymś wystarczająco potwornym, lecz ohydny angielski homoseksualizm.

Przeczytałem list Bena. Dwadzieścia linijek na jednej stronie, bez podpisu, na białym papierze służbowym bez znaków wodnych. Charakter pisma Bena, ale litery krzywe, żadnych wykreśleń. Więc tak, pewnie był pijany.

W liście nazwał mnie „najdroższym Nedom”. Ręce Bena dotykały mojej twarzy, przyciskał swoje usta do moich. Całował mnie w powieki, szyję i dzięki Bogu tam się zatrzymał.

List, pozbawiony przymiotników i jakiegokolwiek poetyczności, wydawał się tym bardziej szokujący. Tekst nie był ani wystylizowany, ani afektowany. Nie nawiązywał do stylu starożytnego, greckiego czy z okresu międzywojennego. Był to niczym nie skrępowany wyraz homoseksualnych pragnień człowieka, którego znałem jedynie jako dobrego kumpla.

Ale kiedy skończyłem lekturę, nie miałem wątpliwości, że list napisał Ben. Cierpiący Ben, wyznający uczucia, o których nigdy nie wiedziałem, ale które, kiedy czytałem o nich, uznałem za prawdziwe. Może ten fakt sprawił, że poczułem się winny: sam fakt, że stałem się przedmiotem pożądania innego mężczyzny, mimo iż nigdy świadomie go nie zachęcałem i nie odwzajemniałem tych pragnień. Na koniec napisał „przepraszam” i to wszystko. Nie uważałem, żeby list był niedokończony. Ben po prostu nie miał już nic do dodania.

- Nie wiedziałem - tylko to miałem do powiedzenia.

Oddałem list Smileyowi, a on schował go do kieszeni. Nie spuszczał wzroku z mojej twarzy.

- A może nie wiedziałeś, że wiesz - zasugerował.

- Nie wiedziałem - odparłem zapalczywie. - Co pan chce mi wmówić?

Musicie wiedzieć, jaką reputację miał Smiley, jaki szacunek jego nazwisko wywoływało u ludzi z mojego pokolenia. Czekał. Przez całe życie będę pamiętał siłę jego cierpliwości. Spadł nagły deszcz, hałaśliwie bębniąc w wąskich uliczkach. Nie zdziwiłbym się, gdyby Smiley powiedział mi, że ma władzę nad żywiołami.

- W Anglii nigdy nic nie wiadomo - stwierdziłem posępnie, żeby pozbierać myśli. Bóg raczy wiedzieć, co chciałem przez to powiedzieć. - Jack Arthur jest kawalerem, prawda? Nie ma gdzie się podziać wieczorami, więc pije z chłopakami aż do zamknięcia barów. Później pije jeszcze trochę. Nikt nie twierdzi, że Jack Arthur jest pedałem. Ale gdyby jutro aresztowali go w łóżku z dwoma kucharzami, powiedzielibyśmy, że od dawna go podejrzewamy. W każdym razie ja bym tak powiedział. Niepojęte. - Zatrzymałem się, szukając po omacku drogi i nie znalazłem jej. Wiedziałem, że jeśli będę się wypierał, może to być opacznie zrozumiane, ale i tak się wypierałem.

- A gdzie znaleziono list? - zapytałem ostro, próbując przejąć inicjatywę.

- W szufladzie biurka. Chyba już mówiłem.

- W pustej szufladzie?

- Co to za różnica?

- Ogromna! Co innego, jeśli został wciśnięty między inne papiery, a co innego, jeśli włożono go tam specjalnie, żebyście mogli go znaleźć. Może napisał ten list pod przymusem.

- Na pewno pod przymusem - zgodził się Smiley. - Tylko czego? Wiedziałeś, że czuł się aż tak samotny? W jego życiu nie było chyba nikogo oprócz ciebie.

- W takim razie dlaczego nie było to tak oczywiste dla Szefa? - zapytałem, podnosząc dumnie głowę. - Mój Boże, zanim nas przyjęto, zostaliśmy nieźle przemaglowani. Węszyli wśród przyjaciół, rodziny, nauczycieli i wykładowców. Wiedzą o Benie dużo więcej niż ja.

- Może po prostu przyjmujemy, że Szef tym razem pokpił sprawę. Jest tylko człowiekiem, żyjemy

w Anglii, każdy może się pomylić. Wróćmy do Bena, który zniknął. Bena, który do ciebie napisał. Oprócz ciebie nie miał nikogo bliskiego. W każdym razie o nikim takim nie słyszałeś. Mogłeś nie wiedzieć o innych, ale to nie twoja wina. Z tego, co ci wiadomo, nikogo takiego nie było. To ustaliliśmy, prawda? - Tak!

- Doskonale, pomówmy więc o tym, co ci wiadomo. Co ty na to? Udało mu się jakoś sprowadzić mnie na ziemię i rozmawialiśmy aż do

szarego świtu. Nasza rozmowa trwała jeszcze długo po tym, jak przestało padać i odezwały się szpaki. Właściwie to ja mówiłem, a Smiley słuchał: tak jak tylko on potrafi, z na wpół przymkniętymi powiekami i cofniętą brodą. Wydawało mi się, że mówię mu wszystko. Może on też tak myślał, chociaż wątpię, bo dużo lepiej ode mnie rozumiał mechanizmy samoobrony, które skłaniają człowieka do okłamywania samego siebie. Zadzwoił telefon. Wysłuchał wiadomości, wymamrotał „dziękuję” i odłożył słuchawkę.

- Bena jeszcze nie znaleziono i nie ma żadnych nowych śladów - powiedział. - Nadal jesteś dla nas jedynym tropem. - O ile pamiętam, nie robił żadnych notatek i do dziś nie wiem, czy nie nagrywał naszej rozmowy. Wątpię. Nie cierpiał urządzeń mechanicznych, a poza tym miał dużo lepszą od nich pamięć.

Mówiłem o Benie, ale jednocześnie mówiłem o sobie, i na to właśnie liczył Smiley: że mówiąc o sobie, wytłumaczę postępowanie Bena. Znow nawiązałem do podobieństw naszych doświadczeń życiowych. Wyznałem, jak bardzo zazdrościłem mu ojca bohatera - ja, który nie pamiętałem własnego ojca. Nie robiłem tajemnicy z podeksycytowania, jakie odczuwaliśmy z Benem, odkrywając, jak wiele nas łączy. Znow podkreśliłem, że nie wiem nic o kobietach w życiu Bena, nie licząc jego nieżyjącej matki. I wierzyłem w to, tego jestem pewien.

Wyznałem Smileyowi, że w dzieciństwie zastanawiałem się czasem, czy gdzieś na świecie nie żyje jakaś inna wersja mnie, jakiś tajemniczy bliźniak, który ma takie same zabawki, ubrania i myśli, a nawet takich samych rodziców. Może przeczytałem o tym jakąś książkę. Byłem jedynakiem. Tak jak Ben. Powiedziałem Smileyowi o tym wszystkim, ponieważ pragnąłem przekazywać mu myśli i wspomnienia bezpośrednio - od razu, gdy przychodziły mi do głowy, nawet jeśli miały mnie zdyskredytować w jego oczach. Wiem tylko, że świadomie nic przed nim nie ukrywałem, choćby coś mogło mnie w jego oczach skompromitować. Smiley w jakiś sposób przekonał mnie, że jestem winien Benowi tę szczerość. Ale co zrobiłem podświadomie - tego nie wiem. Kto może wiedzieć, co ukrywa człowiek, nawet przed samym sobą, kiedy mówi prawdę, od której zależy jego przyszłość?

Opowiedziałem mu o pierwszym spotkaniu z Benem w ośrodku szkoleniowym Cyrku w Lambeth, gdzie wezwano świeżo wyselekcjonowanych kandydatów. Do tego czasu żaden z nas nie spotkał innych nowicjuszy. Nie znaleźliśmy też właściwie Cyrku, nie licząc oficera rekrutującego, selekcyonerów i zespołu lekarskiego. Niektórzy z nas mieli bardzo niejasne pojęcie o organizacji, do której wstępowaliśmy. Wreszcie mieliśmy zostać oświeceni, poznać kolegów oraz czekające nas zadania i zbieraliśmy się w poczekalni jak postaci z powieści o Legii Cudzoziemskiej. Każdy z nas miał ukryte oczekiwania i powody, dla których tam się znalazł. Każdy miał ze sobą torbę z tą samą liczbą koszul i bielizny, z wypisanym na nich indyjskim atramentem numerem osobistym, zgodnie z otrzymanymi listownie poleceniami. Ja numer dziewięć, a Ben dziesięć. Kiedy wkroczyłem do poczekalni, zastałem tam dwóch nowicjuszy: Bena i krępego niskiego Szkota imieniem Jimmy. Ukłoniłem się Jimmy'emu, natomiast z Benem natychmiast się rozpoznaliśmy - nie tyle ze szkoły czy z uniwersytetu, ale jako ludzie, którzy zauważają między sobą podobieństwo wyglądu lub charakteru.

- Wchodzi trzeci morderca - powiedział, ściskając mi dłoń. Była to naprawdę najmniej odpowiednia chwila na cytaty z Szekspira. - Ja jestem Ben, a to Jimmy. Podobno nie mamy już

nazwisk. Jimmy zostawił swoje w Aberdeen.

Więc uściśnąłem też dłoń Jimmy'ego i usiadłem na ławce obok Bena, czekając na następnego delikwenta.

- Dwadzieścia procent szans, że będzie miał wąsy, dziesięć procent, że brodę i trzy procent, że zielone skarpetki - zgadywał Ben.

- I pięćdziesiąt procent szans, że płaszcz - dodałem.

Opowiedziałem Smileyowi o szkoleniach w nieznanym miasteczku, kiedy musieliśmy wymyślić alibi, spotkać się z łącznikiem i uniknąć aresztowania i przesłuchania. Usiłowałem mu wyjaśnić, jak te wyprawy pogłębiały naszą przyjaźń, podobnie jak pierwszy wspólny skok ze spadochronem, nocne wędrówki z kompasem przez szkockie góry, poszukiwania skrytek na listy w zapomnianych przez Boga i ludzi dziurach czy rejs łodzią podwodną i desant na plaży.

Wspominałem też, że nasi przełożeni czasem robili zawołaną uwagę na temat ojca Bena, żeby podkreślić, jak bardzo są dumni, że szkolą jego syna. Opowiedziałem o naszych wspólnych weekendach, o wizytach w domu mojej matki w Gloucester i w domu jego ojca w Shropshire. I o tym, jak żartowaliśmy sobie z pomysłu, że moglibyśmy ich wyswatać, gdyż oboje owdowieli. Ale szansę na to były znikome, bowiem moja matka, w której żyłach płynęła krew angielska i holenderska, miała całą masę wesołych sióstr, siostrzeńców i siostrzenic, wyglądających jak postaci z płócien Breughela, natomiast ojciec Bena był uczonym samotnikiem, którego pasjonowała tylko muzyka Bacha.

- I Ben ubóstwia go - powiedział Smiley, drażąc ten sam temat.

- Tak. Uwielbiał też swoją matkę, ale ona nie żyje. Ojciec stał się dla niego kimś w rodzaju idola.

Zauważyłem ze wstydem, że celowo unikam słowa „kochać”, ponieważ Ben użył go, opisując swe uczucia do mnie.

Powiedziałem mu o problemach Bena z alkoholem, choć wydaje mi się, że Smiley o nich wiedział. Ben normalnie pił mało, a często w ogóle nic, póki nie nadchodził taki wieczór, powiedzmy w czwartek, kiedy w perspektywie pojawiał się weekend, że pił bez umiaru: whisky, wódkę, cokolwiek, raz za zdrowie Bena, raz za zdrowie Arno. Później chwiejnym krokiem szedł do łóżka, niemy i nieszkodliwy. A następnego dnia wyglądał, jakby wrócił właśnie z dwutygodniowego urlopu.

- I naprawdę nie było nikogo oprócz ciebie? - zadumał się Smiley. - Biedaku, na ciebie spadł cały ciężar uczucia.

Wspominałem, zastanawiałem się, mówiłem mu wszystko, co przychodziło mi do głowy, ale wiedziałem jedno: nadal czekał, że powiem mu coś, co przed nim zatajam. Gdybyśmy tylko mogli ustalić, co to jest. Czy zdawałem sobie sprawę, że coś przed nim ukrywam? Mogę wam powiedzieć to samo, co później powiedziałem sobie: nie wiedziałem, że wiedziałem. Musiały jeszcze upłynąć dwadzieścia cztery godziny szperania w pokładach pamięci, żeby wydobyć ten sekret z ciemnego zakamarka. O czwartej nad ranem kazał mi jechać do domu i przespać się. Miałem być osiągalny pod telefonem i każdorazowo meldować Szefowi, gdzie się wybieram.

- Rzecz jasna będą obserwować twoje mieszkanie - ostrzegł mnie, kiedy czekaliśmy na taksówkę. - Nie bierz tego do siebie, dobrze? Jeśli wyobrazisz sobie, że się ukrywasz, zrozumiesz, że nie ma zbyt wielu portów, do których mógłbyś zawinąć podczas sztormu. Twoje mieszkanie może zajmować wysoką pozycję na liście kryjówek Bena. Zakładając, że oprócz ojca nie ma nikogo. Ale do niego by nie wrócił, prawda? Wstydziliby się. Wybrałby ciebie. Dlatego obserwują twoje mieszkanie. To naturalne.

- Rozumiem - powiedziałem i ogarnęła mnie kolejna fala obrzydzenia.

- W końcu wśród rówieśników nie ma bliższej osoby.

- W porządku. Rozumiem - powtórzyłem.

- Z drugiej strony oczywiście nie jest głupcem i wie, że tak myślimy. Pewnie nie będzie na tyle naiwny, by wyobrażać sobie, że go u siebie ukryjesz i nie zawiadomisz nas. Nie zrobiłbyś tego, prawda?

- Nie mógłbym.

- I jeśli ma trochę oleju w głowie, będzie o tym pamiętał i wykreśli cię ze swojej listy. Ale przypuszczam, że mógłby wpaść na chwilę po radę albo pomoc. Albo na drinka. Dość nieprawdopodobne, ale nie możemy wykluczyć takiej ewentualności. Jesteś jego najlepszym przyjacielem. Nikt nie może się z tobą równać.

Bardzo chciałem, żeby przestał tak mówić. Do tej pory z największą delikatnością unikał uwag na temat miłości Bena. Nagle zaczął sprawiać wrażenie, jakby zależało mu na otwarciu rany.

- Oczywiście mógł napisać do innych osób - spekulował. - Mężczyzn lub kobiet. Niewykluczone. Czasem ludzie są tak zdesperowani, że wyznają miłość komu popadnie. Na przykład w sytuacji, gdy ktoś umiera lub planuje jakiś rozpaczliwy krok. Różnica między nimi a tobą polegałaby na tym, że do nich listy wysłał. Nie możemy jednak pytać wszystkich znajomych Bena, czy dostali od niego ostatnio miłosny list: to nie byłoby rozsądne. Poza tym, od kogo należałoby zacząć? Oto pytanie. Trzeba postawić się w położeniu Bena.

Czy celowo zasiał we mnie ziarno? Później byłem przekonany, że tak. Pamiętam jego zmartwione, przenikliwe spojrzenie, kiedy odprowadzał mnie do taksówki. Pamiętam, jak obejrzałem się za siebie, gdy samochód zakręcił: zobaczyłem jego przysadzistą sylwetkę na środku ulicy. Patrzył za mną, jakby chciał mi wbić do głowy ostatnie słowa: „Trzeba postawić się w położeniu Bena”.

Byłem jak dotknięty amokiem. Dzień rozpoczął się wcześniej rano na South Audley Street i trwał nieprzerwanie z krótką przerwą na sen do incydentu z małpiszonem Pandy i listem Bena aż do teraz. Kawa u Smileya i przeświadczenie, że stałem się ofiarą jakiegoś straszliwego zbiegu okoliczności, zrobiły swoje. Przysięgam, że imię Stefanie jeszcze nie pojawiło się w mojej głowie, w żadnej jej części. Stefanie póki co nie istniała. Jestem przekonany, że nigdy nie zapomniałem o nikim tak zupełnie.

Po powrocie do mieszkania napady obrzydzenia na wspomnienie o skłonnościach Bena ustąpiły miejsca trosce o jego bezpieczeństwo. W salonie wpatrywałem się dramatycznie w sofę, na którą Ben tyle razy padał po całodniowych ćwiczeniach w Lambeth: „Chyba tu klapnę, jeśli nie masz nic przeciwko temu, staruszk. Weselej niż w domu. Arno może spać w domu. Ben śpi tutaj”. W kuchni położyłem dłoń na starym żelaznym piecu, gdzie kiedyś smażyłem mu o północy jajecznicę: „Boże Wszechmogący, Ned, czy to piec? Wygląda jak armata z czasów wojny krymskiej!”.

Pamiętałem jego głos, którym długo po zgaszeniu światła przez cienką szparę w drzwiach raczył mnie jednym zwariowanym pomysłem za drugim: nasze rozmowy, nasz prywatny żargon.

- Wiesz, co powinniśmy zrobić z bratem Naserem?

- Nie, Ben.

- Dać mu Izrael. Wiesz, co powinniśmy zrobić z Żydami?

- Nie, Ben.

- Dać im Egipt.

- Dlaczego?

- Ludzi często zadowala tylko to, co do nich nie należy. Znasz historię o skorpionie i żabie, które przeprawiały się przez Nil?

Zauważyłem ze wstydem, że celowo unikam słowa „kochać”, ponieważ Ben użył go, opisując swe uczucia do mnie.

Powiedziałem mu o problemach Bena z alkoholem, choć wydaje mi się, że Smiley o nich wiedział. Ben normalnie pił mało, a często w ogóle nic, póki nie nadchodził taki wieczór, powiedzmy w czwartek, kiedy w perspektywie pojawiał się weekend, że pił bez umiaru: whisky, wódkę, cokolwiek, raz za zdrowie Bena, raz za zdrowie Arno. Później chwiejnym krokiem szedł do łóżka, niemy i nieszkodliwy. A następnego dnia wyglądał, jakby wrócił właśnie z dwutygodniowego urlopu.

- I naprawdę nie było nikogo oprócz ciebie? - zadumał się Smiley. - Biedaku, na ciebie spadł cały ciężar uczucia.

Wspominałem, zastanawiałem się, mówiłem mu wszystko, co przychodziło mi do głowy, ale wiedziałem jedno: nadal czekał, że powiem mu coś, co przed nim zatajam. Gdybyśmy tylko mogli ustalić, co to jest. Czy zdawałem sobie sprawę, że coś przed nim ukrywam? Mogę wam powiedzieć to samo, co później powiedziałem sobie: nie wiedziałem, że wiedziałem. Musiały jeszcze upłynąć dwadzieścia cztery godziny szperania w pokładach pamięci, żeby wydobyć ten sekret z ciemnego zakamarka. O czwartej nad ranem kazał mi jechać do domu i przespać się. Miałem być osiągalny pod telefonem i każdorazowo meldować Szefowi, gdzie się wybieram.

- Rzecz jasna będą obserwować twoje mieszkanie - ostrzegł mnie, kiedy czekaliśmy na taksówkę. - Nie bierz tego do siebie, dobrze? Jeśli wyobrazisz sobie, że się ukrywasz, zrozumiesz, że nie ma zbyt wielu portów, do których mógłbyś zawinąć podczas sztormu. Twoje mieszkanie może zajmować wysoką pozycję na liście kryjówek Bena. Zakładając, że oprócz ojca nie ma nikogo. Ale do niego by nie wrócił, prawda? Wstydziłby się. Wybrałby ciebie. Dlatego obserwują twoje mieszkanie. To naturalne.

- Rozumiem - powiedziałem i ogarnęła mnie kolejna fala obrzydzenia.

- W końcu wśród rówieśników nie ma bliższej osoby.

- W porządku. Rozumiem - powtórzyłem.

- Z drugiej strony oczywiście nie jest głupcem i wie, że tak myślimy. Pewnie nie będzie na tyle naiwny, by wyobrażać sobie, że go u siebie ukryjesz i nie zawiadomisz nas. Nie zrobiłbyś tego, prawda?

- Nie mógłbym.

- I jeśli ma trochę oleju w głowie, będzie o tym pamiętał i wykreśli cię ze swojej listy. Ale przypuszczam, że mógłby wpaść na chwilę po radę albo pomoc. Albo na drinka. Dość nieprawdopodobne, ale nie możemy wykluczyć takiej ewentualności. Jesteś jego najlepszym przyjacielem. Nikt nie może się z tobą równać.

Bardzo chciałem, żeby przestał tak mówić. Do tej pory z największą delikatnością unikał uwag na temat miłości Bena. Nagle zaczął sprawiać wrażenie, jakby zależało mu na otwarciu rany.

- Oczywiście mógł napisać do innych osób - spekulował. - Mężczyzn lub kobiet. Niewykluczone. Czasem ludzie są tak zdesperowani, że wyznają miłość komu popadnie. Na przykład w sytuacji, gdy ktoś umiera lub planuje jakiś rozpaczliwy krok. Różnica między nimi a tobą polegałaby na tym, że do nich listy wysłał. Nie możemy jednak pytać wszystkich znajomych Bena, czy dostali od niego ostatnio miłosny list: to nie byłoby rozsądne. Poza tym, od kogo należałoby zacząć? Oto pytanie. Trzeba postawić się w położeniu Bena.

Czy celowo zasiał we mnie ziarno? Później byłem przekonany, że tak. Pamiętam jego zmartwione, przenikliwe spojrzenie, kiedy odprowadzał mnie do taksówki. Pamiętam, jak obejrzałem

się za siebie, gdy samochód zakręcił: zobaczyłem jego przysadzistą sylwetkę na środku ulicy. Patrzył za mną, jakby chciał mi wbić do głowy ostatnie słowa: „Trzeba postawić się w położeniu Bena”.

Byłem jak dotknięty amokiem. Dzień rozpoczął się wcześniej rano na South Audley Street i trwał nieprzerwanie z krótką przerwą na sen do incydentu z małpiszonem Pandy i listem Bena aż do teraz. Kawa u Smileya i przeswiadczenie, że stałem się ofiarą jakiegoś straszliwego zbiegu okoliczności, zrobiły swoje. Przysięgam, że imię Stefanie jeszcze nie pojawiło się w mojej głowie, w żadnej jej części. Stefanie póki co nie istniała. Jestem przekonany, że nigdy nie zapomniałem o nikim tak zupełnie.

Po powrocie do mieszkania napady obrzydzenia na wspomnienie o skłonnościach Bena ustąpiły miejsca trosce o jego bezpieczeństwo. W salonie wpatrywałem się dramatycznie w sofę, na którą Ben tyle razy padał po całodniowych ćwiczeniach w Lambeth: „Chyba tu klapnę, jeśli nie masz nic przeciwko temu, staruszk. Weselej niż w domu. Arno może spać w domu. Ben śpi tutaj”. W kuchni położyłem dłoń na starym żelaznym piecu, gdzie kiedyś smażyłem mu o północy jajecznicę: „Boże Wszechmogący, Ned, czy to piec? Wygląda jak armata z czasów wojny krymskiej!”.

Pamiętałem jego głos, którym długo po zgaszeniu światła przez cienką szparę w drzwiach raczył mnie jednym zwariowanym pomysłem za drugim: nasze rozmowy, nasz prywatny żargon.

- Wiesz, co powinniśmy zrobić z bratem Naserem?

- Nie, Ben.

- Dać mu Izrael. Wiesz, co powinniśmy zrobić z Żydami?

- Nie, Ben.

- Dać im Egipt.

- Dlaczego?

- Ludzi często zadowala tylko to, co do nich nie należy. Znasz historię o skorpionie i żabie, które przeprawiały się przez Nil?

- Znam. A teraz zamknij się i śpimy.

Ale i tak opowiadał mi tę historię, jakby relacjonował zadanie z Sarratt. Skorpion jako agent penetrujący musiał skontaktować się ze swoim zespołem na drugim brzegu Nilu. Żaba jako podwójna agentka udała, że kupuje spreparowane alibi skorpiona i wydaje go swym przełożonym.

A rano już go nie było, zostawiał tylko parę słów: „Do zobaczenia w poprawczaku” - tak nazywał Sarratt. - „Pozdrowienia, Ben”.

Czy rozmawialiśmy wówczas o Stefanie? Nie. O Stefanie rozmawialiśmy będąc w ruchu, przelotnie, nie przez odgradzającą nas ścianę. Stefanie była zjawą, która nawiedzała nas w biegu, tajemnicą zbyt rozkoszną, żeby ją rozwikłać. Dlatego być może o niej nie pomyślałem. Nie od razu. Nie świadomie. Nie nastąpiła dramatyczna chwila, kiedy rozświetliło mi się w głowie i wyskoczyłem z wanny z okrzykiem: „Stefanie!” Nie stało się w ten sposób z przyczyn, które postaram się wyjaśnić: gdzieś na ziemi niczyjej między wyznaniem a instynktem samozachowawczym Stefanie unosiła się niczym mityczny stwór, który istnieje tylko wtedy, kiedy się go wywoła. O ile mnie pamięć nie myli, jej wspomnienie po raz pierwszy wróciło, kiedy sprzątałem bałagan zostawiony przez Szefa. Natknąłem się na zesłoroczny dziennik i zacząłem go kartkować, dziwiąc się, ile wydarzeń z naszego życia umyka pamięci. Przy czerwcu znalazłem linię przekątną, która wiodła przez dwa środkowe tygodnie, a przy niej starannie wykaligrafowaną cyfrę osiem. Oznaczała obóz numer osiem w Szkocji, gdzie przechodziliśmy szkolenie paramilitarne. I zacząłem myśleć, a raczej tylko wyczuwać - tak, oczywiście, Stefanie.

I wtedy, nadal bez żadnych archimedesowskich olśnień, przeżyłem na nowo naszą nocną podróż przez skąpane w blasku księżyca góry: Ben siedział za kierownicą sportowego kabrioletu, a ja obok

niego paplałem bez umiaru, żeby nie zasnął, ponieważ obydwoj byliśmy skonani, choć szczęśliwi po tygodniu udawania, że organizujemy w albańskich górach armię partyzancką. Czerwcowy wiatr owiewał nam twarze.

Pozostali studenci wracali do Londynu autokarem z Sarratt. Ale my z Benem mieliśmy sportowy wóz Stefanie, ponieważ Stefi była świetnym kompanem, Steff była bezinteresowna, Steff przejechała aż z Oban do Glasgow, żeby tylko Ben mógł od niej na tydzień pożyczyć samochód i odesłać go po powrocie do Sarratt. I w ten oto sposób Stefanie wróciła do mnie dokładnie tak samo, jak pojawiła się w samochodzie: amorficznie, niczym przyjemnie drażniąca zmysły chimera, wspólna kobieta, kobieta Bena.

- Więc kim lub czym jest Stefanie, a może jak zwykle usłyszę tylko wymowne milczenie? - zapytałem go, otwierając schowek na rękawiczki, na próżno poszukując jej śladów.

Przez chwilę panowało wymowne milczenie.

- Stefanie jest światłem dla grzeszników i wzorem dla cnotliwych - odpowiedział poważnie. I dodał z dezaprobatą: - Steff pochodzi ze strony niemieckiej mojej rodziny. - Sam z niej pochodził, co lubił podkreślać, kiedy był w wyjątkowo zgryźliwym humorze. Steff pochodziła ze strony Arno, mówił.

- Ładna jest? - zapytałem.

- Nie bądź wulgarny. - Piękna?

- Już lepiej, ale jeszcze nie trafiłeś.

- No więc jaka jest?

- Jest doskonałością. Jest świetlista. Jest niezrównana. - Aż tak piękna?

- Nie, ty prostaku. Cudowna. Sans pareil. Inteligencja, o której Szeff mógłby tylko marzyć.

- A poza tym, kim jest dla ciebie? Oprócz tego, że jest Niemką i właścicielką tego samochodu?

- Jest osiemnastą kuzynką mojej matki. Przeprowadzała się z miejsca na miejsce kilkanaście razy.

Po wojnie zamieszkała u nas w Shropshire, razem się wychowywaliśmy.

- Jest w twoim wieku?

- Jeśli można zmierzyć wieczność, tak.

- Jakby twoją przyszywaną siostrą?

- Była. Przez kilka lat. Razem szaleliśmy po polach, o świcie zbieraliśmy grzyby, razem robiliśmy siusiu. Później wysłano mnie do szkoły z internatem, a ona wróciła do Monachium, żeby znów stać się Niemką. Koniec dziecięcej idylli i z powrotem do taty i Anglii.

Nigdy tak bezpośrednio nie mówił o żadnej kobiecie ani o sobie.

- A teraz?

Myślałem, że znów się wyłączył, ale wreszcie odpowiedział:

- Teraz już nie jest tak wesoło. Studiowała w Akademii Sztuk Pięknych, związała się z szalonym malarzem i zamieszkała w jego domu na jednej z wysp Hebrydów u wybrzeży Szkocji.

- Dlaczego teraz nie jest już tak wesoło? Czyżby jej malarz cię nie lubił?

- Nikogo nie lubi. Zastrzelił się. Nie wiadomo dlaczego. Zostawił liścik władzom gminy, przepraszając za zamieszanie. Do Steff nie napisał. Żyli bez ślubu, co jeszcze pogorszyło sprawę.

- A teraz? - ponowiłem pytanie.

- Wciąż tam mieszka.

- Na wyspie? - Tak.

- W domu malarza? - Tak.

- Sama?

- Zazwyczaj.

- To znaczy, że się z nią spotykasz?
- Owszem, spotykam się. Więc także do niej jeżdżę. Tak, jeżdżę się z nią spotykać.
- To coś poważnego?
- Wszystko, co ma związek ze Steff, jest niezmiernie poważne.
- Co robi, kiedy ciebie nie ma?

- Przypuszczam, że to samo, co robi, kiedy jestem. Maluje, rozmawia z ptaszkami, czyta, gra, czyta, gra, maluje, myśli, czyta, pożycza mi samochód. Chcesz jeszcze coś o niej wiedzieć?

Przez chwilę byliśmy dla siebie obcy, aż wreszcie Ben uległ.

- Wiesz co, Ned? Ożeń się z nią.

- Ze Stefanie?

- A z kim, ty idioto? To cholernie dobry pomysł, jeśli się nad tym zastanowisz. Proponuję, żebyście to razem omówili. Ty poślubisz Steff, Steff wyjdzie za ciebie, a ja zamieszkać razem z wami i będę łowił ryby w jeziorze.

Moje następne pytanie wynikało z potwornej, karygodnej niewiedzy.

- Czemu sam się z nią nie ożenisz? - zapytałem.

Czy dopiero teraz, siedząc w swoim mieszkaniu i patrząc na wschód słońca powoli odbijający się na tapecie, poznałem odpowiedź? Wpatrując się w strony dziennika z czerwca ubiegłego roku i wspominając z przerażeniem jego straszny list?

A może milczenie Bena, kiedy pędziliśmy przez szkocką noc, dało mi odpowiedź już wtedy? Czy wówczas wiedziałem, że w ten sposób Ben oznajmia mi, że nigdy nie ożeni się z żadną kobietą?

I czy z tego powodu wyrzuciłem Stefanie ze świadomości, zakopując ją tak głęboko, że nawet zręczne zabiegi Smileya nie zdołały jej ekshumować?

Czy patrzyłem na Bena, kiedy zadawałem mu to nieszczęsne pytanie? Czy patrzyłem na niego, kiedy odmawiał mi odpowiedzi? A może celowo w ogóle na niego nie patrzyłem? Tak przyzwyczailem się do jego milczenia, że mogłem nieświadomie ukarać go, zagłębiając się we własne myśli.

Wiedziałem jedno: Ben nigdy nie odpowiedział na pytanie i żaden z nas już nigdy nie wspomniał o Stefanie.

Stefanie, jego wymarzona kobieta, myślałem, przeglądając dziennik. Na wyspie. Kochała go. Lecz powinna wyjść za mnie.

Była naznaczona przez śmierć, czym ulubieni bohaterowie Bena zawsze się charakteryzowali.

Wieczna Stefanie, światło dla grzeszników, niezrównana, niemiecka Stefanie, jego wzór i przyszywana siostra - a być może również matka - która macha do niego z wieży, proponując schronienie przed ojcem.

Trzeba postawić się w położeniu Bena, powiedział Smiley.

Ale nawet wtedy, z otwartym dziennikiem w rękach, nie pozwoliłem sobie na nieuchwytny moment olśnienia. Kiełkował we mnie pomysł. Powoli stawał się możliwością. I znów bardzo powoli, kiedy borykałem się ze stanem fizycznego i umysłowego osaczenia, zamienił się w przekonanie i wreszcie w cel.

W końcu nadszedł ranek. Odkurzyłem mieszkanie, posprzątałem, wyfroterowałem podłogę. Myślałem o swoim gniewie. Beznamiętnie. Otworzyłem biurko, wyciągnąłem zbezczeszczone prywatne papiery i spaliłem wszystko, co zostało nieodwracalnie zbrukane rękami Smileya i Szefa: listy od Mabel, namowy byłego nauczyciela, żebym zajął się „czymś trochę ciekawszym” od pracy badawczej w Ministerstwie Obrony.

Robiłem to wszystko machinalnie, gdy tymczasem moje myśli mocowały się z poprawnym,

moralnym i porządnym trybem postępowania.

Mój przyjaciel Ben.

Zaszczuty Ben.

Ben znoszący katusze i Bóg wie co jeszcze.

Stefanie.

Wykąpałem się i położyłem na łóżku, obserwując lustro nad komodą, w którym widać było ulicę. Zauważyłem paru mężczyzn, pewnie ludzi Monty'ego. Ubrani w kombinezony szperali przy skrzynce odgałęznej. Smiley powiedział, że bym nie brał tego do siebie. W końcu chodziło im tylko o to, żeby schwycić Bena.

O dziesiątej tego samego długiego ranka stanąłem przy oknie wychodzącym na zaśmiecone podwórze z impregnowaną kreozotem budką, która kiedyś służyła za wychodek, i z drewnianą furtką prowadzącą na brudną ulicę. Ulica była pusta. A więc Monty nie jest doskonały.

Hebrydy, powiedział Ben. Domek malarza na wyspie.

Ale której wyspie? I jak nazywa się Stefanie? Mogłem tylko zgadywać, że skoro pochodzi z niemieckiego pnia rodziny Bena i mieszkała w Monachium, a niemieccy krewni Bena należeli do arystokracji, prawdopodobnie miała jakiś tytuł.

Zadzwoiłem do Szefa. Mogłem zadzwonić do Smileya, ale czułem się bezpieczniej, okłamując Szefa. Rozpoznał mój głos, zanim jeszcze wyłuszczyłem mu sprawę.

- Odezwał się? - zapytał.

- Nie. Chciałbym wyjść na godzinę. Mogę?

- Dokąd?

- Potrzebuję paru rzeczy. Trochę jedzenia. Coś do czytania. Chciałem wyskoczyć do biblioteki.

Szef słynął z tego, że często zapadał w pełne dezaprobaty milczenie.

- Przed jedenastą masz być z powrotem. Od razu do mnie zadzwoń. Zadowolony, że zachowałem zimną krew, wyszedłem frontowymi

drzwiami. Kupiłem gazetę i chleb. Korzystając z wystawowych szyb, sprawdzałem, co się dzieje za mną. Nikt mnie nie śledził, byłem tego pewien. Udałem się do biblioteki publicznej i z księgozbioru podręcznego wyciągnąłem stary egzemplarz „Who's Who” oraz wystrzępiony tom Almanachu Gotajskiego. Nie miałem czasu, żeby zastanawiać się, kto u diabła w Battersea tak bardzo zużył Almanach Gotajski. Najpierw zajrzałem do „Who's Who” i znalazłem ojca Bena, który zdobył tytuł szlachecki i całą kolekcję odznaczeń: „W 1936 poślubił hrabinę Ilse Arno zu Lothringen, jedyny syn Benjamin Arno”. Otworzyłem Almanach i odnalazłem hasło Amo Lothringen. Było długie na trzy strony, ale bardzo szybko zlokalizowałem daleką kuzynkę, której na imię Stefanie. Zapytałem bibliotekarkę, czy mają książkę telefoniczną Hebrydów. Nie mieli, ale pozwoliła mi skorzystać z telefonu i zadzwonić do informacji - szczęśliwie się złożyło, bo byłem pewien, że mój telefon jest na podsłuchu. Za kwadrans jedenasta znalazłem się z powrotem w mieszkaniu i rozmawiałem z Szefem tym samym swobodnym tonem co przedtem.

- Gdzie byłeś? - zapytał.

- W kiosku i w piekarni.

- A co z biblioteką?

- Z biblioteką? Ach tak, też tam byłem. - I co żeś na Boga wypożyczył?

- Właściwie to nic. Jakoś nie mogę się na niczym skupić. Co mam teraz robić?

Czekając na odpowiedź, zastanawiałem się, czy nie powiedziałem za dużo, ale uznałem, że jednak nie.

- Czekać. Tak jak my wszyscy.

- Mogę pojechać do Centrali?
- Możesz równie dobrze czekać w domu.
- Więc wrócę do Monty'ego.

Pewnie był to owoc mej przewrażliwionej wyobraźni, ale ujrzałem w myślach Smileya, który stoi obok niego i podpowiada, co ma mówić.

- Po prostu czekaj tam, gdzie jesteś - rozkazał krótko.

I czekałem, Bóg mi świadkiem. Udawałem, że czytam. W dramatycznym uniesieniu napisałem do Szefa list z rezygnacją, ale podarłem go, a strzępy spaliłem. Oglądałem telewizję, wieczorem położyłem się na łóżku, obserwując w lustrze zmianę warty ludzi Monty'ego i myślałem o Stefanie, o Benie, znów o Stefanie, która teraz zadomowiła się już na dobre w mojej wyobraźni: nieosiągalna, ubrana na biało, nieskazitelna Stefanie, obrończyni Bena. Nie zapominajcie, że byłem jeszcze młody, a w sprawach damsko-męskich mniej doświadczony, niż mogłoby się wydawać z moich wypowiedzi na ten temat. Adam we mnie był jeszcze dzieckiem, a nie wojownikiem.

Odczekałem do dziesiątej, po czym wymknąłem się na dół z butelką wina dla pana Simpsona i jego żony. Wypiliśmy ją razem, oglądając telewizję, po czym wziąłem pana Simpsona na stronę.

- Chris - zwróciłem się do niego. - Wiem, że to idiotyczne, ale pewna zazdrosna dama nie spuszcza mnie z oka i chciałbym wyjść tylnymi drzwiami. Wypuścisz mnie przez kuchnię?

Godzinę później jechałem już nocnym pociągiem do Glasgow. Przestrzegałem wszystkich wyuczonych zasad i byłem pewien, że nikt mnie nie śledzi. Na dworcu w Glasgow mimo wszystko zastosowałem odpowiednie środki ostrożności: spędziłem trochę czasu w bufecie nad kubkiem herbaty, rozglądając się za potencjalnymi obserwatorami i wynająłem taksówkę do Helensburgha na drugim brzegu rzeki Clyde, zanim wsiadłem do autokaru jadącego do West Loch Tarbert. Wtedy prom na Hebrydy poza krótkim sezonem wakacyjnym kursował tylko trzy razy w tygodniu. Ale szczęście mnie nie opuszczało: prom czekał już i odpłynął zaraz po moim wejściu na pokład. I tak wczesnym popołudniem minęliśmy wyspę Jura, zawinęliśmy do Port Askaig i pod ciemniejącym północnym niebem znów wypłynęliśmy na pełne morze. Na tym etapie zostało już tylko trzech pasażerów: para starszych ludzi i ja. Kiedy wyszedłem na pokład, uciekając przed rozmową z nimi, pierwszy oficer wesoło zasypał mnie swoimi pytaniami: czy jestem na urlopie? czy w takim razie jestem lekarzem? czy jestem żonaty? Mimo to byłem w swoim żywiole. W chwili gdy wypływam w morze, wszyscy stają się dla mnie zrozumiali, wszystko staje się możliwe. Tak, pomyślałem podekscytowany, spoglądając na zbliżające się wielkie skały i uśmiechając się do rozkrzyczanych mew, tak, tutaj ukryłyby się Ben! Tutaj wagnerowskie demony znalazłyby dla siebie miejsce!

Musicie zrozumieć i wybaczyć mi tę młodzieńczą podatność na wszelkie formy nordyckiej abstrakcji. Szedłem śladem fascynacji Bena. Mityczna wyspa, którą nie pogardziłby Osjan, pędzące chmury i wzburzone morze, kapłanka w samotnym zamku - uwielbiałem te klimaty. Okres romantyczny w moim życiu osiągał właśnie apogeum, a moja dusza należała do Stefanie, zanim jeszcze ją ujrzałem.

Dom malarza stał po drugiej stronie wyspy, o czym dowiedziałem się w sklepie. Poradzono mi tam również, żebym poprosił Fergusa juniora o podwózkę. Fergus junior, jak się okazało, miał około siedemdziesięciu lat. Przejechaliśmy jego jeepem przez rozpadającą się żelazną bramę, zapłaciłem mu i nacisnąłem dzwonek. Drzwi otworzyły się, ukazując piękną kobietę, która przyglądała mi się bacznie.

Była wysoka i szczupła. Jeśli rzeczywiście była w moim wieku - a była - biła od niej władczość, na którą ja musiałbym pracować latami. Nie była spowita w biel, miała na sobie ciemnoniebieski kitel poplamiony farbami. W jednym ręku trzymała szpachlę. Słuchając mnie, podniosła tę rękę do

czoła, odrzucając nadgarstkiem zablakany kosmyk włosów. Następnie opuściła szpachlę i stała w milczeniu długo po tym, kiedy przestałem mówić, zastanawiając się nad sensem moich słów i nad mężczyzną czy chłopakiem, który stał przed nią. To, co najbardziej uderzyło mnie w tej chwili, jest również najtrudniejsze do zrelacjonowania. Chodzi o to, że Stefanie bardziej niż mogłem się spodziewać - przypominała postać, którą sobie wyobrażałem. Jej bladość, wrażenie kryształowej uczciwości, wewnętrznej siły połączonej z rozczulającą delikatnością tak bardzo odpowiadały moim oczekiwaniom, że gdybym natknął się na nią przypadkowo gdzie indziej, wiedziałbym, że to Stefanie.

- Mam na imię Ned - przedstawiłem się, patrząc jej prosto w oczy. - Jestem przyjacielem Bena i jego kolegą z pracy. Jestem sam. Nikt nie wie, że tu przyjechałem.

Chciałem mówić dalej. Przygotowałem już sobie pompatycznąmowę, coś w rodzaju: „Proszę mi powiedzieć, że cokolwiek zrobił, dla mnie wszystko pozostaje jak dawniej”. Lecz intensywność jej spojrzenia powstrzymała mnie.

- Jakie to ma znaczenie, kto wie, że pan tu jest, a kto nie wie? - zapytała. Mówiła bez akcentu, lecz z niemiecką intonacją, robiąc drobne przerwy przed długimi samogłoskami. - Ben się nie ukrywa. Czy ktoś oprócz pana go szuka? Dlaczego miałby się ukrywać?

- Wiem, że narobił sobie trochę kłopotów - oznajmiłem, wchodząc za nią do domu.

Hol przechodził w pracownię i prowizoryczny salon. Większość mebli przykrywały płótna. Na stole znajdowały się resztki posiłku: dwa kubki, dwa talerze. Używane.

- Jakie kłopoty? - chciała wiedzieć.

- Związane z jego pracą w Berlinie. Myślałem, że pani powiedział.

- Nic mi nie powiedział. Nigdy nie rozmawialiśmy o jego pracy. Zapewne wyczuł, że mnie to nie interesuje.

- Czy mogę zapytać, o czym w takim razie rozmawialiście? Zastanowiła się.

- Nie. - Ale po chwili jakby zmiękła. - Teraz w ogóle ze mną nie rozmawia. Chyba został trapiastą. Czemu nie? Czasem przygląda mi się, jak maluję, czasem łowi ryby, czasem jemy razem lub wypijamy trochę wina. Dość dużo śpi.

- Jak długo tu jest? Wzruszyła ramionami.

- Trzy dni?

- Przyjechał prosto z Berlina?

- Przyplłynął łodzią. Ponieważ nie odzywa się, nie wiem nic ponadto.

- Ben zniknął - wyjaśniłem. - Rozpętała się prawdziwa burza. Myśleli, że zjawi się u mnie.

Chyba nie wiedzą o pani.

Znów słuchała najpierw moich słów, a potem mojego milczenia. Sprawiała wrażenie kogoś zupełnie swobodnego, jak nadstawiające uszu zwierzę. To stygmat cierpienia, pomyślałem, przypominając sobie jej kochanka-samobójcę; nie przejmuje się drobnymi zmartwieniami.

- Kim są ci „oni”? Co we mnie jest takiego szczególnego, żeby mieli o mnie wiedzieć?

- Ben pracuje dla wywiadu - oznajmiłem. - Ben?

- Jak jego ojciec - powiedziałem. - Był szalenie dumny, że idzie w ślady ojca.

Była zaszokowana i wstrząśnięta.

- Dlaczego? Dla kogo? Wywiad? Co za głupota!

- Dla wywiadu brytyjskiego. W Berlinie pracował w urzędzie doradcy wojskowego, ale naprawdę zajmował się działalnością szpiegowską.

- Ben? - powtórzyła, a na jej twarzy pojawił się wyraz obrzydzenia i niedowierzania. - Przecież to wszystko opiera się na kłamstwie. Ben?

- Tak. Niestety. Ale to był jego obowiązek.

- Coś strasznego.

Sztalugi stały tyłem do mnie. Podeszła do nich i zaczęła mieszać farby.

- Gdybym tylko mógł z nim porozmawiać - powiedziałem, ale udała, że jest zbyt zaabsorbowana malowaniem, żeby mnie usłyszeć.

Tyły domu wychodziły na porośnięty trawą teren z linią sosen, które pochylały się na wietrze. Za sosnami rozciągało się jezioro otoczone niskimi fiołkowo-różowymi wzgórzami. Na brzegu na zapadniętym pomoście wypatrzyłem wędkarza. Nie zarzucał, stał tylko nieruchomo nad zanurzoną wędką. Nie wiem, jak długo mu się przyglądałem, ale wystarczająco długo, żeby stwierdzić, że to Ben i że nie zależy mu na złowieniu ryby. Otworzyłem przeszkłone drzwi i wyszedłem do ogrodu. Zimny wiatr marszczył tafłę jeziora, a ja skradałem się wzdłuż pomostu. Miał na sobie tweedową kurtkę, trochę zbyt obszerną. Pomyślałem, że pewnie należała do nieżyjącego kochanka Stefanie. I kapelusz, zielony filcowy kapelusz, który, jak zawsze w przypadku Bena, wyglądał, jakby był robiony dla niego. Nie odwrócił się, choć musiał wyczuć moje kroki. Stałem obok niego.

- W takie zimno złapiesz najwyżej zapalenie płuc, ty niemiecki ośle - powiedziałem.

Nie odwrócił się do mnie, a ja stałem obok niego i obydwaj wpatrywaliśmy się w wodę. Kiedy pomost zakołysał się, poczułem, jak trącił mnie ramieniem. Patrzyłem, jak woda mętnieje, a niebo za górami robi się szare. Kilka razy czerwony pływak zniknął pod oleistą powierzchnią wody. Ale jeśli ryba połknęła haczyk, Ben nie starał się jej wyciągać. Zauważyłem, że w domu zapaliły się światła i ujrzałem sylwetkę Stefanie, która stała przy sztalugach, dotykała płótna pędzlem, cofając nadgarstek do czoła. Powietrze zrobiło się zimne, zapadała noc, ale Ben nie ruszał się. Zmagaliśmy się ze sobą, tak jak podczas treningów. Ja napierałem, Ben opierał się. Tylko jeden z nas mógł postawić na swoim. Nie zamierzałem ustąpić, nawet jeśli miałbym spędzić tu całą noc i cały następny dzień, nawet jeśli miałbym umrzeć z głodu.

Na niebie pojawił się półksiężyc i gwiazdy. Wiatr zelżał, a przy ziemi na pociemniałych wrzosowiskach rozsunęła się srebrna mgiełka. Staliśmy na pomoście, czekając, aż któryś z nas ulegnie. Niemal już zasypiałem na stojąco, kiedy usłyszałem grzechot kołowrotka i zobaczyłem, że pływak unosi się nad wodę, a za nim goła linka, połyskując w świetle księżyca. Nie poruszyłem się i nie powiedziałem ani słowa. Pozwoliłem mu, żeby zwinął linkę i zaczepił haczyk. Pozwoliłem mu, żeby się odwrócił do mnie - musiał to zrobić, jeśli chciał mnie minąć na pomoście.

Stanęliśmy twarzą w twarz w księżycowej poświacie. Ben miał spuszczone oczy, najwidoczniej spoglądał na moje buty, żeby je wyminąć. Jego wzrok powędrował ku mojej twarzy, lecz rysy nadal były nieruchome. Jeśli coś zdradzały, to tylko gniew.

- Wchodzi trzeci morderca - powiedział.

Tym razem żaden z nas się nie roześmiał.

Najwyraźniej wyczuła, że nadchodzimy i wycofała się. Słyszałem muzykę w dalszej części domu. Kiedy dotarliśmy do holu, Ben chciał wejść na schody, lecz chwyciłem go za ramię.

- Musisz mi powiedzieć - zażądałem. - Komu innemu mógłbyś się zwierzyć, jeśli nie mnie?

Złamałem regulamin, przyjeżdżając tutaj. Musisz mi powiedzieć, co się stało z siatką.

Za holem znajdował się długi pokój z zaciemnionymi oknami i kolejnymi płachtami na sofach. Było zimno, ale Ben wciąż miał na sobie kurtkę, a ja płaszcz. Otworzyłem okiennice, żeby wpuścić światło księżyca. Przeczuwałem, że jaśniejsze oświetlenie przeszkadzałoby mu. Gdzieś obok słychać było muzykę. Wydawało mi się, że to Grieg. Nie byłem pewien. Ben mówił bez wyrzutów sumienia i bez catharsis. Wiedziałem, że całe dnie i noce spowiadał się już przed samym sobą. Mówił martwym głosem kogoś, kto opisuje katastrofę i wie, że nie rozumieją jej ci, którzy nie przeżyli tego samego. W tle nadal brzmiała muzyka. Był dla siebie surowy. Nie pozostało w nim nic z nieustraszonego

bohatera. Być może był już trochę zmęczony poczuciem winy. Mówił zwięźle. Myślę, że chciał, żebym jak najszybciej odjechał.

- Haggarty to drań - rozpoczął. - Światowej klasy. Złodziej, pijak, a nawet gwałcieciel. Tylko siatka Seidla usprawiedliwiała utrzymanie go w służbie. Centrala chciała się go pozbyć i przekazać Seidla nowym ludziom. Byłem pierwszą nową osobą i Haggarty postanowił, że ukarze mnie za odebranie mu siatki.

Opisał wystudiowane obelgi, dyżury w nocy i w czasie weekendów, krytyczne raporty przesyłane do klubu sympatyków Haggarty'ego w Centrali.

- Początkowo Haggarty nie chciał mi nic powiedzieć o siatce, aż dostał reprimendę z Centrali i wtedy opowiedział mi wszystko. Całe piętnaście lat. Każdy najdrobniejszy szczegół z ich życia, nawet tych, którzy już zmarli. Przysyłał mi sterty papierów, wszystkie opatrzone uwagami i komentarzami. Przeczytaj to, zapamiętaj tamto. Kim jest ona? Kim jest on? Zanotuj ten adres, to nazwisko, te pseudonimy, tamte symbole. Procedura ewakuacji. Plany awaryjne. Hasła rozpoznawcze i środki bezpieczeństwa do przekazów radiowych. A później odpytywał mnie. Zabierał do mieszkania kontaktowego, usadzał po drugiej stronie stołu i maglował. „Jeszcze nie jesteś gotów. Nie możemy cię wysłać, dopóki nie będziesz wiedział wszystkiego. Lepiej zostań w domu podczas weekendu i wkuwaj. W poniedziałek znów cię przepytam”. Siatka była jego życiem. Chciał mi wmówić, że się nie nadaję. A ja rzeczywiście czułem, że tak jest.

Ale ani Centrala, ani Ben nie poddali się terrorowi Haggarty'ego.

- Wyobraziłem sobie, że to sesja egzaminacyjna - powiedział.

Kiedy zbliżał się dzień pierwszego spotkania z Seidlem, Ben zastosował metody mnemotechniczne i akronimiczne, które pozwoliły mu ogarnąć wszystkie piętnaście lat działalności siatki. Siedząc dzień i noc w swym gabinecie w kwaterze placówki berlińskiej, rysował wykresy i opracowywał sposoby zapamiętywania pseudonimów, kryptonimów, adresów, miejsc zatrudnienia agentów, podagentów, kurierów i współpracowników. Następnie przenosił wszystkie dane na zwykłe karty pocztowe, pisząc tylko po jednej stronie. Z drugiej strony w jednej linijce pisał temat: „skrytki”, „pensje”, „bezpieczne adresy”. Co noc, zanim wrócił do domu lub zasnął na kozetce w placówce, sam sprawdzał, ile zapamiętał, kładąc na biurku karty z zapisaną stroną do dołu, a następnie porównywał, czy dane się zgadzają.

- Nie spałem dużo, ale to nic - mówił dalej. - Przed krytycznym dniem w ogóle nie spałem. Przez całą noc wkuwałem informacje, a potem leżałem na kanapie, gapiąc się w sufit. Kiedy wstałem, nie pamiętałem niczego. Coś w rodzaju paraliżu. Poszedłem do pokoju, usiadłem przy biurku, schowałem twarz w dłoniach i zacząłem zadawać sobie pytania. - Jeśli agent o pseudonimie takim a takim myśli, że jest inwigilowany, z kim się kontaktuje, w jaki sposób, i co robi jego łącznik? - W głowie miałem pustkę.

- Do pokoju wmaszerował Haggarty i zapytał, jak się czuję. Odpowiedziałem, że świetnie. Żeby oddać mu sprawiedliwość, życzył mi powodzenia i myślę, że życzenia były szczerze. Sądziłem, że rzuci jakieś podchwytliwe pytanie i zamierzałem mu odpowiedzieć, żeby poszedł do diabła. Ale powiedział tylko: „Komm gut heim”, i poklepał mnie po plecach. Włożyłem karty do kieszeni. Nie pytaj mnie dlaczego. Bałem się porażki. Strach przed porażką motywuje chyba nas wszystkich. Bałem się porażki i nienawidziłem Haggarty'ego, który tak bardzo mnie dręczył. Mogę podać jeszcze jakieś dwieście powodów, z których zabrałem ze sobą te karty, ale żaden z nich nie jest usprawiedliwieniem. Być może był to mój sposób na popełnienie samobójstwa. Podoba mi się ta koncepcja. Wziąłem je i pojechałem na drugą stronę muru. Mieliśmy do dyspozycji specjalnie przystosowany do akcji wóz. Ja siedziałem z tyłu, a pod fotelem leżał mój dubler. Strażnicy

oczywiście nie mieli prawa nas przeszukiwać. Manewr podstawienia dublera na moje miejsce przy ostrym zakręcie jest jednak cholernie niebezpieczny. Trzeba jakby wytoczyć się z jadącego samochodu. Seidl podstawiał mi rower. Wierzy w rowery. Kiedy był jeńcem w Anglii, strażnicy pożyczali mu rower.

Smiley opowiedział mi już tę historię, ale pozwoliłem Benowi opowiedzieć mi ją raz jeszcze.

- Miałem te karty w kieszeni marynarki - ciągnął dalej. - W wewnętrznej kieszeni. To był jeden z tych potwornie upalnych berlińskich dni. Jadąc na rowerze, chyba rozpiąłem marynarkę. Nie wiem. Kiedy usiłuję sobie przypomnieć, czasem wydaje mi się, że rozpiąłem, innym razem, że nie. Tak jest z pamięcią, kiedy się ją maltretuje. Przedstawia ci wtedy najróżniejsze wersje wydarzeń. Na spotkanie przybyłem wcześniej, sprawdziłem samochody, zwykła procedura, wsiadłem. Do tej pory przypominałem sobie wszystkie wiadomości. Zabranie kart poskutkowało. Nie potrzebowałem ich. Seidl był zadowolony, ja byłem zadowolony. Zrobiliśmy, co mieliśmy zrobić, wysłuchałem go, dałem mu trochę pieniędzy: wszystko jak na ćwiczeniach w Sarratt. Dojechałem w umówione miejsce, porzuciłem rower, wskoczyłem do samochodu i kiedy znaleźliśmy się już w Berlinie Zachodnim, zdałem sobie sprawę, że nie mam kart. Brakowało mi ich ciężaru, naporu czy czegoś w tym rodzaju. Wpadłem w panikę, ale właściwie cały czas ją odczuwam. Głęboko w środku towarzyszy mi ona zawsze. Taki już jestem. Tym razem jednak panika była intensywniejsza. Kazałem im podrzucić się do domu i zadzwoniłem pod awaryjny numer Seidla. Nikt nie odpowiadał. Spróbowałem numeru rezerwowego. Nikt nie odbierał. Chciałem skontaktować się z jego zastępczynią, Lotte. Nikt nie odbierał. Wziąłem taksówkę do Tempelhofu, dyskretnie się ulotniłem i przyjechałem tutaj.

Nagle zapadła cisza, w której słyhać było tylko muzykę Stefanie. Ben zakończył opowieść. Początkowo nie zdawałem sobie sprawy, że to już wszystko. Patrzyłem na niego, czekając na ciąg dalszy. Chciałem usłyszeć o jakimś porwaniu - o tym, jak okrutni funkcjonariusze Stasi wyłaniają się na tylnym siedzeniu samochodu, ogłuszają go, przyciskają mu do twarzy szmatkę nasączoną chloroformem i opróżniają kieszenie. Stopniowo zaczęła do mnie docierać potworna banalność tego, co mi opowiedział: rozumiałem, że można zgubić całą siatkę tak, jak się gubi klucze, książeczkę czekową czy chusteczkę do nosa. Chciałem doszukać się w tej historii większej wagi, ale Ben nie miał mi już nic więcej do powiedzenia.

- Więc gdzie je ostatnio miałeś? - zapytałem głupio, jakbym rozmawiał z dzieckiem, które zgubiło książki. Ale Ben nie zauważył tego, nie miał już dumy.

- Karty? - zapytał. - Może na rowerze. Może kiedy wyskakiwałem z samochodu. Może kiedy do niego znów wsiadałem. Rower miał łańcuch, który okręcało się wokół koła jako zabezpieczenie przed złodziejami. Musiałem się pochylić, kiedy go zakładałem i zdejmowałem. Może wtedy. Nigdy nie wiadomo, gdzie się coś zgubiło, póki się tego nie znajdzie. Wtedy wszystko staje się jasne. Ale tym razem nie ma żadnego wtedy.

- Myślisz, że cię śledzono?

- Nie wiem. Po prostu nie wiem.

Chciałem zapytać go, kiedy napisał do mnie list miłosny, ale nie mogłem się na to zdobyć. Poza tym chyba wiedziałem. Pewnie podczas któregoś z napadów pijaństwa, kiedy Haggarty przyciskał go najmocniej, a on wpadł w rozpacz. Właściwie chciałem od niego usłyszeć, że nigdy go nie napisał. Chciałem cofnąć czas i sprawić, żeby wszystko było tak jak przed zeszłym tygodniem. Ale proste pytania umarły razem z prostymi odpowiedziami. Nasze dzieciństwo skończyło się na dobre.

Musieli otoczyć dom, a na pewno nie zadzwonili do drzwi. Monty prawdopodobnie stał przy oknie, kiedy otwierałem okiennice, żeby wpuścić światło księżyca, ponieważ w odpowiedniej chwili

po prostu wkroczył do pokoju, nieco zakłopotany, lecz zdecydowany.

- Dobrze ci szło, Ned - pocieszył mnie. - Wydała cię bibliotekarka. Wpadłeś jej w oko. Gdyby mogła, przyjechałaby tu z nami.

Za nim do pokoju wszedł Skordeno, a na końcu w innych drzwiach pojawił się Smiley z przepaszającą miną, która często towarzyszyła jego najbardziej bezlitosnym czynom. Bez specjalnego zaskoczenia uświadomiłem sobie, że zrobiłem wszystko, czego ode mnie oczekiwał. Postawiłem się w położeniu Bena i zaprowadziłem ich do przyjaciela. Ben też nie wyglądał na szczególnie zaskoczonego. Być może odczuwał ulgę. Monty i Skordeno podeszli do niego, lecz Ben nadal siedział wśród płacht przykrywających meble, owinięty w tweedową marynarkę jak w pled. Skordeno poklepał go po ramieniu, po czym razem z Montym pochyłili się i jak doświadczeni tragarze podnieśli go delikatnie. Kiedy zapewniłem Bena, że nie zdradziłem go, pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że nie ma to i myślę, że życzenia były szczere. Sądziłem, że rzuci jakieś podchwytliwe pytanie i zamierzałem mu odpowiedzieć, żeby poszedł do diabła. Ale powiedział tylko: „Komm gut heim”, i poklepał mnie po plecach. Włożyłem karty do kieszeni. Nie pytaj mnie dlaczego. Bałem się porażki. Strach przed porażką motywuje chyba nas wszystkich. Bałem się porażki i nienawidziłem Haggarty'ego, który tak bardzo mnie dręczył. Mogę podać jeszcze jakieś dwieście powodów, z których zabrałem ze sobą te karty, ale żaden z nich nie jest usprawiedliwieniem. Być może był to mój sposób na popełnienie samobójstwa. Podoba mi się ta koncepcja. Wziąłem je i pojechałem na drugą stronę muru. Mieliśmy do dyspozycji specjalnie przystosowany do akcji wóz. Ja siedziałem z tyłu, a pod fotelem leżał mój dubler. Strażnicy oczywiście nie mieli prawa nas przeszukiwać. Manewr podstawienia dublera na moje miejsce przy ostrym zakręcie jest jednak cholernie niebezpieczny. Trzeba jakby wytoczyć się z jadącego samochodu. Seidl podstawiał mi rower. Wierzy w rowery. Kiedy był jeńcem w Anglii, strażnicy pożyczali mu rower.

Smiley opowiedział mi już tę historię, ale pozwoliłem Benowi opowiedzieć mi ją raz jeszcze.

- Miałem te karty w kieszeni marynarki - ciągnął dalej. - W wewnętrznej kieszeni. To był jeden z tych potwornie upalnych berlińskich dni. Jadąc na rowerze, chyba rozpiąłem marynarkę. Nie wiem. Kiedy usiłuję sobie przypomnieć, czasem wydaje mi się, że rozpiąłem, innym razem, że nie. Tak jest z pamięcią, kiedy się ją maltretuje. Przedstawia ci wtedy najróżniejsze wersje wydarzeń. Na spotkanie przybyłem wcześniej, sprawdziłem samochody, zwykła procedura, wsiadłem. Do tej pory przypominałem sobie wszystkie wiadomości. Zabranie kart poskutkowało. Nie potrzebowałem ich. Seidl był zadowolony, ja byłem zadowolony. Zrobiliśmy, co mieliśmy zrobić, wysłuchałem go, dałem mu trochę pieniędzy: wszystko jak na ćwiczeniach w Sarratt. Dojechałem w umówione miejsce, porzuciłem rower, wskoczyłem do samochodu i kiedy znaleźliśmy się już w Berlinie Zachodnim, zdałem sobie sprawę, że nie mam kart. Brakowało mi ich ciężaru, naporu czy czegoś w tym rodzaju. Wpadłem w panikę, ale właściwie cały czas ją odczuwam. Głęboko w środku towarzyszy mi ona zawsze. Taki już jestem. Tym razem jednak panika była intensywniejsza. Kazałem im podrzucić się do domu i zadzwoniłem pod awaryjny numer Seidla. Nikt nie odpowiadał. Spróbowałem numeru rezerwowego. Nikt nie odbierał. Chciałem skontaktować się z jego zastępczynią, Lotte. Nikt nie odbierał. Wziąłem taksówkę do Tempelhofu, dyskretnie się ulotniłem i przyjechałem tutaj.

Nagle zapadła cisza, w której słyhać było tylko muzykę Stefanie. Ben zakończył opowieść. Początkowo nie zdawałem sobie sprawy, że to już wszystko. Patrzyłem na niego, czekając na ciąg dalszy. Chciałem usłyszeć o jakimś porwaniu - o tym, jak okrutni funkcjonariusze Stasi wyłaniają się na tylnym siedzeniu samochodu, ogłuszają go, przyciskają mu do twarzy szmatkę nasączoną

chloroformem i opróżniają kieszenie. Stopniowo zaczęła do mnie docierać potworna banalność tego, co mi opowiedział: rozumiałem, że można zgubić całą siatkę tak, jak się gubi klucze, książeczkę czekową czy chusteczkę do nosa. Chciałem doszukać się w tej historii większej wagi, ale Ben nie miał mi już nic więcej do powiedzenia.

- Więc gdzie je ostatnio miałeś? - zapytałem głupio, jakbym rozmawiał z dzieckiem, które zgubiło książki. Ale Ben nie zauważył tego, nie miał już dumy.

- Karty? - zapytał. - Może na rowerze. Może kiedy wyskakiwałem z samochodu. Może kiedy do niego znów wsiadałem. Rower miał łańcuch, który okręcało się wokół koła jako zabezpieczenie przed złodziejami. Musiałem się pochylić, kiedy go zakładałem i zdejmowałem. Może wtedy. Nigdy nie wiadomo, gdzie się coś zgubiło, póki się tego nie znajdzie. Wtedy wszystko staje się jasne. Ale tym razem nie ma żadnego wtedy.

- Myślisz, że cię śledzono?

- Nie wiem. Po prostu nie wiem.

Chciałem zapytać go, kiedy napisał do mnie list miłosny, ale nie mogłem się na to zdobyć. Poza tym chyba wiedziałem. Pewnie podczas któregoś z napadów pijaństwa, kiedy Haggarty przyciskał go najmocniej, a on wpadł w rozpacz. Właściwie chciałem od niego usłyszeć, że nigdy go nie napisał. Chciałem cofnąć czas i sprawić, żeby wszystko było tak jak przed zeszłym tygodniem. Ale proste pytania umarły razem z prostymi odpowiedziami. Nasze dzieciństwo skończyło się na dobre.

Musieli otoczyć dom, a na pewno nie zadzwonili do drzwi. Monty prawdopodobnie stał przy oknie, kiedy otwierałem okiennice, żeby wpuścić światło księżyca, ponieważ w odpowiedniej chwili po prostu wkroczył do pokoju, nieco zakłopotany, lecz zdecydowany.

- Dobrze ci szło, Ned - pocieszył mnie. - Wydała cię bibliotekarka. Wpadłeś jej w oko. Gdyby mogła, przyjechałaby tu z nami.

Za nim do pokoju wszedł Skordeno, a na końcu w innych drzwiach pojawił się Smiley z przepaszającą miną, która często towarzyszyła jego najbardziej bezlitosnym czynom. Bez specjalnego zaskoczenia uświadomiłem sobie, że zrobiłem wszystko, czego ode mnie oczekiwał. Postawiłem się w położeniu Bena i zaprowadziłem ich do przyjaciela. Ben też nie wyglądał na szczególnie zaskoczony. Być może odczuwał ulgę. Monty i Skordeno podeszli do niego, lecz Ben nadal siedział wśród płacht przykrywających meble, owinięty w tweedową marynarkę jak w pled. Skordeno poklepał go po ramieniu, po czym razem z Montym pochylili się i jak doświadczeni tragarze podnieśli go delikatnie. Kiedy zapewniłem Bena, że nie zdradziłem go, pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że nie ma to żadnego znaczenia. Smiley odsunął się na bok, żeby ich przepuścić. Wbijał we mnie pytająco krótkowzroczne oczy.

- Zamówiliśmy dodatkowy rejs - powiedział.

- Nie płynę - odparłem.

Odwrociłem od niego wzrok i kiedy znów spojrzałem w jego stronę, już go nie było. Usłyszałem, jak jeep oddala się. Przeszedłem pusty hol i idąc za odgłosami muzyki, znalazłem się w gabinecie zawalonym książkami, gazetami i czymś, co wyglądało jak rozłożony na podłodze manuskrypt powieści. Stefanie siedziała bokiem w głębokim fotelu. Przebrała się w podomkę, a jej jasne złociste włosy opadały luźno na ramiona. Miała białe stopy. Nie podniosła głowy, kiedy wszedłem. Przemówiła do mnie, jakby znała mnie przez całe życie. W pewnym sensie tak było dzięki temu, że przyjaźniłem się z Benem. Wyłączyła gramofon.

- Byłeś jego kochankiem? - zapytała.

- Nie. Chciał, żebym nim został. Teraz to wiem. Uśmiechnęła się.

- A ja chciałam, żeby został moim kochankiem, ale to też nie było możliwe, prawda?

- Chyba tak.

- Byłeś już z kobietą, Ned? - Nie.

- A Ben?

- Nie wiem. Myślę, że próbował, ale nic z tego nie wyszło. Oddychała głęboko, a po policzkach i szyi spływały jej łzy. Wstała,

zaciskając mocno powieki, i jak niewidoma wyciągnęła ręce w moją stronę. Stojąc tak blisko, wtulała głowę w moje ramię, a jej ciałem wstrząsały spazmy płaczu. Objąłem ją ramieniem, ale odsunęła się i poprowadziła mnie do sofy.

- Kto go zmusił, żeby stał się jednym z was? - zapytała.

- Nikt. Sam dokonał wyboru. Chciał pójść w ślady ojca.

- Czy można to nazwać wyborem?

- W pewnym sensie.

- Ty też jesteś ochotnikiem?

- Tak.

- A w czyje ślady poszedłeś?

- Niczyje.

- Ben nie miał predyspozycji do takiego życia. Nie powinni dać mu się zwieść. Miał zbyt wielki dar przekonywania.

- Wiem.

- A ty? Też potrzebujesz ich, żeby stać się mężczyzną?

- To coś, co trzeba zrobić.

- Stać się mężczyzną?

- Chodzi mi o pracę. To jak wyrzucanie śmieci lub sprzątanie po pacjentach w szpitalu. Ktoś musi to robić. Nie możemy udawać, że nie ma problemu.

- Ależ możemy. - Wzięła mnie za rękę i wplotła palce sztywno między moje. - Udajemy, że wiele rzeczy nie istnieje. Albo udajemy, że inne rzeczy są ważniejsze. Tylko tak można przetrwać. Nie pokonamy kłamców, okłamując ich. Zostaniesz na noc?

- Muszę wracać. Nie jestem Benem, tylko sobą. Jego przyjacielem.

- Chciałabym coś ci powiedzieć. Mogę? Igranie z rzeczywistością jest bardzo niebezpieczne.

Zapamiętasz to?

Nie pamiętam pożegnania, było pewnie zbyt bolesne i dlatego wymazałem je z pamięci. Wiem tylko, że musiałem zdażyć na prom. Nie czekał na mnie jeep, więc wybrałem się na piechotę. Pamiętam słony smak jej łez i zapach włosów, kiedy spieszyłem przez nocny wiatr. Pamiętam czarne chmury kłębiące się wokół księżycy i uderzenia morskich fal o skaliste brzegi zatoki. Pamiętam cypel i niski oświetlony parowiec, który właśnie odcumowywano. Wiem też, że przez cały rejs stałem na pokładzie dziobowym, a pod koniec stał obok mnie Smiley. Zdażył już pewnie poznać historię Bena i wyszedł na pokład, oferując mi na pocieszenie swe milczące towarzystwo.

Nigdy już nie zobaczyłem Bena - trzymali go z dala ode mnie, kiedy wychodziliśmy na brzeg - ale kiedy usłyszałem, że został zwolniony, napisałem do Stefanie z zapytaniem, gdzie go mogę znaleźć. Mój list został zwrócony z adnotacją „adresat wyjechał”.

Chciałbym móc wam powiedzieć, że Ben nie spowodował zniszczenia siatki, ponieważ Bili Haydon zdradził ją dużo wcześniej. Albo że siatkę tę stworzyli komuniści niemieccy lub Rosjanie, żeby czymś nas zająć i podtykać nam fałszywe informacje. Ale obawiam się, że prawda była inna, ponieważ w tym czasie Haydon miał dość ograniczone wpływy i nie trafił jeszcze służbowo do Berlina. Po zdemaskowaniu Billa Smiley zapytał go nawet, czy maczał w tej sprawie palce. Bili

roześmiał się.

- Od lat marzyłem, żeby położyć łapy na tej siatce - odpowiedział. - Kiedy usłyszałem, co się stało, miałem cholerną ochotę, żeby posłać młodemu Cavendishowi bukiet kwiatów, ale nie byłoby to zbyt rozsądne.

Gdybym spotkał dzisiaj Bena, mógłbym go najwyżej pocieszyć, że jeśli wtedy nie rozwaliłby tej siatki, kilka lat później zrobiłby to za niego Haydon. Stefanie mógłbym natomiast powiedzieć, że na swój sposób miała rację - chociaż i ja ją miałem - i że jej słowa na zawsze pozostały w mej pamięci, nawet wtedy, gdy przestałem uważać ją za źródło wszelkiej mądrości. Może nigdy jej nie zrozumiałem, może należała bardziej do tajemnicy Bena niż do mojej, była jednak pierwszym z syrenich głosów, ostrzegających o dwuznaczności mojej misji. Czasem zastanawiam się, kim dla niej byłem, ale obawiam się, że wiem aż nadto dobrze: nieopierzonym, nie znającym życia żółtodziobem, drugim Benem, który ukrywał słabość pod maską siły i znajdował schronienie w zamkniętym świecie konspiracji.

Niedawno byłem znów w Berlinie. Kilka tygodni po ogłoszeniu, że mur należy już do przeszłości. Miałem do załatwienia starą sprawę i Szeff z zadowoleniem zafundował mi podróż. Tak się złożyło, że nigdy formalnie nie stacjonowałem w Berlinie, ale byłem tam częstym gościem, a dla nas, rycerzy zimnej wojny, wizyta w Berlinie jest jak powrót do źródeł. I pewnego wilgotnego popołudnia znalazłem się przy małym brudnym fragmencie ogrodzenia, zwanym pompatycznie Murem Nieznanych. Był to pomnik ku czci tych, którzy zginęli, próbując uciec na Zachód w latach sześćdziesiątych, ale nie pomyśleli, żeby przedtem podać swe dane. Stałem w niewielkiej gromadce Niemców, głównie kobiet, i zauważyłem, że przyglądają się napisom na krzyżach: nieznany mężczyzna, zastrzelony tego i tego dnia w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym. Szukali wskazówek, dopasowywali daty do strzępków znanych im informacji.

Przyszedł mi do głowy szokujący pomysł, że mogą szukać tutaj jednego z agentów Bena, który w ostatniej chwili podjął nieudaną próbę odzyskania wolności. Pomysł ten wydał mi się jeszcze bardziej niesamowity, kiedy pomyślałem, że to już nie mocarstwa zachodnie, tylko NRD zabiega o likwidację muru.

Pomnik już nie istnieje. Być może przygarnie go jakieś muzeum, ale wątpię. Kiedy mur berliński padł pod kilofami, a jego kawałki zostały rozprzedane, razem z nim upadł pomnik, co, jak sądzę, w sposób dobitny dowodzi, że ludzka stałość nie istnieje.

Ktoś znów zapytał Smileya o przesłuchania. Pytanie to wypływało tego wieczora wielokrotnie, głównie dlatego, że słuchacze chcieli wycisnąć z niego jak najwięcej szczegółów operacyjnych. Dzieci są okrutne.

- Przyłapanie oszusta na kłamstwie jest istotnie jakąś tam sztuką - przyznał z powątpiewaniem Smiley, pociągając łyk ze szklanki. - Ale prawdziwa sztuka polega na rozpoznaniu prawdy, a to o wiele trudniejsze. Podczas przesłuchania nikt nie zachowuje się normalnie. Głupcy sprawiają wrażenie inteligentnych. Inteligentni głupich. Winni wyglądają niewinnie, a niewinni jakby byli potwornie winni. Od czasu do czasu niektórzy zachowują się naturalnie i mówią prawdę i oczywiście ci biedacy niezastępowanie dostają w kość. Nie ma nikogo mniej przekonującego w naszym przeklętym fachu jak niewinny człowiek, który nie ma nic do ukrycia.

- Może poza niewinną kobietą - mruknąłem pod nosem.

George przypomniał mi o Belli i nieprzeniknionym kapitanie Brandcie.

Był potężnym, nieokrzesanym facetem o płowej czuprynie, przypominającym na pierwszy rzut oka Słowianina lub Skandynawa. Miał kołyszący chód marynarza, który zszedł na ląd, i zapatrzone w dal oczy poszukiwacza przygód. Poznałem go w Zurychu, gdzie popadł w tarapaty z policją. Inspektor

policii zadzwonił do mnie w środku nocy i powiedział: „Herr Konsul, mamy tu kogoś, kto twierdzi, że posiada informacje dla Brytyjczyków. Dostaliśmy rozkaz, żeby rano wydalić go za granicę”.

Nie zapytałem, za którą granicę. Szwajcarzy mają ich cztery, ale kiedy wyrzucają kogoś z kraju, nie wdają się w szczegóły. Podjechałem do więzienia okręgowego i w zakratowanej sali widzeń spotkałem się z uwięzionym wielkoludem w golfie, który nazywał siebie kapitanem morskim Brandtem, co było chyba jego własną wersją niemieckiego zwrotu Kapitan zur See.

- Do morza daleko - powiedziałem, ściskając wielką miękką dłoń.

Z punktu widzenia Szwajcarów wszystko z nim było nie tak. Nie zapłacił za hotel, co w Szwajcarii jest tak ohydny zbrodnią, że w kodeksie karnym istnieje dla niej osobny paragraf. Wywołał burdę, był bez grosza przy duszy, a jego zachodnioniemiecki paszport nie wytrzymał próby oględzin, choć Szwajcarzy nie przyznawali się do tego głośno, bowiem fałszywy paszport mógł zaprzepaścić szansę na wydalenie go z ich kraju. Kiedy go aresztowano, był pijany i włóczył się po ulicach, przeklinając pewną dziewczynę. Złamał komuś szczękę. Nalegał na rozmowę ze mną w cztery oczy.

- Ty Brytyjczyk? - zapytał po angielsku, prawdopodobnie po to, żeby ukryć treść naszej rozmowy przed Szwajcarami, choć mówili po angielsku lepiej od niego.

- Tak.

- Proszę udowodnić.

Pokazałem mu oficjalne dokumenty wicekonsula do spraw gospodarczych.

- Pracujesz dla brytyjskiego wywiadu? - zapytał.

- Pracuję dla rządu brytyjskiego.

- No, dobra, dobra - powiedział i okazując nagle znużenie, oparł głowę na rękach, a długie jasne włosy opadły mu na twarz. Zamaszystym gestem odgarnął je do tyłu. Miał twarz boksera, porytą bliznami i szramami.

- Siedziałeś kiedy w pace? - zapytał, wbijając wzrok w wyszorowany biały stół.

- Nie, dzięki Bogu.

- Jezu - on na to i łamaną angielszczyzną opowiedział mi swą historię. Był Łotyszem, urodził się w Rydze jako dziecko polsko-łotewskiego

małżeństwa. Mówił po łotewsku, rosyjsku, polsku i niemiecku. Był urodzonym marynarzem, co wyczułem natychmiast, gdyż i ja nim byłem. Jego ojciec i dziadek pływali po morzach, a on odsłużył sześć lat w radzieckiej marynarce wojennej, wypływając na Morze Arktyczne z Archangielska i na Morze Japońskie z Władywostoku. Rok temu wrócił do Rygi, kupił małą łódź i przy pomocy skandynawskich rybaków zaczął szmuglować przez Bałtyk tanią rosyjską wódkę do Finlandii. Został schwytany i osadzony w więzieniu pod Leningradem, skąd uciekł i przedostał się do Polski.

Zamieszkał nielegalnie w Krakowie, gdzie żył z polską studentką. Opowiadam dokładnie to, co mi zrelacjonował, jak gdyby przedostanie się z Rosji do Polski było tak proste jak przejazd autobusem lub wyjście do pubu na piwo. Lecz choć moja wiedza na temat przeszkód, jakie mógł napotkać, była dość ograniczona, wiedziałem, że dokonał niezwykłego wyczynu, tym bardziej że na jednym razie się nie skończyło. Bowiem kiedy dziewczyna zostawiła go i poślubiła szwajcarskiego handlowca, wrócił na wybrzeże, przedostał się do Malmö, a stamtąd do Hamburga, gdzie mieszkał jego daleki kuzyn. Ale kuzyn był rzeczywiście daleki i kazał mu iść do diabła. Brandt ukradł mu paszport i ruszył na południe do Szwajcarii z zamiarem odzyskania Polki. Ponieważ mąż nie chciał jej puścić, Brandt złamał biedakowi szczękę i tak znalazł się w szwajcarskim więzieniu.

Mówił po angielsku, więc zapytałem go, skąd zna ten język. Odparł, że uczył się z radia BBC, kiedy zajmował się przemytem, i od polskiej dziewczyny, która studiowała lingwistykę. Dałem mu

paczkę papierosów. Odpalał jeden od drugiego, aż zrobił z niewielkiej sali widzeń komorę gazową. No więc, jakie masz dla nas informacje? - zapytałem w końcu.

Jako Łotysza, powiedział na wstępie, nie wiąże go obowiązek lojalności wobec Moskwy. Dorastał pod tyrańskimi rządami parszywych Rosjan, służył parszywym rosyjskim oficerom w marynarce, został wysłany do więzienia przez parszywych Rosjan i był ścigany przez parszywych Rosjan, nie ma więc wyrzutów sumienia, że ich zdradza. Nienawidził Rosjan. Zapytałem go o nazwy statków, na których służył, i wymienił je. Zapytałem go, w jaką broń były wyposażone, i opisał niektóre z najnowocześniejszych maszyn, jakimi wówczas dysponowali. Dałem mu kartkę i ołówek, a on wykonał zadziwiająco dokładne rysunki. Zapytałem go, co wie o łączności. Wiedział bardzo dużo. Był wykwalifikowanym sygnalistą i miał do czynienia z najnowszymi rosyjskimi zabawkami z tej dziedziny, choć minął już rok, odkąd opuścił marynarkę. Zapytałem go, dlaczego chce rozmawiać z Brytyjczykami, a on odparł, że poznał „w Leningradzie paru waszych” - brytyjskich marynarzy podczas wizyty dobrej woli. Zapisałem nazwiska marynarzy i nazwy ich okrętów, wróciłem do siebie i natychmiast wysłałem telegram do Londynu, ponieważ mieliśmy tylko kilka godzin przed planowanym wydaleniem Brandta ze Szwajcarii. Następnego wieczora kapitan morski Brandt był już przesłuchiwany w Surrey. Czekala go nowa niebezpieczna kariera. Znał każdą zatoczkę na południowym wybrzeżu Bałtyku; miał dobrych przyjaciół wśród uczciwych łotewskich rybaków, przemytników, złodziei i niezadowolonych wyrzutków społecznych. Dawał nam coś, na co Londyn po ostatnich porażkach bardzo czekał: szansę utworzenia nowej linii zaopatrzeniowej biegnącej przez północną Rosję i Polskę do Niemiec.

Muszę w tym miejscu zapoznać was z pewnymi faktami dotyczącymi Cyrku i moich wysiłków wybicia się w nim.

Po aferze z Benem nie wiadomo było, czy mnie awansują, czy wyrzucają. Dzisiaj wydaje mi się, że zawdzięczałem zakulisowym interwencjom Smileya więcej, niż mogłem wówczas przypuszczać. Zdany tylko na własną opinię Szeff nie zatrzymałby mnie nawet na pięć minut. Zbiegłem z aresztu domowego, zataiłem informację o związku Bena ze Stefanie i nawet jeśli nie byłem wdzięcznym adresatem miłosnych deklaracji Bena, to przecież wiązano mnie z tą sprawą, więc do diabła ze mną.

- Pomyśleliśmy, że może chciałbyś pracować w British Council - zaproponował wrednie podczas spotkania, nie częstując mnie nawet filiżanką herbaty.

Ale Smiley wstawił się za mną. Prawdopodobnie jako dowódca swej skromnej prywatnej armii tajnych informatorów rozsianych po całej Europie przejrzał moją młodzieńczą impulsywność. Innym powodem, dla którego mnie oszczędzono, była zdrada Billa Haydona - choć wtedy nawet Smiley o niej nie wiedział - którego londyńska placówka zdobywała monopol na działania Cyrku na całym świecie. Ale jeśli baczne oko Smileya nie spoczęło jeszcze na Billu, już wówczas wiedział, że na Piątym Piętrze grasuje „kret”, szpieg Moskwy, i pragnął zebrać grupę oficerów, których wiek i dotychczasowa działalność stawiały poza podejrzeniami. Na szczęście jednym z nich byłem ja.

Na kilka miesięcy odstawiono mnie do lamusa, gdzie harowałem, oceniając i rozprawdzając mało znaczące raporty wśród klientów z Whitehall. Pozbawiony przyjaciół i śmiertelnie znudzony, już zacząłem się poważnie zastanawiać, czy Szeff życzy sobie mojej śmierci, kiedy ku mej wielkiej radości zostałem wezwany do jego biura. W obecności Smileya zaproponował mi posadę w Zurychu, gdzie miałem podlegać tylko staremu kawalerzyście Eddowsowi, który wyznawał zasadę rzucania nowicjuszy na głęboką wodę.

W niespełna miesiąc zainstalowałem się w małym mieszkanku w Altstadt, pracując dwadzieścia cztery godziny na dobę osiem dni w tygodniu. Miałem pod sobą radzieckiego attache morskiego w Genewie, który kochał Lenina, ale jeszcze bardziej pewną francuską stewardesse; czeskiego

handlarza bronią w Lozannie, który przechodził kryzys sumienia w związku z dostarczaniem terrorystom na całym świecie broni i materiałów wybuchowych; milionera z Albanii z willą w St Moritz, który nadstawiał głowę, wracając do ojczyzny i rekrutując swych ziomków, oraz znerwicowanego fizyka z Niemiec Wschodnich związanego z Instytutem Maxa Plancka w Essen, który potajemnie nawrócił się na katolicyzm. Zainstalowałem mikrofonik w polskiej ambasadzie w Bernie i prowadziłem podsłuch rozmów telefonicznych dwóch węgierskich szpiegów w Bazylei. Zacząłem też poważnie angażować się w związek z Mabel. Niedawno przeniesiono ją do sekcji „dłubaczy” i w barze młodszych oficerów często wznoszono jej zdrowie.

Nie zawiodłem zaufania, którym obdarzył mnie Smiley. Dzięki moim wysiłkom w terenie i jego pieczołowitemu strzeżeniu informacji w kraju udawało nam się zebrać ważne materiały, a nawet przekazać je we właściwe ręce, a bylibyście zdziwieni, jak rzadko te dwie rzeczy idą w parze.

Kiedy po dwóch latach pojawiła się dla mnie możliwość przeniesienia do Hamburga na samodzielne stanowisko podporządkowane bezpośrednio placówce londyńskiej, która siłą rzeczy stanowiła ośrodek brytyjskiego wywiadu, Smiley pozwolił mi się starać o tę posadę, mimo zastrzeżeń co do powiększających się wpływów Haydona. Odpowiednio się zareklamowałem, delikatnie przypominając Szefowi o moim marynarskim doświadczeniu. Dopilnowałem, żeby samodzielnie doszedł do wniosku, którego nie wyraziłem tymi słowami, że męczy mnie nadmierna ostrożność Smileya. Poskutkowało. Objąłem placówkę hamburską z polecenia Haydona i tej samej nocy po romantycznej kolacji u Bianchiego Mabel i ja straciliśmy wspólnie dziewictwo.

Poczucie, że wszystko zmierza ku lepszemu, nasiliło się, gdy na liście nowych współpracowników zauważyłem z rozbawieniem, że głównym aktorem w mojej nowej trupie jest niejaki Wolf Dittrich, alias kapitan morski Brandt. Były późne lata sześćdziesiąte. Billowi Haydonowi zostały jeszcze trzy.

Hamburg był zawsze doskonałym miejscem dla Anglika, a jeszcze lepszym dla szpiega. Po spokojnym i malowniczym Zurychu miasto zdawało się kipieć energią i iskrzyć morskim powietrzem. Stare hanzeatyckie więzy z Polską, północną Rosją i krajami nadbałtyckimi wciąż pozostawały żywe. Był tu handel, banki, tak samo jak w Zurychu, ale też transport morski, imigranci i awanturnicy. Wulgarny i zuchwały Hamburg stanowił niemiecką stolicę prostytucji i prasy. A niedaleko rozciągały się tajemnicze równiny Szlezwika-Holsztynu z ich ulewami, czerwonymi farmami, zielonymi polami i skłębionymi chmurami. Każdy człowiek ma swoją cenę. Do dziś sprzedałbym duszę za butelkę piwa z Lubeki, marynowanego śledzia i szklaneczkę sznapsa po męczącym spacerze wzdłuż grobli.

Nowa praca podobała mi się pod każdym względem. Byłem Nedom, wicekonsulem do spraw transportu morskiego; moje skromne biuro mieściło się w ślicznym ceglany domku z mosiężną tabliczką, wystarczająco blisko siedziby konsula generalnego i przezornie odpowiednio daleko. Miałem dwóch pomocników z Admiralicji, którzy odwalali za mnie robotę konsularną i trzymali gęby na kłódkę. Radio i szyfrant byli z Cyrku. I choć nie zaręczyłem się jeszcze, podczas każdej wizyty w Londynie, gdzie jeździłem na konsultacje z Billem lub którymś z jego pomocników, Mabel zawsze znajdowała czas, żeby się ze mną spotkać.

Spotkania z agentami odbywały się w mieszkaniu w Wellingsbuttel, z widokiem na cmentarz. Mieściło się ono nad kwiaciarnią prowadzoną przez parę emerytowanych Niemców, którzy podczas wojny pracowali dla nas. Największy ruch w kwiaciarni panował w niedziele, a w poniedziałek rano kolejka dzieciaków z okolicznych ruder odsprzedawała kwiaty, zakupione poprzedniego dnia. Nigdy nie widziałem bezpieczniejszego miejsca. Przez cały boży dzień mijały nas karawany, furgonetki i konduktory pogrzebowe. Ale w nocy w mieszkaniu było spokojnie dosłownie jak w grobie. Nawet egzotyczna postać kapitana morskiego nie rzucała się w oczy, kiedy w czarnym kapeluszu i ciemnym

garniturze kołyszącym się krokiem niknął w bramie, wymachując teczką komiwojajera, i wspinał się ciężko po schodach do naszych niewinnie wyglądających drzwi z tabliczką „Buro”.

Będę nazywał go Brandtem. Niektórzy ludzie, choć mogą często zmieniać nazwiska, mają tylko jedno.

Ale perłą w mojej koronie była „Margerite” lub jak ją nazywaliśmy po angielsku „Daisy”. Była to piętnastometrowa, poszyta nakładkami łódź rybacka zamieniona w jacht, z mostkiem, kabiną i czterema kojami na forkaasztelu. Wyposażona w bezanmaszt, chroniący przed kołysaniem, miała ciemnozielony kadłub z jasnozieloną okładnicą i biały dach kabiny. Zbudowana została do kamuflażu, a nie prędkości. Przy kiepskim świetle i lekko wzburzonym morzu nie dało się jej dostrzec gołym okiem. Na ekranach radarów prezentowała się niegroźnie, zwłaszcza podczas złej pogody. Bałtyk to złośliwe morze, płytkie i bezpływowo. Nawet przy lekkim wietrze fale robią się wysokie i groźne. Już przy dziesięciu węzłach „Daisy” osiągała maksymalną prędkość, sunąc jak żółw. Jedyną szybką rzeczą, jaką posiadała, była szalupa z silnikiem o mocy pięćdziesięciu koni mechanicznych, przytwierdzona do dachu kabiny jako łódź ratunkowa. Na niej mieli przyplływać i odpływać nasi agenci.

„Daisy” stała w starej wiosce rybackiej Blankenese nad Łabą, kilkanaście kilometrów za Hamburgiem. Czekala tam spokojnie wśród jej podobnych łodzi, wyglądając tak skromnie, jak tylko można było sobie życzyć. W razie potrzeby odpływała z Blankenese w górę rzeki do Kanału Kilońskiego i przy pięciu węzłach pokonywała mozolnie sto dwadzieścia kilometrów dzielących ją od otwartego morza.

Nawigator firmy Decca odbierał sygnały komunistycznych baz na wybrzeżu, ale to robiły wszystkie tego typu urządzenia. Każda rzecz wewnątrz i zewnątrz łodzi była przeciętna i każda z jej trzyosobowych załóg mogła dokonywać napraw we własnym zakresie. Nie byli specjalistami, choć każdy z nich pasjonował się czym innym. Kiedy potrzebowaliśmy fachowców, otrzymywaliśmy pomoc od Royal Navy.

Widzicie więc, że z nowym dynamicznym zespołem, który wspierał mnie z placówki londyńskiej, pełną garścią źródeł, które wystawiały na próbę moją wszechstronność, oraz z „Daisy” i jej załogą miałem wszystko, co szef placówki z domieszką słonej wody we krwi może sobie wymarzyć.

Oczywiście miałem też Brandta.

Dwa lata pracy w Cyrku zmieniły Brandta, choć początkowo trudno mi było ustalić, w jaki sposób. Nie chodziło o to, że - jak zauważyłem - trochę się postarzał i okrzepł, lecz o bezustanną czujność, wieczne skupienie, które kraina wywiadu odbija jak piętno nawet na swych najbardziej beztroskich mieszkańcach. Spotkaliśmy się w mieszkaniu przy cmentarzu. Wszedł. Stał jak wryty i wytrzeszczył oczy. Szczeka mu opadła i wydał z siebie wielki okrzyk rozpoznania. Chwył mnie w objęcia, niemal łamiąc kości. Roześmiał się, aż do oczu napłynęły mu łzy, odsunął się, żeby mi się przyjrzeć i znów przycisnął mocno do czarnego płaszcza. Ale nawet jego spontaniczność była naznaczona czujnością. Widziałem to już u innych agentów.

- Do licha, czemu mi nic nie powiedzieli, Herr Konsul? - zawołał, znów chwytając mnie w objęcia. - Co to za cholerna maskarada? Słuchaj, mamy do zrobienia wielkie rzeczy, rozumiesz? Mamy dobrych ludzi i damy porządnego łupnia cholernym Rosjanom, słyszysz?

- Wiem - powiedziałem, śmiejąc się. - Słyszę.

A kiedy zapadła noc, uparł się, żeby usadzić mnie między zwojami lin w furgonetce i zawieźć z samobójczą prędkością do odległego wiejskiego domu, który kupili mu Anglicy. Pragnął przedstawić mnie swojej grupie, a ja cieszyłem się na to spotkanie. Jeszcze bardziej cieszyłem się z możliwości ujrzenia jego dziewczyny, Belli, ponieważ placówka londyńska z niepokojem śledziła jej niedawne

pojawienie się. Bella miała dwadzieścia dwa

lata i była z nim od trzech miesięcy. Brandt wyglądał na pięćdziesiątkę. Pamiętam, że był środek lata, a w furgonetce pachniało frezjami, które Brandt kupił dla niej na targu.

- To pierwszorzędną dziewczyną - oświadczył dumnie, kiedy wchodziliśmy do domu. - Dobrze gotuje, świetnie się kocha, uczy się angielskiego, wszystko. Hej, Bella, przywiozłem ci nowego chłopaka!

Domy malarzy i marynarzy wyglądają podobnie, dom Brandta nie był wyjątkiem. Urządzony skromnie, lecz swojsko, miał ceglane podłogi i niskie sufity z białymi krokwiemi. Nawet w ciemności zdawał się wpuszczać światło z zewnątrz. Z drzwi frontowych weszliśmy prosto do dużego pokoju. W kominku paliły się szczapy, a okrętowa lampa oświetlała nagi bok dziewczyny, która czytała coś, leżąc na stercie poduszek. Zaintrygowana podniosła się słysząc nasze wejście. Ma dwadzieścia dwa lata, lecz wygląda na osiemnaście, pomyślałem, kiedy mocno uścisnęła dłoń. Była w męskiej koszuli i szortach. Na szyi lśnił złoty amulet, obwieszczający jej przynależność do Brandta: oto moja kobieta, nosi mój znak własności. Ale wszystko: twarz wesołej słowiańskiej wieśniaczki z przejrzystymi szeroko rozstawionymi oczami, wydatnymi kośćmi policzkowymi, ustami, które nawet gdy były nieruchome, zdawały się uśmiechać, długie gołe nogi, których skóra miała ten sam odcień, co złociste włosy, cienka talia, wysokie piersi i pełne biodra, całe to piękne, młode ciało świadczyło, że cokolwiek myślał o tym Brandt, nie mogła należeć do nikogo z jego pokolenia, czy choćby z mojego.

Wstawiła frezje do wazonu i przyniosła czarny chleb, pikle i butelkę sznapsa. Poruszała się z niedbałą kokieterią. Zapewne zdawała sobie sprawę, choć nie jestem tego pewien, jakie wrażenie robi każdy jej gest. Usiadła obok Brandta przy stole, uśmiechnęła się do mnie i objęła go, pozwalając, aby koszula otworzyła się nieco szerzej. Zawładnęła jego ręką. Kontrast pozwolił mi stwierdzić, jak bardzo delikatne są jej dłonie. Brandt rozgadał się na temat siatki, wymieniając nazwiska i adresy agentów, a Bella obserwowała mnie swymi szczerymi oczyma.

- Ned - powiedział Brandt - musimy zdobyć dla Aleksa nowe radio. Rozebrali je, wymienili części, baterie, ale jest do kitu. Do niczego.

Zadzwoił telefon, Brandt przybrał władczy ton.

- Jestem zajęty, OK?... Zostaw paczkę u Stefana. Słuchaj, odezwał się Leonids?

Pokój z wolna zapełniał się ludźmi. Najpierw wszedł energiczny, krzywonogi mężczyzna z obwisłym wąsem. Pocałował Bellę entuzjastycznie, lecz niewinnie w usta, klepnął Brandta w ramię i przypiął się do jedzenia.

- To Kazimirs - wyjaśnił Brandt, szturchając mnie kciukiem. - To łajdak, ale go kocham. W porządku?

- Jak najbardziej - przytaknąłem ochoczo.

Pamiętałem, że trzy lata wcześniej Kazimirs uciekł przez fińską granicę, zabijając po drodze dwóch radzieckich strażników granicznych. Miał bzika na punkcie silników i był najszcześliwszy dłubiąc w maszynach. Ceniono go również jako kuka.

Potem nadeszli bracia Durba, Antons i Alfreds, krępi i zuchwali jak Walińczycy i niebieskoocy jak Brandt. Bracia Durba przyrzekli matce, że nigdy razem nie wypłyną w morze, więc robili to na zmianę. Na „Daisy” najlepiej pływało się we trójkę, lubiliśmy zostawiać miejsce na ładunek i niespodziewanych pasażerów. Po jakimś czasie wszyscy mówili na raz, zasypywali mnie pytaniami, nie czekając na odpowiedzi, śmiali się, pili moje zdrowie, palili, wspominali i knuli. Kazimirs przyznał, że ostatni rejs przed trzema tygodniami był szczególnie nieudany. „Daisy” trafiła na niespodziewany sztorm w Zatoce Gdańskiej i straciła bezan. Antons Durba powiedział, że pod Ujavą

na wybrzeżu łotewskim zgubili we mgle sygnał świetlny. Wystrzelili raketę i przywitała ich grupa szalonych Łotyszy, którzy czekali na plaży jak delegacja ojców miasta! Po dzikim śmiechu i toastach zapadło głębokie nordyckie milczenie, kiedy wszyscy oprócz mnie pograżyli się w tych samych ponurych wspomnieniach.

- Za Valdemarsa - wznosił toast Kazimirs i wypiliśmy za Valdemarsa, członka grupy, który zginął przed pięcioma laty. Bella wzięła kieliszek Brandta i też wypiała, odprawiając oddzielną ceremonię i jednocześnie przyglądając mi się znad kieliszka. - Za Valdemarsa - powtórzyła cicho, a jej powaga była równie czarująca jak uśmiech. Czyżby знаła Valdemarsa? Czyżby był jednym z jej kochanków? A może po prostu piła za jednego z odważnych rodaków, który umarł za sprawę?

Muszę wam trochę opowiedzieć o Valdemarsie - nie o tym, czy przespał się z Bellą, ani w jakich okolicznościach zginął, bo nikt tego nie wie na pewno. Wiadomo tylko, że wysadzono go na brzeg i słuch o nim zaginął. Według jednej wersji udało mu się połknąć kapsułkę z trucizną, według innej wydał rozkaz swemu ochroniarzowi, żeby go zastrzelił, jeśli wpadnie w pułapkę. Ale ochroniarz też zniknął. Poza tym Valdemars nie był jedynym agentem, który zniknął podczas „jesieni zdrady”, jak obecnie nazywali ten okres członkowie grupy. W ciągu następnych kilku miesięcy, w kolejne rocznice śmierci, wznosiliśmy toasty za czterech innych łotewskich bohaterów, którzy zaginęli w niewyjaśnionych okolicznościach w tym samym nieszczęśliwym czasie. Obecnie uważano, że nie trafili ani do partyzantów, ani do lojalnych grup odbiorczych na brzegu, lecz prosto w ręce szefa sekcji łotewskiej w centrali moskiewskiej. Tworzono ostrożnie nowe siatki, ale nadal po pięciu latach piętno tych wydarzeń wciąż prześladowało tych, którzy przetrwali, o czym Haydon raczył mnie powiadomić.

- To bezmyślna banda łajdaków - powiedział z typową dla niego pogardą dla ludzi - a ci, co nie są bezmyślni, są dwulicowi. Nie daj się zwieść ich nordyckiej flegmie i serdeczności.

Myślałem o jego słowach, wciąż dyskretnie obserwując Bellę. Czasem słuchała, wspierając policzek na zaciśniętej pięści, czasem kładła głowę na ramieniu Brandta, oddając się marzeniom, gdy on snuł plany i pił. Ale jej wielkie jasne oczy nie przestawały spoglądać na mnie, badały mnie, Anglika, którego przysłano, żeby kierował ich życiem. Od czasu do czasu jak ciepły kot odrywała się od Brandta i niespiesznie poprawiała coś w swoim wyglądzie: zakładała nogę na nogę, podciągała szorty, splatała kosmyk włosów lub wyciągała z dekoltu złoty amulet i przyglądała się obu jego stronom. Czekałem na ślad porozumienia między nią a resztą grupy, lecz stało się jasne, że dziewczyna Brandta stanowi świętość. Nawet pobudliwy Kazimirs rozmawiał z nią z kamienną twarzą. Poszła po następną butelkę, a potem usiadła obok mnie, wzięła mnie za rękę i otworzyła moją dłoń na stole. Zbadła ją i powiedziała coś do Brandta, który wybuchnął śmiechem. Reszta poszła w jego ślady.

- Wiesz, co powiedziała?

- Niestety nie.

- Mówi, że Anglicy to cholernie dobry materiał na mężów. Jeśli umrę, na moje miejsce weźmie ciebie!

Podeszła do niego i śmiejąc się, wtuliła mu się w ramiona. Nie patrzyła już na mnie. Ja też unikałem spojrzeń w jej kierunku i myślałem o jej przeszłości, którą zrelacjonował placówce londyńskiej kapitan morski Brandt.

Bella urodziła się w chłopskiej rodzinie ze wsi pod Mitawą. Jej ojciec został zastrzelony podczas nalotu bezpieki na tajne zebranie łotewskich patriotów. Był założycielem grupy. Agenci chcieli też zabić dziewczynę, ale uciekła do lasu i przyłączyła się do oddziału partyzantów i wólczegów, którzy przekazywali ją sobie kolejno jeden drugiemu przez całe lato, co chyba jej nie

przeszkadzało. Powoli posuwała się w stronę wybrzeża i w jakiś sposób, który nadal pozostawał dla nas tajemnicą, skontaktowała się z Brandtem. Kapitan, nie racząc powiadomić o tym Londynu, odebrał ją z plaży, kiedy wysadzał na ląd nowego radiooperatora. Poprzedni padł ofiarą załamania nerwowego. Radiooperatorzy są primadonnami każdej siatki. Dopada ich albo załamanie nerwowe, albo półpasiec.

- Wspaniałe chłopaki - entuzjastycznie powiedział Brandt, gdy wiozł mnie do miasta. - Podobają ci się?

- Są wspaniali - przyznałem i mówiłem szczerze, gdyż nie ma lepszego towarzystwa od ludzi, którzy kochają morze.

- Bella chce z nami pracować. Chce zabić tych, co zastrzelili jej ojca. Ja się na to nie zgadzam. Jest za młoda. Kocham ją.

Niežnośnie blady księżyc oświetlał płaskie łąki. W jego świetle widziałem kanciasty profil Brandta, jakby przygotowany na nadchodzącą burzę.

- Znałeś go - zasugerowałem, udając, że próbuję sobie coś przypomnieć. - Jej ojca. Feliksa. Był twoim przyjacielem.

- Pewnie, że znałem Feliksa! Uwielbiałem go! Fantastyczny facet! A ci dranie go zastrzelili.

- Zginął na miejscu?

- Podziurawili go z kałasznikowa. Tak jak wszystkich. Siedmiu mężczyzn. Wszystkich rozstrzelali.

- Są jacyś świadkowie?

- Jeden. Uciekł po tym, co zobaczył.

- Co się stało z ciałami?

- Zabrała je bezpieka. Boją się. Wolą unikać problemów. Rozstrzelali partyzantów, załadowali ich na ciężarówkę i odjechali w diabły.

- Dobrze znałeś jej ojca?

Brandt wykonał zamaszysty ruch ramieniem.

- Feliksa? Był moim przyjacielem. Walczył pod Leningradem, a potem trafił do niemieckiej niewoli. Stalin tego nie lubił. Kiedy jeńcy wracali do domu, wysyłał ich na Syberię, rozstrzeliwał, nie dawał żyć. Ale o co chodzi?

Lecz do placówki londyńskiej dotarła inna historia, choć na razie mówiono o tym tylko szeptem. Szeptano mianowicie, że ojciec Belli był informatorem, zwerbowanym w niewoli na Syberii i wysłanym z powrotem na Łotwę, żeby penetrować grupy partyzantów. Zwołał spotkanie, dał znać swym mocodawcom i kiedy mordowano partyzantów, wymknął się przez okno. W nagrodę pod zmienionym nazwiskiem zarządzał teraz jednym z kołchozów pod Kijowem. Ktoś go rozpoznał, powiedział o tym komuś innemu, a ten ktoś jeszcze komuś. Źródło było niepewne, a sprawdzenie wszystkiego trwałoby bardzo długo.

Więc ostrzeżono mnie. Uważaj na Bellę.

Ostrzeżenie podziałało na mnie deprymująco. W następnym tygodniu widziałem Bellę kilkakrotnie i za każdym razem musiałem spisać swe spostrzeżenia w specjalnym formularzu, który na wyraźne życzenie Londynu wypełniałem po każdym spotkaniu z nią. Umówiłem się z Brandtem w mieszkaniu przy cmentarzu i ku memu przerażeniu przyprowadził ją ze sobą. Powiedział, że tego dnia była w mieście. Wracali teraz do domu na wieś, więc czemu nie?

- Wyluzuj się. Ona nie mówi po angielsku - przypomni mi, śmiejąc się, kiedy zauważył mój niepokój.

Starłem się więc streszczać, a ona, leżąc na sofie, uśmiechała się i słuchała nas, choć głównie

słuchała mnie.

- Moja dziewczyna się uczy - oznajmił z dumą Brandt, głaszcząc ją po plecach, kiedy przygotowywali się do wyjścia. - Kiedyś zostanie profesorem. Nicht wahr, Bella? Du wirst ein ganz grosser Professor, du!

Tydzień później, kiedy przeprowadzałem dyskretną inspekcję „Daisy” w Blankenese, znów zastałem tam Bellę. Ubrana w szorty spacerowała bosą po pokładzie, jakbyśmy planowali rejs po Morzu Śródziemnym.

- Na litość boską, nie możemy zabierać dziewczyn na pokład. Londyn się wścieknie - powiedziałem Brandtowi wieczorem. - Załoga też się wścieknie. Wiesz, jacy są przesądni, kiedy chodzi o obecność kobiet na statku. Ty zresztą też.

Wziął mnie na stronę. Oświadczył, że mój poprzednik nie zgłaszał żadnych obiekcji. Więc dlaczego ja miałbym to robić?

- Bella rozwesela chłopaków - twierdził. - To Łotyszka, Ned, i taki jeszcze dzieciak. Jest dla nich jak siostra, no nie bądź taki!

Kiedy zajrzałem do akt, okazało się, że miał trochę racji. Mój poprzednik, oficer marynarki wojennej, donosił, że Bella jest „zaznajomiona” z „Daisy” i dodał nawet, że „wywiera uspokajający wpływ na załogę jako jej maskotka”. Między wierszami jego raportu o ostatniej misji operacyjnej „Daisy” wyczytałem, że Bella machała im z brzegu na pożegnanie i bez wątplenia w ten sam sposób ich przywitała.

Bezpieczeństwo operacyjne jest zawsze sprawą względną. Nigdy nie sądziłem, że wszystko w organizacji Brandta odbywa się według reguł ustalonych w Sarratt. Zdawałem sobie sprawę, że w klaustrofobicznej atmosferze Centrali łatwo pomylić płataninę kodów, symboli i pseudonimów z życiem. Cambridge Circus to jedno. Grupa wolnych lotewskich patriotów, którzy nadstawiają karku, to drugie.

A jednak obecność niesprawdzonej, niezwerbowanej osoby w samym sercu organizacji, wtajemniczanej w plany i obecnej przy rozmowach, przekraczała wszelkie wyobrażalne granice: i to po zdradzie sprzed pięciu lat. I im bardziej martwiłem się tą sprawą, tym bardziej - jak mi się wydawało - rosło przywiązanie Brandta do dziewczyny. Jego czułości stawały się coraz bardziej obfite, a pieszczoty coraz bardziej demonstracyjne w mojej obecności. Typowe zauroczenie starzejącego się mężczyzny młodą dziewczyną - pisałem do Londynu, jak gdybym miał do czynienia z tuzinami takich spraw.

Tymczasem planowano dla „Daisy” nową misję, której cel miał nam być wyjawiony później. Dwa, trzy razy w tygodniu musiałem wyjeżdżać do domu Brandta, gdzie docierałem po zmroku, i przez kilka godzin siedzieliśmy przy stole, studiując wykresy, mapy meteorologiczne i ostatnie komunikaty obserwacji wybrzeża. Czasem zjawiała się cała załoga, czasem siedzieliśmy tylko we troje. Brandtowi było wszystko jedno. Obejmował i przytulał Bellę, jak gdyby trwali w wiecznej ekstazie, bawił się jej włosami, pieścił jej szyję i raz zapomniał się do tego stopnia, że podczas długiego pocałunku wsunął jej rękę pod koszulę i położył na nagiej piersi. Odwracałem wzrok od tych gorszących scen, a w pamięci zostawało spojrzenie Belli. Zdawało się mówić, że chciałaby, abym to ja ją pieścił, nie Brandt.

- Znałeś go - zasugerowałem, udając, że próbuję sobie coś przypomnieć. - Jej ojca. Feliksa. Był twoim przyjacielem.

- Pewnie, że znałem Feliksa! Uwielbiałem go! Fantastyczny facet! A ci dranie go zastrzelili.

- Zginął na miejscu?

- Podziurawili go z kałasznikowa. Tak jak wszystkich. Siedmiu mężczyzn. Wszystkich

rozstrzelali.

- Sąjacyś świadkowie?

- Jeden. Uciekł po tym, co zobaczył.

- Co się stało z ciałami?

- Zabrała je bezpieka. Boją się. Wolą unikać problemów. Rozstrzelali partyzantów, załadowali ich na ciężarówkę i odjechali w diabły.

- Dobrze znałeś jej ojca?

Brandt wykonał zamaszysty ruch ramieniem.

- Feliksa? Był moim przyjacielem. Walczył pod Leningradem, a potem trafił do niemieckiej niewoli. Stalin tego nie lubił. Kiedy jeńcy wracali do domu, wysyłał ich na Syberię, rozstrzeliwał, nie dawał żyć. Ale o co chodzi?

Lecz do placówki londyńskiej dotarła inna historia, choć na razie mówiono o tym tylko szeptem. Szeptano mianowicie, że ojciec Belli był informatorem, zwerbowanym w niewoli na Syberii i wysłanym z powrotem na Łotwę, żeby penetrować grupy partyzantów. Zwołał spotkanie, dał znać swym mocodawcom i kiedy mordowano partyzantów, wymknął się przez okno. W nagrodę pod zmienionym nazwiskiem zarządzał teraz jednym z kolchozów pod Kijowem. Ktoś go rozpoznał, powiedział o tym komuś innemu, a ten ktoś jeszcze komuś. Źródło było niepewne, a sprawdzenie wszystkiego trwałoby bardzo długo.

Więc ostrzeżono mnie. Uważaj na Bellę.

Ostrzeżenie podziało na mnie deprymująco. W następnym tygodniu widziałem Bellę kilkakrotnie i za każdym razem musiałem spisać swe spostrzeżenia w specjalnym formularzu, który na wyraźne życzenie Londynu wypełniałem po każdym spotkaniu z nią. Umówiłem się z Brandtem w mieszkaniu przy cmentarzu i ku memu przerażeniu przyprowadził ją ze sobą. Powiedział, że tego dnia była w mieście. Wracali teraz do domu na wieś, więc czemu nie?

- Wyluzuj się. Ona nie mówi po angielsku - przypomniał mi, śmiejąc się, kiedy zauważył mój niepokój.

Starłem się więc streszczać, a ona, leżąc na sofie, uśmiechała się i słuchała nas, choć głównie słuchała mnie.

- Moja dziewczyna się uczy - oznajmił z dumą Brandt, głaszcząc ją po plecach, kiedy przygotowywali się do wyjścia. - Kiedyś zostanie profesorem. Nicht wahr, Bel la? Du wirst ein ganz grosser Professor, du!

Tydzień później, kiedy przeprowadzałem dyskretną inspekcję „Daisy” w Blankenese, znów zastałem tam Bellę. Ubrana w szorty spacerowała boso po pokładzie, jakbyśmy planowali rejs po Morzu Śródziemnym.

- Na litość boską, nie możemy zabierać dziewczyn na pokład. Londyn się wścieknie - powiedziałem Brandtowi wieczorem. - Załoga też się wścieknie. Wiesz, jacy są przesądni, kiedy chodzi o obecność kobiet na statku. Ty zresztą też.

Wziął mnie na stronę. Oświadczył, że mój poprzednik nie zgłaszał żadnych obiekcji. Więc dlaczego ja miałbym to robić?

- Bella rozwesela chłopaków - twierdził. - To Łotyszka, Ned, i taki jeszcze dzieciak. Jest dla nich jak siostra, no nie bądź taki!

Kiedy zajrzałem do akt, okazało się, że miał trochę racji. Mój poprzednik, oficer marynarki wojennej, donosił, że Bella jest „zaznajomiona” z „Daisy” i dodał nawet, że „wywiera uspokajający wpływ na załogę jako jej maskotka”. Między wierszami jego raportu o ostatniej misji operacyjnej

„Daisy” wyczytałem, że Bella machała im z brzegu na pożegnanie i bez wątpienia w ten sam sposób ich przywitała.

Bezpieczeństwo operacyjne jest zawsze sprawą względną. Nigdy nie sądziłem, że wszystko w organizacji Brandta odbywa się według reguł ustalonych w Sarratt. Zdawałem sobie sprawę, że w klaustrofobicznej atmosferze Centrali łatwo pomylić plątaninę kodów, symboli i pseudonimów z życiem. Cambridge Circus to jedno. Grupa wolnych łotewskich patriotów, którzy nadstawiają karku, to drugie.

A jednak obecność niesprawdzonej, niezwerbowanej osoby w samym sercu organizacji, wtajemniczanej w plany i obecnej przy rozmowach, przekraczała wszelkie wyobrażalne granice: i to po zdradzie sprzed pięciu lat. I im bardziej martwiłem się tą sprawą, tym bardziej - jak mi się wydawało - rosło przywiązanie Brandta do dziewczyny. Jego czułości stawały się coraz bardziej obfite, a pieszczoty coraz bardziej demonstracyjne w mojej obecności. Typowe zauroczenie starzejącego się mężczyzny młodą dziewczyną - pisałem do Londynu, jak gdybym miał do czynienia z tuzinami takich spraw.

Tymczasem planowano dla „Daisy” nową misję, której cel miał nam być wyjawiony później. Dwa, trzy razy w tygodniu musiałem wyjeżdżać do domu Brandta, gdzie docierałem po zmroku, i przez kilka godzin siedzieliśmy przy stole, studiując wykresy, mapy meteorologiczne i ostatnie komunikaty obserwacji wybrzeża. Czasem zjawiała się cała załoga, czasem siedzieliśmy tylko we troje. Brandtowi było wszystko jedno. Obejmował i przytulał Bellę, jak gdyby trwali w wiecznej ekstazie, bawił się jej włosami, pieścił jej szyję i raz zapomniał się do tego stopnia, że podczas długiego pocałunku wsunął jej rękę pod koszulę i położył na nagiej piersi. Odwracałem wzrok od tych gorszących scen, a w pamięci zostawało spojrzenie Belli. Zdawało się mówić, że chciałaby, abym to ja ją pieścił, nie Brandt.

„Swobodne pieszczoty stają się normą”, pisałem późno w nocy w moim biurze w raporcie dla placówki londyńskiej. A w dzienniku: „Szlak, warunki pogodowe i morskie do zaakceptowania. Czekamy na konkretne rozkazy z Centrali. Morale załogi wysokie”.

Moje własne morale walczyło o przetrwanie, bo jedna katastrofa goniła następną.

Najpierw wypłynęła nieszczęsna sprawa mego poprzednika, emerytowanego komandora podporucznika Royal Navy de Mornay Liptona, odznaczonego Orderem za Wybitną Służbę, bohatera nieregularnych formacji Jacka Arthura Lumleya z czasów wojny. Przez dziesięć lat, aż do mojego przybycia, Lipton grał podwójną rolę: za dnia udawał angielskiego idiotę w monoklu, który krąży po klubach ekspatriantów rzekomo w poszukiwaniu darmowych porad inwestycyjnych. Po zapadnięciu nocy zakładał kapelusz tajniaka i szedł do pracy, odbywając rozmowy ze swą potężną armią agentów. Taka przynajmniej legenda krążyła w Centrali.

Zastanawiało mnie jedno: kiedy przejmowałem po nim stanowisko, nie zorganizowano formalnego spotkania. Szef wyjaśnił tylko lapidarnie, że Liptona wysłano z misją gdzie indziej. Teraz wyjawiono mi prawdę. Lipton wyjechał, ale nie z brawurową misją w głąb Rosji, lecz na południe Hiszpanii, gdzie z byłym kapralem kawalerii Kennethem zbudował sobie dom za środki Cyrku: dwa tysiące funtów głównie w złotych sztawkach i frankach szwajcarskich, które rzekomo wypłacał przez kilka lat swym dzielnym agentom.

To smutne odkrycie rzucało cień na każdą operację mającą jakikolwiek związek z Liptonem, w tym nieuchronnie na grupę Brandta. Czy Brandt też należał do fikcyjnych agentów Liptona, czerpiąc korzyści w zamian za sprytnie sfabrykowane materiały? A współpracownicy, którymi się tak chełpił, przyjaciele, z których wielu pobierało słone pensyjki?

A Bella - czy i Bella należała do tej mistyfikacji? Czy Bella zawracała mu w głowie i osłabiała

wolę? Czy i Brandt przed emeryturą mościł sobie gniazdko z ukochaną na południu Hiszpanii?

Przez drzwi mojego skromnego biura przeszedł cały korowód ekspertów z Cyrku. Pierwszym był nieprawdopodobny człowiek, kapitan Plum. Ślęczeliśmy z nim w mieszkaniu przy cmentarzu nad starymi rachunkami za paliwo i rejestrami przebytych kilometrów, porównując je z niebezpiecznymi szlakami, które Brandt i jego załoga ponoć przemierzali podczas swych bałtyckich misji. Dzienniki pokładowe były skrótowe, jak większość dzienników pokładowych, ale przeczytaliśmy je wszystkie, łącznie z materiałami Pluma na temat przechwyconych sygnałów, stacji radarowych, boi nawigacyjnych i dostrzeżonych radzieckich łodzi patrolowych.

Plum wrócił tydzień później, tym razem w towarzystwie Rose'a, byłego malajskiego policjanta o niewyparzonej gębie, który pochodził z Manchesteru i zyskał sobie reputację najbardziej zajadłego tropiciela służb wywiadowczych. Rosę przesłuchiwał mnie tak, jakbym to ja należał do spisku. Ale kiedy już miałem wybuchnąć, rozbroił mnie mówiąc, że na podstawie dostępnych dowodów organizacji Brandta nie można nic zarzucić.

Lecz w umysłach tego typu ludzi raz zaistniałe podejrzenia rodzą następne, i znak zapytania nad ojcem Belli nie zniknął. Rozumowano, że skoro ojciec był zdrajcą, córka musiała o tym wiedzieć. A jeśli wiedziała i milczała, w takim razie sama była zdrajczynią. Centrala moskiewska tak jak Cyrk znana jest z rekrutowania całych rodzin. Zespół ojciec-córka był jak najbardziej prawdopodobny. Wkrótce bez żadnych solidnych podstaw placówka londyńska zaczęła wysuwać tezę, że to Feliks był odpowiedzialny za wpadkę sprzed pięciu lat.

W sposób nieunikniony rzuciło to jeszcze bardziej ponure światło na osobę Belli. Zaczęto mówić o sprowadzeniu jej do Londynu i przesłuchaniu, lecz wówczas zainterweniowałem ja jako przełożony Brandta. Niemożliwe, przekonywałem placówkę londyńską. Brandt nigdy na to nie przystanie. Doskonale, nadeszła odpowiedź - typowa dla wojowniczej postawy Haydona - więc sprowadź ich razem i Brandt będzie mógł być obecny przy przesłuchaniu. Tym razem uznałem za stosowne osobiście udać się do Londynu i przedstawić sprawę Billowi w cztery oczy. Kiedy wszedłem do jego gabinetu, leżał rozciągnięty na kanapie: pozwalał sobie na dziwactwo niesiadywania przy biurku. W starym słoiku z brązowego szkła paliło się kadzidełko.

- Może brat Brandt nie jest tak choleryczny, jak myślisz, panie Ned - powiedział oskarżycielskim tonem, patrząc na mnie zza okularów. - Może to ty jesteś taki?

- Zadurzył się w niej - oznajmiłem. - A ty?

- Jeśli zaczniemy w jego obecności oskarżać tę dziewczynę, wpadnie w furję. On żyje dla niej. Powie nam, żebyśmy poszli do diabła i rozwiązali siatkę, a wątpię, czy ktoś inny mógłby ją poprowadzić.

Haydon zamyślił się.

- Bałtycki Garibaldi. No proszę. Ale przecież Garibaldi nie był znowu tak cholernie dobry? - Czekał na moją odpowiedź, ale ja wolałem przyjąć, że postawił pytanie retoryczne. - Ci faceci, z którymi żyła w lesie - wycedził w końcu. - Mówi o nich czasem?

- W ogóle nie wraca do tego okresu. Brandt tak, ale ona nie.

- Więc o czym mówi?

- Właściwie o niczym. Ważne rzeczy mówi zwykle po łotewsku, a Brandt tłumaczy na angielski, jeśli uzna to za stosowne. Poza tym tylko uśmiecha się i patrzy.

- Na ciebie?

- Na niego.

- Ładna z niej babka, co?

- Jest atrakcyjna. Tak. Znow się zamyślił.

- Wynika z tego, że jest ideałem - oświadczył. - Uśmiecha się, tylko patrzy, nie mówi dużo i pieprzy się. Czego jeszcze można chcieć? - Znów spojrzał na mnie figlarnie znad okularów. - Chcesz powiedzieć, że nie mówi nawet po niemiecku? Musi mówić, skoro stamtąd pochodzi. Nie bądź głupi.

- Kiedy nie ma innego wyjścia, niechętnie używa niemieckiego. Mówienie po łotewsku jest wyrazem patriotyzmu. Z niemieckim sprawa ma się inaczej.

- Ładne cycki?

- Niezłe.

- Nie mógłbyś się do niej trochę bardziej zbliżyć? Oczywiście bez burzenia miłosnej sielanki. Zależy nam tylko na odpowiedziach na kilka podstawowych pytań. Żadnych dramatów. Czy nie jest podstawiona, czy to brat Brandt podrzucił ją do gniazda jak kukułcze jajo, czy może centrala moskiewska? Zobacz, co ci się uda z niej wyciągnąć. On nie jest jej prawdziwym ojcem, chyba o tym wiesz? Nie mógłby nim być.

- Kto? - Przez chwilę wydawało mi się, że Haydon nadal mówi o Brandcie.

- Jej ojciec. Feliks. Ten, którego podobno rozstrzelano. Rolnik. Według dokumentów urodziła się w styczniu czterdziestego piątego roku, prawda?

- Tak.

- Ergo została poczęta gdzieś koło kwietnia czterdziestego czwartego. A wtedy - jeśli mamy wierzyć bratu Brandtowi - jej ojciec marniał w obozie jenieckim w Niemczech. Nie powinniśmy być w tej sprawie zbyt pruderyjni. Bez wielkiego trudu można zajść w ciążę, kiedy mąż przebywa w niewoli. Tak czy owak, każdy najmniejszy szczegół pomoże nam w podjęciu decyzji, czy zlikwidować siatkę, której czas prawdopodobnie już się skończył.

Tej nocy byłem wdzięczny Mabel za towarzystwo, choć jeszcze nie dotarliśmy się jako kochankowie, na czym tak bardzo nam zależało. Ale oczywiście nie powiedziałem jej nic o sprawie, a już na pewno nic na temat Belli. Jako dziewczyna z sekcji „dłubaczy” Mabel reprezentowała analityczną stronę Cyrku. Byłoby chyba niewłaściwe, gdybym podzielił się z nią moimi problemami. Co innego, gdybyśmy byli po ślubie. Tymczasem jednak Bella musiała pozostać moją tajemnicą.

I pozostała. Kiedy wróciłem do samotnego łóżka w Hamburgu, myślałem o Belli i głównie o niej. Stanowiła podwójną tajemnicę: jako kobieta i potencjalna zdrajczyni, przez co stawała się dla mnie źródłem niemal nieograniczonego niebezpieczeństwa. To nie była już marginalna postać naszej organizacji, lecz jej przeznaczenie. Jej los był naszym losem. Jeśli Bella była czysta, taka też była siatka. Ale jeśli zaprzedała się innej służbie wywiadowczej, była podwójną agentką, która miała na celu kusić, osłabić i wreszcie zdradzić nas, wtedy my wszyscy wokół niej byliśmy zbrukani, a czas grupy, jak to ujął Haydon, już się skończył.

Zaniknąłem oczy i ujrzałem jej wzrok skierowany na mnie, słoneczny i kuszący. Poczułem miękkość jej powitalnych pocałunków, które zawsze, jak mi się wydawało, trwały o ułamek sekundy dłużej, niż wymagała tego grzeczność. Wyobrażałem sobie jej gibkie ciało w różnych pozach i obracałem je raz za razem w myślach, a jednocześnie rozważałem możliwość podwójnej gry. Przypominałem sobie sugestię Haydona, żeby „się do niej zbliżyć” i odkryłem, że nie jestem w stanie rozdzielić poczucia obowiązku od żądzy.

Powtórzyłem w myślach historię jej ucieczki, kwestionując każdy jej etap. Czy wyniknęła się przed strzelaniną, czy w trakcie? W jaki sposób? Czy kochanek z bezpieki ostrzegł ją na czas? Czy w ogóle kogoś rozstrzelano? I czemu nie opłakiwała ojca dłużej, tylko wskoczyła do łóżka Brandta? Nawet jej szczęście świadczyło przeciw niej. Wyobrażałem ją sobie w lesie z bandą rzezimieszków. Czy każdy z nich brał ją, gdy przyszła mu ochota, czy może współżyła trochę z jednym, trochę z drugim? Wyobrażałem ją sobie nagą w lesie i siebie nagiego obok niej. Obudziłem się zawstydzony i

zamówilem poranną rozmowę z Mabel.

Czy rozumiałem siebie? Wątpię. Niewiele wiedziałem o kobietach, zwłaszcza o pięknych kobietach. Jestem pewien, że nie przyszło mi do głowy, iż szukanie wad Belli mogło być próbą osłabienia jej erotycznego wpływu. Zależało mi, żeby nie robić skoków w bok, i codziennie pisałem do Mabel. Tymczasem skoncentrowałem się na nadchodzącej misji „Daisy”. Uważałem to zadanie za doskonałą okazję gruntownego przesłuchania Belli. Pogoda pogarszała się, co „Daisy” lubiła najbardziej. Jesienią noce były coraz dłuższe, a „Daisy” lubiła też ciemność.

„Załoga ma być przygotowana do odplynięcia w poniedziałek”, brzmiał pierwszy sygnał placówki londyńskiej. Drugi nadszedł dopiero w piątek wieczorem i podał cel rejsu: Zatoka Narewska w północnej Estonii, niespełna dwieście kilometrów na zachód od Leningradu. Jeszcze nigdy „Daisy” nie zapuszczała się tak daleko w głąb rosyjskich wód; bardzo rzadko wykorzystywano ją do wsparcia dysydentów spoza Łotwy.

- Dałbym dużo, żeby z wami popłynąć - wyznałem Brandtowi.

- To zbyt niebezpieczne, Ned - odparł, klepiąc mnie po plecach. - Przez cztery dni byś chorował, leżał na koi, zawadzał nam, nie ma mowy!

Obydwaj wiedzieliśmy, że to niemożliwe. Centrala zafundowała mi raz nocny rejs wokół Bornholmu, ale nawet wtedy czułem się, jakby mi rwano zęby.

W nocy z soboty na niedzielę zebraliśmy się w domu Brandta. Kazimirs i Antons Durba przyjechali razem furgonetką. Tym razem to Antons miał wypłynąć w morze. Przy tak małej załodze każdy musiał wiedzieć wszystko, aby każdego można było zastąpić. Nie było już mowy o piciu. Od tej pory pełna abstynencja. Kazimirs przywiózł homary. Przyrządzał jakąś wyszukaną potrawę w sosie, z którego sływał, pomagała mu Bella: przynosiła, wynosiła i stanowiła dekorację. Kiedy zjedliśmy posiłek, sprzątnęła ze stołu, a ja rozłożyłem mapy pod wiszącą lampą.

Brandt dostał sześć dni. W wersji optymistycznej. Z Kieler Förde „Daisy” miała wypłynąć w pełne morze, mijając Bornholm od szwedzkiej strony. Po dotarciu do Gotlandii łódź powinna zawinąć do Sundre na jej południowym krańcu, uzupełnić paliwo i prowiant. Kiedy będą to robić, podejście do nich dwóch mężczyzn, a jeden z nich zapyta, czy mają śledzie. Odpowiedzą: „Tylko w puszkach. W tych wodach od lat nie ma śledzi”. Tego typu rozmowy brzmią idiotycznie, a ta przyprawiła Antonsa i Kazimirsa o atak nerwowego śmiechu. Z kuchni wróciła Bella i dołączyła do towarzystwa.

Jeden z tych mężczyzn zapyta, czy wezmą go na pokład, mówiłem dalej. Był ekspertem - nie dodałem, że w dziedzinie sabotażu, ponieważ załoga miała mieszane uczucia na ten temat. Podczas rejsu mają zwracać się do niego Wołodia. Wołodia będzie miał ze sobą skórzaną walizkę, a w kieszeni płaszczka dwa guziki - brązowy i biały - jako dowód tożsamości. Gdyby nie reagował na imię Wołodia, nie miał ze sobą walizki ani guzików, mają wysadzić go żywego na lądzie i natychmiast wrócić do Kilonii, a także przesłać radiogram o uzgodnionej treści. W przeciwnym razie w ogóle nie powinni nadawać żadnych sygnałów. Na chwilę zapadło milczenie. Usłyszałem bose stopy Belli na ceglanej podłodze: poszła po drewno do kominka.

Z Gotlandii ruszą na północny wschód przez wody międzynarodowe, trzymając się środka Zatoki Fińskiej. Potem staną na redzie przy wyspie Gogland, gdzie przeczekają do zmierzchu, a następnie ruszą na południe do Zatoki Narewskiej i postarają się przed północą dotrzeć na miejsce.

Przywiozłem ze sobą mapy zatoki w dużej skali i fotografie piaszczystego wybrzeża. Rozłożyłem je na stole. Mężczyźni stanęli obok mnie, żeby się im przyjrzeć. Tymczasem coś kazało mi podnieść wzrok i ujrzałem Bellę zwiniętą w kłębek w kącie pokoju. Wpatrywała się we mnie rozpalonymi w blasku ognia oczami.

Pokazałem im punkt na plaży, gdzie dopłynie szalupa, oraz punkt na nabrzeżu, gdzie powinni wypatrywać sygnałów świetlnych. Grupa płynąca do brzegu ma założyć okulary ultrafioletowe, bo estońska grupa odbiorcza będzie nadawać sygnały lampą ultrafioletową. Gołym okiem nic nie będzie widać, powiedziałem. Po wysadzeniu na ląd pasażera z walizką, szalupa musi zaczekać najwyżej dwie minuty na ewentualną wymianę, po czym na pełnych obrotach wrócić do „Daisy”. Szalupe powinien obsługiwać tylko jeden z członków załogi, na wypadek, gdyby w drodze powrotnej trzeba było zabrać pasażera. Wyrecytowałem hasła rozpoznawcze, które miały być wypowiedziane podczas spotkania z grupą odbiorczą, ale tym razem nikt się nie śmiał. Podałem im stopień nachylenia plaży docelowej. Poinformowałem, że noc będzie bezksiężycowa. Liczyliśmy też na przewidywany sztorm. Bella przyniosła herbatę. Ocierała się o nas bezwiednie, rozstawiając kubki. Zupełnie jakby zaprzęgała swój seksapil do naszej sprawy. Kiedy podeszła do Brandta, który nadal ślęczał nad mapą plaży, pomasowała jego szerokie plecy obydwoma rękami, jak gdyby napełniała go swą młodzieńczą siłą.

Wróciłem do domu o piątej rano, lecz nie myślałem o śnie. Po południu pojechałem z Brandtem i Bellą do Blankenese jego furgonetką. Antons i Kazimirs spędzili na łodzi cały dzień. Byli ubrani w czapki z pomponami i nieprzemakalne spodnie. Na pokładzie wietrzyły się pomarańczowe kapoki. Ściskając każdemu po kolei dłoń, rozdałem wszystkim kapsułki z czystym cyjankiem. Padał drobny kapuśniaczek; na nabrzeżu nie było żywej duszy. Brandt podszedł do schodni, lecz kiedy Bella chciała pójść za nim, zatrzymał ją.

- Nie - rozkazał. - Zostań z Nedom.

Była ubrana w jego stary płaszcz i wełnianą czapkę z nausznikami, którą zapewne miała na sobie w dniu, gdy się poznali. Pocałował ją, a ona go objęła. Potem wszedł na pokład, zostawiwszy ją obok mnie. Antons zszedł pod pokład, silnik zakasłał i ożył. Brandt i Kazimirs odcumowali łódź. Nikt już na nas nie patrzył. „Daisy” odplynęła z nabrzeża i spokojnie sunęła w kierunku środka rzeki. Wszyscy trzej stali do nas plecami. Usłyszeliśmy buczek i patrzyliśmy za niknącą za zasłoną szarej mgły łodzią.

Jak porzucone dzieci poszliśmy, trzymając się za ręce, do zaparkowanej furgonetki Brandta. Milczeliśmy. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Obejrzałem się, żeby po raz ostatni spojrzeć na „Daisy”, ale mgła już ją pochłonięła. Zerknąłem na Bellę i zauważyłem, że jej oczy są wyjątkowo błyszczące i że szybko oddycha.

- Nic mu nie będzie - zapewniłem ją. Puściłem jej dłoń, gdy otwierałem samochód. - Są bardzo doświadczeni. To wspaniały człowiek. - Nawet po niemiecku brzmiało to dość głupio.

Wsiadła do furgonetki i znów wzięła mnie za rękę. Jej palce zdawały się żyć własnym życiem w mojej dłoni. Zbliży się do niej, namawiał mnie Haydon. W ostatnim telegramie obiecałem mu, że się postaram.

Początkowo jechaliśmy w zgodnym milczeniu, połączeni i rozdzieleni wspólnymi doświadczeniami. Prowadziłem ostrożnie, ponieważ byłem spięty, lecz nadal trzymałem ją pocieszająco za rękę. Kiedy musiałem pewniej chwycić kierownicę, zauważyłem, że nie cofnęła ręki, lecz czekała na moją dłoń. Nagle ogarnęła mnie panika: dokąd ją zabrać? Odczuwałem absurdalny lęk. Pomyślałem o eleganckiej restauracji z wyłożonymi boazerią wnękami, gdzie zabierałem niektórych moich agentów. Starsi wiekiem kelnerzy daliby jej poczucie bezpieczeństwa, którego potrzebowała. Ale przypomniałem sobie, że Bella ubrana jest w płaszcz Brandta z bai, dżinsy i kalosze, a ja sam nie lepiej. Więc dokąd? - myślałem z przerażeniem. Robiło się późno. Przez mgłę widać było zapalające się w domach światła.

- Jesteś głodna? - zapytałem. Położyła mi dłoń na udzie.

- Poszukamy jakiejś restauracji? Wzruszyła ramionami.

- Chcesz wracać do domu Brandta?

- Po co?

- Chodzi mi o to, jak zamierzasz spędzić następne kilka dni. Co robiłaś, kiedy wyjechał poprzednio?

- Odpoczywałam od niego - odpowiedziała ze śmiechem, którego się po niej nie spodziewałam.

- No to powiedz mi, jak chciałabyś spędzić ten czas - zapytałem z odrobiną zniecierpliwienia. -

Wolisz zostać sama, czy spotykać się z innymi emigrantami? Co ci najbardziej odpowiada?

- Nieważne - odparła, odsuwając się ode mnie.

- Powiedz. Pomóż mi.

- Będę chodzić do kina, po sklepach, czytać gazety, słuchać muzyki. Będę próbowała się uczyć.

Będę się nudzić.

Zdecydowałem się na mieszkanie przy cmentarzu. Przypomniałem sobie, że w lodówce jest jedzenie. Nakarmię ją, napoję i skłonię do rozmowy. Potem albo sam odwiozę ją do domu Brandta, albo zamówię taksówkę.

Wjechaliśmy do miasta. Zaparkowałem dwie przecznice wcześniej i wziąłem ją pod rękę. Szliśmy chodnikiem wysadzonym drzewami. Zrobiłbym to samo, prowadząc każdą kobietę ciemną ulicą, ale wyczuwając jej nagie ramię pod rękawem, poczułem lekkie zaniepokojenie. Nie znałem tej dzielnicy. W oświetlonych oknach domów ludzie rozmawiali i śmiali się, jakbyśmy w ogóle nie istnieli. Chwyła mnie za rękę i przyciągnęła ją do piersi. Wyczuwałem jej kształt pod warstwą ubrania. Przypomniałem sobie dowcipy z Cyrkowych barów o pewnych oficerach, którzy zdobyli najlepsze informacje w łóżku. Haydon pytał mnie, czy Bella ma ładne cycki. Odsunąłem rękę zawstydzony.

Doszliśmy do bramy przy cmentarnym murze. Otworzyłem ją i wpuściłem Bellę przed sobą, a ona odwróciła się i pocałowała mnie - najpierw w jedno, potem w drugie oko - trzymając moją głowę w dłoniach. Objąłem ją w talii i odniosłem wrażenie, że jest lekka jak piórko. Była bardzo szczęśliwa. Zauważyłem, że uśmiecha się w żółtym cmentarnym świetle.

- Oprócz nas - szepnęła podekscytowana - nikt nie żyje.

Wyprzedziłem ją na schodach. W połowie drogi spojrzałem za siebie, żeby upewnić się, czy idzie za mną. Bałem się, że się rozmyśli. Bałem się - nie dlatego, że nie miałem doświadczenia, bo zdobyłem je dzięki Mabel - ale dlatego, że nigdy nie znałem takiej kobiety. Stała tuż za mną, trzymając w rękach buty. Uśmiechała się.

Otworzyłem przed nią drzwi. Wkroczyła do środka i znów mnie pocałowała, śmiejąc się radośnie, zupełnie jakbym przeniósł ją przez próg w dniu ślubu. Przypomniałem sobie, że Rosjanie nigdy nie witają się przez próg i Łotysze zapewne też, zatem być może jej pocałunki były pewnego rodzaju uroczystym odczynianiem uroków. Zapytałbym ją o to, ale nie mogłem wydobyć głosu. Zaniknąłem drzwi. Przeszedłem przez pokój, żeby włączyć grzejnik, stary elektryczny konwektor. Miał on to do siebie, że gdy w pokoju było zimno, wydmuchiwał ciepłe powietrze z ogromnym wigorem, lecz później robił to nierównomiernie, jak drzemiący stary pies.

Wyszedłem do kuchni po wino. Kiedy wróciłem, nie było jej w pokoju. Spod drzwi do łazienki wydobywało się światło. Ułożyłem na stole starannie noże, widelce, łyżki, ser, wędlinę, szklanki, papierowe serwetki i wszystkie rzeczy, które wpadły mi do głowy. Chowałem się za stwarzającym dystans rytuałem gościnności.

Drzwi do łazienki otworzyły się i pojawiła się w płaszczu Brandta, który pełnił rolę szlafroka. Sądząc po gołych nogach, pod spodem miała niewiele więcej. Uczesała sobie włosy. W

bezpiecznych mieszkaniach zawsze trzymamy szcztokę i grzebień dla gości.

Pamiętam, co sobie wtedy pomyślałem: jeśli jest tak zła, jak sądzi Haydon, postępuje naprawdę niktzemnie, zdradzając Brandta w jego własnym płaszczu. A dla mnie było straszne, że wybrała właśnie mnie, i to wtedy, gdy moi agenci odbywali niebezpieczną misję z kapsułkami trucizny w kieszeniach. Nie miałem jednak poczucia winy. Wspominam o tym, aby wyjaśnić, że chcąc ostudzić pożądanie, myślałem o różnych sprawach.

Pocałowałem ją i zdjąłem z niej płaszcz. Nigdy przedtem, ani nigdy potem nie widziałem kogoś równie pięknego. Prawda jest taka, że nie umiałem jeszcze rozróżniać prawdy od piękna. Były dla mnie jednym i tym samym, więc odczuwałem wobec niej tylko podziw. Jeśli podejrzewałem ją o coś, to widok tego nagiego ciała przekonał mnie o jej niewinności.

O tym, co się stało później, niech mówią obrazy, które zachowałem w pamięci. Nawet teraz, wspominając tamte chwile, widzę dwoje innych ludzi, a nie nas.

Naga Bella przy słabym świetle ognia leży na boku jak wtedy, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ją w domu Brandta. Przynoszę z sypialni kołdrę.

- Jesteś taki piękny - szepcze.

Nie przyszło mi do głowy, że ja także budzę jej podziw.

Bella przy oknie. Światło z cmentarza zamienia jej ciało w doskonały posąg, zabarwia skórę na złoto i pokrywa jej piersi delikatnym wzorem.

Bella całuje twarz Neda, setki drobnych pocałunków, które pobudzają go do życia. Bella śmieje się ze swego nieskończonego piękna i naszych splątanych ciał. Zamienia śmiech w miłość, czego nigdy jeszcze nie zaznałem, aż każda cząstka naszych ciał staje się przedmiotem celebracji, który trzeba osobno wyczuwać, wypieścić i podziwiać.

Bella odsuwa się od Neda, żeby oddać mu siebie, odchyła głowę, przyjmuje go i nieprzerwanie coś szepcze. Rozpoczyna szczytowanie, wygina się łukiem do tyłu i nagle wydaje z siebie okrzyk, który kieruje do mnie i do umarłych. Jest w tej chwili najbardziej żywą z istot na ziemi.

Ned i Bella wreszcie spokojni, stoją przy oknie i spoglądają na cmentarz.

Mówię jej o Mabel i że, moim zdaniem, jestem jeszcze za młody, żeby się żenić.

- Zawsze jest za wcześnie - odpowiada i znów zaczynamy się kochać. Bella w wannie ze mną.

Opieram się o kran naprzeciw niej, a ona pieści mnie delikatnie pod wodą i opowiada o swym dzieciństwie.

Bella na kołdrze, wsuwa moją głowę między nogi.

Bella nade mną, ujeżdża mnie.

Bella klęczy nade mną, jej tajemniczy ogród znajduje się wprost przed moją twarzą, a ona zabiera mnie w miejsca, których nigdy sobie nie wyobrażałem, nawet wtedy, gdy leżałem na swym nieszczęsnym pojedynczym łóżku, marząc wielokrotnie o tej chwili i próbując w swej niewiedzy odpędzić nieznane.

W przerwach widać Neda drzemiącego na piersiach Belli, nietknięte jedzenie na stole, który nakryłem, by ukryć się za zasłoną gościnności. Z rozjaśnionym od miłości umysłem pytam ją o wszystko, co ma zaspokoić ciekawość Billa Haydona i moją własną.

Odwiozłem ją do domu i dotarłem do siebie około siódmej rano. Już drugą dobę nie miałem ochoty na sen, usiadłem więc i spisałem raport ze spotkania. Wciąż czułem się jak w raj, i długopis tylko śmigał po papierze. Nie było wiadomości z „Daisy”, ale też żadnych nie oczekiwałem. Wieczorem dostałem wstępny raport o rejsie. Łódź minęła Kilonię i zmierzała do Kieler Fôrde. Za parę godzin miała wpłynąć na pełne morze. Tego wieczora byłem umówiony na spotkanie z niemieckim dziennikarzem, a rano na spotkanie w konsulacie. Udało mi się jednak w zawołowanej

formie przekazać Belli nowiny przez telefon i obiecałem, że wkrótce do niej przyjadę. Bardzo jej zależało na tym, żebym odwiedził ją w domu Brandta.

Chciała, żeby wszystkie miejsca, w których będziemy się kochać, przypominały jej o mnie, kiedy wróci Brandt. Przypuszczam, że fakt, iż nie znalazłem w tym nic niestosownego ani paradoksalnego, jest dowodem otumanienia miłością. Razem tworzyliśmy nowy świat, w którym chciała zostać, kiedy już zostaną jej odebrany. To wszystko. Była dziewczyną Brandta. Nie oczekiwała ode mnie niczego prócz miłości.

Kiedy przyjechałem, od razu poszliśmy do podłużnego salonu, gdzie tym razem ona nakryła do stołu. Usiedliśmy przy nim nadzy, bo tak chciała. Chciała oglądać mnie wśród znajomych mebli. Później kochaliśmy się w ich łóżku. Powinienem być się wstydzić, ale czułem tylko podniecenie, że wpuściła mnie do naj intymniej szych miejsc ich życia.

- To są jego szczotki - powiedziała. - To są jego ubrania, leżysz po jego stronie łóżka. - Któregoś dnia zrozumie, co to wszystko znaczy, pomyślałem. Przyszła mi do głowy ponura myśl: a może jest to przyjemność, którą czerpie ze zdrady?

Nazajutrz wieczorem miałem odwiedzić w Lubece starego Polaka, który nawiązał potajemną korespondencję ze swym siostrzeńcem z Warszawy. Chłopaka szkolono do pracy szyfranta w polskich służbach dyplomatycznych, a chciał szpiegować dla nas w zamian za paszport do Australii. Placówka londyńska zastanawiała się nad bezpośrednim kontaktem z nim. Wróciłem do Hamburga i spałem jak kamień. Następnego ranka, kiedy pisałem jeszcze raport, nadszedł sygnał z Londynu z wiadomością, że „Daisy” uzupełniła paliwo w Sundre i płynęła teraz do Zatoki Fińskiej z Wołodią na pokładzie. Zadzwoiłem do Belli i powiadomiłem ją, że misja nadal przebiega pomyślnie. - Przyjedź do mnie - poprosiła.

Spędziłem cały ranek na posterunku policji na Reeperbahn, wyciągając z tarapatów parę pijanych brytyjskich marynarzy, którzy zdemolowali burdel, a popołudnie na potwornie nudnej herbatce zorganizowanej przez żony konsulów na rzecz Tygodnia Więźnia Politycznego. Żałowałem, że marynarze nie zdemolowali również tego burdelu. Do domu Brandta dotarłem o ósmej wieczorem i poszliśmy prosto do łóżka. O drugiej nad ranem zadzwonił telefon, który odebrała Bella. Z biura wzywał mnie mój kryptolog: bardzo pilna depesza z ostatniej chwili. Musiałem natychmiast wracać. Pędziłem jak szalony i dotarłem do biura w ciągu czterdziestu minut. Kiedy usiadłem nad księgami szyfrów, zdałem sobie sprawę, że zapach Belli wciąż pozostaje na moich rękach i twarzy.

Szyfrogram przesłał Haydon do rąk szefa placówki w Hamburgu. Szalupa z „Daisy” została ostrzelana z wcześniej przygotowanych pozycji. Nie wiadomo, co się stało z jej załogą, czyli z Antonsem Durbą i jego pasażerem oraz tymi, którzy czekali na plaży. Ani słowa o estońskich patriotach. Załoga „Daisy” dostrzegła ultrafioletowe sygnały świetlne z brzegu, lecz tylko jedną pełną serię uzgodnionego kodu. Przyjęto, że grupę estońską aresztowano, gdy tylko zwabiła szalupę do brzegu. Historia znana sprzed pięciu lat. Radio awaryjne w Tallinie nie odpowiadało.

Nie wolno mi było nikomu przekazać tych informacji. Miałem wrócić do Londynu pierwszym porannym samolotem. Już zarezerwowano dla mnie miejsce. Na Heathrow miał na mnie czekać Toby Esterhase. Napisałem odpowiedź i wręczyłem szyfrantowi, który przyjął ją bez słowa. Wie o nas, pomyślałem. To jasne. Zadzwoił do domu Brandta. Odebrała Bella. Resztę mógł wyczytać z mojej twarzy, albo równie dobrze wszystko z niej wywąchać.

Tym razem w gabinecie Haydona nie paliło się kadzidełko. Bili siedział przy biurku. Roy Bland, szef sekcji wschodnioeuropejskiej siedział obok niego po jednej stronie, a Toby Esterhase po drugiej. Funkcja Toby’ego nigdy nie była dokładnie sprecyzowana. Wolał, żeby tak pozostało, w nadziei, że w ten sposób zyska w oczach niedoinformowanych. W rzeczywistości jednak był

klakierem Haydona i za tę rolę przyszło mu później słono zapłacić. Ze zdziwieniem ujrzałem tam również George'a Smileya, który siedział z nieszczęśliwą miną na krawędzi kanapy Haydona, choć symbolikę tej pozycji zrozumiałem dopiero trzy lata później.

- To robota kogoś z wewnątrz - oznajmił Haydon bez zbędnych wstępów. - Cała misja z góry była skazana na niepowodzenie. Jeśli Durba nie poszedł na dno z łodzią, to pewnie już wszystko z niego wycisnęli. Wołodia nie wie zbyt wiele, ale mu to nie pomoże, bo przesłuchujący nie uwierzą mu, a będzie musiał wyjaśnić, skąd miał koszyk pełen materiałów wybuchowych. Może połknął truciznę, chociaż wątpię - to ciamajda.

- Gdzie jest Brandt? - zapytałem.

- Pod lupą w Sarratt i ryczy jak byk. Gdzieś ktoś musiał sypnąć. Pytamy Brandta, czy to przypadkiem nie on. A jeśli nie on, to kto? Przecież to dokładna kalka katastrofy sprzed pięciu lat. Każdego członka załogi maglujemy osobno.

- Gdzie jest „Daisy”?

- W Helsinkach. Wysłaliśmy tam marynarzy. Dostali rozkazy, żeby wypłynąć dziś wieczorem. Finowie nie chcą, żeby się wydało, że udzielają schronienia ludziom, którzy drażnią rekina. To będzie cholerny cud, jeśli nie dowie się o tym wszystkim prasa.

- Rozumiem - powiedziałem bezmyślnie.

- Świetnie, boja nie. Co mamy teraz zrobić? Powiedz nam. Trzydziestu bałtyckich agentów czeka na każde twoje słowo. Co masz im do powiedzenia? Pożegnasz? Przeprosisz? Zachowasz się naturalnie i będziesz udawać, że jesteś bardzo zajęty? Wszystkie propozycje zostaną z wdzięcznością rozpatrzone.

- Bracia Durba nie wiedzieli o estońskiej siatce - zaprotestowałem. - Antons nie może zdradzić czegoś, o czym nie wie.

- Więc kto zdradził Antonsa, na litość boską? Kto zdradził misję, termin, miejsce, współpracowników? Kto nas wrobił? Zadaliśmy Brandtowi to samo pytanie. Myśleliśmy, że wspomni o Belli, tej bałtyckiej zdzirze. A on na to, że zdrajcą musi być jeden z nas, bezczelny cham.

Haydon był wściekły, a swoją furię wymierzył we mnie. Nie zdawałem sobie sprawy, że letarg może zamienić się w tak gwałtowny gniew. Mimo to nadal mówił spokojnie swym nosowym, arystokratycznym akcentem. Potrafił się opanować nawet w chwili złości, co czyniło go jeszcze bardziej przerażającym.

- Więc co masz nam do powiedzenia? - nalegał.

- O czym?

- O niej, złotko. O seksownej Miss Łotwy. - Trzymał w ręku raport ze spotkania, który sporządziłem po naszej pierwszej wspólnej nocy. - Chryste, prosiłem o zwykłą opinię, a nie o cholerny hymn pochwalny.

- Myślę, że jest niewinna - powiedziałem. - To zwykła wiejska dziewczyna. Oto moja opinia. Sądzę, że Brandt się z nią zgodzi. Odpowiedziała na moje pytania, przedstawiła mi wiarygodny życiorys.

Haydon odzyskał humor. Potrafił to zrobić w jednej chwili. Był pociągający, a jednocześnie odpychający. Pamiętam to doskonale. Krygował się na wszystkie sposoby, grając na emocjach innych, ponieważ sam ich nie miał.

- Większość szpiegów przedstawia wiarygodne życiorysy - odparł, przerzucając strony mojego raportu. - W każdym razie ci lepsi. Nie uważasz, Tobe? - zwrócił się do Esterhase'a.

- Oczywiście, Bili. Masz całkowitą rację - odparł Esterhase pochlebca.

Pozostali też dostali kopie raportu. Zapoznawali się z nim w ciszy, zatrzymując się dłużej na

fragmentach zaznaczonych przez Haydona. Roy Bland podniósł głowę i wbił we mnie wzrok. Kiedyś Bland był jednym z moich wykładowców w Sarratt. Pochodził z północy Anglii, był profesorem i wiele lat spędził za żelazną kurtyną, prowadząc przykrywkową działalność akademicką. Mówił z charakterystycznym akcentem swoich stron.

- Bella przyznaje, że jej ojciec nie był prawdziwym ojcem, zgadza się, Ned? Jej matkę zgwałcili Niemcy i zaszła w ciążę, więc Bella jest pół-Niemką z pochodzenia. Czy tak?

- Tak, Roy. Tak mi powiedziała.

- Więc kiedy jej ojciec, jak go nazywa, kiedy Feliks wrócił z obozu jenieckiego i usłyszał, co się stało, zaadoptował dziecko, Bellę. To ładnie z jego strony. Powiedziała ci to z własnej woli. Nie robiła z tego tajemnicy. Zgadza się, Ned?

- Zgadza się, Roy.

- Więc czemu, kurwa, nie opowiedziała tej samej historyjki Brandtowi?

Sam zadałem jej to pytanie, więc mogłem od razu odpowiedzieć.

- Kiedy sprowadził ją na Zachód, obawiała się, że nie weźmie jej, gdy się dowie, że nie jest prawdziwą córką jego najlepszego przyjaciela. Wtedy jeszcze nie byli kochankami. Proponował jej opiekę i utrzymanie. Bała się. Przedtem żyła w lesie. Po raz pierwszy trafiła na Zachód. Jej ojciec nie żył, więc potrzebowała kogoś, kto jej go zastąpi.

- Czyli Brandta? - zapytał chytrze Bland.

- Oczywiście.

- A nie uważasz za cholernie dziwne, Ned, że Brandt nie znał prawdy o niej? - zapytał triumfalnie. - Skoro Brandt był bliskim przyjacielem jej ojca, jak sam twierdzi, musiał o tym wiedzieć. To pewne, Ned!

Wtrącił się Smiley. Żeby mi pomóc, jak sądziłem.

- Bardzo możliwe, że Brandt wie, Roy. Czy powiedziałbyś córce najlepszego przyjaciela, że jest bękartem spłodzonym przez niemieckiego żołnierza, gdybyś sądził, że ona o tym nie wie? Ja bym tego nie zrobił. Starałbym się ją uchronić przed prawdą. Zwłaszcza gdyby ojciec nie żył, a ja kochałbym się w jego córce.

- Akurat się w niej kocha - zachnął się Haydon, przewracając kolejną stronę raportu. - Brandt to stary lubieżnik. A kim jest ten Tadeo, o którym ciągle mówi? „Tadeo widział ciała ładowane na ciężarówkę. Tadeo mówi, że ciało ojca wrzucili jako ostatnie. Strzelano im głównie w głowę, lecz ojcu podziurawili klatkę piersiową i brzuch, ogień maszynowy niemal przeciął go na pół”. Chryste Panie, jak na delikatne dziewczę doprawdy nie szczędzi szczegółów, jeśli może sobie pomóc.

- Tadeo był jej pierwszym kochankiem - wyjaśniłem.

- Jesteśmy zazdrośni, co? - zapytał Haydon, pobudzając do śmiechu obydwu siedzących obok niego satrapów.

Ale nie Smileya. I nie mnie.

- Poznała Tadeo w szkole - mówiłem dalej. - Kazano mu trzymać straż przed domem, kiedy trwało spotkanie, lecz on kochał się z Bellą na pobliskim polu. Dlatego zdołała uciec. Tadeo kazał jej uciekać i powiedział, o kogo ma pytać, kiedy dotrze do partyzantów. Zanim do niej dołączył, ukrył się w domu obok i widział, co się dzieje. To wszystko jest w moim raporcie.

- I oczywiście Tadeo, co jest jej bardzo na rękę, nie żyje - wtrącił Toby Esterhase z charakterystycznym szyderczym uśmiechem. - Powiedziałbym, że z rolą świadka w historii Belli wiąże się spore ryzyko.

- Został zastrzelony przez strażnika granicznego - powiedziałem. - Nie miał nawet zamiaru przekraczać granicy. Prowadził rekonesans. Bella odnosi wrażenie, że wszyscy, których się dotknie,

umierają - dodałem, bezwiednie wspominając Bena.

- W tej kwestii może mieć rację - stwierdził Haydon.

Wydawało mi się, że Roy Bland stanął teraz po mojej stronie, a ja odnosiłem coraz silniejsze wrażenie, że znajduję się na ławie oskarżonych.

- Pamiętajmy, że Tadeo mógł mówić prawdę, lecz mylić się co do śmierci Feliksa. Może agenci sfingowali jego śmierć. W końcu wrzucili go na ciężarówkę na końcu. W tej rzeźni bez trudu mógł się zakrwawić. Nie musieli wylewać na niego ketchupu. Krew mieli na miejscu.

Smiley poparł argumenty Blanda. Zacząłem żałować, że tak bardzo starałem się, by nie trafić pod jego skrzydła.

- Czy postać ojca jest naprawdę aż tak ważna, Bili? - zapytał. - Feliks może być największym Judaszem w historii i jednocześnie mieć najbardziej niewinną córkę, prawda?

- Też tak myślę - wtrąciłem. - Bella podziwia swego ojca. Chętnie o nim mówi. Szanuje go. Wciąż opłakuje jego śmierć.

Pamiętałem, jak wyglądała przez okno na cmentarz i z jaką determinacją celebrowała dar życia. Nie chciałem wierzyć, że przez cały czas udawała.

- W porządku - rzucił niecierpliwie Haydon, podsuwając mi dużą fotografię. - Nie powinniśmy ci tego pokazywać, ale zaufamy ci. Co u diabła mamy o tym sądzić?

Było to nieostre zdjęcie, duże powiększenie. Chyba fotografia fotografii. W górnym lewym rogu przystemplowano na czerwono jedno słowo „Czarnoksiężnik”, najtajniejsze źródło placówki londyńskiej, o czym skądinąd było mi wiadomo.

Przestroga Toby'ego Esterhase'a potwierdziła moje przypuszczenia.

- Nigdy nie widziałeś tego zdjęcia - powiedział nad ramieniem Haydona, z protekcyjnością, z jaką traktuje się młodych. - Nigdy nie widziałeś słowa „Czarnoksiężnik”. Kiedy wyjdiesz z tego pokoju, twój umysł całkowicie się oczyści. Całkowicie.

Zdjęcie przedstawiało grupę młodych mężczyzn i kobiet ustawionych na tle czegoś, co wyglądało jak koszary lub uniwersytecki campus. Jakieś sześćdziesiąt osób. Byli ubrani po cywilnemu: mężczyźni w garnitury i krawaty, a kobiety w białe bluzki z wysokimi kołnierzykami i długie spódnice. Po jednej stronie stała grupa starszych mężczyzn i kobieta o wyglądzie wiedźmy. Nastrój, podobnie jak ubrania, budynki i tło, był ponury.

- Drugi rząd w chórze, trzecia z prawej - naprowadził mnie Haydon, podając szkło powiększające. - Ładne cycki, jak mówiłeś.

To była Bella, nie miałem żadnych wątpliwości. Bella o trzy lub cztery lata młodsza, z włosami zaczesanymi do tyłu - w koczek, jak się domyślałem. Szeroko rozstawione jasne oczy, szeroki uśmiech i wydatne kości policzkowe, które tak uwielbiałem.

- Czy Bella wspominała ci kiedyś w waszym gniazdku, że studiowała w szkole językowej w Kijowie? - zapytał mnie Haydon.

- Nie.

- Czy w ogóle podawała ci jakieś informacje, gdzie się uczyła, poza lekcjami, których Tadeo udzielił jej w sianie?

- Nie.

- Ta kijowska uczelnia to raczej szkółka wakacyjna. Nie ma się czym chwalić. Chyba że podczas przesłuchania. Teoretycznie jest to szkoła dla przyszłych tłumaczy, lecz obawiam się, że w praktyce służy jako wylęgarnia przyszłych współpracowników centrali moskiewskiej. Szkoła należy do centrali, centrala zapewnia jej kadre i centrala zbiera śmietankę. Ci gorsi trafiają do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, tak samo jak u nas.

- Brandt widział to zdjęcie? - zapytałem. Zrobił poważną minę.

- Chyba żartujesz? Brandt nienawidzi nas, jak oni wszyscy.

- Czy mogę zobaczyć się z Brandtem?

- Nie liczyłbym na to.

- Czyli nie? - Nie.

- „Czarnoksiężnik” był również autorem raportu na temat ojca Belli?

- Pilnuj swego nosa, do cholery - odpowiedział, lecz zauważyłem zdziwienie w oczach Toby'ego

i wyczułem, że idę dobrym tropem.

- Centrala moskiewska zawsze robi zdjęcia grupowe swych przyszłych agentów? - zapytałem

ośmielony, a Smiley podniósł głowę i spojrzał w moją stronę, co odebrałem jako gest poparcia.

- My robimy zdjęcia w Sarratt - odparł Haydon. - Więc czemu oni mieliby ich nie robić?

Poczułem, jak pot spływa mi po plecach i wiedziałem, że głos mi się łamie. Ale brnąłem dalej.

- Zidentyfikowano kogoś na tym zdjęciu?

- A tak, w rzeczy samej.

- Kogo?

- Nieważne.

- Jakich języków się uczyła?

Haydon miał mnie już dość. Wzniósł oczy ku niebu, jak gdyby błagał o dar cierpliwości.

- Oni wszyscy uczą się angielskiego, złotko, jeśli o to pytasz - wycedził i opierając brodę na

dłoni, posłał Smileyowi długie spojrzenie.

Nie jestem jasnowidzem i nie mogłem wiedzieć, co działo się między tymi dwoma mężczyznami

lub co już zaszło. Ale nawet z perspektywy czasu jestem pewien, że i wówczas odniosłem wrażenie,

jakbym stanął między dwoma wrogimi obozami. Nawet do kogoś tak oddalonego od polityki Centrali

jak ja dochodziły odgłosy toczącej się bitwy: słyszałem, jak wielki X minął na korytarzu wielkiego

Y, rzucając tylko „dzień dobry”; o tym, jak A nie chciał usiąść przy tym samym stole co B w

stołówce. I o tym, jak placówka londyńska Haydona stawiała się państwem w państwie, pochłaniając

regionalne oddziały, przejmując sekcje specjalne, obserwatorów, specjalistów od podsłuchu, aż po

tak skromne istoty jak listonosze, którzy przesiadywali w zaparowanych sortowniach, lojalnie

otwierając listy nad wrzątkiem gotowanym bez przerwy w garnkach. Sugerowano nawet, że

prawdziwa walka tytanów trwa między Billem Haydonem i Szefem, który sam nazywał się Nadzorcą,

a Smiley, jako podczasy Nadzorcy, reprezentował bardziej stronę swego pana niż Haydona.

Ale sugerowano również, że Smileyowi grozi banicja, czy - żeby ująć to bardziej delikatnie -

myśli o pracy na uniwersytecie, żeby móc poświęcić więcej czasu żonie.

Haydon spojrzał na Smileya bez troski, lecz to bez troskie spojrzenie wkrótce zmieniło się w

lodowate. Czekał na reakcję. Cała reszta też czekała. Sytuacja robiła się krępująca, gdyż Smiley nie

odwzajemniał jego spojrzenia. Zachowywał się jak ktoś, kto nie odpowiada na pozdrowienie.

Siedział na kanapie z uniesionymi brwiami, przymkniętymi powiekami i przechyloną głową.

Sprawiał wrażenie, jakby przyglądał się perskiej macie, która stanowiła kolejną dziwną ozdobę

gabinetu Billa. I po prostu nie przestawał się w nią wpatrywać, jak gdyby nie wiedział, że Haydon

czeka, my zaś - nawet ja - wiedzieliśmy, że makatka wcale go nie interesuje. W końcu wydał policzki

i zmarszczył brwi z dezaprobatą. Wreszcie wstał, ale nie gwałtownie, George nigdy nie musiał

posuwać się tak daleko - i zebrał swoje papiery.

- No cóż, myślę, że na tym skończymy, prawda, Bili? - powiedział. - Za godzinę Nadzorca ma

spotkanie z indoktrynowanymi oficerami, jeśli pozwolisz. Spróbujemy wyrobić sobie jakiś pogląd.

Ned, mam do ciebie jedną sprawę w związku z Zurychem. Może wpadniesz do mnie, kiedy Bili

z tobą skończy.

Dwadzieścia minut później siedziałem w biurze Smileya.

- Wierzysz w tę fotografię? - zapytał, nie udając nawet, że chodzi mu o Zurych.

- Chyba muszę.

- Dlaczego? Zdjęcia można fałszować. Istnieje coś takiego jak dezinformacja. Wiemy, że centrala moskiewska para się tym od czasu do czasu. Zniżają się nawet podobno do kompromitowania niewinnych ludzi. Mają cały wydział, który zajmuje się tylko tym. Liczy około pięciuset oficerów.

- Ale dlaczego chcą zrobić Bellę? Dlaczego nie wybrali Brandta lub kogoś z jego załogi?

- Co Bili kazał ci zrobić?

- Nic. Powiedział, że w swoim czasie otrzymam rozkazy.

- Nie odpowiedziałeś na jego pytanie. Sądzisz, że powinniśmy rozwiązać siatkę?

- Trudno powiedzieć. Jestem tylko lokalnym ogniwem. Siatka jest prowadzona bezpośrednio przez placówkę londyńską.

- Mimo to.

- Nie możemy eksfiltrować trzydziestu agentów. Rozpętałibyśmy wojnę. Skoro linie zaopatrzeniowe są spalone, a szlaki ewakuacyjne zamknięte, nie wiem, co w ogóle możemy dla nich zrobić.

- No to po nich - raczej stwierdził, niż zapytał. Na biurku dzwonił telefon, ale nie odbierał go. Nie przestawał patrzeć na mnie z pełną współczucia troską. - A jeśli rzeczywiście jest już po nich, Ned, musisz pamiętać, że to nie przez ciebie - dodał życzliwie. - Nikt się nie spodziewa, że samotnie pokonasz centralę moskiewską. Może to wina Piątego Piętra, a może moja. Ale na pewno nie twoja.

Odprowadził mnie do drzwi. Zamykając je za sobą, usłyszałem, jak telefon przestał dzwonić.

Tej samej nocy wróciłem do Hamburga. Bella sprawiała wrażenie uradowanej, kiedy do niej zadzwoniłem, i zmartwiła się, że nie przyjadę do niej natychmiast.

- Gdzie jest Brandt? - zapytała. Nie miała pojęcia o możliwości podsłuchu telefonicznego. Powiedziałem, że z Brandtem wszystko w porządku, całkowicie. Rozmawiając z nią miałem wyrzuty sumienia, że wiem tak dużo, a ona tak niewiele. Musiałem zachowywać się wobec niej naturalnie. Haydon przykazał mi: „Rób wszystko tak jak przedtem, a nawet lepiej. Nie chcę, żeby się czegoś domyśliła”. Miałem jej też przekazać, że Brandt ją kocha, podobno na to nalegał. Domyślałem się, że prosił też o spotkanie ze mną, a przynajmniej miałem taką nadzieję, przecież mu ufałem i odpowiadałem za niego.

Próbowałem nie użalać się nad sobą, gdy wokół mnie rozgrywało się tyle o wiele większych tragedii. Jeszcze kilka dni temu sprawowałem pieczę nad Brandtem i jego załogą. Byłem ich rzecznikiem i mistrzem. Teraz jeden z nich nie żył, albo jeszcze gorzej, a resztę mi odebrano. Siatka, choć pracowała dla Londynu, stanowiła moją drugą rodzinę. Teraz sprawiała wrażenie niedobitków armii duchów, niemożliwych do ułowienia i unoszących się między życiem a śmiercią.

Najgorsze ze wszystkiego było poczucie nieładu. W głowie kłębił się tuzin sprzecznych teorii i po kolei skłaniałem się ku każdej z nich. Zapewniałem siebie, że Bella jest niewinna, o czym przekonywałem Haydona, chwilę potem zastanawiałem się, w jaki sposób kontaktowała się ze swoimi mocodawcami. Odpowiedź na to była bardzo prosta. Bella robiła zakupy, chodziła do kina, do szkoły. Mogła spotykać się z kurierami, odwiedzać skrytki korespondencyjne, kiedy tylko chciała.

Ale gdy tylko doszedłem tak daleko, natychmiast stanąłem w jej obronie. Bella nie mogła być zdrajczynią. Fotografia była fałszywa, a historia o jej ojcu o niczym nie świadczyła. Tak twierdził Smiley. Misja mogła być spalona na sto sposobów, bez udziału Belli. Zastosowaliśmy surowe środki ostrożności, choć nie tak surowe, jak bym sobie tego życzył. Mój poprzednik okazał się oszustem. Może nie tylko wymyślał agentów, ale też kilku sprzedał? A nawet jeśli nie, czy sugestia Brandta, że przeciek był po naszej stronie, a nie jego, stanowiła aż taką nedorzeczność?

Nie mam zamiaru wam wmawiać, że młody Ned, leżąc nocą w łóżku, samodzielnie rozwikłał zagadkę zdrady, którą później zdemaskował George Smiley, wykorzystując cały swój spryt. Źródło informacji może być tremą, można je zignorować, doświadczony oficer wywiadu może podjąć niewłaściwą decyzję: wszystko to bez pomocy zdrajcy z Piątego Piętra. Wiedziałem o tym. Nie byłem dzieckiem ani jednym z bladoliczych zwolenników teorii spisku.

Zastanawiałem się jak każdy, kiedy jego lojalność wobec służby wywiadowczej zostaje wystawiona na próbę. Dopasowywałem do siebie kawałki układanki: wszystkie pogłoski, które nieformalną drogą docierały do moich nieupoważnionych uszu. Historie o niewytłumaczalnych klęskach i notorycznych skandalach, o rosnącej irytacji „kuzynów”. O bezsensownych reorganizacjach, bezmyślnej rywalizacji ludzi, którzy dzisiaj są wszechwładni, a jutro idą w odstawkę. Przerażające wiadomości o niekompetencji uważanej za dowód zdrady - i zastraszające dowody zdrady uważanej za brak kompetencji.

Jeśli istnieje coś takiego jak dojrzewanie, można powiedzieć, że w którymś momencie tej nocy zrobiłem skok w głąb dojrzałości. Zdałem sobie sprawę, że Cyrk w znacznej mierze przypomina każdą brytyjską instytucję, tym bardziej że gra toczy się tam za zamkniętymi drzwiami, a pionkami są ludzie. Byłem jednak zadowolony z wniosku, do którego doszedłem. Oddawał mi odpowiedzialność za moje czyny, którą do tej pory zbyt chętnie zrzucałem na barki innych. Do tej pory moja kariera była wieczną bitwą między posłuszeństwem i własną tożsamością. Można powiedzieć, że posłuszeństwo utrzymało przewagę. Lecz tej nocy przekroczyłem również pewną granicę. Postanowiłem, że od tej pory będę zwracał więcej uwagi na własne odczucia i pragnienia, a mniej na pęta, których nie byłem w stanie się pozbyć.

Spotkaliśmy się w mieszkaniu przy cmentarzu. Jeśli istniał gdzieś neutralny grunt, to właśnie tam. Nadal nie wiedziała nic o katastrofie. Powiedziałem jej tylko, że Brandta wezwano do Anglii. Natychmiast zaczęliśmy się kochać, ślepo i łapczywie. Czekałem na rozjaśnienie umysłu po miłosnych rozkoszach i gdy nadeszło, rozpocząłem przesłuchanie.

Zacząłem głaskać japo włosach, wygładziłem je i skrzyłem z tyłu prowizoryczny koczek.

- W ten sposób wyglądasz bardzo poważnie - powiedziałem i pocałowałem ją, nadal przytrzymując włosy zaczesane w kok. - Nosiałaś kiedyś taką fryzurę? - Znów ją pocałowałem.

- Kiedy byłam młodsza.

- To znaczy kiedy? - zapytałem między naszymi złączonymi wargami. - Jeszcze przed Tadeo? Kiedy?

- Zanim znalazłam się w lesie. Tam ścięto mi włosy. Jedna kobieta zrobiła to nożem.

- Masz zdjęcie z taką fryzurą?

- W lesie nie robiliśmy sobie zdjęć.

- Przedtem. Kiedy nosiłaś kok. Usiadła. - Czemu pytasz?

- Powiedz, proszę.

Przyglądała mi się swymi niemal bezbarwnymi oczami.

- W szkole robili nam zdjęcia. I co z tego?
- Grupowe? Klasowe? Jakie zdjęcia? - A co?
- Odpowiedz, Bello. Muszę to wiedzieć.
- Robili nam zdjęcia w klasie i do dokumentów.
- Jakich dokumentów?
- Tożsamości. Do paszportów.

Nie mówiła o paszportach w naszym rozumieniu tego słowa. Chodziło jej o dokument uprawniający do podróży po Związku Radzieckim. Żaden obywatel nie mógł się bez niego ruszyć.

- Zdjęcie twarzy? Nie uśmiechałaś się?

- Tak.

- Co zrobiłaś ze swoim paszportem, Bello? Nie pamiętała.

- W co ubrałaś się do fotografii? - Pocałowałem jej piersi. - Nie chodzi mi o nie. Jakie miałaś na sobie ubranie?

- Bluzkę, krawat. Co za bzdury wygadujesz?

- Posłuchaj mnie, Bello. Czy jest ktoś, sąsiad, szkolny kolega, dawny chłopak, krewny, kto miałby twoją fotografię z zaczesanymi do tyłu włosami? Ktoś, do kogo mogłabyś napisać, z kim można by się ewentualnie skontaktować?

Zastanowiła się przez chwilę, patrząc na mnie.

- Ciotka - odparła cierpko.

- Jak się nazywa? Powiedziała.

- Gdzie mieszka?

- W Rydze, z wujkiem Jankiem. - Chwyciłem kopertę, posadziłem nagą Bellę przy stole i kazałem jej napisać dokładny adres. Potem podałem jej czystą kartkę papieru i podyktowałem list, który tłumaczyła, pisząc.

- Bello - podniosłem ją z krzesła i pocałowałem czule - powiedz mi jeszcze coś. Chodziłaś kiedyś do jakiejś szkoły poza tą na wsi?

Pokręciła głową.

- Do żadnych wakacyjnych szkół? Specjalnych? Językowych? - Nie.

- Uczyłaś się w szkole angielskiego?

- Oczywiście, że nie. Przecież mówiłabym po angielsku. Co ci jest, Ned? Czemu zadajesz mi te głupie pytania?

- „Daisy” wpadła w tarapaty - wyznałem, odwracając się do niej. - Ostrzelano ich. Brandtowi nic się nie stało, ale inni nie uszli cało. Nie mogę powiedzieć ci nic więcej. Jutro razem polecimy do Londynu. Muszą zadać nam jeszcze trochę pytań i dowiedzieć się, co nawaliło.

Zamknęła oczy i zaczęła dygotać. Otworzyła usta i wydała z siebie bezgłośny krzyk.

- Wierzę w ciebie - powiedziałem. - Chcę ci pomóc. I Brandtowi. Mówię prawdę.

Powoli podeszła do mnie i łkając, położyła głowę na moim torsie. Znów była dzieckiem. Być może zawsze nim była. Być może pomagając mi w dojrzewaniu, zwiększyła dystans między nami. Dałem jej brytyjski paszport. Nie miała własnej narodowości. Poprosiłem, żeby została na noc i kiedy leżeliśmy, trzymała się mnie kurczowo, jakby tonęła. Żadne z nas nie spało.

W samolocie trzymała mnie za rękę, ale dzieliły nas już całe kontynenty. Nagle przemówiła tonem, którego nigdy wcześniej nie słyszałem. Był to stanowczy, dojrzały głos smutku i rozczarowania, który przypominał mi głos Stefanie, kiedy wypowiadała swą sybilińską przestrożę na

wyspie.

- Es ist ein reiner Unsinn - powiedziała. To czyste szaleństwo.

- Co takiego?

Zabrała rękę. Nie ze złością, lecz z pewnego rodzaju rezygnacją osoby doświadczonej.

- Każecie im nadstawić karku i czekacie na to, co się wydarzy. Jeśli ujdą z życiem, zostają bohaterami. Jeśli nie, zostają męczennikami. Nie zyskujecie niczego wartościowego, a namawiacie moich rodaków do samobójstwa. Co według was mamy zrobić? Powstanie przeciw rosyjskim ciemiężcom? Czy przyjdziecie nam z pomocą, jeśli spróbujemy? Nie sędzę. Robicie coś, bo nie możecie znieść bezczynności. Myślę, że w ogóle moglibyśmy się bez was obejść.

Nie zapomniałem tego, co powiedziała Bella, gdyż jednocześnie odrzucała moją miłość. Teraz myślę o niej codziennie, gdy słucham wiadomości przed wyprowadzeniem psa. Zastanawiam się, co obiecywaliśmy wówczas tym dzielnym Bałtom i czy tę samą obietnicę teraz tak skrupulatnie łamiemy?

Tym razem na lotnisku czekał Peter Guillam, co przyjąłem z ulgą, gdyż jego atrakcyjna powierzchowność i serdeczność zdawały się ją uspokajać. Jako przyzwoitkę wziął Nancy z grupy obserwatorów. Na tę okazję Nancy przybrała matczyzny wygląd. Poprowadzili Bellę między sobą przez kontrolę paszportową do szarej furgonetki inkwizytorów z Sarratt. Żałowałem, że nikt nie pomyślał i nie przysłał pojazdu o mniej groźnym wyglądzie. Kiedy zobaczyła furgonetkę, zatrzymała się i posłała mi przez ramię oskarżycielskie spojrzenie, lecz Nancy chwyciła ją za ramię i wepchnęła do środka.

W ten sposób uczyłem się, że w burzliwym życiu oficera wywiadu nie zawsze można sobie pozwolić na eleganckie pożegnanie.

Mogę wam tylko powiedzieć, co zrobiłem następnie i czego dowiedziałem się później. Poszedłem do gabinetu Smileya i przez większość dnia próbowałem złapać go między spotkaniami. Protokół wywiadowczy wymagał, bym najpierw zameldował się u Haydona, ale przecież i tak zawiązką wypełniłem jego polecenia, przepytując Bellę, a poza tym podejrzewałem, że w Smileyu znajdę bardziej życzliwego słuchacza. Wysłuchał mnie; zażądał listu Belli i przyjrzał mu się.

- Jeśli wyślemy go w Moskwie i podamy im bezpieczny fiński adres, żeby odpisali, może nam się udać - namawiałem go.

Ale jak to często ze Smileyem bywało, odniosłem wrażenie, że jego myśli wznoszą się na wyżyny, do których ja nie miałem dostępu. Wrzucił list do szuflady i zamknął ją.

- Myślę, że to nie będzie konieczne - stwierdził. - Miejmy w każdym razie taką nadzieję.

Zapytałem go, co zrobią z Bellą.

- Mniej więcej to samo, co z Brandtem - odparł, otrząsając się z zadumy na tyle, by posłać mi smutny uśmiech. - Każą jej opowiedzieć o każdym szczególe życia. Będą próbowali przyłapać ją na kłamstwie, zmęczyć pytaniami. Nie skrzywdzą jej, w każdym razie nie cieleśnie. Nie powiedzą, jakie są zarzuty. Po prostu mają nadzieję, że ją zdemaskują. Większość mężczyzn, którzy opiekowali się nią w lesie, niedawno została zatrzymana. To jej oczywiście nie pomoże.

- A co z nią zrobią później?

- Myślę, że jeszcze możemy zapobiec najgorszemu, choć obecnie trudno zapobiec czemukolwiek - odparł, wracając do swych papierów. - Pora, żebyś stawił się u Billa, prawda? Będzie się zastanawiał, co cię zatrzymało.

Pamiętam wyraz jego twarzy, kiedy mnie odsyłał: malowały się na niej ból i frustracja, połączone

ze złością.

Czy Smiley wysłał list, jak proponowałem? Czy otrzymał zdjęcie, które fałszerze z centrali moskiewskiej wkomponowali do zdjęcia grupowego? Tak byłoby najprościej, lecz w rzeczywistości nic nie jest proste. W każdym razie wolę trwać w przekonaniu, że miałem swój udział w uwolnieniu i wysłaniu Belli do Kanady, co stało się kilka miesięcy później w okolicznościach, które do dziś stanowią dla mnie zagadkę.

Brandt bowiem już jej nie chciał, nie mówiąc nawet o wspólnym wyjeździe. Może Bella powiedziała mu o naszym romansie? A może zrobił to ktoś inny? Nie sądzę, żeby tak było, chyba że Haydon uczynił to z czystej złośliwości. Bili nienawidził wszystkich kobiet oraz większości mężczyzn, a najbardziej lubił manipulować ludzkimi uczuciami.

Brandt też został w końcu oczyszczony i - choć spotkało się to z pewnym oporem Piątego Piętra - wypłacono mu wynagrodzenie, żeby mógł rozpocząć normalne życie. Kupił łódź i popłynął w rejon Bahamów. Znow wrócił do przemytu, tyle że tym razem szmuglował broń na Kubę.

A zdrada? Siatka Brandta po prostu była zbyt skuteczna, jak na gust Haydona, o czym później powiedział mi Smiley. Bili zdradził ją tak, jak poprzednią siatkę, a winą usiłował obciążyć Bellę. Za jego namową centrala moskiewska sfalszowała dowody przeciw niej, a on twierdził, że dostarczył mu ich Merlin, fikcyjny informator stojący rzekomo za materiałami „Czarnoksiężnika”. Smiley deptał już wtedy zdrajcy po piętach i opowiedział o swoich podejrzeniach kierownictwu. Przez to został zesłany na wygnanie - tylko dlatego, że miał rację. Musiały minąć dwa lata, zanim został sprowadzony z powrotem, żeby oczyścić stajnię.

I na tym cała sprawa by się skończyła, gdyby zimą osiemdziesiątego dziewiątego nie rozpoczęła się nasza wewnętrzna pierestrojka. Wtedy to Toby Esterhase, który z każdej katastrofy cudem wychodzi cało, zawiózł delegację naszych agentów średniego szczebla do centrali moskiewskiej, stawiając pierwszy krok na drodze do „normalizacji stosunków między obu służbami”, jak to z uporem nazywało nasze piekielne Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Grupę Toby'ego powitano na placu Dzierżyńskiego i oprowadzono po wielu miejscach, choć zapewne nie pokazano im sal tortur starej Łubianki czy dachu, na którym nieostrożni więźniowie od czasu do czasu tracili równowagę. Toby'ego i jego zespół pojono winem i częstowano smakołykami. Ugoszczono ich iście po słowiańsku. Pokupowali sobie futrzane czapy i przypinali do nich znaczki ze śmiesznymi napisami, robili zdjęcia na placu Dzierżyńskiego.

A ostatniego dnia w specjalnym geście dobrej woli zaprowadzono ich pod eskortą do potężnego centrum łącznościowego radzieckiego wywiadu, gdzie odbiera się i przetwarza raporty wszystkich informatorów. I właśnie tam Toby i Peter Guillam jednocześnie zauważyli w dalszej części korytarza wysokiego, jasnowłosego, potężnego mężczyznę, który wychodził prawdopodobnie z męskiej toalety - w tamtej części korytarza były jeszcze tylko jedne drzwi, które prowadziły do damskiej toalety.

Był to człowiek już niemłody, lecz wymaszerował z toalety jak byk. Zatrzymał się i przez dłuższą chwilę patrzył prosto na nich, jakby nie mógł się zdecydować, czy ich pozdrowić, czy odejść. Wreszcie pochylił głowę i - jak im się zdawało - z uśmiechem odwrócił się od nich, znikając w następnym korytarzu. Zdażyli jednak zauważyć jego marynarski chód i ramiona zapaśnika.

W świecie wywiadu nic nie ginie: zupełnie jak w przyrodzie. Jeśli Toby i Peter nie mylą się - a są tacy, którzy nadal twierdzą, że zwiodła ich rosyjska gościnność - Haydon miał bardzo ważny powód, żeby skierować podejrzenia na Bellę, a nie na kapitana morskiego Brandta.

Czyżby Brandt był trefny od samego początku? Jeśli tak, nieświadomie przyczyniłem się do

zwerbowania go i śmierci naszych agentów. Ta okropna myśl nęka mnie czasem w zimne ranki, kiedy leżę przy Mabel.

A Bella? Myślę o niej jak o ostatniej miłości, jak o zakręcie, którego nigdy nie wziąłem. Stefanie otworzyła we mnie drzwi wątplenia, Bella ukazała wolny świat, kiedy nie było jeszcze za późno. Moje późniejsze kobiety są już tylko cieniem. Mabel, jak myślę, zwabiła mnie czarem domowego ciepła, jak żołnierza, który wraca z frontu. Lecz wspomnienie o Belli zostało w mej pamięci świeże jak podczas naszej pierwszej nocy w mieszkaniu przy cmentarzu. Chociaż w snach zawsze odchodzi ode mnie, a jej plecy zdają się wyrażać niemy wyrzut.

Chce pan powiedzieć, że teraz między nami może się ukrywać kolejny Haydon? - z wrzawy rozległ się głos studenta nazwiskiem Maggs. - Ale jaka byłaby jego motywacja, panie Smiley? Kto miałby mu płacić? I o co by mu chodziło?

Ten Maggs nie podobał mi się od samego początku. Miał pracować pod przykrywką dziennikarza, ale już posiadał wszystkie najgorsze cechy pismaka. Lecz Smiley był niewzruszony.

- No cóż, patrząc z perspektywy czasu, jestem pewien, że mamy wobec Billa ogromny dług wdzięczności - odpowiedział spokojnie. - Zaaplikował zastrzyk organizacji, która zbyt długo znajdowała się w stanie agonalnym. - Jego twarz zmarszczył grymas namysłu. - Co do nowych zdrajców, jestem pewien, że obecna pani premier zrobiła z wielu z nas malkontentów, prawda? Być może jestem jednym z nich. Często zauważam, że z wiekiem staję się coraz większym radykałem.

Ale wiercie mi, wtedy nikt nie myślał o tym, żeby dziękować Billowi.

Działalność Cyrku dzielimy na okres przed „upadkiem” i okres po „upadku”, a upadkiem nazywaliśmy zdemaskowanie Haydona. W całym Cyrku nie było ani jednej osoby, która nie potrafiłaby powiedzieć, gdzie była i co robiła w chwili, gdy usłyszała tę potworną nowinę. Do dziś dnia najstarsi agenci opowiadają o ciszy na korytarzach, zmartwiałych twarzach w stołówce, nie odebranych telefonach.

Najbardziej ucierpiało poczucie zaufania. Stopniowo, jak oszołomione ofiary ataku bombowego, wychylaliśmy się nieśmiało z ruin domów i przystępowaliśmy do odbudowy twierdzy. Uznano za konieczną gruntowną reformę, więc Cyrk porzucił swą starą nazwę i labirynt dickensowskich korytarzy oraz krzywych schodów przy Cambridge Circus, które widziały jego hańbę. Wybudowano obrzydliwą stalowo-szklaną siedzibę niedaleko Dworca Victoria, której okna dziś wylatują przy silnym wietrze, a na korytarzach śmierdzi starą kapustą ze stołówki i korektorem do maszyn do pisania. Tylko Anglicy potrafią ukarać się sami tak potwornym więzieniem. Z dnia na dzień staliśmy się w języku oficjalnym służbą wywiadowczą, choć nazwa Cyrk wciąż od czasu do czasu wymyka nam się z ust, podobnie jak mówimy o funtach, szylingach i pensach długo po decymalizacji.

Nasze zaufanie zostało podkopane, ponieważ Haydon stanowił jego część. Bili nie był hałaśliwym parweniuszem z pistoletem w kieszeni. Był tym, za kogo zawsze się podawał: członkiem establishmentu, z wujami zasiadającymi w komitetach Partii Konserwatywnej, z zaniedbaną posiadłością w Norfolk i dzierżawcami, którzy nazywali go „panem Williamem”. Był nitką precyzyjnie utkanej sieci angielskich wpływów i uważał się za jej środek. W tę sieć nas złapał.

W moim przypadku - wciąż domagam się za to wyróżnienia - o aresztowaniu Billa udało mi się usłyszeć dwadzieścia cztery godziny po dotarciu tej wiadomości do reszty Cyrku, siedziałem bowiem w celi bez okien za szeregiem wielkich komnat w Watykanie. Dowodziłem zespołem szpicli, a naszym przewodnikiem był mnich z zapadniętymi oczami, podesłany nam przez tajne służby Watykanu, które wolałyby pójść do samych Rosjan, niż szukać pomocy u swych świeckich kolegów z

Rzymu. Nasza misja polegała na zainstalowaniu mikrofonu w sali audiencyjnej skorumpowanego katolickiego biskupa, który zaangażował się w wymianę narkotyków za broń z jedną z naszych nieposłusznych kolonii. No i czemu jestem taki tajemniczy? Chodzi o Malte.

Z Montym i jego chłopcami, których specjalnie przysłano samolotem, przeszliśmy na paluszkach przez ciemne lochy, wspinaliśmy się po podziemnych schodach, aż wreszcie dotarliśmy do miejsca, skąd zamierzaliśmy wywiercić małą dziurkę przez warstwę starej zaprawy między kamieniami muru grubego na dziewięćdziesiąt centymetrów. Uzgodniliśmy, że dziura będzie miała średnicę nie większą niż dwa centymetry: na tyle dużą, żeby wsunąć długą plastikową rurkę, którą dźwięk z docelowego pokoju przedostanie się do naszego mikrofonu, i na tyle małą, żeby oszczędzić święte mury papieskiego pałacu. Dzisiaj skorzystalibyśmy z bardziej zaawansowanego technicznie sprzętu, lecz lata siedemdziesiąte były ostatnią dekadą wieku pary i sondy nie wyszły jeszcze z mody. Poza tym nawet przy najlepszych układach nie pokazalibyśmy najnowszych gadżetów oficjalnemu watykańskiemu łącznikowi, nie mówiąc już o mnichu w czarnym habicie, który wyglądał, jakby wyszedł prosto z posiedzenia Świętej Inkwizycji.

Wierciliśmy: Monty wiercił, a mnich się przyglądał. Polewaliśmy wodą rozgrzaną do czerwoności wiertła, a także nasze spocone ręce i twarze. Tłumiliśmy warkot wiertarki płynną pianką i co kilka minut dokonywaliśmy pomiarów, żeby się upewnić, czy przez pomyłkę nie przewierciliśmy się do apartamentu Jego Świątobliwości. Zamierzaliśmy zatrzymać się w odległości centymetra od powierzchni ściany i prowadzić nasłuch od wewnętrznej strony tapety lub tynku.

Ale przewierciliśmy się na wylot, a nawet gorzej. Pośpiesznie pobrana próbka wykazała jedynie obecność egzotycznych włókien jedwabiu. Milczeliśmy zdezorientowani. Może trafiliśmy na jakieś meble? Draperie? Łóżko? Albo rąbek szaty nic nie podejrzewającego prałata? Może w sali audiencyjnej dokonano przemeblowania, odkąd zrobiliśmy tam zdjęcia.

W tej krępującej chwili na mnicha spadło natchnienie i przypomniał sobie, szepcząc z przerażeniem, że kochany biskup kolekcjonował bezcenne gobeliny. Zdaliśmy sobie sprawę, że strzępy materiału, na które patrzymy, nie są kawałkami sofy czy zasłony, ani biskupiego stroju, lecz fragmentami zabytkowych gobelinów. Mnich bąknął coś na przeproszenie i uciekł.

Teraz przenosimy się do starego miasteczka Rye w hrabstwie Kent, gdzie dwie siostry Quayle prowadzą zakład zajmujący się naprawą gobelinów. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności - albo dzięki angielskim koneksjom towarzyskim, przed którymi nie ma ucieczki - ich brat Henry był emerytowanym agentem służb wywiadowczych. Odnaleziono go, siostry wyrwano ze snu i odrzutowiec RAF-u przetransportował je na lotnisko wojskowe w Rzymie, skąd samochód migiem sprowadził je do nas. Wtedy Monty spokojnie wrócił do frontowej części budynku i wypalił rakietę dymną, która oczyściła pół Watykanu i dała naszej wzmocnionej drużynie cztery rozpaczliwe godziny. Wczesnym popołudniem tego samego dnia gobelin został załatany, a nasz mikrofon bezpiecznie zainstalowany.

Przenosimy się znowu, tym razem na uroczysty obiad wydany przez naszych watykańskich gospodarzy. Przy drzwiach stoi groźna warta szwajcarskich gwardzistów. Monty z białą serwetką przy szyi siedzi między statecznymi pannami Quayle i kawałkiem chleba zbiera z talerza resztki cannelloni, racząc współbiesiadniczki opowieściami o sukcesach swojej córki w szkółce jeździeckiej.

- Na pewno tego nie wiesz, Rosie, bo i skąd miałabyś wiedzieć, że moja Beckie ma najsilniejsze ręce jak na swój wiek w całym South Croydon...

Wtem Monty milknie. Czyta notatkę, którą mu podałem, dostarczoną mi przez gońca z naszej placówki rzymskiej: Szef tajnych operacji Cyrku Bili Haydon zeznał, że jest szpiegiem centrali moskiewskiej.

Czasem zastanawiam się, czy nie była to największa zbrodnia Billa: odebrał nam na dobre naszą niefrasobliwość.

Wróciłem do Londynu, gdzie powiedziano mi, że wszystkiego dowiem się w swoim czasie. Kilka dni później Szef poinformował mnie, że od tej pory można mnie wysyłać tylko do krajów sojuszniczych. Zupełnie jakby mi oznajmiono, że resztę życia spędzę w wózku inwalidzkim. Nie zrobiłem nic złego, nie popadłem w niełaskę, wręcz przeciwnie. Ale w naszym fachu cnotą jest kamuflaż, a mój diabli wzięli.

Zebrałem swoje rzeczy z biurka i zrobiłem sobie wolne na resztę dnia. Pojechałem na wieś, choć dotąd nie pamiętam podróży, i spacerowałem po płaskowyżu Sussex, po kredowych wzgórzach o ścianach wysokich na sto, pięćdziesiąt metrów.

Na wyrok musiałem poczekać jeszcze miesiąc.

- Obawiam się, że znów trafisz między emigrantów - oznajmił Szef z charakterystycznym dla niego niesmakiem. - I znów w Niemczech. Pensja niezła. Warunki narciarskie też niezłe, jeśli się zajdzie odpowiednio wysoko.

Zbliżała się północ, lecz każda kolejna herezja wprawiała Smileya w coraz lepszy humor. Pomyślałem, że jest niczym jowialny Święty Mikołaj, który razem z prezentami rozdaje wywrotowe ulotki.

- Czasem wydaje mi się, że najbardziej wstydliwą rzeczą związaną z zimną wojną była łatwość, z jaką nauczyliśmy się chłonać własną propagandę - powiedział z najłagodniejszym ze swych uśmiechów. - Nie chciałbym wpadać w ton dydaktyczny i oczywiście w pewnym sensie nie zdarzyło się to po raz pierwszy w naszej historii. Ale podczas zimnej wojny nasi wrogowie kłamali, bo starali się ukryć potworności swego systemu. Tymczasem my kłamaliśmy, by ukrywać nasze zalety. Nawet przed samymi sobą. Ukrywaliśmy to wszystko, co czyniło naszą sprawę słuszną. Szacunek dla jednostki, umiłowanie różnorodności i demokratycznych sporów, wiarę, że można rządzić tylko za przyzwoleniem obywateli, naszą zdolność tolerowania innych opinii - szczególnie w krajach, które eksploatowaliśmy niemal na śmierć dla własnych celów. W poczuciu rzekomej ideologicznej wyższości złożyliśmy litość i miłosierdzie na ołtarzu wielkiego boga obojętności. Chroniliśmy silnych przed słabymi i uprawialiśmy sztukę kłamstwa publicznego. Zrobiliśmy sobie wrogów z przyzwoitych reformatorów i przyjaciół z najobrzydliwszych despotów. I rzadko zastanawialiśmy się, jak długo można bronić społeczeństwa tymi metodami, by pozostać społeczeństwem, którego warto bronić. - Znów zerknął na mnie. - Nic więc dziwnego, Ned, że w antykomunistycznym szale otworzyliśmy bramy przed wszystkimi możliwymi oszustami i szarlatanami. Mieliśmy takich złoczyńców, na jakich zasłużyliśmy. Ned wie o tym. Zapytajcie Neda.

W tym momencie Smiley ku rozbawieniu zebranych wybuchnął śmiechem, a ja - po chwili wahania - też się roześmiałem i zapewniłem studentów, że kiedyś im o tym opowiem.

Być może załapałicie się na ich przedstawienie. Być może znaleźliście się wśród życzliwej publiczności podczas jednego z wielu porywających występów organizowanych w ramach forsownego tournée po amerykańskim środkowym wschodzie, kiedy ściskali dłonie lokalnych notabli i uczestniczyli w uroczystych kolacjach. Zaproszenie na takie przyjęcie kosztowało sto dolarów, ale wszystkie wykupywano na pniu. Ich występ nazywaliśmy Teodor-Latzi Show. Profesor miał na imię

Teodor.

Być może braliście udział w jednej z niezliczonych owacji na stojąco, gdy nasi dwaj bohaterowie skromnie zajmowali miejsce na środku sceny - wysoki i rozpromieniony profesor w jednym ze swych drogich nowych garniturów zakupionych specjalnie na tournee oraz drobny Latzi, jego puciołowaty milczący towarzysz o płytkich fanatycznych oczach. Przyjmowano ich owacjami, zanim otworzyli usta i kiedy już je na dobre zamknęli. Żaden aplauz nie był wystarczająco głośny „dla tych dwóch amerykańskich Węgrów, którzy samotnie przebili się przez żelazną kurtynę”. Cytat z „Heralda” z Tulsy.

Być może twoja na wskroś amerykańska córka założyła twarzowy węgierski kostium ludowy i wpięła kwiaty we włosy na tę okazję: takie rzeczy też się zdarzały. Być może wysłałeś darowiznę na konto Ligi Wyzwolenia, numer taki a taki w Wilmington. A może przeczytałeś o naszych bohaterach w poczekalni u dentysty, kartkując „Reader’s Digest”?

A może tak jak Peter Guillam, który stacjonował wówczas w Waszyngtonie, miałeś zaszczyt uczestniczyć w wielkiej światowej premierze wystawianej wspólnie przez naszych amerykańskich braci, waszyngtońską policję stołeczną oraz FBI w tak słynnej świątyni prawomyślności jaką jest godny, wyłożony boazerią Hay-Adams Hotel po drugiej stronie placu przed Białym Domem. Jeśli tak, zapewne należysz do grona osób wpływowych. Musiałeś być przynajmniej dziennikarzem z pierwszej ligi lub lobbystą, inaczej nie wpuszczono by cię do dźwiękoszczelnej sali konferencyjnej, gdzie każde bąknięcie miało wagę przykazań z tablic mojżeszowych, a mężczyźni w obszernych bluzach czuwali nad twym bezpieczeństwem i wygodą. Nie wiadomo było bowiem, kiedy Kreml znów uderzy. Takie to były czasy.

A może przeczytałeś książkę podsunętą przez „kuzynów” posłusznemu wydawcy na Madison Avenue i wydaną przy entuzjastycznych fanfarach zachwyconej krytyki, aby przez dwa spektakularne tygodnie okupować miejsce w dolnych partiach listy bestsellerów w kategorii „Literatura Faktu”. Mam nadzieję, że ją przeczytałeś, bo choć ukazała się pod dwoma nazwiskami, ja też dołożyłem do niej swoją cegiełkę, mimo iż Amerykanie nie zgodzili się na mój tytuł. Ukazała się ostatecznie pod tytułem „Kremlowski zabójca”. Mój wyjawię wam później.

Jak zwykle Szeff źle się wyraził. Dla kogoś, kto mieszkał w Hamburgu, Monachium w ogóle nie ma charakteru niemieckiego miasta, lecz tworzy zupełnie samodzielną enklawę. Nigdy nie widziałem nawet cienia pokrewieństwa między tymi miastami, choć Monachium, tak jak Hamburg, jest jedną z nieoficjalnych szpiegowskich stolic Europy. Nawet Berlin nie może się z nim równać pod względem liczebności i aktywności tajnych agentów. Największą i najsurowszą z naszych organizacji było ciało nazywane tak samo jak budynek, w którym się mieściło: Pullach. Tam właśnie o wiele za wcześnie po zakończeniu wojny w Europie Amerykanie umieścili nie budzącą sympatii grupę starych nazistowskich oficerów, podległych byłemu generałowi wojskowego wywiadu Hitlera. Mieli oni za zadanie zbliżyć się do innych dawnych nazistów w Niemczech Wschodnich i przekabacić ich na stronę Zachodu - łapówką, szantażem albo odwoływaniem się do koleżeńskiej solidarności. Amerykanom nigdy nie przyszło do głowy, że Niemcy ze Wschodu robią dokładnie to samo, tyle że działali na większą skalę i z większą skutecznością.

- Czasem wydaje mi się, że najbardziej wstydliwą rzeczą związaną z zimną wojną była łatwość, z jaką nauczyliśmy się chłonać własną propagandę - powiedział z najłagodniejszym ze swych uśmiechów. - Nie chciałbym wpadać w ton dydaktyczny i oczywiście w pewnym sensie nie zdarzyło się to po raz pierwszy w naszej historii. Ale podczas zimnej wojny nasi wrogowie kłamali, bo starali

się ukryć potworności swego systemu. Tymczasem my kłamaliśmy, by ukrywać nasze zalety. Nawet przed samymi sobą. Ukrywaliśmy to wszystko, co czyniło naszą sprawę słuszną. Szacunek dla jednostki, umiłowanie różnorodności i demokratycznych sporów, wiarę, że można rządzić tylko za przyzwoleniem obywateli, naszą zdolność tolerowania innych opinii - szczególnie w krajach, które eksploatowaliśmy niemal na śmierć dla własnych celów. W poczuciu rzekomej ideologicznej wyższości złożyliśmy litość i miłosierdzie na ołtarzu wielkiego boga obojętności. Chroniliśmy silnych przed słabymi i uprawialiśmy sztukę kłamstwa publicznego. Zrobiliśmy sobie wrogów z przyzwoitych reformatorów i przyjaciół z najobrzydliwszych despotów. I rzadko zastanawialiśmy się, jak długo można bronić społeczeństwa tymi metodami, by pozostać społeczeństwem, którego warto bronić. - Znów zerknął na mnie. - Nic więc dziwnego, Ned, że w antykomunistycznym szale otworzyliśmy bramy przed wszystkimi możliwymi oszustami i szarlatanami. Mieliśmy takich złoczyńców, na jakich zasłużyliśmy. Ned wie o tym. Zapytajcie Neda.

W tym momencie Smiley ku rozbawieniu zebranych wybuchnął śmiechem, a ja - po chwili wahania - też się roześmiałem i zapewniłem studentów, że kiedyś im o tym opowiem.

Być może załapałście się na ich przedstawienie. Być może znaleźliście się wśród życzliwej publiczności podczas jednego z wielu porywających występów organizowanych w ramach forsownego tournée po amerykańskim środkowym wschodzie, kiedy ściskali dłonie lokalnych notabli i uczestniczyli w uroczystych kolacjach. Zaproszenie na takie przyjęcie kosztowało sto dolarów, ale wszystkie wykupywano na pniu. Ich występ nazywaliśmy Teodor-Latzi Show. Profesor miał na imię Teodor.

Być może braliście udział w jednej z niezliczonych owacji na stojąco, gdy nasi dwaj bohaterowie skromnie zajmowali miejsce na środku sceny - wysoki i rozpromieniony profesor w jednym ze swych drogich nowych garniturów zakupionych specjalnie na tournée oraz drobny Latzi, jego puciołowaty milczący towarzysz o płytkich fanatycznych oczach. Przyjmowano ich owacjami, zanim otworzyli usta i kiedy już je na dobre zamknęli. Żaden aplauz nie był wystarczająco głośny „dla tych dwóch amerykańskich Węgrów, którzy samotnie przebili się przez żelazną kurtynę”. Cytat z „Heralda” z Tulsy.

Być może twoja na wskroś amerykańska córka założyła twarzowy węgierski kostium ludowy i wpięła kwiaty we włosy na tę okazję: takie rzeczy też się zdarzały. Być może wysłałeś darowiznę na konto Ligi Wyzwolenia, numer taki a taki w Wilmington. A może przeczytałeś o naszych bohaterach w poczekalni u dentysty, kartkując „Reader’s Digest”?

A może tak jak Peter Guillam, który stacjonował wówczas w Waszyngtonie, miałeś zaszczyt uczestniczyć w wielkiej światowej premierze wystawianej wspólnie przez naszych amerykańskich braci, waszyngtońską policję stołeczną oraz FBI w tak słynnej świątyni prawomyślności jaką jest godny, wyłożony boazerią Hay-Adams Hotel po drugiej stronie placu przed Białym Domem. Jeśli tak, zapewne należysz do grona osób wpływowych. Musiałeś być przynajmniej dziennikarzem z pierwszej ligi lub lobbystą, inaczej nie wpuszczono by cię do dźwiękoszczelnej sali konferencyjnej, gdzie każde bąknięcie miało wagę przykazań z tablic mojżeszowych, a mężczyźni w obszernych bluzach czuwali nad twym bezpieczeństwem i wygodą. Nie wiadomo było bowiem, kiedy Kreml znów uderzy. Takie to były czasy.

A może przeczytałeś książkę podsunętą przez „kuzynów” posłusznemu wydawcy na Madison Avenue i wydaną przy entuzjastycznych fanfarach zachwyconej krytyki, aby przez dwa spektakularne

tygodnie okupować miejsce w dolnych partiach listy bestsellerów w kategorii „Literatura Faktu”. Mam nadzieję, że ją przeczytałeś, bo choć ukazała się pod dwoma nazwiskami, ja też dołożyłem do niej swoją cegiełkę, mimo iż Amerykanie nie zgodzili się na mój tytuł. Ukazała się ostatecznie pod tytułem „Kremlowski zabójca”. Mój wyjawię wam później.

Jak zwykle Szef źle się wyraził. Dla kogoś, kto mieszkał w Hamburgu, Monachium w ogóle nie ma charakteru niemieckiego miasta, lecz tworzy zupełnie samodzielną enklawę. Nigdy nie widziałem nawet cienia pokrewieństwa między tymi miastami, choć Monachium, tak jak Hamburg, jest jedną z nieoficjalnych szpiegowskich stolic Europy. Nawet Berlin nie może się z nim równać pod względem liczebności i aktywności tajnych agentów. Największą i najsurowszą z naszych organizacji było ciało nazywane tak samo jak budynek, w którym się mieściło: Pullach. Tam właśnie o wiele za wcześnie po zakończeniu wojny w Europie Amerykanie umieścili nie budzącą sympatii grupę starych nazistowskich oficerów, podległych byłemu generałowi wojskowego wywiadu Hitlera. Mieli oni za zadanie zbliżyć się do innych dawnych nazistów w Niemczech Wschodnich i przekabacić ich na stronę Zachodu - łapówką, szantażem albo odwoływaniem się do koleżeńskiej solidarności. Amerykanom nigdy nie przyszło do głowy, że Niemcy ze Wschodu robią dokładnie to samo, tyle że działali na większą skalę i z większą skutecznością.

Tak więc służba niemiecka miała swą siedzibę w Pullach, a Amerykanie towarzyszyli im, najpierw nakłaniając ich do działania, a później odwołując, gdy się przerazili. Amerykanie nie grzeszyli ostrożnością i co pewien czas wybuchał potworny skandal. Coraz to któryś z ich klaunów zapominał, dla kogo w końcu pracuje, albo pijany w sztok dokonywał łzawej spowiedzi, albo zastrzelił kochankę, kochanka lub samego siebie, albo też pojawiał się podpity po drugiej stronie żelaznej kurtyny, deklarując lojalność tym, którym do tej pory nie był lojalny. W życiu nie widziałem takiego burdelu.

Po Pullach przyszli kryptolodzy i artyści służb bezpieczeństwa, a po nich Radio Wolność, Radio Wolna Europa i Radio Wolne Wszystko Inne - byli to właściwie ci sami ludzie, emigracyjni konspiratorzy, którzy już czuli, że opuszcza ich szczęście, lecz nie śmieli wypowiadać tego na głos. Te wygnańcze instytucje poświęcały mnóstwo czasu dysputom, kto obejmie posadę naczelnika królewskich stajni po przywróceniu monarchii, komu zostanie przyznany Order Świętego Piotra i Jeża, komu przypadnie zarząd letniego pałacu Wielkiego Księcia, kiedy wypłoszy się z jego salonów komunistycznych łachmytów. Albo kto wydobędzie garnek złota zatopiony w jakimś tam jeziorze. Nie pamiętali, że bolszewicy uzurpatorzy trzydzieści lat temu osuszyli rzeczne jezioro i na sześciu hektarach wybudowali elektrownię wodną, zanim skończyła się woda.

Jak gdyby tego było mało, Monachium udzielało gościny najdzikszym niemieckim rewindykatorom, którzy nawet granice z trzydziestego dziewiątego roku uważali jedynie za preludium dla ambitniejszych niemieckich celów. Niemcy z Prus Wschodnich, Saksonii, Pomorza, Śląska, krajów nadbałtyckich i z Sudetów skarżyli się na straszliwą krzywdę, którą im wyrządzono, i za swe żale pobierali niezłe sumki z Bonn. Czasem, kiedy w nocy wracałem do Mabel ulicą pełną piwiarni, wydawało mi się, że słyszę, jak śpiewają swe pieśni idąc za maszerującym duchem Hitlera.

Czy kiedy piszę tę książkę, nadal się tam zbierają? Obawiam się, że tak i że wyglądają na o wiele mniej szalonych, niż wtedy, gdy do moich obowiązków należało przebywanie wśród nich. Smiley zacytował kiedyś Horacego Walpole’a, a nie jest to nazwisko, które przysłoby mi w sposób naturalny do głowy. Ten świat jest komedią dla tych, którzy myślą, powiedział Walpole, a tragedią

dla tych, którzy czują. Cóż, Monachium ma do śmiechu Bawarczyków, a do płaczu swoją przeszłość.

Po upływie dwudziestu lat nie bardzo mogę sobie przypomnieć politycznych korzeni profesora. Wtedy wydawało mi się, że je znam - musiało tak być, skoro przez wiele wieczorów przysłuchiwałem się jego opowieściom o międzywojennej historii Węgier. I jestem pewien, że w książce znalazł się co najmniej jeden rozdział na ten temat. Gdybym tylko mógł zdobyć jej egzemplarz.

Problem polegał na tym, że profesor dużo chętniej wypowiadał się o przeszłości Węgier, niż o ich teraźniejszości. Być może życie pełne ciągłych zmian nauczyło go, że roztropnie jest ograniczać zainteresowania do spraw, które odeszły już bezpowrotnie w otchłań historii. Pamiętam opowieść o legitymistach popierających króla Karola, który w dwudziestym pierwszym nagle wrócił na Węgry ku konsternacji państw Ententy i został przez nie rychło wysadzony z tronu. Kiedy nastąpił ten wzruszający moment, profesor mógł mieć najwyżej pięć lat, ale mówił o nim ze łzami w roziskrzonych oczach, a coś w jego sposobie bycia podpowiadało, że na krótko miał do czynienia z monarchią. Kiedy wspominał o traktacie z Trianon, jego delikatna biała dłoń trzymająca kieliszek wina drżała od powstrzymanego gniewu.

- To był Diktat, Herr Ned - skarżył mi się z wytworną naganą w głosie. - Narzucony nam przez was, zwycięzców. Ograbiliście nas z dwóch trzecich koronnych ziem! I rozdaliście je Czechosłowacji, Rumunii, Jugosławii. Oddaliście je takim prostakom, Herr Ned! A my, Węgrzy, byliśmy cywilizowanym narodem! Dlaczego nam to zrobiliście? Za co?

Mogłem tylko przeprosić za złe zachowanie mojego kraju, tak jak mogłem tylko przeprosić za Ligę Narodów, która w trzydziestym pierwszym roku zrujnowała węgierską gospodarkę. Jakim sposobem Liga dokonała tego haniebnego czynu, nigdy nie pojąłem, ale pamiętam, że miało to coś wspólnego z rynkiem zboża i z zastosowaną przez Ligę surową polityką klasycznej deflacji.

Kiedy dotyczyliśmy spraw bardziej współczesnych, opinie profesora stawały się dziwnie powściągliwe.

- Kolejna katastrofa - mówił tylko. - Wszystko przez Trianon i Żydów.

Promienie popołudniowego słońca wpadały przez okno od strony ogrodu, oświetlając wspaniałą siwiznę Teodora. Wierzcie, to był prawdziwy lew z szerokim czołem i sokratyczną miną, wyglądał jak wielki dyrygent, niemal geniusz. Miał kształtne dłonie, faliste loki oraz postawę pełną intelektualnej głębi. Żaden człowiek o tak czcigodnym wyglądzie nie mógł być prostakiem, nawet jeśli jego mądre oczy wydawały się odrobinę za małe w swych oczodołach lub zerkały ukradkiem w bok, jak klient w restauracji zerka na mijające go lepsze danie.

Nie, nie, był wspaniałym, dobrym człowiekiem, który pracował dla nas przez piętnaście lat. Jeśli ktoś jest wysoki, bije od niego autorytet. Jeśli ma złoty głos, jego słowa też są złote. Jeśli wygląda jak Schiller, musi czuć tak samo jak Schiller. Jeśli czyjś uśmiech jest tajemniczy i uduchowiony, taka sama jest jego dusza. Jesteśmy społeczeństwem wzrokowym.

Ale wiem już teraz, że od czasu do czasu Bóg robi nam psikusa, podsyłając człowieka, którego skorupa zupełnie nie pasuje do wnętrza. Niektórym nie udaje się i zostają zdemaskowani. Inni próbują dopasować się do swej cielesnej powłoki. Nieliczni zaś nie wybierają żadnej z tych dróg, lecz traktują swą niecodzienną powierzchowność jak dar niebios i łaskawie przyjmują hołd, na który sobie nie zasłużyli.

Historię operacyjną profesora można opowiedzieć szybko. Zbyt szybko, gdyż trąci nieco banałem. Urodził się w Debreczynie, blisko granicy z Rumunią, jako jedyny syn pobłażliwych

rodziców pochodzących z drobnej szlachty, którzy modyfikowali swoje poglądy zależnie od zmian zachodzących w kraju. Odziedziczył po nich pieniądze i koneksje, co zdarzało się w tak zwanych krajach socjalistycznych częściej niż można sobie wyobrazić, nawet w tamtym okresie. Był literatem, pisywał artykuły do naukowych pism, trochę też poetą i kochankiem mającym na koncie kilka małżeństw. Marynarki zarzucał na plecy jak peleryny. Stać go było na te luksusy dzięki przywilejom i niewielkiej fortunie.

W Budapeszcie, gdzie bez entuzjazmu wykładał filozofię, zdobył sobie wśród studentów skromne grono wielbicieli, którzy dostrzegali w jego słowach więcej ognia, niż on sam zamierzał w nich zawrzeć. Nigdy nie miał oratorskich ciągót, uważał, że retoryka dobra jest dla motłochu. Mimo to zmobilizował się dla nich. Zauważył ich zainteresowanie i jako urodzony ugodowiec wyraził to swym głosem - skromnym, trzeba przyznać, ale mimo wszystko - głosem, który szanowali na równi z jego wykwintnymi manierami i wyglądem reprezentanta starego i lepszego porządku. Osiągnął już wtedy wiek, w którym człowiek grzeje się przy ogniu młodzieńczych pochwał, a on zawsze był próżny. I przez tę próżność dał się ponieść fali kontrrewolucji. Kiedy więc radzieckie czołgi zawróciły znad granicy i otoczyły Budapeszt owej strasznej nocy trzeciego listopada pięćdziesiątego szóstego roku, nie miał innego wyboru, jak uciekać przed niechybną śmiercią, co też uczynił i trafił prosto w ramiona brytyjskiego wywiadu.

Po przybyciu do Wiednia od razu zadzwonił do swego węgierskiego przyjaciela w Oksfordzie, żądając od niego apodyktycznym tonem pieniędzy, kontaktów i listów świadczących o jego wielkości. Tak się złożyło, że ów przyjaciel przyjaźnił się również z Cyrkiem, a był to szczególnie sprzyjający czas na werbunek nowych agentów.

Po kilku miesiącach profesor znajdował się już na naszej liście płac. Zaloty nie trwały długo, nie było podstępnych podchodów, żadnych akrobacji. Złożono ofertę, która została przyjęta jako coś, co się słusznie należy. Nie minął rok, a przy szczodrej pomocy Amerykanów ulokowano profesora Teodora w Monachium w wygodnym domu nad rzeką, z samochodem. Towarzyszyła mu jego wierna, lecz pogrążona w nieustającej rozpaczony żona Helena, którą podobno chciał zostawić w kraju. Od tej pory przez niezwykle długi okres profesor Teodor trwał na czele naszego węgierskiego frontu i nawet Haydon nie zdołał go usunąć.

Działalność szpiegowską kamuflował, pracując w Radiu Wolna Europa jako ekspert od historii i kultury Węgier, co bardzo mu odpowiadało. Nigdy właściwie nie był nikim więcej. Trochę też wykładał i udzielał prywatnych lekcji - głównie, jak zauważyłem, dziewczętom. Jego tajna działalność, za którą dzięki Amerykanom był sownie opłacany, polegała na zacieśnianiu stosunków z przyjaciółmi i byłymi studentami, którzy zostali w kraju. Miał stanowić dla nich ogniskową i punkt zborny i ukształtować z nich siatkę operacyjną, choć z tego, co wiem, nigdy nie udało się jej stworzyć. Była to wizjonerska misja, która wyglądała lepiej na papierze niż w praktyce. Trwała jednak i trwała. Trwała przez pięć lat i następne pięć, a w okresie, kiedy zająłem się jego przypadkiem, jej historia sięgała aż piętnastu lat. Niektóre operacje takie już są, prześladowuje je stagnacja. Nie są kosztowne, nie są owocne i niekoniecznie dokądś prowadzą - tak jak pat w polityce. Nie mają się ich skandale. Za każdym razem, kiedy odbywa się coroczny audyt, macha się na nie ręką bez głosowania, do czasu, gdy długowieczność staje się ich usprawiedliwieniem.

Nie zamierzam twierdzić, że przez ten czas profesor niczego nie osiągnął. Takie oskarżenie nie tylko byłoby niesprawiedliwe, ale także przyniosłoby ujmę Toby'emu Esterhase'owi, który również pochodził z Węgier, a „po upadku” został przywrócony do służby jako zwierzchnik profesora. Toby

zapłacił wysoką cenę za ślepe oddanie Haydonowi i kiedy przyznano mu sekcję węgierską - a nigdy nie było to stanowisko najbardziej pożądane ze wschodnioeuropejskich posad - profesor szybko stał się najważniejszym punktem w programie osobistej rehabilitacji Toby'ego.

- Powiedziałbym, Ned, że Teodor jest naszą największą gwiazdą - przekonywał mnie przed moim wyjazdem z Londynu podczas lunchu, za który o mały włos nie zapłacił. - Stara szkoła, całkowita dyskrecja, lata doświadczenia, wierny jak pies. Teodor jest naszym asem, naprawdę.

Z pewnością jednym z najbardziej zaskakujących osiągnięć profesora była ucieczka spod topora Haydona: udało mu się albo dlatego, że miał szczęście, albo dlatego - co już gorzej o nim świadczy - że wyniki działalności szpiegowskiej profesora nie zasługiwały na uwagę zapracowanego zdrajcy. Kiedy bowiem czyniłem przygotowania do zajęcia nowego stanowiska - mój poprzednik zmarł na wylew podczas urlopu na Ibizie - nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że choć akta osobowe Teodora mieściły się w kilku tomach, efekty jego działalności były dość mizerne. Fakt ten można było częściowo wytłumaczyć tym, że jego głównym zadaniem było wyławianie talentów, a nie ich eksploatacja, a częściowo tym, że nieliczni współpracownicy, których wciągnął do naszej siatki w ciągu wszystkich tych lat, gdy dla nas pracował, okazywali się stosunkowo mało płodni.

- Powiedziałbym, Ned, że Węgry są piekielnie trudnym terytorium - przekonywał mnie Toby, kiedy delikatnie napomknąłem mu o tym. - Są za bardzo otwarte. W takim przypadku dostajesz mnóstwo nieprzydatnych materiałów, które są już znane. Jeśli nie zdobędziesz czegoś na miarę klejnotów królewskich, to masz do czynienia z powszechnie znanymi informacjami - a kto ich potrzebuje? Natomiast materiały, które Teodor zdobywa dla Amerykanów, są fantastyczne.

I tu prawdopodobnie leżał pies pogrzebany.

- Co masz konkretnie na myśli? - zapytałem. - Nie licząc poparcia, które zdobywa przez radio, i artykułów, których nikt nie czyta.

Toby uśmiechnął się z irytującą wyższością.

- Przykro mi, stary, ale to poufne. Boję się, że nie jestem upoważniony. Kilka dni później zgodnie z protokołem spotkałem się z Russellem She-

ritonem na Grosvenor Square, żeby się pożegnać. Sheriton był amerykańskim szefem placówki londyńskiej, ale odpowiadał też za operacje Amerykanów w Europie Zachodniej. Odczekałem trochę i w stosownej chwili wspomniałem o Teodorze.

- W tej sprawie trzeba zapytać Monachium, Ned - odpowiedział szybko Sheriton. - Znasz mnie. Nigdy nie włączę na cudze terytorium.

- Ale macie z niego jakiś pożytek? Tyle tylko chcę wiedzieć. W końcu agenci wypalają się z czasem, prawda? Minęło piętnaście lat.

- No cóż, myśleliśmy, że to wy macie z niego jakiś pożytek. Kiedy słucha się Toby'ego, można by pomyśleć, że bez Teodora wolny świat załamałby się.

Nie, pomyślałem. Kiedy słucha się Toby'ego, można pomyśleć, że bez Teodora załamałby się Toby. Ale nie chciałem być cyniczny. W naszym fachu, tak jak w ogóle w życiu, zawsze łatwiej jest powiedzieć „nie” niż „tak”. Przybyłem do Monachium gotów uwierzyć, że Teodor jest gwiazdą, którą robił z niego Toby. Chciałem tylko się upewnić.

I upewniłem się. Przynajmniej na początku. Był wspaniały. Myślałem, że małżeństwo z Mabel pozbawiło mnie umiejętności wpadania w entuzjazm, i w pewnym sensie rzeczywiście tak było: do wieczora, kiedy otworzył mi drzwi, a ja zrozumiałem, że mam do czynienia z doskonale zachowanym reliktem środkowoeuropejskiej historii. Mogłem tylko się u niego stóp jak pozostali zgromadzeni

wokół niego uczniowie i czerpać z pokładów jego mądrości. Po to istnieje służba wywiadowcza, pomyślałem. Takiego człowieka warto ratować dla niego samego! Co za kultura, dziwiłem się. Co za szerokość poglądów. Lata, całe lata służby.

Przyjął mnie ciepło, choć z pewnym dystansem, co licowało z jego wiekiem i pozycją. Poczęstował mnie kieliszkiem wybornego tokaja, a następnie wygłosił wykład na temat jego pochodzenia. Wyznałem, że niewiele wiem o węgierskich winach, ale chętnie się dowiem. Mówił o muzyce, ale niestety i w tej dziedzinie jestem ignorantem. Zagrał nawet kilka taktów na ukochanych skrzypcach, które zabrał ze sobą, uciekając z Węgier. Nie były wykonane przez Stradivariusa, lecz przez kogoś nieskończenie lepszego, którego nazwisko już dawno wyleciało mi z głowy. Pomyślałem, że prowadzenie agenta, który zbiegł z kraju ze skrzypcami, to cudowny przywilej. Mówił o teatrze. W Monachium występowała właśnie węgierska trupa teatralna z nadzwyczajnym „Otellem”, i choć nie widzieliśmy jeszcze z Mabel tej inscenizacji, jego opinie niezmiernie mnie zachęciły. Był ubrany w to, co Niemcy nazywają Hausjacke, czarne spodnie i parę rewelacyjnie wypastowanych butów. Rozmawialiśmy o Bogu i świecie, zjedliśmy najlepszy gulyds w moim życiu, podany przez posępną Helenę, która wyszeptala przeprosiny i opuściła nas. Była wysoką kobietą i kiedyś musiała być piękna, wołała jednak obnosić ślady zaniedbania. Posiłek zakończyliśmy morelową palinką.

- Herr Ned, jeśli mogę się tak do pana zwracać - powiedział profesor - jest pewna sprawa, która nie daje mi spokoju. Chciałbym, jeśli pan pozwoli, poruszyć ją od razu na początku naszej zawodowej współpracy.

- Proszę - odparłem wspaniałomyślnie.

- Niestety, pański poprzednik, dobry człowiek, oczywiście - przerwał, najwidoczniej nie chcąc mówić źle o nieboszczyku - i jak pan kulturalny...

- Proszę - powtórzyłem.

- Chodzi o mój brytyjski paszport.

- Nie wiedziałem, że go pan ma! - zawołałem ze zdziwieniem.

- No właśnie. Nie mam. Podobno są jakieś przeszkody. Tak bywa we wszystkich biurokracjach. Biurokracja to najpotworniejsza ze wszystkich instytucji, Herr Ned. Stawia na ołtarzu najgorszych ludzi, a najlepszych upokarza. Uchodźca z Węgier, który mieszka w Monachium, zatrudniony przez amerykańską służbę nie jest oczywiście uprawniony do obywatelstwa brytyjskiego. Rozumiem to. Jednak po tylu latach współpracy z waszymi służbami należy mi się ten paszport. Tymczasowa wiza podróżna nie jest godną alternatywą.

- Wydawało mi się, że dostanie pan paszport od Amerykanów! Czy nie taka była umowa od samego początku? Amerykanie mają panu zapewnić obywatelstwo i przeniesienie. W to wchodzi również paszport, na pewno. Musi!

Zdenerwowałem się, że człowiekowi, który poświęcił tyle lat służbie, odmawia się tak drobnego przywileju. Profesor jednak nauczył się podchodzić do sprawy ze stoickim spokojem.

- Amerykanie, Herr Ned, to młody, wyrachowany naród. Wykorzystali najlepsze lata mego życia i teraz nie jestem już dla nich człowiekiem z przyszłością. W oczach Amerykanów powinienem spocząć na śmietniku staroci.

- Ale przecież obiecali, jeśli wyniki będą zadowalające? Na pewno obiecali!

Wtedy wykonał gest, którego nigdy nie zapomnę. Podniósł ręce ze stołu, jakby dźwigał ogromny ciężki głaz. Trzymał je niemal na poziomie barków, po czym z całą siłą opuścił z powrotem na blat stołu nadal z niewidzialnym głazem między nimi. I pamiętam jego oczy, oburzone, milcząco

oskarżycielskie. Tyle warte są wasze obietnice, zdawał się mówić. Wasze i Amerykanów.

- Niech pan po prostu zdobędzie dla mnie ten paszport, Herr Ned.

Jako lojalny oficer prowadzący, który chce wyłącznie dobra swego agenta, bardzo przejąłem się tą sprawą. Znając Toby'ego od wieków, postanowiłem przyjąć od początku ton oficjalny: żadnych obietnic, żadnych mglistych zapewnień. Poinformowałem Toby'ego o prośbie Teodora i poprosiłem o radę. Był w końcu moim bezpośrednim przełożonym, moją londyńską kotwicą. Jeśli rzeczywiście Amerykanie wycofywali się z danej profesorowi obietnicy i nie chcą przyznać mu amerykańskiego obywatelstwa, pisałem, sprawą należało się zająć w Londynie lub Waszyngtonie, a nie w Monachium. I jeśli z nie znanych mi powodów miał mu być przyznany paszport brytyjski, wtedy też nie mogło się obyć bez energicznego poparcia Piątego Piętra. Minęły już czasy, kiedy Ministerstwo Spraw Wewnętrznych przyznawało brytyjskie obywatelstwo każdemu byłemu współpracownikowi Cyrku. Przyczyniła się do tego sprawa Haydona.

Mojej prośby nie przesłałem telegraficznie, lecz specjalną przesyłką służbową, co w kręgach Cyrku nadaje sprawie bardziej oficjalny charakter. Napisałem bojowy list i kilka tygodni później przypomniałem się następnym. Kiedy profesor zapytał mnie o postępy, odpowiedziałem niezobowiązująco. Sprawa jest w toku, zapewniłem go; Londyn nie lubi, kiedy się go popędza. Zastanawiałem się jednak, dlaczego Toby zwleka z odpowiedzią.

Tymczasem podczas spotkań z Teodorem starałem się dociec, czym konkretnie zasłużył sobie na miano gwiazdy na rzadko zaludnionym firmamencie Toby'ego. Starań tych nie ułatwiała niechęć profesora i początkowo zastanawiałem się, czy nie wstrzymuje się od wyjaśnień do czasu, gdy sprawa paszportu zostanie załatwiona. Ale stopniowo zacząłem rozumieć, że jeśli chodzi o naszą tajną działalność, tajemniczość jest u profesora normą.

Jednym z bardziej nudnych obowiązków profesora było utrzymywanie kawalerki w dzielnicy Schwabing. Służyła mu ona jako adres do przyjmowania poczty od niektórych węgierskich współpracowników. Namówiłem go, żeby mnie tam zabrał. Otworzył drzwi. Na podłodze leżało kilkanaście kopert, wszystkie z węgierskimi znaczkami.

- Boże jedyny, profesorze, kiedy pan tu był ostatnio? - zapytałem, patrząc, jak mozolnie zbiera z podłogi listy.

Wzruszył ramionami niezgrabnie, jak mi się wydawało.

- Ile listów dostaje pan zwykle w ciągu tygodnia, profesorze? Wziąłem od niego koperty i przejrzałem stemple. Najstarszy wysłano

trzy tygodnie temu, a najnowszy przed tygodniem. Przeszliśmy do maleńkiego zakurzonego biurka. Wzdychając, zasiadł na krześle, otworzył szufladę i wyjął z niej kilka buteleczek z chemikaliami. Ze skrytki wydobyl pędzel. Wziął do ręki pierwszą kopertę, przyjrzał jej się ponuro i otworzył scyzorykiem.

- Od kogo? - zapytałem z zainteresowaniem, które według niego było zupełnie nieuzasadnione.

- Od Paliego - odparł posepnie.

- Paliego z Ministerstwa Rolnictwa?

- Od Paliego z Debreczyna. Był w Rumunii.

- Po co? Chyba nie na konferencji na temat broni toksycznej? To byłaby bomba!

- Zobaczymy. Na jakiejś konferencji naukowej. Jego dziedzina to cybernetyka. Nic nadzwyczajnego.

Obserwowałem, jak zanurza pędzel w pierwszej buteleczce i pociąga nim po nie zapisanej

stronie listu. Opłukał pędzel w wodzie i nałożył drugą substancję. Wydawało mi się, że przez cały czas próbuje wyrazić swą pogardę dla tego manualnego zajęcia. Powtórzył tę procedurę przy każdym liście, czasem tylko dokonując pewnych zmian: nakładał substancje wewnątrz kopert lub między widocznymi linijkami pisma. W równie powolnym tempie zasiadł przed maszyną do pisania i anemicznie wystukał tłumaczenie uzyskanych tekstów: przewidywane niedobory surowców i energii... wydobywanie boksytu w kopalniach w górach Bakony... niska zawartość metalu w rudzie żelaza wydobytej ostatnio w rejonie Miskolca... oczekiwane zbiory kukurydzy i buraka cukrowego w jakimś innym rejonie... plotki o reformie państwowej sieci kolejowej w ramach planu pięcioletniego... akcja protestacyjna przeciw urzędnikom partyjnym w Sopranie... Już widziałem ziewnięcia analityków z Trzeciego Piętra, kiedy przedzierał się przez tak usypiający materiał. Przypomniałem sobie słowa Toby'ego, który przechwalał się, że Teodora interesują tylko materiały najwyższej jakości. Jeśli tak, to jak na Boga wyglądały materiały najniższej jakości? Cierpliwości, nakazałem sobie. Wobec wielkich agentów należy być wyrozumiałym.

Nazajutrz otrzymałem odpowiedź na mój list w sprawie paszportu. Problem polegał na tym, wyjaśniał Toby, że w ostatnich latach nastąpiło wiele zmian w placówce węgierskiej „kuzynów”. Czyniono teraz starania - przekonywał, stosując podejrzanie stronę bierną - aby ustalić warunki wszelkich zobowiązań złożonych przez Amerykanów lub przez nas. Dodał jeszcze, że na razie nie powinienem poruszać tego tematu podczas rozmów z Teodorem, zupełnie jakby to mnie, a nie profesorowi, na tym zależało.

Trzy tygodnie później, kiedy jadłem lunch z Miltonem Wagnerem w Cosmo, sprawa wciąż jeszcze pozostawała nie rozwiązana. Wagner był doświadczonym agentem, moim odpowiednikiem po stronie amerykańskiej. Teraz awansował na szefa operacji wschodnich w Monachium. Cosmo było typowo amerykańskim klubem, gdzie podawano ziemniaki w plasterkach na chrupko i sos czosnkowy, a kanapki nadziewano na wielkie plastikowe patyczki.

- Jak ci się układa z naszym wybitnym uczonym przyjacielem? - zbulgotał z mocnym południowym akcentem, kiedy omówiliśmy inne sprawy.

- Doskonale.

- U nas niektórzy uważają, że Teodor od wielu lat obija się - leniwie wycedził Wagner.

Tym razem nie powiedziałem nic.

- Chłopcy w kraju przyjrzeni się dokładnie jego pracy. Nie jest dobrze, Ned. Jest bardzo niedobrze. Na przykład te audycje w „Halo Węgry”. Okazało się, że fragment jednej z nich słowo w słowo ściągnął z artykułu opublikowanego w „Der Monat” w czterdziestym ósmym. Autor usłyszał swoje słowa na antenie i wkurzył się. - Wagner wycisnął sporą ilość ketchupu. - Lada dzień możemy go wezwać na poważną i szczerą rozmowę.

- Może przechodzi teraz zły okres - zasugerowałem.

- Rzeczywiście, tylko że ten okres trwa od piętnastu lat.

- Wie, że go sprawdzacie?

- W Radiu Wolna Europa? Wśród Węgrów? Plotki? Chyba żartujesz. Nie byłem w stanie się pohamować.

- Ale dlaczego nikt nie ostrzegł Londynu? Dlaczego ty tego nie zrobiłeś?

- Wydaje mi się, że ostrzegliśmy. Tyle tylko, że wiadomość nie padła chyba na podatny grunt.

Niedobrze z wami, chłopcy. Wszyscy o tym wiemy.

Doniosłe znaczenie jego słów już do mnie dotarło. Skoro profesor oszukiwał przy nagrywaniu

swoich audycji, mógł oszukiwać też innych.

- Milt, mogę zadać ci głupie pytanie?

- Nie krępuj się, Ned.

- Czy kiedykolwiek mieliście jakiś pożytek z Teodora? Przez cały ten czas? Ma na swoim koncie jakieś tajne osiągnięcia?

Wagner zamyślił się, nie chcąc pochopnie skrzywdzić profesora.

- Niestety nie. Chcieliśmy kiedyś zrobić z niego łącznika dla jednej z naszych grubych ryb, ale nie podobały nam się jego maniery.

- To prawda?

- Myślisz, że bym cię okłamywał?

To takie są jego fantastyczne zasługi dla Amerykanów, pomyślałem. I lata wiernej służby, której nikt nie może sobie przypomnieć.

Natychmiast wysłałem telegram do Toby'ego. Zmarnowałem mnóstwo czasu, zmieniając ciągle treść depeszy, gdyż cały czas wrzała we mnie złość. Rozumiałem aż nadto dobrze, dlaczego Amerykanie nie chcieli dać profesorowi paszportu i dlaczego do nas zwrócił się z tą sprawą. Teraz rozumiałem jego wisielczy nastrój, apatię, brak pośpiechu: czekał na zwolnienie. Powtórzyłem słowa Wagnera i zapytałem, czy Centrala wie o tym. Jeśli nie, „kuzyni” nie wywiązywali się ze swych zobowiązań. Jeśli natomiast „kuzyni” nas ostrzegli, dlaczego mnie o tym nie poinformowano?

Nazajutrz rano otrzymałem wykrętną odpowiedź Toby'ego. Przybrał królewski ton. Podejrzywałem, że ktoś pisał za niego, gdyż nie zauważyłem żadnych błędów. „Kuzyni” wystosowali do Londynu „nieskonkretyzowane ostrzeżenie”, że profesora może czekać „w przyszłości dyscyplinarne przesłuchanie w sprawie jego audycji”. Centrala - czyli on sam, jak rozumiałem - „zajęła stanowisko”, że stosunki profesora z jego amerykańskimi pracodawcami nie powinny bezpośrednio interesować Cyrku. Centrala „podkreśliła” też - któż jeśli nie Toby mógł to wymyślić? - że można profesorowi wybaczyć „małe potknięcia” w jego przykrywkowej pracy, gdyż działalność operacyjna bardzo go absorbuje. Jeśli trzeba będzie znaleźć dla profesora inny kamuflaż, Centrala „podejmie kroki w odpowiednim czasie”. Możliwym rozwiązaniem było umieszczenie go w jednej z branżowych gazet, do których od czasu do czasu pisywał. Ale to była sprawa przyszłości. Profesor już wcześniej narażał się swoim przełożonym, przypominał mi Toby, a jednak wychodził z burzy cało. To prawda. Pewna sekretarka skarżyła się na jego zaloty, a część węgierskiej społeczności czuła się dotknięta jego antysemitycznymi poglądami.

Co do reszty, Toby radził mi, żebym się uspokoił, uzbroidł w cierpliwość i - co zawsze było maksymą Toby'ego - zachowywał się jak gdyby nigdy nic. I tak miały się sprawy tydzień i dwanaście godzin później, kiedy profesor zatelefonował do mnie o dziesiątej w nocy, korzystając z hasła awaryjnego. Poprosił mnie zduszonym, lecz władcym głosem, żebym natychmiast do niego przyjechał i wszedł drzwiami od ogrodu.

Najpierw pomyślałem, że kogoś zabił, być może żonę. Nie mogłem się bardziej mylić.

Profesor otworzył drzwi od ogrodu i prędko zamknął je za mną. Światła w domu były przygaszone. Gdzieś w mroku stojący zegar biedermeier tykał jak wielka stara bomba. Przy wejściu do salonu stała Helena, zakrywając usta rękami, jakby tłumiała krzyk. Od telefonu Teodora minęło dwadzieścia minut, a wydawało się, że krzyk wciąż nie może jej się wyrwać z piersi.

Przed dopalającym się ogniem w kominku stały dwa fotele. Jeden z nich był pusty. Wywnioskowałem, że był to fotel profesora. W drugim, zasłonięty nieco przede mną, siedział

czterdziestoletni zażywny mężczyzna z czapą miękkich czarnych włosów i błyszczącymi okrągłymi oczami, które zdawały się mówić: przecież wszyscy jesteśmy przyjaciółmi. Na fotelu z wysokim oparciem usadowił się jak pasażer samolotu, który przygotowuje się do lądowania. Jego buty z zaokrąglonymi czubkami nie dosięgały podłogi i odniosłem wrażenie, że zostały wyprodukowane w Europie Wschodniej: marmurkowe, ze skóry wątpliwego pochodzenia, z wytłaczaną, mocno startą podeszwą. Miał na sobie gruby brązowy garnitur przypominający przerobiony wojskowy mundur. Przed nim stał stolik z wazonem fioletowych hiacyntów, a obok hiacyntów leżała ekspozycja instrumentów cichego zabijania: dwie garoty z drewnianych dźwigni kolankowych i struny; śrubokręt tak zastrzony, że mógłby służyć za sztylet; rewolwer kaliber trzydzieści osiem z pięcionabojowym bębniem oraz dwa rodzaje naboju, w tym sześć gwintowanych ze zmrożonym proszkiem wciśniętym do rowków.

- Cyjanek - wyjaśnił profesor w odpowiedzi na moje zaciekawione spojrzenie. - Wynalazek diabła. Wystarczy, żeby nabój drasnął ofiarę, a śmierć pewna.

Zastanawiałem się tylko, w jaki sposób trujący proszek reaguje na wysoką temperaturę w lufie rewolweru.

- Ten dżentelmen nazywa się Ladislaus Kaldor - ciągnął dalej profesor. - Został wysłany przez węgierskie tajne służby, żeby nas zgładzić. To przyjaciel. Pan łaskawie spocznie, Herr Ned.

Ladislaus Kaldor podniósł się ceremonialnie i uściśnął mi dłoń, jakbyśmy właśnie zawarli korzystną umowę.

- Sir! - zawołał radośnie po angielsku. - Latzi. Przepraszam, sir. Nie martwi się. Wszyscy nazywają mnie Latzi. Herr Doktor. Mój przyjaciel. Proszę usiąść. Tak.

Pamiętam, jak bardzo aromat hiacyntów zdawał się harmonizować z jego uśmiechem. Powoli zacząłem zdawać sobie sprawę, że nie wyczuwam zagrożenia. Niektórzy ludzie cały czas emanują siebie niebezpieczeństwem; inni sprawiają wrażenie niebezpiecznych tylko wtedy, gdy są rozgniewani lub coś im grozi. Ale mój instynkt mówił, że Latzi sprawia jedynie wrażenie kogoś, kto za wszelką cenę chce wszystkich zadowolić. Widać tylko tego trzeba, żeby zostać zawodowym zabójcą.

Nie usiadłem. W mojej głowie zawodził chór sprzecznych impulsów, ale zmęczenie nie było żadnym z nich. Puste filiżanki po kawie, zastanawiałem się. Puste talerze z okruskami ciasta. Kto jada ciasto i popija kawę, kiedy zagrożone jest jego życie? Latzi znów usiadł, uśmiechając się niczym iluzjonista. Profesor z żoną baczenie studiowali moją twarz z różnych punktów pokoju. Musieli się pokłócić, pomyślałem; konflikt rozstawił ich w odległych od siebie zakątkach. Amerykański rewolwer, pomyślałem, ale bez zapasowego bębna, który nosili zwykle przy sobie poważni gracze. Wschodnioeuropejskie buty o podeszwach, które zostawiają idealny ślad na każdym dywanie i wypolerowanej podłodze. Naboje z cyjankiem, który wypaliłby się w lufie.

- Jak długo tu jest? - zapytałem profesora. Wzruszył ramionami, czego nienawidziłem. - Godzinę. Mniej.

- Ponad godzinę - skorygowała Helena. Wbijiała we mnie wzrok pełen oburzenia. Do tego dnia uważała za konieczne ignorowanie mojej osoby: prześlizgiwała się obok jak duch, uśmiechając się lub spuszczać wzrok, żeby zademonstrować dezaprobatę. Teraz nagle potrzebowała mojego wsparcia. - Zadzwoił do drzwi dokładnie o dwudziestą czterdzieści pięć. Słuchałam wtedy radia. Zmienił się program.

Zerknąłem na Latziego.

- Mówisz po niemiecku?

- Jawohl, Herr Doktor! Znów pytanie do Heleny.

- Czego pani słuchała?

- BBC World Service - odparła.

Podszedłem do radia i włączyłem je. Piskliwy głos z oksfordzkim akcentem o nieokreślonej płci rozbrzmiał na temat Keatsa. Dziękuję ci, BBC. Wyłączyłem radio.

- Zadzwoił do drzwi i kto je otworzył? - zapytałem.

- Ja - powiedział profesor.

- On - potwierdziła Helena.

- Proszę - powiedział Latzi. - A potem?

- Stał na progu w płaszczu - oznajmił profesor.

- Przeciwdeszczowym - dodała Helena.

- Zapytał, czy profesor Teodor to ja. Powiedziałem, że tak. Przedstawił się i rzekł: „Proszę mi wybaczyć profesorze, przyszedłem pana zabić za pomocą garoty lub kuli z cyjankiem, ale nie chcę tego robić. Jestem pana uczniem i wielbicielem. Chcę oddać się w pańskie ręce i zostać na Zachodzie”.

- Mówił po węgiersku? - zapytałem.

- Naturalnie.

- Więc wpuścił go pan do środka?

- Naturalnie. Helena nie zgodziła się.

- Nie! Najpierw Teodor poprosił mnie - zaznaczyła. Do tego wieczora nigdy nie słyszałem, żeby zaprzeczała mężowi. Teraz w ciągu paru minut zrobiła to dwukrotnie. - Zawołał mnie i mówi: „Heleno, mamy gościa”.

A ja na to: „Świetnie”. Dopiero wtedy wpuścił Latziego do domu. Wzięłam od niego płaszcz przeciwdeszczowy, który powiesiłam w przedpokoju, i zrobiłam kawę. Tak to było dokładnie.

- I ciasto - dodałem. - Przyniosła pani ciasto.

- Ciasto już tu było.

- Bała się pani? - zapytałem. Gdyż strach, tak jak niebezpieczeństwo, był czymś, czego mi tu brakowało.

- Byłam oburzona, wstrząśnięta - odparła. - Teraz się boję. Tak, bardzo się boję. Wszyscy się boimy.

- A pan? - zwróciłem się do profesora.

Znów wzruszył ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć, że jestem ostatnim człowiekiem na ziemi, któremu zwierzyłyby się ze swoich obaw.

- Zechce pan odprowadzić żonę do gabinetu? - zaproponowałem. Zauważyłem, że chciał mi się sprzeciwić, ale zmienił zdanie. Odmaszerowali ramię w ramię jak obce sobie osoby.

Zostałem sam z Latzim. Stałem, a on siedział. Monachium może być bardzo cichym miastem. Cały czas uśmiechał się do mnie przymilnie. Jego małe oczka wciąż błyszczały, ale nie potrafiłem z nich nic wyczytać. Poruszył głową w geście zachęty i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Powiedział „proszę” i rozsiadł się wygodniej w fotelu. Wykonałem gest, który rozumie każdy mieszkaniec Europy Wschodniej. Wyciągnąłem rękę wewnętrzną stroną dłoni do góry i przesunąłem kilka razy kciukiem po koniuszku palca wskazującego. Z nieustającym uśmiechem poszperał w wewnętrznej kieszeni marynarki i podał mi papiery. Były wystawione na nazwisko Egona Braubacha z Passau, urodzonego

w trzydziestym trzecim roku, zawód: artysta. Nigdy nie widziałem kogoś, kto mniej przypominałby bawarskiego artystę. Dokumenty składały się z zachodniemieckiego paszportu, prawa jazdy i polisy ubezpieczeniowej. Żaden z nich nie wydawał mi się przekonujący. Jak jego buty.

- Kiedy wjechałeś do Niemiec?

- Dziś po południu, Herr Doktor, o piątej po południu. Proszę.

- Skąd?

- Wiedeń, proszę. Wiedeń - powtórzył na szybkim wydechu, jak gdyby składał mi w darze całe miasto, po czym znów poruszał w fotelu zadkiem, najwidoczniej pragnąc w ten sposób wywołać wrażenie większej służalczości. - Rano wsiadłem w pierwszy pociąg do Monachium, Herr Doktor.

- O której?

- O ósmej, sir. Pociąg odchodził o ósmej.

- Kiedy przyjechałeś do Austrii?

- Wczoraj, Herr Doktor. Padało. Proszę.

- Które dokumenty okazałeś na granicy austriackiej?

- Mój węgierski paszport, Ekscelencjo. Niemieckie papiery dostałem w Wiedniu.

Nad górną wargą Latziego zbierał się pot. Mówił niezłe po niemiecku, lecz z wyraźnym bałkańskim akcentem. Powiedział, że podróż odbył pociągiem: Budapeszt, Győr, Wiedeń, Herr Doktor. Jego pracodawcy dali mu na drogę zimnego kurczaka i butelkę wina. Oraz najlepsze pikle, Ekscelencjo, i paprykę. Kolejne uśmiechy. Po przyjeździe do Wiednia zatrzymał się w hotelu Altes Kaiserreich niedaleko dworca kolejowego, gdzie zarezerwowano dla niego pokój. Skromniutki pokój, skromniutki hotel, Ekscelencjo, ale jestem też skromnym człowiekiem. Właśnie w tym hotelu późno w nocy odwiedził go pewien Węgier, którego nigdy wcześniej nie widział.

- Ale podejrzewam, że jest dyplomata, Herr Doktor. Był dystyngowany tak jak pan! - Ów dżentelmen dostarczył mu pieniądze i dokumenty oraz arsenał, który leżał przed nami na stoliku.

- Gdzie się pan zatrzymał w Monachium?

- W skromnym pensjonacie na skraju miasta, Herr Doktor - odpowiedział z przeproszającym uśmiechem. - To raczej burdel. Tak, burdel. Bez przerwy widzi się mężczyzn, którzy wchodzą i wychodzą. - Podał mi nazwę pensjonatu i miałem wrażenie, że zaraz poleci mi też jakąś dziewczynę.

- Kazali ci się tam zatrzymać?

- Dla dyskrecji, Herr Doktor. Dla anonimowości. Proszę.

- Masz tam bagaż?

Wzruszył żałośnie ramionami, zupełnie inaczej niż profesor.

- Szczoteczkę do zębów - powiedział. - Trochę ubrań. Torbę, sir. Skromne rzeczy.

Na Węgrzech pracował jako dziennikarz rolniczy, ale dorabiał sobie jako współpracownik tajnych służb, początkowo informator, a od niedawna płatny morderca. Wykonał już kilka zadań w kraju, ale wolał - proszę mi wybaczyć, Ekscelencjo - nie podawać żadnych szczegółów, aż otrzyma gwarancję nietykalności na Zachodzie. Profesor był jego pierwszym „zagranicznym zleceniem”, ale myśl o zabójstwie profesora obrażała jego poczucie przyzwoitości.

- Profesor jest człowiekiem wielkiego formatu, Herr Doktor! Wielkiej reputacji! Nie jest jakimś tam Żydem czy księdzem! Dlaczego miałbym go zabijać? Na litość boską, jestem uczciwym człowiekiem! Mam swój honor! Proszę!

- Jakie dostałeś rozkazy?

Nie były skomplikowane. Miał zadzwonić do drzwi Herr Professora, co też zrobił. Profesor miał

być na pewno w domu, gdyż w środy do dziewiątej udzielał prywatnych lekcji i rzeczywiście zastał go w domu. Miał przedstawić się jako przyjaciel Paliego z Debreczyna, ale pozwolił sobie nie robić tego. Po wejściu do środka miał zabić profesora, używając do tego odpowiedniego do sytuacji narzędzia, choć najlepiej za pomocą garoty, była bowiem pewna i cicha, choć zawsze istniało niebezpieczeństwo dekapitacji. Powinien również zamordować Helenę, być może nawet ją pierwszą, w zależności od tego, kto otworzy drzwi. W tej kwestii nie byli wybredni. Na tę ewentualność wziął ze sobą drugą garotę. Jeśli chodzi o garotę, Herr Doktor, wyjaśnił uczynnie, nigdy nie można być pewnym, czy uda się odzyskać instrument po użyciu. Następnie miał zatelefonować pod numer w Bonn, poprosić Petera i zameldować, że „Susi zostanie na noc u przyjaciół”. Susi to kryptonim profesora w tej operacji, Ekszelencjo. W ten sposób miał zawiadomić o udanym zakończeniu misji, choć w obecnych okolicznościach, Herr Doktor, trzeba przyznać, że misja nie zakończyła się sukcesem. Zachichotał.

- Masz zatelefonować stąd? - zapytałem.

- Z tego domu. Do Petera. Proszę. To są niebezpieczni ludzie, Herr Doktor. Mogą zagrozić mojej rodzinie. Nie mam oczywiście wyjścia. Mam córkę. Dali mi ściśle instrukcje: zatelefonujesz do Petera z domu profesora.

To też mnie zdziwiło. Skoro węgierskie tajne służby wiedziały, że profesor jest zachodnim szpiegiem, i to od piętnastu lat, można by przypuszczać, że będą obawiać się podsłuchu.

- Co masz zrobić, jeśli ci się nie uda? - zapytałem.

- Jeśli zadanie nie może być wykonane, jeśli Herr Professor ma gości lub z jakichś powodów jest nieosiągalny, mam zadzwonić z budki telefonicznej i powiedzieć, że Susi jest w drodze do domu.

- Z jakiejś konkretnej budki?

- Wszystko jedno z której, Herr Doktor, na wypadek fiaska. Peter może przekazać mi dalsze instrukcje, choć niekoniecznie. Jeśli nie, mam natychmiast wracać do Budapesztu. Peter może jednak powiedzieć: „Spróbuj znowu jutro” albo „Spróbuj za dwa dni”. W tym przypadku wszystko jest w rękach Petera.

- Jaki jest numer telefonu w Bonn? Wyrecytował go.

- Pokaż, co masz w kieszeniach.

Chusteczka w kolorze khaki, kilka rodzinnych fotek kiepskiej jakości, wśród nich zdjęcie młodej dziewczyny, przypuszczalnie córki, trzy wschodnioeuropejskie prezerwatywy, otwarta paczka radzieckich papierosów, rozklekotany scyzoryk do konserw bez wątplenia wschodniej produkcji, resztki szarego ołówka, dziewięćset sześćdziesiąt marek zachodniemieckich, jakieś drobne. Bilet powrotny drugiej klasy na pociąg relacji Wiedeń-Monachium-Wiedeń. Nigdy w życiu nie widziałem tak żałośnie pocerowanych kieszeni. Czy węgierskie służby wywiadowcze nie mają morderców z prawdziwego zdarzenia? Co u diabła sobie myśleli?

- I w płaszczu - poprosiłem, obserwując, jak przynosi go z przedpokoju. Był nowiusieńki. Kieszenie okazały się puste. Uszyty w Austrii, dobra jakość. Musiał kosztować sporą sumkę zachodnich pieniędzy.

- Kupiłeś go w Wiedniu?

- Jawohl, Herr Doktor. Lało jak z cebra, a ja nie miałem nic od deszczu.

- Kiedy?

- Proszę?

- Za co?

- Proszę?

Stwierdziłem, że mógł doprowadzić mnie do furii bardzo szybko.

- Wsiadłeś do pierwszego pociągu rano, tak? Odjechał z Wiednia przed otwarciem sklepów, tak? Pieniądze dostałeś dopiero późno w nocy wczoraj, kiedy odwiedził cię węgierski dyplomata. No więc, kiedy kupiłeś płaszcz i na co wydałeś pieniądze? A może ukradłeś go? Czy tak brzmi odpowiedź?

Najpierw zmarszczył brwi, ale zaraz roześmiał się pobłaźliwie z pogwałcenia przeze mnie dobrych manier. Najwyraźniej wybaczył mi. Rozłożył ręce w wielkodusznym geście.

- Ależ kupiłem go wczoraj wieczorem, Herr Doktor! Kiedy pociąg przyjechał na stację! Za osobiste oszczędności, które przywiozłem ze sobą z Węgier na zakupy, naturalnie! Nie jestem kłamcą! Proszę!

- Zatrzymałeś paragon? Pokręcił głową z miną mędrca.

- Miałem zatrzymać paragon, Herr Doktor? Dam panu jedną radę. Paragony skłaniajądo pytań o pochodzenie pieniędzy. Paragon jest jak szpieg we własnej kieszeni. Proszę.

Zbyt wiele wymówek, pomyślałem, nie dając się zwieść jego czarującemu uśmiechowi. Zbyt wiele odpowiedzi. Instykt podpowiadał mi, żeby nie ufał nikomu i niczemu, co ma związek z przedstawioną mi wersją wydarzeń. Podejrzenia wzbudziła we mnie nie tyle niestaranność planu zabójstwa profesora: wątpliwe dokumenty, zawartość jego kieszeni, buty czy nawet sama niewiarygodność całej misji. Widziałem już tyle operacji radzieckich sojuszników, że mogłem taką amatorszczyznę uznać za normę. Najbardziej jednak niepokoiła mnie w tych ludziach nienaturalność ich zachowania w mojej obecności, wrażenie, że dla mnie mają jedną wersję, a dla siebie drugą; że zostałem tu ściągnięty, żeby odegrać pewną rolę, a wola większości każe mi trzymać gębę na kłódkę i zachowywać się jak gdyby nigdy nic.

Jednocześnie znajdowałem się w sytuacji bez wyjścia. Nie miałem wyboru i nie miałem czasu - musiałem przyjąć ich wersję za dobrą monetę. Znajdowałem się w sytuacji lekarza, który podejrzewa wprawdzie, że pacjent symuluje, ale nie ma wyjścia i musi leczyć symptomy. Tutaj gra toczyła się o Latziego. W końcu nie każdego dnia węgierski zabójca oddaje się w ręce zachodnich służb, nieważne jak mało jest kompetentny. Tym samym groziło mu spore niebezpieczeństwo, było bowiem nie do pomyślenia, żeby tak poważną misję przeprowadzić bez oddzielnego nadzoru.

Kiedy masz wątpliwości, mówi podręcznik, trzymaj się wytycznych operacyjnych. Czy obserwują dom? Musiałem przyjąć takie założenie, choć dom profesora nie był łatwym obiektem do obserwacji i dlatego spodobał się pracodawcom Teodora piętnaście lat temu. Stał na końcu porośniętej drzewami ślepej uliczki, tyłem do rzeki. Do ogrodu wchodziło się opuszczoną nadrzeczną ścieżką. Lecz drzwi frontowe były widoczne dla każdego, kto tamtędy przechodził i wejście Latziego do domu mogło zostać zauważone.

Poszedłem po schodach na górę i z okna na podeście rozejrzałem się po ulicy. W sąsiednich domach było ciemno. Nie zauważyłem żadnych podejrzanych samochodów ani ludzi. Własny samochód zaparkowałem w następnej bocznej uliczce blisko rzeki. Wróciłem do salonu. Na biblioteczkę stał telefon. Podałem Latziemmu słuchawkę i patrzyłem, jak wybiera numer do Bonn. Miał dziewczęce, wilgotne ręce. Uprzejmie przechylił słuchawkę w moim kierunku i sam przysunął się do mnie. Śmierdział starym kocem i rosyjskim tytoniem. Ktoś odebrał i usłyszałem bardzo niezadowolony męski głos, który mówił po niemiecku. Jak na kogoś, kto czekał na wiadomość o

zabójstwie, pomyślałem, doskonale symulował zaskoczenie.

Silny akcent, przypuszczalnie węgierski.

- Halo? Słucham? Kto mówi?

Ruchem głowy dałem Latziemu znak, żeby przemówił.

- Dobry wieczór panu. Chciałbym rozmawiać z panem Peterem.

- W jakiej sprawie?

- Czy to pan Peter, proszę? To sprawa prywatna.

- Czego pan chce?

- Czy to Peter?

- Nazywam się Peter!

- Chodzi o Susi, panie Peter - wyjaśnił Latzi, mrugając do mnie okiem z ukosa. - Susi nie wróci dzisiaj do domu, panie Peter. Obawiam się, że zostanie na noc u przyjaciół. Dobrych przyjaciół. Będzie pod dobrą opieką. Dobranoc, panie Peter.

Miał już odkładać słuchawkę, lecz przytrzymałem jego rękę na tyle długo, żeby usłyszeć w słuchawce pomruk lekceważenia lub konsternacji, zanim połączenie zostało zerwane.

Latzi uśmiechnął się do mnie, szalenie z siebie zadowolony.

- Dobrze gra, Herr Doktor. Powiedziałbym: prawdziwy zawodowiec. Doskonały aktor, zgodzi się pan?

- Rozpoznałeś jego głos?

- Nie, Herr Doktor. Niestety, nie znam tego głosu.

Otworzyłem drzwi prowadzące do gabinetu. Profesor siedział przy swoim biurku, trzymając na nim ręce zaciśnięte w pięści. Helena siedziała na sofie dla uczniów. Poczulem potrzebę powiadomienia profesora o moim niedowierzaniu. Wkroczyłem do pokoju i zamknąłem za sobą drzwi.

- Ten człowiek, Latzi, jak go nazywacie, jest przestępcą - oznajmiłem. - Albo jakimś oszustem albo, do czego się przyznaje, mordercą, który przyjechał do Niemiec z fałszywymi dokumentami, żeby zabić pana i pańską żonę. W każdym razie ma pan prawo przekazać go zachodnioniemieckiej policji i pozbyć się go. Chce pan to zrobić? Czy chce pan nam zostawić decyzję? Słucham?

Ku memu zdumieniu po raz pierwszy tego wieczoru profesor wydawał się szczerze poruszony. Być może nie spodziewał się moich podejrzeń, albo wreszcie zdał sobie sprawę, jak blisko otarł się o śmierć. W każdym razie odniosłem wrażenie, że przywiązywał większą wagę do mego pytania, niż się spodziewałem. Helena odwróciła ode mnie oczy i też mu się przyglądała. Krytycznie. Kobieta czekająca na zapłatę.

- Rób pan, co trzeba - wymamrotał.

- Więc musi pan postąpić według moich wskazówek. Pańska żona też.

- Jesteśmy gotowi do współpracy. Tak, będziemy panu posłuszni. Byliśmy... posłuszni... przez piętnaście lat. Za długo.

Zerknąłem na Helenę.

- Mój mąż weźmie na siebie odpowiedzialność - powiedziała.

Nie miałem czasu zastanawiać się nad dwuznacznością tego złowrogiego oświadczenia.

- Proszę więc spakować trochę ubrań i za pięć minut stawić się przy drzwiach do ogrodu - nakazałem. Wróciłem do salonu i do Latziego.

Wydaje mi się, że stał przy drzwiach, bo gdy wychodziłem, cofnął się nagle i przytknął ręce do

brody, rozpromieniony. Jego oczy pytały mnie, czym może mi służyć.

- Widziałeś już kiedyś profesora?

- Nie. Tylko na zdjęciach. Zawsze budzi podziw. Prawdziwy arystokrata. - A jego żonę?

- Znam ją, sir. Naturalnie. - Niby skąd?

- Była kiedyś aktorką, Herr Doktor, jedną z najlepszych w Budapeszcie. - I widziałeś ją na scenie?

Kolejna przerwa.

- Nie, proszę pana.

- Więc gdzie ją widziałeś?

Próbował mnie przejrzeć. Odnosiłem wrażenie, że zastanawia się, czy Helena coś mi powiedziała, i chciał odpowiednio dobrać słowa.

- Na afiszach teatralnych, Ekscelencjo. Kiedy była młoda, można było obejrzeć jej słynną twarz na każdej ulicy. Wszyscy młodzi mężczyźni się w niej kochali, a ja nie byłem wyjątkiem.

- Gdzie jeszcze?

Zauważył, że nic na niego nie mam. A ja zauważyłem, że on zauważył.

- To takie smutne, co się dzieje z kobiecą urodą, Herr Doktor. Mężczyzna może pozostać atrakcyjny do osiemdziesiątki. A kobieta... - Westchnął.

Pozwoliłem mu zebrać śmiercionośne przedmioty i odebrałem je. Naładowałem rewolwer. Kiedy skończyłem, przyszła mi do głowy pewna myśl.

- Kiedy tu wszedłem, bęben był pusty, a naboje leżały na stole.

- Zgadza się, Ekscelencjo.

- Kiedy wyjąłeś naboje z bębna? - zapytałem.

- Przed wejściem do domu. Żeby móc zademonstrować pokojowe zamiary. Naturalnie.

- Naturalnie.

Ruszył do przedpokoju, wsunąłem rewolwer za pas.

- Jeśli zachce ci się uciekać, strzelę ci w plecy - ostrzegłem go i z satysfakcją zauważyłem, że przewrócił swymi małymi oczkami z niepokojem. Wyglądało na to, że zawodowi mordercy nie lubią lekarstwa, które sami aplikują innym.

Rzuciłem mu płaszcz i rozejrzałem się po pokoju, sprawdzając, czy nie zostawił żadnych śladów. Nie zostawił. Zarządziłem ciszę i wyprowadziłem całą trójkę do ogrodu, a następnie ścieżką poprowadziłem ich do mojego samochodu. Słynna aktorka, pomyślałem, i ani słowa o tym w aktach. Usadawiłem profesora i Helenę z tyłu, a Latziego na przednim siedzeniu obok siebie. Siedzieliśmy nieruchomo przez pięć minut, czekając na reakcję ewentualnych obserwatorów. Nic. Minęła już północ, między gwiazdami świecił młody księżyc. Krążyłem po mieście, obserwując w lusterku, co się dzieje za nami, a następnie wjechałem na autostradę w kierunku Starnbergersee, gdzie utrzymywaliśmy bezpieczny dom do przesłuchiwania agentów. Leżał blisko jeziora i był obsadzony przez dwóch morderczych długowłosych cudaków z sekcji „lampiarzy”. Nazywali się Jeffrey i Arnold. Kiedy pojawiliśmy się przed domem, w progu stanął Arnold. Jedną rękę trzymał w kieszeni kaftana, a druga wisiała groźnie przy boku.

- To ja, ty bufonie - powiedziałem cicho.

Jeffrey pokazał profesorowi i Helenie ich sypialnię, Arnold pilnował Latziego w salonie. Przeszedłem przez ogród do przystani wioślarskiej, gdzie wreszcie mogłem porozmawiać z Tobym Esterhase'em, korzystając z wewnętrznej linii. Był zaskakująco opanowany. Zupełnie jakby

spodziewał się mojego telefonu.

Toby przybył do Monachium pierwszym samolotem z Londynu nazajutrz rano. Miał na sobie futro bobrowe i filcowy kapelusz i wyglądał bardziej jak impresario niż szpieg w opałach.

- Nedzik, mój Boże! - zawołał, obejmując mnie jak ojciec marnotrawny. - Słuchaj, mogę powiedzieć, że wyglądasz wspaniale. Przyjmiesz komplement? Nic cię tak nie odmładza jak odrobina emocji. A co tam u Mabel? Małżeństwo jest jak kwiat, który trzeba podlewać.

Jechałem powoli i starałem się w ramach możliwości mówić beznamiętnie, przekazując mu owoce całonocnej pracy. Chciałem, żeby wiedział wszystko, zanim dotrzemy do domu nad jeziorem.

Powiedziałem, że ani Amerykanie, ani Niemcy zachodni nie wiedzą nic o Latzim. Od Toby'ego dowiedziałem się, że Londyn też.

- Latzi to tabula rasa, Ned. Absolutnie - zgodził się Toby, spoglądając na mijany pejzaż oczami pełnymi aprobaty.

Powiedziałem też, że nie jest nam znany bawarski kryptonim Latziego, ani żaden z podanych przez niego kryptonimów, z których rzekomo korzystał do „zadań” na terenie Węgier.

Toby opuścił szybę, żeby rozkoszować się zapachem pól.

Zachodnioniemiecki paszport Latziego był podróbką, ciągnąłem dalej z determinacją, i pochodził z partii wykonanej przez lichego fałszerza w Wiedniu i rozprowadzonej na czarnym rynku.

Toby okazał łagodne oburzenie.

- Mój Boże, któż kupuje taki chłam? - zdziwił się, kiedy mijaliśmy parę złocistych koni o białych grzywach, które pasły się na padoku. - Z paszportami teraz jest tak, że im wyższa cena, tym lepsze. A za taki chłam dostaje się sześć miesięcy w śmierdzącej pace. - I pokręcił posępnie głową jak ktoś, czyje ostrzeżenia nie znajdują posłuchu, aż w końcu jest już za późno.

Brnąłem dalej. Numer telefonu w Bonn należał do węgierskiego attache wojskowego, który rzeczywiście ma na imię Peter. Został zidentyfikowany jako oficer węgierskiego wywiadu. Pozwoliłem sobie na delikatną ironię.

- To dla nas coś nowego, prawda, Toby? Szpieg używa własnego imienia jako kryptonimu. Po co się wysilać? Masz na imię Toby, więc cicho sza, nadamy ci kryptonim Toby. Wspaniale.

Ale Toby był za bardzo nastawiony na rozkoszowanie się jednodniowym pobytem w Bawarii, żeby zamartwiać się wymową moich słów.

- Nedziku, wierz mi, ci wojskowi to prawdziwi idioci. Węgierski wywiad wojskowy jest taki sam jak węgierska muzyka wojskowa. Zupełnie do niczego.

Kontynuowałem swój wywód. Zachodnioniemiecka służba bezpieczeństwa prowadziła stały podsłuch rozmów węgierskiego attache wojskowego. Kasetą z rozmową Latziego z Peterem była już w drodze do mojego biura. Z tego, co wiedziałem, wynikało, że nie ma na niej żadnych rewelacji, podkreśla tylko fakt, że Peter wydaje się szczerze zaskoczony tym telefonem. Tej nocy nigdzie już nie dzwonił, ani też nie przyjmował żadnych rozmów, nie nastąpiła też nagła erupcja dyplomatycznych sygnałów z dachu ambasady węgierskiej w Bonn. Peter złożył natomiast zażalenie w zachodnioniemieckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, że w domu nękają go dziwne telefony. Nie jest to, zauważyłem, czyn spiskowca. Toby nie był tego taki pewien.

- Nic nie wiadomo, Ned - oznajmił, rozsiadając się wygodnie w fotelu i leniwie obracając dłoń. - Facet myśli, że jest skompromitowany. Więc może nie postępuje głupio, składając formalne zażalenie. W ten sposób zamazuje ślady. Czemu nie?

Podąłem mu resztę wiadomości. Zależało mi na tym. Dokonany przez Latziego opis

domniemanego dyplomaty w Wiedniu zgadzał się z charakterystyką niejakiego Leo Bakocsa, sekretarza handlowego i - tak jak Peter - rozpoznanego oficera wywiadu węgierskiego. „Kuzyn” Wagner miał zdobyć dla nas jego fotografię, żebyśmy mogli ją później pokazać Latziemu.

Nazwisko Bakocs przywołało na twarz Toby’ego czuły uśmiech.

- Więc chcą w to wciągnąć Leo? Słuchaj, Leo jest tak próżny, że szpieguje tylko księżne. - Roześmiał się z niedowierzaniem. - Leo w jakimś podrzędnym hoteliku przekazuje garoty śmierdzącemu zabójcy? Chyba nie mówisz poważnie, Ned. No wiesz.

- To nie ja - oświadczyłem - tylko Latzi.

Na koniec powiedziałem mu, że wysłałem Jeffreya do burdelu w Monachium, żeby zapłacił rachunek Latziego i zabrał jego rzeczy. W jego bagażu znalazł tylko jedną interesującą rzecz: plik pornograficznych zdjęć.

- Był spięty, Ned - wyjaśnił wspaniałomyślnie Toby. - W obcym kraju, przed zabiciem kogoś, kogo się nie zna, potrzeba trochę prywatności, rozumiesz?

W zamian Toby zupełnie nic dla mnie nie miał. Myślałem, że całą noc wisiał na telefonie i pewnie tak było. Tyle że nie w poszukiwaniu odpowiedzi na moje pytania.

- Może wyprawimy dzisiaj przyjęcie - zaproponował. - Przyjeżdża Harry Palfrey z sekcji prawnej i paru koleśków z MSZ. Fajny gość z tego Harry’ego. Anglik w każdym calu.

Byłem oszołomiony.

- Z którego oddziału MSZ? - zapytałem. - Kto? Dlaczego Palfrey? Ale jak powiedziała by Toby, pytania stają się groźne dopiero wtedy, gdy

się na nie odpowiada. Kiedy dojechaliśmy do domu nad jeziorem, Arnold smażył jaja na bekonie. Profesor i Latzi siedzieli na jednym końcu stołu. Helena, wegetarianka, na drugim końcu skubała wyciągnięty z torebki batonik orzechowy.

Arnold miał jasne, proste włosy spięte z tyłu w kucyk.

- Trochę się poprzytkali, Ned - wyznał mi tonem pełnym dezaprobaty, kiedy Toby rzucił się profesorowi na szyję. - Profesor z żoną, prawdziwa jatka. Nie wiem, kto zaczął i o co im poszło, wolałem nie pytać.

- Latzi też w tym uczestniczył?

- Chciał, ale kazałem mu się zamknąć. Nie cierpię, kiedy ktoś wtrąca się do małżeńskich sporów. Ja nigdy tego nie robię.

Z perspektywy czasu wydaje mi się, że nasze rozmowy tego dnia przypominały misterny menuet, który rozpoczął się w naszej skromnej kuchni, a zakończył na dworze Wszechmogącego, czyli mówiąc konkretniej, w przyozdobionej flagami sali konferencyjnej w amerykańskim konsulacie generalnym, gdzie natchnione twarze prezydenta Nixona i wiceprezydenta Agnew przyglądały się łaskawie naszym poczynaniom.

Szybko zdałem sobie sprawę, że Toby, daleki od bezczynności, wyznaczył sobie program, który realizował krok po kroku ze zwinnością cyrkowego akrobata. W kuchni wysłuchał raz jeszcze całej historii z ust profesora i Latziego. Helena przeżuwała swój orzechowy batonik. Nigdy jeszcze nie widziałem Toby ‘ego w węgierskim wydaniu i dziwiłem się tak wielkiej transformacji. Jednym zdaniem odrzucił nienaturalny gorset anglosaksońskiej powściągliwości i przeobraził się w jednego z nich. W jego oczach pojawił się ogień. Mizdrzył się i przeżył, jak gdyby jechał na koniu podczas parady.

- Ned, oni mówią, że byłeś naprawdę super - zawołał w przerwie przez stół. - Prawdziwa ostoja,

mówią, absolutnie. Chyba zarekomendują cię do Nagrody Nobla!

- Powiedz im, żeby zamienili ją na Oskara, a wtedy przyjmę - odparłem cierpko i postanowiłem zrobić sobie spacer nad jezioro, żeby ukoić nerwy.

Kiedy wróciłem do domu, Toby i profesor prowadzili ożywioną rozmowę w zamkniętym salonie. Ogromny szacunek Toby'ego do profesora zdawał się jeszcze powiększać. Latzi pomagał Arnoldowi przy zmywaniu naczyń i obydwaj chichotali. Latzi najwidoczniej mówił jakiś sprośny dowcip. Nigdzie nie widziałem Heleny. Później przyszła kolej na Latziego, żeby posiedzieć sam na sam z Tobym, w tym czasie profesor z żoną spacerowali nerwowo nad jeziorem, przystając co kilka kroków i czyniąc sobie wymówki. Wreszcie profesor odwrócił się na pięcie i pomaszerował szybkim krokiem do domu.

Korzystając z okazji, wymknąłem się i dołączyłem do Heleny. Miała zaciśnięte usta, a jej twarz powlekała niezdrowa bladość - nie wiedziałem, czy wywołana strachem, złością czy zmęczeniem. Kiedy przemówiła, musiała przerwać i zacząć od nowa, gdyż słowa uwięzły jej w gardle.

- Kłamca z niego - powiedziała. - To wszystko kłamstwa! Kłamstwa, kłamstwa! Kłamca z niego!

- Z kogo?

- Obydwaj kłamią. Kłamią od dnia, w którym się urodzili. Na łożu śmierci też będą kłamać.

- A więc jaka jest prawda? - zapytałem. - Trzeba czekać!

- Czekać na co?

- Ostrzegłam go: „Jeśli to zrobisz, powiem Anglikom”. Więc czekamy. Jeśli to zrobi, powiem wam. Jeśli się opamięta, oszczędzę go. Jestem jego żoną.

Odeszła w stronę domu majestatycznym krokiem. Kiedy zniknęła w drzwiach, przed domem zatrzymała się czarna limuzyna, z której wyłonił się Harry Palfrey, radca prawny Cyrku, w towarzystwie dwóch innych członków angielskich sfer rządzących. W wyższym mężczyźnie rozpoznałem Alana Barnaby'ego, luminarza eufemistycznie nazwanego Departamentu Informacji i Badań z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które paralo się antykomunistyczną propagandą w najpodlejszym wydaniu. Toby ścisnął mu serdecznie dłoń, a drugą ręką skinął na mnie, żebym podszedł. Weszliśmy do domu i usiedliśmy.

Początkowo siedziałem w milczeniu, choć aż coś się we mnie gotowało. Aktorów odesłano na górę. Mówił Toby, a reszta słuchała go ze specjalną rewerencją, którą faceci tego typu rezerwują dla biedaków i czarnoskórych. Nawet we mnie obudziły się uczucia opiekuńcze wobec niego. Boże jedyny, wobec Toby'ego Esterhase'a, który zawsze myśli tylko o sobie!

- Alan, mamy tu do czynienia, bez żadnej przesady, z absolutnie rewelacyjnym informatorem, który jest spalony - wyjaśnił Toby. - Wspaniały agent, ale bez przyszłości.

- Masz na myśli profesora - podpowiedział czynni Barnaby.

- Polują na niego. Zbyt dobrze znają jego wartość. Z pewnych informacji, które uzyskałem od Latziego, niezbitnie wynika, że Węgrzy zgromadzili grubą teczkę na temat działalności profesora. Zresztą po co próbowaliby zabić kogoś, kto byłby dla nas zupełnie nieprzydatny? Powiedziałbym, że węgierska próba zabójstwa to dla ofiary „dyplom za dobre wyniki”.

- Nie możemy w nieskończoność odpowiadać za bezpieczeństwo profesora - ostrzegł nas Palfrey z uśmiechem przegranego. - Na jakiś czas możemy zapewnić mu ochronę, ale nie jesteśmy w stanie strzec go do końca życia. Trzeba mu o tym powiedzieć. Być może będzie musiał coś podpisać.

Drugi człowiek z ministerstwa był pulchny i czyściutki, z łańcuszkiem na kamizelce. Czulem dziecięcą chęć pociągnięcia za łańcuszek, żeby zobaczyć, czy krzyknie.

- Ja z kolei uważam, że być może niepotrzebnie się rozgadujemy - rzekł aksamitnym głosem. - Jeśli Amerykanie zgodzą się odebrać od nas tę parę, czyli profesora i jego małżonkę, będziemy mieli kłopot z głowy, prawda? Najlepiej sienie wychylać i oszczędzać proch.

Palfrey zasepił się.

- Mimo wszystko powinien podpisać zgodę na rozwiązanie współpracy, Norman. W ciągu ostatnich kilku lat raczej wygrywał nas przeciw „kuzynom”.

Jak zawsze czujny na interesy swoich ludzi Toby uraczył nas wszystkowiedzącym uśmiechem.

- Harry, tak robią najlepsi agenci. Rączka rączkę myje, nawet na poziomie Teodora. Pytanie tylko, czy w sytuacji, kiedy jest dla nas bezużyteczny, mamy coś do stracenia oprócz kłopotów? Nie twierdzą, że jestem tutaj ekspertem - dodał, uśmiechając się przymilnie do Barnaby'ego.

- A co z tym mordercą? - zapytał człowiek o imieniu Norman. - Też będzie współpracował? To cholernie niebezpieczne, siedzieć tam na górze jak kaczka na odstrzał.

- Latzi jest elastyczny - oznajmił Toby. - Boi się i jest patriotą. - Polemizowałbym z każdym z tych twierdzeń, ale byłem zbyt zdegustowany, żeby mu przerwać. - Zwykle aparatczycy, kiedy porzucają system, są w szoku. Latzi jakoś sobie radzi. Martwi się o rodzinę, ale jest pogodzony z losem. Jeśli Teodor się zgodzi, będzie współpracował. Z gwarancjami, naturalnie.

- Jakiego rodzaju gwarancjami? - zapytał czyściutki przedstawiciel MSZ tak szybko, że nawet Harry Palfrey nie zdążył go ubiec.

Toby nie zawahał się ani przez chwilę.

- To co zwykle. Latzi i Teodor me chcą być wyrzuceni na śmietnik, kiedy wszystko się skończy. Helena też. Amerykańskie paszporty, spora odprawa, pomoc i ochrona: czyli, że tak powiem, podstawy.

- To jest jedno wielkie oszustwo - wybuchnąłem. Miałem już tego dość.

Wszyscy uśmiechali się do mnie. Uśmiechaliby się, cokolwiek bym powiedział. To było tego typu towarzystwo. Gdybym oznajmił, że jestem węgierskim agentem, też by się uśmiechali. Gdybym powiedział, że jestem nowym wcieleniem Adolfa Hitlera, dalej by się uśmiechali. Wszyscy, oprócz Toby'ego, którego twarz przybrała nieodgadniony wyraz kogoś, kto wie, że w tej chwili najbezpieczniej jest udawać nieżywego.

- Co o tym wiesz? - zapytał Barnaby, zaciekawiony do najwyższego stopnia.

- Latzi nie jest wyszkolonym zabójcą - powiedziałem. - Nie mam pojęcia, kim jest, ale na pewno nie zabójcą. Miał przy sobie rozładowaną broń. Żaden zawodowiec o zdrowych zmysłach tego nie robi. Kamufluje się jako bawarski artysta, ale nosi węgierskie ubrania, a połowa śmieci w jego kieszeniach pochodzi z Węgier. Stałem nad nim, kiedy telefonował do Bonn. Wspaniale, attache faktycznie ma na imię Peter. Imię to widnieje na liście dyplomatycznej. Peter wcale nie spodziewał się tego telefonu. Latzi narzucił mu się. Przesłuchajcie niemiecką taśmę z ich rozmową.

- A więc jaka jest prawda? - zapytałem.

- Trzeba czekać!

- Czekać na co?

- Ostrzegłam go: „Jeśli to zrobisz, powiem Anglikom”. Więc czekamy. Jeśli to zrobi, powiem wam. Jeśli się opamięta, oszczędzę go. Jestem jego żoną.

Odeszła w stronę domu majestatycznym krokiem. Kiedy zniknęła w drzwiach, przed domem zatrzymała się czarna limuzyna, z której wyłonił się Harry Palfrey, radca prawny Cyrku, w towarzystwie dwóch innych członków angielskich sfer rządzących. W wyższym mężczyźnie

rozpoznałem Alana Barnaby'ego, luminarza eufemistycznie nazwanego Departamentu Informacji i Badań z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które paralo się antykomunistyczną propagandą w najpodlejszym wydaniu. Toby ścisnął mu serdecznie dłoń, a drugą ręką skinął na mnie, żebym podszedł. Weszliśmy do domu i usiedliśmy.

Początkowo siedziałem w milczeniu, choć aż coś się we mnie gotowało. Aktorów odesłano na górę. Mówił Toby, a reszta słuchała go ze specjalną rewerencją, którą faceci tego typu rezerwują dla biedaków i czarnoskórych. Nawet we mnie obudziły się uczucia opiekuńcze wobec niego. Boże jedyny, wobec Toby'ego Esterhase'a, który zawsze myśli tylko o sobie!

- Alan, mamy tu do czynienia, bez żadnej przesady, z absolutnie rewelacyjnym informatorem, który jest spalony - wyjaśnił Toby. - Wspaniały agent, ale bez przyszłości.

- Masz na myśli profesora - odpowiedział uczynnie Barnaby.

- Polują na niego. Zbyt dobrze znają jego wartość. Z pewnych informacji, które uzyskałem od Latziego, niezbiec wynika, że Węgrzy zgromadzili grubą teczkę na temat działalności profesora. Zresztą po co próbowaliby zabić kogoś, kto byłby dla nas zupełnie nieprzydatny? Powiedziałbym, że węgierska próba zabójstwa to dla ofiary „dyplom za dobre wyniki”.

- Nie możemy w nieskończoność odpowiadać za bezpieczeństwo profesora - ostrzegł nas Palfrey z uśmiechem przegranego. - Na jakiś czas możemy zapewnić mu ochronę, ale nie jesteśmy w stanie strzec go do końca życia. Trzeba mu o tym powiedzieć. Być może będzie musiał coś podpisać.

Drugi człowiek z ministerstwa był pulchny i czyściutki, z łańcuszkiem na kamizelce. Czulem dziecięcą chęć pociągnięcia za łańcuszek, żeby zobaczyć, czy krzyknie.

- Ja z kolei uważam, że być może niepotrzebnie się rozgadujemy - rzekł aksamitnym głosem. - Jeśli Amerykanie zgodzą się odebrać od nas tę parę, czyli profesora i jego małżonkę, będziemy mieli kłopot z głowy, prawda? Najlepiej się nie wychylać i oszczędzać proch.

Palfrey zasępił się.

- Mimo wszystko powinien podpisać zgodę na rozwiązanie współpracy, Norman. W ciągu ostatnich kilku lat raczej wygrywał nas przeciw „kuzynom”.

Jak zawsze czujny na interesy swoich ludzi Toby uraczył nas wszystkowiedzącym uśmiechem.

- Harry, tak robią najlepsi agenci. Rączka rączkę myje, nawet na poziomie Teodora. Pytanie tylko, czy w sytuacji, kiedy jest dla nas bezużyteczny, mamy coś do stracenia oprócz kłopotów? Nie twierdzę, że jestem tutaj ekspertem - dodał, uśmiechając się przymilnie do Barnaby'ego.

- A co z tym mordercą? - zapytał człowiek o imieniu Norman. - Też będzie współpracował? To cholernie niebezpieczne, siedzieć tam na górze jak kaczka na odstrzał.

- Latzi jest elastyczny - oznajmił Toby. - Boi się i jest patriotą. - Polemizowałbym z każdym z tych twierdzeń, ale byłem zbyt zdegustowany, żeby mu przerwać. - Zwykle aparatczycy, kiedy porzucają system, są w szoku. Latzi jakoś sobie radzi. Martwi się o rodzinę, ale jest pogodzony z losem. Jeśli Teodor się zgodzi, będzie współpracował. Z gwarancjami, naturalnie.

- Jakiego rodzaju gwarancjami? - zapytał czyściutki przedstawiciel MSZ tak szybko, że nawet Harry Palfrey nie zdążył go ubiec.

Toby nie zawahał się ani przez chwilę.

- To co zwykle. Latzi i Teodor nie chcą być wyrzuceni na śmietnik, kiedy wszystko się skończy. Helena też. Amerykańskie paszporty, spora odprawa, pomoc i ochrona: czyli, że tak powiem, podstawy.

- To jest jedno wielkie oszustwo - wybuchnąłem. Miałem już tego dość.

Wszyscy uśmiechali się do mnie. Uśmiechaliby się, cokolwiek bym powiedział. To było tego typu towarzystwo. Gdybym oznajmił, że jestem węgierskim agentem, też by się uśmiechali. Gdybym powiedział, że jestem nowym wcieleniem Adolfa Hitlera, dalej by się uśmiechali. Wszyscy, oprócz Toby'ego, którego twarz przybrała nieodgadniony wyraz kogoś, kto wie, że w tej chwili najbezpieczniej jest udawać nieżywego.

- Co o tym wiesz? - zapytał Barnaby, zaciekawiony do najwyższego stopnia.

- Latzi nie jest wyszkolonym zabójcą - powiedziałem. - Nie mam pojęcia, kim jest, ale na pewno nie zabójcą. Miał przy sobie rozładowaną broń. Żaden zawodowiec o zdrowych zmysłach tego nie robi. Kamufluje się jako bawarski artysta, ale nosi węgierskie ubrania, a połowa śmieci w jego kieszeniach pochodzi z Węgier. Stałem nad nim, kiedy telefonował do Bonn. Wspaniale, attache faktycznie ma na imię Peter. Imię to widnieje na liście dyplomatycznej. Peter wcale nie spodziewał się tego telefonu. Latzi narzucił mu się. Przesłuchajcie niemiecką taśmę z ich rozmową.

- W takim razie, co z tym gościem w Wiedniu, Ned? - zapytał Barnaby, cały czas z uporem traktując mnie protekcjonalnie. - Z gościem, który zaopatrzył go w pieniądze i sprzęt? Co?

- Wcale się nie spotkali. Pokazaliśmy Latziemu zdjęcie i z rozkoszą oświadczył: „Tak, to on”. Na pewno gdzieś już widział to zdjęcie. Zapytajcie Helenę, ona wszystko wie. Na razie nic nie mówi, ale jeśli ją przyciśniemy, powie na pewno.

Toby ożywił się na chwilę.

- Przyciśniemy? Helenę? Nic z niej nie wyciągniemy. Ta kobieta szaleje na punkcie męża. Będzie go bronić do grobowej deski.

- Profesor popadł w niełaskę u Amerykanów - powiedziałem. - Zwijają przed nim czerwony dywanik. Jest zdesperowany. Jeśli sam nie upozorował próby zabójstwa, zrobił to Latzi. Cała intryga ma na celu zminimalizowanie strat i rozpoczęcie nowego życia.

Czekali na dalszy ciąg, wszyscy. Zupełnie jak na puentę dowcipu. Wreszcie odezwał się Toby. Odzyskał animusz.

- Neddy, jak długo nie spałeś? - zapytał z pobłażliwym uśmiechem. - Powiedz.

- A co to ma do rzeczy?

Toby ostentacyjnie zerknął na zegarek.

- Zdaje się, że spędziłeś trzydzieści godzin bez snu. W tym czasie podjąłeś cholernie ważne decyzje. I to dobre, powiedziałbym. Nie możemy cię chyba winić, że trochę odreagowałeś.

Zupełnie jakbym nie powiedział ani słowa. Wszystkie głowy zwróciły się ku Toby'emu.

- No cóż, powinniśmy teraz chyba przyjrzeć się naszym gwiazdom - mówił Barnaby, kiedy kierowałem się do drzwi. - Możesz ich sprowadzić, Toby? Ciekawe, jak się zaprezentują w światłach reflektorów.

- Nie warto tracić czasu. Trzeba od razu przystąpić do działania - mówił do Barnaby'ego Palfrey, a ja wyszedłem do ogrodu, żeby nie zwariować. - Kuć żelazo póki gorące. Rozumiesz mnie?

- Całkowicie, Harry. Na sto procent.

Nie chciałem być obecny podczas pierwszego przesłuchania. Siedziałem nadąsany w kuchni i pozwalałem się obsługiwać Arnoldowi, udając, że go słucham. Opowiadał mi, że jego matka odeszła od mężczyzny, z którym żyła przez dwadzieścia lat, i związała się ze swą miłością z lat dziecińczych. Patrzyłem, jak Toby poleciał na górę po swych czempionów i zerkałem spode łba, kiedy kilka minut później cała trójka zeszła na dół. Latzi uczesał się z przedziałkiem, a profesor z narzuconą na ramiona

marynarkapochylał w zamyśleniu głowę wieszczą. Siwa grzywa opadała mu twarzowo na czoło.

Następnie do kuchni weszła Helena z zalaną łzami twarzą, więc Arnold przytulił ją i przyniósł jej koc, ponieważ wiosenny poranek był chłodny, a ona drżała z zimna. Później zaparzył jej herbatę rumiankową i siedział, objawszy ją ramieniem, póki do kuchni nie wpadł Toby z wiadomością, że za dwie godziny mamy się stawić w konsulacie amerykańskim.

- Z Londynu przylatuje Russell Sheriton, a z Bonn Pete de May. Bardzo im na tym zależy, Ned. Bardzo. Waszyngton reaguje entuzjastycznie. Absolutnie. - Już sobie nie przypominam, kto był większą szychą: Sheriton czy Pete de May. - Ned, ten Teodor jest fantastyczny - zapewnił mnie na stronie Toby.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Wiesz, co mu powiedzieli? „To cholernie ryzykowne, profesorze. Poradzi pan sobie?” Wiesz, co im odpowiedział? „Panie ambasadorze, ryzyko ponoszą wszyscy, którzy stają w obronie cywilizowanego społeczeństwa”. Jest spokojny, dystyngowany. Latzi też. Ned, po tym wszystkim musisz się przespać, zgoda? Zadzwoń do Mabel.

Pojechaliśmy dwoma samochodami. Toby z Węgami, a ja z Palfrey'em i facetami z ministerstwa. Otwierając przede mną drzwi samochodu, Palfrey dotknął mego ramienia i dał mi radę:

- Od tej pory wszyscy razem ciągniemy linę, Ned. Zmęczenie to jedno. Ale mówienie o oszustwie to zupełnie co innego. Tak? Umowa stoi?

Musiało nas być ze dwudziestu. Przewodniczył konsul generalny. Był to blady Amerykanin ze środkowego wschodu, były prawnik, podobnie jak Palfrey. Bez przerwy niespokojnie powtarzał słowo „reperkusje”. Między Sheritonem i de Mayem siedział Milton Wagner. Było dla mnie jasne, że Sheriton i Wagner, cokolwiek myśleli prywatnie, otrzymali rozkazy, żeby zatrzymać sceptycyzm dla siebie. Być może i oni uznali, że są gorsze sposoby pozbywania się nieprzydatnych agentów niż podrzucenie ich amerykańskim służbom wywiadowczym, reprezentowanym przez czterech frajerów o zmartwionych minach, których imion nigdy nie zapamiętałem.

Naturalnie reprezentanta mieli również agenci z Pullach. Choć nie byli zamieszani w sprawę, przysłali swego przedstawiciela, żebyśmy wiedzieli, że nasze dywagacje jeszcze przed południem staną się tematem plotek w Poczdamie. Nalegali również, by złożyć ostrą skargę na Wiedeń. Zdaje się, że Pullach toczyło wojnę z austriacką policją o fałszywe paszporty, podejrzewając Austriaków, że sprzedają je Węgrom. Spora część spotkania upłynęła zatem na narzekaniach na austriacką dwulicowość.

Nasi trzej bohaterowie oczywiście nie uczestniczyli w rozmowach. Siedzieli w poczekalni. Kiedy podano kanapki, im również wysłano kopiasty talerz. I gdy wreszcie ich wezwano, kilku uczestników spotkania wyrwało się z oklaskami, co dla naszej trójki stanowiło przedsmak późniejszych sukcesów estradowych.

Lecz gwiazdą wieczoru była Helena. Profesor powiedział kilka słów, a jego nieśmiała godność oczarowała wszystkich zgodnie z przewidywaniami. Po nim wystąpił Latzi i zebranych przeszywały dreszcze, gdy tłumaczył, dlaczego wziął ze sobą dwie garoty, które w tym czasie wraz z innymi eksponatami przekazywano sobie ostrożnie z rąk do rąk wokół stołu. Ale kiedy Helena wysunęła się do przodu, wsparta na ramieniu profesora, poczułem, jak wzruszenie ściska mi gardło, i wiedziałem, że nie jestem w tym odczuciu odosobniony.

- Popieram męża - tyle tylko była w stanie wyznać.

Wystarczyło jednak, żeby poderwać całą salę na nogi.

Późno w nocy udało mi się porozmawiać z nią na osobności. Byliśmy już wyczerpani, nawet niezmordowany Latzi okazywał oznaki zmęczenia. Jaśnie panowie wyjechali, wyjechał Toby. Siedziałem z Arnoldem w salonie w domu nad jeziorem. Na podjeździe czekała amerykańska furgonetka z przyciemnianymi szybami i z dwoma żołnierzami piechoty morskiej w cywilu, ale nasi bohaterowie nabierali już gwiazdorskich nawyków i spóźniali się. Cały dzień przygotowywali oświadczenia dla prasy i podpisywali dokumenty Palfreya, które przywiózł ze sobą w neseserze.

Helena weszła do salonu nieśmiało, jak gdyby spodziewała się, że ją uderzę, ale gniew już ze mnie wyparował.

- Dostaniemy paszporty - powiedziała, siadając. - Czeka nas nowe życie. Arnold taktownie wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Kim jest Latzi? - zapytałem.

- Przyjacielem Teodora.

- A ponadto?

- Aktorem. Kiepskim, bardzo kiepskim aktorem z Debreczyna.

- Pracował kiedyś dla tajnych służb? Machnęła ręką z dezaprobatą.

- Miał jakieś powiązania. Kiedy Teodor musiał porozumiewać się z władzami, Latzi był pośrednikiem.

- Chce pani powiedzieć, że Teodor donosił na swoich studentów? - Tak.

- Czy Latzi dostarczał Teodorowi informacji, gdy zamieszkaliście w Monachium?

- Na początku tylko trochę. Ale skoro nic nie przychodziło z innych źródeł, pisał coraz więcej. Preparował materiały dla Teodora, a Teodor sprzedawał je Brytyjczykom i Amerykanom. Inaczej nie mielibyśmy pieniędzy.

- Czy Latzi korzystał przy tym z pomocy tajnych służb?

- Nie. Na Węgrzech sytuacja się zmienia. Współpraca z władzami nie jest już mile widziana.

Otworzyłem drzwi i patrzyłem, jak wychodzi z głową podniesioną do góry.

Kilka tygodni później w Londynie powtórzyłem Toby'emu, co mi mówiła. Nie wyglądał ani na zdziwionego, ani na skruszonego.

- Kobiety, Ned, to kryminogenna pleć. Lepiej zjeść zupę, niż w niej mieszać.

Minęło kolejnych kilka tygodni. Teodor-Latzi Show cieszył się wielkim powodzeniem. Toby też doskonale prosperował. Jak dalece był w to zamieszany? Co wiedział? Całą prawdę? Czy zorganizował całą tę farsę, żeby pomóc zagrożonemu agentowi, a jednocześnie uwolnić się od niego? Często podejrzewałem, że była to sztuka z obsadą co najmniej trzech aktorów, w której Helena grywała tylko rolę niechętnego widza.

- Wiesz co, Neddy? - powiedział Toby, obejmując mnie czule ramieniem. - Jeśli nie potrafisz jechać na dwóch koniach jednocześnie, lepiej trzymaj się z dala od Cyrku.

Pamiętacie pułkownika Weatherby? Mistrza maskarady, który miał w małym palcu siedem europejskich języków? Przywódcę wschodnioeuropejskiego ruchu oporu? Człowieka, który „przemykał się przez żelazną kurtynę, jakby tworzyła ją najcieńsza pajęczyna”? To byłem ja. Ned. Dzięki Bogu nie napisałem tej części książki. Jej autorem był jakiś sprzedajny dziennikarz sportowy z Baltimore, zwerbowany przez „kuzynów”. Ja, ulegając naciskom Toby'ego i Piątego Piętra, spłodziłem wstępny szkic, który ukazał się pod tytułem Prawdziwy profesor Teodor, jakiego znałem. Jako tytuł książki zaproponowałem Zawodowe chwytaki, ale ci z Piątego Piętra stwierdzili, że może to być opacznie zrozumiane. W zamian zaproponowali mi awans.

Ale najpierw wyraziłem George'owi Smileyowi swe oburzenie. Właśnie zrezygnował z funkcji zastępcy szefa i miał już ostatecznie usunąć się w cień pracy uniwersyteckiej. Byłem akurat przelotnie w Londynie. W piątek wieczorem przydybałem go na Baywater Street, gdzie pakował się przed wyjazdem na weekend. Wysłuchał mnie, po czym zachichotał: najpierw cicho, potem głośniej, i wymamrotał czule pod nosem: „Ech, Toby”.

- Ale oni jednak czasem zabijają, prawda, Ned? - rzucił, mozolnie składając garnitur. - Mam na myśli Węgrów. Wśród narodów wschodnioeuropejskich należą chyba do najokrutniej szych.

Przyznałem, że tak, Węgrzy zabijają i torturują bez opamiętania. Co nie zmienia faktu, że Latzi był podstawiony, a Teodor korzystał z jego usług. Co do Toby'ego...

talerz. I gdy wreszcie ich wezwano, kilku uczestników spotkania wyrwało się z oklaskami, co dla naszej trójki stanowiło przedsmak późniejszych sukcesów estradowych.

Lecz gwiazdą wieczoru była Helena. Profesor powiedział kilka słów, a jego nieśmiała godność oczarowała wszystkich zgodnie z przewidywaniami. Po nim wystąpił Latzi i zebranych przeszywały dreszcze, gdy tłumaczył, dlaczego wziął ze sobą dwie garoty, które w tym czasie wraz z innymi eksponatami przekazywano sobie ostrożnie z rąk do rąk wokół stołu. Ale kiedy Helena wysunęła się do przodu, wsparta na ramieniu profesora, poczułem, jak wzruszenie ściska mi gardło, i wiedziałem, że nie jestem w tym odczuciu odosobniony.

- Popieram męża - tyle tylko była w stanie wyznać.

Wystarczyło jednak, żeby poderwać całą salę na nogi.

Późno w nocy udało mi się porozmawiać z nią na osobności. Byliśmy już wyczerpani, nawet niezmordowany Latzi okazywał oznaki zmęczenia. Jaśnie panowie wyjechali, wyjechał Toby. Siedziałem z Arnoldem w salonie w domu nad jeziorem. Na podjeździe czekała amerykańska furgonetka z przyciemnianymi szybami i z dwoma żołnierzami piechoty morskiej w cywilu, ale nasi bohaterowie nabierali już gwiazdorskich nawyków i spóźniali się. Cały dzień przygotowywali oświadczenia dla prasy i podpisywali dokumenty Palfreya, które przywiózł ze sobą w neseserze.

Helena weszła do salonu nieśmiało, jak gdyby spodziewała się, że ją uderzę, ale gniew już ze mnie wyparował.

- Dostaniemy paszporty - powiedziała, siadając. - Czeka nas nowe życie. Arnold taktownie wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Kim jest Latzi? - zapytałem.

- Przyjacielem Teodora.

- A ponadto?

- Aktorem. Kiepskim, bardzo kiepskim aktorem z Debreczyna.

- Pracował kiedyś dla tajnych służb? Machnęła ręką z dezaprobatą.

- Miał jakieś powiązania. Kiedy Teodor musiał porozumiewać się z władzami, Latzi był pośrednikiem.

- Chce pani powiedzieć, że Teodor donosił na swoich studentów?

- Tak.

- Czy Latzi dostarczał Teodorowi informacji, gdy zamieszkaliście w Monachium?

- Na początku tylko trochę. Ale skoro nic nie przychodziło z innych źródeł, pisał coraz więcej.

Preparował materiały dla Teodora, a Teodor sprzedawał je Brytyjczykom i Amerykanom. Inaczej nie mielibyśmy pieniędzy.

- Czy Latzi korzystał przy tym z pomocy tajnych służb?

- Nie. Na Węgrzech sytuacja się zmienia. Współpraca z władzami nie jest już mile widziana.

Otworzyłem drzwi i patrzyłem, jak wychodzi z głową podniesioną do góry.

Kilka tygodni później w Londynie powtórzyłem Toby'emu, co mi mówiła. Nie wyglądał ani na zdziwionego, ani na skruszonego.

- Kobiety, Ned, to kryminogenna pleć. Lepiej zjeść zupę, niż w niej mieszać.

Minęło kolejnych kilka tygodni. Teodor-Latzi Show cieszył się wielkim powodzeniem. Toby też doskonale prosperował. Jak dalece był w to zamieszany? Co wiedział? Całą prawdę? Czy zorganizował całą tę farsę, żeby pomóc zagrożonemu agentowi, a jednocześnie uwolnić się od niego? Często podejrzewałem, że była to sztuka z obsadą co najmniej trzech aktorów, w której Helena grywała tylko rolę niechętnego widza.

- Wiesz co, Neddy? - powiedział Toby, obejmując mnie czule ramieniem. - Jeśli nie potrafisz jechać na dwóch koniach jednocześnie, lepiej trzymaj się z dala od Cyrku.

Pamiętacie pułkownika Weatherby? Mistrza maskarady, który miał w małym palcu siedem europejskich języków? Przywódcę wschodnioeuropejskiego ruchu oporu? Człowieka, który „przemykał się przez żelazną kurtynę, jakby tworzyła ją najcieńsza pajęczyna”? To byłem ja. Ned. Dzięki Bogu nie napisałem tej części książki. Jej autorem był jakiś sprzedajny dziennikarz sportowy z Baltimore, zwerbowany przez „kuzynów”. Ja, ulegając naciskom Toby'ego i Piątego Piętra, spłodziłem wstępny szkic, który ukazał się pod tytułem Prawdziwy profesor Teodor, jakiego znałem. Jako tytuł książki zaproponowałem Zawodowe chwytaki, ale ci z Piątego Piętra stwierdzili, że może to być opacznie rozumiane. W zamian zaproponowali mi awans.

Ale najpierw wyraziłem George'owi Smileyowi swe oburzenie. Właśnie zrezygnował z funkcji zastępcy szefa i miał już ostatecznie usunąć się w cień pracy uniwersyteckiej. Byłem akurat przelotnie w Londynie. W piątek wieczorem przydybałem go na Baywater Street, gdzie pakował się przed wyjazdem na weekend. Wysłuchał mnie, po czym zachichotał: najpierw cicho, potem głośniej, i wymamrotał czule pod nosem: „Ech, Toby”.

- Ale oni jednak czasem zabijają, prawda, Ned? - rzucił, mozolnie składając garnitur. - Mam na myśli Węgrów. Wśród narodów wschodnioeuropejskich należą chyba do najokrutniejszych.

Przyznałem, że tak, Węgrzy zabijają i torturują bez opamiętania. Co nie zmienia faktu, że Latzi był podstawiony, a Teodor korzystał z jego usług. Co do Toby'ego...

Smiley przerwał mi w połowie zdania.

- Słuchaj, Ned, chyba trochę przesadzasz. Każdy kościół potrzebuje świętych. Kościół

antykomunistyczny nie jest wyjątkiem. Wszyscy święci to zgraja oszustów, jeśli się nad tym zastanowić. Ale nikt nie twierdzi, że są bezużyteczni, jeśli już się załapią. Myślisz, że ta koszula jest dobra, czy jeszcze ją przeprosować?

Siedzieliśmy w salonie, popijając szkocką i przysłuchując się odgłosom nocnych przechodniów z Baywater Street.

- Duch Stefanie nawiedził ulicę Monachium? - zapytał Smiley delikatnie. Już zacząłem się zastanawiać, czy nie zasnął.

Od dawna przestałem się dziwić jego umiejętności wczuwania się w moją sytuację.

- Raz na jakiś czas - odpowiedziałem.

- Ale nie zmaterializowała się? Smutne.

- Kiedyś zadzwoniłem do jednej z jej ciotek - wyznałem. - Byłem właśnie po jakiejś głupiej kłótni z Mabel i zatrzymałem się w hotelu. Było późno. Trochę też miałem w czubie. - Zastanawiałem się, czy Smiley już wie, ale doszedłem do wniosku, że fantazjuję. - Właściwie nie jestem pewien, czy to była ciotka. Mogłem rozmawiać ze służącą. Nie, to chyba była ciotka.

- Co powiedziała?

- „Fraulein Stefanie nie ma w domu”.

Długa cisza, ale tym razem nie dałem się nabrać i nie pomyślałem, że zasnął.

- Młody głos? - zapytał, pogrążony w zadumie. - Tak.

- Więc może odebrała Stefanie.

- Może.

Znów wsłuchaliśmy się w podniesione głosy na ulicy. Jakaś dziewczyna roześmiała się. Jakiś mężczyzna był wyraźnie zdenerwowany. Ktoś nacisnął klakson i odjechał. Dźwięki ucichły. Stefanie jest moją Ann, pomyślałem, kiedy wracałem mostem do Battersea, gdzie nadal mieszkalem. Różnica polega na tym, że ja nigdy nie byłem na tyle odważny, żeby pozwolić jej mnie zawieść.

tego człowieka dzięki rzadkiemu modelowi lokomotywy, którą z londyńskiego muzeum zabawek wykradł zespół Monty'ego Arbucka. Wszyscy się śmiali, aż w końcu zapadła cisza, a smutne spojrzenie Smileya utkwilo w jakimś punkcie gdzieś poza salą.

- I tylko raz na jakiś czas ocieramy się o rzeczywistość, z którą do tej pory igraliśmy - powiedział cicho. - Zanim do tego dojdzie, jesteśmy widzami. Agenci w terenie przeżywają za nas nasze marzenia, a my, ich przełożeni, tkwimy bezpiecznie za weneckimi lustrami, wmawiając sobie, że patrząc, czujemy. Lecz kiedy nadchodzi chwila prawdy - jeśli w ogóle nadejdzie - wtedy z trochę większą pokorą podchodzimy do zadań, które zlecamy innym.

Mówiąc to, nie spojrzał na mnie ani razu. W żaden sposób nie zdradził, co ma na myśli. Ale ja wiedziałem i on wiedział, że ja wiem. Obydwaj wiedzieliśmy, że chodzi o pułkownika Jerzego.

Zobaczyłem go i nic nie powiedziałem Mabel. Być może zaskoczenie było zbyt duże. A może tak trudno pozbyć się starych nawyków, że nawet dzisiaj moją pierwszą reakcją na niespodziewane wydarzenie jest chęć stłumienia spontanicznych uczuć. Oglądaliśmy w telewizji wieczorne wiadomości, co dla mnie i Mabel stało się ostatnio substytutem wieczornej modlitwy, nie pytajcie, dlaczego. Nagle go zobaczyłem. Pułkownika Jerzego. I zamiast podskoczyć w fotelu i krzyknąć: „O Jezule! Mabel! Spójrz na tego faceta z tyłu! To Jerzy!” - co byłoby zdrową reakcją normalnego mężczyzny - ja nadal gapiłem się w ekran i sączyłem whisky z wodą. Gdy tylko zostałem sam, wsunąłem do magnetowidu czystą kasetę, żeby nagrać powtórkę podczas nocnego wydania wiadomości. Od tamtej pory - a minęło już sześć tygodni - obejrzałem ją chyba ze dwadzieścia razy i

zawsze wyłapuję jakiś szczegół, którym się delektuję.

Ale tę część historii zostawię na koniec, gdyż tam jest jej miejsce. Wolę przedstawić wam wydarzenia w chronologicznej kolejności. Monachium to nie tylko profesor Teodor, a praca w wywiadzie po skandalu Billa Haydona to nie tylko bierne wyczekiwanie na zablźnienie się ran.

Smiley przerwał zabawną anegdotę o pewnym dyplomacie z Ameryki Środkowej, który pasjonował się modelami brytyjskich pociągów określonej generacji, i o tym, jak Cyrk zapewnił sobie dożywną lojalność tego człowieka dzięki rzadkiemu modelowi lokomotywy, którą z londyńskiego muzeum zabawał zespół Monty'ego Arbucka. Wszyscy się śmiali, aż w końcu zapadła cisza, a smutne spojrzenie Smileya utkwilo w jakimś punkcie gdzieś poza salą.

- I tylko raz na jakiś czas ocieramy się o rzeczywistość, z którą do tej pory igraliśmy - powiedział cicho. - Zanim do tego dojdzie, jesteśmy widzami. Agenci w terenie przeżywają za nas nasze marzenia, a my, ich przełożeni, tkwimy bezpiecznie za weneckimi lustrami, wmawiając sobie, że patrząc, czujemy. Lecz kiedy nadchodzi chwila prawdy - jeśli w ogóle nadejdzie - wtedy z trochę większą pokorą podchodzimy do zadań, które zlecamy innym.

Mówiąc to, nie spojrzał na mnie ani razu. W żaden sposób nie zdradził, co ma na myśli. Ale ja wiedziałem i on wiedział, że ja wiem. Obydwaj wiedzieliśmy, że chodzi o pułkownika Jerzego.

Zobaczyłem go i nic nie powiedziałem Mabel. Być może zaskoczenie było zbyt duże. A może tak trudno pozbyć się starych nawyków, że nawet dzisiaj moją pierwszą reakcją na niespodziewane wydarzenie jest chęć stłumienia spontanicznych uczuć. Oglądaliśmy w telewizji wieczorne wiadomości, co dla mnie i Mabel stało się ostatnio substytutem wieczornej modlitwy, nie pytajcie, dlaczego. Nagle go zobaczyłem. Pułkownika Jerzego. I zamiast podskoczyć w fotelu i krzyknąć: „O Jezu! Mabel! Spójrz na tego faceta z tyłu! To Jerzy!” - co byłoby zdrową reakcją normalnego mężczyzny - ja nadal gapiłem się w ekran i sączyłem whisky z wodą. Gdy tylko zostałem sam, wsunąłem do magnetowidu czystą kasetę, żeby nagrać powtórkę podczas nocnego wydania wiadomości; Od tamtej pory - a minęło już sześć tygodni - obejrzałem ją chyba ze dwadzieścia razy i zawsze wyłapuję jakiś szczegół, którym się delektuję.

Ale tę część historii zostawię na koniec, gdyż tam jest jej miejsce. Wolę przedstawić wam wydarzenia w chronologicznej kolejności. Monachium to nie tylko profesor Teodor, a praca w wywiadzie po skandalu Billa Haydona to nie tylko bierne wyczekiwanie na zablźnienie się ran.

Pułkownik Jerzy był Polakiem, a ja nigdy nie rozumiałem, dlaczego tylu Polaków ma do nas słabość. Zdradziliśmy ich kraj w sposób haniebny tyle razy, że gdybym był Polakiem, spluwałbym za każdym przechodzącym Brytyjczykiem, nieważne, czy cierpiałbym pod jarzmem hitlerowców czy sowietów. Brytyjczycy w swoim czasie zostawili biednych Polaków na pastwę jednych i drugich. A już na pewno kusiłoby mnie, żeby podłożyć bombę pod tak zwanym „kompetentnym oddziałem” brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Dobry Boże, co za wyrażenie! Kiedy piszę te słowa, Polacy znów są wciśnięci między nieprzewidywalnego rosyjskiego niedźwiedzia i bardziej przewidywalnego niemieckiego wołu. Możecie być jednak całkiem pewni, że jeśli kiedykolwiek będą potrzebowali pomocy dobrego przyjaciela, ten sam „kompetentny oddział” brytyjskiego MSZ będzie słał przesłodzone wyrazy żalu, roztaczając przed nimi nęcącą wizję przyszłości.

W każdym razie moja służba szczyła się nieprawdopodobnymi wręcz sukcesami w Polsce, gdzie niemal żenująca liczba Polaków i Polek ze słynną polską brawurą narażała życie swoje i swych najbliższych, żeby szpiegować dla „Anglii”.

Nic więc dziwnego, że po zdemaskowaniu Haydona odnotowaliśmy odpowiednio wysoki poziom strat wśród naszych siatek agenturalnych w Polsce. Dzięki Haydonowi Brytyjczycy dodali jeszcze jedną zdradę do i tak długiej listy. Kiedy kolejna katastrofa następowała z przerażającą nieuchronnością, atmosfera żałoby w placówce monachijskiej stała się niemal namacalna, a poczucie wstydu pogłębiała jeszcze nasza bezradność. Nikt nie miał wątpliwości, co się stało. Przed „upadkiem” polskie służby bezpieczeństwa, sprawnie kierowane przez pułkownika Jerzego, szefa operacyjnego SB, skwapliwie korzystały z pomocy Haydona, zadowolając się penetrowaniem istniejących siatek i wykorzystywaniem ich do rozsiewania dezinformacji, a gdy udawało im się przeciągnąć je na swoją stronę, sprawnie nakierowywały je przeciw nam.

Ale po „upadku” pułkownik nie musiał już dbać o pozory i w ciągu kilku dni brutalnie uciszył tych agentów, którym do tej pory pozwalał funkcjonować. „Czarna lista Jerzego”, jak ją nazywaliśmy, wydłużała się niemal każdego dnia i w naszej bezradności zniechęciliśmy człowieka, który wymordował naszych kochanych współpracowników. Czasem nawet nie zwracał sobie głowy sądowymi formalnościami, tylko pozwalał swym zbirom bawić się do końca.

Może komuś wydać się dziwne, że Monachium stanowi odskocznnię do Polski. Przez całe dekady w Monachium znajdowało się centrum dowódcze szeregu polskich operacji. Z dachu konsularnego aneksu na zielonym przedmieściu nasza antena dzień i noc wylapywała sygnały polskich agentów, które często były tylko piknięciem między słowami wypowiedzianymi w zwykłym programie radiowym. A w odpowiedzi o wcześniej ustalonych porach transmitowaliśmy słowa pociechy i świeże rozkazy. Z Monachium przesyłaliśmy listy do Polski z przemycanymi zaszyfrowanymi wiadomościami. A jeśli naszym informatorom udawało się wyjechać z Polski, wyruszaliśmy z Monachium, żeby ich ugościć i wysłuchać, co leży im na sercu.

Także z Monachium, jeśli zaszła taka potrzeba, nasi oficerowie jechali do Polski, zawsze pojedynczo, zwykle pod przykrywką wizyty w interesach, na targi lub wystawę. I na jakimś przydrożnym postoju lub w małej kawiarni na bocznej uliczce nasi emisariusze spotykali się twarzą w twarz z cennymi agentami, załatwiali sprawę i wyjeżdżali ze świadomością, że dolali nafty do lampy. Gdyż nikt, kto nie był w skórze agenta terenowego, nie potrafił sobie wyobrazić, jak samotne jest takie życie. Filiżanka kiepskiej kawy wypita w towarzystwie oficera prowadzącego może na całe miesiące podnieść morale agenta terenowego.

I tak oto pewnego zimowego dnia wkrótce po rozpoczęciu mojej drugiej kadencji w Monachium (i przyjętym z ulgą wyjeździe profesora Teodora razem z jego żoną do Ameryki) znalazłem się w samolocie linii LOT na trasie Warszawa - Gdańsk z holenderskim paszportem w kieszeni, według którego byłem urodzonym czterdzieści lat wcześniej Franzem Joostem z Nijmegen. Moja podróż, jak napisałem w podaniu o wizę, miała na celu obejrzenie budynków gospodarczych z prefabrykatów w imieniu zachodnio-niemieckiego konsorcjum rolniczego. Zdobyłem bowiem podstawy wykształcenia jako inżynier, które wystarczały, żeby wymieniać się wizytówkami z urzędnikami z polskiego Ministerstwa Rolnictwa.

Miałem też do wykonania inną misję, bardziej skomplikowaną. Szukałem agenta o pseudonimie Oskar, który zmartwychwstał po sześciu miesiącach, odkąd uznaliśmy go za zmarłego. Niespodziewanie Oskar przysłał nam list pod stary adres i korzystając z tajnego szyfru opisał wszystko, co zrobił i czego nie zrobił od dnia, kiedy po raz pierwszy usłyszał o aresztowaniach. Zachował zimną krew. Dalej wykonywał swoją pracę. Żeby odwrócić od siebie uwagę, anonimowo zadenuncjował jakiegoś niewinnego aparatczyka z Sekcji Archiwalnej, w której pracował. Czekał i

po kilku tygodniach aparaczyk zniknął. Dotarły do niego plotki, że aparaczyk się przyznał. Biorąc pod uwagę delikatne metody pułkownika Jerzego, nie było to dziwne. Minęły kolejne tygodnie i znów poczuł się bezpiecznie. Teraz gotów jest wznowić działalność wywiadowczą, jeśli ktoś mu powie, co ma dalej robić. W dowód dobrych intencji na trzeciej, piątej i siódmej kropce listu, czyli we wcześniej uzgodnionych miejscach, umieścił mikropunkty. Po ich powiększeniu otrzymaliśmy szesnaście stron ściśle tajnych rozkazów z polskiego Ministerstwa Obrony do departamentu pułkownika Jerzego. Analitycy z Cyrku uznali, że są „prawdopodobne i przypuszczalnie autentyczne”, co w ich ustach brzmiało jak ekstatyczna deklaracja zaufania.

Musicie sobie teraz wyobrazić, jakie poruszenie list Oskara wzbudził w placówce, a nawet we mnie, choć nigdy go nie spotkałem. Oskar! krzyczeli przekonani. Stary diabeł! Przeżył pod gruzami! Tylko Oskar mógł tak im utrzyć nosa! Oskar, nasz wierny urzędnik z polskiej Admiralicji, bazujący w gdańskiej kwaterze obrony wybrzeża, jeden z naszych najlepszych agentów!

Tylko najbardziej nieufni i ci, którzy zbliżali się do emerytury, uznali list za podstęp. Powiedzenie „nie” w takich przypadkach jest łatwe. Powiedzenie „tak” wymaga odwagi. W każdym razie sceptyków zawsze słyhać najlepiej, szczególnie po aferze z Haydonem. Na jakiś czas sprawa utknęła w martwym punkcie, gdyż nikt nie odważył się podjąć ostatecznej decyzji. Aby zyskać na czasie, napisaliśmy do Oskara list z prośbą o dalsze gwarancje. Odpisał domagając się gniewnie deklaracji zaufania i tym razem postawił warunek: spotkanie. „Spotkanie albo nic”, napisał. I to w Polsce. Wkrótce albo nigdy.

Centrala nadal się wahała. Poprosiłem, żeby pozwolono mi się z nim spotkać. Sceptycy z mojej placówki oświadczyli, że zwariowałem, natomiast ich przeciwnicy twierdzili, że to jedyna rozsądna rzecz, jaką możemy zrobić. Nie przekonywała mnie żadna ze stron, ale chciałem jasności. Być może pragnąłem jej też w życiu prywatnym, gdyż Mabeł od niedawna zdradzała chęć wycofywania się z naszego związku, co nie skłaniało mnie do wysokiej samooceny. Centrala sprzyjała sceptykom. Przypomniałem im o mojej służbie w marynarce. Centrala wahała się i mówiła: „na razie nie, ale może wkrótce...”. Przypomniałem im, że jestem dwujęzyczny i mam potwierdzoną holenderską tożsamość, którą nasz holenderski łącznik spreparował w zamian za przysługi na innym polu. Centrala oszacowała ryzyko i różne alternatywy i wreszcie usłyszałem: „Tak, ale tylko na dwa dni”. Być może doszli do wniosku, że po aferze z Haydonem i tak nie miałem zbyt wielu tajemnic do zdradzenia. Pośpiesznie przygotowałem kamuflaż i wyruszyłem, zanim zdążyli zmienić zdanie. Kiedy samolot wylądował w Gdańsku, było sześć stopni poniżej zera; na ulicach leżał gruby śnieg, cały czas sypało. Panujący tu spokój dawał mi złudne poczucie bezpieczeństwa. Mimo to wierzcie, zachowywałem ostrożność. Być może szukałem jasności, ale nie byłem już tak naiwny jak kiedyś.

Gdańskie hotele reprezentowały jednolicie koszmarny poziom, a mój nie należał do wyjątków. W holu śmierdziało zdezynfekowanym pisuarem, a zameldowanie się dorównywało stopniem skomplikowania adopcji dziecka i trwało dłużej. Okazało się, że mój pokój jest już zajęty, a recepcjonistka nie mówi żadnym cywilizowanym językiem. Kiedy udało mi się znaleźć wolny pokój i pokojówka usunęła co obrzydliwsze ślady mojego poprzednika, zapadł zmierzch i nadeszła pora, żeby zawiadomić o moim przyjeździe Oskara.

Każdy agent ma swoje charakterystyczne upodobania. Latem, przeczytałem w aktach, Oskar lubi wędkować. Mój poprzednik prowadził z nim owocne rozmowy nad rzeką. Złowili nawet razem kilka ryb, choć były niejadalne przez zanieczyszczenie. Teraz jednak srożyła się mroźna zima i tylko dzieci oraz masochiści wybierali się na ryby. Zimą zwyczajnie Oskara ulegały zmianie. Grywał w bilard w

klubie dla urzędników niedaleko portu. W klubie był telefon. Żeby umówić się na spotkanie, mój poprzednik, który mówił po polsku, musiał tylko zadzwonić do niego i przeprowadzić wesołą rozmowę, przedstawiając się jako stary przyjaciel z marynarki o imieniu Lech. Oskar miał powiedzieć: „W porządku, spotkamy się jutro u mojej siostry na drinka”, co oznaczało: „Za godzinę przyjedź po mnie samochodem na róg takiej a takiej ulicy”.

Aleja nie mówiłem po polsku. Poza tym po „upadku” Haydona regulamin wykluczał reaktywowanie agenta według starej procedury.

W swoim liście Oskar zamieścił numery telefonów trzech kawiarni i godziny, w których postara się w nich być: trzy, ponieważ zawsze istniało prawdopodobieństwo, że któryś z telefonów popsuje się lub będzie zajęty. Jeśli żaden z telefonów nie umożliwi kontaktu, mieliśmy zastosować wariant z samochodem. Oskar wskazał przystanek tramwajowy, gdzie powinienem czekać o wyznaczonej godzinie. Podał numer rejestracyjny swego nowego niebieskiego trabanta.

Moja rola wydaje się wam zapewne pasywna. To dlatego, że według żelaznej reguły stosowanej przy tego typu spotkaniach, agent terenowy jest najważniejszy i on decyduje, jaki wariant jest najbezpieczniejszy dla niego i najbardziej zgodny z jego trybem życia. Ja sam nie zaproponowałbym tego, co Oskar, nie rozumiałem też, dlaczego przed spotkaniem mieliśmy odbyć rozmowę telefoniczną. Ale być może Oskar rozumiał. Być może obawiał się pułapki. Być może chciał usłyszeć pewność w moim głosie, zanim podejmie decydujący krok.

A być może istniała jakaś okoliczność, o której miałem się dopiero dowiedzieć: chciał zabrać ze sobą przyjaciela; pragnął być natychmiast ewakuowany; rozmyślił się. Istnieje bowiem druga reguła, równie surowa co pierwsza: należy zawsze przyjmować najgorszy scenariusz. Dobry oficer prowadzący spodziewa się, że cały system telefoniczny w Gdańsku ulegnie awarii w chwili, gdy będzie chciał zatelefonować, uzgodniony przystanek tramwajowy znajdzie się w samym centrumTobót drogowych lub że Oskar tego dnia wjedzie w słup, dostanie czterdziestu stopni gorączki albo ulegnie namowom żony i zażąda miliona dolarów w złocie przed wznowieniem współpracy z nami, albo ich dziecko uzna, że należy już przedwcześnie dojrzeć. Cała sztuka - powtarzałem do znudzenia swoim studentom - polega na tym, żeby postępować zgodnie z prawem Murphy'ego.

Z tą maksymą w głowie po godzinie bezowocnych prób połączenia się z trzema kawiarniami, stanąłem na uzgodnionym przystanku o dwudziestej pierwszej dziesiątej i czekałem, aż trabant Oskara dobrnie na miejsce. Śnieg przestał wprawdzie sypać, lecz ulica wciąż ograniczała się do dwóch czarnych kolein wzdłuż torów tramwajowych, a nieliczne mijające mnie samochody wyglądały jak wracające z frontu niedobitki.

Gdańsk to z jednej strony majestatyczny hanzeatycki port, z drugiej polskie przemysłowe slumsy. Właśnie w tej części mieścił się mój przystanek tramwajowy. Po obu stronach zimne, słabo oświetlone betonowe bloki garbiły się pod pomarańczowym niebem. Nigdzie nie widziałem najmniejszego śladu ludzkiej miłości czy przyjemności. Ani kawiarni, ani kina, ani neonów. Nawet para pijaków, leżących w bramie po drugiej stronie ulicy, wyglądała, jakby bała się odezwać. Wybuch śmiechu, życzliwe słowo byłoby zbrodnią przeciw bezbarwności tego więzienia pod gołym niebem. Przejechał samochód, ale nie trabant i nie niebieski. Boczne szyby pokrywała warstwa śniegu i nawet kiedy mnie mijał, nie potrafiłem stwierdzić, ilu wiezie pasażerów. Zatrzymał się. Nie na poboczu, nie na chodniku, nie w zatoczce autobusowej, gdyż śnieżne zasy wszędzie blokowały dostęp. Zatrzymał się po prostu na bliźniaczych czarnych śladach na jezdni i wyłączył najpierw

silnik, a później światła.

Kochankowie, pomyślałem. Jeśli tak, byli kochankami ślepyimi na niebezpieczeństwo, gdyż była to jezdnia dwukierunkowa. Pojawił się drugi samochód, jadący w tym samym kierunku co pierwszy. On też się zatrzymał, ale tuż przed moim przystankiem. Następna zakochana para? A może jakiś ostrożny kierowca, który postanowił wyhamować w odpowiedniej odległości przed stojącym samochodem? Rezultat był następujący: stałem między dwoma samochodami i zauważyłem, że dwaj milczący pijacy nie leżeli już w bramie i wyglądali całkiem trzeźwo. Usłyszałem za sobą kroki, ciche jak stąpienie miękkiego pantofelka w śniegu, bardzo blisko. Wiedziałem, że nie mogę robić żadnych gwałtownych ruchów: to nie byłoby rozsądne z mojej strony. Żadnego rzucania się do ucieczki, żadnych błyskawicznych ciosów, ponieważ to, czego zacząłem się obawiać, było albo niczym, albo wszystkim. A jeśli było wszystkim, nic nie mogłem zrobić.

Z lewej strony stanął obok mnie mężczyzna - na tyle blisko, że mógł mnie dotknąć. Miał na sobie futro i skórzaną czapkę. Trzymał w ręku złożoną parasolkę, choć równie dobrze mogła to być ołowiana rura wepchnięta w nylonowy futerał. No dobrze, podobnie jak ja czekał na tramwaj. Drugi mężczyzna stał po prawej. Zalatywało od niego końmi. Doskonale, tak jak jego towarzysz i ja, też czekał na tramwaj, nawet jeśli przyjechał tu konno. Wtem usłyszałem ponury głos mówiący po angielsku z polskim akcentem. Nie dochodził ani z lewej, ani z prawej, lecz bezpośrednio zza moich pleców, gdzie usłyszałem ciche kroki.

- Obawiam się, że Oskar dziś się nie zjawi. Nie żyje od sześciu miesięcy.

Ale wtedy już zdążyłem się zastanowić. Miałem na to całe wieki. Nie znałem żadnego Oskara. Jakiego Oskara? Gdzie ma się zjawić? Byłem przecież Holendrem, który mówił łamaną angielszczyzną z mocnym holenderskim akcentem jak moi wujowie i ciotki z Nijmegen. Poczekalem, aż minie trochę czasu, zanim zareagowałem na jego słowa. Odwróciłem się w końcu, ale powoli i bez zainteresowania.

- Chyba mnie pan z kimś pomylił - zaprotestowałem z leniwym śpiewnym akcentem, którego nauczyłem się od matki. - Nazywam się Franz Joost, z Holandii, i nie czekam na nikogo, poza tramwajem.

W tym momencie mężczyźni chwycili mnie fachowo z obu stron, wykręcili mi ręce, jednocześnie przewracając na ziemię, a następnie zaciągnęli do drugiego samochodu. Zanim tam jednak dotarliśmy, udało mi się zerknąć na grubego mężczyznę, który się do mnie odezwał. Miał szare policzki i zaczerwienione oczy nocnego stróża. To był nasz pułkownik Jerzy, bohater służb broniących Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, którego marne zdjęcie gościło na pierwszych stronach kilku największych polskich dzienników w czasie, kiedy dzielnie zatrzymywał i torturował naszych agentów.

Każdy z nas podświadomie przygotowuje się na upadek i klęskę, w zależności od zawodu, który uprawia. Przedsiębiorca pogrzebowy wyobraża sobie swój pogrzeb, bogacz nędzę, strażnik więzienie, a rozpustnik impotencję. Aktora podobno najbardziej przeraża perspektywa pustej widowni, przed którą na próżno próbuje przypomnieć sobie tekst - wszystko to są wizje śmierci. Dla urzędnika państwowego jest nią chwila, gdy zapadają się wokół niego ochronne mury przywileju, a on staje się zwykłym obywatelem, wystawionym na ocenę opinii, odpowiadając jak niewierny mąż za zaniedbania i oszustwa. Prawdę mówiąc większość mych kolegów po fachu zalicza się do tej właśnie kategorii: najbardziej przeraża ich myśl, że obudzą się któregoś dnia i ujrzą swe prawdziwe nazwisko w gazetach, usłyszą, jak mówi się o nich w radiu i w telewizji, staną się pośmiewiskiem, a

co gorsze, obiektem krytyki społeczeństwa, któremu służyli. Takie publiczne zdemaskowanie byłoby dla nich większą katastrofą niż przegrana w walce z konkurencją lub wykrycie przez jakąkolwiek inną służbę. Oznaczałoby śmierć.

Dla mnie najgorszym rodzajem śmierci, a tym samym najcięższą próbą, do której się przygotowywałem, odkąd wstąpiłem do tajnych służb, było to, co czekało mnie teraz: wypróbowanie mej niepewnej odwagi na kole tortur; zredukowanie do ostatniej cząstki wytrzymałości, ze świadomością, że mogę powstrzymać agonię jednym słowem i że to, co się we mnie dzieje, jest śmiertelną walką między duchem i ciałem, ci zaś, którzy zadają mi ból, są jedynie najemnikami w wojnie toczącej się we mnie.

Od pierwszej oślepiającej eksplozji bólu rozpoznałem go: witaj, jesteś wreszcie. Ja nazywam się Joost, a ty?

Obyło się bez ceremonii. Nie posadził mnie za biurkiem, czego domaga się uświęcona filmowa tradycja, i nie powiedział: „Albo zaczniesz sypać, albo nie wyjdiesz stąd żywy. Oto twoje zeznanie. Podpisz”. Nie kazał im zamykać mnie w celi i zostawić na kilka godzin, żebym skruszał i doszedł do wniosku, że podpisanie zeznania jest jednak lepszym wyjściem. Po prostu wyciągnęli mnie z samochodu i przez bramę budynku, który mógł być czyjąś prywatną willą, zagonili na podwórko, gdzie na śniegu widać było tylko nasze ślady. Przewrócili mnie w zaspę i cała trójka zaczęła bić, walili w twarz, w krocze, w brzuch i znów w twarz, tym razem łokciem lub kolaniem. Wciąż zgiętego w pół kopniakami pędzili jak lekko ogłuszoną świnię po śliskim asfalcie, jakby nie mogli się doczekać, żeby zagnać mnie do środka i tam zatłuc.

Kiedy znaleźliśmy się w środku, ich uderzenia stały się mniej chaotyczne. Elegancja starodawnego pustego pokoju rozbudziła w nich umiłowanie porządku. Znęcali się nade mną na zmianę, jak ludzie cywilizowani: dwóch trzymało, a jeden bił - prawdziwie demokratyczna rotacja, tyle że gdy nadeszła piąta lub piętnasta kolejka pułkownika Jerzego, huknął mnie z takim żalem i z taką siłą, że umarłem na chwilę, a kiedy oprzytomniałem, byłem z nim sam na sam. Siedział za biurkiem, opierając się o nie łokciami i trzymał swą nieszczęśliwą głowę między poobijanymi dłońmi, jakby miał kaca. Z rozczarowaniem przeglądał odpowiedzi, których udzieliłem na pytania zadawane mi między ciosami. Podniósł oczy, żeby spojrzeć z dezaprobatą na moją zdeformowaną twarz, po czym pokręcił z bólem głową i westchnął, jakby chciał powiedzieć, że życie jest dla niego niesprawiedliwe i że nie wie, co jeszcze ma zrobić, żeby otworzyć mi oczy. Uświadomiłem sobie, że minęło więcej czasu, niż myślałem, może nawet parę godzin.

W tej właśnie chwili scena zaczęła nabierać podobieństwa do tej, którą zawsze sobie wyobrażałem: mój gnębiciel siedzi za biurkiem, patrząc na mnie z zawodowym zainteresowaniem, a ja siedzę przytwierdzony do gorącego grzejnika z rękoma przywiązanymi po obu stronach do czarnego, przypominającego akordeon kaloryfera, którego żeberka wbijają się w moje plecy jak rozgrzane do czerwoności zęby. Krwawiłem z ust, z nosa, jak mi się wydawało, oraz z jednego ucha, moja koszula wyglądała jak fartuch rzeźnika. Ale krew już zaschła, a ja przestałem krwawić, dzięki czemu mogłem się zorientować, ile minęło czasu. Jak długo krzepnie krew w wielkim pustym pokoju w Gdańsku, gdy jest się przywiązany łańcuchami do gorącego grzejnika i patrzy się w psią mordę pułkownika Jerzego?

Nienawiść do niego przychodziła mi z ogromnym trudem, a pieczenie w plecach sprawiało, że z każdą chwilą robiło się to coraz trudniejsze. Był moim jedynym wybawcą. Teraz już nie spuszczał ze mnie oczu. Nawet wtedy, gdy pochylał się nad biurkiem zapadając w swoje rozmyślenia, kiedy

wstał, żeby zapalić wstrętnego polskiego papierosa i przeszedł się dla rozprostowania kości po pokoju, jego żałobne spojrzenie tkwiło we mnie, gdziekolwiek przebywał myślami. Odwrócił się do mnie szerokimi plecami. Pokazał wielką grubą łysą głowę i dziobaty kark. Ale ani na sekundę nie spuścił ze mnie oczu - negocjując, spierając się, a czasem, jak mi się wydawało, błagając mnie, żebym ulżył jego cierpieniu. Częstka mojej osoby naprawdę pragnęła mu pomóc, a jej głos stawał się tym donośniejszy, im bardziej dokuczało mi pieczenie. Bo też nie było to już pieczenie, tylko czysty ból, ból niepodzielny i absolutny, rosnący jak temperatura w termometrze bez górnego pułapu. I oddałbym wszystko, żeby poprawić mu samopoczucie - wszystko oprócz siebie. Oprócz tej części mej osoby, która oddzielała mnie od niego i dlatego stanowiła o moim przetrwaniu.

- Jak się nazywasz? - zapytał mnie po angielsku z polskim akcentem.

- Joost. - Musiał się nade mną pochylić, żeby mnie usłyszeć. - Franz Joost.

- Z Monachium - odpowiedział, wykorzystując mój bark jako podpórkę, gdy zbliżał ucho do moich ust.

- Urodziłem się w Nijmegen. Pracuję dla rolników w górach Taunus, niedaleko Frankfurtu.

- Zapomniałeś o holenderskim akcencie. - Potrząsnął mną lekko, żeby mnie obudzić.

- Po prostu go nie słyszysz. Jesteś Polakiem. Chcę się zobaczyć z holenderskim konsulem.

- Chciałeś powiedzieć z brytyjskim konsulem.

- Z holenderskim. - Jak mi się zdaje, powtórzyłem „z holenderskim” jeszcze kilka razy i tak w kółko, aż oblał mnie zimną wodą. Trochę wody wlał mi w usta, żebym mógł je przepłukać. Stwierdziłem, że nie mam zęba. Dolna szczęka, z przodu z lewej strony. Może dwóch. Trudno powiedzieć.

- Wierzysz w Boga? - zapytał.

Kiedy tak patrzył na mnie, pochylony, policzki wypełniły mu się jak u niemowlaka, a wargi ułożyły do pocałunku, toteż wyglądał jak zaintrygowany cherubinek.

- Nie teraz - odparłem.

- Czemu?

- Chcę się widzieć z holenderskim konsulem. Pomyliliście mnie z kimś.

Zauważyłem, że niecierpliwi się, kiedy tak mówię. Nie był przyzwyczajony do rozkazów ani do sprzeciwu. Przesunął grzbietem prawej dłoni po wargach, co czasem robił przed uderzeniem. Czekałem na cios. Zaczął poklepywać kieszenie, przypuszczalnie w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia.

- Nie - pokręcił głową, wzdychając. - Jesteś w błędzie. Z nikim cię nie pomyliłem.

Przyklęknął obok mnie. Myślałem, że chce mnie zabić, ponieważ zauważyłem, że kiedy wydawał się najbardziej nieszczęśliwy, zachowywał się najbardziej brutalnie. Ale tylko rozpiął mi kajdanki. Potem chwycił mnie pod pachy i zaciągnął - prawie pomyślałem, że mi pomaga - do przestronnej łazienki ze starą wanną wypełnioną ciepłą wodą.

- Rozbieraj się - rozkazał i przyglądał się ze strapioną miną, jak ściągałem z siebie strzępy ubrania, zbyt wyczerpany, by martwić się, co ze mną zrobi, kiedy znaję się w wodzie: utopi, ugotuje, zamrozi, a może wrzuci do wody przewód elektryczny.

Miał moją walizkę z hotelu. Kiedy leżałem w wannie, wyjął czyste ubrania i rzucił je na krzesło.

- Wylatujesz jutro do Frankfurtu przez Warszawę. Zaistniała pomyłka - powiedział. - Przepraszamy. Odwołaliśmy twoje handlowe spotkania. Powiedzieliśmy, że miałeś wypadek samochodowy. Kierowca zbiegł.

- Przepraszamy nie wystarczą - powiedziałem.

Kąpiel nie przyniosła mi ulgi. Bałem się, że jeśli dłużej poleżę w wodzie, znów umrę. Dźwignąłem się z trudem i przykucnąłem. Jerzy wyciągnął do mnie ramię. Chwyciłem je i wstałem, kołysząc się niebezpiecznie. Pomógł mi wyjść z wanny, podał ręcznik i przyglądał się ponuro, gdy wycierałem się i wkładałem czyste ubranie, które przygotował wcześniej.

Wyprowadził mnie z domu i poprowadził dalej przez podwórze, z walizką w jednym ręku, drugą podtrzymując mnie, gdyż kąpiel miała działanie zarówno kojące, jak osłabiające. Rozglądałem się za jego zbirami, ale nikogo nie zauważyłem.

- Zimne powietrze dobrze ci zrobi - oznajmił pewnym siebie tonem znawcy.

Podprowadził mnie do zaparkowanego samochodu, który nie przypominał żadnego z dwóch aut, uczestniczących w moim aresztowaniu. Na tylnym siedzeniu leżała dziecinna kierownica do zabawy. Jechaliśmy pustymi ulicami. Co chwila zapadałem w sen. Dojechaliśmy do białej bramy strzeżonej przez milicję.

- Nie patrz na nich - rozkazał i pokazał im papiery, a ja znów odpłynąłem. Wyszliśmy z samochodu i stanęliśmy na trawiastym urwisku. Wiatr

od morza mroził nam twarze. Czulem, że moja ma wielkość dwóch piłek. Usta przesunęły mi się w stronę lewego policzka, jedno oko było zamknięte. Nie było widać księżyca, słyszeliśmy tylko pomruk morza za słoną mgiełką. Jedyne światło płynęło z miasta za nami. Z nieba leciały w porywach iskrzące płatki śniegu, kłęby białej piany rozpląwały się w ciemności przed nami. A więc tutaj mam umrzeć, pomyślałem, stojąc tak obok niego; najpierw mnie pobił, później zafundował ciepłą kąpiel, a teraz zastrzeli i strąci do morza. Lecz jego ręce zwisały apatycznie i nie było w nich broni, natomiast oczy - o ile mogłem zauważyć - wpatrzone były w bezgwiazdną ciemność, a nie we mnie. Więc może ktoś inny ma mnie zastrzelić, ktoś, kto czai się już w mroku. Gdybym miał więcej energii, mógłbym przedtem zabić Jerzego: Ale nie miałem energii i nie czulem takiej potrzeby. Myślałem o Mabel, choć bez żalu i bez radości. Zastanawiałem się, jak sobie poradzi, żyjąc z renty po mnie, kogo sobie znajdzie. Frdulein Stefanie nie ma w domu, przypomniałem sobie... Więc może odebrała Stefanie, sugerował Smiley... Tyle próżnych modlitw, pomyślałem. A wielu nie zmówiłem. Byłem bardzo zmęczony.

Jerzy odezwał się wreszcie głosem równie ponurym jak poprzednio.

- Przywiozłem cię tutaj, bo tu nikt nas nie podsłucha. Chcę pracować dla twojego kraju. Potrzebuję profesjonalisty, który odegra rolę pośrednika. Wybrałem cię.

Znów straciłem poczucie czasu i przestrzeni. Ale on też. Odwrócił się od morza i przytrzymując ręką skórzany kapelusz, wpatrzył się surowo w światła miasta, rzucając groźne spojrzenia i od czasu do czasu ocierając wielkimi pięściami z policzka łzy, które wyciskał mu wiatr.

- Chcesz pracować dla Holandii? - zapytałem.

- No dobrze, mam zamiar szpiegować na rzecz Holandii - odparł znużonym głosem, ustępując mojej skrupulatności. - Dlatego potrzebuję profesjonalnego Holendra, który potrafi trzymać gębę na kłódkę. Wiem, jakich głupców wy, Holendrzy, zatrudnialiście przeciwko nam w przeszłości, więc nic dziwnego, że jestem wybredny. Ty przeszedłeś próbę. Gratuluję. Wybieram cię.

Pomyślałem, że lepiej nic nie mówić. Chyba mu nie wierzyłem.

- W skrytce na dnie walizki znajdziesz plik polskich tajnych dokumentów - mówił dalej zrezygnowanym tonem. - Na gdańskim lotnisku nie będziesz miał oczywiście żadnych problemów przy odprawie. Otrzymali ode mnie rozkaz, żeby nie przeszukiwać twojego bagażu. Myślą, że zrobiłem z ciebie swego agenta. We Frankfurcie poczujesz się już jak w domu. Będę się kontaktował

z tobą i tylko z tobą. Nasze następne spotkanie odbędzie się w Berlinie piątego maja. Będę brał udział w uroczystościach pierwszomajowych dla uczczenia chwalebnego zwycięstwa proletariatu.

Próbował zapalić nowego papierosa, ale wiatr uparcie zdmuchiwał zapalki. Zdjął więc kapelusz i zapalił papierosa pod jego osłoną, pochylając tłustą twarz, jakby pił wodę z fontanny.

- Twoi ludzie będą chcieli znać moje motywy - mówił dalej, zaciągając się dymem. - Powiedz im... - Nie znajdując słów, schował głowę w ramiona i spojrzał na mnie, jakby prosił o radę, jak postępować z idiotami. - Powiedz im, że się nudzę. Powiedz im, że mam dość tej pracy. Powiedz im, że partia to zgraja oszustów. Wiedzą o tym, ale i tak powiedz. Że jestem katolikiem. Że jestem Żydem. Że jestem Tatarem. Powiedz do cholery to, co chcą usłyszeć.

- Może zechcą zapytać, dlaczego zwróciłeś się do Holendrów - powiedziałem. - A nie do Amerykanów, Francuzów, czy kogo tam jeszcze.

Myślał, zaciągając się w ciemności papierosem.

- Wy, Holendrzy, mieliście kilku świetnych agentów - odparł w zamyśleniu. - Niektórych dość dobrze poznałem. Doskonale się sprawowali, dopóki nie pojawił się ten drań Haydon. - Przyszedł mu do głowy jakiś pomysł. - Powiedz, że mój ojciec był pilotem w bitwie o Anglię - podsunął. - Dał się zestrzelić nad Kent. To powinno ich zadowolić. Znasz Kent?

Mogłem mu powiedzieć, że przed naszą tak zwaną „przyjacielską” separacją kupiliśmy z Mabel dom w Tunbridge Wells. Ale nie zrobiłem tego, i bardzo dobrze, bo gdy Centrala sprawdziła tę historię, okazało się, że ojciec Jerzego mógł najwyżej puszczać latawce, a nie latać samolotem. I kiedy kilka lat później zapytałem o to Jerzego - kiedy już jego lojalność wobec perfidnych Brytyjczyków została udowodniona ponad wszelką wątpliwość - po prostu roześmiał się i oznajmił, że jego ojciec był starym głupcem, któremu zależało tylko na wódzie i kartoflach.

Zatem dlaczego?

Przez pięć lat Jerzy był dla mnie tajnym uniwersytetem szpiegostwa, lecz jego pogardliwy stosunek do motywów - zwłaszcza własnych - nie zmienił się. Najpierw my, idioci, robimy to, co chcemy, powiedział, a później szukamy usprawiedliwienia dla naszych czynów. Wszyscy byli dla niego idiotami, a największymi ze wszystkich - szpiedzy.

Początkowo podejrzewałem, że chodzi mu o zemstę i próbowałem wyciągnąć z niego, czy ktoś stojący wyżej w hierarchii kiedyś mu się naraził. Ale nienawidził ich wszystkich, a siebie najbardziej.

Później doszedłem do wniosku, że robi to z powodów ideologicznych, a za jego cynizmem kryją się subtelniejsze tęsknoty, które odkrył w sobie w średnim wieku. Ale kiedy podstępnie usiłowałem przebić się przez mur cynizmu: „Twoja rodzina, Jerzy, twoja matka. Przyznaj, że jesteś dumny z wnuka”, trafiałem na kolejne pokłady tego cynizmu. Nie czuję do nich nic, odparł tak lodowatym tonem, że uwierzyłem w jego nienawiść do całej rasy ludzkiej i w to, że jego brutalność, a być może także zdrada, są naturalnym wyrazem tej nienawiści.

Co do Zachodu, rządzą nim tacy sami idioci, jak wszędzie na świecie, więc co za różnica? I kiedy przekonywałem go, że tak nie jest, zaczął tak fanatycznie bronić swego nihilistycznego credo, że musiałem ustąpić, aby go nie rozwścieczyć.

Więc dlaczego? Po co nadstawiać głowę, narażać życie, karierę i rodzinę, której nienawidził, żeby zrobić coś dla świata, którym gardził?

Kościół? O to też go zapytałem i zachnął się znacząco, tak teraz o tym myślę. Chrystus cierpiał na depresję maniackalną, odparł. Chrystus chciał popełnić samobójstwo w miejscu publicznym, więc

sprzeczności, aż wyświadczyły mu tę przysługę. - Ci wszyscy w sutannach są tacy sami - oświadczył z pogardą. - Torturowałem ich, więc wiem.

Jak większość cyników był również purytaninem i paradoks ten objawił się w nim kilkakrotnie. Kiedy chcieliśmy dać mu pieniądze lub otworzyć konto w szwajcarskim banku, wpadł w furję i oświadczył, że nie jest jakimś „tanim informatorem”. Wybrałem odpowiednią chwilę i zgodnie z wytycznymi Centrali zapewniłem go, że jeśli kiedykolwiek coś się stanie, nie będziemy szczędzić wysiłków, żeby wydostać go z tarapatów i zapewnić mu nowe życie na Zachodzie. Okazał niezmierną pogardę. - Jestem polską gnidą, ale wolę stanąć przed plutonem egzekucyjnym innych gnid, niż umrzeć jako zdrajca w kapitalistycznym chlewie.

Co do innych przyjemności życia, nie mogliśmy zaoferować mu niczego, czego już nie miał. Jego żona była sekutnicą i z niechęcią myślał o powrocie do domu po ciężkim dniu pracy. Za kochankę miał młodą kretynkę. Po godzinie spędzonej w jej towarzystwie wołał bilard niż rozmowę z nią.

Więc dlaczego? Nie przestawałem zadawać sobie tego pytania, kiedy wyczerpałem wszystkie możliwości z agenturalnej listy standardowych motywów.

Tymczasem Jerzy nie przestawał zapełniać naszych szuflad. Rozkładał polskie służby na czynniki pierwsze z taką samą precyzją, z jaką Haydon rozłożył nasze. Kiedy otrzymywał rozkazy z centrali moskiewskiej, wiedzieliśmy o nich, zanim przekazał je swym podwładnym. Obfotografował wszystko, co tylko mógł: narażał się bardziej, niż od niego wymagaliśmy. Zachowywał się tak brawurowo, że czasami zastanawiałem się, czy jak Chrystus, którym tak gardził, nie szuka publicznej śmierci. Jedyne niesłabnąca skuteczność jego - jak to nazywaliśmy - przykrywkowej pracy chroniła go przed podejrzeniami. Była to ciemna strona jego podwójnej działalności: niech Bóg ma w opiece zachodnich agentów, prawdziwych lub fałszywych, którzy wpadali w ręce Jerzego, zmuszani przez niego do zeznań.

Tylko raz w ciągu pięciu lat, kiedy go prowadziłem, wymykła mu się wskazówka, której szukałem. Był śmiertelnie zmęczony. Uczestniczył w konferencji szefów służb wywiadowczych Układu Warszawskiego w Bukareszcie. W tym czasie w kraju odpierał oskarżenia o brutalność i korupcję jego służby. Spotkaliśmy się w Berlinie Zachodnim, w dość eleganckim pensjonacie na Kurfurstendamm. Był naprawdę zmęczony brutalnymi przesłuchaniami. Siedział na moim łóżku, paląc i odpowiadając na pytania, dotyczące ostatniej partii materiału. Miał zaczerwienione oczy. Kiedy skończyliśmy, poprosił o whisky, a później o jeszcze jedną.

- Bez zagrożenia nie ma życia - rzekł, ciskając kolejne trzy rolki filmu na kapę. - Bez zagrożenia jesteś trupem. - Wyciągnął odrażającą brązową chusteczkę i starannie wytarł nią swą nalaną twarz. - Bez zagrożenia lepiej zostać w domu i niańczyć dzieci.

Wolałem nie wierzyć, że mówi o zagrożeniu. Naprawdę ma na myśli obawę, że jeśli przestanie czuć, przestanie też istnieć. Być może dlatego właśnie tak bardzo pociągało go wzbudzanie różnych uczuć u innych. Wydawało mi się, że przelotnie zrozumiałem, dlaczego siedzi ze mną w pokoju, łamiąc wszystkie zasady, które mu kiedyś wpajano. Kiedy zaczęło mu się wydawać, że jego dusza umiera, usiłował podtrzymywać ją przy życiu.

Tego samego wieczora byłem umówiony na kolację ze Stefanie w amerykańskiej restauracji położonej o dziesięć minut od pensjonatu, w którym spotkałem się z Jerzym. Numer telefonu Stefanie wyłudziłem od jej siostry mieszkającej w Monachium. Stefanie była wysoka i piękna - taka, jaką zapamiętałem. Bardzo zależało jej na przekonaniu mnie, że jest szczęśliwa. Ach, życie ułożyło mi się fantastycznie, Ned, oświadczyła. Żyła z pewnym szaleniem uzdolnionym uczonego, niezwykle miłym i

mądrym człowiekiem, wprawdzie nie pierwszej młodości, ale przecież i ona nie była już najmłodsza. Wymieniła jego nazwisko. Nic mi nie mówiło. Powiedziała, że jest z nim w ciąży. Nie zauważyłem.

- A tobie, Ned, jak tobie się ułożyło? - zapytała, jakbyśmy byli dwoma generałami, którzy zdają sobie relację z udanych, lecz niezależnych od siebie kampanii.

Posłałem jej najbardziej uspokajający z mych uśmiechów, ten sam, którym zdobywałem zaufanie moich agentów i kolegów przez wszystkie te lata od naszego pierwszego spotkania.

- Chyba całkiem nieźle, dziękuję - odpowiedziałem z udawaną brytyjską skromnością. - W końcu nie można oczekiwać, że jedna osoba spełni wszystkie nasze oczekiwania, prawda? Powiedziałbym, że stworzyliśmy solidny związek oparty na partnerstwie. Dogadujemy się.

- I nadal wykonujesz tę pracę? - zapytała. - Pracę Bena?

- Tak.

Po raz pierwszy padło jego imię. Powiedziała mi, że Ben mieszka w Irlandii, gdzie jego kuzyn kupił podupadłą posiadłość w hrabstwie Cork. Ben pełnił rolę gospodarza, kiedy kuzyn wyjeżdżał, zarybiał rzekę, opiekował się farmą i tak dalej.

Zapytałem, czy go jeszcze kiedyś spotkała.

- Nie - odparła. - On sobie tego nie życzy.

Odwiózłbym ją do domu, ale wołała wezwać taksówkę. Czekaliśmy na nią na ulicy i zanim nadjechała, czas potwornie mi się dłużył. Kiedy zamknąłem za nią drzwi, pochyliła głowę, jak gdyby upuściła coś na podłogę.

Pomachałem jej, ale nie odpowiedziała tym samym z oddalającego się samochodu.

Wieczne wiadomości pokazywały wiec Solidarności w Gdańsku. Polski kardynał nawoływał tłumy do opamiętania się. Znużony się, Mabel rozłożyła na kolanach „Daily Telegraph” i wróciła do rozwiązywania krzyżówki. Początkowo tłum reagował na słowa kardynała wrzawą, ale po chwili ucichli z oddaniem, z którego słyną Polacy. Po kazaniu kardynał wszedł między swe owieczki, rozdając błogosławieństwa i przyjmując wyrazy hołdu. Wśród kolejnych dygnitarzy zobaczyłem w tle Jerzego. Wyglądał jak brzydki chłopiec, którego nie dopuszczono do uczy. Od czasu przejścia na emeryturę stracił sporo na wadze. Domyśliłem się, że zmiany społeczne nie służą mu. Marynarka wisiała na nim, jakby zdjeta z kogoś innego; jego niegdyś imponujące pięści niknęły w rękawach.

Nagle dostrzegł go kardynał, tak jak ja przed chwilą.

Kardynał zastygł w bezruchu, jak gdyby zwątpił w świadectwo swoich oczu, i na chwilę zmienił postawę na bardziej uroczystą, przyciskając do siebie łokcie i prostując ramiona. Znów podniósł powoli ręce i wydał polecenie jednemu z towarzyszących mu młodych księży, który przyjął je z wyraźną niechęcią. Kardynał powtórzył polecenie i ksiądz utorował mu drogę do Jerzego; dwaj mężczyźni stanęli twarzą w twarz. Jerzy krzywił się, jakby rozboleł go brzuch. Kardynał pochylił się i szepnął mu coś do ucha. Jerzy ukląkł niezdarnie i przyjął błogosławieństwo.

Za każdym razem, kiedy odtwarzam ten fragment, widzę, jak oczy Jerzego zamykają się w cierpieniu. Ale czego żałuje? Brutalności? Wierności przegranej sprawie? Zdrady? A może zaciśnięcie powiek jest jedynie instynktowną reakcją oprawcy, który otrzymuje przebaczenie od swej ofiary.

Wędkuję. Wpadam w okresy zadumy. Moja miłość do angielskich pejzaży nasiliła się, jeśli to możliwe. Wracam myślami do Stefanie, Belli i innych kobiet, których nie posiadałem w pełni. Nękam posła z mojego okręgu w sprawie zanieczyszczonej rzeki. Jest konserwatystą, ale co takiego, do diabła, próbuje konserwować? Przyłączyłem się do jednej z aktywniejszych grup ekologicznych.

Zbieram podpisy pod petycjami. Petycje są ignorowane. Nie chcę grać w golfa, nigdy nie chciałem, lecz w środowe popołudnia towarzyszę Mabel, pod warunkiem, że gra sama. Zachęcam ją. Pies może się wtedy wyhasać. Emerytura to nie pora na błąkanie się bez celu i rozmyślanie, jak zbawić ludzkość.

chusteczkę i starannie wytarł nią swą nalaną twarz. - Bez zagrożenia lepiej zostać w domu i niańczyć dzieci.

Wolałem nie wierzyć, że mówi o zagrożeniu. Naprawdę ma na myśli obawę, że jeśli przestanie czuć, przestanie też istnieć. Być może dlatego właśnie tak bardzo pociągało go wzbudzanie różnych uczuć u innych. Wydawało mi się, że przelotnie zrozumiałem, dlaczego siedzi ze mną w pokoju, łamiąc wszystkie zasady, które mu kiedyś wpajano. Kiedy zaczęło mu się wydawać, że jego dusza umiera, usiłował podtrzymać ją przy życiu.

Tego samego wieczora byłem umówiony na kolację ze Stefanie w amerykańskiej restauracji położonej o dziesięć minut od pensjonatu, w którym spotkałem się z Jerzym. Numer telefonu Stefanie wyłudziłem od jej siostry mieszkającej w Monachium. Stefanie była wysoka i piękna - taka, jaką zapamiętałem. Bardzo zależało jej na przekonaniu mnie, że jest szczęśliwa. Ach, życie ułożyło mi się fantastycznie, Ned, oświadczyła. Żyła z pewnym szaleniem uzdolnionym uczonym, niezwykle miłym i mądrym człowiekiem, wprawdzie nie pierwszej młodości, ale przecież i ona nie była już najmłodsza. Wymieniła jego nazwisko. Nic mi nie mówiło. Powiedziała, że jest z nim w ciąży. Nie zauważyłem.

- A tobie, Ned, jak tobie się ułożyło? - zapytała, jakbyśmy byli dwoma generałami, którzy zdają sobie relację z udanych, lecz niezależnych od siebie kampanii.

Posłałem jej najbardziej uspokajający z mych uśmiechów, ten sam, którym zdobywałem zaufanie moich agentów i kolegów przez wszystkie te lata od naszego pierwszego spotkania.

- Chyba całkiem nieźle, dziękuję - odpowiedziałem z udawaną brytyjską skromnością. - W końcu nie można oczekiwać, że jedna osoba spełni wszystkie nasze oczekiwania, prawda? Powiedziałbym, że stworzyliśmy solidny związek oparty na partnerstwie. Dogadujemy się.

- I nadal wykonujesz tę pracę? - zapytała. - Pracę Bena?

- Tak.

Po raz pierwszy padło jego imię. Powiedziała mi, że Ben mieszka w Irlandii, gdzie jego kuzyn kupił podupadłą posiadłość w hrabstwie Cork. Ben pełnił rolę gospodarza, kiedy kuzyn wyjeżdżał, zarybiał rzekę, opiekował się farmą i tak dalej.

Zapytałem, czy go jeszcze kiedyś spotkała.

- Nie - odparła. - On sobie tego nie życzy.

Odwiózłbym ją do domu, ale wolała wezwać taksówkę. Czekaliśmy na nią na ulicy i zanim nadjechała, czas potwornie mi się dłużył. Kiedy zamknąłem za nią drzwi, pochyliła głowę, jak gdyby upuściła coś na podłogę.

Pomachałem jej, ale nie odpowiedziała tym samym z oddalającego się samochodu.

Wieczne wiadomości pokazywały wiec Solidarności w Gdańsku. Polski kardynał nawoływał tłumy do opamiętania się. Znużony się, Mabel rozłożyła na kolanach „Daily Telegraph” i wróciła do rozwiązywania krzyżówki. Początkowo tłum reagował na słowa kardynała wrzawą, ale po chwili ucichli z oddaniem, z którego słyną Polacy. Po kazaniu kardynał wszedł między swe owieczki, rozdając błogosławieństwa i przyjmując wyrazy hołdu. Wśród kolejnych dygnitarzy zobaczyłem w tle

Jerzego. Wyglądał jak brzydki chłopiec, którego nie dopuszczono do uczy. Od czasu przejścia na emeryturę stracił sporo na wadze. Domyśliłem się, że zmiany społeczne nie służą mu. Marynarka wisiała na nim, jakby zdjęta z kogoś innego; jego niegdyś imponujące pięści niknęły w rękawach.

Nagle dostrzegł go kardynał, tak jak ja przed chwilą.

Kardynał zastygł w bezruchu, jak gdyby zwątpił w świadectwo swoich oczu, i na chwilę zmienił postawę na bardziej uroczystą, przyciskając do siebie łokcie i prostując ramiona. Znów podniósł powoli ręce i wydał polecenie jednemu z towarzyszących mu młodych księży, który przyjął je z wyraźną niechęcią. Kardynał powtórzył polecenie i ksiądz utorował mu drogę do Jerzego; dwaj mężczyźni stanęli twarzą w twarz. Jerzy krzywił się, jakby rozboleł go brzuch. Kardynał pochylił się i szepnął mu coś do ucha. Jerzy ukląkł niezdarnie i przyjął błogosławieństwo.

Za każdym razem, kiedy odtwarzam ten fragment, widzę, jak oczy Jerzego zamykają się w cierpieniu. Ale czego żałuje? Brutalności? Wierności przegranej sprawie? Zdrady? A może zaciśnięcie powiek jest jedynie instynktowną reakcją oprawcy, który otrzymuje przebaczenie od swej ofiary.

Wędkuję. Wpadam w okresy zadumy. Moja miłość do angielskich pejzaży nasiliła się, jeśli to możliwe. Wracam myślami do Stefanie, Belli i innych kobiet, których nie posiadałem w pełni. Nękam posła z mojego okręgu w sprawie zanieczyszczonej rzeki. Jest konserwatystą, ale co takiego, do diabła, próbuje konserwować? Przyłączyłem się do jednej z aktywniejszych grup ekologicznych. Zbieram podpisy pod petycjami. Petycje są ignorowane. Nie chcę grać w golfa, nigdy nie chciałem, lecz w środowe popołudnia towarzyszę Mabel, pod warunkiem, że gra sama. Zachęcam ją. Pies może się wtedy wyhasać. Emerytura to nie pora na błąkanie się bez celu i rozmyślanie, jak zbawić ludzkość.

Moi studenci postanowili wziąć Smileya w obroty, co od czasu do czasu fundowali również mnie. Zazwyczaj w trakcie sprawnie prowadzonych popołudniowych zajęć, powiedzmy z kamuflażu terenowego, jeden z nich zaczynał wiercić mi dziurę w brzuchu, przyjmując anarchiczną postawę, której nie zająłby nikt o zdrowych zmysłach. Wtedy dołączał do niego ktoś inny, a później cała reszta, więc gdybym nie dysponował bronią w postaci poczucia humoru, a jestem przecież tylko człowiekiem, do zakończenia zajęć zatratowaliby mnie. Następnego dnia nikt o niczym nie pamiętał: demon, który w nich wstąpił, już się nasycił, i chcieli wrócić do nauki. Na czym to skończyliśmy? Początkowo tego typu incydenty nie dawały mi spokoju, podejrzewałem jakiś spisek, szukałem prowodyrów. Później poszedłem po rozum do głowy i zacząłem traktować te wysoki jak spontaniczne odruchy sprzeciwu wobec nienaturalnej upręży, którą te dzieci postanowiły na siebie nałożyć.

Ale kiedy przyczepili się do Smileya, naszego honorowego gościa, kwestionując niemal dokonania całego jego życia, nie wytrzymałem. Tym razem winowajcą nie był Maggs, lecz poważna Clare, jego dziewczyna: ta sama, która podczas kolacji siedziała naprzeciw Smileya i wpatrywała się w niego jak w obraz.

- Zaraz, zaraz, Ned - zaproponował Smiley, gdy ja ze złością zerwałem się z fotela. - Clare poruszyła ważną kwestię. W dziewięciu przypadkach na dziesięć sprawny dziennikarz może zrelacjonować sytuację równie dobrze jak szpieg. Często zresztą korzystają z tych samych informatorów. Więc czemu nie zwolnić szpiegów i dofinansować prasę? W naszych burzliwych czasach powinniśmy odpowiedzieć sobie na to pytanie. Czemu nie?

Niechętnie wróciłem na swoje miejsce, natomiast Clare, wtulając się w Maggsa, nie spuszczała anielskich oczu ze swej ofiary. Jej koledzy z trudem tłumili śmiech.

Ja szukałbym pomocy w dowcipie, Smiley postanowił potraktować jej wypowiedź poważnie.

- To prawda - zgodził się - że nasza praca zwykle jest albo nieprzydatna, albo dublowana przez innych. Problem polega na tym, że zadanie informowania społeczeństwa nie należy do służb specjalnych, tylko do rządu.

Czułem, jak powoli studenci znów ulegają jego czarowi. Ustawili krzesła w nierówne półkole. Niektóre dziewczęta rozsiadły się wdzięcznie na podłodze.

- Jak wszyscy, rządy wierzą tylko w to, za co zapłaciły. Inne źródła traktują podejrzliwie - powiedział. Tym samym delikatnie ominął prowokacyjne pytanie Clare i zajął się głębszym problemem. - Szpiegostwo jest wieczne. Nawet gdyby rządy mogły obejść się bez wywiadu, nie zrobiłyby tego, gdyż jesteśmy ich oczkiem w głowie. Jeśli nadejdzie dzień, kiedy z powierzchni ziemi zniknie ostatni wróg, rządy wynajdą dla nas nowych, nie martwcie się. Poza tym nie szpiegujemy tylko wrogów! Historia uczy, że dzisiejsi sojusznicy są jutrzejszymi rywalami. Przelotne trendy polityczne mogą dyktować priorytety, ale należy być przezornym. Póki na czele państw stoją hultaje, poty my będziemy pracować. Póki mamy na świecie terrorystów, oszustów i szaleńców, poty będziemy szpiegować. Póki narody będą współzawodniczyć ze sobą, politycy oszukiwać, tyrani podbijać, konsumenci potrzebować surowców, bezdomni ziemi, głodni pożywienia, a bogaci bogactw, poty mogę was zapewnić, że wybranemu przez was zawodowi nic nie grozi.

Sprytnie nawiązawszy do ich przyszłości, jeszcze raz ostrzegł studentów przed czyhającymi niebezpieczeństwami.

- Nie ma na świecie bardziej zwariowanego zawodu - stwierdził z satysfakcją. - Najwięcej pracy czeka niedoświadczonych. Kiedy już poznacie tajniki gry, nie będzie można nigdzie was wysłać, bo charakter pracy będziecie mieli wypisany na twarzach. Starzy sportowcy wiedzą, że najlepsze mecze rozegrali u szczytu formy. Szpiedzy u szczytu formy trafiają na półkę i dlatego tak niechętnie myślą o wieku średnim, kiedy zaczną obliczać koszty wybranego stylu życia.

Choć wszystkim wydawało się, że Smiley utkwiał wzrok w kieliszku brandy, ja zauważyłem, że rzucił spojrzenie w moją stronę.

- I wtedy, w pewnym wieku, zaczynacie szukać odpowiedzi - podjął. - Zaczynacie szukać zwoju pergaminu w tajemnej komnacie, który powie wam, kto kieruje waszym życiem i dlaczego. Ale należycie już do grona osób, które wiedzą, że owa tajemna komnata jest pusta. Ned, czemu nic nie pijesz? Nie wymiguj się. Niech ktoś doleje mu brandy.

Przykrą prawdą o tym okresie mojego życia jest fakt, że był to czas poszukiwań niesprecyzowanego obiektu. I że obiektem tym, kiedy już go odnalazłem, okazał się zbłąkany szpieg Hansen.

I choć poza moją podróżą na Wschód głowę zaprzętały mi również inne cele i osoby, z perspektywy czasu wydają mi się one jedynie etapami drogi, która zaprowadziła mnie do niego. Mogę to wyrazić inaczej. Hansen w kambodżańskiej dżungli był moim Kurtzem w jądrze ciemności. I wszystko, co wydarzyło się po drodze, było przygotowaniem do naszego spotkania. Hansen był głosem, na który czekałem. Hansen znał odpowiedzi na pytania, z których nie zdawałem sobie sprawy. Na zewnątrz byłem nadal flegmatycznym, umiarkowanym, palącym fajkę, porządnym sobą - ramieniem, na którym mogą się wesprzeć słabsi. Ale w środku doskwierało mi szalejące poczucie nieprzydatności; czułem, że mimo wszelkich starań nie udało mi się zrozumieć życia; że w walce o wolność dla innych zatraciłem własną. W kryzysowych momentach postrzegałem siebie jako kogoś śmiesznego, bohatera nie w stylu Buchana, lecz Cervantesa.

Zabrałem się za spisywanie ironicznej wersji mojej biografii, toteż kiedy na przykład wracałem do epizodów, które już wam opisałem, dawałem im zdawkowe tytuły, podkreślające ich daremność: Panda - bronię naszych interesów na Bliskim Wschodzie! Ben - chwytam brytyjskiego deztertera! Bella - składam największą ofiarę! Teodor - biorę udział w wielkiej mistyfikacji! Jerzy - gram do samego końca! Choć muszę przyznać, że incydent z Jerzym przyniósł pozytywne efekty, nawet jeśli były one krótkotrwałe, jak to zwykle bywa w naszym fachu, i nieprzydatne dla nowych sił, które teraz rządzą jego państwem.

Niczym Don Kichot przyrzekłem sobie walczyć ze złem. Tymczasem w momentach największego przygnębienia zacząłem się zastanawiać, czy sam nie przyczyniałem się do jego krzewienia. Wciąż jednak liczyłem na to, że otrzymam od życia szansę udziału w tej walce, choć winiłem świat, że nie potrafi wykorzystać moich możliwości.

Żeby mnie zrozumieć, musicie dowiedzieć się, co wydarzyło się po Monachium. Jerzy, bez względu na inne zasługi, przyniósł mi pewnego rodzaju prestiż i Piąte Piętro postanowiło wymyślić dla mnie funkcję wędrownego specjalisty, wysyłanego z krótkimi misjami w celu „zbadania i wykorzystania możliwości wykraczających poza kompetencje miejscowych placówek”. Tyle zakres moich obowiązków, podpisany i odesłany do przełożonych.

Patrząc w przeszłość, zdaję sobie sprawę, że bezustanne podróże związane z nową funkcją - dzisiaj Ameryka Środkowa, jutro Irlandia Północna, później Afryka, Bliski Wschód i znów Afryka - złagodziły nękające mnie wątpliwości i że najprawdopodobniej Szefer wiedział o tym, gdyż niedawno

wdałem się w szalony romans z dziewczyną o imieniu Monica, która pracowała w sekcji łączności. Uznałem, że skok w bok jest mi niezbędny. Zobaczyłem ją w stołówce i obsadziłem w roli kochanki. To było aż tak banalne. Pewnej nocy rozpadało się i kiedy odjeżdżałem samochodem do domu, zauważyłem ją na przystanku autobusowym. Banalność, która przechodzi ludzkie pojęcie. Pojechaliśmy do niej, zabrałem ją do łóżka, a później na kolację. Próbowaliśmy ustalić, co się wydarzyło, i doszliśmy do wygodnego wniosku, że to miłość. Przez kilka miesięcy układ ten dobrze nam służył, aż wreszcie pewna tragedia gwałtownie przywróciła mi rozsądek. Na szczęście przebywałem w Londynie, przygotowując się do kolejnej misji, kiedy nadeszła wiadomość, że umiera moja matka. O złym smaku Opatrzności może świadczyć fakt, że gdy odebrałem telefon, byłem w łóżku z Monicą. I tak zacząłem uczestniczyć w wydarzeniu, które okazało się długotrwałe, lecz zaskakująco spokojne.

Byłem jednak na nie zupełnie nieprzygotowany. Przyjąłem założenie, że podobnie jak w przeszłości udawało mi się pokonywać kolejne przeszkody, zdołam poradzić sobie ze śmiercią matki. Nie mogłem bardziej się mylić. Smiley powiedział kiedyś, że niewiele planów wytrzymuje kontakt z rzeczywistością. Tak samo stało się z planem, który sobie ułożyłem: że przyjmę śmierć matki jako konieczne przerwanie jej cierpienia. Nie wziąłem pod uwagę faktu, że to ja będę cierpiał.

Zostałem osierocony i jednocześnie odczuwałem pewne podniecenie. Nie mogę tego inaczej nazwać. Ojciec nie żył od dawna. Choć nie zdawałem sobie z tego sprawy, matka wypełniała obowiązki obojga rodziców. W jej śmierci dostrzegałem utratę nie tylko dzieciństwa, lecz również większej części mego dorosłego życia. Wreszcie stanąłem sam wobec życiowych szans, choć wiele z nich miałem już za sobą: albo je straciłem, albo zmarnowałem. Wreszcie mogłem swobodnie kochać, ale kogo? Niestety nie Monice, choć wmawiałem sobie, że jest inaczej, i oczekiwałem, że rzeczywistość dostosuje się do tego. Ani Monica, ani małżeństwo nie dawały mi szczęścia, którego poszukiwanie stało się teraz moim obowiązkiem. I kiedy po całonocnym czuwaniu przy zwłokach spojrzałem na swoje odbicie w lustrze w wyłożonej różowymi kafelkami łazience domu pogrzebowego, przeraziłem się. Zobaczyłem twarz szpiega naznaczoną jego własnym kłamstwem.

Czy i wy widzieliście kiedyś taką twarz? Swoją? W moim przypadku stała się do tego stopnia czymś powszednim, że przestałem ją zauważać do chwili, gdy szok śmierci otworzył mi oczy. Uśmiechamy się, lecz nasze opanowanie sprawia, że uśmiech staje się fałszywy. Kiedy jesteśmy rozbawieni lub pijani - a nawet podobno, kiedy się kochamy - dystans nie znika, żyroskop pozostaje w pozycji pionowej, ostrzegawczy głos przypomina nam o zadaniu. Stopniowo opanowanie zaczyna rzucać się w oczy i staje się zagrożeniem. Dzisiaj - jeśli, powiedzmy, uczestniczę w zlocie absolwentów Sarratt - rozglądam się bacznie i stwierdzam, że piętno tajemnicy odcisnęło się na każdym z nas. Widzę jasno lub słabo oświetlone twarze, ale pod maską dostrzegam oznaki nieustającej kontroli. Słyszę dźwięk pozornie swobodnego śmiechu i nie muszę się oglądać, żeby wiedzieć, że nie ma mowy o swobodzie, ani śmiejącego się, ani jego wewnętrznych ograniczeń. Kiedy byłem młodszy, sądziłem, że tacy stają się tylko pełni zahamowań członkowie brytyjskich klas rządzących. „Urodzili się w niewoli i od tej pory nie mają wyboru”, wmawiałem sobie, słuchając ich nieprzekonujących grzeczności i odwzajemniając ich życzliwe uśmiechy. Ale jako Brytyjczyk tylko po mieczu odżegnywałem się od ich nieszczęsnego losu do dnia, kiedy w różowej łazience domu pogrzebowego ujrzałem w lustrze, że ten sam cień padł również na mnie.

Od tego dnia, jak teraz sądzę, dostrzegałem tylko horyzont. Zaczynam tak późno, myślałem. I z tak dalekiej pozycji! Życie jest albo poszukiwaniem, albo niczym! Do przodu pchał mnie strach, że jest niczym. Tak to teraz widzą. I tak też we fragmentarycznych wspomnieniach, które należą do tego surrealistycznego okresu mojego życia, zobaczycie to wy. W oczach człowieka, którym się stałem,

każde spotkanie było spotkaniem z samym sobą. Każde wyznanie nieznanego było moim wyznaniem, a najbardziej oskarżycielska spowiedź Hansena stała się w ostatecznym rozrachunku najbardziej pocieszająca. Pogrzebałem matkę, pożegnałem się z Monicą i Mabel. Nazajutrz wyjechałem do Bejrutu. Ale nawet samemu wyjazdowi towarzyszył niepokojący incydent.

W trakcie przygotowań do nowej misji dzieliłem biuro z dość niegłupim człowiekiem, który nazywał się Giles Latimer i wybił się w tak zwanym departamencie szalonego mułły, badając misterną i podobno niezgłębioną sieć ugrupowań muzułmańskich fundamentalistów działających w Libanie. Miła wszystkim ignorantom idea, że ciała te tworzą jeden wielki spisek, jest absurdem. Obyż tylko tak było! Wtedy istniałby jakiś sposób, żeby się do nich dostać. Prawda jest taka, że grupy te podlegają ciągłym zmianom, przypominając krople wody na wilgotnej ścianie. Równie łatwo je przyszpilić.

Ale Giles, arabista i świetny gracz w brydża, najbardziej zbliżył się do nieosiągalnego celu, a moim zadaniem było przycupnięcie u jego stóp, żeby zebrać wiadomości do czekającej mnie misji. Był wysokim, niezgrabnym, tęgim mężczyzną. Razem studiowaliśmy w Sarratt. Jego chłopięce maniere zyskiwały na młodości dzięki rumieńcom na policzkach, choć w rzeczywistości były to wykwitłe popękanych naczynek krwionośnych. Usiłował niezłomnie zachowywać się jak dżentelmen, zawsze otwierał drzwi i ustępował miejsca kobietom. Na wiosnę dwukrotnie widziałem go przemoczonego do suchej nitki, ponieważ miał zwyczaj pożyczać parasol każdemu, kto chciał wyjść na deszcz bez osłony. Bogaty, lecz oszczędny, był na wskroś dobrym człowiekiem z na wskroś dobrą żoną. Organizował turnieje brydżowe, pamiętał nazwiska członków niższego personelu i ich rodzin. Kiedy zatem zaczęły znikać jego akta, zdziwienie było tym większe.

Przypadkowo jako pierwszy zauważyłem to zjawisko. Śledziłem właśnie odyseję pewnej Niemki, imieniem Britta, przez terrorystyczne obozy szkoleniowe w górach Shuf i poprosiłem o teczkę z przechwyconymi materiałami na jej temat. Materiały były amerykańskie i trzeba było uzyskać zgodę na dostęp do nich. Kiedy przebrnąłem przez wszystkie formalności, okazało się, że nikt nie może znaleźć teczek. Oficjalnie została wypożyczona Gilesowi, tak zresztą, jak niemal wszystkie inne dokumenty, ponieważ Giles był Gilesem i jego nazwisko widniało na wszystkich listach.

Ale Giles nie miał pojęcia, gdzie jest teczka. Pamiętał, że czytał te materiały i pamiętał niektóre ich fragmenty. Wydawało mu się, że przekazał je mnie. Musiały trafić na Piąte Piętro albo z powrotem do archiwum. Albo jeszcze gdzie indziej.

Teczką sklasyfikowano więc jako zaginioną, zawiadomiono psy gończe z archiwum i przez kilka dni nic się nie działo, dopóki nie wydarzył się kolejny podobny incydent. Tym razem polowanie rozpoczęła sekretarka Gilesa, kiedy archiwum upomniało się o trzy tomy akt na temat pewnej tajemniczej grupy, zwanej Braćmi Proroka, kwaterującej podobno w Damour.

I znów Giles nic nie wiedział: ani nie widział, ani nie dotykał akt. Psy gończe pokazały mu podpis na pokwitowaniu. Kategorycznie zaprzeczył, jakoby był to jego podpis. A kiedy Giles czemuś zaprzeczał, nikt nie śmiał mu się sprzeciwić. Jak mówię, był człowiekiem o kryształowej uczciwości.

Tymczasem polowanie rozgorzało na dobre i wszędzie sporządzano inventaryzacje. W archiwum czasy komputeryzacji jeszcze nie nastąpiły i nadal wszystko można było tam znaleźć lub stwierdzić z całą pewnością, że coś zginęło. Dzisiaj ktoś pokręciłby tylko głową i wezwał informatyka.

Odkryto, że zaginęły trzydzieści dwie teuczki, wypożyczone na nazwisko Gilesa. Dwadzieścia jeden spośród nich należało do standardowej kategorii „ściśle tajnych”, pięć miało wyższe stopnie utajnienia, a sześć zaliczono do kategorii „zatrzymane”, co oznaczało, obawiam się, że nie należy ich udostępniać osobom o silnych sympatiach prosemickich. Możecie to rozumieć, jak chcecie. Było to paskudne ograniczenie, które wielu osobom wydawało się żenujące. Ale taki już jest Bliski Wschód.

Pierwszy sygnał o skali problemu dotarł do mnie za sprawą Szefa. Był piątek rano. Szef zawsze lubił obnażać miecz podczas weekendu.

- Z Gilesem wszystko w porządku, Ned? - zapytał z kumpelską poufałością.

- Jak najbardziej - odparłem.

- Jest chrześcijaninem, prawda? Pobożny z niego gość.

- Chyba tak.

- Tak jak my wszyscy w pewnym sensie, ale on jest wojującym chrześcijaninem. Prawda, Ned?

Jakie jest twoje zdanie?

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

- A ty jesteś wojujący? - Nie.

- Powiedziałbyś na przykład, że mógłby sympatyzować, powiedzmy, z jakąś sektą brytyjsko-izraelską, czy czymś w tym rodzaju? Nie żebym miał coś przeciwko nim. Każdy ma prawo do swoich przekonań.

- Giles jest bardzo ortodoksyjny, bardzo religijny, na pewno. Musi być jakimś świeckim dygnitarzem w swojej parafii. Pewnie od czasu do czasu występuje z wielkopostną mową i tyle.

- Tutaj mam to samo - poskarżył się Szef, stukając w zamkniętą teczkę. - Dokładnie taki sam jego obraz. Więc co się dzieje? Moja praca nie zawsze jest łatwa. Nie zawsze przyjemna.

- Czemu sam go nie zapytasz?

- Ach, wiem, wiem, muszę. Chyba że ty mnie wyręczysz. Mógłbyś wyciągnąć go na obiad - na mój koszt, oczywiście. Wybadać go. Co ty na to?

- Nie - odparłem.

Jego kumpelska poufałość ustąpiła miejsca czemuś znacznie poważniejszemu.

- Tak myślałem. Czasem martwię się o ciebie, Ned. Uganiaasz się za spódniczkami i jesteś trochę za bardzo uparty, żeby ci to wyszło na zdrowie. Wszystko przez tę holenderską krew. W każdym razie trzymaj gębę na kłódkę. To rozkaz.

W końcu to Giles wyciągnął mnie na obiad. Prawdopodobnie Szef grał na dwa fronty i Gilesowi też opowiedział jakąś historyjkę. W każdym razie o wół do pierwszej Giles poderwał się i powiedział:

- Do diabła z tym, Ned. Jest piątek. Chodź, postawię ci obiad. Od lat nie byłem na eleganckim obiedzie.

Poszliśmy więc do Travellers, usiedliśmy przy oknie i bardzo szybko opróżniliśmy butelkę sancerre. Nagle Giles rozgadał się o ostatniej podróży do centrali FBI w Nowym Jorku. Zaczął całkiem normalnie, ale po jakimś czasie jego głos jakby zawisł na jednej nucie, a oczy utkwił w punkcie widocznym tylko dla niego. Najpierw pomyślałem, że to alkohol. Giles nie wyglądał na alkoholika i nie pił jak alkoholik. Lecz jego słowa tchnęły wielkim przekonaniem i - w miarę upływu czasu - wizjonerską intensywnością.

- Dziwni ludzie z tych Amerykanów, mówię ci, Ned, trzeba na nich uważać. Na początku wydają się całkiem niewinni. W hotelu na przykład. Już zaczynasz coś podejrzewać. Za dużo uśmiechów w recepcji. Za bardzo interesują się twoim bagażem. Obserwują cię. Jak w cholernie wielkiej cieplarni. Na dachu basen. Można patrzeć z góry na helikoptery latające nad rzeką. „Witamy, panie Lambert, życzymy panu miłego dnia”. W Ameryce zawsze używam tego nazwiska. Umieścili mnie na czternastym piętrze. Jestem pedantem. Zawsze byłem. Prawidła do butów, te rzeczy. Nic na to nie poradzę. Ojciec był taki sam. Buty osobno, koszule osobno, skarpety osobno. Garnitury powieszony w odpowiednim porządku. Tutaj w Anglii nie mamy prawdziwie lekkich tkanin. Tylko tak nam się wydaje. Wybierasz lekki garnitur, krawiec wmawia ci: „To najlżejszy materiał na rynku, lżejszego

nie ma". Można by pomyśleć, że przy takiej wymianie handlowej z Amerykanami, mogliby się czegoś nauczyć. Ale nic z tego. Zdrowie.

Wypił, a ja napiłem się z nim. Nalałem mu trochę wody mineralnej. Pocił się.

- Następnego dnia wracam do hotelu. Cały dzień spotkania. Próbuje się polubić. Ja się naprawdę staram, bo to mili ludzie. Tylko inni. Inaczej myślą. Noszą broń. Oczekują rezultatów. Choć to niemożliwe, prawda? Wszyscy o tym wiemy. Im więcej zabije się fanatyków, tym więcej się pojawi. Ja to wiem, ale oni nie. Mój ojciec też był arabistą, wiesz o tym?

Powiedziałem, że nie.

- Opowiedz mi o nim - chciałem zająć go czym innym. Czuję, że będzie dużo lepiej, jeśli przestanę mówić o hotelu.

- Więc wracam do hotelu, a oni dają mi klucz. „Zaraz, zaraz”, mówię. „Daliście mi dwudzieste pierwsze piętro, a nie czternaste. Pomyłka”. Uśmiecham się oczywiście. Każdy może popełnić błąd. Tym razem mam do czynienia z kobietą. Wygląda na twardą. „Nie ma mowy o pomyłce, panie Lambert. Pański pokój jest na dwudziestym pierwszym piętrze. Numer 2109”. „Ależ skąd - odpowiadam - 1409. Proszę spojrzeć”. Miałem gdzieś tę kartę hotelową, którą się dostaje. Przeszukałem na jej oczach kieszenie, ale nie znalazłem jej. „Proszę mi uwierzyć. Mam doskonałą pamięć. Mój pokój miał numer 1409”. A ona wyciąga listę gości i pokazuje mi. Lambert, 2109. Jadę windą, otwieram drzwi i zastaję wszystko na swoim miejscu. Buty osobno. Koszule osobno. Skarpety osobno. Garnitury w tym samym porządku. Wszystko tak, jak w pokoju na czternastym piętrze. Wiesz, co zrobili?

Znów przyznałem, że nie.

- Zdjęcia. Polaroidem.

- Po co mieliby to robić?

- Chcieli mnie podsłuchiwać. W pokoju 2109 była pluskwa, a 1409 był czysty. Nie odpowiadało im, więc mnie przenieśli. Myśleli, że jestem arabskim szpiegiem.

- Czemu mieliby tak myśleć?

- Ze względu na ojca. Był człowiekiem Lawrence'a. Wiedzieli o tym. Podjęli decyzję. Tak robią. Fotografują ci pokój.

Ledwie pamiętam resztę obiadu. Nie wiem, co jedliśmy i co jeszcze zamówiliśmy do picia, zupełnie nic. Przypominam sobie, że Giles wychwalał Mabel jako idealną żonę agenta, ale może był to głos mego sumienia. Pamiętam tylko, jak później staliśmy obok siebie w gabinecie Gilesa w Centrali. Szef stał przed stalową szafą Gilesa z usuniętymi drzwiami, a trzydzieści dwie teczki leżały wciśnięte bezładnie w szufladach: wszyscyutkie akta, z którymi Giles nie mógł sobie poradzić, cierpiąc na - jak to nazwał Smiley - „głębokie załamanie nerwowe”.

A przyczyna, o której dowiedziałem się później? Giles również znalazł swoją Monicę. Podobno rozstroiła go namiętność do dwudziestojednoletniej dziewczyny z sąsiedztwa. Miłość, a także poczucie winy i rozpacz sprawiły, że nie mógł dalej normalnie funkcjonować. Nadal machinalnie wykonywał codzienne rutynowe czynności, był w końcu żołnierzem, ale jego umysł odmówił posłuszeństwa. Znalazł sobie nowe zadania, choć nie przyznawał się do tego.

Co go jeszcze rozstroiło? Odpowiedź zostawiam wam i naszym służbowym psychiatrom, których pozycja z dnia na dzień rośnie. Może miało to związek z przepaścią między marzeniami a rzeczywistością. Może miało to związek z przepaścią między młodzieńczymi tęsknotami Gilesa i tym, co osiągnął u progu starości. Prawda była taka, że Giles przestraszył mnie. Czuję, że wyprzedził mnie na drodze, którąja też kroczyłem. Z tym uczuciem pojechałem na lotnisko; nie opuszczało mnie w samolocie, kiedy myślałem o matce. I żeby je zagłuszyć, wypiłem kilka szklaneczek whisky

podczas lotu.

Ale czułem to samo, rozpakowując swój mizerny bagaż w pokoju 607 w hotelu Commodore w Bejrucie, a kilka centymetrów od mojej głowy rozdzwonił się telefon. Podniosłem słuchawkę z dziwnym przeświadczeniem, że zaraz usłyszę od Ahmeda z recepcji wiadomość o przenosinach na dwudzieste pierwsze piętro. Myliłem się. Surrealistyczny epizod numer dwa właśnie dał znać o sobie.

Rozpoczęła się strzelanina, broń półautomatyczna w ruchu. Najprawdopodobniej grupa dzieciaków ostrzeliwała okolicę z japońskiego pikapa karabinkami AK 47. To był jeden z tych okresów w Bejrucie, kiedy można było nastawiać zegarki według pierwszych wieczornych wystrzałów. W strzelaniu tkwi pewna logika, choć mało przewidywalna: broń albo jest wymierzona w ciebie, albo nie. Najbardziej bałem się bomb podkładanych w samochodach. Kiedy idziesz chodnikiem lub utknąłeś w korku, nigdy nie wiadomo, czy zaparkowany obok samochód nie wyleci nagle w powietrze razem z całą ulicą, rozdzierając cię na strzępy, których nie da się zebrać do torebki, nie mówiąc już o trumnie. Po eksplozji w oczy rzucają się buty. Ludzie wylatują z nich, a one pozostają na swoim miejscu. Więc nawet po zebraniu i wywiezieniu ludzkich szczątków, wśród kawałków potłuczonego szkła, zniszczonych protez dentystycznych i strzępów ubrań można znaleźć pary butów w znośnym stanie. Natomiast ogień z broni maszynowej, który teraz słyszałem, czy sporadyczny wybuch ręcznego granatu, nie przeszkadzał mi tak bardzo jak innym.

Podniosłem słuchawkę i kiedy usłyszałem kobiecy głos, zdrętwiałem, nie tylko ze względu na moją pogmatwaną sytuację uczuciową, lecz także dlatego, że moim zadaniem było odszukanie pewnej Niemki - tej samej, która w górach Shuf pobierała lekcje terroryzmu.

Ale to nie była Britta ani Monica, ani Mabel. Mówiła z amerykańskim akcentem i była wyraźnie przestraszona. Pamiętajcie, że miałem na imię

Peter. Peter Carter z ważnej brytyjskiej gazety, choć jej miejscowy korespondent nigdy o mnie nie słyszał. Przypominałem sobie o tym, kiedy jej słuchałem.

- Peter, na litość boską, potrzebuję cię - wyrzuciła z siebie na jednym wydechu. - Peter, do cholery jasnej, gdzie ty się podziewałeś?

Rozległa się seria z ciężkiej broni maszynowej, zagłuszona hukami granatów z napędem raketowym. Głos w słuchawce odezwał się znowu, jeszcze bardziej zaniepokojony.

- Chryste, Peter, czemu do mnie nie dzwonisz? Przyznaję, powiedziałam trochę niepotrzebnych rzeczy. Wszystko popsulałam. Przepraszam. Boże, przecież nie jesteśmy dziećmi? Wiesz, jak tego nie cierpię.

Orgia strzałów. Czasem dzieciaki strzelały w niebo, żeby zrobić wrażenie.

Podniosła gwałtownie głos.

- Powiedz coś, Peter! Powiedz coś zabawnego, proszę! Gdzieś na świecie musi dziać się coś zabawnego! Peter, odezwiesz się wreszcie? Chyba nie jesteś martwy? Nie leżysz na podłodze z dziurą w głowie? Wystarczy, że przytakniesz. Nie chcę umierać sama, Peter. Jestem towarzyska. Kocham towarzysko, umieram towarzysko. Peter, odpowiedz mi. Proszę.

- Do którego pokoju pani dzwoni? - zapytałem.

Śmiertelna cisza. Prawdziwie śmiertelna cisza, która zbiera się między seriami strzałów.

- Kim pan jest? - zażądała wyjaśnienia.

- Mam na imię Peter, ale chyba nie o mnie pani chodzi. Do którego pokoju pani dzwoni?

- Do tego.

- Numer?

- Pokój 607.

- Obawiam się, że musiał się wymeldować. Przyleciałem do Bejrutu dziś po południu. Dali mi ten pokój.

Eksplodował granat, po nim następny. Gdzieś na ulicy, jakieś trzy przecznice dalej, ktoś krzyknął rozzwierając. Krzyk urwał się.

- Chyba nie żyje? - szepnęła. Nie odpowiedziałem.

- To mogła być kobieta - powiedziała.

- Mogła - zgodziłem się.

- Kim pan jest? Brytyjczykiem?

- Tak. - Tak samo jak Peter, pomyślałem, nie wiem dlaczego.

- Co pan robi?

- Dla pieniędzy?

- Niech pan coś mówi. Niech pan mówi.

- Jestem dziennikarzem - powiedziałem.

- Tak jak Peter?

- Nie wiem, jakim on jest dziennikarzem.

- Twardym. Wojenna szkoła. A pan jest twardy?

- Niektórych rzeczy się boję, innych nie.

- Myszy?

- Myszy boję się potwornie. - Dobry pan jest?

- To chyba zależy od wiadomości. Nie pisuję teraz dużo. Bardziej zajmuję się redakcją.

- Żonaty?

- Zameżna? - Tak.

- Z Peterem?

- Nie, nie z Peterem.

- Jak długo zna go pani?

- Męża?

- Nie, Petera - odparłem. Nie zastanawiałem się, dlaczego bardziej interesował mnie jej cudzołożny związek niż małżeństwo.

- Tutaj wszystko liczy się inaczej - odparła. - Rok, dwa lata: tutaj nie ma takich pojęć. Nie w Bejrucie. A pan jest żonaty, prawda? Nie chciał mi pan powiedzieć o tym pierwszy.

- Jestem.

- Niech mi pan o niej opowie.

- O żonie?

- Jasne. Kocha ją pan? Jest wysoka? Wspaniała cera? Typowa Brytyjka, nie okazuje uczuć?

Opowiedziałem jej parę niewinnych historyjek o Mabel, trochę pozmyślałem, nienawidząc siebie za to.

- Kto u licha wierzy w seks z tą samą osobą po piętnastu latach? - powiedziała.

Roześmiałem się, ale nie odpowiedziałem.

- Jest pan jej wierny?

- Niestrudzenie - odparłem po chwili wahania.

- Dobra, teraz praca. Wróćmy do pracy. Co pan tu robi? Coś specjalnego? Proszę mi opowiedzieć.

Szpieg, który tkwi we mnie, wymigał się od odpowiedzi.

- Teraz niech pani mi powie, czym się zajmuje. Też jest pani dziennikarką?

Niebo rozdarł pocisk smugowy. Po nim znów rozległa się strzelanina. W jej głosie wyczułem

znużenie, tak jakby strach ją męczył.

- Pracuję jako kopistka.

- Gdzie?

- W jednej parszywej agencji informacyjnej, gdzieżby indziej? Pięćdziesiąt centów za linijkę, chyba że pojawia się jakiś drań i zgarnia dwa tysiące w jeden wieczór. Nic nowego.

- Jak pani na imię? - zapytałem.

- Nie wiem. Może Annie. Proszę mówić mi Annie. Jest pan naprawdę bardzo miły, wie pan o tym? Co trzeba zrobić, kiedy doberman chwyci za nogę?

- Zaszczekać?

- Zasymulować orgazm. Boję się. Może nie wyraziłam się dostatecznie jasno. Muszę się napić.

- Gdzie pani jest? - Tutaj.

- Czyli gdzie?

- W hotelu, na litość boską. Commodore. Stoję w holu, od Ahmeda czuć czosnkiem i obserwuje mnie Grek.

- Jaki Grek?

- Stavros. Handluje twardymi narkotykami i przysięga wszystkim, że są miękkie. Niezła szuja. Wsłuchałem się i po raz pierwszy wychwyciłem szmer rozmów w tle. Strzelanina umilkła.

- Peter? - Tak.

- Niech pan wyłączy to światło.

Musiała wiedzieć, że w pokoju pali się tylko jedno światło, rozklekotana lampka nocna z krzywym pergaminowym abażurem. Stała na szafce między dwoma łózkami. Wyłączyłem ją. Pojawiły się gwiazdy.

- Niech pan uchyli drzwi. Kilka centymetrów. Ma pan flaszkę?

- Butelkę whisky - odparłem. - A wódkę?

- Nie.

- Lód?

- Nie.

- Przyniosę. Peter? - Tak?

- Dobry z pana człowiek. Ktoś już to panu mówił?

- Ostatnio nikt.

- Zaraz będę - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Ale nie przyszła.

Możecie sobie to wytłumaczyć, jak chcecie. Ja też próbowałem sobie to wytłumaczyć, na wszystkie sposoby, kiedy siedziałem na łóżku, nasłuchując

- Tak jak Peter?

- Nie wiem, jakim on jest dziennikarzem.

- Twardym. Wojenna szkoła. A pan jest twardy?

- Niektórych rzeczy się boję, innych nie.

- Myszy?

- Myszy boję się potwornie. - Dobry pan jest?

- To chyba zależy od wiadomości. Nie pisuję teraz dużo. Bardziej zajmuję się redakcją.

- Żonaty?

- Zameżna? - Tak. - Z Peterem?

- Nie, nie z Peterem.

- Jak długo zna go pani?

- Męża?

- Nie, Petera - odparłem. Nie zastanawiałem się, dlaczego bardziej interesował mnie jej cudzołożny związek niż małżeństwo.

- Tutaj wszystko liczy się inaczej - odparła. - Rok, dwa lata: tutaj nie ma takich pojęć. Nie w Bejrucie. A pan jest żonaty, prawda? Nie chciał mi pan powiedzieć o tym pierwszy.

- Jestem.

- Niech mi pan o niej opowie.

- O żonie?

- Jasne. Kocha ją pan? Jest wysoka? Wspaniała cera? Typowa Brytyjka, nie okazuje uczuć? Opowiedziałem jej parę niewinnych historyjek o Mabel, trochę pozmyślałem, nienawidząc siebie za to.

- Kto u licha wierzy w seks z tą samą osobą po piętnastu latach? - powiedziała.

Roześmiałem się, ale nie odpowiedziałem.

- Jest pan jej wierny?

- Niestrudzenie - odparłem po chwili wahania.

- Dobra, teraz praca. Wróćmy do pracy. Co pan tu robi? Coś specjalnego? Proszę mi opowiedzieć.

Szpieg, który tkwi we mnie, wymigał się od odpowiedzi.

- Teraz niech pani mi powie, czym się zajmuje. Też jest pani dziennikarką?

Niebo rozdarł pocisk smugowy. Po nim znów rozległa się strzelanina. W jej głosie wyczułem znużenie, tak jakby strach ją męczył.

- Pracuję jako kopistka.

- Gdzie?

- W jednej parszywej agencji informacyjnej, gdzieżby indziej? Pięćdziesiąt centów za linijkę, chyba że pojawia się jakiś drań i zgarnia dwa tysiące w jeden wieczór. Nic nowego.

- Jak pani na imię? - zapytałem.

- Nie wiem. Może Annie. Proszę mówić mi Annie. Jest pan naprawdę bardzo miły, wie pan o tym? Co trzeba zrobić, kiedy doberman chwyci za nogę?

- Zaszczekać?

- Zasymulować orgazm. Boję się. Może nie wyraziłam się dostatecznie jasno. Muszę się napić.

- Gdzie pani jest?

- Tutaj.

- Czyli gdzie?

- W hotelu, na litość boską. Commodore. Stoję w holu, od Ahmeda czuć czosnkiem i obserwuje mnie Grek.

- Jaki Grek?

- Stavros. Handluje twardymi narkotykami i przysięga wszystkim, że są miękkie. Niezła szuja.

Wysłuchałem się i po raz pierwszy wychwyciłem szmer rozmów w tle. Strzelanina umilkła. - Peter? - Tak.

- Niech pan wyłączy to światło.

Musiała wiedzieć, że w pokoju pali się tylko jedno światło, rozklekotana lampka nocna z krzywym pergaminowym abażurem. Stała na szafce między dwoma łózkami. Wyłączyłem ją. Pojawiły się gwiazdy.

- Niech pan uchyli drzwi. Kilka centymetrów. Ma pan flaszkę?

- Butelkę whisky - odparłem. - A wódkę?
- Nie.
- Lód?
- Nie.
- Przyniosę. Peter? - Tak?
- Dobry z pana człowiek. Ktoś już to panu mówił?
- Ostatnio nikt.
- Zaraz będę - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Ale nie przyszła.

Możecie sobie to wytłumaczyć, jak chcecie. Ja też próbowałem sobie to wytłumaczyć, na wszystkie sposoby, kiedy siedziałem na łóżku, nasłuchując jej kroków, wpatrując się po ciemku w drzwi i czując, że życie przecieka mi między palcami.

Po godzinie zszedłem na dół. Usiadłem w barze i wsłuchiwałem się w każdy kobiecy głos. Żaden nie pasował. Rozglądałem się za kobietą, która mogła się nazwać Annie i umówić z facetem poznanym przez telefon. Zapłaciłem Ahmedowi, żeby powiedział mi, kto korzystał z telefonu w holu o dziewiątej wieczorem, ale z jakiegoś powodu jego pamięć nie obejmowała rozhisteryzowanej Amerykanki.

Próbowałem nawet ustalić tożsamość mojego poprzednika z pokoju hotelowego i czy miał na imię Peter, ale Ahmed zrobił się dziwnie tajemniczy i powiedział, że wrócił właśnie z Trypolis od starej matki, a hotel nie przechowuje list gości.

Czy prawdziwy Peter wrócił w ostatniej chwili i zabrał ją ze sobą? Może zrobił to Grek Stavros? Może była kurwą? Może ja nią byłem? A Ahmed był jej alfonsiem? Może rozmowa telefoniczna była podstępna sztuczką, dzięki której zwabiała nowych gości podczas ich pierwszej samotnej nocy?

Wolę jednak myśleć, że była po prostu przerażoną kobietą, która tęskniła za swym chłopakiem i pragnęła przytulić się do kogoś, kiedy nocna strzelanina doprowadzała ją do szaleństwa.

Dzięki ukrywającej ją tajemnicy dowiedziałem się czegoś o sobie, choć była to niepokojąca prawda. Dowiedziałem się, jak groźna jest moja samotność, jak bardzo chcę dawać i otrzymywać miłość i jak słabo troszczę się o tak zwane osobiste bezpieczeństwo w porównaniu z rosnącym głodem kontaktu. Pomyślałem o Monice i moich pustych deklaracjach miłości: nie zdołały poruszyć bogów, którym były przeznaczone. Pomyślałem o Gilesie Latimerze i jego beznadziejnej namiętności. Kobieta, która kazała nazywać siebie Annie, zdawała się należeć do tego samego grona udręczonych posłańców, którzy przemówili głosem z mego wnętrza.

Po tajemniczej dziewczynie przyszedł tajemniczy chłopak. Wydarzyło się to nazajutrz wieczorem.

Skonany usadowiłem się w hotelowym holu i samotnie popijałem whisky. Cały dzień jeździłem po obozach wokół Sydonu i ręka wciąż mi drżała po prostu od kolejnego dnia spędzonego w południowym Libanie. Nastąpiła magiczna godzina zmierzchu, kiedy ludzkie królestwo zwierząt w Bejrucie zgodnie odkłada na bok waśnie i zbiera się przy wspólnym wodopoju. Widziałem to samo w dżungli. Może wy też. Jak na komendę słonie, guźce, gazy, lwy i żyrafy opuszczają schronienie w cieniu drzew i zwykle w ciszy ustawiają się na błotnistych brzegach. O tej samej godzinie można obserwować hol hotelu Commodore, do którego wracają po całodziennych zajęciach dziennikarze. Automatyczne szklane drzwi otwierają się zawsze

trochę za wolno, wzdychając i chrząkając z wysiłku, a z ciemności wczesnej bejruckiej nocy wyłania się różnorodne towarzystwo: zespół szwedzkiej telewizji z blondyną o szarej cerze i w markowych dżinsach na czele, fotograf i korespondent amerykańskiego tygodnika; spece od podsłuchu zawsze w parach; starszy i szalenie tajemniczy Niemiec z NRD ze swą japońską kochanką. Wszyscy

wchodzą tak samo - nieśmiało i spokojnie - tak samo przystają i tak samo zrzucają z siebie całodziennie brzemie.

Dzień pracy nie dobiegł końca. Prawdziwy dziennikarz ma filmy do wysłania, historie do spisania, przesłania teleksem lub opowiedzenia przez telefon. Ktoś zaginął i trzeba zażądać wyjaśnień. Kogoś innego trafiła kula i nie wiadomo, czy powiadomiono już żonę. W każdym razie z chwilą, gdy szklane drzwi zamykały się za nimi, wyrwali kolejny dzień z rąk wroga. Pora, żeby uszczelnić norę na noc.

Obserwowałem ich i czekałem na człowieka, który znał kogoś, kto znał kogoś innego, kto mógłby znać poszukiwaną przeze mnie kobietę. Przez cały dzień nic nie działałem, zaliczyłem tylko kolejną wycieczkę wśród nieszczęśników tego świata.

W holu zbierały się też inne gatunki, mniej efektowne, lecz często bardziej interesujące dla obserwatora: polityczni agitatorzy, handlarze bronią, handlarze narkotyków i drobni dyplomaci w ciemnych garniturach, frymarczący wpływami i informacjami. Przebierali w palcach paciorki, a ich niespokojne oczy czujnie obserwowały twarze. I agenci - agenci wszystkich - pracujący otwarcie, ponieważ w Bejrucie każdy uprawiał ten zawód. Nie było tam mężczyzny ani kobiety, którzy nie mieliby własnego źródła informacji, choćby był nim Ahmed z recepcji, który za kilka dolarów i uśmiech zdradziłby chętnie tajemnice wszechświata.

Lecz postać, która przykuła mój wzrok, wydawała się egzotyczna nawet na tle menażerii z Commodore. Nie zauważyłem, jak wchodził. Musiał dostać się do środka z jakąś grupą. Ujrzałem go w holu na tle ciemnych szklanych drzwi, ubranego w pasiastą piłkarską bluzę. Na głowie miał zawiązaną czystą białą pielęgniarską chustę. Gdyby nie był drobnej budowy i nie miał płaskiej klatki piersiowej, nie byłbym pewien na pierwszy rzut oka, czy jest kobietą udającą mężczyznę, czy mężczyzną udającym kobietę.

Ochroniarz też go zauważył. I Ahmed z recepcji za potężnym kontuarem. Za nim stały oparte o ścianę dwa kałasznikowy, tuż pod przegródkami, w których wisiały klucze. Zauważyłem, że Ahmed cofa się o pół kroku, żeby ewentualnie sięgnąć po broń. Mały ręczny granat o tej porze położyłby kres połowie nielegalnych interesów w mieście.

Ale chłopak szedł dalej przed siebie, nieświadomy lub obojętny wobec ciekawości. Był wysoki, młody, sprawny, choć poruszał się sztywno. Zachowywał się jak osoba pozbawiona woli, popychana naprzód głosem swego pana. Teraz mogłem mu się lepiej przyjrzeć. Nosił ciemne okulary, miał czarny kilkuniedniowy zarost i wąsy. Dlatego jego twarz wydawała się tak czarna. Na głowie biała pielęgniarska przepaska. Lecz to jego mechaniczna sztywność przyprawiała mnie o dreszcze i skłaniała do zastanowienia, z jakiego rodzaju fanatykiem mamy do czynienia.

Staął na środku holu. Kilka osób ustąpiło mu z drogi. Niektórzy spoglądali na niego i szybko odwracali wzrok, inni odsuwali się od niego, jak by go znali, ale nie lubili. Nagle odniosłem wrażenie, że wznosi się pod jasnym światłem z góry. Z osłoniętą głową pochyloną do przodu i ledwo poruszającymi się ramionami wstępował na swój własny szafot, posłuszny rozkazom z góry. Zauważyłem teraz, że jest Amerykaninem. Powiedziały mi to jego przygięte kolana, luźne nadgarstki i nieco dziewczęce biodra. Amerykanin w każdym calu. Ciemne szkła nie dawały widocznie wystarczającej ochrony, gdyż z jednej ręki zwisał daszek przeciwsłoneczny, taki jaki rzekomo noszą karciarze i dziennikarze, przynajmniej w filmach z lat czterdziestych. Miał co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu. Nosił sportowe buty na miękkiej podeszwie o nieskazitelnej bieli, tak jak przepaska na głowie.

Arabski fanatyk? Zastanawiałem się.

Szalony syjonista? Było ich niemało.

Nawalony?

Hipisowski turysta na wojennym szlaku, szukający mocnych wrażeń w mieście potępionych?

Odwrócił się i zaczął rozmawiać z recepcjonistą, lecz kątem oka zerkał na hol, wypatrując osoby, której szukał. Wtedy właśnie zauważyłem czerwone krosty na policzkach i czole, jak od pokrzywki lub ospy wietrznej, lecz bardziej wyraźne. Doszedłem do wniosku, że w jakimś śmierdzącym hotelu pokąsały go pluskwy. A może wystawił głowę przez przednią szybę rozklekotanego samochodu. Zaczął iść w moim kierunku. Znów sztywno, bezwolnie. Zdecydowanie, jak ktoś przyzwyczajony do tego, że się go obserwuje. Gniewnie, z dyndającym w rękę daszkiem. Patrzył na mnie groźnie zza ciemnych okularów, a ja popijałem drinka. Jakaś kobieta wzięła go pod rękę. Była ubrana w spódnicę i mogła być pielęgniarką, która oddała mu przepaskę. Stanęli przede mną. Właśnie przede mną.

- To jest Soi, proszę pana - powiedziała. Równie dobrze mógł się nazywać Mort albo Syd, albo jeszcze inaczej. - Chce wiedzieć, czy jest pan dziennikarzem.

Przyznałem, że jestem.

- Z Londynu, z wizytą? Jest pan redaktorem? Ma pan wpływy? Odpowiedziałem z krzywym uśmiechem, że wątpię. Zajmuję stanowisko kierownicze, ale jestem tu z krótką wizytą.

- I wkrótce wraca pan do Londynu?

W Bejrucie lepiej nie zdradzać planowanych ruchów.

- Niedługo - przyznałem, choć zamierzałem wyjechać nazajutrz.

- Czy Soi może z panem przez chwilę porozmawiać, tylko porozmawiać? Soi chce porozmawiać z kimś, kto ma wpływy w poważnych zachodnich gazetach. Uważa, że tutejsi dziennikarze, którzy wszystko już widzieli, są całkiem zobojętniali. Soi potrzebuje kogoś z zewnątrz.

Przesunąłem się. Usiadła obok mnie, natomiast Soi - tajemniczy, milczący, bardzo czysty, w długich rękawach i z przepaską - powoli osunął się na krzesło. Kiedy wreszcie usiadł, oparł nadgarstki o kolana, trzymając daszek w obu dłoniach. Następnie wydał z siebie długie westchnienie i zaczął do mnie mamrotać.

- Chodzi o coś, co napisałem, proszę pana. Chciałbym, żeby wydrukował pan to w swojej gazecie.

Mówił cichym głosem osoby wykształconej i dobrze wychowanej. Ale był to głos apatyczny i oszczędny jak ruchy chłopaka, jak gdyby odczuwał ból przy wypowiedaniu każdego słowa. Za szklami bardzo ciemnych okularów zauważyłem, że lewe oko jest mniejsze od prawego. Węższe. Nie spuchnięte po ciosie, po prostu mniejsze od drugiego, jakby pochodziło z innej twarzy. A krosty nie były ukąszeniami, ani wysypką, ani nakłuciami. Były to kraterki jak wyrwy po kulach na bejruckim murze, ślady po amfetaminie i upale. Skóra wokół dziobów była podniesiona, lecz nie zamykała się.

Nie pytany zaczął snuć swą historię. Był wolontariuszem niosącym pomoc, studentem trzeciego roku medycyny z Omaha. Wierzył w pokój. Był w restauracji, w której wybuchła bomba, prawie zmiotło ją powierzchnia ziemi. Powiniennem tam pójść i zobaczyć. Restauracja o nazwie Akh-bar's. Chodziło do niej dużo Amerykanów, bombę podłożono w samochodzie, a takie są najgorsze. Nie ma gorszej niespodzianki od bomby podłożonej w samochodzie.

Powiedziałem, że wiem.

Oprócz niego zginęli prawie wszyscy klienci, ludzi najbliżej ściany po prostu rozerwało na strzępy, ciągnął dalej, nie zdając sobie sprawy, że opisuje mój najgorszy koszmar. A teraz spłodził tę rzecz. Czuję, że musi się wypowiedzieć. Łagodny głos na rzecz pokoju. Chciałby to wydrukować w mojej gazecie, może na coś się przyda. Myślał o weekendowym lub poniedziałkowym wydaniu. Honorarium pragnie przekazać na cele charytatywne. Przypuszczał, że zarobi jakieś dwieście

dolarów, może więcej. W bejruckich szpitalach nawet taka suma dawała ludziom trochę nadziei.

- Potrzebujemy przerwy - wyjaśniał martwym głosem, podczas gdy dziewczyna wyłowiła z jego kieszeni maszynopis. - Żeby się opamiętać. Przerwy między wojnami, żeby znaleźć kompromis.

Tylko w hotelu Commodore w Bejrucie mogło wydawać się naturalne, że jakiś pacyfista w szoku pourazowym wyniszcza beznadziejną sprawę fałszywemu dziennikarzowi. W każdym razie obiecałem, że zrobię, co w mojej mocy. Kiedy rozmówiłem się z człowiekiem, na którego czekałem - który oczywiście nic nie wiedział, nic nie słyszał, ale zasugerował spotkanie z pułkownikiem Asme w Tyrze - zaszłyłem się w swoim pokoju i z kieliszkiem przy łokciu zacząłem czytać przekazany mi tekst. Gdyby okazało się, że ma realną szansę na publikację, byłem gotów po powrocie do Londynu wykręcić ramię jednego z naszych niezliczonych sympatyków z Fleet Street i dopilnować, żeby tak się stało.

Tekst był tragiczny i nie nadawał się do druku: chaotyczny, emocjonalny apel do żydów, chrześcijan i muzułmanów, aby pamiętali o swych matkach i dzieciach i żyli razem w miłości. Nawoływał do kompromisu i podawał nieścisłe przykłady z historii. Proponował nową religię, „którą dałaby nam Joanna d’Arc, ale Anglicy jej nie pozwolili. Spalili ją na stosie, nie zważając na jej krzyki i wolę prostych ludzi”. Ten wielki nowy ruch, twierdził, „połączy rasy semickie w duchowym braterstwie miłości i tolerancji”. Później całkowicie się pogubił, uciekając się do wielkich liter, podkreśleń i rzędów wykrzykników. Zanim doznałem końca, tekst przestał być tym, czym miał być w zamierzeniu, i czytałem o „całej rodzinie, z dziadkami i wnuczkami, która siedziała przy ścianie najbliższej epicentrum”. I o tym, jak wszystkich rozerwało na kawałki, nie raz, ale wielokrotnie - za każdym razem, gdy Soi zaglądał do swej udręczonej pamięci.

Nagle zacząłem pisać za niego. Do niej. Do Annie. Najpierw w myślach, później na marginesach jego tekstu, wreszcie na czystym papierze podaniowym z mojej teczki, a kiedy został zapisany, na następnym. Pocitem się, pot spływał po mnie jak deszcz; taka to była noc, cicha do tej pory. Z gór spływał wilgotny, gryzący żar, a posępny szary smog jak armatni dym kładł się na morzu. Pisałem i zastanawiałem się, czy ona znów zadzwoni. Pisałem jak chłopak do dziewczyny, której nie znałem. Wypisywałem - o czym przekonałem się ku mej konsternacji dopiero rano, po przebudzeniu - pretensjonalne bzdury. Wyznawałem nonkonformistyczne uczucia, dawałem upust wielkim sentymentom, użalałem się nad odwieczną potęgą zła, nad niekończącym się poszukiwaniem powodów usprawiedliwiających czynienie zła.

Potrzebujemy przerwy, powiedział chłopak. Żeby się opamiętać, przerwy między wojnami. Zgodziłem się z nim w tej kwestii. Zgodziłem się też w tej kwestii z Annie. Powiedziałem im, że jedynymi przerwami w historii ludzkich konfliktów były przerwy nie na opamiętanie się, lecz na okrucieństwa, żeby świat znów mógł się podzielić, żeby ciemżyciele odnaleźli swe ofiary, żeby chciwość i deprawacja odrodziły się. Pisałem jak młodzieniec z krwawiącym sercem i gdy rano ujrzałem zapisane przeze mnie stronicie rozsypane na podłodze wokół pustej butelki whisky, nie mogłem uwierzyć, że było to dzieło kogoś, kogo znałem.

Zrobiłem więc jedyną rzecz, która przyszła mi do głowy. Zebrałem kartki do miednicy i spaliłem je, popiół pomieszałem i spuściłem z wodą do zakrwawionych bejruckich kanałów. I kiedy to zrobiłem, pobiegłem nad morze, narzucając sobie morderczy wysiłek i uciekając jak najszybciej przed tym, co mnie goniło.

Biegłem w stronę Hansena, jak najdalej od samego siebie, ale po drodze miałem jeszcze jeden przystanek.

Okazało się, że moja niemiecka dziewczyna, Britta, przebywa w Izraelu, w środku pustyni Negew, w kompleksie solidnych ciemnych baraków niedaleko wioski Rewiwim. Wokół baraków

ciągnął się pas zaoranej ziemi i podwójne ogrodzenie z drutu kolczastego, z wieżą strażniczą na każdym rogu. Nie wiem, czy w kompleksie znajdowali się inni więźniowie z Europy, nie przedstawiono mi ich. Widziałem tylko młode Arabki, głównie z biednych wiosek na Zachodnim Brzegu lub z Gazy, które zostały namówione lub sterroryzowane przez swych palestyńskich kamratów i dopuściły się aktów przemocy wobec znienawidzonych syjonistycznych okupantów, najczęściej podkładając bomby na targach lub wrzucając je do autobusów.

Dotarłem tam z Birszeby jeepem prowadzonym przez krzepkiego młodego pułkownika wywiadu, którego ojca jeszcze za czasów brytyjskich rządów mandatowych szkolono do nocnych oddziałów milicji żydowskiej pod dowództwem generała Wingate'a. Ojciec pułkownika pamiętał Wingate'a, jak kuczał nago w swym namiocie i przy świecach rysował na piasku plan bitwy. Każdy izraelski żołnierz opowiada o swym ojcu, lecz niewielu z nich wspomina Brytyjczyków. Po zakończeniu rządów mandatowych wydaje im się, że dobrze nas znają chyba mającąc: postrzegają nas jako antysemitów, ignorantów i imperialistów, choć liczba wyjątków pozwala wybaczyć nam te wady. Przed nami leżała Dimona, gdzie mieści się nuklearny arsenał Izraelczyków.

Poczucie oderwania od rzeczywistości nie opuszczało mnie. Wręcz przeciwnie, nasiliło się. Zupełnie jakbym stracił dystans tak potrzebny w naszym fachu. Uczucia moje i innych ludzi zdawały się liczyć bardziej niż obserwacje. Jeśli ktoś nie ma się na bacności, bardzo łatwo może się nabawić w Libanie nienawiści do państwa Izrael. Ja też przeszedłem tę chorobę. Brnąc przez błoto i odór zniszczonych obozów, kucając w okrytych workami z piaskiem ruderach, doszedłem do przekonania, że izraelska żądza zemsty nie zostanie nasycona, dopóki oczy ostatniego palestyńskiego dziecka nie zamkną się na zawsze.

Być może mój młody pułkownik zauważył to, bo choć przyleciałem z Cypru, od opuszczenia Bejrutu minęło ledwie kilka godzin i prawdopodobnie uczucia te wciąż malowały się na mojej twarzy.

- Widziałeś Arafata? - zapytał z melancholijnym uśmiechem, gdy jechaliśmy prostą drogą.

- Nie.

- Czemu? To miły facet.

Nie wypowiedziałem się na ten temat.

- Dlaczego chcesz zobaczyć się z Brittą?

Powiedziałem mu. Nie było sensu ukrywać tego. Londyn musiał wykorzystać cały swój dar perswazji, żeby w ogóle doszło do spotkania, a moi gospodarze na pewno nie zamierzali pozwolić mi rozmawiać z nią na osobności.

- Mamy nadzieję, że zechce nam coś powiedzieć o swym byłym chłopaku - wyjaśniłem.

- Czemu miałyby się zgodzić? - Rzucił ją. Była na niego zła.

- Kim był? - zapytał, jakby nie wiedział.

- Irlandczykiem. Adiutantem w IRA. Odprawia zamachowców, bada cele, dostarcza sprzęt. Żyła z nim w podziemiu w Amsterdamie i Paryżu.

- Jak w Na dnie Orwella? - Tak.

- Kiedy ją rzucił?

- Sześć miesięcy temu.

- Może już nie jest na niego zła. Może każe ci się wypchać. Dla dziewczyny takiej jak Britta sześć miesięcy to cholernie długi czas.

Zapytałem, czy dużo mówi. Było to drażliwe pytanie, ponieważ Żydzi nie przyznawali się, jak długo ją przetrzymują i w jakich okolicznościach ją schwytali. Pułkownik miał szeroką twarz i brązową skórę. Jego rodzina pochodziła z Rosji. Na koszulce khaki z krótkimi rękawami nosił

skrzydełka spadochroniarza. Miał dwadzieścia osiem lat, urodził się już w Izraelu, w Tel-Awiiwie, i był zaręczony z Żydówką z Maroka. Jego ojciec, dawny członek milicji „Night Raiders”, teraz był dentystą. Wszystko to opowiedział mi w ciągu kilku pierwszych minut naszej znajomości gardłowym angielskim, którego sam się nauczył.

- Czy mówi? - powtórzył z ponurym uśmiechem w odpowiedzi na pytanie. - Britta? Tej kobiecie, odkąd została uwięziona, nie zamykają się usta.

Wiedząc co nieco o izraelskich metodach, nie byłem zdziwiony i w duchu wzdrygnąłem się na myśl o spotkaniu z osobą, która została im poddana. To samo przeżyłem w Irlandii: mężczyzna zapięty pod samą szyję patrzył na mnie trupimi oczami i do wszystkiego się przyznawał.

- Sam ją przesłuchujesz? - zapytałem, zauważając na nowo jego grube brązowe przedramiona i twarde zarys szczęki. Myślałem być może o pułkowniku Jerzym.

Pokręcił głową.

- To niemożliwe.

- Dlaczego?

Miał mi coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

- Mamy specjalistów - odparł. - Chłopcy z Shin Bet, sprytni jak Britta. Nie spieszą się. Rodzina.

Słyszałem o tej kochającej się rodzinie, choć nie przyznałem się do tego. Syjoniści zwabili ją w pułapkę, o czym poinformował mnie w Tyrze pewien informator z zaczerwienionymi oczami.

Wyjechała z obozu i z nowym chłopakiem imieniem Said i jego trzema przyjaciółmi udała się do Aten. Dobrzy chłopcy. Bardzo zdolni. Mieli w planie zestrzelenie samolotu linii El Al, gdy będzie podchodził do lądowania na ateńskim lotnisku. Chłopcy zaopatrzyli się ręczną wyrzutnią raketową i wynajęli dom niedaleko lotniska. Britta jako niewinnie wyglądająca Europejka miała zamknąć się w budce telefonicznej na lotnisku z krótkofalowym odbiornikiem za trzydzieści dolarów i przekazywać instrukcje z wieży kontrolnej chłopcom na dachu. Wszystko zostało zapięte na ostatni guzik, jak zapewniał mój informator. Próby poszły jak po maśle. Lecz krytycznego dnia operacja wzięła w łeb.

Słuchając go, sam próbowałem przewidzieć dalszy ciąg tej historii, wyobrażając sobie, jak zareagowałyby nasze służby wywiadowcze, gdyby dostały cynk: dwa zespoły jednocześnie atakują dach i budkę telefoniczną; wcześniej ostrzeżony i pusty samolot ląduje bezpiecznie na ateńskim lotnisku; lot do Tel-Awiiwu z terrorystami przykutymi do foteli. Zastanawiałem się, co z nią zrobią. Czy wytoczą jej proces, czy wymienią w zamian za jakieś przysługi?

- Co się stało z chłopakami, z którymi była w Atenach? - zapytałem pułkownika, ignorując polecenie Londynu, żeby nie wykazywać zainteresowania tymi sprawami.

- Z chłopakami? Ona nic o nich nie wie. Ateny? Gdzie są Ateny? Jest niewinną niemiecką turystką na wakacjach w Ejlacie. Porwali ją, nafaszerowali narkotykami, uwięzili, a teraz wrabiamy w coś dla celów propagandowych. Nie możemy jej nic udowodnić, a ona o tym wie. Chcesz jeszcze coś wiedzieć? Zapytaj Britte, nie krępuj się.

Jego zachowanie intrygowało mnie, tym bardziej że gdy wysiedliśmy z jeepa, położył mi rękę na ramieniu i życzył mi szczęścia.

- Jest twoja - powiedział. - Mazał tov. Zaczynałem obawiać się tego, co mnie czekało.

Tęgawa niska kobieta w wojskowym mundurze przyjęła nas w czystym gabinecie. Wśród personelu więziennego nigdy nie brakuje sprzątaczek, pomyślałem. Kapitan Levi była strażniczką Britty. Mówiła po angielsku jak dyrektorka szkoły z amerykańskiej prowincji, lecz wolniej, staranniej.

Miała błyszczące oczy, krótkie siwe włosy, emanowała z niej łagodność i rezygnacja. Ziemista cera wskazywała na pracownika więziennego, lecz kiedy składała dłonie, wydawało się, że powinna robić na drutach sweterki dla wnuczków.

- Britta jest bardzo inteligentna - poinformowała mnie przeproszającym tonem. - Dla inteligentnego mężczyzny przesłuchiwanie inteligentnej kobiety jest czasem trudne. Czy ma pan córkę?

Nie zamierzałem wyřęczać jej w sporządzaniu mej charakterystyki, więc powiedziałem tylko, że nie, co zresztą było zgodne z prawdą.

- Szkoda. Ale to nic. Może jeszcze nic straconego. Taki mężczyzna jak pan ma jeszcze czas. Mówi pan po niemiecku?

- Tak.

- To doskonale. Może się pan z nią porozumieć w jej ojczystym języku. W ten sposób lepiej ją pan pozna. Ja mogę z Britta rozmawiać tylko po angielsku. Mój zmarły mąż był Amerykaninem, nauczył mnie angielskiego. Britte nauczył jej dawny kochanek, który był Irlandczykiem. Z Tel-Awiwu nadeszła wiadomość, że mamy panu dać dwie godziny. Wystarczą panu dwie godziny? Jeśli potrzebuje pan więcej, poprosimy ich, może się zgodzą. A może dwie godziny to za dużo? Zobaczmy.

- Jest pani bardzo miła - powiedziałem.

- Miła, no nie wiem. Może nie powinniśmy być mili. Może jesteśmy zbyt mili. Zobacz pan.

I posłała po kawę i po Britte, a ja z pułkownikiem zająłem miejsce po jednej stronie prostego drewnianego stołu.

Ale kapitan Levi nie usiadła przy stole, ponieważ, jak przypuszczałem, nie zamierzała brać udziału w przesłuchaniu. Usiadła przy drzwiach na zwykłym kuchennym krześle, spuszczać wzrok, jak gdyby w oczekiwaniu na rozpoczęcie koncertu. Nawet kiedy Britta wkroczyła do pomieszczenia w eskorcie dwóch młodych strażniczek, podniosła wzrok tylko na tyle, żeby widzieć ich stopy, gdy przeszły na środek pokoju i zatrzymały się. Jedna ze strażniczek odsunęła krzesło dla Britty, druga zdjęła jej kajdanki. Strażniczki wyszły, a my przysunęliśmy się do stołu.

Chciałbym odmalować tę scenę dokładnie tak, jak ją widziałem z mojego miejsca: pułkownik siedział po mojej prawicy, Britta naprzeciw nas po drugiej stronie stołu, kapitan Levi z pochyloną siwą głową niemal bezpośrednio za nią, choć trochę bardziej na lewo z wyrazem zadumy, który przybrał formę półuśmiechu. Przez cały czas trwania rozmowy pozostała w tej pozycji, nieruchoma jak figura woskowa, a jej pełen zrozumienia półuśmiech ani na chwilę nie zniknął. Postawa ta wyrażała koncentrację i pewnego rodzaju wysiłek, toteż zastanawiałem się, czy próbuje wyłapywać wyrażenia i słowa, które wydają jej się znajome dzięki połączonej znajomości jidysz i angielskiego. Britta bowiem jako dziewczyna z Bremy mówiła wyraźnie i czysto, tak że jej zrozumienie nie sprawiało trudności.

Niewątpliwie była dorodnym okazem swej rasy. Miała, jasne jak len” włosy, jak to określają jej ziomkowie, była wysoka, wyprostowana i rosła. Szeroko rozstawione niebieskie oczy patrzyły dość zuchwale, co podkreślała silnie zarysowana szczęka. Jej młodość i wzrost przypominały mi Monice; nie mogłem też odpędzić myśli, że cechowała ją podobna zmysłowość. Kiedy tylko weszła, natychmiast wyparowały moje podejrzenia o maltretowaniu. Poruszała się jak baletnica, lecz z większą inteligencją i poczuciem rzeczywistości niż tancerze. Wyglądałaby dobrze w stroju tenisistki lub w sukni dirndl i przypuszczałem, że w swoim czasie miała na sobie obydwa te stroje. Nie szpeciła jej nawet więzienna koszula, zrobiła sobie bowiem z czegoś szmaciany pasek, który związała w talii i zczesła jasne włosy do tyłu, tak że opadały na ramiona. Gdy tylko oswobodzono

jej ręce, pierwszym gestem było wyciągnięcie jednej ręki do mnie. Jednocześnie dygnęła jak uczennica, lecz nie mogłem jeszcze ustalić, czy był to przejaw ironii czy szacunku. Uścisnęła mi dłoń po męsku, ale też przytrzymała ją nieco. Nie miała makijażu, ani go nie potrzebowała.

- Und mit wem hab' ich die Ehre? - zapytała przez grzeczność albo dla żartu. Z kim mam zaszczyt rozmawiać?

- Jestem brytyjskim urzędnikiem - odparłem.

- Pańskie nazwisko?

- Jest nieważne.

- Ale pan jest bardzo ważny!

Więźniowie zaraz po wyprowadzeniu z celi często w pierwszym odruchu wygadują głupstwa, więc odpowiedziałem jej ostrożnie.

- Pracuję z Izraelczykami nad pewnymi aspektami pani sprawy. Więcej nie musi pani wiedzieć.

- Mojej sprawy? A więc jestem teraz sprawą? Zabawne. Myślałam, że jestem człowiekiem.

Proszę, niech pan usiądzie panie Nikt - powiedziała i sama usiadła.

Siedzieliśmy więc tak, jak opisałem, z zadumaną twarzą kapitan Levi w tle za głową Britty. Pułkownik nie wstał, żeby przywitać się z więźniarką i teraz, gdy siedziała przed nim, prawie na nią nie patrzył. Sprawiał wrażenie, jakby nie miał żadnych nadziei. Zerknął na zegarek z matowej stali, który wyglądał na jego brązowym nadgarstku jak broń. Nadgarstki Britty były białe i gładkie jak nadgarstki Moniki, poza czerwonymi pręgami od kajdanek.

Nagle zaczęła mnie pouczać.

Przystąpiła do tego natychmiast, jakby wznawiała przerwany wykład i w pewnym sensie tak było, gdyż szybko zdałem sobie sprawę, że Britta pouczała w ten sposób wszystkich, a raczej tych, w których dostrzegała burżujów. Oznajmiła, że musi złożyć oświadczenie i wyraziła życzenie, abym przekazał je „kolegom”, jak ich nazwała, odnosi bowiem wrażenie, że władze nie zdają sobie w pełni sprawy z jej położenia. Była jeńcem wojennym, tak jak każdy izraelski żołnierz w rękach Palestyńczyków, i miała prawo do traktowania i przywilejów określonych w konwencjach genewskich. Przyjechała tu jako turystka i nie popełniła w Izraelu żadnego przestępstwa; została aresztowana jedynie z powodu rzekomo fatalnej reputacji w innych krajach. Była to celowa prowokacja wymierzona przeciw światowemu proletariatu.

Roześmiałem się nagle, a ona umilkła. Nie spodziewała się takiej reakcji.

- Chwileczkę - zaoponowałem. - Albo jest pani jeńcem wojennym, albo niewinną turystką. Nie można być i jednym, i drugim.

- Wojna toczy się między niewinnymi i winnymi - odcięła się bez wahania i wróciła do swego wykładu. Walczy nie tylko z syjonizmem, lecz również, jak to określiła, z dynamiką burżuazyjnej dominacji, z tłumieniem naturalnych instynktów i z utrzymaniem despotycznej władzy, kryjącej się pod płaszczykiem „demokracji”.

Znów usiłowałem wejść jej w słowo, lecz ona jakby tego nie zauważała. Cytowała Marcuse'a i Freuda. Wspomniała o buncie dojrzewających synów przeciw ojcom i o odstąpieniu od tego buntu w latach późniejszych, kiedy synowie sami stają się ojcami.

Zerknąłem na pułkownika, ale on zdawał się drzemać.

Celem działań jej towarzyszy oraz jej samej było zatrzymanie instynktualnego cyklu represji we wszystkich formach - w podporządkowaniu pracy materializmowi, w represyjnej naturze samego „postępu” - i pozwolenie prawdziwym siłom społeczeństwa, takim jak energia erotyczna, na tworzenie nowych nieskrępowanych form kulturowej twórczości.

- Żadna z tych rzeczy nie interesuje mnie nawet w najmniejszym stopniu - zaprotestowałem. -

Proszę przestać i posłuchać moich pytań.

Akty tak zwanego terroryzmu, kontynuowała, jakbym się w ogóle nie odezwał, mają zatem dwa wyraźne cele: popsucie szyków armiom burżuazyjno-materialistycznego spisku oraz uświadamianie ciemnych mas wyrobników, którzy zupełnie zapomnieli o istnieniu światła. Innymi słowy, wprowadzenie fermentu i rozbudzenie świadomości najbardziej represjonowanych warstw ludzkości.

Pragnie też dodać, że nie jest zwolenniczką komunizmu, choć woli ten system od kapitalizmu, ponieważ komunizm zdecydowanie neguje egocentryczny ideał, który prowadzi do ubezwłasnowolnienia człowieka wobec własności.

Popiera wolność seksualną oraz - dla chętnych - korzystanie z narkotyków jako środka do odkrycia wolnego „ja”, przeciwstawionego zniewolonemu „ja”, okaleczonemu przez agresywną tolerancję.

Odwrociłem się do pułkownika. Przesłuchaniami jak wszystkim innym rządzą prawa etykiety.

- Czy musimy dalej wysłuchiwać tych andronów? Jest twoim więźniem, nie moim - powiedziałem, gdyż sam nie mogłem jej do niczego zmusić.

Pułkownik podniósł głowę na tyle, żeby rzucić jej obojętne spojrzenie.

- Chcesz wrócić do celi, Britta? - zapytał. - Chcesz zostać o chlebie i wodzie przez kilka tygodni? - Mówił po niemiecku z równie dziwnym akcentem jak po angielsku. Nagle wydał mi się dużo starszy niż w rzeczywistości. I mądrzejszy.

- Dziękuję bardzo, mam jeszcze trochę do powiedzenia.

- Jeśli chcesz tu zostać, masz się zamknąć i odpowiadać na pytania - oznajmił pułkownik. - Wybór należy do ciebie. Jeśli chcesz nas opuścić, proszę bardzo. - Powiedział coś jeszcze po hebrajsku do kapitan Levi, która kiwnęła głową w zamyśleniu. Do pokoju wszedł arabski więzień z kawą: na tacy miał cztery filiżanki i talerz herbatników. Rozdał wszystkim usłudze po filiżance, a herbatniki postawił na środku stołu. Ogarnęło nas rozleniwienie. Britta wyciągnęła rękę po ciastko, leniwie, jakby była we własnym domu. Ręka pułkownika znalazła się jednak szybciej przy herbatnikach. Odsunął talerz.

- Proszę, o co chce mnie pan zapytać? - zwróciła się do mnie Britta, jakby nic się nie stało. - Chce pan, żebym wydała mu Irlandczyków? Jakie jeszcze aspekty mojej sprawy interesują Anglików, panie Nikt?

- Wystarczy, że wyda nam pani jednego Irlandczyka - odparłem. - Żyła pani przez rok z mężczyzną o imieniu Seamus.

Wydawała się rozbawiona. Podsunąłem jej kolejny temat. Przyglądała mi się i chyba zauważyła coś znajomego w mojej twarzy.

- Żyłam z nim? To przesada. Spałam z nim. Seamus nadawał się tylko do seksu - wyjaśniła z figlarnym uśmieszkiem. - Był blisko, służył jako instrument. Dobry instrument, powiedziałabym. Ja byłam tym samym dla niego. Lubi pan seks? Czasem dołączał do nas jakiś chłopak, czasem dziewczyna. Robiliśmy różne układy. To bez znaczenia, ale bawiliśmy się dobrze.

- Bez znaczenia? - zapytałem.

- Dla naszej pracy.

- Jakiej pracy?

- Już ją opisałam, panie Nikt. Opowiedziałam o jej celach, o naszej motywacji. Nie można stawiać znaku równości między humanitaryzmem i unikaniem przemocy. Musimy walczyć o naszą wolność. Czasem nawet najwyższe cele można osiągnąć jedynie metodami siłowymi. Wie pan o tym? W seksie też można stosować przemoc.

- W jakiego rodzaju działania zamieszany był Seamus? - zapytałem.

- Mówimy nie o aktach przemocy, lecz o prawie człowieka do oporu przeciw czynom popełnionym przez siły represji. Należy pan do tych sił, czy też popiera pan spontaniczność, panie Nikt? Może powinien pan uwolnić się i zostać jednym z nas.

- To zamachowiec - powiedziałem. - Wysadza w powietrze niewinnych ludzi. Jego ostatnim celem był pub w południowej Anglii. Zabił parę starszków, barmana i pianistę. Daję pani słowo, że nie wyzwolił przez to ani jednego zahukanego robotnika.

- To pytanie, czy stwierdzenie, panie Nikt?

- To zaproszenie do opisanego jego działalności.

- Pub znajdował się w pobliżu brytyjskiego obozu wojskowego - odparła. - Zapewniał rozrywkę faszystowskim siłom ucisku.

Znów figlarne spojrzenie zimnych oczu zatrzymało się na mnie. Mówiłem już, że była atrakcyjna? Na czym polega atrakcyjność w takich okolicznościach? Miała na sobie perkalową więzienną koszulę. Była penitentką wbrew woli i nie żałowała popełnionych grzechów. Każda jej część wyrażała czujność. Wyczuwałem ją, a ona wiedziała o tym i przepaść między nami kusiła ją.

- Mój wydział proponuje pani pewną sumę pieniędzy, którą możemy wypłacić wskazanej osobie - powiedziałem. - W zamian prosimy o informacje, które doprowadzą do aresztowania i skazania pani przyjaciela Seamusa. Interesują nas jego dawne i planowane zbrodnie, kryjówki, kontakty, zwyczaje i słabość. - Czekala na ciąg dalszy, więc być może niemądrze ciągnąłem dalej. - Seamus nie jest bohaterem. To bydlak. Naprawdę. Kiedy był młody, nikt go nie skrzywdził; jego rodzice są porządnymi ludźmi, prowadzą sklep tytoniowy w County Down. Jego dziadek był policjantem, dobrym policjantem. Seamus wysadza ludzi w powietrze, żeby przeżyć coś mocnego, ponieważ jest ułomny. Dlatego źle cię potraktował. Jest szczęśliwy tylko wtedy, kiedy zadaje ból. Poza tym jest rozpieszczonym bachorem.

Nawet nie zadraskałem lodowej tafli pewnego spojrzenia.

- Pan też jest ułomny, panie Nikt? Tak mi się wydaje. W pańskim zawodzie to normalne. Powinien pan dołączyć do nas, panie Nikt. Powinien się pan od nas uczyć, a przekonamy pana do naszej sprawy. Nie będzie pan już ułomny.

Musicie zrozumieć, że wypowiadając te słowa, nie podniosła głosu, ani też nie pozwoliła sobie na żadne dramatyczne gesty. Zachowywała protekcyjną i opanowaną, a nawet serdeczną postawę. Szyderstwo tkwiło w niej głęboko, dobrze zamaskowane. Miała zdrowy naturalny uśmiech, który ani na chwilę nie opuszczał jej twarzy, kiedy mówiła. Kapitan Levi wciąż pozostawała zapatrzona w swe wspomnienia, być może dlatego, że nie rozumiała, o czym się mówi.

Pułkownik zerknął na mnie pytająco. Nie chcąc mówić, podniosłem tylko ręce ze stołu w geście, który oznaczał bezradność! Pułkownik powiedział coś do kapitan Levi, a ona z rozczarowaną miną osoby, która przygotowała posiłek, a teraz widzi, że wynosi się nietknięte jedzenie, wezwała eskortę. Britta wstała, wygładziła więzienną koszulę na piersiach i biodrach i wyciągnęła ręce do założenia kajdanek.

- Jaką sumę chcieli mi zaproponować, panie Nikt? - zapytała.

- Żadną - odparłem.

Znów dygnęła na pożegnanie i ruszyła w asyście strażniczek do drzwi, kołysząc biodrami pod koszulą, co przypominało mi Monice w szlafroku. Obawiałem się, że znów zacznie przemawiać, ale nie zrobiła tego. Być może wiedziała, że jest triumfatorką i nie chciała robić niczego, co mogłoby zepsuć efekt. Pułkownik wyszedł za nią. Zostałem sam z kapitan Levi. Półuśmiech wciąż gościł na jej

twarzy.

- Proszę - odezwała się. - Teraz trochę pan zna śpiewkę Britty. - Chyba tak.

- Czasem za bardzo się rozumiemy. Może powinien pan rozmawiać z nią po angielsku. Mogę się nią zajmować, dopóki mówi po angielsku. Jest tylko człowiekiem, kobietą, więźniarką. I może być pan pewien, że cierpi. Jest odważna i póki mówi po angielsku, mogę wykonywać przy niej swe obowiązki.

- A kiedy mówi po niemiecku?

- Po co miałyby to robić, skoro wie, że jej nie rozumiem?

- Ale przyjmijmy że rozumiałaby pani. Co wtedy? Jej uśmiech stał się lekko zawstydzony.

- Chyba bym się bała - odpowiedziała powoli ze swym amerykańskim akcentem. - Myślę, że gdyby kazała mi coś zrobić, korciłoby mnie, żeby jej posłuchać. Ale nie pozwalam jej rozkazywać. Z jakiej racji? Nie daję jej takiej władzy nad sobą. Mówię po angielsku i jestem jej szefem. Widzi pan, spędziłam dwa lata w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie. - Nadal uśmiechając się, wypowiedziała resztę po niemiecku, cichym szeptem dawnej więźniarki. - Man hört so scheussliche Echos in ihrer Stimme, wissen Sie. Widzi pan, w jej głosie pobrzmiewają straszne echa.

Pułkownik stał w progu, czekając na mnie. Kiedy zeszliśmy po schodach, znów położył mi rękę na ramieniu. Tym razem wiedziałem dlaczego.

- Traktuje tak wszystkich chłopaków? - zapytałem go.

- Kapitan Levi?

- Britta.

- Jasne. Może ciebie trochę gorzej. Chyba dlatego, że jesteś Anglikiem.

Może, pomyślałem, a może dlatego, że dojrzała we mnie coś więcej, niż tylko moją angielskość. Może odczytała nieświadome sygnały słabości. Cokolwiek zobaczyła, stanowiła podsumowanie stanu zagubienia, w którym się znalazłem. Wyraziła moje próby zatrzymania się w świetle, który wymykał mi się z rąk, podatność na każdy przypadkowy argument.

Wezwanie do odnalezienia Hansena nadeszło tej samej nocy podczas wesołego przyjęcia dyplomatycznego, które wyprawił mój gospodarz z ambasady brytyjskiej w Herzliyya.

Ernest Perigrew zamęczał Smileya pytaniami o kolonializm. Prędzej czy później Perigrew zamęczał pytaniami o kolonializm wszystkich gości przybywających do Sarratt, a jego pytania zawsze przypominały zniewagi. Był to nerwowy chłopak, syn brytyjskich misjonarzy z Afryki Zachodniej i jeden z tych, których wywiad po prostu musi zatrudnić ze względu na nadzwyczajną wiedzę i kwalifikacje językowe. Jak zwykle siedział sam w głębi biblioteki. Schylił mizerną twarz i podniósł jedną rękę, jakby bronił się przed śmiesznością. Zaczął dość rozsądnie, ale szybko jego wypowiedź zamieniła się w tyradę przeciw brytyjskiej obojętności wobec jej byłych zniewolonych poddanych.

- No cóż, właściwie zgadzam się z tobą - odpowiedział grzecznie Smiley ku ogólnemu zdziwieniu, kiedy wysłuchał go do końca. - Obawiam się jednak, że odpowiedź jest pesymistyczna: zimna wojna obudziła w nas coś w rodzaju kolonializmu zastępczego. Z jednej strony zrezygnowaliśmy z praktycznie każdego punktu narodowej tożsamości na rzecz amerykańskiej polityki zagranicznej. Z drugiej strony wykupiliśmy sobie odroczenie egzekucji naszej kolonialnej wizji. Co gorsza, zachęciliśmy do tego samego Amerykanów. Nie potrzebowali naszej zachęty, ale oczywiście z zadowoleniem ją przyjęli.

Hansen mówił podobnie. Bardzo podobnym językiem. Lecz Smiley nie stracił przy tym opanowania, Hansen zaś wbił we mnie wzrok rozpalony płomieniami piekła, z którego wrócił.

Wyleciałem z Izraela do Bangkoku, ponieważ Smiley napisał w zaszyfrowanej depeszy dla szefa placówki w Tel-Awiwie, że Hansen zwariował i zna zbyt wiele tajemnic. Smiley kierował w tym

czasie bezpieczeństwem służby wywiadowczej na honorowym stanowisku zastępcy szefa. Zawsze, kiedy o nim słyszałem, zatykał kolejny przeciek, zapobiegał kolejnemu skandalowi. Przez cały upalny weekend przedzierałem się przez stertę dostarczonych mi akt i spędziłem godzinę przy telefonie uspokajając Mabel, która potknęła się na ostatniej przeszkodzie podczas corocznego wyścigu o tytuł kapitana sekcji żeńskiej miejscowego klubu golfowego i podejrzewała jakiś spisek.

Nie wiem, dlaczego są tak surowi dla Mabel. Być może odstręcza ich jej bezpośredni sposób wypowiedzania się. Zrobiłem, co w mojej mocy. Powiedziałem jej, że w służbach bezpieczeństwa nigdy nie spotkałem się z perfidią podobną do tej, którą wykazały się damy z Kentu. Obiecałem jej wspaniały urlop po powrocie. Nie pamiętam gdzie, bo i tak nigdzie nie pojechaliśmy.

Z akt Hansena wyłonił się portret osoby należącej do typu, który często znajdował zatrudnienie w służbach wywiadowczych. Ten sam typ reprezentowałem ja i Ben: Anglik z mieszanego małżeństwa, dla którego ojczyzną staje się służba, obdarzana zresztą wyimaginowanymi cechami.

Podobnie jak ja Hansen był pół-Holendrem. Być może dlatego Smiley wybrał mnie. Urodził się w Holandii podczas długiej niemieckiej okupacji i wychował w cieniu katedry w Delft. Jego matka, pracownica Cooka, była Angielką. Po wybuchu wojny rodzice namawiali ją do powrotu wraz z nimi do Londynu. Odmówiła i postanowiła poślubić wikarego z Delft, który rok później dał się rozstrzelać przez niemiecki pluton egzekucyjny i zostawił ciężarną żonę na pastwę losu. Niezrażona wstąpiła do brytyjskiego podziemia i zanim wojna się skończyła, kierowała w pełni rozwiniętą siatką z własną łącznością, informatorami, kryjówkami i spotkaniami. Wojenna działalność mojej matki wyglądała podobnie.

W jaki sposób młody Hansen znalazł się u jezuitów, o tym akta milczały. Może matka nawróciła się na katolicyzm. Lata powojenne były nadal ciężkie i skoro wymagała tego sytuacja, może stłumiła protestanckie przekonania, żeby zapewnić synowi porządne wykształcenie. Mogła myśleć, że jeśli odda im jego duszę, oni obdarzą go sprawnym rozumem. A może od najwcześniejszych lat dostrzegała w synu tę awanturniczą żyłkę, która później miała decydujący wpływ na jego życie. Postanowiła zatem poddać go silniejszej dyscyplinie religijnej, niż stosowali łagodni protestanci. Jeśli tak, była mądrą kobietą. Hansen przyjął wiarę jak wszystko inne - z pasją. Zajęły się nim zakonnice, braciszki, księża i uczeni. W wieku dwudziestu jeden lat, jako wykształconego i pobożnego nowicjusza, wysłano go do seminarium w Indonezji, żeby poznał życie pogan: na Sumatrze, Molukach i na Jawie.

Wschód stał się przedmiotem instynktownej miłości Hansena, jak w przypadku wielu Holendrów. Dobry Holender, jak sosna z przysłowia Heinego, stoi na wybrzeżu swego małego płaskiego kraju i wdycha z chłodnym morskim powietrzem azjatyckie aromaty cytrynowej trawy i gotujących się potraw. Hansen przybył, zobaczył i uległ. Buddyzm, islam, obrządki i przesady najbardziej egzotycznych dzikusów - rzucił się na to wszystko z zapałem, który wzmagął się, im dalej zapuszczał się w głąb dżungli.

Nauka języków przychodziła mu z łatwością. Do ojczystego holenderskiego i angielskiego bez trudu dodał francuski i niemiecki. Teraz opanowywał tamilski, khmerski, tajski, sanskryt i zdobyłnie tylko powierzchowną znajomość kantońskiego, często przebywając setki mil w poszukiwaniu jakiegoś zaginionego dialektu lub rytualnego zwyczaju. Pisał prace filologiczne, rozprawy o obrzędach małżeńskich, iluminacji i małpach. W najdalszych zakątkach dżungli odnajdywał zaginione świątynie i zdobywał nagrody, których zakon zabraniał mu przyjmować. Po sześciu latach nieustraszonych podróży i badań stał się nie tylko jednym z uczonych mężów, z których słyną jezuiti, ale także pełnoprawnym zakonnikiem.

Lecz niewiele sekretów można ukryć przez sześć lat. Stopniowo zaczęły krążyć na jego temat

różne historie. Hansen erotoman. Żądze Hansena. Nie oglądaj się, zbliża się jedna z dziewcząt Hansena.

Wykończyła go zarówno skala jego grzesznych poczynań, jak i czas ich trwania: gdy zaczęto badać sprawę, nie znaleziono żadnego obszaru w jego życiu, który nie byłby skażony, żadnej podróży, wolnej od erotycznych ekscesów. Kobieta tu, kobieta tam - z dzieckiem lub dwójką. Muszę powiedzieć, że z moich obserwacji duchowieństwa na całym świecie wynika, iż takie grzeszki są raczej normą niż wyjątkiem.

Lecz rozpusta Hansena - na taką skalę, w każdej wiosce, na każdej ulicy, niezmordowana rozwiązłość, której, co odkryto, oddawał się przez ponad dziesięć lat z dziewczynkami, według zachodnich norm nie dorosłymi nawet do przyjęcia komunii świętej, nie mówiąc już o sakramencie małżeństwa, będącymi w większości pod opieką Kościoła - nagle i w sposób dramatyczny sprawiła, że postanowiono go natychmiast odwołać. Mając do czynienia z tak zatwardziałym grzesznikiem, jego przełożony nie zareagował oburzeniem, lecz smutkiem. Rozkazał Hansenowi, żeby wrócił do Rzymu i wysłał list do generała Towarzystwa. Powiadomił ze smutkiem Hansena, że z Rzymu prawdopodobnie trafi do Hiszpanii, gdzie wykwalifikowani jezuicki psychoterapeuci pomogą mu poradzić sobie z jego godną pożałowania słabością. Potem czekał go nowy początek, nowa dekada - być może na innej półkuli.

Ale Hansen, tak jak jego matka, z uporem odmawiał wyjazdu z przybranej ojczyzny.

Nie wiedząc, co począć, ojciec gwardian wysłał go do odległej placówki misyjnej w górach, prowadzonej przez tradycjonalistę surowej szkoły. Tam Hansen został zamknięty w areszcie domowym. Pilnowano go jak szaleńca. Nie wolno mu było opuścić domu, odmawiano mu książek, papieru, towarzystwa i śmiechu. Ludzie różnie znoszą więzienie, tak jak różnie znoszą duże wysokości, mróz lub śmierć. Hansen czuł się strasznie i po trzech miesiącach miał dość. Kiedy zakonnicy eskortowali go na mszę, strącił jednego z nich ze schodów, drugi uciekł. Wrócił do Dżakarty, gdzie bez pieniędzy i bez paszportu znalazł schronienie w dobrze sobie znanych burdelach. Dziewczyny zaopiekowały się nim, a on z wdzięczności pracował jako alfons i ochroniarz. Wydawał piwo, mył szklanki, wyrzucał niesfornych gości, wysłuchiwał zwierzeń, udzielał pomocy, bawił się z dziećmi w pokoju od tyłu. Teraz, kiedy go znam, mogę sobie wyobrazić, jak robił to wszystko bez ceremonii i komplikacji. Miał zaledwie trzydzieści lat i dzięki żądze jeszcze się w nim nie wypaliły. Pewnego dnia, działając, jak mu się często zdarzało, pod wpływem impulsu, ogolił się, założył czystą koszulę i pojawił się w brytyjskim konsulacie, by upomnieć się o swą brytyjską duszę.

A konsul, który nie był ani głuchy, ani ślepy i od dłuższego czasu współpracował z wywiadem, wysłuchał historii Hansena, zadał mu parę banalnych pytań i zasłaniając się maską obojętności przystąpił chyżo do działania. Całe lata szukał człowieka z zaletami Hansena. Jego nieobliczalność nawet w najmniejszym stopniu nie odstraszyła konsula. Podobała mu się. Poprosił Londyn o informacje na jego temat; pożyczył Hansenowi drobną sumę pieniędzy z potrójnym pokwitowaniem, nie chciał bowiem okazywać nadmiernego entuzjazmu. Kiedy Londyn odpisał, że matka Hansena była agentką brytyjskiego wywiadu, konsul nie posiadał się z radości.

Minął kolejny miesiąc i Hansen podejrzewał, a właściwie wiedział, choć nie do końca, że może mieć jakiś luźny związek z czymś, co można określić mianem brytyjskiego wywiadu. Po kolejnych dwóch miesiącach, niespokojny jak zawsze, znalazł się na południowej Jawie, gdzie rzekomo prowadził poszukiwania starych papirusów, a w rzeczywistości informował konsula o sile komunistycznej partyzantki, która stała się teraz jego nowym wrogiem. Zanim minął rok, Hansen zmierzał do Londynu z nowiutkim brytyjskim paszportem w kieszeni, choć nie wydanym na jego nazwisko.

Zapoznałem się z przebiegiem jego szkolenia, które trwało zaledwie sześć miesięcy. Szefem Sarratt był wówczas tyczkowaty, złośliwy absolwent Eton. - Doskonały we wszelkich zajęciach praktycznych - napisał po ukończeniu przez Hansena kursu. - Ma pierwszorzędną pamięć, szybko reaguje i jest samowystarczalny. Trzeba mocno trzymać go w garści. Gdyby na moim statku wybuchł kiedyś bunt, w pierwszej kolejności wychłostałbym Hansena. Potrzebuje dużo swobody i silnej ręki.

Zapoznałem się z jego historią operacyjną. Tam też nie natknąłem się na ślady szaleństwa. Ponieważ Hansen nadal był Holendrem, Centrala postanowiła utrzymać ten stan rzeczy, ignorując płynącą w nim angielską krew. Hansen buntował się, lecz na próżno. W czasie, kiedy Brytyjczyków za granicą wszyscy oprócz nich samych postrzegali jako Amerykanów bez politycznych wpływów, Centrala dałaby wszystko za Szweda lub Niemca z RFN. Z otwartymi rękami przyjmowano nawet Kanadyjczyków, choć ich łatwiej było zwerbować. Po powrocie do Holandii Hansen dopełnił formalności i ostatecznie zerwał z jezuitami. Rozpoczął poszukiwania pracy na Wschodzie. W Europie Zachodniej było wówczas sporo uniwersyteckich zakładów orientalistyki. Hansen odwiedził je, zdobywając gdzieś obietnice i zobowiązania. Zatrudniła go w końcu francuska agencja prasowa jako dorywczego korespondenta. Londyński tygodnik pod wpływem nacisków z Centrali stworzył dla niego posadę, pod warunkiem, że nie będzie go opłacał. Kawalek po kawałku kamuflaż Hansena stał się kompletny: był na tyle pojemny i różnorodny, że mógł pojechać gdziekolwiek i zadawać jakiegokolwiek pytania, nie można było sprawdzić jego finansów, gdyż nikt nie byłby w stanie określić, który z jego licznych pracodawców płaci mu ile i za co. Hansen był gotów do działania. Brytyjskie interesy w Azji Południowo-Wschodniej zaniknęły wraz z upadkiem imperium, lecz Amerykanie utknęli tam na dobre, prowadząc oficjalną wojnę z Wietnamem, nieoficjalną w Kambodży i tajną w Laosie. Odgrywając niewdzięczną rolę biernych obserwatorów, z rozkoszą zaoferowaliśmy im cenne zdolności Hansena.

Szpiegowska technologia może bardzo wiele. Dzięki niej można sfotografować plony i okopy, zbiorniki i wyrzutnie raketowe, ślady opon i migrujących jeleni. Można nagrać dźwięki wydawane przez rosyjskiego pilota myśliwskiego, który na wysokości dwunastu tysięcy metrów puszcza wiatry, lub chińskiego generała, który beka przez sen. Ale nie może zastąpić ludzkiego umysłu. Nie zdradzi ci, co kryje się w sercu kambodżańskiego chłopca, którego plony zostały zniszczone przez nieoznakowane bombowce doktora Kissingera, którego córki sprzedano do burdeli i którego synowie zostali namówieni do rzucenia pracy w polu i walki w amerykańskiej marionetkowej armii lub - żeby ocalić rodzinę przed śmiercią - w szeregach Czerwonych Khmerów. Nie potrafi czytać z ust wojowników z dżungli, których najpotężniejszą bronią jest wypaczony marksizm żadnego krwi kambodżańskiego psychopaty wykształconego na Sorbonie. Nie potrafi wyczuć spalin nie zmechanizowanej armii, złamać szyfrów armii pozbawionej łączności radiowej, oszacować zapasów ludzi, którzy mogą żywić się larwami i korą z drzew, ocenić morale tych, co straciwszy wszystko, mają tylko przyszłość do wygrania.

Ale Hansen potrafił. Hansen, adoptowany Azjata, potrafił przedzierać się przez dżunglę bez jedzenia przez cały tydzień, sypiać w wioskach i nasłuchiwać szeptów wieśniaków. Potrafił dostrzec nasilający się opór, zanim jego podmuch załopotał amerykańską flagą na dachach ambasad w Phnom Penh i w Sajgonie. Potrafił też wskazać bombowcom - i robił to, choć później dręczyły go wyrzuty sumienia - które wioski przyjmowały żołnierzy Vietcongu. Potrafił również wyłowić odpowiednich ludzi. Rekrutował przedstawicieli różnych zawodów i pouczał ich, jak patrzeć, jak słuchać, jak zapamiętywać i jak meldować. Wiedział, co ma im powiedzieć, kiedy nagradzać, a kiedy nie.

Przez miesiące, a później lata Hansen funkcjonował w tak zwanych wyzwolonych rejonach północnej Kambodży, gdzie nominalnie sprawowali władzę Czerwoni Khmerzy, aż nadszedł dzień,

kiedy to zniknął z wioski, którą uczynił swym domem. Zniknął bezszelestnie, zabierając mieszkańców ze sobą. Wkrótce uznano, że nie żyje - kolejna ofiara dżungli.

I pozostawał w krainie umarłych do niedawna, kiedy to zmaterializował się w jednym z burdeli w Bangkoku.

- Nie spiesz się, Ned - prosił mnie przez telefon Smiley. - Jeśli chcesz kilka dni, żeby odpocząć po podróży, proszę bardzo.

Przez co chciał mi powiedzieć: „Skontaktuj się z nim jak najszybciej i daj mi znać, czy nie mam na głowie kolejnego skandalu na wielką skalę”.

Szef naszej placówki w Bangkoku był łysym, grubiańskim, wąsatym tyranem nazwiskiem Rumbelow. Nigdy nie zdołałem się do niego przekonać. Mężczyznom po pięćdziesiątce wywiad oferuje niewiele. Z reguły są spaleni, a większość jest zbyt zmęczona i rozczarowana, żeby się tym przejmować. Niektórzy przechodzą do bankowości lub wielkiego biznesu, lecz taki mariaż rzadko się udaje. W ich sposobie myślenia nastąpiła zmiana, która dyskwalifikuje ich w zwykłym świecie. Nielicznej grupie, do której należeli Toby Esterhase i Rumbelow, udało się omamić wywiad swymi rzekomymi zaletami.

Jakie zalety reprezentował Rumbelow, nigdy się nie dowiedziałem. Jestem przekonany, że jeśli już w czymś się specjalizował, to w podłości. Według jednej plotki kierował grupą skorumpowanych tajskich generałów, którzy upierali się, że będą współpracować tylko z nim. Według innej wyświadczył jakąś podejrzaną przysługę członkowi rodziny królewskiej. Czymkolwiek się zasłużył, baronowie z Piątego Piętra nie chcieli słyszeć o nim złego słowa.

- I na litość boską, Ned, nie drażnij Rumbelowa - błagał mnie Smiley. - Jest jak wrzód na tyłku, ale potrzebujemy go.

Spotkaliśmy się w moim pokoju hotelowym. Dla świata nazywałem się Mark Seymour, trudniłem się księgowością i nie zamierzałem wkraczać do ambasady ani do jego domu. Lot trwał dwadzieścia godzin. Było późne popołudnie. Rumbelow mówił po angielsku jak bukmacher z Eton. Właściwie, jeśli się nad tym zastanowić, też tak wyglądał.

- To kurewsko diabelny zbieg okoliczności, że w ogóle się na niego natknęliśmy - oznajmił mi z irytacją. - Oczywiście wystawiam czułki. Przytykam ucho do przysłowiowej ziemi. Wiadomo, jak jest. Słyszałem o różnych przypadkach. Nie jestem pozbawiony wrażliwości. Nieprzyjemnie się robi, gdy Czerwoni Khmerzy przywiązują twojego agenta do pala, tygodniami przewożą przez dżunglę i torturują. Nie jestem głuchy. Wiadomo, jak jest. Nasz brązowy przyjaciel nie przestrzega reguł fair play - zapewnił mnie, jakbym sugerował coś przeciwnego. I wyskubawszy z rękawa przepoconego garnituru chusteczkę, wytarł nią swoje beznadziejne wąsy. - Przeciętny agent po jednej takiej nocy błagałby o kulę w łeb.

- Jest pan pewien, że przez to przeszedł?

- Niczego nie jestem pewien, mój drogi. Plotki, to wszystko. Jak mogę być pewien, skoro ten drań nie chce z nami rozmawiać? Grozi rozróbą, jeśli będziemy próbować! Z tego, co mi wiadomo, Czerwoni Khmerzy ani go nie widzieli, ani o nim nie słyszeli. Nigdy nie ufałem Holendrom, zwłaszcza tutaj; wydaje im się, że są u siebie. Hansen nie jest pierwszym agentem, który znika, gdy robi się za gorąco, a kiedy jest już po wszystkim, wyskakuje z kryjówki, domagając się medali i pieniędzy. Niedoczekanie. Zdaje się, że nie stracił żadnego palca, ani innych anatomicznych klejnotów, sądząc po miejscu, w którym go znaleziono. Zauważył go Duffy Marchbanks. Pamięta pan Duffy'ego? Dobry chłopak.

Z zamierającym sercem odpowiedziałem, że owszem, pamiętam Duffy'ego. Przypomniałem sobie o nim, kiedy ujrzałem jego imię w aktach. Był kanciarzem osiadłym w Hongkongu, lubującym się w

szybkich transakcjach handlowych: od opium do opium. Przez kilka nierozważnych lat finansowaliśmy jego biuro.

- Czysty przypadek, jeśli chodzi o Duffy'ego. Przyleciał tutaj w interesach. Na jeden dzień, to wszystko. Jeden dzień, jedną noc i z powrotem do żonki i kieratu. Zagraniczne konsorcjum zleciło mu kupno stu hektarów w dobrym punkcie na wybrzeżu. Załatwił sprawę i wybrał się ze swymi kontrahentami do restauracyjki z dziewczynami. Duffy lubi sobie czasem pofolgować, zawsze tak było. Lokal nazywa się Morze Szczęścia i leży w samym środku różowej dzielnicy. Podobno zbiera się tam dość eleganckie towarzystwo. Prywatne pokoje, porządne jedzenie, jeśli ktoś gustuje w kuchni hunańskiej, i wszystko jasne: dziewczyny zostają do towarzystwa, jeśli wyrazi się takie życzenie.

W restauracjach tego typu, wyjaśniał, usiłując jednocześnie dać mi do zrozumienia, że nie opowiada własnych doświadczeń, młode hostessy, ubrane lub nie, siedzą między klientami, podając im jedzenie i napoje, a mężczyźni omawiają ważne sprawy handlowe. Morze Szczęścia oferowało dodatkowo salon masażu, dyskotekę i występy na parterze.

- Duffy zakończył transakcję z konsorcjum, zainkasował czek i miał ochotę pobrykać. Postanowił więc zabawić się z jedną z dziewczyn. Po uzgodnieniu warunków udali się do kabiny. Dziewczyna powiedziała, że chce jej się pić i zaproponowała butelkę szampana na początek. Oczywiście ma z tego prowizję, tak jak one wszystkie. Mniejsza z tym. Duffy uznał, że może zaszaleć i zgodził się. Dziewczyna przycisnęła dzwonek i zaświergotała coś do słuchawki. Za chwilę do kabiny wkroczył wielki Europejczyk, niosąc tacę i pojemnik z lodem. Duffy dał mu dwadzieścia baht napiwku, a on powiada „dziękuję” po angielsku. Grzecznie, ale bez uśmiechów. Wyszedł. To Hansen. Hansen z dżungli. We własnej osobie, żywy!

- Skąd Duffy wie, że to on?

- Przecież widział jego zdjęcie. - Tak?

- Pokazaliśmy Duffy'emu to cholerne zdjęcie na litość boską, kiedy Hansen zniknął! Pokazaliśmy je wszystkim na całej tej pieprzonej półkuli! Nie mówiliśmy, dlaczego - powiedzieliśmy tylko, że jeśli zauważą tego człowieka, mają podnieść alarm. Rozkaz z Centrali, to nie był mój pomysł. Cholernie nierozważny, moim zdaniem.

Żeby się uspokoić, Rumbelow polecił nam jeszcze raz po szklaneczkę whisky.

- Duffy pędem wrócił do hotelu i od razu zadzwonił do mnie. O trzeciej rano. „To wasz człowiek”, powiada. „Jaki człowiek?”, pytam. „Ten ze ślicznej fotografii, którą mi przysłaliście jakiś rok temu lub więcej. Jest bufetowym w lupanarze o nazwie Morze Szczęścia”. Wiesz, jak staromodnie wyraża się Duffy. Następnego dnia posłałem tam Henry'ego. Cholerny głupiec narobił bigosu. Mam nadzieję, że o tym słyszałeś? Typowe.

- Duffy rozmawiał z Hansenem? Zapytał go, kim jest? Czy o coś innego?

- Nie. Udawał, że nie zwraca na niego uwagi. Duffy to szczywany lis. Sól ziemi. Zawsze taki był.

- Gdzie jest Henry?

- Siedzi na dole w holu.

- Wezwij go.

Henry był Chińczykiem, synem dygnitarza Kuomintangu w prowincjach Shan i naszym głównym agentem terenowym, choć podejrzewam, że już dawno w ramach asekuracji nawiązał współpracę z tajską policją i zarabiał spokojnie na życie, trzymając dwie sroki za ogon.

Przysadzisty, nadgorliwy, wypucowany człowieczek uśmiechał się zbyt często. Na szyi nosił złoty łańcuszek, a przy sobie elegancki skórzany notes ze złotym piórem. Oficjalnie był tłumaczem. Nie spotkałem jeszcze tłumacza, który paradowałby z notesem od Gucciego, ale Henry był

wyjatkowy.

- Opowiedz Markowi, jak zrobiłeś z siebie idiotę w Morzu Szczęścia w zeszły czwartek - rozkazał mu Rumbelow z pogrózką w głosie.

- Jasne, Mike.

- Mark - poprawiłem go.

- Jasne, Mark.

- Dostał polecenie, żeby się rozejrzeć. Tylko tyle - wtrącił Rumbelow, zanim Henry zdążył cokolwiek powiedzieć. - Rozejrzeć się, powęszyć, wyjść i zadzwonić do mnie. Prawda, Henry? Miał wcisnąć im jakiś kit, powęszyć, zobaczyć, czy Hansen gdzieś się nie kręci, i zdać mi relację, miał się do niego nie zbliżać. Dyskretny, bezkontaktowy rekonesans. Rozejrzeć się i meldować. A teraz powiedz Markowi, co narobiłeś.

Henry najpierw wypił drinka przy barze i obejrzał występ. Później posłał po Mamę San, która zjawiała się pospiesznie, przypuszczając, że ma jakieś specjalne życzenie. Mama San była Chinką z tej samej prowincji co ojciec Henry'ego, więc natychmiast nawiązała się między nimi nić porozumienia.

Pokazał Mamie San wizytówkę tłumacza i oznajmił, że pisze artykuł o jej lokalu: doskonałe jedzenie, romantyczne dziewczęta, wysoki poziom estetyki i higieny, szczególnie higieny. Dodał, że jest reprezentantem niemieckiego pisma podróżniczego, w którym polecano tylko najlepsze miejsca.

Mama San połknęła przynętę i zaproponowała mu obchód po przybytku. Oprowadziła go po prywatnych apartamentach, kuchniach, kabinach i toaletach. Przedstawiła go dziewczętom, a jedną zaproponowała mu na rachunek firmy, ale odmówił. Przedstawiła go też szefowi kuchni, odźwiernemu i bramkarzom, ale nie wielkiemu Europejczykowi, którego Henry zauważył już trzykrotnie: kiedy wynosił tacę z kieliszkami z apartamentów do kuchni, kiedy przechodził przez korytarz, popychając wózek z butelkami, i kiedy wyłonił się zza otwartych stalowych drzwi, które najwyraźniej prowadziły do magazynu z napojami.

- A kim jest tmfarang, który roznosi napoje? - zwrócił się Henry do Mamy San z rozbawieniem. - Odpracowuje jakieś rachunki, których nie mógł zapłacić?

Mama San też się roześmiała. Wszystkich Azjatów łączy naturalna niechęć do ludzi z Zachodu.

- Ten farang żyje z jedną z naszych kambodżańskich dziewcząt - odparła pogardliwie, gdyż w tajskiej hierarchii Kambodżanie plasują się jeszcze niżej od farangów i Wietnamczyków. - Poznał ją tutaj, zakochał się, próbował wykupić i zrobić z niej damę. Ale ona nie chciała się z nimi rozstawać. Codziennie przywozi ją tutaj i zostaje dotąd, aż skończy pracę.

- Skąd jest ten farang? Z Niemiec, z Anglii, z Holandii?

Mama San wzruszyła ramionami. Co za różnica? Henry ciągnął ją jednak dalej za język. Co to za farang, który przywozi swą kobietę do burdelu, serwuje drinki, gdy tymczasem ona oddaje się innym mężczyznom, a potem zabierają do łóżka w swoim domu? Jaka to musi być dziewczyna!

- Numer dziewiętnaście - poinformowała go Mama San, znów wzruszając ramionami. - Pseudonim Amanda. Chce ją pan?

Ale Henry był zbyt podekscytowany dziennikarską sensacją, żeby się rozpraszać. - Jak się nazywa ten farang? Skąd się tu znalazł? - zawołał z rozbawieniem.

- Nazywamy go Ham Sin. Rozmawia z nami po tajsku, a z dziewczyną po khmersku, ale nie może pan napisać o nim w artykule, bo przebywa tu nielegalnie.

- Mogę to zatuszować. Wszystko da się zatuszować. Dziewczyna też go kocha?

- Woli przebywać tutaj w Morzu Szczęścia z przyjaciółmi - odparła sztywno Mama San.

Henry nie mógł się powstrzymać, żeby nie popatrzeć na Amandę. Dziewczęta, na które nie było chętnych, wylegiwały się na pluszowych ławkach za szklaną przegrodą, mając na sobie tylko numery

zawieszane na szyjach. Gawędziły, robiły sobie manicure albo gapiły się bezmyślnie w źle dostrojony telewizor. Dziewczyna z numerem dziewiętnaście wstała w odpowiedzi na wezwanie, podniosła małą torebkę i pelerynę, po czym wyszła z pokoju. Była bardzo młoda. Wiele dziewcząt ukrywało swój wiek, żeby obejść przepisy, zwłaszcza Kambodżanki bez grosza przy duszy. Ale ta, powiedział Henry, nie wyglądała na więcej niż piętnaście lat.

I od tego momentu nadgorliwość Henry'ego zaczęła sprowadzać go na manowce. Pożegnał się z Mamą San, wjechał samochodem w uliczkę przy tylnym wyjściu i przyczaił się. Niedługo po pierwszej w nocy personel zaczął opuszczać lokal, wśród nich Hansen, który był dwa razy wyższy od pozostałych i prowadził pod ramię dziewczynę numer dziewiętnaście. Na ulicy Hansen z dziewczyną rozejrzeli się za taksówką i Henry odważył się podjechać do nich. O tej porze najlepiej prosperują stręczyciele i nielegalni taksówkarze, a Henry w swoim czasie uprawiał obydwa te zawody, więc być może posłuchał tylko naturalnego impulsu.

- Gdzie łaskawy pan sobie życzy? - zawołał po angielsku. - Mam pana podwieźć?

Hansen podał adres w biednej dzielnicy, leżącej kilka kilometrów na północ. Uzgodnili cenę. Hansen z dziewczyną usadowili się z tyłu; ruszyli.

Teraz już Henry po prostu stracił głowę. Oszołomiony sukcesem, postanowił - choć później nie potrafił wyjaśnić, dlaczego - że najlepiej będzie, jeśli odwiezie swe trofeum i dziewczynę do domu Rumbelowa, położonego nie na północy, lecz na zachodzie. Oczywiście nie przygotował Rumbelowa na tak śmiałe posunięcie; sam nie był na to przygotowany. Nie miał pewności, czy zastanie go w domu i czy Rumbelow o wpół do drugiej w nocy będzie w stanie przeprowadzić rozmowę z byłym szpiegiem, który zniknął z powierzchni na osiemnaście miesięcy. Ale rozsądek, szczególnie w tym momencie, nie należał do największych atutów Henry'ego. Był „terenowcem”, a każdy terenowiec w którymś momencie życia musi zrobić coś absolutnie głupiego.

- Podoba się panu Bangkok? - zapytał wesoło Hansena, mając nadzieję, że odwróci uwagę pasażerów od trasy.

Żadnej odpowiedzi.

- Dawno pan przyjechał? Cisza.

- Ładna dziewczyna. Bardzo młoda. Śliczna. Jesteście parą?

Głowa dziewczyny spoczywała na ramieniu Hansena. Z tego, co Henry widział w lusterku, wynikało, że zasnęła. Z jakiegoś powodu fakt ten jeszcze bardziej podekscytował Henry'ego.

- Mam krawca, łaskawy panie. Całonocnego. Jest bardzo dobry. Chce pan? Zawiozę pana. Świetny krawiec.

I skręcił gwałtownie w boczną uliczkę, jadąc rzekomo do swego nieszczęsnego krawca, a w rzeczywistości w kierunku domu Rumbelowa.

- Czemu jedziesz na zachód? - zapytał Hansen, odzywając się wreszcie. - Nie chcę tam jechać. Daj mi spokój z krawcem. Wracaj do głównej ulicy.

Henry'ego opuściły resztki rozsądku. Nagle przeraził się rozmiarami Hansena i jego taktyczną przewagą, ponieważ siedział za nim. A jeśli jest uzbrojony? Henry wdepnął w pedał hamulca i zatrzymał samochód.

- Panie Hansen, jestem pańskim przyjacielem! - zawołał po tajsku tonem, który przypominał błaganie o litość. - Pan Rumbelow też jest pańskim przyjacielem. Jest z pana dumny! Chce panu dać dużo pieniędzy. Proszę pojechać ze mną. Żaden problem. Pan Rumbelow będzie zachwycony!

Były to ostatnie słowa, które wypowiedział tej nocy, bo zanim się zorientował, Hansen pchnął jego fotel tak mocno, że Henry niemal przebił głową przednią szybę. Hansen wyskoczył z samochodu i wywlekł Henry'ego na ulicę. Podniósł go i cisnął na chodnik po drugiej stronie ku irytacji grupy

śpiących żebraków, którzy zaczęli złorzeczyć i pokrzykiwać. Hansen podszedł do leżącego Henry'ego i wbił w niego wściekłe spojrzenie.

- Powiedz Rumbelowowi, że jeśli przyjdzie po mnie, zabiję go - powiedział po tajsku.

Następnie poprowadził dziewczynę ulicą w poszukiwaniu innej taksówki. Obejmował ją w talii ramieniem, a ona prawie drzemała.

Zanim opowiedzieli mi tę historię do końca, poczułem nagle potworne zmęczenie.

Odesłałem ich i poprosiłem, żeby Rumbelow zadzwonił do mnie nazajutrz rano. Oświadczyłem, że zanim cokolwiek zrobię, muszę odespać podróż. Położyłem się, ale nie było mowy o śnie. Godzinę później stawiłem się w Morzu Szczęścia i kupiłem bilet za pięćdziesiąt dolarów. Zdjąłem buty, jak nakazywał zwyczaj, i stanąłem w skarpetkach w kabynie oświetlonej jarzeniówką, wpatrując się w obojętne i grubo pomalowane rysy dziewczyny numer dziewiętnaście.

Miała na sobie tanią jedwabną pelerynę w tygrysy, rozpiętą od szyi w dół. A pod spodem nic. Jej twarz pokrywał ostry makijaż w stylu japońskim. Uśmiechnęła się i szybkim ruchem wyciągnęła rękę w stronę mojego krocza, ale nie pozwoliłem się dotknąć. Była tak drobna, że wprost nie mogłem się nadziwić, że uprawia ten zawód. Jej nogi były dłuższe od nóg większości azjatyckich dziewcząt, a skóra nadzwyczaj blada. Zrzuciła z siebie pelerynę i zanim zdążyłem ją powstrzymać, wskoczyła na wytarty szeslong, na którym przybrała pozę w jej mniemaniu erotyczną, pieszcząc się i wydając z siebie odgłosy pełne rozkoszy. Przewróciła się na bok, wypinając pośladki i ułożyła czarne włosy tak, żeby prześwitywały przez nie drobne piersi. Ponieważ nie podchodziłem, położyła się na plecach i rozwarła uda, unosząc biodra. Mówiła do mnie „kochanie” i zachęcała mnie słowem „proszę”. Odwróciła się, żebym mógł podziwiać jej plecy, i nadal zapraszająco rozkładała szeroko nogi.

- Usiądź - powiedziałem, więc usiadła, czekając, aż do niej podejdem.

- Załóż pelerynę.

Ponieważ zdawało mi się, że nie zrozumiała, pomogłem jej nałożyć okrycie. Henry napisał mi wiadomość po khmersku. „Chcę się widzieć z Hansenem. Jestem w stanie zdobyć dla ciebie i twojej rodziny tajskie papiery”. Wręczyłem jej kartkę i patrzyłem, jak czyta. A może była analfabatką? Nie byłem w stanie tego stwierdzić. Podałem jej zwykłą białą kopertę zaadresowaną do Hansena. Wzięła ją i otworzyła. Napisany na maszynie list był dość ostry w tonie. Do listu załączono dwa tysiące baht.

„Jako stary przyjaciel ojca Vernona - napisałem, korzystając ze znanego mu hasła - muszę cię powiadomić, że nie wywiązałeś się z umowy z naszą firmą. Napadłeś na tajskiego obywatela, a twoja dziewczyna jest nielegalną imigrantką z Kambodży. Być może zajdzie konieczność przekazania tych informacji władzom. Mój samochód stoi zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Załączone pieniądze przekaz Mamie San jako rekompensatę za wolny dzień. Przyjdź za dziesięć minut”.

Dziewczyna wyszła z kabiny, zabierając ze sobą list. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, ile hałasu było na korytarzu: pobrzękująca muzyka, stłumiony śmiech, jęki rozkoszy i szum wody w zdezelowanych rurach kanalizacyjnych.

Nie zamknąłem samochodu. Siedział z tyłu z dziewczyną przy boku. Nie zdziwiłem się, że ją przyprowadził. Był potężny i silny, o czym wiedziałem już przedtem, ale też wymizerowany. W półmroku, z czarną brodą, zapadłymi oczami i dłońmi zaciśniętymi kurczowo na oparciu fotela, przypominał bardziej jednego ze świętych, których kiedyś czcił, niż samego siebie na fotografiach z akt. Dziewczyna siedziała przytulona do niego. Zdażyliśmy przejechać ledwie sto metrów, kiedy spadła na nas obfita ulewa. Zjechałem na chodnik i wszyscy gapiliśmy się przez zalaną deszczem szybę w strumienie wody pieniające się nad studzienkami i dziurami w nawierzchni.

- Jak dostałeś się do Tajlandii? - zawołałem po holendersku. Deszcz dudnił po dachu.

- Na piechotę - odparł po angielsku Hansen.

- Dokąd dotarłeś? - wrzasnąłem również po angielsku.

Wymienił nazwę miejscowości. Coś jak „Orania Prathet”. Kiedy ulewa przeszła, jeździłem przez trzy godziny po mieście. W tym czasie dziewczyna spała, a Hansen trzymał nad nią straż, czujny jak kot i po kociemu milczący. Wybrałem nadmorski hotel, reklamowany w miejscowej edycji „Nation”. Chciałem wyrwać go z otoczenia, do którego przywykłem, i narzucić mu takie, nad którym ja sprawowałem kontrolę. Odebrałem w recepcji klucz i zapłaciłem za noc z góry. Hansen i jego dziewczyna szli za mną betonowym chodnikiem prowadzącym do plaży. Domki stały w półkolu frontem do morza. Nasz znajdował się na samym końcu. Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka pierwszy. Za mną Hansen, a za nim dziewczyna. Włączyłem światło i klimatyzację. Dziewczyna kręciła się koło drzwi, lecz Hansen zrzucił buty i stanął na środku pokoju, rozglądając się wokół zapadłymi oczami.

- Siadaj - powiedziałem. Otworzyłem lodówkę. - Ona chce się czegoś napić? - zapytałem.

- Daj jej coca-colę - powiedział Hansen. - Masz tam limony? - Nie.

Patrzył, jak klękam przed lodówką.

- A ty?

- Woda.

Wznowiłem poszukiwania: szklanki, woda mineralna, lód. W tym czasie Hansen powiedział coś czule po khmersku do dziewczyny. Zaprotestowała, lecz w końcu ustąpiła. Słyszałem, jak Hansen wchodzi i wychodzi z sypialni. Wstając z klęczek, ujrzałem dziewczynę zwiniętą w kłębek na tapczanie, który stał pod jedną ze ścian. Hansen pochylał się nad nią. Otulał ją kocem. Kiedy skończył, zgasił lampkę nad tapczaniem i koniuszkami palców dotknął jej policzka, po czym szybko podszedł do okna, żeby wyrzucić na morze. Nad horyzontem wisiał czerwony księżyc w pełni. Chmury tworzyły czarne góry na niebie.

- Jak masz na imię? - zapytał.

- Mark - odparłem.

- To twoje prawdziwe imię? Mark?

Najbardziej niezawodną wiedzę o drugim człowieku czerpiemy z instynktu. Obserwując postać Hansena na tle okna, kiedy wpatrywał się w morze, a światło księżycy wydzierało ciemności rysy i kontur jego zniszczonej twarzy, wiedziałem, że upadły ksiądz wybrał mnie na swego spowiednika.

- Nazywaj mnie, jak chcesz - powiedziałem.

Musicie wyobrazić sobie silny, lecz niespokojny angielski głos o bogatej barwie z nutą zdziwienia, jak gdyby jego właściciel był zaskoczony własnymi słowami, których nie spodziewał się powiedzieć. Lekki akcent z holenderskich Indii Wschodnich. Bungalow był ciemny, przeznaczony dla cudzołóżników. Wychodziło się z niego na niewielki basen i betonowy ogród skalny. Za tymi dziwactwami rozpościerało się wspaniałe, spokojne azjatyckie morze z szerokim księżycowym szlakiem i gwiazdami połyskującymi w wodzie jak piegi. Paru rybaków w sampanach zarzucało okrągłe sieci i powoli je wyciągało.

Na pierwszym planie musicie umieścić surową, imponującą sylwetkę Hansena, który przemierza boso pokój, to przystając przy oknie, to przysiadając na poręczu fotela, i znów bezszelestnie prześlizguje się do innego kąta. I ten głos, raz dziki, raz zadumany, to znowu wstrząśnięty albo apatyczny - jak ciało Hansena przez wiele minut zbierającego siły do kolejnego wysiłku.

Młoda Kambodżanka leżała na tapczanie owinięta w koc, z przedramieniem podłożonym po azjatycku pod głowę. Czy spała? Czy rozumiała jego słowa? Czy obchodził ją? Ona obchodziła Hansena. Za każdym razem, kiedy ją mijał, przystawał, żeby na nią popatrzeć lub poprawić okrycie.

Raz klęknął przy niej, spojrzął płomiennie na jej zamknięte oczy i położył dłoń na jej czole, jak gdyby chciał zmierzyć temperaturę.

- Potrzebuję limonów - wymamrotał. - Coca-cola to dla niej za mało. Limony.

Już po nie posłałem. Dostarczył je chłopak z recepcji. Kiedy uiszczałem należność, Hansen wycisnął owoce i pomógł jej się podnieść, żeby wypić sok.

Na początku zadawał pytania, mające na celu wybadanie mojej pozycji w organizacji. Chciał wiedzieć, z jakimi pełnomocnictwami mnie przysłano i z jakimi poleceniami.

- Nie chcę żadnych podziękowań za to, co zrobiłem - ostrzegł. - Nie można dziękować za bombardowanie wioski.

- Ale możesz potrzebować pomocy - powiedziałem.

W odpowiedzi oświadczył, że nigdy w żadnych okolicznościach nie będzie pracował dla wywiadu. Też mogłem mu to powiedzieć, ale się powstrzymałem. Myślał, że pracuje dla Brytyjczyków, ale tak naprawdę pracował dla morderców. Nie był sobą, kiedy robił to wszystko. Miał nadzieję, że amerykańscy piloci też nie byli wtedy sobą.

Dopytywał się o podległych mu agentów: farmerów, handlarzy ryżem. Pytał o siatkę, którą tworzył z takim trudem, na wypadek, gdyby któregoś dnia Czerwoni Khmerzy wyszli z dżungli i zajęli miasta, w co ani my, ani Amerykanie nie wierzyliśmy, mimo ostrzeżeń. Ale Hansen wierzył. Hansen był jednym z tych, którzy ostrzegali. Hansen powtarzał nam do znudzenia, że bomby Kissingera są zębami smoka, mimo iż to właśnie on pomógł nakierować je na cele.

- Mogę ci wierzyć? - zapytał mnie, kiedy zapewniłem go, że wśród jego informatorów nie doszło do aresztowań.

- To prawda - odparłem, odpowiadając na błaganie pobrzmiewające w jego głosie.

- Zatem nie zdradziłem ich - wyszeptał z zachwytem. Przez jakiś czas siedział z głową w dłoniach, jakby chciał zapobiec rozpadnięciu się jej na kawałki.

- Zresztą jeśli wpadłeś w ręce Czerwonych Khmerów, nikt nie oczekiwał od ciebie, że będziesz milczał - stwierdziłem.

- Milczał! Mój Boże. - O mało się nie roześmiał. - Milczał! - Podniósł się raptownie i znów podszedł chwiejnym krokiem do okna.

W świetle księżycy dostrzegłem krople potu skapujące z jego brodatej twarzy. Zacząłem mówić coś o naszej chęci wyjścia z honorem z sytuacji, lecz w połowie mojej wypowiedzi rozpostarł szeroko ramiona, jakby sprawdzał ściany swego więzienia. Nie znajdując żadnej przeszkody, opuścił ręce.

- Do diabła ze służbą - powiedział cicho. - Do diabła z Zachodem. Nie wolno nam rozgrywać tutaj naszych wojen, frymarczyć religijnymi przekonaniem. Zgrzeszyliśmy przeciw Azji: Francuzi, Brytyjczycy, Holendrzy, a teraz Amerykanie. Zgrzeszyliśmy przeciw dzieciom edenu. Niech Bóg nam wybaczy.

Na stole leżał magnetofon.

Byliśmy w Azji. W Azji Hansena. Azji, przeciw której zgrzeszono. Posłuchajcie frenetycznego jazgotu owadów. Tajowie i Kambodżanie podobno stawiają spore sumy, zakładając się, ile razy zaskrzeczy ropucha. Pokój zalewało szarzące światło, zapomniana pora, zapomniane miejsce; księżyc zniknął z pola widzenia. Wróciła wojna wietnamska i znaleźliśmy się razem z Hansenem w kambodżańskiej dżungli, gdzie raczej nie można się spodziewać nowoczesnych wygod. Chyba że zaliczymy do nich amerykańskie bombowce,

które krążą nad nami jak cierpliwe jastrzębie, czekając na polecenia komputera: co teraz zniszczyć. Na przykład zaprzęg wołów, których mocz został mylnie rozpoznany przez tajne czujniki

jako spaliny konwoju wojskowego; albo dzieci, których paplaninę mylnie wzięto za wojskowe rozkazy. Czujniki zostały ukryte przez amerykańskich komandosów wzdłuż szlaków zaopatrzeniowych, wskazanych przez Hansena. Ale, niestety, czujniki nie są tak precyzyjne jak Hansen.

Znaleźliśmy się na „złej ziemi”, jak to określają amerykańscy piloci, choć w dżungli pojęcia dobra i zła są płynne, na „terenach wyzwolonych” przez Czerwonych Khmerów. Znalazły tu schronienie wojska Vietcongu, które wolały atakować Amerykanów od flanki, a nie czołowo z północy. Pomimo zewnętrznych oznak wojny byliśmy wśród ludzi, którzy nie uważali się za czyichś wrogów, w rejonie, gdzie nie dotarł nikt, jeśli nie liczyć myśliwców. Zdaniem Hansena ten rejon przypomina raj, nieważne, czy mówił to jako zakonnik, grzesznik, uczonec czy szpieg.

Kilka kilometrów dalej wzdłuż szlaku leży prastara buddyjska świątynia. Z pomocą wieśniaków Hansen odebrał ją dżungli i odtąd stanowiła oficjalne usprawiedliwienie jego obecności, notatek, wysyłanych sygnałów radiowych. Odwiedzał go łańcuszek nieznanymi, którzy przybywali tuż przed zapadnięciem nocy, a odjeżdżali o świcie. Wioska, w której mieszkał, zbudowana była na palach, nad rzeką wśród żyznych pól, stopniowo wznoszących się do lasów deszczowych. Często zapada tam błękitna mgła. Dom Hansena stał wysoko na zboczu, co umożliwiało dobry odbiór radiowy i obserwację wszystkiego, co dzieje się w dolinie. Podczas pory deszczowej zwykle zostawiał jeepa w wiosce i brnął do domu na piechotę. Podczas pory suchej dojeżdżał do swej chaty, często zabierając ze sobą połowę dzieciaków z wioski. Kilkanaścioro czekało zawsze na okazję, żeby wspiąć się na zatylnik wozu i odbyć pięciominutową przejażdżkę z wioski.

- Czasem była wśród nich moja córka - powiedział Hansen.

O tym, że miał córkę, nie wspominał Rumbelow ani akta. Jeśli ukrywał ją przed nami, poważnie naruszał regulamin służby, choć Bóg świadkiem, że regulamin był ostatnią rzeczą, na której nam zależało. W każdym razie przestał mówić i rzucał mi ponure spojrzenia w ciemności, jak gdyby czekał na słowa nagany. Ale ja zachowałem milczenie, pragnąc być dla niego uchem, na które być może czekał od lat.

- Kiedy byłem jeszcze zakonikiem, odwiedzałem świątynie w Kambodży - powiedział. - Wtedy zakochałem się w jednej wieśniaczce, która zaszła ze mną w ciążę. Dla Kambodży to był dobry czas. Rządził Sihanouk. Zostałem z nią do narodzin dziecka. Dziewczynki. Na chrzcie nadałem jej imię Marie. Ofiarowałem matce trochę pieniędzy i wróciłem do Dżakarty, ale strasznie tęskniłem za dzieckiem. Posłałem więcej pieniędzy. Posłałem pieniądze wodzowi, żeby się nimi opiekował. Posyłałem listy.

Modliłem się za córkę i za jej matkę i przysięgłem sobie, że kiedyś porządnie się nimi zaopiekuję. Gdy wróciłem do Kambodży, umieściłem matkę dziewczynki w domu, choć z czasem straciła urodę. Córka miała khmerskie imię, lecz od pierwszego dnia nazywałem ją Marie. Podobało jej się. Była dumna, że jestem jej ojcem.

Zdawało mi się, że zależy mu na tym, żebym wiedział, iż Marie czuła się swobodnie ze swym europejskim imieniem. To nie amerykańskie imię, podkreślił, tylko europejskie.

- W mojej zagrodzie mieszkały inne kobiety, ale Marie była moim jedynym dzieckiem i kochałem ją. Była piękniejsza, niż mogłem sobie wyobrazić. Ale nawet gdyby była brzydka i pozbawiona wdzięku, kochałbym ją równie mocno. - Jego głos nabrał nagle siły i usłyszałem w nim groźniejsze tony. - Żadna kobieta, żaden mężczyzna, żadne dziecko nigdy tak bardzo nie zaskarbiło sobie mojej miłości. Można powiedzieć, że Marie była jedyną kobietą oprócz mej matki, którą obdarzyłem tak czystym uczuciem. - Wpatrywał się we mnie w ciemności, gotów stawić czoło moim wątpliwościom. Ale pod wpływem uroku Hansena w nic nie wątpiłem. Zapomniałem o wszystkim, nie pamiętałem

nawet o śmierci matki. Owładnął mną całkowicie.

- Kiedy zaczynasz zagłębiać się w niezbadane pojęcie Boga, wiesz, że nie można odrzucić prawdziwej miłości. Być może tylko grzesznik jest w stanie właściwie to zrozumieć. Tylko grzesznik zna zasięg boskiego miłosierdzia.

Chyba pokiwałem mądrze głową. Pomyślałem o pułkowniku Jerzym. Zastanawiałem się, dlaczego Hansen próbuje mi wyjaśnić, że nie mógł odrzucić swej córki. I dlaczego mówiąc o niej, wspominał o grzechu.

- Tego wieczora, kiedy wróciłem ze świątyni do domu, w wiosce nie czekały na mnie dzieci, choć trwała jeszcze pora sucha. Byłem zawiedziony, ponieważ tego dnia dokonaliśmy wspaniałego odkrycia i chciałem podzielić się z Marie nowinami. Pomyślałem, że pewnie mają w szkole jakąś uroczystość, choć nie wiedziałem, z jakiej okazji. Podjechałem do mojej chaty i zawołałem ją. Chata była pusta. Pod palami leżały puste garnki. Znów zawołałem Marie, później żonę. Wołałem wszystkich pozostałych mieszkańców. Nikt się nie pojawił. Wróciłem do wioski. Wszedłem do domu jednej z przyjaciółek Marie, później do następnego i jeszcze jednego, wołając ją. Zniknęły nawet świnie i kurczaki. Szukałem krwi, śladów walki. Nic nie znalazłem. Zobaczyłem za to ślady stóp, prowadzące do dżungli. Wróciłem do chaty. Zabrałem łopatę, ukryłem radio w lesie między dwoma wysokimi drzewami, które tworzyły linię prosto na zachód, blisko starej termityery, przypominającej sylwetkę człowieka. Nienawidziłem pracy, którą dla was wykonywałem, kłamstw. Dla was i dla Amerykanów. Dotąd ich nienawidzę. Wróciłem do domu, wyjąłem ze skrytki księgi kodów, sprzęt i wszystko spaliłem. Zrobiłem to z radością. Ich też nienawidziłem. Założyłem buty i zapakowałem do plecaka prowiant na tydzień. Przestrzeliłem rewolwerem silnik jeepa trzy razy, żeby go unieruchomić, a następnie ruszyłem po śladach w głąb dżungli. Jeep był dla mnie zniewagą, ponieważ to wy mi go kupiliście.

Hansen wyruszył samotnie w ślad za Czerwonymi Khmerami. Ktoś inny, niekoniecznie zachodni szpieg, dobrze by się zastanowił, nawet gdyby uprowadzono jego żonę i córkę. Ale nie Hansen. On miał tylko jedną myśl, a ponieważ był absolutystą, działał za jej podszeptem.

- Nie mogłem sobie pozwolić na rezygnację z boskiej łaski - wyjaśniał mi na wypadek, gdybym nie wiedział, że od losu dziewczynki uzależniony był los jego nieśmiertelnej duszy.

Zapytałem go, jak długo maszerował. Nie wiedział. Najpierw szedł tylko nocą, a w dzień odpoczywał. Lecz dzienne światło nie dawało mu spać. Wbrew zdrowemu rozsądkowi brnął dalej. Idąc, przypominał sobie wszystkie wydarzenia z życia Marie od dnia, w którym wydobył ją z łona matki i zgodnie z rytuałem przeciął pępówinę bambusowym nożem. Kazał kobietom przynieść wodę, żeby ją obmyć, i tą samą wodą jako ksiądz i ojciec ochrzcił ją imieniem Marie, które nosiła jego matka i matka Chrystusa.

Przypominał sobie noce, gdy spała w jego ramionach lub w kołysce z sitowia u jego stóp. Widział ją przy piersi matki w świetle ognia. Ganił się za straszne lata rozłąki, kiedy mieszkał w Dzakarcie i odbywał szkolenie w Anglii. Ganił się za pracę dla służb wywiadowczych, za swą słabość, jak to określał, za zdradę Azji. Miał na myśli wskazywanie celów amerykańskim bombowcom.

Na nowo przeżywał godziny, kiedy opowiadał Marie bajki i śpiewał do snu angielskie i holenderskie piosenki. Zależało mu tylko na niej, potrzebował jej, a onajego.

Szedł po śladach, bo nie miał innego celu. Już wiedział, co się stało. Doświadczyły tego inne wioski, choć nigdy dotąd w rejonie Hansena. Bojownicy otoczyli chaty w nocy i poczekali do świtu, aż sprawni mieszkańcy wyjdą w pole. Schwytali najpierw ich, a później podkradli się do wioski i zabrali dzieci, starców, a także inwentarz. Uzupełniali zaopatrzenie, lecz zasilali również swoje

szeregi. Spieszyło im się, w przeciwnym razie splądrowaliby domy. Chcieli jednak wrócić do dżungli, zanim zostaną odkryci. Wkrótce przy świetle księżycy Hansen trafił na pierwszy makabryczny dowód tej hipotezy: nagie ciała starego magazyniera i jego żony ze związanymi z tyłu rękoma. Może nie nadążali. Może byli zbyt brzydzy. Może stawiali opór.

Hansen przyspieszył. Dziękował Bogu, że Marie wygląda jak Azjatka. U większości dzieci mieszanej krwi europejska krew jest zauważalna dla każdego Azjaty. Ale Hansen, choć był olbrzymem, miał ciemną skórę i szczupłą budowę i ze swą azjatycką duszą udało mu się jakoś splodzić azjatycką dziewczynkę.

Następnej nocy przy szlaku znalazł kolejne ciało. Zbliżył się do niego z obawą w sercu. Była to Ong Sai, kłótniwa nauczycielka. Miała szeroko otwarte usta. Została zastrzelona, gdyż buntowała się, zdecydował Hansen i ruszył niecierpliwie dalej. W poszukiwaniu Marie, swej czystej miłości, matki ziemi, która była jego córką, jedyną strażniczką jego łaski.

Zastanawiał się, jakiego rodzaju oddział ściga. Czy nieśmiałych chłopców, którzy w nocy pukają do drzwi, prosząc o trochę ryżu? Czy posępnych wojowników, którzy azjatycki uśmiech uważają za symbol zachodniej dekadencji? Czy potwory, łupieżcze bandy bezdomnych, którzy z konieczności trzymają się razem, bardziej jako zbiry niż partyzanci? Ta grupa, za którą szedł, wykazywała jednak oznaki dyscypliny. Dziki gang zostałby dłużej, żeby splądrować wioskę. Rozłożyliby obóz, zjedli posiłek i cieszyli się zwycięstwem. Następnego wieczora po znalezieniu ciała Ong Sai Hansen ukrył się do snu ze szczególną troską.

- Miałem złe przeczucia - wyznał.

W dżungli lekceważy się złe przeczucia na własną odpowiedzialność. Zagrzebał się głęboko wśród liści i wysmarował błotem. Spał z rewolwerem w dłoni. Nocą obudził go zapach dymu i piskliwe krzyki, a kiedy otworzył oczy, patrzył prosto w lufy kilku karabinów maszynowych.

Mówił o łańcuchach. Jak to się stało, że partyzanci z dżungli, którym wpajano, żeby przemieszczali się bez zbędnych obciążeń, dźwigali przez setki kilometrów tuzin kajdan? Wciąż nie potrafił tego zrozumieć. Lecz ktoś je niósł, ktoś wykarczował drzewa, na środku powstałej polany wbił słup i do dwunastu żelaznych pierścieni przymocował dwanaście par kajdanów, aby spętać dwunastu specjalnych więźniów i wystawić ich na deszcz, upał, zimno i ciemność. Hansen opisał układ łańcuchów. W tym celu przeszedł na francuski. Doszedłem do wniosku, że potrzebowałem ochrony innego języka. - ... une tringle collective sur laquelle etaient enfilés des étriers... nous étions flics par un pied... j'avais été mis au bout de la chaine parce que ma cheville trop grosse ne passait pas...

Spojrzałem na dziewczynę. Leżała jeszcze bardziej bezwładnie niż przedtem, o ile to w ogóle było możliwe. Jakby umarła lub była w transie. Zdałem sobie sprawę, że Hansen oszczędzał ją przed czymś, czego nie chciał jej powiedzieć.

Za dnia, mówił dalej po francusku, uwalniali nam nogi, więc mogliśmy kłęczeć lub nawet czołgać się, choć niedaleko, ponieważ nadal byliśmy przywiązani do słupa. Tylko nocą, kiedy żelazne okowy na nogi przytwierdzano

do ciężkich pali tworzących ogrodzenie, mogliśmy rozciągnąć się całkowicie. Liczba łańcuchów określała liczbę specjalnych więźniów, którzy rekrutowali się wyłącznie spośród wiejskiej burżuazji. Hansen rozpoznał dwóch członków starszyny oraz chudą czterdziestoletnią wdowę imieniem Ra, która cieszyła się reputacją wieszczki. I trzech braci Liu, trudniących się handlem ryżem, znanych ze skąpstwa. Jeden z nich wyglądał już na martwego, leżał bowiem skulony wokół łańcuchów jak jeź bez igieł. Jedynie jego łkania dowodziły, że jeszcze żyje.

A Hansen, ze swoją awersją do niewoli? Jak znosił łańcuchy?

- Je les ai portees pour Marie - odparł płynnym i ostrzegawczym francuskim, który nauczyłem się szanować.

Więźniowie nie zaliczeni do kategorii specjalnych zostali umieszczeni wewnątrz palisady na skraju polany, skąd od czasu do czasu wyprowadzano lub wywlekano jednego z nich do kwatery, ukrytej za pagórkiem. Przesłuchania były krótkie. Po kilku godzinach krzyków rozbrzmiewał pojedynczy strzał z pistoletu i znów zapadała niespokojna cisza dżungli. Nikt nie wracał z przesłuchania. Dzieciom, włączając Marie, pozwalano chodzić wolno, pod warunkiem, że nie zbliżały się do więźniów i nie wdrapywały na pagórek, za którym mieściła się kwatera. Najśmielsze z nich nawiązały już znajomość z młodymi partyzantami podczas marszu i biegały wokół nich, wykonując ich polecenia i próbując dotknąć broni.

Ale Marie trzymała się na uboczu. Siedziała na polanie naprzeciw pali i od świtu do nocy obserwowała ojca. Nawet gdy wywlekli jej matkę i zza pagórka rozległy się krzyki, wołające imię Hansena, a potem błagania o litość, zakończone jak zwykle strzałem z pistoletu, Marie nie oderwała oczu od jego twarzy.

- Wiedziała? - zapytałem po francusku.

- Cały obóz wiedział - odparł.

- Była przywiązana do matki?

Nie wiem, czy podzielała moja wyobraźnia, ale zdawało mi się, że Hansen zamknął oczy.

- Byłem ojcem Marie - odpowiedział. - Nie panowałem nad tym, co do siebie czuły.

Domyśliłem się, że matka i córka nienawidziły się. Może miłość Hansena do Marie była uczuciem wymagającym i zaborczym - absolutnym, jak wszystkie jego miłości, eliminującym rywali?

- Nie wolno mi było odezwać się do niej, a jej do mnie - ciągnął dalej. - Więźniom zabroniono rozmawiać pod groźbą śmierci.

Wystarczyło nawet jęknięcie, o czym przekonał się jeden z pechowych braci Liu, którego strażnicy zmusili do milczenia za pomocą kolb karabinów i nazajutrz zastąpili kurczącym się ze strachu więźniem zza palisady. Ale Marie i jej ojciec nie potrzebowali słów. Upór, który Hansen dostrzegł w twarzy córki, był beznamietnym odbiciem jego własnego serca, kiedy tak leżał związany i bezradny w łańcuchach. Ze wsparciem Marie mógł znieść wszystko. Każde z nich stanowiło zbawienie dla drugiego. Jej miłość do niego była głęboka i szczerą, tak jak jego miłość. Nie wątpił w to. Choć nienawidził niewoli, dziękował Bogu, że postanowił ruszyć w ślad za córką.

Mijały kolejne dni, a Hansen tkwił przywiązany łańcuchami do słupa, smażąc się na słońcu, trzęsąc w nocy z zimna, przechodząc smrodem własnych odchodów, lecz jego wzrok i dusza skupiały się na Marie.

Tymczasem obmyślał taktykę dalszego postępowania.

Od samego początku nie ulegało żadnej wątpliwości, że był gwiazdą. Gdyby planowali schwytać Europejczyka, zaatakowałiby przed wyjazdem Hansena, a później przeszukaliby dom. Stanowił dla nich niespodziewany skarb i czekali na wiadomość, co mają z nim zrobić. Jego towarzyszy spod słupa odprowadzano i już nie wracali - wszyscy oprócz jednego z braci Liu i wdowy-wrózki, którzy po kilku dniach przesłuchania pojawili się na nowo w charakterze wzorowych więźniów. Lżyli swych byłych towarzyszy i próbowali za wszelką cenę wkupić się w łaski żołnierzy.

Rozpoczęto indoktrynację. Co wieczór dzieci i więźniowie słuchali przemówień młodego komisarza z czerwoną opaską na głowie. Hansen piekł się i marzył, słyszał też przenikliwy skrzek komisarza, który przez kilka godzin krytykował z patosem znieawidzonych imperialistów. Początkowo nie w smak mu były te lekcje, ponieważ odbierały mu Marie. Ale przy odrobinie wysiłku mógł wyciągnąć szyję na tyle, żeby dojrzeć jej wyprostowaną postać usadowioną samym

końcu. Wpatrywała się w niego przez polanę. Będę dla ciebie matką, ojcem i przyjacielem, mówił jej. Będę dla ciebie życiem, jeśli okaże się, że muszę zrezygnować ze swojego.

Czasem martwił się jej urodą, uważając, że jest ona karą za jego nieposkromioną rozpustę. Marie w wieku dwunastu lat była bez wątpienia najpiękniejszą dziewczyną w obozie, i choć seks był niedozwolony dla żołnierzy, jako że stanowił burżuazyjne zagrożenie dla rewolucyjnego zapału, Hansen nie mógł nie zauważyć wrażenia, jakie jej skąpo odziana postać robi na młodych bojownikach. Ich zmatowiałe oczy pożerały jej kielkujące piersi i rozkołysane biodra pod podartą bawełnianą sukienką, a ponure spojrzenia ciemniały, kiedy wołali coś za nią. Co gorsza, wiedział, że Marie zdaje sobie sprawę z ich pragnień, a jej budząca się kobiecość nie pozostaje im obojętna.

Nadszedł wreszcie ranek, kiedy warunki niewoli Hansena w sposób niewytłumaczalny uległy poprawie. Jego niepokój pogłębił się, gdyż dobroczyńcą okazał się młody komisarz w czerwonej opasce. Przybył w eskorcie dwóch żołnierzy i nakazał Hansenowi wstać. Hansen był za słaby, więc żołnierze pomogli mu się podnieść i wzięwszy go pod pachy, doprowadzili do miejsca nad rzeką, gdzie z małej zatoczki powstało rozlewisko.

- Umyj się - rozkazał młody komisarz.

Od wielu dni - odkąd go związano - Hansen na próżno domagał się tego przywileju. Pierwszego wieczora ryknął: „Zabierzcie mnie nad rzekę!” Pobili go. Nazajutrz rano rzucał się w łańcuchach i ryzykując kolejne pobicie, żądał spotkania z odpowiedzialnym towarzyszem: wszystko po to, żeby zapewnić sobie status osoby, którą ciemżyciele będą szanować i w konsekwencji pozostawią przy życiu.

Na oczach żołnierzy Hansen zdołał zebrać siły do kąpieli i - choć czuł się jak zdjęty z krzyża - natarł swe wymęczone ciało mułem rzeczonym, zanim odprowadzono go do słupa. Za każdym razem mijał w odległości paru metrów ukochaną Marie, która czekała w tym samym miejscu poza pierścieniem pali. Choć cieszył się z bliskości córki i odwagi w jej oczach, nie mógł stłumić podejrzeń, że to jego własne dziecko zapewniło mu luksus, z którego korzystał. I kiedy komisarz rzucił jej powitanie, a Marie podniosła głowę i odwzajemniła mu się półuśmiechem, katusze zazdrości pogłębiły jeszcze cierpienia Hansena.

Po kąpieli przynieśli mu ryż - więcej niż dostał od pierwszego dnia niewoli. I zamiast zmusić go do jedzenia z miski jak pies, rozwiązali mu ręce i pozwolili jeść palcami, mógł więc potajemnie schować trochę ryżu w dłoni i wrzucić za koszulę, kiedy znów go przywiązywali do słupa.

Przez cały dzień nie myślał o niczym innym, tylko o kulce ryżu schowanej w koszuli. Starał się, żeby nieuważnym ruchem nie zmiażdżyć jej. Odzyskam Marie, myślał. Wyprę komisarza z jej serca. Kiedy nadszedł wieczór i znów poprowadzili go do rzeki, dokonał cudu, który sobie zaplanował. Zataczając się bardziej dramatycznie, niż to było konieczne, udało mu się niepostrzeżenie rzucić kulkę ryżu do stóp Marie. Kiedy mijał ją znowu w drodze powrotnej, zauważył, przeżywając w duchu ekstazę, że kulka zniknęła.

Ale twarz Marie była nieodgadniona. Tylko oczy, szczerze i czasem otępiełe w swym oddaniu, mówiły mu, że odwzajemnia jego absolutną miłość. Kiedy zakuwali go w łańcuchy, doszedł do wniosku, że mylił się. Marie uczy się więziennych sztuczek. Jest czysta i przeżyje. Tego wieczora słuchał z większą wyrozumiałością indoktrynacji komisarza. Zbałamuć go, namawiał ją w telepatycznym dialogu, który bez przerwy z nią prowadził; uspij jego czujność, oczaruj go, zdobądź jego zaufanie, ale nic mu nie dawaj. I Marie musiała go słyszeć, ponieważ gdy zajęcia się skończyły, zauważył, że komisarz przywołuje ją do siebie i strofuje, a ona zachowuje skruszoną postawę i milczy. Zobaczył, jak opuszcza głowę. Widział, jak odchodzi z pochyloną głową.

Następnego dnia i przez cały tydzień Hansen powtarzał swą sztuczkę, przekonany, że tylko Marie

o niej wie. Kulka ryżu, turlająca się lekko po brzuchu za każdym razem, gdy robił jakiś ruch, stała się dla niego ważnym źródłem pocieszenia. Karmię ją piersią. Jestem jej obrońcą, stoję na straży jej czystości. Jestem jej księdzem, udzielającym chrystusowego sakramentu.

Teraz liczył się dla niego tylko ryż. Wymyślał nowe sposoby dostarczania jej pożywienia. Czekał, aż ją minie i przesuwał kulkę do tyłu, aż wypadła przez nogawkę postrzępionych spodni.

- Zgrzeszyłem brakiem skromności - stwierdził cicho tonem pokutnika. I dlatego Bóg odebrał mi Marie. Pewnego dnia, kiedy uwolniono go

z więzów i poprowadzono do rozlewiska, Marie nie czekała na przyjęcie sakramentu. Podczas wieczornej indoktrynacji zauważył, że pozwolono jej stanąć u boku komisarza i wydawało mu się, że słyszy jej głos pewnie intonujący liturgiczne odpowiedzi. Kiedy zapadła noc, dojrzał jej sylwetkę przy ogniskach żołnierzy - została przyjęta do ich grona i jadła z nimi ryż. Nazajutrz ani następnego dnia w ogóle jej nie widział.

- Chciałem umrzeć - wyznał.

Wieczorem, kiedy zrozpaczony czekał nieruchomo, aż strażnicy spętają mu nogi, podszedł do niego młody komisarz, a obok niego przydreptała ubrana w czarny mundur Marie.

- Czy to twój ojciec? - zapytał komisarz, gdy stanęli przy Hansenie. Marie nawet nie mrugnęła okiem, ale sprawiała wrażenie, jakby szperała w pamięci w poszukiwaniu odpowiedzi.

- Moim ojcem jest Angka - powiedziała wreszcie. - Angka jest ojcem wszystkich uciśnionych.

- Angka to partia - wyjaśnił mi Hansen, choć o nic nie pytałem. - Angka to organizacja, do której modlili się Khmerowie. W systemie wartości Czerwonych Khmerów Angka była Bogiem.

- A kim jest twoja matka? - zapytał komisarz.

- Moją matką jest Angka. Nie mam innej matki.

- Kim jest ten człowiek?

- Tajnym amerykańskim agentem - odparła Marie. - Zrzuca bomby na nasze wioski. Zabija naszych braci.

- Dlaczego udaje, że jest twoim ojcem?

- Chce nas oszukać, podając się za naszego towarzysza.

- Sprawdź łańcuchy szpiega. Zobacz, czy są dobrze zawiązane - polecił komisarz.

Marie uklękła przy Hansenie dokładnie tak samo, jak ją uczył podczas modlitwy. Przez chwilę jak uzdrawiający dotyk Chrystusa poczuł na swych owrzodzonych nogach jej dłoń.

- Możesz włożyć palec między łańcuch i nogę? - zapytał komisarz. W panice Hansen zrobił to samo, co zawsze, gdy związywano mu nogi.

Napiął mięśnie, mając nadzieję, że kiedy je rozluźni, zyska trochę swobody. Poczuł, jak Marie bada palcem łańcuch.

- Mogę włożyć mały palec - odpowiedziała, podnosząc go do góry i jednocześnie zasłaniając stopy Hansena przed oczami komisarza.

- Wchodzi lekko czy ciężko?

- Bardzo ciężko - skłamała.

Odprawiając ich wzrokiem, zauważył coś niepokojącego. W czarnym mundurze Marie przejęła koci chód żołnierzy z dżungli. Mimo to po raz pierwszy, odkąd został schwytany, spał głęboko. Przyłączyła się do nich, żeby ich oszukać, zapewniał sam siebie. Bóg nad nami czuwa. Wkrótce uciekniemy.

Człowiek mający przeprowadzić oficjalne przesłuchanie przyplłynął łodzią. Był to student o gładkich policzkach i poważnym, surowym usposobieniu. Student: tak Hansen nazywał go w myślach. Komitet powitalny pod przewodnictwem komisarza wyszedł nad rzekę i odprowadził go przez

pagórek do kwatery. Hansen wiedział, że to on będzie go przesłuchiwać, ponieważ jako jedyny nie odwrócił głowy, żeby spojrzeć na ostatniego więźnia, którygnił w upale. Spojrzał za to na Marie. Zatrzymał się przed nią, zmuszając wszystkich innych do postoju. Pochylił ku niej twarz intelektualisty, zadając pytania, których Hansen nie słyszał. Nie odsunął twarzy, słuchając machinalnych odpowiedzi. Moja córka jest obozową dziwką, pomyślał zrozpaczony Hansen. Ale czy naprawdę? Z tego, co wiedział o Czerwonych Khmerach, nie tolerowali prostytutek w swych szeregach. Wszystko wskazywało na to, że tak nie jest. - Angka hait le sexuel - powiedział mu kiedyś francuski antropolog.

Doszedł do wniosku, że zniewolili ją swoim purytanizmem. Skusili ją namiętnością, która jest gorsza od rozpusty. Leżał twarzą do ziemi, modląc się, żeby go obarczono popełnionymi przez nią grzechami niewinności.

Nie mam spójnego obrazu przesłuchania Hansena z tego powodu, że on sam niewiele pamiętał. Przypomniałem sobie doznania, które zapewnił mi pułkownik Jerzy. Była to dziecinna igraszka w porównaniu z tym, co wycierpiał Hansen. Lecz jego wspomnienia również charakteryzował ten sam brak precyzji. Jest rzeczą bezsprzeczną, że poddano go torturom. W tym celu zbudowano drewniany ruszt. Jednocześnie zależało im na tym, żeby utrzymać go przy życiu, ponieważ między sesjami karmili go, a nawet, jeśli dobrze pamięta, zezwalali mu na wizyty nad rzeką, choć mogła to być jedna wizyta, gdy chwilowo odzyskał przytomność.

W praktycznym umyśle studenta żadne zeznanie nie było prawdziwe, dopóki nie zostało spisane. A pisanie szło mu coraz ciężiej i stało się karą samą w sobie, choć na ten czas odwiązywano go od żerdzi.

Prowadząc przesłuchanie, student zdawał się posuwać równocześnie na dwóch frontach. Kiedy nie robił postępów na jednym, przerzucał się na drugi.

Jesteś amerykańskim szpiegiem, mówił, i agentem kontrrewolucyjnej marionetki Lon Nola, również wroga rewolucji. Hansen zaprzeczał.

Ale jesteś też katolikiem, który podszywa się pod buddystę, promotorem antypartyjnych przesądów i sabotażystą powszechnego oświecenia, wrzeszczał student.

Ogólnie rzecz biorąc, student przedkładał stwierdzenia nad pytania.

- Podasz teraz wszystkie daty i miejsca konspiracyjnych spotkań z kontrrewolucyjną marionetką i amerykańskim szpiegiem Lon Nolem, wymieniając nazwiska wszystkich obecnych Amerykanów.

Hansen upierał się, że do takich spotkań nigdy nie doszło. Ale taka odpowiedź nie satysfakcjonowała studenta. Kiedy nasilał się ból, Hansen przypomniał sobie nazwiska postaci z angielskiej piosenki ludowej, którą kiedyś śpiewała mu matka: Tom Pearse... Bili Brewer... Jan Stewer... Peter Gurney... Peter Davney... Dan'l Whiddon... Harry Hawk.

- Napiszesz teraz nazwisko herszta tej bandy - powiedział student, przewracając kartkę w notatniku. Oczy studenta, mówił Hansen, często były zmrużone. Pamiętam, że to samo robił Jerzy.

- Cobbleigh - wyszeptał Hansen, podnosząc głowę ze stołu, przy którym go posadzili. Tomas Cobbleigh, napisał. W skrócie Tom. Pseudonim Wuj.

Daty były ważne. Hansen martwił się, że je pozapomina niedługo po wymyśleniu i zostanie oskarżony o niekonsekwencję. Wybrał urodziny Marie, urodziny swej matki i datę egzekucji ojca. Zmienił rok, żeby dopasować je do okresu rządów Lon Nola. Na miejsce konspiracyjnych spotkań wybrał ogrody pałacu Lon Nola w Phnom Penh, które często podziwiał po drodze do ulubionej fumerie.

Kiedy przyznawał się do tych bzdur, bał się tylko, że przez pomyłkę poda prawdziwą informację, ponieważ zorientował się już, że student nie wie nic o jego prawdziwej szpiegowskiej działalności i

że podstawą oskarżeń przeciw niemu jest jedynie to, że pochodzi z Zachodu.

- Zapisz nazwiska wszystkich szpiegów opłacanych przez ciebie w ciągu ostatnich pięciu lat oraz wszystkie akty sabotażu przeprowadzone przez ciebie na szkodę ludu.

W ciągu wszystkich dni i nocy, które upłynęły na oczekiwaniu dalszych tortur, nie dopuszczał myśli, że zawiedzie go wyobraźnia. Recytował nazwiska męczenników, których męki pozwalały mu przygotować się do własnych cierpień; nieżyjących wschodnich uczonych; autorów dzieł filologicznych i lingwistycznych. To szpiedzy, twierdził. Wszyscy byli szpiegami. I zapisywał je ręką drżącą na papierze, w konwulsjach bólu, który nie przestawał nim targać długo po zejściu z maszyny tortur.

W rozpaczy spisał listę pustynnych oficerów T.E. Lawrence'a, których pamiętał z licznych lektur Siedmiu filarów mądrości. Opisał, jak na osobisty rozkaz Lon Nola zorganizował zatrucie bydła i zbiorów rolnych przez buddyjskich mnichów. Student wysłał go z powrotem na ruszt i spotęgował ból.

Opisał potajemne komplety, które prowadził na temat imperializmu, i to, jak zachęcał do szerzenia burżuazyjnych poglądów i wartości prorodzinnych. Student otworzył oczy, wygłosił słowa politowania i spotęgował ból.

Powiedział im prawie wszystko. Opisał, jak rozpalał ogniska, żeby naprowadzić amerykańskie bombowce, i rozsiewał plotki, że samoloty należą do Chińczyków. Niewiele brakowało, a powiedziała by, kto pomógł mu poprowadzić amerykańskich komandosów do szlaków zaopatrzeniowych, ale na szczęście zemdłał.

Przez cały czas tej gehenny Marie wciąż mieszkała w jego sercu, do niej krzyczał z bólu, jej ręce zatrzymywały go przy życiu, gdy ciało błagało, żeby zrezygnować z walki, jej oczy spoglądały na niego z miłością i litością. To jej składał w ofierze cierpienie i dla niej przyrzekł sobie przetrwać. Kiedy leżał na granicy życia i śmierci, doznał halucynacji: ujrzał siebie rozciągniętego na dnie łodzi studenta i Marie, która siedziała nad nim w czarnym mundurze i wiosłowała w górę rzeki do nieba. Ale jeszcze nie umarł.

- Nie zabili mnie. Przyznałem się do wszystkiego, a oni mnie nie zabili. Ale do wszystkiego się nie przyznał. Nie zdradził swych agentów i nie

powiedział im o radiu. I kiedy nazajutrz znów przywiązali go do rusztu, zobaczył, że przy studencie siedzi Marie, a przed nią na stole leży kopia jego zeznań. Miała przycięte krótko włosy i nieprzenikniony wyraz twarzy.

- Zapoznałaś się z zeznaniami tego szpiega? - zapytał ją student.

- Zapoznałam się - odparła.

- Czy zeznania szpiega precyzyjnie opisują styl życia, który mogłaś zaobserwować w jego towarzystwie?

- Nie.

- Dlaczego? - zapytał student, otwierając notes.

- Nie są wyczerpujące.

- Wyjaśnij, dlaczego zeznania szpiega Hansena nie są wyczerpujące.

- Szpieg Hansen trzymał w domu radio, za pomocą którego przesyłał wiadomości do imperialistycznych bombowców. Także nazwiska podane w jego zeznaniach są zmyślane. Pochodzą z burżuazyjnej piosenki, którą mi śpiewał, kiedy podawał się za mojego ojca. Ponadto w nocy przyjmował w domu imperialistycznych żołnierzy, a później prowadził ich do dżungli. Nie raczył też wspomnieć, że jego matka była Angielką.

Student sprawiał wrażenie rozczarowanego.

- O czym jeszcze nie raczył wspomnieć? - zapytał, kantem dłoni wygładzając nową stronę w notatniku.

- Kiedy przebywał w niewoli, wielokrotnie łamał przepisy. Gromadził jedzenie i próbował zdobyć w ten sposób pomoc towarzyszy w planowanej ucieczce.

Student westchnął i dalej notował.

- O czym jeszcze nie raczył wspomnieć? - zapytał cierpliwie.

- Ma luźno związane łańcuchy na nogach. Kiedy są mocowane, napina mięśnie, żeby móc je potem zsunąć w razie ucieczki.

Do tego momentu Hansen przekonywał siebie, że Marie prowadzi sprytną grę. Ale nie. Gra okazała się rzeczywistością.

- To dziwnak! - krzyknęła przez łyzy. - Deprawuje nasze kobiety, sprowadzając je do domu i odurzając narkotykami! Urządza na niby burżuazyjny ślub, a potem zmusza żonę, żeby tolerowała jego dekadentkie praktyki! Sypia z dziewczętami w moim wieku! Udaje, że jest ojcem naszych dzieci i że nasza krew nie jest krwią Khmerów! Czyta nam burżuazyjne książki w zachodnich językach, żeby nas skorumpować! Uwodzi nas przejażdżkami jeepem i imperialistycznymi piosenkami!

Nigdy wcześniej nie słyszał jej krzyku. Student najwyraźniej też nie, bo sprawiał wrażenie zażenowanego. Ale ona nie dawała się powstrzymać. Wciąż wypierała się Hansena. Powiedziała im, że zakazał matce kochać ją. Okazywała mu nienawiść, której nie udawała, była to nienawiść tak absolutna i nieokiełznana, jak jego miłość do niej. Trzęsła się z tłumionej nienawiści sponiewieranej kobiety, jej rysy wykrzywiła nienawiść i poczucie winy. Wyciągnęła rękę i wymierzyła w niego palec w klasycznym oskarżycielskim geście. Jej głos należał do kogoś, kogo nie znał.

- Zabijcie go! - krzyczała. - Zabijcie krzywdziciela naszych ludzi! Zabijcie truciciela naszej krwi! Zabijcie zachodniego kłamcę, który wmawia nam, że każdy jest inny! Pomścicie naszych ludzi!

Student zapisał ostatnie słowo i rozkazał, by odprowadzono Marie.

- Modliłem się o jej przebaczenie - powiedział Hansen.

Zobaczyłem, że zaczęło świtać. Hansen stał przy oknie, wpatrując się w zamgloną powierzchnię morza. Dziewczyna leżała na tapczanie, na którym przespala całą noc. Miała zamknięte oczy, pusta puszką po coca-coli stała obok jej głowy nadal podpartej ramieniem. Wisząca w powietrzu ręka wyglądała na zniszczoną i starą. Słowa Hansena stały się lapidarne i przez chwilę obawiałem się, że z nastaniem nowego dnia przestanie mnie tolerować. Ale zdałem sobie sprawę, że to nie do mnie ma żal, lecz do samego siebie. Pamiętał swój gniew, kiedy zanieśli go związanego, choć nie skutego łańcuchami, za palisadę, żeby tam zasnął. Jeśli można mówić o śnie, kiedy ciało kona z bólu, a krew zalewa uszy i nos. Był zły na siebie, że zasiał w dziecku aż tyle nienawiści.

- Nadal byłem jej ojcem - powiedział po francusku. - Za nic jej nie winięm, za wszystko winięm siebie. Gdybym tylko wcześniej podjął próbę ucieczki, a nie liczył na jej pomoc. Gdybym tylko spróbował się wyrwać, kiedy byłem jeszcze silny, zamiast zdawać się na dziecko. Nigdy nie powinienem nawiązywać z wami współpracy. Moja tajna działalność naraziła ją na niebezpieczeństwo. Przeklinałem was wszystkich. Cały czas was przeklinam.

Czy odezwałem się? Nie chciałem niczym tamować potoku jego słów.

- Pociągali ją - mówił dalej, próbując ją usprawiedliwić. - To byli jej rodacy, partyzanci, gotowi umrzeć za sprawę. Dlaczego miałaby ich odrzucać? Byłem ostatnią przeszkodą na drodze do zaakceptowania jej przez pozostałych - tłumaczył. - Byłem intruzem, trucicielem. Dlaczego miała wierzyć, że jestem jej ojcem, skoro mówili jej co innego?

Leżąc za palisadą, Hansen przypomniał sobie dzień, kiedy młody komisarz ubrał ją w czarny ślubny mundurek. Pamiętał wstręt malujący się na jej twarzy, gdy patrzyła na niego, cuchnącego i

skatowanego, skulonego zachodniego szpiega. A obok niej stał przystojny komisarz w czerwonej opasce.

- Angka jest moim mężem - powiedziała. - Angka jest odpowiedzią na wszystkie moje pytania.

- Zostałem sam.

Zapadła ciemność i pomyślał, że jeśli chcą go rozstrzelać, poczekają do rana. Ale przerażała go myśl, że Marie przejdzie przez życie ze świadomością, iż doprowadziła do śmierci ojca. Wyobraził ją sobie w średnim wieku. Kto jej pomoże? Kto wysłucha jej spowiedzi? Kto udzieli jej rozgrzeszenia? Coraz bardziej buntował się na myśl o własnej śmierci, gdyż oznaczała również śmierć Marie.

Przez chwilę musiał się zdrzemnąć, bo gdy nadszedł świt, zauważył miskę ryżu stojącą na ziemi. Wiedział, że w nocy jej tam nie było. Wyczułby zapach ryżu nawet w mękach. Tym razem ryż nie był uformowany w kulki, nie turlał się po nagiej skórze, lecz tworzył biały kopczyk, który mógł starczyć na pięć dni. Początkowo był zbyt zmęczony, żeby się zdziwić. Przewrócił się na brzuch, chcąc zabrać się do jedzenia i wtedy zdziwiła go cisza. O tej porze polana powinna rozbrzmiewać odgłosami budzących się żołnierzy: śpiewnymi głosami i pluskaniem wody w rzece, szczękiem garnków i broni, sloganami skandowanymi przez komisarza. Gdy zaczął nasłuchiwać, wydało mu się, że zamilkły nawet ptaki i małpy. Nie słyszał też żadnych odgłosów ludzkich.

- Odeszli - odezwał się za moimi plecami. - W nocy zwinęli obóz i zabrali ze sobą Marie.

Zjadł jeszcze trochę ryżu i znów zasnął. Dlaczego mnie nie zabili? Marie wstawiła się za mną. Marie wykupiła moje życie. Hansen zaczął trzeć więzy o ścianę palisady. Przed zapadnięciem zmroku, pokryty wrzodami i muchami, dotarł do rzeki i obmył rany. Dobrnął do palisady i tam przenocował, a nazajutrz rano ruszył w drogę z resztkami ryżu. Tym razem - bez więźniów i inwentarza - partyzanci nie zostawili śladów.

Ale on rozpoczął poszukiwania.

Hansen pozostał w dżungli jakieś pięć lub sześć miesięcy, przenosząc się z wioski do wioski. Nigdzie nie zagrzewał miejsca, nikomu nie ufał. Podejrzewam, że był w lekkim amoku. Przy każdej okazji pytał o oddział Marie, ale nie wyróżniał się on niczym szczególnym i poszukiwania Hansena utknęły w miejscu. Słyszał o oddziałach, w których walczyły dziewczęta. Słyszał o oddziałach składających się wyłącznie z dziewcząt. Słyszał o dziewczętach wysyłanych do miast, gdzie jako prostytutki zbierały informacje. Wyobrażał sobie Marie we wszystkich tych sytuacjach. Pewnej nocy podkraść się do swego starego domu, mając nadzieję, że się tam schroniła. Wioska została spalona.

Zapytałem, czy ruszono ukryte radio.

- Nie sprawdzałem - odparł. - Nie zależało mi. Nienawidziłem was wszystkich.

Pewnej nocy odwiedził ciotkę Marie, która mieszkała w odległej wiosce, ale na jego widok zaczęła ciskać garnkami i musiał się oddalić. Lecz chęć ocalenia córki była w nim silniejsza niż przedtem, wiedział już bowiem, że musi ocalić ją przed nią samą. Zaraziła się moim absolutyzmem, myślał. Jest gwałtowna i uparta, a winę ponoszę ja. Zamknąłem ją w więzieniu moich impulsów. Tylko ojcowska miłość mogła mu zamknąć oczy na ten fakt. Teraz miał otwarte oczy. Zauważył, że pociągają okrucieństwo, za pomocą którego chce udowodnić, jak bardzo jest oddana sprawie. Zauważył, że próbuje naśladować jego życiowe poszukiwania, lecz jest pozbawiona jego intelektualnej i religijnej dyscypliny. Wierzyła tylko, tak jak on, że oddanie się wielkiej sprawie zapewni jej spełnienie.

O przedarciu się do tajskiej granicy powiedział niewiele. Szedł na południowy zachód w kierunku Pailin. Słyszał, że założono tam obóz dla khmerskich uchodźców. Pokonał góry i malaryczne bagna. Kiedy dotarł na miejsce, znalazł ośrodki zajmujące się poszukiwaniem zaginionych i rozwiesił

opis córki na obozowych tablicach ogłoszeń. Nadal stanowi dla mnie zagadkę, jak to wszystko osiągnął bez papierów, bez pieniędzy i bez znajomości, utrzymując w tajemnicy swą obecność w Tajlandii. Ale Hansen był dobrze wyszkolonym, twardym agentem, nawet jeśli się od nas odżegnywał. Niewiele mogło go powstrzymać. Zapytałem, dlaczego nie zwrócił się do Rumbelowa o pomoc, ale pogardliwie wzruszył ramionami.

- Nie byłem już imperialistycznym agentem. Wierzyłem tylko w moją córkę.

Któregoś dnia w siedzibie jednej z organizacji charytatywnych poznał Amerykankę, której wydawało się, że pamięta Marie.

- Wyjechała - powiedziała ostrożnie.

Hansen przycisnął ją. Marie należała do sześciuosobowej grupy dziewcząt, powiedziała. Były prostytutkami, ale miały w sobie zuchwałość żołnierzy. Kiedy nie zabawiały mężczyzn, trzymały się na uboczu i trudno było do nich dotrzeć. Pewnego dnia wyjechały. Słyszała, że zostały zatrzymane przez tajską policję. Nigdy więcej ich nie widziała.

Wydawało mu się, że Amerykanka coś przed nim ukrywa. Hansen nie dał jej wyboru.

- Baliśmy się jej - wyznała w końcu. - Zmieniała sobie imiona. Na pytanie, jak do nas dotarła, podawała sprzeczne opisy. Lekarze zastanawiali się, czy nie jest obłąkana. Gdzieś w dżungli zatraciła swoją tożsamość.

Hansen udał się na policję i groźbami lub uporem wyłudził od nich wiadomość, że Marie mieszka w policyjnym schronisku, domu uciech dla oficerów. Nigdy nie zapytali go, kim jest i jakie ma dokumenty. Był białym, farangietn, który mówił po khmersku i tajsku. Poinformowali go, że po trzech miesiącach pobytu Marie zniknęła. Była dziwna, stwierdził pewien życzliwy sierżant.

- Co znaczy dziwna? - zapytał Hansen.

- Mówiła tylko po angielsku - odparł sierżant.

Hansen dowiedział się, że przyjaciółka Marie została dłużej i poślubiła jednego z kaprali. Zdobył jej nazwisko.

Przestał mówić.

- I znalazłeś ją? - zapytałem, przerywając długą ciszę.

Ale już znałem odpowiedź. Znałem ją od połowy przesłuchania, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy. Siedział przy dziewczynie i delikatnie głaskał jej głowę. Usiadła powoli i swymi chudymi starymi dłońmi przetarła oczy, udając, że się budzi. Sądzę, że przez całą noc nas słuchała.

- To było wszystko, co rozumiała - wyjaśniał Hansen po angielsku, nie przestając głaskać ją po głowie. Mówił o burdelu, w którym ją znalazł. - Nie chciała podejmować decyzji, prawda, Marie? Żadnych wielkich słów, żadnych obietnic. - Przyciągnął ją do siebie. - Pragnie tylko być podziwiana. Przez swych rodaków. Przez nas. Wszyscy musimy kochać Marie. W tym znajduje pocieszenie.

Chyba wziął moje milczenie za naganę, bo podniósł głos.

- Nie chce nikogo krzywdzić. Czy to źle? Pragnie, żeby zostawiono ją w spokoju. Byłoby dobrze, gdyby więcej ludzi tego pragnęło. Wasze bombowce, wasi szpiegowie i wasze wielkie słowa nie są dla niej. Nie jest dzieckiem doktora Kissingera. Prosi tylko o skromną egzystencję, chce tylko dawać przyjemność, nikogo nie krzywdząc. Co jest gorsze? Wasz burdel, czyjej? Zostawcie Azję w spokoju. Nie powinniście tu nigdy przyjeżdżać. Wstyd mi, że wam pomagałem. Zostawcie nas.

- Niewiele powtórzę Rumbelowowi - obiecałem, szykując się do wyjścia.

- Powiedz mu, co chcesz.

W progu spojrzałem na nich po raz ostatni. Dziewczyna przyglądała mi się zapewne tak samo, jak przyglądała się zakutemu w łańcuchy Hansenowi: niewzruszenie, głęboko, nieruchomo. Chyba wiedziałem, o czym myśli. Zapłaciłem za nią, ale nie posiadałem jej. Zastanawiała się, czy zażadam

zwrotu pieniędzy.

Rumbelow odwiózł mnie na lotnisko. Tak jak Hansen wolałem się bez niego obejść, ale mieliśmy parę spraw do omówienia.

- Ile mu obiecałeś? - zawołał z przerażeniem.

- Powiedziałem, że przysługuje mu odprawa i najlepsza ochrona, jaką możemy zapewnić.

Przyrzekłem, że prześle mu pan czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Rumbelow wściekł się.

- Ja mam mu przesłać pięćdziesiąt tysięcy? Człowieku, będzie pił przez pół roku i w całym Bangkoku rozpowie historię swego życia. A co z tą jego kambodżańską dziwką? Założę się, że wszystko wie.

- Proszę się nie martwić - powiedziałem. - Mnie nie chciał nic powiedzieć.

Wiadomość ta zdumiała Rumbelowa tak bardzo, że całkowicie wyzbył się oburzenia, zachowując w zamian urażone milczenie, którego nie przerwał do końca podróży.

W samolocie wypłem za dużo i spałem za krótko. Kiedy wybudziłem się z koszmaru, naszły mnie buntownicze myśli o Rumbelowie i Piątym Piętrze. Pragnąłem wysłać całą tę hałastrę do dżungli, łącznie ze Smileyem. Chciałem, żeby zrezygnowali ze wszystkiego dla jednego kalekiego, nieprawdopodobnego uczucia i przekonali się, że jego przedmiot zwraca się przeciw nim, dowodząc, że nie ma nagrody za miłość poza doświadczeniem miłości i że uczy ona tylko pokory.

Cieszyłem się jednak i cieszę się do dziś, kiedy myślę o Hansenie. Odnalazłem to, czego szukałem: człowieka takiego jak ja, który w poszukiwaniu sensu życia znalazł dla niego wartościowy cel. Zapłacił wielką cenę i nie uważał tego za ofiarę. Będzie tę cenę płacił aż do śmierci. Człowiek ten za nic miał kompromis, dumę, nas i opinię innych. Ograniczył życie do jedynej rzeczy, która miała dla niego znaczenie, i był wolny. Drzemiący we mnie buntownik spotkał swego mistrza. Niedoszły kochanek we mnie odnalazł skalę, według której mógł zmierzyć swe własne trywialne troski.

Zatem kiedy kilka lat później mianowano mnie szefem Naszej Rosji i mój najcenniejszy agent zdradził swój kraj dla miłości, nie potrafiłem wykrzesać z siebie oburzenia, którego domagali się moi przełożeni. Szef nie był taki głupi, przenosząc mnie do sekcji Inkwizycji.

Maggs, mój niesympatyczny kryptożurnalista, usiłował skłonić Smileya do wypowiedzi na temat amoralnego charakteru naszej pracy. Chciał od niego usłyszeć, że wszystko jest dozwolone, dopóki udaje nam się zachować bezkarność. Chciał to usłyszeć, gdyż był nie tylko źle wychowany, lecz również bezwzględny i życzyłby sobie znaleźć w naszej pracy coś w rodzaju licencji na odrzucenie niewielu skrupułów, które mu pozostały.

Ale Smiley nie dał mu tej satysfakcji. Początkowo sprawiał wrażenie, że zaraz się zdenerwuje, na co po cichu liczyłem. Jeśli nawet tak było, zdołał się opanować. Zaczął mówić, ale przerwał i zawahał się, co dało mi do myślenia. Czyżby nadeszła pora, żeby zakończyć spotkanie? Lecz odetchnąłem z ulgą, gdyż Smiley szybko wziął się w garść - wiedziałem, że rozproszyło go jedynie jakieś wspomnienie, jedno z tysiąca, które tworzyły jego „ja” szpiega.

- Widzicie - zaczął, odpowiadając jak miał w zwyczaju bardziej ogólnikowo niż szczegółowo - w wolnym społeczeństwie jest bardzo ważne, aby ludzie wykonujący naszą pracę pozostali buntownikami. To prawda, że musimy jeść z jednej miski z diabłem i nie zawsze możemy się od niego uwolnić. I jak wszyscy wiemy - kpiące spojrzenie w stronę Maggsa wywołało falę pełnego wdzięczności śmiechu - diabeł często stanowi lepsze towarzystwo od pobożnych, prawda? Mimo to nasza obsesja na punkcie dobra nie opuszcza nas. Egoizm jest ograniczający. Tak jak oportunizm. - Znowu przerwał, zatopiony głęboko w myślach. - Chcę tylko powiedzieć, że jeśli od czasu do czasu staniecie przed pokusą humanitarnego czynu, mam nadzieję, że ulegniecie jej. Nie stwierdzicie, że jest ona przejawem słabości.

Spinki do mankietów, pomyślałem w przeblysku natchnienia. George przypomina sobie staruszka.

Bardzo długo nie mogłem pojąć, dlaczego historia ta prześladowuje mnie. Wreszcie zrozumiałem, że wydarzyła się w okresie, kiedy moje stosunki z synem Adrianem sięgnęły dna. Mówił, że nie zamierza zawracać sobie głowy studiami, tylko znajdzie dobrze płatną pracę. Jego niepokój odczytałem jako materializm, a dążenie do niezależności jako lenistwo. Któregoś wieczora wpadłem w złość i zwymyślałem go, po czym przez kilka tygodni słusznie wstydziłem się za siebie. Właśnie wtedy trafiłem na tę historię.

Przypomniałem sobie również, że Smiley nie ma dzieci, co być może tłumaczyło jego dwuznaczną rolę w całej sprawie. Nieco zmroziła mnie myśl, że wypełniał w sobie jakąś pustkę, próbując naprawić związek, którego nigdy nie zaznał.

Zaledwie kilka dni po odkryciu starych dokumentów otrzymałem anonim denuncjujący biednego Frewina jako radzieckiego szpiega. I że między Frewinem i staruszką istniały jakieś tajemnicze koligacje, mające związek z dozgonnym przywiązaniem i zaginionymi światami. O wszystkim tym wspominam dla nakreślenia kontekstu, gdyż jeszcze nigdy nie spotkałem się z przypadkiem, który nie wiązałby się z setką innych.

Nie mogę też przeoczyć faktu, że i tym razem - jak wielokrotnie w moim życiu - Smiley okazał się moim prekursorem. Bowiem gdy tylko zasiadłem za nieprzyjaznym biurkiem w sekcji Inkwizycji, wszędzie natykałem się na jego ślady: w naszych zakurzonych archiwach, w zdezaktualizowanych dziennikach oficerów dyżurnych i w rozrzewnionych uśmiechach starszych sekretarek, które mówiły o nim z przesłodzonym podziwem leciwych westalek, trochę jak o Bogu, trochę jak o pluszowym

misiu i trochę - choć zawsze szybko prześlizgiwały się nad tym aspektem jego natury - jak o rekinie. Pokazywały nawet porcelanową filiżankę ze spodeczkiem zakupioną na South Audley Street - gdzieżby indziej? - prezent dla George'a od Ann, wyjaśniały tkliwie, przekazany później Inkwizycji po zrehabilitowaniu go w Centrali. I oczywiście z filiżanki Smileya - jak ze świętego Graala - nie mógł pić zwykły śmiertelnik.

Inkwizycja, jeśli jeszcze się nie domyśliliście, była Syberią służb wywiadowczych, a Smiley, co odkryłem z ulgą, przeżył nie jedno zesłanie, a dwa. Najpierw dlatego, że miał czelność zasugerować Piątemu Piętru, że karmi na swym łonie moskiewskiego „kreta”, a drugi raz kilka lat później, kiedy okazało się, że miał rację. Inkwizycja charakteryzowała sienie tylko syberyjską monotonią, lecz również miała coś z jej pustki. Była bowiem usytuowana nie w głównym budynku, lecz w szeregu przestronnych biur parteru gmachu na Northumberland Avenue, na północnym krańcu Whitehall.

I tak jak wiele innych okolicznych budynków, siedziba sekcji Inkwizycji miała już czasy świetności za sobą. Została założona w czasie drugiej wojny światowej, żeby przyjmować dary obcych, wysłuchiwać ich podejrzeń, uspakajać ich obawy i - jeśli rzeczywiście natknęli się na coś poważnego - zbałamucić ich lub zastraszyć, żeby milczeli.

Jeśli wydawało ci się, że późno w nocy zauważyłeś sąsiada ślęczącego nad nadajnikiem radiowym; jeśli widziałeś dziwne światła migające z okna i wstydziłeś się lub nie ufałeś miejscowemu posterunkowi policji; jeśli tajemniczy obcokrajowiec z autobusu, który wypytywał cię o pracę, pojawił się nagle przy tobie w miejscowym pubie; jeśli twoja kochanka wyznała ci - przez samotność, brawurę lub desperacką potrzebę przekonania cię, że jest bardziej interesująca - że pracuje dla niemieckiego wywiadu, wówczas po korespondencji z pewnym fikcyjnym asystentem jakiegoś nieznanego podsekretarza w Whitehall, niewykluczone, że zostałbyś wezwany i nie bacząc na naloty, znalazłbyś się na obłożonym workami z piaskiem korytarzu z odłóżką farbą na ścianach i został doprowadzony do pokoju 909, gdzie jakiś tam major lub kapitan, obydwaj autentyczni jak trzydolarowe banknoty, uprzejmie poprosiliby cię, żebyś zrelacjonował swoją sprawę szczerze, nie obawiając się niczego.

I od czasu do czasu, co rejestruje tajna historia Inkwizycji, z tak nijakich początków rodziły się wielkie rzeczy i rodzą sporadycznie do dzisiaj, choć ruch w interesie nie da się porównać z tym, co było kiedyś. Sekcja Inkwizycji zajmuje się obecnie głównie takimi sprawami, jak dobrowolne oferty współpracy, anonimowe denuncjacje, jak ta wymierzona przeciw biednemu Frewinowi, a nawet - żeby wspomóc pogardzane służby bezpieczeństwa - prośby o przeprowadzenie kolaudacji, które stanowią najgorszą z możliwych Syberii, największe oddalenie od ekscytujących operacji Naszej Rosji, jakie można sobie wyobrazić, bez całkowitego opuszczenia służby.

Mimo to pobyt na tym wygnaniu uczy czegoś więcej niż tylko pokory. Oficer wywiadu jest niczym, jeśli stracił chęć słuchania, a George Smiley, pulchny, posępny, zdradzony przez żonę, skromny, niezmordowany George, który wiecznie czyści krawatem szkła okularów, mruczy pod nosem i wzdycha w niezmiennym roztargnieniu, był najlepszym słuchaczem ze wszystkich.

Smiley słuchał przymrużonymi, zaspanymi oczami, postawą swego misiówatego ciała, bezruchem i pełnym zrozumienia uśmiechem. Potrafił słuchać, ponieważ z jednym wyjątkiem, którym była jego żona Ann, niczego nie oczekiwał od drugiego człowieka, niczego nie krytykował, przebaczał, zanim jeszcze ktoś zdążył wyznać mu swój grzech. Potrafił słuchać lepiej niż mikrofon, ponieważ jego umysł natychmiast wychwytywał rzeczy najbardziej istotne; zdawało się, że zauważał je, nie wiedząc jeszcze, dokąd go zaprowadzą.

Całe lata przed moim zesłaniem do Inkwizycji George stał się słuchaczem niejakiego Arthura Wilfreda Hawthorne'a, zamieszkałego przy The Dene 12 w Ruislip. Stało się to w tym samym pokoju

909, w którym siedziałem teraz ja, z zaciekawieniem przewracając poźółkłe strony dokumentu oznaczonego napisem „Do zniszczenia”. Wydobyłem go z półek skarbcza Inkwizycji.

Swoje zadanie rozpocząłem leniwie - żeby nie powiedzieć lekceważąco - tak jak ktoś zabiera się w czytelnicy za stary numer „Tatlera”. Lecz nagle uzmysłowiłem sobie, że mam do czynienia z całymi stronicami znanego mi drobnego pisma Smileya z charakterystycznymi spiczastymi małymi „t” i zakręconymi „e”, podpisanymi jego legendarnym symbolem. Kiedy musiał osobiście pojawić się na scenie - a zawsze robił wszystko, co w jego mocy, żeby uniknąć tych katuszy - korzystał ze skrótu „OD” - oficer dyżurny, choć nie cierpiał używać inicjałów. I tym razem dawała o sobie znać jego natura samotnika, żeby nie powiedzieć uciekiniera. Gdybym odnalazł nieznany manuskrypt Szekspira, nie byłbym tak bardzo podniecony. Było tam wszystko: oryginalny list Hawthorne’a, teksty nagranych przesłuchań, parafowane przez samego Smileya, nawet podpisane przez Hawthorne’a pokwitowania odbioru pieniędzy na podróż i nieprzewidziane wydatki.

Otrząsałem się z marazmu. Nie przeszkadzało mi już zesłanie ani cisza wielkiego pustego gmachu, na który zostałem skazany. Towarzyszył mi George. Czekałem tylko na stukot obcasów lojalnego Arthura Hawthorne’a, który maszerował korytarzem na spotkanie ze Smileym.

„Szanowny Panie”, napisał do Oficera kierującego Wywiadem w Ministerstwie Obrony. I od razu, ponieważ jesteśmy Brytyjczykami, jego klasa odbijała się w charakterze pisma - choćby tylko poprzez wielkopańskie użycie wielkich liter, tak uwielbianych przez ludzi niedokształconych. Wyobraziłem sobie, że wiele wysiłku włożył w kaligrafię i że zapewne pod ręką leżał słownik. „Szanowny Panie, łaskawie proszę o spotkanie z przedstawicielem Waszego Personelu w sprawie osoby, która wykonywała Specjalne Zadania dla Brytyjskiego Wywiadu na najwyższym szczeblu, a której imię jest tak ważne dla mnie i mej Małżonki, jak może okazać się dla Łaskawych Państwa, w związku z czym nie wolno mi wymienić Go w tym liście”.

To wszystko. Podpisano „Hawthorne, A.W, oficer w stanie spoczynku”. Innymi słowy Arthur Wilfred Hawthorne, jak wykazały poszukiwania Smileya, kiedy zajrzał do list wyborczych, a następnie do dokumentów Ministerstwa Wojny. Urodzony w tysiąc dziewięćset piętnastym, zapisał mozolnie Smiley na arkuszu danych osobowych Hawthorne’a. Wstąpił do wojska w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym, służył w Ósmej Armii, z którą przeszedł od Egiptu do Włoch. Były starszy sierżant Arthur Wilfred Hawthorne, dwukrotnie ranny na polu bitwy, trzy pochwały i jeden medal za odwagę, zdemobilizowany bez plany na opinii, „najwspanialszy przykład najlepszego żołnierza na świecie”, napisał jego dowódca w entuzjastycznej, choć nieco egzaltowanej pochwalce.

I wiedziałem, że Smiley, prawdziwy zawodowiec, długo przed nadejściem swego klienta zajął miejsce - tak jak ja przez ostatnie miesiące - przy tym samym wytartym żółtym stole z sosny pamiętającym czasy wojny, z przypaloną na brązowo krawędzią - według legendy przez Niemca; z tym samym starym telefonem z literami oprócz cyfr na tarczy; z tym samym ręcznie kolorowanym zdjęciem dwudziestoletniej królowej na koniu. Widzę, jak George marszczy brwi w zamyśleniu, spogląda na zegarek, robi skwaszoną minę, rozglądając się po pokoju, gdzie jak zwykle panował bałagan, gdyż odkąd sięgnąć pamięcią zawsze trwała wojna między Ministerstwem i nami, kto ma tam sprzątać. Widzę, jak wyciąga z rękawa chusteczkę - znów mozolnie, gdyż żaden gest nie przychodził George’owi bez wysiłku - i wyciera kurz z siedziska swego drewnianego krzesła, po czym robi to samo dla Hawthorne’a po drugiej stronie biurka. Podobną przysługę oddaje królowej, ustawiając prosto ramkę i przywracając blask jej młodemu, niewinnym oczom, co i mnie zdarzyło się kilkakrotnie.

Wydaje mi się, że George już wtedy - jak każdy dobry oficer wywiadu - liczył się z opinią swego

gościa. W końcu były starszy sierżant będzie oczekiwał jakiegoś porządku. Widzę też samego Hawthorne'a, punktualnego co do minuty, wprowadzonego do pokoju przez woźnego. Ma na sobie najlepszy garnitur zapięty jak mundur, wypastowane czubki butów świecą się jak kasztany w mroku. Sporządzony przez Smileya opis jego osoby był zdawkowy, lecz konkretny: wzrost metr siedemdziesiąt, krótko przystryżone siwe włosy, gładko ogolony, staranny w ubiorze, wojskowa postawa. Inne cechy: tuszowane utykanie na lewą nogę, wojskowe buty.

- Hawthorne, sir - szczechnął i stanął na baczność, a Smiley z trudnością namówił go, żeby usiadł.

Smiley był tego dnia majorem Nottingham i na potwierdzenie tego miał imponującą wizytówkę ze zdjęciem. Czytając jego raport z tej sprawy, trzymam w kieszeni podobną wizytówkę na nazwisko pułkownika Neda Ascota. Nie pytajcie, dlaczego akurat Ascot. Mogę tylko powiedzieć, że wybierając nazwę geograficzną, znów nieświadomie skopiowałem jeden z niewinnych nawyków Smileya.

- Z którego jest pan pułku, jeśli mogę zapytać? - zapytał Hawthorne Smileya, kiedy usiadł.

- Z poboru powszechnego, obawiam się - odparł Smiley, gdyż tylko w ten sposób mogliśmy odpowiadać.

Ale jestem pewien, że Smileyowi z trudem przyszło opisywanie siebie jako żołnierza gorszej kategorii. Mnie też byłoby ciężko.

Na dowód swej lojalności Hawthorne przyniósł woreczek z medalami. Smiley uprzejmie obejrzał je wszystkie.

- Chodzi o naszego syna - wyznał starszek. - Muszę was zapytać. Żona... ona nie chce już o tym słyszeć i mówi, że to stek bzdur. Ale powiedziałem jej, że muszę was zapytać. Nawet jeśli odmówicie mi odpowiedzi, powiedziałem, gdybym o niego nie zapytał, nie wypełniłbym swego ojcowskiego obowiązku.

Smiley nic nie mówił, ale jestem pewien, że milczał życzliwie.

- Ken to nasz jedyny syn, więc, panie majorze, to chyba normalne - dodał Hawthorne przepraszająco.

Smiley nadal pozwalał mu mówić bez przeszkód. Czyż nie mówiłem, że jest dobrym słuchaczem? Smiley potrafił wyciągnąć odpowiedzi na pytania, których nie zadał, tylko dzięki szczeroci swego skupienia.

- Nie prosimy o wydanie żadnych tajemnic, panie majorze. Nie prosimy o rzeczy niemożliwe. Ale pani Hawthorne niedomaga i przed śmiercią chce wiedzieć, czy to prawda. - Przygotował sobie dokładnie pytanie. Teraz je zadał. - Czy nasz chłopak, Ken, podczas swej rzekomo kryminalnej działalności pracował dla was na terenie wroga w Rosji?

I w tym miejscu można powiedzieć, że znajdowałem się na lepszej pozycji od Smileya, gdyż po pięciu latach w Naszej Rosji miałem niezłe pojęcie o operacjach prowadzonych przez nas w przeszłości. Poczulem, jak na twarz wypływa mi uśmiech, a moje zainteresowanie tym przypadkiem wzrosło jeszcze bardziej.

Ale na twarz Smileya, jestem tego pewien, nie wypłynęło zupełnie nic. Wyobrażam sobie jego rysy, zastygłe w mandaryńskim bezruchu. Być może bawił się okularami, które zawsze sprawiały wrażenie, że należą do znacznie postawniejszego mężczyzny. Wreszcie zapytał Hawthorne'a - ale poważnie, bez cienia sceptycyzmu - skąd ma takie informacje.

- Ken mi powiedział, proszę pana, oto cała tajemnica. - Po stronie Smileya ciągle nic, tylko niezmienna życzliwość. - Widzi pan, żona nie chciała odwiedzać Kena w więzieniu. Ja to robiłem. Co miesiąc. Odsiadywał pięć lat za poważne uszkodzenie ciała i trzy za recydywę. Mieliśmy w tamtych czasach AP, areszt prewencyjny. Więc siedzę sobie w więziennej stołówce, ja i Ken,

siedzimy razem przy stole. Nagle Ken przysuwa do mnie blisko głowę i mówi mi tym swoim niskim głosem: „Nie przychodź tu więcej, tato. Trudno mi to powiedzieć. Widzisz, tak naprawdę nie trzymają mnie w więzieniu. Jestem w Rosji. Musieli mnie specjalnie sprowadzić z powrotem, żebyś mógł mnie zobaczyć. Działam na ich terenie, ale nie mów mamie. Pisz do mnie: to żaden problem, bo listy przekazują. Będę pisał, jakbym nadal tu siedział. Udaję, że jestem w więzieniu, bo nie ma lepszego kamuflażu. Ale prawda jest taka, tato, że służę naszej ojczyźnie tak jak ty, kiedy walczyłeś z pustynnymi szczurami, a najlepsi spośród nas są wysyłani na ziemię wroga”. Później nie prosiłem o wizyty u syna. Czułem, że muszę wypełnić rozkazy. Napisałem do niego oczywiście. Do więzienia. Hawthorne i jego numer. Trzy miesiące później odpisał na więziennym papierze. Za każdym razem zmieniał charakter pisma. A to sadył wielkie, ciężkie litery, jak gdyby się złościł, innym znów razem litery były drobne i niestaranne, jak gdyby nie miał czasu. Czasem w liście pojawiała się parę obcych słów, których nie rozumiałem. Zwykle skreślał je, jak gdyby miał problemy z ojczystym językiem. Czasem przemyślał mi zawołaną wiadomość. „Jestem zmarznięty, ale bezpieczny”, pisał. Albo: „W zeszłym tygodniu ćwiczyłem więcej, niż było trzeba”. Nie mówiłem nic żonie, bo mi zabronił. Poza tym i tak by mu nie uwierzyła. Kiedy podawałem jej listy, odtrącała je - za bardzo cierpiała. Ale kiedy Ken zginął, poszliśmy obejrzeć jego zmasakrowane ciało w więziennej kostnicy. Dwadzieścia ran kłutych, winowajca nieznany. Nie płakała, nigdy nie płacze, ale na pewno czuła się, jakby to ją zasztytowało. I kiedy wracaliśmy autobusem do domu, nie wytrzymałem. „Ken jest bohaterem”, powiedziałem jej. Próbowałem ją obudzić, bo zachowywała się, jakby była z drewna. Chwyliłem ją za rękaw i trochę potrząsałem, żeby mnie wysłuchała. „Nie był żadnym śmierzącym kryminalistą - powiedziałem. - Nie nasz Ken. Nigdy. A zginął też nie z rąk kryminalistów. Tylko radzieckich komunistów”. Powiedziałem jej też o spinkach do mankietów. „Ken fantazjował - odparła. - Zawsze to robił. Nigdy nie potrafił odróżnić rzeczywistości od fantazji i to był jego problem”.

Osoby przesłuchujące, tak jak księża i lekarze, mogą skorzystać ze szczególnego wybiegu, kiedy chcą ukryć swe uczucia. Mogą zadać następne pytanie, co ja sam bym w tej sytuacji zrobił.

- Jakie spinki, starszy sierżancie? - zapytał Smiley i widzę, jak opuszcza ciężkie powieki i chowa w ramionach głowę, przygotowując się do wysłuchania dalszej części opowieści starego żołnierza.

- „Tato, my nie dostajemy medali - mówi mi Ken. - Medale byłyby niebezpieczne. Żeby dostać medal, trzeba ogłosić nominację w prasie, zbyt wielu by się dowiedziało. Inaczej dostałbym medal tak jak ty. Jeśli mam być szczery, może nawet lepszy, coś w rodzaju Krzyża Wiktorii, ponieważ nieźle nas wykorzystują, czasem pracujemy ponad siły. Ale jeśli dobrze wykonujesz zadania, zdobywasz spinki do mankietów, które trzymają w specjalnym sejfie. I raz do roku wyprawiają uroczystą kolację, nie mogę ci powiedzieć gdzie, z szampanem, kelnerami, nie uwierzyłbyś, i zapraszają nas wszystkich, chłopców z Rosji. Zakładamy więc zamiast mundurów smokingi i spinki do mankietów. No i jest przyjęcie, nie mogę ci powiedzieć gdzie: przemówienia, powitania, jak podczas specjalnej inwestytury, chyba to samo, co ty miałeś, kiedy przyznawano ci medal. A po przyjęciu oddajemy spinki. Musimy, ze względów bezpieczeństwa. Więc jeśli kiedyś zaginę lub jeśli coś mi się stanie, po prostu napisz do tajnych służb i zapytaj o rosyjskie spinki dla twojego Kena. Może powiedzą, że nigdy o mnie nie słyszeli, może powiedzą: jakie spinki? Ale może zrobią wyjątek i oddadzą ci je, bo czasem to robią. A jeśli tak się stanie, wtedy będziecie wiedzieć, że wszystko, co zrobiłem złego, było tak naprawdę dobre - lepsze, niż moglibyście sobie kiedykolwiek wyobrazić. Bo jestem synem takiego ojca, absolutnie, a dowodem tego będą spinki. Nic więcej nie mówię, bo i

tak powiedziałem za dużo”.

Smiley zapytał najpierw o pełne nazwisko chłopaka. Następnie o datę urodzenia, wykształcenie i kwalifikacje, jak się okazało, bardzo mizerne. Widzę, jak spokojnie i metodycznie zapisuje szczegóły: Kenneth Branham Hawthorne - Branham, informował go stary żołnierz, to panińskie nazwisko jego żony. Czasem korzystał z niego w domniemanej działalności przestępczej - urodzony w Folkestone czternastego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego, dwanaście miesięcy, proszę pana, po moim powrocie z wojny. Nie chciałem dziecka wcześniej, chociaż żona chciała. Uważałem, że to nie byłoby w porządku. Chciałem, żeby chłopak dorastał w czasach pokoju i żeby miał oboje rodziców, majorze. Każde dziecko ma do tego prawo, choć teraz nie jest to tak powszechne, jak być powinno.

Kolejne zadanie Smileya nie było wcale takie łatwe, choć historia Kennetha Hawthorne'a wydawała się nieprawdopodobna. Smiley nigdy nie odmawiał dobremu człowiekowi, a czasem nawet złemu, szansy zweryfikowania choćby najbardziej wątpliwych zeznań. Cyrk w tamtym okresie nie miał centralnego indeksu współpracowników, a namiastka takiego spisu była haniebnie i często celowo niekompletna, gdyż rywalizujące ze sobą grupy zazdrośnie strzegły swych źródeł informacji i gdy tylko nadarzała się okazja, pasożytowały na zdobyczach innych.

To prawda, że historia starego wiarusa aż roiła się od nieprawdopodobieństw. Groteskowy był pomysł, że grupa tajnych agentów spotyka się na dorocznej kolacji, łamiąc w ten sposób najbardziej elementarną zasadę dyskrecji. Ale w anarchicznym świecie jednostek nieregularnych zdarzały się gorsze rzeczy, z czego Smiley zdawał sobie sprawę. Wykorzystał całą swoją pomysłowość i dar perswazji, żeby zdobyć pewność, iż nazwisko Hawthorne'a nie figuruje nigdzie: nie był ani „biegaczem”, ani „lampiarzem”, ani „łowcą skalpów”, ani „sygnalistą” i nie należał do żadnej innej grupy, których sfrustrowani członkowie wyobrażają sobie, że takimi nazwami przydadzą sobie szyku.

Kiedy wyczerpał źródła dotyczące jednostek nieregularnych, zabrał się za służby zbrojne, służby bezpieczeństwa i królewską policję ulsterską, gdzie brutalny przestępca pokroju Kena Hawthorne'a mógł znaleźć zatrudnienie - choć na dużo skromniejszych warunkach, niż to opisywał.

Przynajmniej jedna rzecz wydawała się pewna: przeszłość kryminalna chłopaka była koszmarna. Trudno byłoby sobie wyobrazić bardziej ponury zapis notorycznego i często bestialskiego zachowania. Studiując dokładnie historię młodzieńca: od dzieciństwa do wieku dojrzewania, od poprawczaka do więzienia, wydawało się, że nie ma takiego wykroczenia - od kradzieży po sadystyczne ataki - do którego nie zniżyłby się Kenneth Branham Hawthorne, urodzony w Folkestone w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym. Po całym tygodniu badań Smiley niechętnie przyznał się przed samym sobą do czegoś, o czym gdzieś w głębi duszy musiał wiedzieć od początku. Kenneth Hawthorne, z jakichś smutnych przyczyn, był zatwardziałym, notorycznym przestępcą. Na śmierć, która dosięgła go z rąk współwięźniów, na pewno sobie zasłużył. Jego historia była spisana i zakończona, a opowiadki o bohaterskich wyczynach w jakiejś mitycznej służbie wywiadowczej stanowiły jedynie ostatni rozdział w trwających całe życie próbach zdyskredytowania wojennej chwały ojca.

Był środek zimy. Tego paskudnego słotnego wieczora ściągnięto starego wiarusa z drugiego końca Londynu do surowej sali przesłuchań w Whitehall. A Whitehall w skąpym oświetleniu tamtych dni nadal przypominał wojenną cytadelę, mimo iż jej działa znajdowały się już gdzie indziej. Było to miejsce po wojskowemu surowe, bezlitosne i przygniatające. Miejsce cichych głosów, zaciemnionych okien, rzadkich i pospiesznych kroków i spuszczonej oczu. Smiley również

uczestniczył w wojnie, jak pamiętacie, nawet jeśli działał na niemieckich tyłach. Mogę sobie wyobrazić odgłosy parafinowego piecyka, którym Cyrk z niechęcią zgodził się uzupełnić niesprawne ministerialne kaloryfery. Przypominają odgłosy nadajnika radiowego obsługiwane zamarzniętą ręką.

Hawthorne nie przybył sam, żeby wysłuchać odpowiedzi majora Nottinghama. Stary żołnierz zabrał ze sobą żonę i mogę wam nawet opisać, jak wyglądała, gdyż Smiley nie pominął jej w swym dzienniku, a moja wyobraźnia domalowała resztę.

Miała zgarbione, schorowane ciało, odziane w najlepsze niedzielne ubrania. Nosila broszkę ze wzorem skopiowanym z pułkowej odznaki męża. Smiley zaproponował, żeby usiadła, ale wolała wesprzeć się na ramieniu męża. Smiley stał po drugiej stronie biurka, tego samego przypalonego, pożółkłego biurka, przy którym przez ostatnie miesiące wiodłem żywot zesłańca. Widzę, jak stoi niemal na baczność, nienaturalnie prostując zaokrąglone ramiona, z serdelkowatymi palcami zakrzywionymi na szwach spodni w tradycyjny wojskowy sposób.

Ignorując panią Hawthorne, zwrócił się do starego żołnierza, jak mężczyzna do mężczyzny.

- Rozumie pan, że nie mam panu zupełnie nic do powiedzenia, starszy sierżancie?

207

- Rozumiem, majorze.

- Nigdy nie słyszałem o pańskim synu, rozumie pan? Kenneth Hawthorne nie jest znany ani mnie, ani żadnemu z moich kolegów.

- Tak jest, majorze. - Jak podczas apelu wzrok staruszka utkwiał w jednym punkcie nad głową Smileya. Lecz jego żona przez cały czas badawczo przyglądała się oczom George'a, choć nie było to łatwe, zważywszy na grube szkła jego okularów.

- Nigdy nie pracował dla żadnej z brytyjskich organizacji rządowych, tajnych czy jawnych. Przez całe życie był tylko przestępcą. Nikim więcej. Zupełnie nikim.

- Tak jest, majorze.

- Z całą mocą zaprzeczam, jakoby kiedykolwiek był tajnym agentem w służbie Jej Królewskiej Mości.

- Tak jest, majorze.

- Rozumie pan też, że nie mogę odpowiedzieć na żadne pytanie, ani udzielić jakichkolwiek wyjaśnień i że już nigdy nie zostanie pan przyjęty w tym budynku?

- Tak jest, majorze.

- Wreszcie musi pan zrozumieć, że nikomu nie wolno wspominać panu o naszej rozmowie. Jakkolwiek byłby pan dumny z syna. Rozumie pan, że żyją inni, których należy chronić?

- Tak jest, majorze. Rozumiem.

Otwierając szufladę biurka, Smiley wyjął małe pudełko od Cartiera i wręczył je staruszkowi.

- Znalazłem to w sejfie - powiedział.

Staruszek podał pudełko żonie, nie patrząc na nie. Wprawnym ruchem otworzyła je. W środku leżała para wspaniałych złotych spinek do mankietów z wprawioną dyskretnie w rogu maleńką angielską różą - ręczna robota, prawdziwe cacuszko. Staruszek wciąż odwracał wzrok. Być może nie musiał patrzeć; może nie ufał sobie. Pani Hawthorne zamknęła pudełko i wsunęła je do wytartej torebki. Zatrzasnęła ją tak głośno, że można by pomyśleć, iż zamyka wieko nad trumną syna. Przesłuchałem taśmę; ją też czeka zniszczenie.

Staruszek nie odezwał się już ani słowem. Kiedy wychodzili, byli zbyt szczęśliwi, żeby zwracać uwagę na Smileya.

A spinki? - zapytacie. Skąd Smiley wytrzasnął te spinki? Odpowiedzi nie znalazłem wśród żółknących akt z pokoju 909. Uzyskałem ją od samej Ann Smiley - całkiem przypadkowo pewnego wieczoru we wspinałym komwalijskim zamku niedaleko Saltash, gdzie oboje akurat gościliśmy. Ann była sama, sprawiała wrażenie nawróconej grzesznicy. Mabel pojechała na turniej golfowy. Minęło dużo czasu od romansu Ann z Billem Haydonem, ale Smiley wciąż nie mógł znieść jej towarzystwa. Kiedy kolacja dobiegła końca, goście zbili się w grupki, lecz Ann krążyła blisko mnie. Przypuszczałem, że w ten sposób próbowała sobie zrekompensować brak George'a. Zapytałem jąna wpół odruchowo, czy kiedyś podarowała George'owi spinki do mankietów. Ann zawsze wyglądała najpiękniej, kiedy była sama.

- Ach, tamte - powiedziała, jakby z trudem coś sobie przypominając. - Chodzi ci o spinki, które dał temu staruszkowi.

Ann wyjaśniła mi, że podarowała je George'owi w pierwszą rocznicę małżeństwa. Kiedy zdradziła go z Billem, postanowił, że zrobi z nich lepszy użytek.

Ale właściwie dlaczego George podjął taką decyzję, zastanawiałem się.

Początkowo wszystko wydawało mi się jasne. Smiley miał swój czuły punkt. Stary wojownik zimnej wojny odkrył przed nami szlachetne serce.

Jak zwykle w przypadku George'a - być może.

Albo może był to akt zemsty na Ann? Albo na Cyrku, jego drugiej zawiedzionej miłości, za to, że Piąte Piętro trzymało go na zesłaniu?

Stopniowo wypracowałem jednak nieco inną teorię, którą właściwie mogę wam zdradzić, gdyż jedno wiem na pewno: sam George nigdy nas nie oświeci.

Słuchając starego wiarusa, Smiley rozumiał, że oto nadarza się jedna z tych rzadkich okazji, kiedy służba wywiadowcza może naprawdę dać coś zwykłym ludziom. Choć raz mógł skorzystać ze szpiegowskiej mitologii nie po to, żeby zakamuflować kolejny przypadek niekompetencji czy zdrady, lecz żeby nie odbierać marzeń parze starych ludzi. Choć raz mógł spojrzeć na operację wywiadowczą i stwierdzić z pełnym przekonaniem, że się powiodła.

- Niektóre przesłuchania - powiedział Smiley, wpatrzony w roztańczone płomienie w kominku - nie są wcale przesłuchaniem, lecz porozumieniem zranionych dusz.

Wcześniej mówił o spotkaniu z moskiewskim arcyczpiegiem o pseudonimie Karla, którego zmusił do zdrady. Ale dla mnie mówił tylko o biednym Frewinie, o którym, o ile wiem, nigdy nie słyszał.

List denuncjujący Frewina jako radzieckiego szpiega wylądował na moim biurku w poniedziałek wieczorem: wysłany w piątek pierwszą klasą z południowo-zachodniego Londynu, otwarty w Archiwum Centrali w poniedziałek rano i oznaczony przez dyżurnego asystenta notką „do wglądu przez SSI”. Ten dziwaczny skrót oznaczał Szefa Sekcji Inkwizycji, czyli mnie, a zdaniem niektórych powinno się go odczytywać jako Syberyjską Sekcję Inkwizycji. Zanim zielona furgonetka z Centrali wylądowała tę skromną przesyłkę na Northumberland Avenue, minęła siedemnasta, a w Inkwizycji panował zwyczaj, że tak późnymi dostawami zajmowano się następnego dnia. Ja jednak próbowałem wprowadzić radykalne zmiany, a zresztą nie miałem nic lepszego do roboty, więc natychmiast otworzyłem kopertę.

Do listu dołączono dwie różowe karteczki z zapisanymi ołówkiem uwagami. Uwagi Centrali dla personelu Inkwizycji zawsze miały charakter poleceń skierowanych do idioty.

Pierwsza z nich informowała: „FREWIN C, prawdopodobnie FREWIN Cyril Arthur, szyfrant z MSZ” i odnotowywała pozytywne przejście przez niego kolaudacji oraz czyste konto. W ten subtelny sposób dawano mi do zrozumienia, że do tej pory niczego mu nie zarzucano. W drugiej notatce zapisano: „MODRIAN S, prawdopodobnie MODRIAN Siergiej”, po czym zamieszczono całą listę adnotacji, którymi nie zawracałem sobie głowy. Po pięciu latach w Naszej Rosji Siergiej Modrian był dla mnie jak i dla całej reszty po prostu Siergiejem, starym Siergiejem, sprytnym Ormianinem, szefem aż nadto licznej gromady radzieckich szpiegów, rezydujących w radzieckiej ambasadzie w Londynie.

Jeśli nawet miałbym chęć przełożenia lektury listu na jutro, straciłbym ją natychmiast widząc nazwisko Siergieja. List mógł być stekiem bzdur, ale znajdowałem się na znanym terytorium.

Do szefa Departamentu Bezpieczeństwa Ministerstwo Spraw Zagranicznych Downing Street, SW.
Szanowny Panie

Pragnę Pana poinformować, że niejaki C. Frewin, szyfrant w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, który posiada stały i regularny dostęp do ściśle tajnych informacji, od czterech lat potajemnie spotyka się z S. Modrianem, pierwszym sekretarzem radzieckiej ambasady w Londynie, czego nie ujawnia w corocznym raporcie kolaudacyjnym. Doszło do przekazania tajnych materiałów. Miejsce pobytu pana Modriana nie jest obecnie znane, z uwagi na fakt, że niedawno został wezwany do Związku Radzieckiego. Wspomniany Frewin nadal zamieszkuje w Chestnuts, Beavor Drive, Sutton, gdzie przynajmniej jeden raz odwiedził go Modrian. C. Frewin prowadzi obecnie szalenie samotniczy tryb życia.

Z poważaniem C. Patriota

Napisany na maszynie elektrycznej. Zwykły biały papier formatu A4 bez znaków wodnych. Opatrzony datą, z nadmiarem znaków interpunkcyjnych i bezbłędną ortografią, starannie złożony. Bez adresu nadawcy. Jak zwykle.

Nie mając nic innego do roboty tego wieczora, wypilem kilka drinków w pubie, po czym przespacerowałem się do Centrali, zapisałem do czytelni Archiwum i wypożyczyłem akta. Nazajutrz o dziesiątej rano w godzinach przyjęć zasiadłem w poczekalni Burra, ale najpierw przeliterowałem swe nazwisko wymuskaniej asystentce, która najwyraźniej nigdy o mnie nie słyszała. Przede mną w kolejce był Brock z placówki moskiewskiej. Do momentu, aż wywołano jego nazwisko, rozmawialiśmy z przejęciem o krykcie i udało nam się jakoś nie nawiązać do faktu, że Brock pracował dla mnie w Naszej Rosji, ostatnio przy sprawie Blaira. Kilka minut później przywiało Petera Guillama, który ścisnął pod pachą plik akt i wyglądał na skacowanego. Niedawno został szefem sekretariatu Burra.

- Pozwolisz, stary, że wcisnę się przed tobą? To pilne. Ten cholerny człowiek chce chyba, żebym pracował też we śnie. Jaki masz problem?

- Trąd - odparłem.

Tylko w naszej służbie - może poza Moskwą - człowiek może stać się nikim w ciągu jednej nocy. W burzliwym okresie, który nastąpił po zdradzie Barleya Blaira, na śliskim pokładzie Piątego Piętra nie utrzymał się nawet poprzednik Burra, bystry Clive. Ostatnio słyszano o nim, kiedy wyjeżdżał z kraju, żeby objąć zaszczytne stanowisko szefa placówki w Gujanie. Tylko nasz tchórzliwy doradca prawny, Harry Palfrey, jak zwykle przetrwał burzę i kiedy wchodziłem do lśniącego biura Burra, Palfrey ukradkiem wymykał się z pokoju innymi drzwiami - ale nie zdążył, więc posłał mi promienny uśmiech. Niedawno zapuścił sobie wąsy, żeby móc wzbudzać większe zaufanie.

- Ned! Cudownie! Musimy w końcu pójść na ten lunch - wydyszał konspiracyjnym szeptem i zniknął z pola widzenia.

Burr był człowiekiem nowoczesnym, co znalazło odzwierciedlenie w wystroju jego biura. Pozostawało dla mnie tajemnicą, skąd się wziął, ale w końcu przebywałem na zesłaniu. Ktoś mi powiedział, że z reklamy, ktoś inny, że ze środowiska bankowego, ktoś jeszcze, że z sądownictwa. Pewien mądrała z naszego pokoju pocztowego twierdził, że wziął się zupełnie z nikąd. Że taki już się urodził: pachnący wodą po goleniu, emanujący siłą, w dwuczęściowym niebieskim garniturze i lakierkach z klamrami po bokach. Był duży, ruchliwy i zaskakująco młody. Ścisnąłem miękką dłoń i natychmiast puściłem w obawie, że ją zmiażdżę. Na biurku leżała teczka Frewina z moją notatką - napisaną wczoraj późno w nocy - przypiętą do okładki.

- Od kogo jest ten list? - zapytał swym suchym akcentem z północy, zanim zdążyłem usiąść.

- Nie wiem. Jest dobrze poinformowany. Ten, kto to napisał, dobrze się przygotował.

- Pewnie najlepszy przyjaciel Frewina - stwierdził Burr, jak gdyby najlepsi przyjaciele znani byli z pisania donosów.

- Dane dotyczące Modriana zgadzają się, wie o dostępie Frewina do informacji - powiedziałem.

- Wie o rutynowych przesłuchaniach kolaudacyjnych.

- Ale to nic nadzwyczajnego. Nie - jeśli jest się wtajemniczonym. Pewnie kolega. Albo dziewczyna. O co chce mnie pan zapytać?

Nie spodziewałem się tak szybkiego tempa. Po sześciu miesiącach w Inkwizycji odzwyczaiłem się od pośpiechu.

- Muszę wiedzieć, czy mogę zająć się tą sprawą - powiedziałem.

- A dlaczego nie?

- Bo wykracza poza kompetencje Inkwizycji. Frewin jest w bardzo uprzywilejowanej sytuacji. Jego sekcja zajmuje się najdelikatniejszymi sygnałami przychodzącymi do Whitehall. Myślałem, że

będzie pan wolał przekazać sprawę służbie bezpieczeństwa.

- Czemu?

- To ich podwórko. Typowa sprawa dla nich.

- Ale my dostaliśmy cynk, list jest u nas - odparł Burr, nie owijając sprawy w bawełnę, co skrycie ogrzało mi serce. - Do diabła z nimi. Kiedy zorientujemy się, co tu mamy, sami zdecydujemy, co z tym zrobić. Te nadęte bufony myślą tylko o procesach i medalach. Ja zbieram informacje, żeby je maksymalnie wykorzystać. Jeśli Frewin jest trefny, może uda nam się przekabacić go na naszą stronę. Może nawet doprowadzi nas do towarzysza Modriana w Moskwie. Kto to wie? Na pewno nie ci artyści z безпеکی.

- Zatem przypuszczalnie zechce pan przekazać sprawę Naszej Rosji - nie dawałem się przekonać.

- A dlaczego miałbym to robić?

Wydawało mi się, że jestem dla niego mało atrakcyjną figurą, w jego wieku bowiem kojarzy się porażkę z czymś niemoralnym. Tymczasem on zdawał się mnie pytać, dlaczego miałby mi nie zaufać.

- Inkwizycja nie jest upoważniona do działań operacyjnych - wyjaśniłem. - Prowadzimy biuro dla ludności i wysłuchujemy samotnych serc. Nie mamy uprawnień, żeby prowadzić tajne dochodzenia, kierować agentami lub zajmować się podejrzanymi pokroju Frewina.

- Możecie założyć podsłuch telefoniczny, prawda?

- Jeśli zdobędzie mi pan nakaz, owszem.

- Możecie przesłuchiwać obserwatorów, prawda? O ile wiem, robił pan to kilkakrotnie.

- Chyba że otrzymam pańskie osobiste upoważnienie.

- Przypuścmy, że to zrobię. Inkwizycja może również prowadzić przesłuchania kolaudacyjne.

Może pan odegrać rolę protokolanta. Jest pan podobno w tym dobry. To przecież sprawa kolaudacyjna. A Frewina czeka aktualizacja danych, zgadza się? Więc niech go pan skolauduje.

- Do przeprowadzenia kolaudacji Inkwizycja musi zdobyć pozwolenie służby bezpieczeństwa.

- Przypuścmy, że mają pan w kieszeni.

- Nie mogę nic zrobić bez pisemnego potwierdzenia.

- Ależ może pan. Nie jest pan byle agencją. Jest pan wielkim Nedom. Złamał pan już tyle przepisów. Czytałem. Zna pan też Modriana.

- Niezbyt dobrze.

- Jak dobrze?

- Raz byłem z nim na kolacji i raz grałem z nim w squash. Trudno mówić o znajomości.

- Gdzie graliście?

- W Lansdowne.

- Jak do tego doszło?

- Modrian był oficjalnym łącznikiem między Centralą Moskiewską a ambasadą. Próbowałem doprowadzić do transakcji w sprawie Barleya Blaira. Zamianę.

- Czemu się nie udało?

- Barley się nie zgodził. Zawarł już transakcję z samym sobą. Wybrał dziewczynę, nie nas.

- Jak się z nim gra?

- Ciężko.

- Pokonał go pan? - Tak.

Przerwał lawinę pytań, żeby mi się przyjrzeć. Czuję się, jakby oglądało mnie dziecko.

- I poradzi sobie pan, prawda? Nie żyje pan w zbyt dużym stresie? W swoim czasie wiele pan

dokonał. Ma pan też szlachetne serce, czego nie mogę powiedzieć o niektórych półgłówkach, którzy tu pracują.

- Dlaczego miałbym żyć w stresie?

Nie odpowiedział. Na razie. Wyglądał, jakby coś żuł za tłustymi wargami.

- Kto w tych czasach wierzy w małżeństwo, na litość boską? - zapytał. Jego regionalny akcent nawiązywał się. Zupełnie jakby przestał nad sobą panować. - Jeśli chce pan żyć z tą dziewczyną, proszę bardzo. Taka jest moja rada. Sprawdziliśmy ją, nie ma się czym martwić, nie jest terrorystką, fanatyczką czy narkomanką, więc o co chodzi? Jest miłą dziewczyną, prowadzi miłe życie, a pan jest szczęściarzem. Chce pan tę sprawę, czy nie?

Przez chwilę nie byłem w stanie wydusić z siebie odpowiedzi. Nie było nic dziwnego w tym, że Burr wiedział o moim romansie z Sally. W naszym świecie sami wpisujemy taką informację do akt, zanim ktoś zrobi to za nas, i zaliczyłem już obowiązkową spowiedź z Szeferem w konfesjonale. Co mnie ucieszyło, to umiejętność tworzenia przez Burra atmosfery intymności, szybkość, z jaką wczuł się w moją sytuację.

- Jeśli będzie mnie pan krył i udostępni środki, wezmę ją - powiedziałem.

- No to jazda. Proszę mnie informować, ale bez przesady: nie chrzanić, od razu przekazywać złe wiadomości. Ten nasz Cyril jest nijakim człowiekiem. Czytał pan chyba Roberta Musila, prawda?

- Obawiam się, że nie.

Otworzył teczkę Frewina szarpnięciem. Piszę „szarpnięciem”, ponieważ jego ręce wyglądały jak z ciasta i sprawiały wrażenie, że robią wszystko po raz pierwszy: teraz przekonamy się, jak otwiera się teczkę; teraz zabierzemy się za ten dziwny przedmiot nazywany ołówkiem.

- Nie ma hobby, żadnych deklarowanych zainteresowań oprócz muzyki, nie ma żony, dziewczyny, rodziców, problemów finansowych, a nawet nienaturalnych skłonności seksualnych, biedaczek - skarżył się Burr, przewracając hałaśliwie kartki. Zdziwiłem się. Kiedy na miłość boską znalazł czas, żeby to wszystko przeczytać? Doszedłem do wniosku, że późno w nocy. - Jak do diabła człowiek z pańskim doświadczeniem, który w pracy ma do czynienia ze współczesną cywilizacją i jej wadami, radzi sobie bez mądrości Roberta Musila? W spokojniejszej chwili zażądam od pana odpowiedzi na to pytanie. - Polizał palec i przełożył następną kartkę. - Jest jednym z pięciu - powiedział.

- Myślałem, że jest jedynakiem.

- Nie mówię o rodzeństwie, tylko o współpracownikach. W tym ponurym gabinecie pracuje ich pięciu. Wszyscy zajmują się tym samym. Wszyscy mają takie same stanowiska, pracują w tych samych godzinach, przychodzą im do głów te same sprosne myśli. - Spojrzał prosto na mnie, co zrobił po raz pierwszy. - Jeśli zdradził, jaki mógł mieć motyw? Autor listu nie wyjaśnia tego. Zabawne. Zwykle to robią. Może z nudy? Z nudy i chciwości, to jedyne motywy, które zostały w dzisiejszych czasach. A także zemsta, wieczna zemsta. - Wrócił do akt. - Zauważył pan, że tylko Cyril jest kawalerem? Zniewieściała ślamazara. Tak jak ja. Tak jak pan. Wszyscy

jesteśmy ślamazarami. Kwestia tylko, kto to lepiej ukryje. Nie ma włosów, widzi pan? - zdjęcie Frewina mignęło mi przed oczami: Burr pomachał nim i mówił dalej. Był niezmordowany. - No, ale to żadna zbrodnia: łysina. Nie większa niż małżeństwo. Dobrze o tym wiem, mam na swoim koncie trzy i jeszcze mi mało. To nie był zwykły donos, prawda? Dlatego jest pan tutaj. Autor wie, o czym pisze. Nie napisał go chyba Modrian, jak pan sądzi?

- Dlaczego miałby to zrobić?

- To ja pytam, Ned, nie mydl mi oczu. Niegrzeczne myśli to coś, co mnie napędza. Może Modrian

pomyślał, że zanim wróci do Moskwy, narobi tu trochę bałaganu. Umie być bardzo przebiegły ten Modrian, kiedy się postara. O nim też czytałem.

Kiedy? Znów się zdziwiłem. Kiedy na litość boską znalazł na to czas?

Przez następne dwadzieścia minut chodził tam i z powrotem po gabinecie, podrzucając mi różne pomysły, i obserwował, jak na nie reaguję. I kiedy wreszcie wyczerpany wyszedłem do poczekalni, znów wpadłem prosto na Petera Guillama.

- Kim do diabła jest ten Burr? - zapytałem go, wciąż oszołomiony. Peter był zdumiony, że nie wiem.

- Burr? Mój kochany. Leonard od lat był następcą tronu Smileya. George ocalił go przed czymś gorszym od śmierci w dzień Wszystkich Świętych.

Cóż mogę wam powiedzieć o Sally, mojej ówczesnej kochance? Była osobą wolną, która przemówiła do tkwiącego we mnie niewolnika. Monica dzieliła ze mną niewolę, jako kobieta z wywiadu, związana tymi samymi przepisami. Sally widziała we mnie jedynie urzędnika państwowego w średnim wieku, który zapomniał, że można się dobrze bawić. Była projektantką, dawną tancerką, fascynowała się teatrem i wszystko inne wydawało jej się nierealne. Wysoka, ładna i dość mądra, czasem przypominała mi Stefanie.

- Mamy się spotkać, kapitanie? - Gorst krzyczał przez telefon. - W sprawie naszego Cyrila? Z przyjemnością!

Spotkaliśmy się nazajutrz w sali przesłuchań Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Byłem tym razem kapitanem Yorkiem, kolejnym urzędnikiem kolaudacyjnym bez entuzjazmu wykonującym swoją pracę. Gorst był szefem sekcji szyfrowej Frewina, znanej lepiej pod nazwą Tank: rozpusznik w przebraniu kościelnego, człowieczek z cynicznym uśmieszkiem, o kołyszącym chodzie, wystających łokciach i małych usteczkach, które poruszały się jak dżdżownica. Kiedy usiedliśmy, podwinął poły marynarki, jak gdyby chciał wyeksponować tyłek, następnie zadarł tłustą nóżkę jak fordanserka, po czym założył ją sugestywnie na udo drugiej nogi.

- Święty Cyril, tak nazywamy pana Frewina - oświadczył wesołowato. - Nie pije, nie pali, nie przeklina, autentyczny prawiczek. Koniec przesłuchania. - Wydłubując papierosa z paczki, popukał nim w paznokcie kciuka, a następnie zwilżył koniuszek swym ruchliwym językiem. - Muzyka jest jego jedyną słabością. Uwielbia operę. Chodzi do opery regularnie jak w zegarku. Osobiście nie przepadam. Nigdy nie wiem, czy to aktorzy śpiewają, czy śpiewacy grają. - Zapalił papierosa. W jego oddechu wyczuwało się zapach piwa. - Mówiąc szczerze, nie przepadam też za grubymi kobietami. Zwłaszcza, kiedy na mnie wrzeszczą. - Odrzucił głowę do tyłu i wypuścił kilka kół z dymu, delektując się nimi, jakby były insygniami jego władzy.

- Mogę zapytać, jak układają się stosunki Frewina z resztą personelu? - odwróciłem kartkę, odgrywając rolę sumiennego czeladnika.

- Znakomicie, wasza łaskawość. I-de-al-nie. - Archiwiści, sekretarki: żadnych problemów?

- Nawet najmniejszych. Nawet mikroskopijnych.

- Pracujecie razem?

- W wielkim pokoju, którego ja jestem tytularnym szefem. Bardzo tytularnym, w rzeczy samej.

- Zasugerowano mi, że jest mizoginistą - rzuciłem na oślep. Gorst wydał z siebie świdrujący śmiech.

- Cyril? Mizoginistą? Za mało powiedziane. On nienawidzi kobiet. Nie rozmawia z nimi, nie mówi nawet dzień dobry. Jeśli tylko może, unika służbowych wigilii, na wypadek, gdyby musiał

pocałować którąś pod jemiolą. - Rozprostował nogi, zaznaczając w ten sposób, że zamierza złożyć oświadczenie. - Cyril Arthur Frewin, święty Cyril, jest wysoce solidnym, szalenie sumiennym, zupełnie łysym i niesamowicie nudnym urzędnikiem starej daty. Święty Cyril, choć pedantyczny aż do bólu, moim zdaniem osiągnął już w swym zawodzie wszystko. Ma też swoje przyzwyczajenia. Święty Cyril jest świetnym pracownikiem, na sto procent. Amen.

- Polityka?

- Nie w moim domu, dziękuję bardzo. - I nie jest obibokiem?

- A powiedziałem, że jest, szanowny panie?

- Nie, wręcz przeciwnie, to rutynowe pytanie. Jeśli musi być wykonana dodatkowa praca, Cyril zawija zawsze rękawy, rezygnuje z przerwy na lunch, z wolnych wieczorów i tak dalej. Nadal tak jest, prawda? Jego entuzjazm nie osłabł?

- Nasz Cyril jest do dyspozycji o każdej porze ku radości tych, którzy mają rodziny, żony czy inne bratnie dusze. Przyjdzie rano, przyjdzie po południu, przyjdzie na wieczorną zmianę, oczywiście z wyjątkiem dni, kiedy wychodzi do opery. Cyril nigdy nie zważa na koszty. Chociaż muszę przyznać, że ostatnio jest trochę mniej skłonny do poświęceń, ale to niewątpliwie tylko chwilowe zawieszenie usług. Nasz Cyril też ma swoje humorki. A kto ich nie ma, wasza eminencjo?

- Więc twierdzi pan, że ostatnio opuścił się.

- Nie w pracy, nigdy w życiu. Cyril jest niewolnikiem pracy, zawsze tak było. Choćby z chęci bycia wykorzystywanym przez normalniejszych kolegów. Teraz wybija piąta trzydzieści, święty Cyril sprząta biurko i idzie do domu ze wszystkimi. Nie proponuje na przykład, że zastąpi kogoś na nocnej zmianie i zamknie się sam na posterunku do dziewiątej, co kiedyś robił.

- Może pan zlokalizować w czasie tę odmianę? - zapytałem, starając się przybrać jak najbardziej znudzony ton i sumiennie przewróciłem kolejną kartkę w notesie.

O dziwo, Gorst był w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Zasznurował usta. Zmarszczył czoło. Podniósł dziewczęce brwi i wcisnął podbródki w brudny kołnierz koszuli. Zrobił prawdziwe przedstawienie. Wreszcie przypomniał sobie.

- Cyril Frewin po raz ostatni zastąpił młodego Burtona na nocnym dyżurze w dniu świętego Jana. Widzi pan, prowadzę dziennik. Dla bezpieczeństwa. Mam też imponującą pamięć, co nie zawsze chce mi się ujawniać.

W głębi duszy byłem pod wrażeniem, ale nie Gorst przyczynił się do tego. Trzy dni po wyjeździe Modriana z Londynu do Moskwy Cyril Frewin przestał się przepracowywać. Po głowie chodziły mi różne pytania domagające się odpowiedzi. Czy sekcja Frewina dysponowała elektrycznymi maszynami do pisania? Czy szyfranci mają do nich dostęp? Na przykład Gorst? Nie chciałem jednak wzbudzać w nim podejrzeń.

- Wspomniał pan o jego miłości do opery - powiedziałem. - Mógłby pan rozwinąć ten temat?

- Nie mógłbym, ponieważ on nie zdaje nam szczegółowych relacji, a my się ich nie domagamy. W każdym razie w dni operowe przychodzi w wyprasowanym ciemnym garniturze, chyba że przynosi go w walizce i rzeczywiście wtedy emanuje z niego coś, co ja nazywam stanem wysokiej, lecz kontrolowanej ekscytacji, podobnym do innych form podniecenia, których nie wymienię.

- Czy ma na przykład swoje stałe miejsce? Wykupiony karnet? To zostanie w aktach. Jak pan mówi, raczej nie gustuje w innego typu rozrywkach.

- Chyba już powiedziałem, szanowny panie, że, niestety, ja i opera nie zostaliśmy stworzeni dla siebie. Niech pan wpisze „operowy maniak”, a rubryka „rozrywki” zostanie wyczerpana. Taka jest

moja rada.

- Dziękuję. Tak zrobię. - Przewróciłem kartkę. - I naprawdę nie przychodzi panu do głowy żadni wrogowie? - Dopytywałem się, zawieszając ołówek nad notatnikiem.

Gorst zrobił się poważny. Piwo przestało działać.

- Przyznaję, że ludzie śmieją się z Cyrila, kapitanie. Ale on się nie obraża. Nie jest nie lubiany.

- Nikt nie mówi o nim źle?

- Nie przychodzi mi do głowy ani jeden powód, dla którego ktoś miałby mówić źle o Cyrilu Arthurze Frewinie. Brytyjscy urzędnicy państwowi mogą być ponurzy, ale nie są złośliwi. Cyril wykonuje swe obowiązki, tak jak wszyscy. Stanowimy szczęśliwą załogę. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby to też pan zapisał.

- Rozumiem, że w tym roku, tak jak w latach poprzednich, pojechał na Boże Narodzenie do Salzburga?

- Owszem. Cyril zawsze bierze sobie wolne na Boże Narodzenie. Jeździ do Salzburga na koncerty. W tej jednej sprawie nigdy nie pójdzie na ustępstwa. Niektórzy młodzi próbują się buntować, ale nie pozwalam im. „Cyril odpląca wam w inny sposób - mówię im. - Cyril ma już swoje lata, uwielbia jeździć do Salzburga, żeby posłuchać muzyki, ma swoje dziwactwa i niech tak już zostanie”.

- Czy kiedy wyjeżdża, informuje, gdzie się zatrzyma?

Gorst nie wiedział, ale na moją prośbę zatelefonował do pracy i dowiedział się. Przez cztery ostatnie lata zatrzymywał się w tym samym hotelu. Pomyślałem o donosie i przypomniałem sobie, że od czterech lat spotyka się też z Modrianem. Cztery lata Salzburga, cztery lata Modriana, a na koniec „szalenie samotniczy tryb życia”.

- Zabiera ze sobą jakiegoś przyjaciela, wie pan coś o tym?

- Cyril nigdy w życiu nie miał przyjaciela, kapitanie. - Gorst ziewnął. - Nie takiego, którego zabierałby na urlop, dam sobie głowę uciąć. Może następnym razem spotkamy się na obiedzie? Podobno dostajecie, chłopcy, spore sumki na swoje wydatki?

- Czy po powrocie opowiada o podróżach do Salzburga? Jak się bawił, jakiej słuchał muzyki, coś w tym rodzaju? - Przypuszczam, że to Sally nauczyła mnie, że od ludzi oczekuje się, by dobrze się bawili.

Po krótkim, acz pełnym dramatyzmu namyśle Gorst pokręcił głową.

- Jeśli Cyril dobrze się bawi, szanowny panie, to zachowuje to w głębokiej tajemnicy - oświadczył z ostatnim cynicznym uśmiechem.

W takim razie nie była to dobra zabawa w rozumieniu Sally.

Ze swego biura w sekcji Inkwizycji zamówiłem wewnętrzną rozmowę z Wiedniem i porozmawiałem z Tobym Esterhase'em. Dzięki swemu genialnemu opanowaniu sztuki przetrwania otrzymał niedawno stanowisko szefa tamtejszej placówki.

- Chciałbym, żebyś troszkę powęszył w Salzburgu, Toby. Chodzi o Cyrila Frewina, obywatela brytyjskiego. Zatrzymuje się tam od czterech lat na Boże Narodzenie. Chcę wiedzieć, kiedy przyjeżdża, na jak długo zostaje, czy już kiedyś tam bywał, z kim, jak wysokie rachunki płaci i jak spędza czas. Koncerty, wycieczki, posiłki, kobiety, chłopcy, uroczystości - wszystko, co zdobędziesz. Ale cokolwiek będziesz robić, zachowaj dyskrecję. Podaj się za agenta rozwodowego czy kogoś takiego.

Jak można było przewidzieć, Toby był oburzony.

- Ned, posłuchaj, to jest absolutnie niemożliwe. Jestem w Wiedniu, Salzburg to dla mnie drugi koniec świata. W tym mieście huczy jak w ulu. Potrzebuję ludzi, Ned. Musisz to powiedzieć Burrowi. Chyba nie zdaje sobie sprawy, ile tu jest pracy. Zdobądź mi dwóch chłopaków, zrobimy wtedy, co zechcesz. Bez problemu. Przepraszam.

Poprosił o tydzień. Ja mu dałem trzy dni. Powiedział, że zrobi wszystko, co w jego mocy, i uwierzyłem mu. Słyszał plotkę, że rozeszliśmy się z Mabel. Zaprzeczyłem.

Odkąd pamiętam, obserwatorzy najlepiej się czuli w ruderach blisko linii autobusowych i lotniska. Natomiast Monty wybrał na swą kwaterę pałacyk z początku wieku w Baron's Court. Z wyłożonego płytkami holu kamienne schody zakręcały majestatycznie przez pięć ciasnych pięter do świetlika wypełnionego witrażem. Kiedy wspinałem się po schodach, drzwi otwierały się i zamykały jak we francuskiej farsie, a członkowie jego dziwaczного zespołu w różnych stadiach negliżu przemieszczali się między przebieralnią, barkiem i salą instruktazową, odwracając oczy od nieznanego. Dotarłem na poddasze, gdzie kiedyś mieściła się pracownia malarska. Żeńska czwórka grała gdzieś hałaśliwie w ping-ponga. Bliżej dwa męskie głosy pod prysznicem śpiewały Jerusalem Blake'a.

Nie widziałem Monty'ego od dawna, ale ani lata, które upłynęły, ani awans na stanowisko głównego obserwatora, nie postarzyły go. Kilka siwych włosów i ostrzejszy zarys zapadniętych policzków to wszystko. Z natury był małomówny, więc przez jakiś czas siedzieliśmy tylko, popijając herbatę.

- A więc Frewin - odezwał się wreszcie.

- Frewin - przytaknąłem.

Niczym wytrawny myśliwy Monty potrafił stworzyć wokół siebie własną strefę ciszy.

- Frewin to dziwak. Nie zachowuje się normalnie. Oczywiście, nie wiemy tak naprawdę, co jest normalne, przynajmniej nie w przypadku Cyrila. Tyle, że usłyszysz się co nieco tu i ówdzie. Od listonosza, mleczarza, sąsiadów, jak zwykle. Wszyscy rozmawiają z czyścicielami okien, byłbyś zdumiony. Albo z przygodnym specem od telefonów. Obserwujemy go ledwie od dwóch dni, ale wszystko jedno.

Kiedy Monty zaczynał mówić, po prostu nadstawiało się uszu i uzbierało w cierpliwość.

- No i oczywiście noce - dodał. - Jeśli cię interesują. Cyril nie sypia, jestem tego pewien. Raczej snuje się po domu, sądząc z okien i filiżanek po herbacie rano. I muzyka. Jedna z jego sąsiadek zastanawia się, czy nie pójść do niego ze skargą. Nigdy się nie skarżyła, ale tym razem może to zrobić. „Co go naszło? - mówi. - Handel przy śniadaniu, to jeszcze rozumiem, ale Handel o trzeciej nad ranem?” Sąsiadka sądzi, że Frewin przechodzi menopauzę. Twierdzi, że mężczyźni w tym wieku też to mają, tak samo jak kobiety. Tylko skąd mamy o tym wiedzieć, prawda?

Uśmiechnął się szeroko. A ja znów uzbroiłem się w cierpliwość.

- Ona w każdym razie wie - dodał refleksyjnie Monty. - Jej stary odszedł z nauczycielką z podstawówki. Wcale nie jest pewna, czy kiedyś do niej wróci. Niemal zgwałciła naszego przystojniaka, kiedy przyszedł odczytać licznik. Właśnie, a jak się ma Mabel? - zapytał.

Ciekawe, czy i on słyszał jakieś plotki, pomyślałem. Ale doszedłem do wniosku, że gdyby słyszał, to by mnie nie pytał.

- Świetnie - odparłem.

- Kiedyś Cyril czytywał w metrze gazetę. „Telegraph”, gdybyś chciał wiedzieć którą. Cyril nie aprobuje laburzystów. Twierdzi, że są prostakami. Ale już nie kupuje gazet. Tylko siedzi i się gapi.

To wszystko. Wczoraj nasz chłopak musiał go szturchnąć, gdy zatrzymali się na Victorii. Zatopił się w myślach. Kiedy wczoraj wieczorem wracał do domu, wystukał na teczce całą partyturę opery. Nancy twierdzi, że Vivaldiego. Ona powinna wiedzieć. Pamiętasz Paula Skordeno?

Odparłem, że pamiętam. Odwracanie uwagi rozmówcy od głównego tematu, na przykład: „Ja się ma Mabel?”, należało do specjalności Monty’ego.

- Paul odsiaduje siedem lat na Barbados za włamanie do banku. Co w nich wstępuje, Ned? Kiedy pracował dla nas, nigdy nie powinęła mu się noga. Nigdy się nie spóźniał, nigdy nie przesadzał z wydatkami, wspaniała pamięć, świetne oko, dobry nos. Gdzie myśmy sienie włamywali? W Londynie, w Home Counties, w Midlands, do obrońców praw obywatelskich, do rozbrojeniowców, do partii, do niegrzecznych dyplomatów - wszędzie. Czy kiedykolwiek złapano Paula? Ani razu. Ale gdy tylko odchodzi od nas, nagle zamienia się w ślamazarę i wygaduje wszystko sąsiadowi z baru. Wydaje mi się, że oni chcą, aby ich złapano. Takie jest moje zdanie. Chyba pragną być zauważeni po tylu latach bycia nikim.

Sączył herbatę.

- Oprócz muzyki Cyril ma jeszcze jednego bzika: radio. Uwielbia swoje radio. Z tego co wiemy, tylko odbiera. Ale kupił sobie jeden z tych nowoczesnych niemieckich zestawów z wielkimi kolumnami, żeby móc słuchać koncertów. Nie kupił sprzętu tutaj, bo kiedy miał jakąś usterkę, miejscowy punkt naprawczy wysłał go aż do Wiesbaden. Trwało to trzy miesiące i kosztowało fortunę. Nie ma samochodu, nie lubi ich. Zakupy robi w niedzielne ranki, jeździ autobusem. Jest domatorem, nie licząc świątecznych wyjazdów do Austrii. Żadnych zwierząt domowych, nie udziela się towarzysko. Zapomnij o gościach. Żadnych domowników, lokatorów, poza rachunkami nie dostaje korespondencji, za wszystko płaci regularnie, nie głosuje, nie chodzi do kościoła, nie ma telewizora. Jego sprzątaczką mówi, że dużo czyta, głównie grube książki. Przychodzi do niego tylko raz w tygodniu, zwykle kiedy nie ma go w domu, ale nie odważyliśmy się do niej zbliżyć. Gruba książka to dla niej wszystko, co jest grubsze od biblijnej broszury. Płaci skromne rachunki telefoniczne, ma sześć tysięcy w oszczędnościowej kasie budowlanej, jest właścicielem swego domu, a na koncie bankowym gromadzi oszczędności, które wahają się od sześciuset do tysiąca czterystu funtów, nie licząc okresu świątecznego, kiedy spadają do około dwustu funtów z powodu wyjazdu za granicę.

Poczucie przyzwoitości znów kazało Monty’emu zrobić dygresję, tym razem na temat naszych dzieci. Mój syn Adrian właśnie zdobył stypendium na wydziale języków nowożytnych w Cambridge. Monty był pod ogromnym wrażeniem. Jedynek Monty’ego zdał egzamin na prawo z rewelacyjnymi wynikami. Zgodziliśmy się, że dla dzieci warto żyć.

- Modrian - rzuciłem, kiedy skończyliśmy z grzecznościami. - Siergiej.

- Dobrze pamiętam tego dżentelmena, Ned. Wszyscy go pamiętamy. Zdarzały się dni, kiedy śledziliśmy go dwadzieścia cztery godziny na dobę. Oczywiście poza Bożym Narodzeniem, kiedy brał urlop... Ale, ale! Czy i ty myślisz o tym, co ja? Wszyscy biorą urlop na Boże Narodzenie?

- Rzeczywiście, pomyślałem o tym - przyznałem.

- Po jakimś czasie przestaliśmy się przed nim kryć, ile czasu można? Ale był z niego szczwany lis. Ile razy korciło mnie, żeby wygarbować mu skórę. Paul Skordeno kiedyś tak się na niego wściekł, że spuścił mu powietrze z opon przed Muzeum Wiktorii i Alberta, kiedy wszedł do środka, żeby zajrzeć do skrytki. Nigdy o tym nie zameldowałem, nie miałem serca.

- Modrian też jest operowym maniakiem, mam rację, Monty?

Oczy Monty'ego zrobiły się okrągłe i miałem przyjemność ujrzeć zaskoczenie na jego twarzy, co należało do rzadkości.

- O mój Boże, Ned - zawołał. - Ojej, ojej. Masz rację. Siergiej regularnie bywał w Covent Garden, ależ oczywiście, tak jak Cyril. Odprowadzaliśmy go tam i z powrotem jakieś kilkanaście razy. Mógł zamówić taksówkę, gdyby miał nad nami trochę litości, ale nie. Lubił bawić się z nami w kotka i myszkę na ulicach.

- Gdybyśmy dowiedzieli się, na których koncertach bywał i gdzie siedział, gdybyś mógł zdobyć te informacje, moglibyśmy je porównać z wyjściami Frewina.

Monty pograżył się w dramatycznym milczeniu. Zmarszczył czoło, podrapał się w głowę.

- Nie sądzisz, że to trochę za łatwe dla nas, Ned? - zapytał. - Robię się podejrzliwy, kiedy wszystko tak ślicznie się układa, a ty?

- Nie będę częścią twojego układu - zeszłej nocy oznajmiła mi Sally. - Układy są po to, żeby je zmieniać.

- On śpiewa, Ned - wyszeptała Mary Lasselles, wkładając do słoika po ogórkach otrzymane ode mnie białe tulipany. - Śpiewa nieustająco, w dzień i w nocy, bez różnicy. Chyba minął się z powołaniem.

Mary była blada jak nocna pielęgniarka i równie oddana swej pracy. Nieskazitelna szlachetność rozświetlała jej nieupudrowane policzki i przejrzyste oczy. Sięgające do ramion włosy były przyprószone siwizną, niczym emblematem wczesnego wdowieństwa.

Wśród wielu zawodów wykonywanych w służbach wywiadowczych żaden nie wymaga takiego oddania jak wspólnota pracownic podsłuchu. Mężczyźni się nie nadają do tego. Tylko kobiety zdobię są tak wiernie związać się z losem innych. Skazane na egzystencję w pozbawionych okien piwnicach, wśród zwojów szarych kabli i magnetofonów w radzieckim stylu, zajmują teren zaludniony przez nieobecne istoty, których życie znane jest im lepiej od życia najbliższych przyjaciół i członków rodziny. Nigdy nie widzą swych podopiecznych, nie spotykają się z nimi, nie dotykają ich, nie śpią z nimi. A mimo to poznają każdy szczegół osobowości swych sekretnych kochanków. Przez mikrofony słyszą ich pochlebstwa, płacz, słyszą, jak palą, jedzą, kłócą się, spółkują. Słyszą, jak gotują, bekają, chrapią, martwią się. Bez słowa skargi znoszą ich dzieci, teściów, opiekunki do dzieci, a także ich ulubione programy telewizyjne. Teraz nawet jeżdżą z nimi samochodami, chodzą na zakupy, siedzą z nimi w kawiarniach i salonach bingo. Są cichymi towarzyszami ich życia.

Mary podała mi słuchawki, założyła swoje i splatając dłonie pod brodą, zamknęła oczy, żeby nic nie uronić. I tak po raz pierwszy usłyszałem głos Cyrila Frewina, który śpiewał sobie arię z Turandota, gdy tymczasem Mary Lasselles z zamkniętymi oczami uśmiechała się oczarowana. Miał aksamitny głos, który dla mego niewyrobionego ucha wydawał się przyjemny. To samo chyba sądziła Mary.

Usiadłem prosto. Śpiew urwał się. W tle usłyszałem najpierw kobiecy, a później męski głos. Ludzie ci mówili po rosyjsku.

- Mary, kto to do diabła jest?

- Jego nauczyciele, złotko. Olga i Borys z Radia Moskwa: pięć razy tygodniowo, początek punktualnie o szóstej rano. To nagranie z wczoraj.

- Chcesz powiedzieć, że uczy się rosyjskiego?

- Przynajmniej słucha lekcji, złotko. Ile z tego wchodzi do jego małej łepetynki, trudno zgadnąć. Codziennie rano punkt szósta Cyril słucha Olgi i Borysa. Dzisiaj odwiedzają Kreml. Wczoraj robili

zakupy w GUM-ie.

Słyszałem niewyraźny mamrot Frewina w wannie, słyszałem, jak w nocy krzyknął „Mama”, rzucając się niespokojnie w łóżku. Przypomniałem sobie: FREWIN Ella, nie żyje, zob. Syn FREWIN Cyril Arthur. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego archiwum upiera się przy otwieraniu osobistych teczek zmarłych krewnych podejrzanych szpiegów.

Wysłuchałem jego kłótni z biurem napraw telefonicznych po odczekaniu obowiązkowych dwudziestu minut na połączenie. Jego głos przybrał ostry ton, a wypowiedź była pełna nieoczekiwanych emfaz.

- Następnym razem, kiedy stwierdzicie usterkę na mojej linii, byłbym szalenie wdzięczny, gdybyście łaskawie poinformowali mnie jako swego abonenta, zanim wpakujecie się do mnie, akurat wtedy, kiedy w domu jest tylko sprzątaczką i zostawicie kawałki kabla na dywanie i ślady butów na kuchennej podłodze...

Wysłuchałem jego rozmowy z operą Covent Garden, którą zawiadomił, że w najbliższy piątek nie skorzysta ze swego karnetu. Tym razem przybrał cierpiętniczy ton. Wyjaśnił, że jest chory. Uprzejma pani po drugiej stronie odparła, że musi krążyć jakiś wirus.

Wysłuchałem jego rozmowy z rzeźnikiem. Czekał na moją wizytę, którą Ministerstwo Spraw Zagranicznych umówiło na następny dzień rano w jego domu.

- Panie Steel, mówi Cyril Frewin. Dzień dobry. Nie będę mógł wstąpić do pana w sobotę ze względu na fakt, że mam ważne spotkanie w domu. Dlatego byłbym wdzięczny, gdyby zechciał mi pan dostarczyć w piątek wieczorem po drodze do domu cztery chude kotlety jagnięce. Nie będzie to za duży kłopot, panie Steel? I jeszcze słoik gotowego sosu miętowego. Nie, konfitury z borówek jeszcze mam, dziękuję bardzo. Proszę dołączyć rachunek, dobrze?

Moje wyczulone ucho wychwyciło, że mówił jak człowiek, który szykuje się do opuszczenia pokładu.

- Jeszcze raz posłucham rozmowy z działem napraw, Mary - poprosiłem. Wysłuchawszy jeszcze dwa razy dogmatycznego zażalenia, które złożył w biurze napraw, cmoknąłem z roztargnieniem Mary i wyszedłem na wieczorne powietrze. Wprawdzie Sally zaprosiła mnie, ale nie byłem w odpowiednim nastroju, żeby spędzić cały wieczór wyznając jej miłość i słuchając muzyki, której skrycie nie cierpiałem.

Wróciłem do Inkwizycji. W laboratorium przeprowadzono już analizę anonimu. Maszyna elektryczna firmy Markus, model numer taki i taki, prawdopodobnie wyprodukowana w Belgii, nowa lub mało używana. Nic więcej.

Sądziłem też, że będą w stanie zidentyfikować inny dokument pochodzący z tej samej maszyny. Czy mógłbym go zdobyć? Koniec raportu. Laboratoria w tym czasie wciąż jeszcze borykały się z nowymi generacjami maszyn.

Zadzwoiłem do Monty'ego do jego zbójeckiej jaskini w Baron's Court. W uszach wciąż dźwięczała mi skarga Frewina na speców z telekomunikacji: jego pauzy niczym nienaturalne przecinki, użycie słowa szalenie, zwyczaj wypowiedziany z naciskiem słów, których raczej się nie akcentuje, dla osiągnięcia groźnego efektu.

- Monty, czy twoi ludzie przypadkiem nie zauważyli maszyny do pisania w domu Cyrila? Kiedy łaskawie naprawiali mu telefon? - zapytałem.

- Nie, Ned. Nie było maszyny do pisania, a raczej jej nie widzieli.

- Mogli ją przeoczyć?

- Z łatwością. Nie wgrzyźliśmy się zbyt mocno. Żadnego otwierania biurka i szaf, żadnych zdjęć. Nie nękał się też zbyt nachalnie sprzątaczkę, żeby jej nie martwić. Kierowaliśmy się zasadą: „Rozejrzyj się, szybko wyjdź i nie zapomnij zostawić bałaganu, bo wyczuje pismo nosem”.

Pomyślałem, żeby zatelefonować do Burra, ale zrezygnowałem. Do głosu zaczęła dochodzić moja dawna zaborczość. Wołałem paść, niż podzielić się z kimś Frewinem, nawet z człowiekiem, który mi go powierzył. W mojej głowie kołatały się setki poplątanych myśli: Modrian, Gorst, Borys i Olga, Boże Narodzenie, Salzburg, Sally. W końcu napisałem do Burra notatkę, podsumowując dotychczasowe odkrycia i potwierdzając, że jutro rano „dokonam pierwszego rozpoznania” Frewina podczas rutynowego przesłuchania kolaudacyjnego.

Iść do domu czy do Sally? Domem było znienawidzone mieszkanko służbowe w St James's, gdzie miałem niby doprowadzać się do porządku - ale to ostatnia rzecz, którą robi mężczyzna, siedząc samotnie z butelką whisky i reprodukcją Roześmianego jeźdźca, miotając się między marzeniami o wolności a uzależnieniem od tego, co trzyma go w niewoli. Sally była moim „alternatywnym życiem”, ale wiedziałem już, że jestem zbyt mało elastyczny, żeby przeskoczyć przez mur i sięgnąć po nie.

Wybrałem zatem miejsce przy biurku, przyniosłem sobie z sejfu whisky i przejrzałem teczkę Modriana. Nie przeczytałem niczego, o czym już bym nie wiedział, ale chciałem mieć te dane świeżo w pamięci. Siergiej Modrian, wypróbowany i sprawdzony szpieg Moskwy. Uwodziciel, niezły tancerz, łatwo nawiązujący przyjaźnie, uśmiechnięty Ormianin o ostrym języku. Lubiłem go. On lubił mnie. W naszym zawodzie, skoro musimy trzymać na wodzy nasze sympatie, potrafimy wiele wybaczyć za odrobinę uroku.

Zadzwonił telefon. Linia bezpośrednia. Przez chwilę myślałem, że to Sally, gdyż wbrew przepisom dałem jej bezpośredni numer. Ale to był Toby. Sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie. Zazwyczaj sprawiał takie wrażenie. Nie wymienił nazwiska Frewina. Nie wymienił Salzburga. Domyślałem się, że dzwoni ze swego mieszkania i pomyślałem, zapewne nie bez racji, że jest w łóżku, i to nie sam.

- Ned? Ale numer z tego twojego kolesia. Rezerwuje jednoosobowy pokój na dwa tygodnie, melduje się, płaci za dwa tygodnie z góry, rozdaje personelowi świąteczne podarunki, klepie dzieci po główkach i jest dla wszystkich słodki. Nazajutrz rano znika, rok w rok. Ned, słyszysz? Słuchaj, to jakiś wariat. Żadnych telefonów, jeden posiłek, dwa Apfelsaft, żadnych wyjaśnień, taksówka na dworzec. Zatrzymajcie mi pokój, nie wynajmujcie go, może wrócę jutro, może za kilka dni, nie wiem. Wraca po dwunastu dniach bez wyjaśnień, daje nowe napiwki personelowi, wszyscy są w siódmym niebie. Nazywają go duchem. Ned, musisz dla mnie odbyć miłą rozmowę z Burrem. Jesteś mi to teraz winien. Powiedz mu, że Toby urabia sobie ręce po łokcie. Młodziak taki jak Burr na pewno cię posłucha, nic cię to nie kosztuje. Muszę tu mieć jeszcze jednego człowieka, może dwóch. Powiedz mu, Ned, słyszysz? Cześć.

Gapilem się przed siebie: w mur, którego nie byłem w stanie przeskoczyć. Gapilem się w teczkę Modriana i przypomniałem sobie słowa Monty'ego, że wszystko układa się zbyt łatwo. Nagle potwornie zapragnąłem Sally i miałem niejasne przeświadczenie, że rozwiązując zagadkę Frewina, zamienię moje liczne zrywy do wolności w jeden śmiały skok. Ale kiedy wyciągnąłem rękę po słuchawkę, żeby z nią porozmawiać, telefon znów zadzwonił.

- Zgadza się - oznajmił Monty matowym głosem. Udało mu się sprawdzić wyjścia Frewina do opery. - Kiedy Siergiej wybiera się do opery, Cyril też. Jeśli Siergiej nie idzie, Cyril też nie. Może

dlatego Cyril już nie chodzi do opery. Rozumiesz?

- A siedzenia? - zapytałem.

- Obok siebie, złociutki. A co myślałeś? Że przodem do tyłu?

- Dzięki, Monty.

Muszę wam mówić, jak spędziłem tę nie kończącą się noc? Nigdy nie dzwoniście do własnego syna, nie wysłuchiwaście jego nieszczęśliwych narzekań i nie musieliście co chwila sobie przypominać, że to wasz syn? Nigdy nie rozmawialiście szczerze z wyrozumiałą żoną o swych niedoskonałościach, nie wiedząc, do licha, na czym one polegają? Nigdy nie mieliście kochanki, nie wyznawaliście jej miłości i nie pozostawialiście zdziwionym świadkiem jej niezmaconego spełnienia, żeby znów ją zostawić i włóczyć się po londyńskich ulicach, jak gdyby było to obce miasto? Nigdy ze wszystkich odgłosów świtu nie wyłowiliście skrzeku sroki, który nie opuszczał was cały czas, kiedy leżeliście na swym potwornym pojedynczym łóżku?

Do domu Frewina przybyłem o dziewiątej trzydzięci, ubrawszy się jak najbardziej nijako. I rzeczywiście musiałem wyglądać bardzo nijako, gdyż i tak nie jestem elegantem, choć Sally ma pewne przerażające pomysły na poprawę mego stylu. Umówiłem się z Frewinem na dziesiątą, ale wmówiłem sobie, że potrzebuję elementu zaskoczenia. Być może prawda była taka, że potrzebowałem jego towarzystwa. Na ulicy stała furgonetka pocztowa, a za nią ciężarówka budowlanców z anteną, co podpowiedziało mi, że ludzie Monty'ego zajęli już stanowiska.

Zapomniałem, jaki to był miesiąc, ale wiem, że była jesień, zarówno w moim życiu, jak i w tym wymuskany zaułku wysokich domów z cegły. Widzę bowiem biały słoneczny dysk wiszący za przyciętymi kasztanowcami, od których wzięła się nazwa ulicy; do dziś dnia pamiętam zapach ognisk i jesiennego powietrza, który nakłaniał mnie do opuszczenia Londynu, opuszczenia służby i przeniesienia się do Sally i na prawdziwą wieś świata. Pamiętam też furkot małych ptaków, które sfrunęły z linii telefonicznych Frewina w drodze do lepszego miejsca. I kota z sąsiedniego ogrodu, który podniósł się na tylnych łapach, żeby schwytać sennego motyla.

Nacisnąłem klamkę furtki i chrzęszcząc podszewkami, przeszedłem zadbaną zwirową ścieżką do domu z butelkowym szkłem w oknach i krytym strzechą gankiem. Wyciągnąłem rękę do dzwonka, lecz drzwi wejściowe - żebrowane, z podrabianymi karetowymi sworzniami - nagle odleciały ode mnie. Cofnęły się jak zdmuchnięte podmuchem ulicznej eksplozji, niemal wsysając mnie za sobą do ciemnego, wyłożonego płytkami przedpokoju. Kiedy znieruchomiały, stał w nich Frewin, niczym łysy centurion w zagrożonym domu.

Był o głowę wyższy, niż sobie wyobrażałem. Jego grube ramiona gotowe były do odparcia ataku, oczy mierzyły mnie z pełną obaw wrogością. Ale nawet w tej pierwszej chwili spotkania wyczułem w nim brak rywalizacji, jedynie pewien rodzaj heroicznej bezbronności, którą jego rozmiary czyniły jeszcze bardziej dramatyczną. Wszedłem do środka, wiedząc, że wkraczam do krainy szaleństwa. Wiedziałem o tym przez całą noc. W chwilach rozpaczyny znajdujemy naturalną więź z obłąkanymi. O tym wiedziałem znacznie dłużej.

- Kapitan York? Ach, bardzo proszę. Zapraszam. Jest mi naprawdę bardzo miło. Dział kadr raczył mnie łaskawie uprzedzić o pańskiej wizycie. Nie zawsze to robią. Ale tym razem tak. Proszę bardzo, tędy. Pan ma swój obowiązek do wypełnienia, kapitanie, a ja mam swój. - Chcąc pomóc mi zdjąć płaszcz, podniósł szerokie, wilgotne dłonie, lecz te najwidoczniej zaniemogły. Zawisły tylko nad moją szyją, jak gdyby zamierzał mnie udusić lub objąć i nie przestawał mówić. - Jesteśmy po tej samej stronie barykady, nie mam więc do pana żadnych pretensji, naprawdę. Osobiście przyrównuję

pańską pracę do działań ochrony na lotnisku, podobne zadania. Jeśli nie przeszukają mnie, nie przeszukają też bandytów, prawda? Moim zdaniem jest to logiczne podejście do sprawy.

Bóg jeden wie, kogo próbował naśladować, wypowiadając te zbyt starannie przygotowane słowa, lecz przynajmniej pomogły mu one pokonać paraliż. Jego ręce opadły wreszcie do płaszcza i wydobyły mnie z niego i teraz przypominam sobie, z jakim namaszczeniem wykonywał wszystkie ruchy, jak gdyby odsłaniał przed nami coś ekscytującego.

- A więc dużo pan lata, panie Frewin? - zapytałem.

Powiesił płaszcz na wieszaku. Czekałem na odpowiedź, ale na próżno. Myślałem o jego podróżach lotniczych do Salzburga i zastanawiałem się, czyjego myśli krążyły wokół tego samego, i czy w napięciu towarzyszącym mojej wizycie nie przemówiło do niego sumienie. Wszedł przede mną do salonu, gdzie w świetle wykuszowego okna mogłem go spokojnie obserwować, zajął się bowiem następnym aktem natarczywej gościnności: tym razem elektryczną maszynką do kawy, która nie była jeszcze włączona. Chce pan kawę z mlekiem, z cukrem, czy z mlekiem i cukrem, kapitanie? A mleko gorące czy zimne? Skusi się pan na ciasteczka domowej roboty, kapitanie?

- Naprawdę sam je pan upiekł? - zapytałem, wylawiając jedno ze słoika.

- Każdy głupi, kto potrafi czytać, umie też gotować - oświadczył Frewin z roztargnionym uśmiechem wyższości i natychmiast zrozumiałem, dlaczego Gorst mógł go nienawidzić.

- Aleja umiem czytać, a z pewnością nie umiem gotować - odparłem, ponuro kręcąc głową.

- Jak ma pan na imię, kapitanie? - Ned.

- To pewnie dlatego, Ned, że się ożeniłeś. Żona pozbawiła cię samowystarczalności. Widziałem to już tyle razy. Pojawia się żona, znika niezależność. Jestem Cyril.

I robisz unik przed moim pytaniem o podróże lotnicze, pomyślałem, udaremniając mu próbę wstępu na moje prywatne terytorium.

- Gdybym ja rządził tym krajem - oświadczył Frewin przez ramię, nalewając kawę - czego ku mojej radości nigdy nie będę miał okazji robić - jego głos zaczynał przybierać dydaktyczny ton rozmowy z biurem napraw - uczyniłbym gotowanie - obowiązkowym przedmiotem w szkole absolutnie dla wszystkich, bez względu na kolor skóry, płeć i wyznanie.

- Świetny pomysł - przyznałem, odbierając kubek kawy - bardzo rozsądny - i poczęstowałem się cukrem z żółtego pojemniczka w kształcie ula, który tkwił w jego wilgotnej dłoni niczym pocisk. Odwrócił się do mnie całym sobą: ramionami, torsem i głową, wszystkim razem. Jego niczym nie osłonięte, nagie oczy spoglądały na mnie z góry z promieniejącą, dziecięcą niewinnością.

- Uprawiasz jakieś sporty, Ned? - zapytał cicho, przekręcając głowę w jedną stronę, żeby zdobyć moje zaufanie.

- Gram trochę w golfa - skłamałem. - A ty?

- Masz jakieś hobby, Ned?

- Od czasu do czasu, kiedy jestem na urlopie, lubię spłodzić jakąś akwarelę - odpowiedziałem, znów pożyczając sobie zainteresowania Mabel.

- Prowadzisz samochód, Ned? Podejrzewam, że wy wszyscy musicie to mieć w małym palcu, prawda?

- Jeżdżę starym roverem.

- Z którego roku? Ile ma lat? Mówi się, że na starych skrzypcach można wygrać dużo ładnych melodii.

Kiedy podałem mu pierwszą lepszą datę, zdałem sobie sprawę, że jego energia nie mieści się

jedynie w samej postaci, lecz zdaje się przelewać w każdy przedmiot, który go otacza. W mosiężne końskie ozdoby, które lśniły niczym wojskowe odznaki od energicznego polerowania. W wypolerowaną kratę kominka, drewnianą podłogę i wyszorowaną powierzchnię stołu. A nawet w fotel, w którym siedziałem, pijąc grzecznie kawę: poręcze ukryte były pod lnianymi pokrowcami, wyprasowanymi i tak nieskazitelnymi, że obawiałem się oprzeć na nich ręce. Wiedziałem też bez jakichkolwiek wyjaśnień z jego strony, że choć ma dochodzącą sprzątaczkę, sam dba o wszystkie te przedmioty, że jest ich sługą i dyktatorem w królestwie nieograniczonej zmarnowanej energii.

- Gdzie mieszkasz, Ned?

- Ja? W Londynie.

- W której części? W której dzielnicy? W ładnej okolicy, a może musisz zachować anonimowość ze względów służbowych?

- Obawiam się, że nie wolno mi powiedzieć.

- Urodziłeś się w Londynie? Ja pochodzę z Hastings. - A ja z przedmieść. No wiesz. Z okolic Pinner.

- Musisz zachować dyskrecję, Ned. Zawsze. Dyskrecja jest twoją godnością. Niech nikt ci jej nie odbierze. Dyskrecja jest twoim zawodowym atutem. Pamiętaj o tym. Może ci się przydać.

- Dzięki - wymusiłem głupawy uśmiech. - Będę pamiętać. Pożerał mnie oczami. Przypomnił mi Lizzie, mojego psa, kiedy czeka

na sygnał: nieruchoma, gotowa do biegu.

- A więc zaczynamy? - zaproponował. - Przechodzimy do oficjalnej części? Jak się zacznie, powiedz tylko: „Cyril. Pali się czerwone światełko”. To wszystko, co masz powiedzieć.

Roześmiałem się, znów kręcąc głową, jak gdybym chciał powiedzieć, że zabawny z niego jegomość.

- To tylko rutynowa kontrola, Cyril - powiedziałem. - Boże, pewnie znasz wszystkie pytania na pamięć po tylu latach. Pozwolisz, że zapalę? - Mozolnie zapaliłem fajkę i wrzuciłem zapalną do popielniczki, którą mi podetknął. Znów podjąłem lustrację pokoju. Na ścianach zrobione samodzielnie półki, a na nich książki z tytułami o globalnym wydźwięku: Sto najwybitniejszych postaci świata, Perły światowej literatury, Światowa klasyka muzyki w trzech tomach. Obok nich płyty gramofonowe w okładkach, wyłącznie muzyka poważna. A w kącie gramofon, wspaniała maszyna z drzewa tekowego z tyloma przyciskami, że taki prostak jak ja nie umiałby ich ogarnąć umysłem.

- Skoro lubisz malować, Ned, powinieneś też spróbować muzyki - zasugerował, idąc za moim spojrzeniem. - Jest najcudowniejszą pocieszycielką na tym świecie. Dobra muzyka. Jeśli chcesz, mógłbym tobą pokierować.

Przez chwilę pykałem z fajki. Fajka jest wspaniałą bronią przeciw pośpiechowi przeciwnika.

- Właściwie jestem zupełnie niemuzyczny, Cyril. Czyniłem wiele prób, ale nie wiem, chyba straciłem już nadzieję...

Herezja, której źródło stanowiły moje nierozstrzygnięte debaty z Sally, przebrała miarę. Skoczył na równe nogi z twarzą wyrażającą przerażenie i troskę i chwycił słoik z ciasteczkami, który mi podetknął, jakby tylko jedzenie mogło mnie wybawić.

- Ależ Ned, nie masz racji, jeśli mogę tak powiedzieć! Nie ma czegoś takiego jak niemuzyczna osoba! Weź dwa, nie krępuj się, w kuchni mam ich więcej.

- Zostanę przy fajce, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Niemuzykalność, Ned, jest jedynie terminem, wyrażeniem. Posunąłbym się nawet do stwierdzenia, że jest wymówką, która ma na celu ukrycie jedynie chwilowej, narzuconej samemu sobie psychologicznej odporności na pewien świat, do którego umysł świadomie odmawia wstępu! Powstrzymuje cię jedynie strach przed nieznanym. Za przykład podam moich znajomych...

Ciągnął dalej, a ja mu nie przerywałem, kiedy dziobał mnie palcem, a drugą ręką przyciskał do piersi słoik z ciasteczkami. Słuchałem i obserwowałem go, a w odpowiednich momentach wyrażałem podziw. Sięgnąłem po swój czarny notes i zdjęłem z niego czarny futerał, dając mu do zrozumienia, że jestem gotów zacząć. Ale on ignorował mnie i perorował dalej. Wyobraziłem sobie Mary Lasselles, jak uśmiecha się z rozmarzeniem na swym stanowisku, słysząc, jak jej podopieczny mnie poucza. Wyobraziłem sobie też chłopców i dziewczęta Monty'ego w wozach obserwacyjnych na ulicy, jak przeklinają go i ziewają, czekając na zmianę warty. Słuchał też Burr. Wszyscy byli zakładnikami niekończącej się anegdoty Frewina o parze sąsiadów z Surbiton, małżeństwie, które nauczył rozumienia muzyki.

- Mogę zatem powiedzieć moim przełożonym z DK, że muzyka jest nadal pańską wielką miłością - zasugerowałem z uśmiechem, kiedy wreszcie skończył.

DK oznaczało dyrekcję kolaudacyjną. Rola tyranizowanego konia pociągowego wymagała obecności wyższego autorytetu. Otworzywszy na kolanie notes, spłaszczyłem strony i zwykłym służbowym ołówkiem napisałem FREWIN na górze lewej strony.

- Jeśli już mówisz o miłości, Ned, owszem, można powiedzieć, że muzyka jest moją wielką miłością. Poeta zaś twierdzi, że muzyka jest pożywieniem miłości. Ja jednak powiedziałbym, że wszystko zależy od tego, jak się rozumie miłość. Czym jest miłość? Oto prawdziwe pytanie, Ned. Zdefiniuj miłość.

Czasem trudno jest znieść zbiegi okoliczności, które funduje nam Bóg. Są zbyt wulgarne.

- Cóż, ja widzę w niej dość szerokie pojęcie - odparłem z powątpiewaniem z zawieszonym nad kartką ołówkiem. - A jak ty ją rozumiesz?

Pokręcił głową i zaczął energicznie mieszać kawę. Jego grube palce zacisnęły się wokół cienkiej rączki łyżeczki.

- To pójdzie do raportu?

- Może. Jak chcesz.

- Ja rozumiem miłość jako oddanie. Wielu ludzi mówi o miłości, jakby to było coś w rodzaju nirwany. Ale tak nie jest. Tak się składa, że wiem o tym. Miłość nie istnieje w oddzieleniu od życia. Nie znajduje się poza nim, ani nad nim. Miłość tkwi w życiu. Miłość jest integralną częścią życia i co się od niej otrzymuje, zależy od tego, w jaki sposób inwestujemy nasze wysiłki i lojalność. Nasz Pan uczył nas tego bardzo wyraźnie. Nie jestem szczególnie religijny, jestem raczej racjonalistą. Miłość jest ofiarą i ciężką pracą. Miłość to też pot i łzy; taka właśnie musi być wartościowa muzyka. W tym rozumieniu zatem, Ned, muzyka rzeczywiście jest moją największą miłością, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Wiedziałem aż nadto dobrze. Podobne wymuszone deklaracje wygłaszałem przed Sally, po to tylko, żeby zostały zlekceważone. Wiedziałem też, że w stanie tak wysokiego napięcia nie ma dla niego przypadkowego pytania, ani tym bardziej zdawkowej odpowiedzi - tak jak nie było ich dla mnie, choć moje metody kamuflażu były doskonalsze.

- Chyba jednak tego nie zapiszę - rzekłem. - Uznam tę wypowiedź jako tak zwane dalekie tło. - Na potwierdzenie tego zapisałem w notesie kilka słów jako notatkę dla siebie i znak dla niego, że

przechodzimy do części oficjalnej. - No dobrze, najpierw przeróbmy elementarz - zasugerowałem - albo dyrekcja stwierdzi, że znów się ociągam. Cyril, czy wstąpiłeś do partii komunistycznej od ostatniej rozmowy z jednym z naszych przedstawicieli, czy może udało ci się oprzeć pokusie?

- Nie - odparł z uśmiechem samozadowolenia.

- Nie wstąpiłeś, czy nie oparłeś się pokusie? Szerszy uśmiech.

- To pierwsze. Podobasz mi się, Ned. Doceniam błyskotliwość u ludzi, zawsze doceniałem. Nie powiedziałbym, że mamy jej w nadmiarze w moim miejscu pracy. Jeśli chodzi o błyskotliwość, skłaniałbym się ku porównaniu mojego zespołu do całkowitej pustyni.

- Żadnych przyjaźni, grup pacyfistycznych? - kontynuowałem, udając rozczarowanie. - Organizacji podróźniczych? Nie stałeś się członkiem jakiegoś klubu dla homoseksualistów lub osób o innych dewiacyjnych skłonnościach, nie zapalałeś sekretnym uczuciem do nieletniego chórzysty?

- Nie, na wszystkie pytania, dziękuję bardzo - odparł Frewin, uśmiechając się szeroko.

- Nie narobiłeś sobie olbrzymich długów, co sprawia, że żyjesz ponad stan? Nie utrzymujesz jakiejś apetycznej rudowłosej dziewczyny na poziomie, do którego nie jest przyzwyczajona? Nie kupiłeś sobie ferrari na raty?

- Moje potrzeby pozostają skromne jak zawsze, dziękuję bardzo. Nie mam materialistycznej ani hedonistycznej natury, jak możesz sam się przekonać. Szczerze mówiąc, właściwie nie znoszę materializmu. W dzisiejszych czasach jest go za dużo. O wiele za dużo.

- Do pozostałych pytań też „nie”?

- Zgadza się.

Cały czas notowałem, robiąc adnotacje przy nieistniejącej liście.

- W takim razie nie będziesz sprzedawać tajemnic za pieniądze - skomentowałem, przewracając stronę i dodając parę ptaszków. - Rozumiem, że nie rozpocząłeś kursu języka obcego bez uprzedniej pisemnej zgody pracodawcy? - Mój ołówek znów zawisł nad papierem. - Sanskryt? Hebrajski? Urdu? Serbsko-chorwacki? - sugerowałem. - Rosyjski?

Stał zupełnie nieruchomo, wpatrując się we mnie, ale udałem, że tego nie zauważam.

- Hotentocki? - ciągnąłem dalej żartobliwie. - Estoński?

- Od kiedy ta pozycja jest na liście? - zapytał agresywnie Frewin.

- Hotentocki? Czekalem.

- Języki. Język obcy, to nie wada, tylko zaleta. Osiągnięcie! Nie trzeba spisywać w raporcie wszystkich swoich osiągnięć!

Odchyliłem głowę do tyłu w zamyśleniu.

- Dodatek do procedury kolaudacyjnej, piąty listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt siedem - wyrecytowałem. - Zawsze pamiętam tę datę. Święto Guya Fawkesa. Specjalny okólnik do wszystkich departamentów z twoim włącznie, wymagający pisemnego zawiadomienia o zamiarze uczestnictwa we wszelkiego rodzaju kursach językowych. Rekomendacja komitetu sądowiczego, zaaprobowana przez gabinet. Odwrócił się do mnie plecami.

- Uważam to pytanie za całkowicie nie na miejscu i odmawiam odpowiedzi na nie w jakiegokolwiek formie. Zapisz to.

Westchnąłem przez dym z fajki.

- Powiedziałem, zapisz to!

- Na twoim miejscu, Cyril, nie mówiłbym tego. Rozzłościł ich tylko.

- Nie zależy mi.

Znów zaciągnąłem się fajką.

- Powiem ci dokładnie, co usłyszałem od przełożonych, dobrze? „Co to za bzdura z Borysem i Olgą, w którą się bawi Cyril? Zapytaj go o to i zobacz, co ci odpowie”.

Nadal odwrócony do mnie plecami, prznosił pełne oburzenia spojrzenia z miejsca na miejsce, zwracając się do swych wypolerowanych przyjaciół, aby byli świadkami tej bezczelności. Czekałem na wybuch, który miał z pewnością nastąpić. Ale on tylko patrzył na mnie z wyrzutem. Jesteśmy przyjaciółmi - zdawał się mówić - a ty robisz mi coś takiego. I dzięki temu, że umysł w stresie może jednocześnie posługiwać się wieloma obrazami, ujrzałem przed sobą nie Frewina, lecz maszynistkę, którą kiedyś przesłuchiwałem w naszej ambasadzie w Ankarze: podwinęła wtedy rękaw i wyciągnęła do mnie rękę, pokazując ropiejące rany od oparzeń papierosowych, które zadała sobie w nocy przed przesłuchaniem. „Nie sądzisz, że wystarczająco się przez was nacierpiałam?” - zapytała. Ale to nie przeze mnie cierpiała, tylko przez dwudziestopięcioletniego polskiego dyplomate, któremu powierzyła wszystkie znane jej tajemnice.

Wyjąłem fajkę z ust i roześmiałem się uspokajająco.

- Ależ Cyril. Przecież Borys i Olga to tylko dwie postacie z radiowego kursu, którego słuchasz w tajemnicy. Razem tapetują mieszkanie. Wyjeżdżają na dachę cioci Tani. Słuchasz zwykłego kursu językowego w Radiu Moskwa, pięć razy w tygodniu, punktualnie od szóstej rano, tyle wiem od nich. „Zapytaj go o Borysa i Olgę. Zapytaj go, dlaczego po cichu uczy się rosyjskiego”. Więc pytam cię. To wszystko.

- To nie ich sprawa, że słucham tych audycji - wymamrotałem, wciąż zastanawiając się nad implikacjami mojego pytania. - Cholerne psy gończe. Uczyłem się prywatnie. Wybrałem kurs i słuchałem go prywatnie. Niech się odczepią. Ty też.

Roześmiałem się, choć czułem się nieco urażony.

- Nie zachowuj się tak, Cyril. Znasz przepisy tak jak ja. Ignorowanie przepisów nie jest w twoim stylu. Ani w moim. Rosyjski to rosyjski, a raport to raport. Kwestia tylko przelania tego na papier. Ja nie stworzyłem tych przepisów. Byłem na odprawie, jak wszyscy. - Znów mówiłem do jego pleców. Znalazł schronienie przy oknie, przez które patrzył na prostokąt swojego ogrodu.

- Jak się nazywają? - zapytał.

- Olga i Borys - powtórzyłem cierpliwie. To go rozwścieczyło.

- Ludzie, którzy przeprowadzili odprawę, idioto! Zamierzam złożyć na nich skargę! Włóż buciorami w czyjeś życie. Co za chamstwo. Szczerze mówiąc, ty też nie jesteś bez winy. Jak się nazywają?

Nie odpowiadałem. Chciałem, żeby wściekłość w nim zakipiała.

- Po pierwsze - oświadczył głośniejszym głosem, wciąż wyglądając przez okno. - Zapisujesz? Po pierwsze, nie uczestniczę w kursie w normalnym rozumieniu tego słowa. Kurs językowy to chodzenie do szkoły, siedzenie w ławce, narażenie się na kpiny nieokrzesanego lektora. Po drugie, owszem, słucham radia, podróże po falach radiowych w poszukiwaniu czegoś niezwykłego lub tajemniczego są jedną z moich stałych rozrywek. Zapisz to, a ja się pod tym podpiszę. Koniec, dobrze? Zabieraj się stąd. Skończyłem z tobą, dziękuję bardzo, mam tego dosyć. Bez urazy. Chodzi mi o nich.

- I w ten sposób trafiłeś na Borysa i Olgę - odpowiedziałem życzliwie, nie przestając pisać. - Rozumiem. Skakałeś po falach eteru i oto trafiłeś na nich. Na Borysa i Olgę. Nie ma w tym nic złego, Cyril. Zostań przy tej wersji, a może nawet załapiesz się na stypendium, jeśli zdasz test. To chyba tylko parę funtów, ale lepiej, jeśli znajdą się w twojej kieszeni niż w ich, zawsze to powtarzam. -

Pisałem dalej, lecz powoli, żeby słyszał irytujące skrzypienie służbowego ołówka. - Najbardziej razi ich niezgłaszanie czegoś - wyznałem, przeprasząc za kaprysy przełożonych. - „Jeśli nie powiedział nam o Oldze i Borysie, o czymś jeszcze też mógł nam nie powiedzieć”. Chyba nie można ich winić. Mogą stracić pracę tak jak my.

Przewróciłem następną stronę. Polizałem koniuszek ołówka. Zrobiłem kolejną adnotację. Zacząłem odczuwać podniecenie jak podczas pościgu. Miłość jako oddanie, powiedział, miłość jako część życia, miłość jako wysiłek, miłość jako ofiara. Ale miłość do kogo? Narysowałem ołówkiem grubą linię i przewróciłem stronę.

- Możemy teraz przejść do kontaktów z osobami zza żelaznej kurtyny, Cyril? - zapytałem najbardziej znużonym tonem, na jaki potrafiłem się zdobyć. - To oczko w głowie dyrekcji. Ciekawe, czy możesz dodać jakieś nowe nazwiska do listy osób, które wymieniłeś w minionych latach. Ostatnio - przekartkowałem strony do końca notesu - mój Boże, to było całe wieki temu. Jakiś dżentelmen z Niemiec Wschodnich, członek lokalnego towarzystwa chóralnego, do którego wstąpiłeś. Od tamtej pory nikt nie przychodzi ci do głowy? Przyznaję, że trochę się na ciebie uwzięli, Cyril, kiedy przyłapali cię na ukryciu kursu językowego w raporcie.

Jego rozczarowanie moją osobą ponownie przeszło w gniew. I znów zaczął akcentować najmniej prawdopodobne wyrazy, jakby walił w bęben. Lecz tym razem wydawało mi się, że wali we mnie.

- Wszystkie kontakty z osobami zza żelaznej kurtyny, przeszłe i bieżące, zostały przeze mnie należycie spisane i przedstawione moim przełożonym zgodnie z regulaminem. Gdybyś tylko zadał sobie trochę trudu i uzyskał te dane w dziale kadr Ministerstwa Spraw Zagranicznych przed tym przesłuchaniem - doprawdy, dlaczego przysłali takiego niedojdę jak ty...

Postanowiłem mu przerwać. Uznałem, że nie powinien mnie całkowicie zmieszać z błotem. Trochę tak, ale nie całkowicie, byłem bowiem przedstawicielem wyższej instancji. Wyciągnąłem kartkę z końca notesu.

- Popatrz tylko, mam. Wszystkie twoje kontakty na jednej stronie. Przez całe dwadzieścia lat było ich ledwie pięciu. Wszyscy sprawdzeni. Sprawdzają wszystkich, których się zgłasza. - Włożyłem kartkę z powrotem na miejsce. - A więc dodajemy kogoś? Kogo mam dopisać? Pomyśl, Cyril. Bez pośpiechu. Moi ludzie wiedzą bardzo dużo. Czasem aż mnie szokują. Nie spiesz się.

Nie spieszył się. Minęło sporo czasu. Postanowił rozczulić się nad sobą.

- Nie jestem dyplomatą, Ned - poskarżył się cienkim głosem. - Nie wychodzę co wieczór na przyjęcia w Belgravii, Knightsbridge, Kensington, St John's Wood. Medale, stroje wieczorowe, obracanie się wśród wielkich tego świata, to nie dla mnie. Jestem tylko urzędnikiem. Nie jestem takim człowiekiem ani trochę.

- Jakim człowiekiem, Cyril?

- Lubię inne rozrywki. Najbardziej towarzystwo przyjaciela. Wiem, Cyril. Przełożeni też wiedzą.

Kolejny wybuch gniewu, żeby ukryć wzbierającą panikę. Wyrazisty język ciała: zaciska wielkie pięści i podnosi łokcie.

- Na tej liście nie ma ani jednej osoby, która stanęłaby na mojej drodze od czasu, gdy o niej doniosłem. Nazwiska na tej liście dotyczyły wyłącznie jak najbardziej przypadkowych spotkań, które nie miały absolutnie żadnych konsekwencji.

- A jacyś nowi ludzie od tamtej pory? - dopytywałem się cierpliwie. - Nie można ich pominąć, Cyril. Nie wolno tego ani mnie, ani tobie.

- Gdyby był ktoś taki, jakiś nowy kontakt, choćby kartka świąteczna od kogoś, możesz być

spokojny, że od razu bym o nim zameldował. Koniec. Skończyłem. Następne pytanie, dziękuję.

Dyplomata, zanotowałem. O nim, zanotowałem. Święteczna, zanotowałem. Salzburg. Jeśli już, stałem się jeszcze bardziej flegmatyczny.

- Nie takiej odpowiedzi oczekują, Cyril - powiedziałem, robiąc notatki. - Szczerze mówiąc, to trochę wymijająca odpowiedź. Chcą, żebyś powiedział „tak” albo „nie”, a jeśli „tak”, to „kto”? Chcą prostej odpowiedzi i nie zadowolą się ogólnikami. „Nie przyznał się do kursu, więc czemu miałby przyznawać się do nowych kontaktów?” Tak rozumują. Ja też od nich to usłyszę. Wszystko ostatecznie skrupi się na mnie - ostrzegłem go, nie przestając pisać.

I znów poczułem, że moja flegmatyczność doprowadza go do szału. Chodził po pokoju, pstrykając palcami. Mamrotał, groźnie wykrzywił twarz i pomstował. Ale byłem zbyt zajęty pisaniem, żeby to wszystko zauważyć. Byłem starym Nedem, protokolantem Burra, wykonującym obowiązki z polecenia przełożonych.

- No więc jak będzie, Cyril? - powiedziałem wreszcie. I podnosząc notes, przeczytałem na głos, co zapisałem: „Ja, Cyril Frewin, uroczyście oświadczam, że nie poznałem, choćby przelotnie, żadnego obywatela Związku Radzieckiego lub bloku wschodniego, poza tymi, których już wymieniałem w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. Data i podpis”.

Ponownie zapaliłem fajkę i obserwowałem jej główkę, żeby upewnić się, czy dobrze ciągnie. Włożyłem wypaloną zapalniczkę do pudełka, a pudełko z zapalniczkami do kieszeni. Mój głos, który wcześniej zwolnił do tempa marszowego, teraz pełzał.

- Chyba że jest ktoś taki w twoim życiu. A w takim razie, dobrze ci radzę, masz teraz szansę, żeby mi o tym powiedzieć. Mnie i im. Wszystko, co powiesz, potraktuję poufnie. Oni też, w zależności od tego, co im powiem. A nie zawsze mówię im wszystko, w żadnym wypadku. W końcu nikt nie jest święty. A przełożeni pewnie znaleźliby coś nawet na świętego.

Celowo lub nieumyślnie dotknąłem czulego punktu. Czekał na pretekst i teraz mu go dostarczyłem.

- Święty? Kto mówi o świętym? Nie nazywaj mnie do cholery świętym, nie zniosę tego! Święty Cyril, tak mnie nazywają, wiedziałeś o tym? No jasne, że wiedziałeś, kpisz sobie ze mnie!

Skrzywiony i grubiański. Okłada mnie pięściami słów. Przyparty do muru odparowuje wszystkie ciosy.

- Gdyby istniała taka osoba - a nie istnieje - nie powiedziałbym o niej ani tobie, ani nikomu z was. Sprawę zrelacjonowałbym pisemnie, zgodnie z regulaminem, do działu kadr w...

Po raz drugi pozwoliłem sobie na przerwanie mu. Nie podobało mi się, gdy narzucał rytm naszemu pojedynkowi.

- Ale naprawdę nie ma nikogo takiego, tak? - powiedziałem z największym naciskiem, na jaki pozwalała mi moja pasywna rola. - Nie ma nikogo? Nie byłeś na żadnej uroczystości - przyjęciu, balu, spotkaniu - oficjalnej lub nie, w Londynie, poza Londynem, nawet za granicą, podczas której obecny byłby obywatel państwa zza żelaznej kurtyny?

- Muszę wciąż powtarzać „nie”?

- Chyba że odpowiedź brzmi „tak” - odparłem z uśmiechem, który mu się nie spodobał.

- Odpowiedź brzmi „nie”. Nie, nie i jeszcze raz nie. Powtarzam: nie. Zrozumiałeś?

- Dziękuję. Mogę więc zapisać „nikt”, tak? Co oznacza, że nie spotkałeś nikogo, nawet Rosjanina.

I możesz się pod tym podpisać. Tak?

- Tak.

- Czyli nie? - zasugerowałem, siląc się na kolejny kiepski dowcip. - Przepraszam, Cyril, ale

musimy mieć absolutną jasność, w przeciwnym razie dyrekcja spadnie na nas jak sęp. Popatrz, wszystko za ciebie napisałem. Podpisz tylko.

Podał mi ołówek i złożył podpis. Chciałem wpoić w niego ten nawyk. Oddał mi notes, uśmiechając się dramatycznie. Okłamał mnie i potrzebował pocieszenia w swojej niedoli. Więc dałem mu je - po to tylko, obawiam się, żeby wkrótce odebrać. Schowałem notes w wewnętrznej kieszeni, wstałem i przeciągnąłem się porządnie, jak gdybym chciał ogłosić przerwę w naszych obradach teraz, gdy krytyczny moment mieliśmy już za sobą. Pomasażowałem sobie plecy jak staruszek.

- Co tam robisz za wykopaliska, Cyril? - zapytałem. - Budujesz sobie schron, czy co? Myślałem, że w dzisiejszych czasach są już niepotrzebne.

Mój wzrok minął go i spoczął na stercie nowych cegieł przykrytych brezentem. Niedokończony rów o głębokości około pół metra przecinał trawnik i biegł w stronę domu.

- Buduję oczko wodne - odparł Frewin, z wdzięcznością podchwytyjąc nowy temat, zapoczątkowany moją krotkochwilną uwagą. - Tak się składa, że przepadam za wodą.

- Dla złotych rybek?

- Nie, ozdobne. - Wrócił mu dobry humor. Rozluźnił się, uśmiechnął, a jego uśmiech był tak ciepły i naturalny, że i ja odpowiedziałem mu uśmiechem. - Zamierzam zbudować trzy poziomy - wyjaśnił mi, przysuwając się poufale - począwszy od stu trzydziestu centymetrów nad ziemią, schodząc co pół metra w kierunku tego rowu. Następnie oświetlę każdy zbiornik od spodu ukrytą lampą. Wodę będzie pompować pompa elektryczna. I nocą, zamiast zasłaniać okno, będę mógł podziwiać własne oświetlone oczko wodne z wodospadami!

- I słuchać muzyki! - zawołałem, zarażając się w pełni jego entuzjazmem. - Sądzę, że pomysł jest cudowny, Cyril. Genialny. Jestem pod wrażeniem, naprawdę. Chciałbym, żeby moja żona to zobaczyła. A propos, jak było w Salzburgu?

Zatoczył się, pomyślałem, patrząc, jak jego głowa odwraca się ode mnie. Zadałem mu cios i teraz się zatacza, a ja poczekam, aż odzyska przytomność, i zadam mu kolejny.

- Podobno jeździsz do Salzburga na koncerty. To prawdziwa Mekka dla fanów muzyki. W Boże Narodzenie wystawiają operę, czy śpiewają tylko kolędy i hymny?

Musieli zamknąć ulicę, pomyślałem, wsłuchując się w niesamowicie głęboką ciszę. Zastanawiałem się, czy zapatrzony w ogród Frewin myśli o tym samym.

- Interesuje cię to? - odpowiedział. - Jesteś muzycznym ignorantem, sam przyznałeś. Umiesz tylko wścibiać nos w nie swoje sprawy.

- Verdi? Słyszałem o Verdim. Mozart? Był Austriakiem, prawda? Widziałem film. Założę się, że na święta grają Mozarta. Muszą. Jakie utwory?

Znów cisza. Usiadłem i przygotowałem się do spisania jego dyktanda.

- Jeździsz sam?

- Oczywiście.

- Ostatnim razem też? - Tak!

- Mieszkasz tam sam? - zapytałem. Roześmiał się głośno.

- Ja? Ani minuty. Ani przez chwilę. W pokoju czekają na mnie tancerki. Codziennie inne.

- A muzyka każdego wieczoru jest taka, jaką lubisz?

- Kto wie, co ja lubię?

- Czternaście wieczorów z muzyką. Właściwie dwanaście, jeśli odliczy się podróż.

- Może dwanaście, może czternaście, może trzynaście. Co za różnica? - Był wciąż oszołomiony.

Mówił z bardzo daleka.

- Po to jeździsz do Salzburga. Za to płacisz. Tak? Tak, Cyril? Proszę, daj mi jakiś znak. Wciąż mi się wydaje, że cię tracę. W ostatnie święta Bożego Narodzenia pojechałeś tam po to samo?

Kiwnął głową.

- Koncerty co wieczór? Opera? Kolędy? - Tak.

- Widzisz, problem polega na tym, że według moich przełożonych zatrzymałeś się w Salzburgu tylko na jeden dzień. Mówią, że przyjechałeś pierwszego dnia według rezerwacji, a nazajutrz rano już cię nie było. Zapłaciłeś za pokój z góry za dwa tygodnie, ale od drugiego dnia pobytu do twojego powrotu w hotelu cię nie widziano. Więc przełożeni nie bez kozery pytają, gdzie do diabła się podziewałeś. - Wykonałem najśmielszy jak do tej pory skok. - I z kim. Pytają, czy nie masz tam kogo na boku. Kogoś takiego, jak Borys i Olga, tylko prawdziwego.

Przełożyłem jeszcze kilka stron w notesie. W głębokiej ciszy szelest papieru brzmiał jak huk spadających cegieł. Zarażał mnie swym strachem. Jakbym dzielił z kimś nieszczęście. Od prawdy odgradzała nas cienka ścianka, lecz strach przed nią wydawał się równie potworny człowiekowi, który usiłował nie wpuszczać prawdy do środka, jak i mnie, choć usiłowałem ją wpuścić.

- Musimy tylko przelać wszystko na papier - powiedziałem. - A wtedy możemy o tym zapomnieć. Zawsze powtarzam, że jeśli coś nam przeszkadza, najlepiej chwycić za pióro. Posiadanie przyjaciela nie jest zbrodnią. Nawet obcokrajowca, trzeba tylko o tym napisać. Rozumiem, że on jest obcokrajowcem? Zauważam w tobie pewne wahanie. To musi być wspaniały przyjaciel, skoro zrezygnowałeś dla niego z tych wszystkich koncertów.

- Nie ma go. Nie istnieje. Odszedł. Stałem mu na drodze.

- Ale nie odszedł podczas świąt, prawda? Przecież spędziliście je razem. To Austriak?

Frewin sprawiał wrażenie martwego. Trup z otwartymi oczami. Uderzyłem go o jeden raz za dużo.

- No dobrze, w takim razie może jest Francuzem - zasugerowałem głośniejszym głosem, usiłując wyrwać go z zadumy. - Ten twój kumpel był zabojcą?... Nie przeszkadzałoby im, choć nie lubią Francuzików. No, a jankes, Cyril? Nie mogą gniewać się za jankesa! - Nie odpowiadał. - Chyba nie był Irlandczykiem? Mam nadzieję, że nie, bo dobrze ci życzę!

Roześmiałem się za niego, ale nic nie zdołało go ocucić. Stał przy oknie, zgiął kciuk i wciskał staw palca w czoło, jak gdyby próbował w nim zrobić dziurę po kuli. Czyżby coś szeptał?

- Nie dosłyszałem, Cyril!

- On jest ponad tym wszystkim.

- Ponad narodowością?

- Jest ponad nią.

- Chcesz powiedzieć, że jest dyplomatą?

- Nie przyjechał do Salzburga, nie umiesz do cholery słuchać? - Odwrócił się do mnie i zaczął wrzeszczeć. - Jesteś nedorajdą, wiesz o tym? Mniejsza o odpowiedzi, ty nawet nie umiesz zadawać właściwych pytań! Nic dziwnego, że kraj jest w takim stanie! Gdzie się podział twój rozum? Gdzie się podziało twoje ludzkie współczucie?

Znów wstałem. Powoli. Niech mnie obserwuje. Pomasażowałem się po plecach. Przeszedłem przez pokój. Pokręciłem głową, jakbym chciał powiedzieć, że to po prostu nie wystarczy.

- Próbuje ci pomóc. Gdybyś pojechał do Salzburga i został tam, to byłaby inna sprawa. Skoro pojechałeś gdzie indziej - no cóż, to zupełnie co innego. Powiedzmy, że twój kumpel jest Włochem. I

jeśli rzekomo

wyjeżdżałeś do Salzburga, ale naprawdę jeździłeś do Rzymu, Mediolanu lub Wenecji - to naprawdę zupełnie coś innego. Nie mogę robić wszystkiego za ciebie. To nie w porządku, a moi przełożeni nie podziękują mi za to.

Miał szeroko otwarte oczy. Przenosił swe szaleństwo na mnie, a sam przyznawał sobie status zdrowego na umyśle. Napeliłem fajkę tytoniem, skupiając na niej całą uwagę, choć nie przestawałem mówić.

- Trudno cię zadowolić, Cyril - ubijałem tytoń palcem - jeśli chcesz wiedzieć, jesteś marudą. „Nie dotykaj mnie tutaj, zabieraj rękę stamtąd, możesz to zrobić, ale tylko raz”. No więc o czym wolno mi mówić?

Potarłem zapalkę i przysunąłem ją do główki, widząc, że przeniósł zgięte kciuki do oczu, pragnąc się zdematerializować. Ale udałem, że nic nie widzę.

- No dobrze, zapomnijmy o Salzburgu. Jeśli Salzburg jest bolesny, odłóżmy Salzburg na bok i wróćmy do nowych kontaktów. Dobrze? Zgoda?

Powoli opuścił rękę. Brak odpowiedzi, nie nastąpiła też kategoryczna odmowa. Mówiłem dalej. Chciał tego. Wyczułem, że traktuje moje słowa jak most między prawdziwym światem a wewnętrznym piekłem, w którym mieszkał. Chciał, żebym mówił za nas dwóch. Czuję, że muszę uczynić wyznanie za niego i dlatego postanowiłem wyłożyć moją najgroźniejszą kartę.

- Przypuśćmy więc, dla dobra naszej dyskusji, że dodamy do tej listy Siergieja Modriana i skończymy na dziś - zasugerowałem niedbale, niemal połykając słowa, żeby zabrzmiały jak najmniej groźnie. - Tak na wszelki wypadek - dodałem pogodnie. - Co ty na to? - Wciąż miał opuszczoną głowę. Nie widziałem jego twarzy. Paplając radośnie, wyniszczyłem mu najnowszą propozycję. „No dobrze - powiemy im - bierzcie sobie tego nieszczęsnego Modriana. Nie zwracajcie już nam głowy, nie mamy nic innego do ukrycia. Zabierajcie go i idźcie do domu. Ned i Cyril mają dużo pracy”.

Kiwał się i uśmiechał jak wisielec. W niczym nie zmaconej ciszy, która zapanowała w okolicy, zdawało mi się, że słyszę, jak moje słowa odbijają się od dachów. Ale Frewin wyglądał, jakby ich nie słyszał.

- Modrian jest tym, do którego powinieneś się przyznać - tłumaczyłem. - Tak mi powiedzieli. Jeśli przyznasz się do Modriana, jeśli zapiszę jego nazwisko, co zaraz zrobię z twoim pozwoleniem, widzę przecież, że mnie nie powstrzymujesz, wówczas nikt nie będzie mógł nas oskarżyć o to, że nie jesteśmy szczerzy. „Tak, jestem kumplem Siergieja Modriana i niech was wszystkich diabli” - co powiesz na to? „I chodziłem z nim, tam gdzie chodziłem, robiliśmy to i tamto, zgodziliśmy się, żeby robić inne rzeczy i dobrze się bawiliśmy, albo nie. A zresztą, po co jest »głośność«, skoro wciąż zabrania mi się kontaktów z szalenie kulturalnym Rosjaninem?” Jak ci się podoba? Mniejsza teraz o luki, później się je zapełni. A wtedy, tak ja to widzę, odłożą teczkę na następny rok, a my będziemy mogli spokojnie spędzić weekend.

- Dlaczego?

Udałem, że nie rozumiem.

- Dlaczego mają odłożyć teczkę? - zapytał, dręczony podejrzeniami. - Skorą są tacy, jacy są? Nie odwrócą się i nie powiedzą: „Nie ma sprawy”. Nigdy. Nie oni. Tacy już są. Nie zmieniają się. Nie potrafią.

- Przestań, Cyril! - Zatopił się w myślach i coraz trudniej było mi do niego dotrzeć. - Cyril!

- Co znowu? O co ci chodzi? Nie krzycz.

- W dzisiejszych czasach nie ma nic złego w byciu Rosjaninem. Góra o wiele bardziej by się martwiła, gdyby Siergiej okazał się żabojadem! Zasugerowałem Francuza jako pułapkę. Teraz tego żałuję, przepraszam. Ale Rosjanie, na litość boską, to już nie tylko życzliwy naród, lecz partner! Znasz dyrekcję. Zawsze sanie na czasie. Tak jak Gorst. Naszym zadaniem jest wyznaczanie trendów. Słyszysz mnie, Cyril?

I właśnie wtedy przez chwilę pomyślałem, że przegrałem, straciłem jego współpracę, jego zależność, życzliwe zaufanie. Przeszedł obok mnie jak lunatyk. Znow stanął przy oknie, gdzie już pozostał, myśląc o swym niedokończonym oczku wodnym i wszystkich innych niedokończonych sprawach swego życia. Musiał wiedzieć, że tak już zostanie.

Ale nagle zaczął mówić i odetchnąłem z ulgą. Mówił nie o tym, co i z kim zrobił, ale dlaczego.

- Nie wiesz, co to znaczy być zamkniętym przez cały dzień z bandą kretynów?

Początkowo myślałem, że wyraża obawę co do swej przyszłości, ale zrozumiałem, że mówi o współpracownikach.

- Słuchać przez cały dzień wulgarnych dowcipów, dusić się w dymie papierosowym i ich smrodzie? Na pewno nie. Choć próbujesz prezentować się jak najskromniej i tak widać, że jesteś uprzywilejowany. Dzień po dniu: kawały o cyckach, majtkach, miesiączkach i małych numerkach na boku. „Święty, może ty dla odmiany opowiesz nam jakiś pieprzny dowcip? Założę się, że niezły z ciebie perwert, Święty! Co cię kręci, pepegi? Lubisz seks na ostro? Jak się bawi nasz Cyril w sobotnią noc?” - Energia znow w niego wstąpiła, a razem z nią, ku memu zdumieniu, nieoczekiwane zdolności mimiczne. Mizdrzył się do mnie, odgrywał królową music-hallu, jego gładką twarz wykrzywił upiorny uśmiech. - „Słyszałeś ten o harcerzach, Święty? Największe namioty stawiają rano. Rozumiesz?” Niby skąd masz wiedzieć? „Bawisz się swoim małym od czasu do czasu, Święty? Trochę przy nim manipulujesz, żeby się upewnić, czy wciąż tam jest? Oślepniesz od tego, albo ci odpadnie. Założę się, że masz wielkiego, co? Prawdziwa końska lacha aż do kolan, wciskasz ją w podwiązkę”... Nigdy nie miałeś z czymś takim do czynienia przez cały dzień w biurze, w stołówce? Jesteś dżentelmenem. Wiesz, co zrobili w prima aprilis? Ściśle tajny szyfrogram z Paryża do rąk własnych Frewina. Sprawa najwyższej wagi, rozumiesz? Ja nie rozumiałem. Zaszywam się więc w kabinie, wyciągam książki szyfrowe i zaczynam pracę. Ręcznie. Wszyscy siedzą cicho. Nikt sienie śmieje, nikt nie psuje zabawy. Robię pierwsze sześć grup i wychodzą same święstwa, jakiś święski dowcip o prezerwatywie. Sprawka Gorsta. Namówił chłopaków z ambasady w Paryżu, żeby wysłali szyfrogram dla kawału. „Spokojnie, Święty, nie denerwuj się, uśmiechnij się. To był tylko żart, Święty, nie znasz się na żartach?” To samo powiedzieli mi w kadrach, kiedy się poskarżyłem. Wyglupy, powiedzieli. Figle działają dobrze na morale. Poradzili mi, żebym przyjął to jako komplement. Pokaż, że równy z ciebie gość. Gdyby nie muzyka, już dawno bym się zabił. Zastanawiałem się nad tym, tobie mogę powiedzieć. Problem w tym, że nie zobaczyłbym ich twarzy, kiedy dowiedzieliby się, co zrobili.

Zdrajca potrzebuje dwóch rzeczy, wyznał mi gorzko Smiley w okresie, kiedy na jaw wyszła zdrada Haydona: musi kogoś nienawidzić i kogoś kochać. Frewin powiedział mi, kogo nienawidził. Teraz zaczął mówić o swej miłości.

- Tej nocy byłem wszędzie: Puerto Rico, Zielony Przylądek, Jo'burg, i nic nie zwróciło mej uwagi. Z reguły najbardziej lubię amatorów. Są bardziej błyskotliwi, co jak wiesz lubię. Nie zorientowałem się nawet, że było już rano. Mam tam te grube zasłony, za które zapłaciłem trzysta funtów. Po pracy spokój jest dla mnie prawdziwą rozkoszą.

Na jego twarzy zagościł inny uśmiech, uśmiech chłopca w dniu urodzin.

- „Dzień dobry, Borys, przyjacielu - mówi Olga. - Jak się dzisiaj czujesz?” Powtarza to samo po rosyjsku, a Borys odpowiada, że jest trochę przygnębiony. Borys często jest smutny. Zapada na słowiańską depresję. Ale Olga opiekuje się nim. Zażartuje sobie, ale nigdy w okrutny sposób. Od czasu do czasu dochodzi też między nimi do sprzeczek. Nic dziwnego, skoro wszystko robią razem. Ale zawsze godzą się w tym samym programie. Nie zachowują urazy do następnego dnia. Olga nie potrafiłaby, mówiąc szczerze. Nie potrafi się długo gniewać. Później oboje się z tego śmieją. Tacy już są. Pozytywni. Życzliwi. Pięknie mówią i naturalnie są muzykalni: w końcu są Rosjanami. Nie zachwycałem się zbytnio Czajkowskim, dopóki nie usłyszałem, jak o nim dyskutują. I od razu się do niego przekonałem. Borys ma bardzo wysublimowany gust. Olgę łatwiej jest zadowolić. No, ale są tylko aktorami, sądzę, że czytają z kartki. A jednak zapominasz o tym, kiedy ich słuchasz, próbując nauczyć się języka. Wierzysz im.

I przesyła się im prace pisemne, mówił.

Do poprawy i komentarza, mówił.

Później nawet nie trzeba pisać do Moskwy. Mają numer skrytki pocztowej w Luksemburgu.

Pogrążył się w milczeniu, ale nie było ono groźne. Zacząłem się jednak obawiać, że jego trans mógłby przedwcześnie się skończyć. Zszedłem mu z oczu i zaszyłem się w kącie pokoju.

- Jaki podałeś im adres?

- Ten, rzecz jasna. Nic innego nie mam. Ani domu w Shropshire, ani willi na Capri.

- Podałeś im też prawdziwe nazwisko?

- Oczywiście, że nie. Tylko Cyril. W końcu każdy może mieć na imię Cyril.

- Doskonale - powiedziałem z aprobatą. - Cyril jaki?

- Nemo - oświadczył z dumą. - Pan C. Nemo. „Nemo” po łacinie oznacza „nikt”, na wypadek, gdybyś nie wiedział.

Pan C. Nemo. Trochę jak pan C. Patriota.

- Podałeś zawód?

- Fałszywy. Znow zadajesz głupie pytania.

- Więc jaki napisałeś?

- Muzyk.

- Pytali o wiek?

- Oczywiście. Musieli. Musieli wiedzieć, czy mogą wylosować dla ciebie nagrodę. Nie mogą przyznawać nagród małoletnim, prawda? Jak wszędzie.

- A stan cywilny - kawaler czy żonaty - też im podałeś?

- Musiałem podać im stan cywilny, ponieważ niektóre nagrody przeznaczone były dla dwóch osób! Czasem nie można nagrodzić jednej osoby i nie wziąć pod uwagę żony, to byłoby nieeleganckie.

- Pamiętasz temat pracy, którą przesłałeś im na początku? Znow postanowił przymknąć oko na moją głupotę.

- Tępak. A myślisz, że co im wysłałem? Cholerne logarytmy? Najpierw wysłała się zgłoszenie, otrzymuje się formularze, zapisuje, dostaje się numer skrytki w Luksemburgu, książkę. Stajesz się jednym z nich. Później tylko robisz to, co każą ci Olga i Borys w programie. „Zróbcie ćwiczenie na stronie 9. Odpowiedzcie na pytania na stronie 12”. Nie uczyłeś się w szkole?

- I byłeś dobry. Szefowie twierdzą, że masz encyklopedyczny umysł. Tak mi powiedzieli. -

Zauważyłem, że bardzo cieszyły go pochlebstwa.

- Nie byłem tylko dobry, dziękuję wam, szefowie. Jeśli chcesz wiedzieć, należałem do ścisłej czołówki. Pewni lektorzy przysyłali mi listy, a niektóre napisane były w szalenie pochwalnym tonie - dodał z ukradkowym uśmiechem, który pojawiał się wtedy, kiedy go chwalono. - Jeśli chcesz wiedzieć, sprawiało mi ogromną przyjemność, gdy mogłem pójść do pracy w poniedziałek rano z jednym z ich liścików w kieszeni i nic nikomu nie mówić. Myślałem sobie: gdybym chciał, dopiero mógłbym wam opowiedzieć historie. Ale nie robiłem tego. Ceniłem sobie prywatność. Ceniłem sobie moje przyjaźnie. Nie chciałem, żeby te bydlaki robiły obleśne komentarze o Oldze i Borysie, o nie, dziękuję bardzo.

- I odpisywałeś tym lektorom?

- Tylko jako Nemo.

- Ale w innych sprawach nie oszukiwałeś ich? - zapytałem, próbując sobie wyobrazić, jakie ograniczenia, jeśli w ogóle jakieś istniały, mógł brać pod uwagę, kiedy wdawał się w swój pierwszy nielegalny romans. - Jeśli zadawali ci proste pytanie, dawałeś im prostą odpowiedź. Nic nie ukrywałeś?

- Nie! Nie miałem żadnego powodu! Dokładałem wszelkich starań, żeby być uprzejmy. Tak jak moi lektorzy. Niektórzy z nich byli wybitnymi profesorami, akademikami. Byłem wdzięczny i pilny. Musiałem taki być, przecież kurs był bezpłatny, dla ochotników i miał służyć ogólnoludzkiemu porozumieniu.

Znów obudził się we mnie myśliwy. Zastanawiałem się, jakie ruchy musieli wykonać, żeby go pozyskać. Zastanawiałem się, co ja zrobiłbym na ich miejscu, gdyby Cyrk wymyślił coś równie doskonałego.

- Przypuszczam, że wraz z postępami zwykle pisemne ćwiczenia zastępowali bardziej ambitnymi zadaniami: wypracowaniami, esejami?

- Kiedy Rada Lektorów uznała, że jestem gotów, zostałem rzucony na głębszą wodę.

- Pamiętasz tematy wypracowań, które ci zadawali? Roześmiał się z wyższością.

- Myślisz, że mógłbym o nich zapomnieć? Po pięciu nocach ze słownikiem? Po dwóch godzinach snu, jeśli mi się udało? Obudź się, Ned!

Wydałem z siebie cichy chichot, pisząc pod jego dyktando.

- Pierwszy temat: „Moje życie”. Opowiedziałem im o Tanku, nie wymieniając oczywiście ani nazwisk, ani charakteru naszej pracy. W wypracowaniu, nie ukrywam tego, zawarłem elementy komentarza społecznego. Sądziłem, że Rada ma prawo to wiedzieć, zwłaszcza wobec „główności” i globalnej odwilży dla dobra całej ludzkości.

- A następny temat?

- „Mój dom”. Napisałem im o planach wybudowania oczka wodnego. Spodobało im się. I o gotowaniu. Jeden z nich jest niezłym kucharzem. Później zadali mi temat: „Moja ulubiona rozrywka”, co mogło być bez znaczenia, ale nie było.

- Podejrzewam, że napisałeś o swej miłości do muzyki?

- Pudło.

Do dziś dźwięczy mi w uszach jego odpowiedź: oskarżenie, wołanie o pomoc do drugiego cierpiętника, modlitwa rzucona na ślepo w przestrzeń przez człowieka, który tak jak ja desperacko potrzebował miłości, zanim będzie za późno.

- Jako ulubioną rozrywkę wybrałem „dobre towarzystwo” - powiedział, a ukradkowy uśmiech

znów wypłynął na jego twarz. - W moim życiu dotychczas często brakowało dobrego towarzystwa, ale umiem cieszyć się tymi nielicznymi okazjami, kiedy miałem szansę się nim delektować. - Zamilkł, jakby zapomniał, że mówi, znów zaczął, słowami, których mogłem użyć ja, mówiąc o Sally. - Odnosiłem wrażenie, że wyrzekłem się w życiu czegoś, co pragnę teraz odzyskać - powiedział.

- Rozumiem, że dobrze przyjęli twoje zaawansowane prace? I tym razem też byli pod wrażeniem?

- zapytałem, skrobiąc pilnie w notatniku.

Znów się uśmiechnął szelmowsko.

- Trochę. Wspominali o tym między wierszami. Raz na jakiś czas. Oczywiście nie bez zastrzeżeń.

- Czemu tak sądzisz?

- Ponieważ w przeciwieństwie do innych byli na tyle przyzwoici i szczerzy, że okazali mi swe uznanie. Dlatego.

Okazali uznanie, powiedział Frewin - a ja właściwie nie musiałem już go naciskać, bo okazali je w osobie niejakiego Siergieja Modriana, pierwszego sekretarza do spraw kultury w ambasadzie radzieckiej w Londynie, którego wysłano jako emisariusza Radia Moskwa w odpowiedzi na modlitwy Frewina.

Modrian jak wszyscy dobrzy aniołowie zjawił się bez zapowiedzi przed drzwiami Frewina w pewną deszczową listopadową sobotę, przynosząc ze sobą dary: butelkę moskiewskiej wódki, puszkę kawioru z jesiotra i podle wydaną książkę o balecie teatru Bolszoi. A także uroczyste napisany na maszynie list, w którym przyznano panu C. Nemo tytuł Honorowego Studenta Państwowego Uniwersytetu Moskiewskiego w uznaniu jego niezwykłych postępów w nauce języka rosyjskiego.

Lecz najwspanialszym podarunkiem była czarująca osoba samego Modriana, wyszkolonego do tego, żeby zapewniać dobre towarzystwo, za którym Frewin tak głośno tęsknił w swym nagrodzonym eseju dla Rady.

Dotarliśmy do celu. Frewin był spokojny, Frewin triumfował; Frewin, nieważne na jak długo, był spełniony. Jego głos uwolnił się z pęt, bezbarwną twarz rozświetlił uśmiech człowieka, który zaznał prawdziwej miłości i pragnął podzielić się swym szczęściem. Gdyby znalazł się na świecie ktoś, kto wywołałby taki sam uśmiech na mojej twarzy, byłbym innym człowiekiem.

- Modrian, Ned? Siergiej Modrian? To absolutnie najwyższa klasa. Wystarczyło jedno spojrzenie, żebym się o tym przekonał. Żadnych półśrodków, pomyślałem, ten człowiek idzie na całego. Mieliśmy identyczne poczucie humoru, ironiczne, z miejsca to zauważyłem. Nic się przede mną nie ukryło. Te same zainteresowania, nawet ci sami ulubieni kompozytorzy. - Próbował przybrać bardziej powściągliwy ton, ale bez powodzenia. - Moje doświadczenie mówi mi, że w życiu bardzo rzadko zdarza się, aby dwie istoty ludzkie w sposób naturalny były tak do siebie dopasowane pod każdym względem. Tylko jeśli chodzi o kobiety, doświadczenia Siergieja znacznie przewyższają moje. Stosunek Siergieja do kobiet - próbował przybrać ton pełen nagany. - Tak to ujmę: gdyby ktoś inny zachowywał się

‘w ten sposób, trudno byłoby mu uzyskać moją aprobatę.

- Przedstawiał cię jakimś kobietom, Cyril?

Jego twarz natychmiast przybrała oburzony wyraz.

- Zapewniam cię, że nigdy, o nie. Nie dopuściłbym do tego. A on wiedział, że to nie wchodzi w zakres naszej przyjaźni.

- Nawet podczas waszych wspólnych wyjazdów do Rosji? - zaryzykowałem, wykonując za niego

kolejny skok.

- Nigdzie. To by wszystko zepsuło. Zabiło na amen.

- Więc to plotki, co mówią o jego kobietach?

- Wcale nie. Siergiej sam mi o tym opowiadał. Siergiej Modrian miał całkowicie bezwzględny stosunek do kobiet. Jego znajomi potwierdzili tę opinię. Bezwzględny.

Nie mogłem się nadziwić psychologicznemu sprytowi Modriana, a może to jego przełożeni byli sprytni? Między Modrianem, bezwzględnym kobieciarzem, i Frewinem, bezwzględnym wrogiem kobiet, rzeczywiście istniała naturalna więź.

- A więc poznałeś też jego znajomych - powiedziałem. - Przypuszczalnie w Moskwie. W Boże Narodzenie.

- Tylko tych, którym ufał. Szacunek, jakim go darzyli, był niewiarygodny. Byłem też w Leningradzie. Nie grymasiłem, nie miałem prawa. Byłem gościem. Zgadzałem się na wszystko, co dla mnie zorganizowali.

Nie odwracałem oczu od notesu. Bóg jeden wie, co w nim wypisywałem. Totalny bełkot. Później nie mogłem odczytać całych fragmentów. Wybrałem najbardziej obojętny ton głosu.

- A wszystko po to, żeby uhonorować twoje nadzwyczajne zdolności lingwistyczne? A może już wtedy świadczyłeś Modrianowi nieoficjalnie usługi? Na przykład dostarczałeś mu informacji? Tłumaczenia i tak dalej. Podobno wielu to robi. Oczywiście nie powinni. Ale czy można winić za to ludzi? Że chcą pomóc „głasności”, skoro już zaistniała? Czekaliśmy na to wystarczająco długo. Muszę tylko odpowiednio to opisać. W przeciwnym razie obedną mnie ze skóry.

Nie śmiałem na niego spojrzeć. Po prostu nie przestawałem pisać. Przewróciłem stronę i napisałem: „mów dalej, mów dalej, mów dalej”. I wciąż nie podnosiłem wzroku.

Usłyszałem, że coś szepcze. Nie zrozumiałem.

- Nieprawda - wymamrotał. - Nie robiłem tego. Nigdy, do jasnej cholery. - Zaczął mówić głośnie. - Nie mów tak, dobrze? Już nigdy tak nie mów, ani ty, ani twoi przełożeni. „Dostarczanie informacji”. Co to za sformułowanie? To złe słowa. Mówię do ciebie, Ned!

Podniosłem wzrok, wciągnąłem dym z fajki i uśmiechnąłem się.

- Ależ oczywiście, Cyril, słyszę. Przepraszam. Jesteś szósty w tym tygodniu. Wszyscy teraz mówią o głasności. Taka moda. Zaczynam czuć swoje lata.

Postanowił mnie pocieszyć. Usiadł. Nie w fotelu, lecz na poręczu. Przyjął sposób bycia wujaszka, przyjaciela, który przywiódł mi na myśl mojego szkolnego dyrektora.

- Jesteś materiałem na liberała, Ned, prawda? Masz to wypisane na twarzy, choć jest też z ciebie mały lizus.

- Na swój sposób jestem chyba liberałem, tak - przyznałem. - Chociaż naturalnie muszę też myśleć o emeryturze.

- Oczywiście, że jesteś! Przecież popierasz gospodarkę mieszaną, prawda? Ciebie też razi rozdźwięk między nędzą i bogactwem w społeczeństwie. Humanitaryzm ponad ideologią, wierzysz w to? Zatrzymać wykolejony pociąg kapitalizmu, który niszczy wszystko na swojej drodze? Oczywiście, że wierzysz! Przypuszczam, że w granicach rozsądku troszczysz się o środowisko. Borsuki, wieloryby, futra, elektrownie. Nęci cię nawet wizja wspólnoty, jeśli tylko nie gwałci praw innych. Bracia i siostry maszerują razem ku wspólnym celom. Kultura i muzyka dla wszystkich! Swoboda poruszania się i wolność wyboru! Pokój! No i co?

- Całkiem mi się to podoba - przyznałem.

- Jesteś za młody, żeby pamiętać lata trzydzieste; ja też. Ale nawet gdybym miał swoje lata, nie przystałbym do faszystów. Jesteśmy dobrymi ludźmi, to wszystko. Rozsądnymi ludźmi. Taki był też Siergiej. Ty i Siergiej - widzę to w twojej twarzy, Ned, nie ma sensu ukrywać, jesteście ulepieni z tej samej gliny. Więc nie opisuj mnie na czarno, a siebie na biało, ponieważ jesteśmy pokrewnymi duszami, tak jak ja i Siergiej. Po tej samej stronie barykady w walce z podłością, brakiem kultury, chamstwem. „Jesteśmy nie uznaną arystokracją” - tak nazywał nas Siergiej. Miał rację. Ty też do niej należysz, bez dwóch zdań. Bo jaki mamy wybór? Co jest alternatywą tego, co obserwujemy każdego dnia, degradacji, marnotrawstwa, braku szacunku? Kogo mamy słuchać w nocy na poddaszu, kręcąc gałką radia? Na pewno nie yuppies. Ani opływających w bogactwa świń - cóż nam mają do powiedzenia? Ani tych, którzy wyznają zasadę „produkować więcej, wydawać więcej, żyć szybciej”, oni też są do niczego. Ani brygady spod znaku majtek i cycków. W pośpiechu nie przejdziemy też na islam, nie wtedy, gdy wrywają sobie z rąk państwa i używają trujących gazów. Więc jaką alternatywę ma wrażliwy człowiek, człowiek z sumieniem, teraz, gdy Rosjanie zakładają włosiennicę? Kto nam został? Gdzie jest jakaś wizja? Gdzie pomoc? Przyjaźń? Ktoś musi wypełnić tę lukę. Nie mogą mnie zostawić na pastwę losu. Nie poradzę sobie. Nie po znajomości z Siergiejem, Ned. Umarłbym. Siergiej był dla mnie najważniejszym człowiekiem na świecie. Był dla mnie jedzeniem, piciem i radością. Był dla mnie sensem. Chcę wiedzieć, co teraz będzie. Pewnie potoczy się parę głów. Siergiej miał swoją ideologię. W tobie jej nie widzę, tak mi się w każdym razie wydaje. Mnie czasem mignie ona przed oczami, odzywa się jakaś tęsknota, ale zaraz przychodzą wątpliwości. Nie wiem, czy się nadajesz.

- Wypróbuj mnie - zaproponowałem.

- Nie masz chyba odpowiedniej błyskotliwości. Czar. Pomyślałem o tym, kiedy tu wszedłeś. Porównywałem cię w myślach z Siergiejem i obawiam się, że znalazłem spore braki. Siergiej nie poruszał się ociężale jak słoń w składzie porcelany. Olśnił mnie błyskawicznie. Dzwoni do drzwi, wkracza do środka, jakby właśnie kupił ten dom, siada w tym samym fotelu co ty, ale jest bardziej czujny - nie usiedział w jednym miejscu zbyt długo. Był niesamowitym wiercipiętą, nawet w operze. Później uśmiechnął się jak chochlik i wzniósł toast kieliszkiem wódki. „Gratulacje, panie Nemo - powiedział. - Mogę zwracać się do ciebie C? Wygrałeś konkurs, a nagrodą jestem ja”.

Przesunął wierzchem dłoni po ustach i zdałem sobie sprawę, że w ten sposób stał z nich uśmiech.

- Siergiej nie zasypiał gruszek w popiele.

Roześmiał się, a ja mu zawtórowałem. Modrian był dla niego złudną wolnością, tak jak Sally dla mnie.

- Nie zdjął nawet płaszcza - ciągnął dalej. - Przeszedł od razu do meritum. „Najpierw musimy omówić ceremonię. Bez żadnego zadęcia, panie Nemo, tylko moi przyjaciele, wśród których są Borys, Olga i kilku wysokich dygnitarzy z Rady. I małe przyjęcie dla grupy pana wielbicieli w Moskwie”. „W ambasadzie? - zapytałem. - W takim razie odmawiam. Moi przełożeni by mnie zabili, nie zna pan Gorsta”. „Nie, nie, panie Nemo. Nie mówię o ambasadzie, kogo obchodzi ambasada? Mówię o szkole języków obcych przy Państwowym Uniwersytecie Moskiewskim i o oficjalnym przyznaniu panu tytułu honorowego studenta”. Myślałem najpierw, że umarłem. Serce przestało mi bić. Czuję to. Nigdy w życiu nie wyjechałem poza Dover, nie mówiąc już o Rosji, choć byłem pracownikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych. „Mam pojechać do Moskwy? - pytam. - Postradał pan zmysły. Jestem szyfrantem, a nie przywódcą ruchu związkowego. Nie mogę tak po prostu

przyjechać do Moskwy. Dostałem nagrodę, tytuł honorowego studenta, a Olga i Borys chcą uściskać mi dłoń. Chyba pan nie rozumie mojej sytuacji. Wykonuję pracę o szczególnym charakterze. Koledzy nie są szczególni, ale praca tak. Mam stały i regularny dostęp do ściśle tajnych materiałów. Nie jestem pierwszą lepszą osobą z ulicy, która poleci sobie do Moskwy bez niczyjej zgody. Chyba pisałem o tym w moich esejach, przynajmniej w niektórych”. „Więc niech pan pojedzie do Salzburga. Kto się zorientuje? Niech pan poleci do Salzburga, powie, że na koncerty, a później wyślizgnie się do Wiednia. Będę miał przygotowane bilety lotnicze - wprawdzie Aerofłotu, ale to przecież tylko dwie godziny - żadnych nonsensów z paszportami po wylądowaniu, ceremonia będzie cicha, nikt się nie dowie”. I wręczył mi ten zwinięty w rulon dokument z podpalanymi krawędziami, formalne zaproszenie, podpisane przez całą Radę, z jednej strony po angielsku, z drugiej po rosyjsku. Nie ukrywam, przeczytałem wersję angielską. Nie chciałem siedzieć przed nim ze słownikiem przez godzinę, prawda? Wyglądałbym jak skończony idiota, a nie najlepszy student. - Przerwał. Wydawało mi się, że był trochę zawstydzony. - Wtedy powiedziałem mu, jak się nazywam - wyznał. - Nie powinienem tego robić, ale miałem już dosyć Nemo. Chciałem być sobą.

Teraz muszę się wam wymknąć na chwilę, tak jak Cyril wymknął się mnie. Do tej pory nadażalem jakoś za biegiem jego myśli. Czasem nawet ośmielałem się wskazywać im drogę. Ale nagle wyrwał do przodu, a ja miałem kłopoty z dotrzymaniem mu kroku. Kiedy on był już w Rosji, ja pozostawałem jeszcze w Anglii. Przeniósł się tam bez żadnego ostrzeżenia. Mówił o Borysie i Oldze, ale nie o ich audycjach, lecz wyglądzie. O tym, jak Borys zarzucił mu ręce na szyję, a Olga uraczyła skromnym, lecz płynącym z głębi serca rosyjskim pocałunkiem - z reguły nie pochwalał pocałunków, ale u Rosjan pocałunki są czymś innym niż u Gorsta, więc nie miał nic przeciwko temu. Z czasem zaczął ich nawet oczekiwać, ponieważ stanowiły element rosyjskiej życzliwości. Frewin wyglądał na młodszego o dwadzieścia lat, kiedy opowiadał, jak wszyscy skakali wokół niego, czuł się, jakby obchodził wszystkie urodziny, o których nikt nigdy nie pamiętał.

- Olga z Borysem we własnej osobie, Ned, siedziałem obok nich, a oni zachowywali się naturalnie, tak samo jak w radiu. „Gratuluję ci, Cyril - mówiła Olga - fenomenalnych postępów w nauce języka rosyjskiego”.

Naturalnie przez tłumaczy, aż tak fenomenalny nie byłem. A później Borys: „Jesteśmy dumni, że możemy ci pomóc, Cyril. Prawdę mówiąc, wielu naszych słuchaczy rezygnuje z nauki, ale nie wszyscy są tak mało wytrwali”.

Wtedy już poskładałem sobie z kawałków scenę, którą odmalowywał mi tak zamaszystymi i nieprzewidywalnymi pociągnięciami pędzla: pierwsze święta Bożego Narodzenia w Rosji, a dla Frewina, nie miałem wątpliwości, pierwsze wspaniałe święta w ogóle, z Siergiejem Modrianem w roli głównej. W wielkiej sali gdzieś w Moskwie, z żyrandolami, przemówieniami i honorami oraz z pięćdziesięcioma starannie dobranymi statystami z Centrali Moskiewskiej. Frewin był w rajku, zgodnie z życzeniem Modriana.

Nagle urwał wspomnienia równie raptownie, jak mnie nimi uraczył. W jego oczach zgasło światło, głowa przechyliła się na bok. Podniósł brwi, jakby osądzał własne zachowanie.

Nawiązałem ostrożnie do teraźniejszości.

- Gdzie on jest? - zapytałem. - Ten dokument, który ci wręczył Modrian? Ten zwój, Cyril. Zaproszenie. Gdzie?

Spojrzał na mnie, budząc się powoli.

- Musiałem oddać Siergiejowi. „Kiedy już będziemy w Moskwie - obiecał - powiesz go sobie

na ścianie w złotej ramce. Ale nie tutaj. Nie chciałbym cię narażać”. Myślał o wszystkim i miał rację, skoro ty i twoi przełożeni śledzą mnie dzień i noc.

Nie pozwoliłem sobie na przerwę, zmianę głosu, nawet na przybranie obojętnego tonu. Znów spuściłem wzrok i sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki. Byłem dla niego kandydatem na miejsce Siergieja i zabiegał o moje względy. Pokazywał mi swoje sztuczki i prosił, żebym go zaakceptował. Instykt podpowiadał mi, żebym go jeszcze przycisnął. Znów zajrzałem do notesu i przemówiłem zupełnie tak, jakbym go pytał o nazwisko dziadka ze strony matki.

- Więc kiedy zaczęłeś przekazywać Siergiejowi brytyjskie tajemnice? - zapytałem. - A w każdym razie to, co nazywamy tajemnicami. Rzecz jasna, coś, co było tajemnicą kilka lat temu, dzisiaj przestaje nią być, prawda? Przecież nie wygraliśmy zimnej wojny tajemniczością? Wygraliśmy ją otwartością. Głasnnością.

Po raz drugi wspominałem o przekazywaniu tajnych informacji, lecz tym razem, kiedy przekroczyłem za niego Rubikon, poszedł za mną. Chyba nie zauważył, że jest na drugim brzegu.

- No właśnie. W ten sposób ją wygraliśmy. A Siergiej początkowo nawet nie domagał się żadnych tajemnic. „One nie są dla mnie ważne - powiedział. - Z radością zauważam, że w naszym zmiennym świecie tajemnice są mało chodliwym towarem. Wolałbym utrzymać naszą przyjaźń na stopie nieoficjalnej. W każdym razie, jeśli będę potrzebował czegoś z tej beczki, nie omieszkam ci powiedzieć”. Na razie miałem tylko napisać dla niego kilka nieoficjalnych raportów na temat programów Radia Moskwa, żeby zadowolić szefów. Na przykład, czy odbiór jest dobry. Myślałem, że to akurat wiedzą, ale nie. Mówiąc szczerze, nigdy nie wiadomo, czego Rosjanie nie wiedzą. To nie krytyka, tylko fakt. Pragnął też poznać moją opinię o kursie, ogólnie o poziomie nauczania, czy mam jakieś sugestie dla Borysa i Olgi na przyszłość, ponieważ uważali mnie za wyjątkowego ucznia.

- Więc co wywołało zmianę?

- Jaką zmianę? Wyrażaj się jaśniej, Ned. Nie jestem nikim. Nie jestem panem Nemo. Jestem Cyrilem.

- Co sprawiło, że niechęć Siergieja do przyjmowania tajnych informacji od ciebie uległa zmianie?

- Ambasada. Twardogłowi. Barbarzyńcy. Oni sienie zmieniają. Wymusili to na nim. Nie chcieli uznać biegu historii; woleli pozostać troglodytami i ciągnąć dalej tę swoją groteskową zimną wojnę. Powiedziałem, że nie rozumiem, że mój umysł tego nie obejmuje.

- Cóż, mnie to wcale nie dziwi. Powiem tak. W ambasadzie wielu osobom nie podobało się, że zbyt wiele czasu poświęca się kulturze. Między dwoma wrogimi obozami toczyła się wojna. Ja byłem tylko jej bezsilnym obserwatorem. Obóz gołębi popierał oczywiście kulturę, a nade wszystko głośność. Przewidywali, że kultura wypełni próżnię pozostawioną po zaprzestaniu wrogich działań. Siergiej i to mi wytłumaczył. Ale obóz jastrzębi, do którego należał sam ambasador, chciał, stwierdzam z przykrością, żeby Siergiej koncentrował się na kontynuacji starych idei, a raczej tego, co po nich zostało, żeby zbierał informacje i w ogóle zachowywał się w agresywny i konspiracyjny sposób, nie bacząc na zmianę klimatu politycznego na świecie. Twardogłowych z ambasady ani trochę nie obchodziło, że Siergiej jest idealistą. Gorst też by tego u nas nie tolerował. Siergiej musiał więc prowadzić szalenie ryzykowną grę, zadowolając po trochu obydwaj obozy. Ja też, to był mój obowiązek. Zajmowaliśmy się razem kulturą, trochę językiem, trochę sztuką i muzyką; a później zajmowaliśmy się tajemnicami, żeby dogodzić jastrzębiom. Musieliśmy tłumaczyć się przed wszystkimi stronami, tak jak ty przed swoimi szefami, a ja przed Tankiem.

Odpląwał, wymykał mi się. Musiałem uderzyć mocniej.

- Więc kiedy? - zapytałem niecierpliwie.

- Co kiedy?

- Nie próbuj mnie przechytryć, Cyril, dobrze? Muszę to spisać. Spójrz na zegarek. Kiedy zacząłeś przekazywać Siergiejowi Modrianowi informacje, co mu przekazywałeś, za co, za ile, kiedy przestałeś i dlaczego, skoro równie dobrze mogło to trwać nadal. Jeśli pozwolisz, Cyril, nie chciałbym tracić weekendu. Moja żona też. Chciałbym rozwalić się na kanapie przed telewizorem. Nie płacami za nadgodziny, wiesz o tym? Pracujemy na akord. Każdy kandydat liczony jest tak samo, kiedy przychodzi do wypłaty. Żyjemy w czasach oszczędności, mówię na wypadek, gdybyś tego nie zauważył. Podobno jeśli nie będziemy się mieli na baczności, to nas sprywatyzują.

Nie słyszał mnie. Nie chciał. Błądził ciałem i duchem, szukając wytchnienia, kryjówki. Mój gniew nie był w całości symulowany. Zacząłem nienawidzić Modriana. Złościło mnie, że nasze przetrwanie w tak wielkim stopniu zależy od łatwowierności niewinnych. Brzydziło mnie, że oszust pokroju Modriana zdołał zamienić samotność Frewina w zdradę. Czułem się zagrożony myślą, że miłość może stanowić antytezę obowiązku.

Wstałem szybko, wciąż mając za sojusznika gniew. Frewin siedział nieruchomo na krawędzi rzeźbionego stołka z przyszytym do siedliska emblematem Royal Navy.

- Pokaż mi zabawki - rozkazałem.

- Jakie zabawki? Jestem dorosłym mężczyzną, za pozwoleniem, nie małynvdzieckiem. To mój dom. Nie mów mi, co mam robić.

Znałem metody Modriana, urzędnika, których używał, w co zaopatrywał swoich agentów. Znałem też swoje metody od czasu, kiedy prowadziłem odpowiedników Frewina przeciw radzieckim celom, choć może nie byli tak obłąkani jak on. Wyobrażałem sobie, jak potraktowałbym tak cenną zdobycz jak Frewin, człowieka, który żyje na pograniczu szaleństwa.

- Chcę zobaczyć twój aparat fotograficzny, mogę? - powiedziałem rozdrażniony. - Nadajnik? Plan transmisyjny. Księgi szyfrów. Kryształy. Biały węgiel do tajnej korespondencji. Urządzenia maskujące. Chcę je zobaczyć, Cyril, włożyć do teczki na poniedziałek i wrócić do domu, żeby obejrzeć mecz Arsenalu z United. Może nie jest to rozrywka w twoim guście, ale w moim owszem. Błagam więc, pospiesz się trochę i oszczędź mi tych dupereli.

Czułem, że jego szaleństwo wyczerpuje się. Był wypalony, ja zresztą też. Siedział ze spuszczoną głową i rozkraczonymi nogami, gapiąc się tępo w swoje dłonie. Wyczuwałem w nim początek końca, moment, kiedy pokutnika zaczyna męczyć spowiedź oraz emocje, które go do niej skłoniły.

- Cyril, moja cierpliwość się wyczerpuje - ostrzegłem.

I ponieważ wciąż nie odpowiadał, podszedłem do telefonu, tego samego, w którym fałszywy technik Monty 'ego zainstalował stały podsłuch. Wykręciłem bezpośredni numer do Burra i usłyszałem w słuchawce głos jego wytwornej sekretarki, tej, która nie знаła mojego nazwiska.

- Kochanie? - odezwał się. - Jeśli dopisze mi szczęście, to jeszcze potrwa jakąś godzinę. Mam tutaj ciężki przypadek. Dobrze, w porządku, wiem, przepraszam. Powiedziałem przepraszam. Tak, oczywiście.

Odłożyłem słuchawkę i wbiłem w niego oskarżycielskie spojrzenie. Wstał powoli i poprowadził mnie po schodach na górę. Na poddaszu miał niego kilka nieoficjalnych raportów na temat programów Radia Moskwa, żeby zadowolić szefów. Na przykład, czy odbiór jest dobry. Myślałem, że to akurat wiedzą, ale nie. Mówiąc szczerze, nigdy nie wiadomo, czego Rosjanie nie wiedzą. To

nie krytyka, tylko fakt. Pragnął też poznać moją opinię o kursie, ogólnie o poziomie nauczania, czy mam jakieś sugestie dla Borysa i Olgi na przyszłość, ponieważ uważali mnie za wyjątkowego ucznia.

- Więc co wywołało zmianę?

- Jaką zmianę? Wyrażaj się jaśniej, Ned. Nie jestem nikim. Nie jestem panem Nemo. Jestem Cyrilem.

- Co sprawiło, że niechęć Siergieja do przyjmowania tajnych informacji od ciebie uległa zmianie?

- Ambasada. Twardogłowi. Barbarzyńcy. Oni sienie zmieniają. Wymusili to na nim. Nie chcieli uznać biegu historii; woleli pozostać troglodytami i ciągnąć dalej tę swoją groteskową zimną wojnę.

Powiedziałem, że nie rozumiem, że mój umysł tego nie obejmuje.

- Cóż, mnie to wcale nie dziwi. Powiem tak. W ambasadzie wielu osobom nie podobało się, że zbyt wiele czasu poświęca się kulturze. Między dwoma wrogimi obozami toczyła się wojna. Ja byłem tylko jej bezsilnym obserwatorem. Obóz gołębi popierał oczywiście kulturę, a nade wszystko głośność. Przewidywali, że kultura wypełni próżnię pozostawioną po zaprzestaniu wrogich działań. Siergiej i to mi wytłumaczył. Ale obóz jastrzębi, do którego należał sam ambasador, chciał, stwierdzam z przykrością, żeby Siergiej koncentrował się na kontynuacji starych idei, a raczej tego, co po nich zostało, żeby zbierał informacje i w ogóle zachowywał się w agresywny i konspiracyjny sposób, nie bacząc na zmianę klimatu politycznego na świecie. Twardogłowych z ambasady ani trochę nie obchodziło, że Siergiej jest idealistą. Gorst też by tego u nas nie tolerował. Siergiej musiał więc prowadzić szalenie ryzykowną grę, zadowolając po trochu obydwu obozy. Ja też, to był mój obowiązek. Zajmowaliśmy się razem kulturą, trochę językiem, trochę sztuką i muzyką; a później zajmowaliśmy się tajemnicami, żeby dogodzić jastrzębiom. Musieliśmy tłumaczyć się przed wszystkimi stronami, tak jak ty przed swoimi szefami, a ja przed Tankiem.

Odpływał, wymykał mi się. Musiałem uderzyć mocniej.

- Więc kiedy? - zapytałem niecierpliwie.

- Co kiedy?

- Nie próbuj mnie przechytrzyć, Cyril, dobrze? Muszę to spisać. Spójrz na zegarek. Kiedy zacząłeś przekazywać Siergiejowi Modrianowi informacje, co mu przekazywałeś, za co, za ile, kiedy przestałeś i dlaczego, skoro równie dobrze mogło to trwać nadal. Jeśli pozwolisz, Cyril, nie chciałbym tracić weekendu. Moja żona też. Chciałbym rozwalić się na kanapie przed telewizorem. Nie płacami za nadgodziny, wiesz o tym? Pracujemy na akord. Każdy kandydat liczony jest tak samo, kiedy przychodzi do wypłaty. Żyjemy w czasach oszczędności, mówię na wypadek, gdybyś tego nie zauważył. Podobno jeśli nie będziemy się mieli na baczności, to nas sprywatyzują.

Nie słyszał mnie. Nie chciał. Błądził ciałem i duchem, szukając wytchnienia, kryjówki. Mój gniew nie był w całości symulowany. Zacząłem nienawidzić Modriana. Złościło mnie, że nasze przetrwanie w tak wielkim stopniu zależy od łatwowierności niewinnych. Brzydziło mnie, że oszust pokroju Modriana zdołał zamienić samotność Frewina w zdradę. Czuję się zagrożony myślą, że miłość może stanowić antytezę obowiązku.

Wstałem szybko, wciąż mając za sojusznika gniew. Frewin siedział nieruchomo na krawędzi rzeźbionego stołka z przyszytym do siedliska emblematem Royal Navy.

- Pokaż mi zabawki - rozkazałem.

- Jakie zabawki? Jestem dorosłym mężczyzną, za pozwoleniem, nie małyndzieckiem. To mój dom. Nie mów mi, co mam robić.

Znałem metody Modriana, urzędzenia, których używał, w co zaopatrywał swoich agentów. Znałem też swoje metody od czasu, kiedy prowadziłem odpowiedników Frewina przeciw radzieckim celom, choć może nie byli tak obłąkani jak on. Wyobrażałem sobie, jak potraktowałbym tak cenną zdobycz jak Frewin, człowieka, który żyje na pograniczu szaleństwa.

- Chcę zobaczyć twój aparat fotograficzny, mogę? - powiedziałem rozdrażniony. - Nadajnik? Plan transmisyjny. Księgi szyfrów. Kryształy. Biały węgiel do tajnej korespondencji. Urzędzenia maskujące. Chcę je zobaczyć, Cyril, włożyć do teczki na poniedziałek i wrócić do domu, żeby obejrzeć mecz Arsenalu z United. Może nie jest to rozrywka w twoim guście, ale w moim owszem. Błagam więc, pospiesz się trochę i oszczędź mi tych dupereli.

Czułem, że jego szaleństwo wyczerpuje się. Był wypalony, ja zresztą też. Siedział ze spuszczoną głową i rozkraczonymi nogami, gapiąc się tępo w swoje dłonie. Wyczuwałem w nim początek końca, moment, kiedy pokutnika zaczyna męczyć spowiedź oraz emocje, które go do niej skłoniły.

- Cyril, moja cierpliwość się wyczerpuje - ostrzegłem.

I ponieważ wciąż nie odpowiadał, podszedłem do telefonu, tego samego, w którym fałszywy technik Monty 'ego zainstalował stały podsłuch. Wykręciłem bezpośredni numer do Burra i usłyszałem w słuchawce głos jego wytwornej sekretarki, tej, która nie знаła mojego nazwiska.

- Kochanie? - odezwałem się. - Jeśli dopisze mi szczęście, to jeszcze potrwa jakąś godzinę. Mam tutaj ciężki przypadek. Dobrze, w porządku, wiem, przepraszam. Powiedziałem przepraszam. Tak, oczywiście.

Odłożyłem słuchawkę i wbiłem w niego oskarżycielskie spojrzenie. Wstał powoli i poprowadził mnie po schodach na górę. Na poddaszu miał dodatkową sypialnię. Odbiornik radiowy stał na stole w kącie - niemiecki, jak mówił Monty. Na jego oczach włączyłem go. Odezwał się kobiecy głos z rosyjskim akcentem mówiący z oburzeniem o moskiewskiej mafii.

- Dlaczego oni to robią? - zwrócił się do mnie, jakbym to ja był odpowiedzialny. - Ci Rosjanie. Dlaczego cały czas oczerniają swoje państwo? Kiedyś tego nie było. Byli dumni. Ja też byłem dumny. Kołchozy, równość klasowa, szachy, kosmonauci, balet, sportowcy. To był raj, zanim zaczęli go oczerniać. Zapomnieli o wszystkim, co mieli dobrego. Co za hańba. Powiedziałem o tym Siergiejowi.

- Więc po co wciąż ich słuchasz? - zapytałem. Niemal szlochał, ale udałem, że nic nie widzę.

- Przecież czekam na wiadomość.

- Pospiesz się, Cyril!

- Że jestem reaktywowany. Że znów jestem potrzebny. „Wróć Cyril. Wszystko ci wybaczyłem. Serdeczności, Siergiej”. Tylko na to czekam.

- W jaki sposób o tym poinformują?

- Biała farba.

- Słucham?

- „Olgo, pies ma białą farbę na sierści”... „Trzeba pomalować półki białą farbą, Borysie”... „O Boże, Olgo, spójrz na kota, ktoś zamoczył mu ogon w białej farbie. Nie znoszę okrucieństwa”. Dlaczego tego nie mówią?

- Skoncentrujmy się na samej metodzie, dobrze? Słyszysz wiadomość w radiu. Olga lub Borys mówią „biała farba”. Albo oboje to robią. Co wtedy?

- Sprawdzam plan transmisyjny.

Wyciągnąłem rękę, poganiając go pstrykaniem palcami.

- Pospiesz się!

Pospieszył się. Znalazł drewnianą szczotkę do włosów. Wyciągnął szczecinę z oprawki, wepchnął grube palce do środka i wyłowił kawałek miękkiego papieru z godzinami i zakresami fal wydrukowanymi równolegle. Podał mi go, mając nadzieję, że mnie tym zaspokoi. Nie okazując zadowolenia, włożyłem kartkę do notesu i jednocześnie spojrzałem na zegarek.

- Dzięki - rzuciłem krótko. - Dalej, Cyril. Jeszcze księga kodów i nadajnik. Tylko mi nie mów, że ich nie masz, nie jestem w nastroju.

Mocował się z puszką talku, szarpiąc za denko w desperackiej próbie zadowolenia mnie. Kiedy wysypywał puder do miednicy, mówił nerwowo.

- Widzisz, Ned, szanowali mnie, nieczęsto mi się to zdarza. Mam ich trzy. Olga i Borys mówią, którego mam użyć, tak jak z białą farbą, tyle że są to kompozytorzy. Czajkowski ma numer trzy, Beethoven dwa, Bach jeden.

Ułożyli ich alfabetycznie, żeby łatwiej mi było zapamiętać. Przyjaciół spotyka się rzadko. Chyba że poznaje się Siergieja lub kogoś w jego typie.

Wysypał cały talk. W jego dłoni leżały trzy kryształowe radiowe wraz z maleńkim notesem szyfrowym i szkłem powiększającym.

- Wszystko, co miałem, oddałem Siergiejowi. Aon wzbogacał moje życie. Jeśli byłem w złym nastroju, rozweselał mnie. Rozumiał mnie. Potrafił czytać w moich myślach. Dawało mi to przyjemne poczucie, że ktoś mnie zna. To już przeszłość. Wrócił do Moskwy.

Przerażała mnie chaotyczność jego wypowiedzi. A także gorączkowe pragnienie dogodzenia mi. Gdybym był jego katem, z wdzięcznością nałożyłby sobie pętlę.

- Nadajnik - warknąłem. - Na co ci kryształ i notes szyfrowy, jeśli nie możesz nadawać!

W tynysamym tempie pochylił swoje nalane ciało i odwinął róg dywanu z frędzlami.

- Nie mam przy sobie noża, Ned - wyznał.

Ja też nie miałem, ale wolałem nie zostawiać go samego, wolałem nie zwalniać uścisku, w którym go trzymałem. Przykucnąłem obok. Wpatrywał się błędnie w luźną klepkę podłogową, próbując podnieść ją grubymi palcami. Zacisnąłem pięść, uderzyłem w klepkę z jednej strony i z satysfakcją stwierdziłem, że podniosła się z drugiej.

- Proszę bardzo - powiedziałem.

Był to stary sprzęt, co mogłem przewidzieć, nic nadzwyczajnego: instalacja z szarych pudełek, nadajnik starego typu, urządzenie do zamontowania w słuchawce. Podał mi jednak całą tę plątaninę z nieukrywaną dumą.

W jego oczach pojawiła się trwoga.

- Sam widzisz, Ned, że teraz jestem tylko dziurą - wyjaśnił. - Nie chcę wpadać w grobowy ton, ale ja już nie istnieję. Ten dom też już jest niczym. Kiedyś go kochałem. Opiekowałem się mną, a ja opiekowałem się nim. Bylibyśmy dla siebie wszystkim, mój dom i ja. Trudno ci, skoro masz żonę, zrozumieć, czym jest dom. Stała między wami. Między tobą i twoim domem. Twoja żona. Między tobą a nim. Modrian. Uwielbiałem go, Ned. Byłem oczarowany. „Przesadzasz, Cyril - zwykł mówić. - Uspokój się. Wyjedź na wczasy. Masz halucynacje”. Nie mogłem. Siergiej był moimi wczasami.

- Aparat - zażądałem.

Nie od razu mnie zrozumiał. Prześladowały go myśli o Modrianie. Spojrzał na mnie i zobaczył Modriana.

- Nie bądź taki - powiedział, nic nie rozumiejąc.

- Aparat! - wrzasnąłem. - Na litość boską, czy ty nigdy nie korzystasz z weekendów?

Stał przy szafie z mieczami wyrzeźbionymi na dębowych drzwiach.

- Aparat! - krzyknąłem jeszcze głośniejszym głosem, ponieważ się wahał. - Jak można przekazać film dobremu przyjacielowi w operze, jeśli najpierw nie sfotografowało się dokumentów?

- Nie denerwuj się, Ned. Spokojnie, proszę. - Uśmiechając się z wyższością, sięgnął ręką do szafy. Lecz nie spuszczał ze mnie oczu, które zdawały się mówić: „Ned, popatrz tylko”. Szperał po omacku w szafie, uśmiechając się do mnie tajemniczo. Wyciągnął teatralną lornetkę i nakierował ją na mnie, najpierw prawidłowo, a później odwrotnie. Podał mi ją, żebym mógł zrobić to samo. Kiedy wziąłem ją do ręki, poczułem od razu nienaturalny ciężar. Przekręciłem środkową tarczę, aż kliknęła. Kiwał głową w geście zachęty, jakby mówił: „Tak, Ned, właśnie tak”. Sięgnął po książkę z półki i otworzył ją w połowie: ilustrowane wydanie Wszystkich tancerzy świata. Młoda baletnica wykonywała pas de chat. Sally też chodziła do szkoły baletowej. Odczepił rzemyk. Zauważyłem, że z jednej strony służy on jako łańcuch mierniczy. Wziął ode mnie lornetkę i nakierował ją na książkę, odmierzył odległość i przekręcił tarczę, aż kliknęło.

- Widzisz? - powiedział z dumą. - Comprenez? Zrobili ją specjalnie dla mnie. Do opery. Siergiej osobiście ją zaprojektował. W Rosji jest dużo bumelanctwa, ale Siergiej musiał mieć wszystko, co najlepsze. Zostawałem do późna w pracy. Jeśli byłem w nastroju, fotografowałem dla niego korespondencję z całego tygodnia i przekazywałem mu film, kiedy siedzieliśmy obok siebie w operze. Zwykle podczas jednej z arii, to taki nasz prywatny żart. - Oddał mi lornetkę i przeszedł na drugi koniec pokoju, drapiąc się po łysej głowie, jakby miał na niej gęstą czuprynę. Wyciągnął ręce jak ktoś, kto bada, czy pada deszcz.

- Oddałem Siergiejowi wszystko, co we mnie najlepsze, Ned, a on odszedł. C'est la vie, jak mówią. Teraz wszystko zależy od ciebie. Wystarczy ci odwagi? Wystarczy ci błyskotliwości? Dlatego do ciebie napisałem. Musiałem. Byłem pusty. Nie znałem cię, ale potrzebowałem cię. Potrzebowałem dobrego człowieka, który by mnie zrozumiał. Człowieka, któremu mogłem znów zaufać. Wszystko zależy od ciebie, Ned. Teraz masz szansę. Zrzuć z siebie starą skórę i obudź się do życia, póki jeszcze jest czas. Z tego, co mówisz, twoja żona to kawał megiiery. Dobrze ci radzę: powiedz jej, żeby nie przeżywała za ciebie twojego życia. Ma swoje. Powinienem zamieścić ogłoszenie, co? - Zwrócił ku mnie swój okropny uśmiech w całej okazałości. - Kawaler, niepalący, lubi muzykę i błyskotliwość. Czasem przeglądam te ogłoszenia, któż tego nie robi? Czasem nawet mam ochotę odpisać, tyle że nie wiedziałbym, jak zerwać taką znajomość, jeśli się rozczaruję. Więc napisałem list do ciebie. W pewnym sensie jakbym pisał do Boga, aż zjawiłeś się w swoim wyświechtanym płaszczu i zadałeś mi całą masę pytań, podsuniętych zapewne przez przełożonych. Czas, żebyś sam stanął na nogi, Ned, tak jak ja. Problem w tym, że jesteś zahukany. Moim zdaniem część winy ponosi twoja żona. Słuchałem twojego głosu, kiedy przeproszałeś, i nie zrobił na mnie wrażenia. W ten sposób niczego nie zdobędziesz. Sądzę jednak, że mógłbym zrobić z ciebie ludzi, a ty ze mnie. Mógłbyś pomóc mi wykopać oczko wodne, a ja mógłbym nauczyć cię muzyki. Bylibyśmy kwita, prawda? Nikt nie jest odporny na muzykę. Zrobiłem to przez Gorsta. - W jego głosie zabrzmiało nagle przerażenie. - Ned! Zostaw to z łaski swojej! Zabieraj swoje złodziejskie łapska z mojej własności, Ned. W tej chwili!

Przesuwałem palcami po maszynie do pisania firmy Markus. Trzymał ją pod stosem koszul w tej samej szafie, w której miał lornetkę. Podpisał się „C. Patriota”, pomyślałem „C” jak „czyjkolwiek”. Tego, który go kochał. Już wcześniej się domyśliłem, a on mi powiedział, ale widok maszyny

wyzwolił w nas poczucie końca.

- Więc dlaczego zerwałeś z Siergiejem? - zapytałem, nie zdejmując palcówzklawiatyry.

Ale tym razem pochlebstwo nie zadziałało.

- To nie ja zerwałem, tylko on. Zresztą ja niczego nie skończyłem, skoro ty masz zająć jego miejsce. Odłóż to. Przykryj tak jak było, dziękuję.

Wykonałem jego polecenia. Ukryłem dowód obecności maszyny.

- Co powiedział? - zapytałem niedbale. - Jak ci to oznajmił? A może napisał list i zniknął? - Znów myślałem o Sally.

- Niewiele. Nie potrzeba wielu słów, kiedy ktoś tkwi w Londynie, a ty jesteś w Moskwie. Milczenie mówi samo za siebie.

Podszedł do radia i usiadł przed nim. Ja towarzyszyłem mu jak cień, gotów go obezwładnić.

- Włączmy je, dobrze, posłuchajmy sobie. Nigdy nie wiadomo, może jeszcze usłyszę: „Wróć, Cyril”.

Obserwowałem, jak ustawia nadajnik, otwiera okno i wyrzuca cienką antenę, która przypominała żyłkę wędkarską z ołoiowym ciężarkiem, ale bez haczyka. Obserwowałem, jak przegląda plan transmisyjny, wystukuje SOS i swój sygnał rozpoznawczy na rejestratorze. Połączył rejestrator z nadajnikiem i wiadomość ze świstem poleciała w eter. Czynności powtórzył jeszcze kilka razy i przełączył urządzenie na odbiór, ale - tak jak oczekiwał - nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Pokazywał mi, że już nigdy jej nie otrzyma.

- Powiedział mi, że to już koniec - rzekł, wpatrując się w pokręta. - Nie winie go - powiedział.

- Koniec czego? Szpiegostwa?

- Ależ nie, nie szpiegostwa, ono będzie trwało wiecznie, prawda? Mówił o komunizmie. Powiedział, że teraz komunizm stał się jedynie kolejną religią mniejszości, ale faktu tego jeszcze w pełni sobie nie uświadomiliśmy.

„Czas odwiesić kapelusz, Cyril. Lepiej nie przyjeżdżać do Rosji, jeśli zostałeś zdemaskowany. Sprawiliśbyś tylko kłopot w nowym klimacie. Być może bylibyśmy zmuszeni cię wydać. Widzisz, jesteśmy dinozaurami, ty i ja. Decyzja Centrali Moskiewskiej. Dla Moskwy liczy się teraz tylko twarda waluta. Potrzebują każdego funta i każdego dolara. Obawiam się więc, że trafiliśmy na półkę, ty i ja, jesteśmy de trop i lekko deja vu, nie wspominając o tym, że stanowimy spory kłopot dla wszystkich zainteresowanych. Moskwa nie może sobie pozwolić na zatrudnianie urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych z dostępem do ściśle tajnych materiałów i uważa nas bardziej za ciężar niż za pomoc. Dlatego wzywają mnie z powrotem do kraju. Radzę ci zatem, Cyril, żebyś wybrał się na długie wakacje, zobaczył się z lekarzem, skorzystał ze słońca i odpoczynku, bo tak między nami, wydaje mi się, że zaczynasz trochę świrować. Chcielibyśmy postąpić wobec ciebie sprawiedliwie, ale mówiąc szczerze, jesteśmy splukani i potrzebujemy pieniędzy. Jeśli chcesz jakieś skromne dwa tysiące, jestem pewien, że możemy ci wysłać co nieco do szwajcarskiego banku, ale większe sumy są raczej nieosiągalne, do odwołania”. Zupełnie jakby mówił do mnie inny człowiek, naprawdę, Ned - ciągnął dalej, z bezbrzeżnym zdziwieniem. - Byliśmy tak wspaniałymi przyjaciółmi i nagle przestał się mną interesować. „Nie podchodź do życia tak poważnie, Cyril”, powiedział. Mówił ciągle, że żyję w stresie i że w mojej głowie pęta się zbyt wielu ludzi. Chyba miał rację. Żyłem źle, to wszystko. Chociaż tego czasem nie wiadomo, dopóki nie jest za późno, prawda? Myślisz, że jesteś kimś, a tu okazuje się, że jesteś kimś zupełnie innym, jak w operze. Mimo to twierdzą, że nie należy się przejmować. Trzeba walczyć. Walka przyniesie w końcu owoce.

Wszystko przynosi z czasem korzyści. Tak.

Odciągnął do tyłu pulchne ramiona i nadął się, jakby sądził, że stoi ponad rzeczywistością.

- No dobrze - zakończył, po czym wróciliśmy żwawo do salonu.

Skończyliśmy. Pozostało nam tylko zebranie brakujących odpowiedzi i sporządzenie inwentarza informacji, które zdradził.

Skończyliśmy, ale to ja, nie Frewin, wzdygałem się przed postawieniem kropki nad „i”. Siedząc na oparciu sofy, odwrócił ode mnie głowę, uśmiechając się zbyt promiennie i nadstawiając długą szyję pod topór. Czekał na cios, którego nie chciałem zadać. Jego okrągła łysa głowa sterczała sztywno do góry, a on odchyłał się ode mnie, jak gdyby mówił: „Zrób to teraz, uderz tutaj”. Ale nie mogłem tego zrobić. Nie zrobiłem w jego kierunku żadnego ruchu. W rękę trzymałem notes: żeby się zniszczyć, musiał tylko podpisać jego zawartość. Ale nie ruszałem się z miejsca. Trzymałem jego głupią stronę, a nie ich. Ale jaką stronę? Czy miłość jest ideologią? Czy lojalność jest partipolityczną? Czy w pośpiesznym dzieleniu świata nie popełniliśmy błędu, nie zauważając, że prawdziwa bitwa toczy się między tymi, którzy wciąż szukają, i tymi, którzy żeby przetrwać, sprowadzili swą wrażliwość do wspólnego mianownika obojętności? Byłem bliski zniszczenia człowieka za miłość. Przywiodłem go do stopni szafotu, udając, że odbywamy razem niedzielny spacer.

- Cyril?

Musiałem powtórzyć jego imię.

- O co chodzi?

- Powiniennem odebrać od ciebie podpisane oświadczenie.

- Możesz powiedzieć przełożonym, że pogłębiałem porozumienie między dwoma wielkimi narodami - odpowiedział mi. Wydawało mi się, że gdyby mógł, zrobiłby to za mnie. - Powiedz im, że kładłem kres bezmyślnej i bezsensownej wrogości, którą przez wiele lat obserwowałem w pracy. To powinno zamknąć im usta.

- Domyślali się, że to będzie coś w tym rodzaju - powiedziałem. - Chodzi tylko o to, że sprawa jest trochę bardziej skomplikowana.

- Napisz też, że jestem gotów na przeniesienie. Chciałbym opuścić Tank i zarobić na emeryturę na jawnym stanowisku. Zgodzę się na degradację, już postanowiłem. Nie narzekam na brak pieniędzy. Nie jestem dumny. Uważam, że zmiana pracy jest lepsza od urlopu. Gdzie idziesz, Ned? Łazienka jest gdzie indziej.

Zmierzałem do drzwi. Szukałem normalności i ucieczki. Zupełnie jakby cały świat zmieścił się w tym potwornym pokoju.

- Wracam do biura, Cyril. Na jakąś godzinkę. Wiesz, że nie wyczaruję ci oświadczenia jak królika z kapelusza. Musi być spisany na odpowiednich formularzach i tak dalej. Mniejsza o weekend. I tak nie lubię weekendów, prawdę mówiąc. Uważam, że weekendy są dziurami we wszechświecie. - Dlaczego imitowałem jego sposób mówienia? - Nie przeszkadzaj sobie, Cyril. Sam znajdę drzwi. Odpocznij sobie.

Chciałem uciec przed ich przybyciem. Wyglądając przez okno zza głowy Frewina, zauważyłem Monty'ego i paru jego chłopców wyskakujących z furgonetki oraz czarny policyjny samochód, który zatrzymał się przed domem. Służby wywiadowcze dzięki Bogu nie mają prawa dokonywać aresztowań.

Ale Frewin znów zaczął mówić, tak jak umierający odzywa się nagle długo po tym, jak uznano go

za martwego.

- Widzisz, Ned, nie możesz zostawić mnie samego. Nigdy więcej. Nie mogę wyjaśnić komuś obcemu tego, co zrobiłem. Jeszcze raz od początku. Nikt by nie mógł.

Usłyszałem chrzęst kroków na zwirowie, a następnie dzwonek do drzwi. Frewin podniósł głowę, jego oczy odnalazły moje i patrzyłem, jak budzi się w nich świadomość, jak gasną z niedowierzaniem i znów się budzą. Nie spuszczałem z niego wzroku, kiedy otwierałem frontowe drzwi. U boku Monty'ego stał Palfrey. Za nimi dwaj umundurowani policjanci oraz Redman, znany lepiej jako Bedlam z zespołu służbowych psychiatrów.

- Cudownie, Ned - wymamrotał Palfrey, biorąc mnie szybko na stronę, kiedy pozostali minęli nas i wkroczyli do salonu. - Prawdziwy wyczyn. Dostaniesz medal, już ja się o to postaram.

Założyli mu kajdanki. Nie przyszło mi do głowy, że to zrobią. Skuli mu ręce z tyłu, co sprawiło, że podniósł wyżej głowę. Towarzyszyłem mu w drodze do furgonetki i pomogłem do niej wejść, ale wtedy znalazł już w sobie pewien rodzaj godności i nie zawracał sobie głowy, czyja ręka spoczywa na jego łokciu.

- Nie każdy potrafiłby złamać wyszkolonego przez Modriana ducha między śniadaniem a lunchem - stwierdził Burr z zimną satysfakcją. Jedliśmy kolację u Ceconiego. Uparł się, żeby mnie tam zabrać jeszcze tego samego wieczora. - Nasi kochani bracia z drugiej strony parku nie posiadają się ze wściekłości, złości, oburzenia i zazdrości, co też jest niezłym wyczynem. - Ale mówił do mnie ze świata, który chwilowo opuściłem.

- Sam się złamał - powiedziałem. Burr spojrzał na mnie surowo.

- Co to, to nie, Ned. Nigdy nie widziałem lepszej rozgrywki. Byłeś kurwą. Musiałeś. Wszyscy jesteśmy kurwami. Kurwami, które płacą. Miałem już dość tej twojej melancholii, siedziałeś tylko na Northumberland Avenue, posępny jak chmura gradowa, i miotałeś się między swoimi kobietami. Jeśli nie możesz podjąć decyzji, to właśnie jest twoja decyzja. Zostaw tę swojamiłostkę i wróć do Mabel, jeśli chcesz usłyszeć moją radę, ale pewnie nie chcesz. Wróciłem do mojej w zeszłym tygodniu i mam krwawą jatkę.

Roześmiałem się wbrew sobie.

- Oto, co postanowiłem - ciągnął dalej Burr. Zamówił drugi potężny talerz makaronu. - Musisz odsunąć dąsy na bok i opuścić Inkwizycję, w której moim skromnym zdaniem trochę zbyt długo przyglądałeś się swemu narcystycznemu odbiciu. Masz rozgościć się na Piątym Piętrze i zastąpić Petera Guillama na stanowisku szefa mojego sekretariatu, co będzie odpowiadać twoim heretycznym skłonnościom i uwolni mnie od tego skończonego próżniaka.

Zrobiłem, co zasugerował - wszystko. Nie dlatego, że to zasugerował, ale ponieważ przemówił mi do rozumu. Nazajutrz w nocy powiadomiłem Sally o swojej decyzji i dramatyczne emocje towarzyszące temu wydarzeniu uwolniły mnie od wspomnień związanych z Frewinem. Przez kilka miesięcy na jej prośbę utrzymywałem z nią kontakt listowny, pisząc z Tunbridge Wells, ale korespondencja ta stała się tak trudna, jak pisanie ze szkoły do domu. Sally była ostatnią z moich - jak to określił Burr - miłostek. Być może miałem nadzieję, że wszystkie zebrane razem stworzą wielką miłość.

Więc to już koniec - powiedział Smiley. Dogasający ogień w kominku oświetlał wyłożoną boazerią bibliotekę, połączając półki pełne zakurzonych książek o podróżach i przygodach, starą i popękana skórę foteli, poślizgnięte fotografie umundurowanych oficerów wspartych na laskach, i wreszcie galerię naszych twarzy zwróconych ku zajmującemu honorowe miejsce Smileyowi. W bibliotece mitrężyły czas cztery pokolenia pracowników służb wywiadowczych, lecz spokojny głos Smileya i mgiełka dymu z cygara czyniły z nas jedną rodzinę.

Nie pamiętałem, żeby zapraszano do nas Toby'ego, ale personel z pewnością go oczekiwał. Kelnerzy z mesy wybiegli na dwór, żeby go przywitać. Z szerokimi morowymi klapami i w kamizelce z szamerunkiem prezentował się jak rycerz w każdym calu.

Burr przyjechał bezpośrednio z Heathrow i z szacunku dla Smileya przebrał się w strój wieczorowy na tylnym siedzeniu prowadzonego przez szofera rovera. Wszedł prawie niezauważony tym swoim bezdźwięcznym tanecznym krokiem, który postawni mężczyźni przyswajają w sposób naturalny. Zauważył go Monty Arbuck i natychmiast ustąpił mu miejsca. Burr niedawno został pierwszym Koordynatorem, który zajął to stanowisko, nie skończywszy trzydziestu pięciu lat.

A u stóp Smileya siedział ostatni nabór studentów, dziewczęta niczym ścięte kwiaty w wieczorowych sukniach i chłopcy o świeżych twarzach, pełni zapału po końcowych ćwiczeniach w górach.

- To już koniec - powtórzył Smiley.

Czy naszą czujność obudził jego nagły bezruch? A może zmieniony głos? Albo jakiś nieco kapłański gest, który uczynił, wyprostowanie baryłkowatego ciała w geście pobożności czy zdecydowania? Nie wiedziałem ani wtedy, ani nie wiem teraz. Wiem tylko, że choć się nie rozglądałem, jego słowa sprawiły, że wyczułem natychmiast wśród nas pewnego rodzaju napięcie, jak gdyby Smiley wzywał nas do broni. Choć to, o czym mówił, dotyczyło w równym stopniu złożenia broni, jak i sięgnięcia po nią.

- To już koniec. Ja też się skończyłem. Całkowicie. Czas, żebyście spuścili kurtynę za wojowniczym zimnej wojny dnia wczorajszego. I błagam, już nigdy więcej mnie nie wzywajcie. Nowe czasy potrzebują nowych ludzi. Najgorsze, co możecie zrobić, to próbować nas naśladować.

Sądzę, że chciał na tym skończyć, choć z Georgem nigdy nic nie wiadomo. Wiem tylko, że przed przyjazdem nauczył się na pamięć mowy pożegnalnej, pracował nad nią i ćwiczył ją słowo po słowie. W każdym razie sprowokowało go nasze milczenie i potrzeba ceremonii. Byliśmy od niego w tym momencie tak uzależnieni, że gdyby odwrócił się i wyszedł z sali bez słowa, rozczarowanie zamieniłoby miłość w gorycz.

- Zawsze zależało mi tylko na człowieku - oświadczył. Jak zwykle zaczął od zagadki i odczekał chwilę, zanim ją wyjaśnił. - Nigdy nie obchodziły mnie ideologie, chyba że były szalone lub okrutne, nigdy nie uważałem, aby instytucje były warte swych pracowników, a w polityce nie widziałem niczego innego poza usprawiedliwieniem braku wrażliwości. Człowiek, nie masy, jest sensem naszego powołania. To człowiek doprowadził do końca zimną wojnę, na wypadek gdybyście tego nie zauważyli. Ani broń, ani technologia, ani armie, ani kampanie. Po prostu człowiek. I tak się złożyło, że nawet nie człowiek z Zachodu, lecz nasz zaprzysiężony wróg ze Wschodu - wyszedł na ulice,

stawił czoło kulom i pałkom i powiedział: mamy tego dość. I to ich cesarz, nie nasz, miał odwagę wejść na mównicę i oświadczyć, że jest nagi. A ideologie powędrowały za tymi niewyobrażalnymi wydarzeniami jak skazani więźniowie, jak zawsze, kiedy ich czas się kończy. Ideologie bowiem nie mają własnego serca. Są dziwkami i aniołami naszych miotających się dusz. Pewnego dnia historia być może powie nam, kto naprawdę zwyciężył. Jeśli powstanie demokratyczna Rosja, wtedy Rosja będzie zwyciężcą. A jeśli Zachód zadławi się materializmem, wtedy okaże się, że został pokonany. Historia dotrzymuje tajemnic dłużej niż większość z nas. Ale jedną z jej tajemnic wyjawię wam dzisiaj w sekrecie. Czasem nie ma w ogóle zwycięzców. A czasem nikt nie musi przegrywać.

Pytacie, co powinniśmy dzisiaj sądzić o Rosji?

Czy rzeczywiście pytaliśmy go o to? Co jeszcze tłumaczyło tę zmianę kierunku? Rozmawialiśmy luźno o walącym się radzieckim imperium, to prawda; zastanawialiśmy się nad potęgą Japonii i historycznymi zmianami gospodarczymi na świecie. A podczas pogawędki po kolacji, owszem, padło kilka wypowiedzianych mimochodem uwag o mojej służbie w Naszej Rosji i kilka pytań dotyczących Bliskiego Wschodu i pracy Smileya w Komitecie Praw Rybaków, co dzięki Toby'emu stało się już tajemnicą poliszynela. Ale nie sądzę, żeby na to pytanie George chciał teraz odpowiadać.

- Pytacie - ciągnął dalej - czy możemy kiedyś zaufać rosyjskiemu niedźwiedziowi? Sprawiacie wrażenie rozbawionych, lecz także trochę zdezorientowanych faktem, że możemy rozmawiać z Rosjanami jak z ludźmi i znajdujemy wspólne zainteresowania w wielu dziedzinach. Dam wam jednocześnie kilka odpowiedzi. Pierwsza brzmi: nie, nigdy nie można ufać niedźwiedziowi. Choćby dlatego, że niedźwiedź nie ufa sobie. Niedźwiedź czuje się zagrożony, jest przerażony i rozpada się. Brzydzi się swoją przeszłością, ma dość teraźniejszości i śmiertelnie boi się przyszłości. Często tak bywało. Niedźwiedź jest splukany, leniwy, zmienny, niekompetentny, nierzetelny, niebezpiecznie dumny, niebezpiecznie uzbrojony, czasem genialny, często dyletancki. Bez swoich pazurów byłby kolejnym pogrążonym w chaosie państwem Trzeciego Świata. Ale tak nie jest, bo ma te swoje pazury. I nie może w ciągu jednego dnia odwołać żołnierzy z obcych ziem, ponieważ nie miałby dla nich mieszkań, żywności i pracy, a poza tym nie ufa im. A skoro wywiad jest płatnym strażnikiem naszej narodowej nieufności, zaniechali byśmy obowiązków, gdybyśmy chociaż przez sekundę spuścili oko z niedźwiedzia lub któregoś z jego niesfornych niedźwiadków. Tak brzmi moja pierwsza odpowiedź. Druga odpowiedź brzmi: tak, możemy całkowicie zaufać niedźwiedziowi. Niedźwiedź nigdy dotąd nie był aż tak godny zaufania. Niedźwiedź pragnie stać się jednym z nas, chce zrzucić na nas swe problemy, chce mieć u nas własne konto, chce u nas robić zakupy i chce być przyjęty jako dostojny mieszkaniec naszego lasu, który należy również do niego: tym bardziej że jego społeczeństwo i gospodarka cierpią nędzę, zasoby naturalne zostały wyczerpane, a niekompetencja kadry rządzącej jest niewyobrażalna. Niedźwiedź potrzebuje nas tak rozpaczliwie, że możemy mu spokojnie zaufać. Pragnie zapomnieć o swej potwornej przeszłości i wyłonić się z ciemności ostatnich siedemdziesięciu lub siedmiuset lat. Jesteśmy dla niego światłem. Problem w tym, że my, ludzie Zachodu, nie znajdujemy w sobie naturalnej skłonności do obdarzania niedźwiedzia zaufaniem, nieważne, czy chodzi o białego niedźwiedzia, czerwonego niedźwiedzia, czy mieszańca, a takim właśnie stara się być w tej chwili. Bez naszej pomocy niedźwiedź może popaść w tarapaty, ale wielu z nas uważa, że na to właśnie sobie zasłużył. W tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym byli tacy, którzy twierdzili, że pokonane Niemcy powinny pozostać na zawsze pustynią ruin.

Smiley przerwał. Chyba zastanawiał się, czy powiedział już wystarczająco dużo. Spojrzał w moją stronę, lecz ja nie chciałem, żeby nasze oczy się spotkały. Wyczekujące milczenie musiało zdopingować go do kontynuacji.

- Niedźwiedź przyszłości będzie taki, jakim go uczynimy. Jest kilka powodów, żeby podać mu

dłoń. Pierwszy to zwykła przyzwoitość. Kiedy niesprawiedliwie uwięzionemu pomaga się uciec, należy mu choćby podać miskę zupy i zapewnić środki, żeby urządził się w wolnym świecie. Drugi powód jest tak oczywisty, że chyba nie powinienem go wymieniać. Rosja, nawet pozbawiona wszystkich zdobyczy terytorialnych, jest wielkim krajem o ogromnej populacji w newralgicznym miejscu na kuli ziemskiej. Mamy zostawić niedźwiedzia, żeby szezł? Zachęcić go, żeby stał się rozgoryczonym, zacofanym i nadmiernie uzbrojonym narodem poza naszym obozem? Czy mamy uczynić z niego partnera w świecie, który zmienia się z każdym dniem?

Podniósł kieliszek i zajął do niego w zamyśleniu, mieszając resztki brandy. Wyczułem, że jest mu trudniej nas opuścić, niż się spodziewałem.

- Tak. No cóż - wymamrotał, jak gdyby bronił się przed własnymi wnioskami. - Czekają nas rekonstrukcja nie tylko naszej świadomości, lecz także nowoczesnego, nadmiernie uzbrojonego państwa, które wybudowaliśmy jako bastion przeciw czemuś, co już nie istnieje. Dla wolności zrezygnowaliśmy ze zbyt wielu swobód. Teraz musimy je odzyskać.

Uśmiechnął się nieśmiało i wiedziałem już, że próbował zdjąć z nas urok.

- Więc gdy będziecie służyć lojalnie państwu, zróbcie coś dla mnie i wesprzyjcie się od czasu do czasu na jego filarach. Ostatnio nieco wyrosło ze swych butów. Byłoby miło, gdybyście przywrócili mu odpowiednie rozmiary. Ned, jestem nudziarzem. Czas, żebyś odesłał mnie do domu.

Wstał raptownie, jak gdyby chciał wyrwać się czemuś, co próbowało zatrzymać go na miejscu. Potem bardzo powoli rozejrzał się po bibliotece - nie patrzył już na studentów, lecz na stare fotografie i trofea z jego czasów, najwyraźniej pragnąc zachować je w pamięci. Opuszczał dom, który zapisał spadkobiercom. Z wielkim przejęciem rozpoczął poszukiwania okularów, ale zorientował się, że ma je na nosie. Wreszcie wypiął pierś do przodu i pomaszerował zdecydowanym krokiem w stronę drzwi, które dwaj studenci pośpieszyli mu otworzyć.

- Tak. No cóż. Dobranoc. I dziękuję. Ach, Ned, powiedz im, żeby szpiegowali warstwę ozonową, dobrze? Jak na tę porę roku w St Agnes jest potwornie gorąco.

Wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Rytuał przechodzenia szpiega na emeryturę prawdopodobnie nie jest bardziej stresujący niż w przypadku innego zawodu, ale ma szczególnie cierpki smak. Odbywają się ceremonie pamięci: spotkania z dawnymi kontaktami, przyjęcia służbowe, pożegnania z łkającymi starszymi sekretarkami, grzecznościowe wizyty w sojusznicznych służbach. Odbywają się też ceremonie zapomnienia, podczas których skrawek po skrawku odcinasz się od tajnej wiedzy danej tylko wybrańcom. Dla kogoś, kto spędził całe życie w wywiadzie, w tym trzy lata w sekretariacie Burra, są to długotrwałe i monotonne rytuały, mimo iż same tajemnice zdążyły się zestarzeć długo przed tobą. Zamknięty w stęchłym biurze prawniczym Palfreya, na szczęście rozgrzany często dobrym obiadem, rozstawałem się kawałek po kawałku ze swoją przeszłością, posłusznie wypowiadając za nim te same wstydlive przysięgi i słuchając za każdym razem jego nieszczerych ostrzeżeń, na wypadek, gdyby próżność lub chciwość miały skusić mnie do złamania słowa.

Oszukiwałem nas obu, gdybym udawał, że kumulujący się ciężar tych ceremonii nie przygniata mnie powoli i nie budzi we mnie chęci przyspieszenia egzekucji, czy - jeszcze lepiej - uznania jej za dokonaną. Gdyż z dnia na dzień coraz bardziej czułem się jak człowiek, który pogodził się ze śmiercią, ale ostatnie siły musi przeznaczyć na pocieszenie tych, którzy go prze-

-

Dlatego też, siedząc znów w parszywym gnieździe Palfreya trzy dni przed ostatecznym odzyskaniem wolności lub jej utratą, z wielką ulgą przyjąłem pilne wezwanie do gabinetu Burra.

- Mam dla ciebie robotę. Nie spodoba ci się - zapewnił mnie, odkładając głośno słuchawkę. Nie ochłonął jeszcze, kiedy przybyłem do jego nowoczesnego, luksusowego gabinetu.

- Masz przeczytać jego akta, pojechać na wieś i przemówić mu do rozumu. Nie wolno ci go obrazić, ale gdybyś przypadkiem złamał mu kark, nie będę ci miał tego za złe.

- Kto to jest?

- Jakiś relikwyt Percy'ego Alleline'a. Jeden z tych brzuchatych potentatów z City, z którymi Percy lubił grać w golfa.

Zerknąłem na okładkę teczeki leżącej na wierzchu. „BRADSHAW - przeczytałem. - Sir Anthony Joyston”. I małymi literami pod spodem: „wykaz aktywów”, co oznaczało, że delikwent jest uważany za przyjaciela służb wywiadowczych.

- Masz wkraść się w jego łaski, to rozkaz. Przemów do jego szlachetności - ciągnął dalej tym samym kwaśnym tonem Burr. - Uderz w dyplomatyczną strunę. Zagoń go z powrotem do zagrody.

- Czyj to rozkaz?

- Ministerstwa Spraw Zagranicznych. A myślałeś, że czyj?

- Czemu sami nie chcą się przed nim płaszczyć? - zapytałem, zaglądając z zainteresowaniem do życiorysu na pierwszej stronie. - Myślałem, że za to im płacą.

- Próbowali. Wysłali jednego pokornego ministra. Ale sir Anthony jest twardy. I wie za dużo. Może wymienić nazwiska, wskazywać palcem. Sir Anthony Bradshaw - oświadczył Burr, podnosząc głos w pełnej oburzenia frazie charakterystycznej dla dialektu z North Country - Sir Anthony Joyston Bradshaw - poprawił się - jest jednym ze szlachetnie urodzonych angielskich kanalii. W trakcie swej

rzekomej służby dla kraju zdobył więcej informacji o wstydlivych poczynaniach rządu Jej Królewskiej Mości, niż rząd Jej Królewskiej Mości kiedykolwiek uzyskał od sir Anthony'ego odnośnie do jego adwersarzy. Skutkiem tego sir Anthony trzyma rząd za jaja. Masz za zadanie poprosić go, bardzo uprzejmie, aby rozluźnił nieco uścisk. Twoją bronią będą siwe włosy i wyczuwalna szlachetność, której, jak zauważyłem, nie wahasz się czasem wykorzystać do perfidnych celów. Spodziewa się ciebie dzisiaj o siedemnastej i lubi punktualność. Kitty sprzątnęła dla ciebie biurko w poczekalni.

Niedługo poznałem przyczyny irytacji Burra. Niewiele rzeczy w naszym fachu złości bardziej, niż konieczność zajmowania się nieapetycznymi resztkami po poprzedniku, a sir Anthony Joyston Bradshaw, samozwańczy spekulant i magnat giełdowy, był makabrycznym tego przykładem. Alleline zaprzyjaźnił się z nim w swoim klubie, gdzieżby indziej? Alleline zwerbował go. Alleline sponsorował ciąg podejrzanych transakcji wątpliwej dla wszystkich, oprócz sir Anthony'ego, wartości. Sugerowano nawet, że Alleline mógł czerpać z tego korzyści. Kiedy tylko groził wybuch skandalu, Alleline ukrywał sir Anthony'ego pod kusym parasolem Cyrku. Co gorsza, liczne drzwi, które Alleline otworzył przed Bradshawem, podobno pozostawały otwarte z takiego powodu, że nikt nie pomyślał o ich zamknięciu. I właśnie przez jedne z tych drzwi przechodził teraz Bradshaw ku dzikiej wściekłości Ministerstwa Spraw Zagranicznych i połowy Whitehallu.

Pożyczyłem mapę sztabu generalnego z biblioteki oraz forda granadę z parkingu. O czternastej trzydzieści, mając z grubsza w głowie treść akt, ruszyłem w drogę. Często zapominamy, jak piękna jest Anglia. Mijałem Newbury i wjeżdżałem na wzgórze krętą szosą wysadzaną bukami, których długie cienie wcinały się w złociste ściernisko jak okopy. Zapach pól do gry w krykieta wypełnił samochód. Wjechałem na szczyt, gdzie czekały na mnie zamki z białych chmur. Musiałem pewnie przypomnieć sobie dziecięce lata, gdyż poczułem nagłą chęć zagłębienia się w obłoki, o czym często marzyłem jako chłopiec. Samochód znów dał nura i zaczął staczać się w dół. Przede mną rozpościerała się dolina usiana domami, kościołami, pofałdowanymi polami i lasami.

Minąłem pub i wkrótce wyrosła przede mną wielka poślaczana brama między kamiennymi słupami, których zwieńczeniem były rzeźbione lwy. Przy bramie stała schludna biała stróżówka, niedawno pokryta strzechą. Wysportowany młody mężczyzna pochylił się do otwartego okna w moim samochodzie i zlustrował mnie oczami snajpera.

- Jestem umówiony na spotkanie z sir Anthonym - oświadczyłem.

- Pana godność?

- Carlisle - odparłem, po raz ostatni używając pseudonimu. Chłopak zniknął w stróżówce, brama otworzyła się i zamknęła, gdy

tylko zostawiłem ją za sobą. Park graniczył z wysokim ceglany murem, który musiał ciągnąć się kilka kilometrów. W cieniu kasztanowca wylegiwał się daniel. Droga wznosiła się, moim oczom ukazał się dom. Złocisty, nieskazitelny i bardzo duży. Część środkowa pochodziła z okresu panowania Wilhelma Orańskiego i królowej Mary. Skrzydła wyglądały na młodsze, choć niewiele. Przed budynkiem rozpościerało się jezioro, a za domem ogród warzywny i cieplarnie. Stare stajnie zostały przebudowane na biura z pomysłowymi zewnętrznymi schodami i oszklonymi pasażami. Ogrodnik podlewał rośliny w oranżerii.

Podjazd okrążył jezioro i prowadził przed drzwi frontowe. Znad ogrodzenia zagrody dla zwierząt przyglądały mi się dwie arabskie kłacze i lama. Po schodach zszedł młody lokaj ubrany w czarne spodnie i lnianą marynarkę.

- Czy po zameldowaniu mogę zaparkować pański samochód za domem, panie Carlisle? - zapytał.

- Sir Anthony nie lubi, kiedy coś zasłania fasadę domu.

Oddałem mu kluczyki i ruszyłem za nim po szerokich schodach. Stopni było dziewięć, choć nie mam pojęcia, dlaczego je policzyłem, może dlatego, że uczyliśmy tego na kursie w Sarratt, a w ciągu ostatnich tygodni moje życie stało się nie tyle kontynuacją, ile mozaiką dawnych lat i doświadczeń. Gdyby podszedł teraz do mnie Ben i uściśnił mi rękę, nie byłbym szczególnie zaskoczony. Gdyby pojawiły się Monica i Sally z wymówkami, miałbym już gotowe odpowiedzi.

Wszedłem do olbrzymiego holu. Imponujące schody zbiegały się z dwóch stron na otwartym podeście. Z góry wpatrywali się we mnie szlachetni przodkowie z portretów, sami mężczyźni, ale jakoś nie mogłem uwierzyć, że tworzyli jedną rodzinę i że mogli wytrzymać tutaj długo bez swych kobiet. Przeszedłem przez salę bilardową i zauważyłem, że stół i kije do gry są nowe. Przypuszczam, że wszystko widziałem tak wyraziście, ponieważ traktowałem każde doświadczenie jako ostatnie. Idąc za lokajem, minąłem salon, drugi pokój, który urządzono jako salę lustrzaną, wreszcie trzeci, o mniej oficjalnym charakterze. Stał tam telewizor wielkości budki z lodami, która często pojawia się w słoneczne popołudnia przed szkołą. Stałem przed majestatycznymi drzwiami i poczekałem, aż lokaj zapuka. Czekałem na odpowiedź. Gdyby Bradshaw był Arabem, trzymałby mnie pod drzwiami kilka godzin, pomyślałem, przypominając sobie Bejrut.

Usłyszałem wreszcie męski głos wypowiadający słowo „wejść”, po czym lokaj zrobił jeden krok do środka i zaanonsował mnie.

- Sir Anthony, pan Carlisle z Londynu.

Nie powiedziałem mu, że przyjechałem z Londynu.

Lokaj usunął się na bok, umożliwiając mi pierwszy rzut oka na gospodarza, choć minęło trochę czasu, zanim gospodarz rzucił okiem na pana Carlisle.

Siedział przy biurku długości ponad trzech metrów z mosiężną inkrustacją i koźlimi nóżkami. Za nim wisiały współczesne olejne portrety rozpieszczonych dzieci. Korespondencja leżała w stertach na tackach pokrytych grubą zwierzęcą skórą. Był postawnym, dobrze odżywionym mężczyzną, najwyraźniej bardzo pracowitym, ponieważ rozebrał się do koszuli - niebieskiej z białym pielęgniarским kołnierzem - i pracował w czerwonych szelkach. Był też zbyt zajęty, żeby zauważyć moje nadejście. Czytał, używając złotego pióra, którym podkreślał sobie czytany tekst. Podpisał się tym złotym piórem. Zamyślił się, wciąż pochylony, a koniuszek złotego pióra skupił jego myśli. Złote spinki przy mankietach były wielkie jak stare monety. Wreszcie odłożył pióro i z cierpiętniczą, a nawet oskarżycielską miną podniósł głowę, żeby mnie zlokalizować, a następnie otaksować według kryteriów, o których miałem się dowiedzieć później.

W tym samym momencie szczęśliwym zbiegiem okoliczności na twarz Bradshawa padł przez okno snop światła i teraz ja mogłem go otaksować: smutek podkrążonych oczu, jak gdyby należało mu współczuć bogactwa, proste cienkie wargi zaciśnięte sztywno nad pofałdowanymi podbródkami, zdecydowanie wynikające ze słabości, chłopięca podejrzliwość w świecie dorosłych. W wieku czterdziestu pięciu lat ten tłusty dzieciak był niezaspokojony, winiąc nieobecnych rodziców za swe wygody.

Nagle Bradshaw ruszył w moją stronę. Majestatycznym, a może tylko ciężkim krokiem? W dzisiejszych czasach w Anglii niektórych wpływowych mężczyzn charakteryzuje szczególny chód, który jest połączeniem kilku rzeczy na raz: pewności siebie, leniwej frywolności, groźby, zniecierpliwienia i próżnej arogancji. Towarzyszy mu rozstawienie łokci jak u kraba, nie pozwalające nikomu się zbliżyć, przygarbienie jak u boksera oraz zabawna sprężystość kolan. Zanim uściśniłem mu rękę, widziałem już, że pewne aspekty życia są mu obce, począwszy od sztuki, a skończywszy na transporcie publicznym. Wysłał ciche ostrzeżenie, żeby trzymać się od niego na dystans.

- Jest pan jednym z chłopaków Percy'ego - stwierdził na wypadek, gdybym tego nie wiedział, badając jednocześnie moją dłoń, która rzecz jasna go rozczarowała. - Tak, tak. Minęło dużo czasu. Jakieś dziesięć lat. Więcej. Napijmy się. Szampana. Co tylko pan sobie życzy. Summers - zawołał. - Przyniesiesz nam butelkę szampana, kubek lodu, dwa kieliszki i zmyjesz się. I orzeszki! - zawołał za nim. - Nerkowce. Brazylijskie. Całą masę pieprzonych orzechów. Lubi je pan? - zapytał z nagłą i rozbijającą poufałością.

Powiedziałem, że lubię.

- Świetnie. Ja też. Uwielbiam je. Przyszedł pan, żeby zagrozić mi zastosowaniem ustawowych środków przeciw buntownikom. Zgadza się? Proszę bardzo. Nie jestem ze szkła.

Otworzył balkon, żebym miał lepszy widok na jego posiadłość. Do tego manewru wybrał inny chód, bardziej przypominający marsz z wymachem ramion do taktu niesłyszalnej muzyki. Kiedy otworzył okna, umożliwił mi obejrzenie swych pleców, trzymał ręce w górze, oparte o okienne ramy, niczym męczennik oczekujący na salwę. Fryzura modna wśród finansistów, pomyślałem: gęściej przy kołnierzu i małe różki nad uszami. Dolina mieniła się odcieniami złota, brązu i zieleni, niknąc w oddali. Wśród jeleni spacerowała niania z małym dzieckiem. Była ubrana w brązowy kapelusz z podniesionym rondem i brązowy strój jak harcerski mundurek. Trawnik przygotowany był do gry w krokieta.

- Zwracamy się tylko z prośbą do pana, sir Anthony - oznajmiłem. - Prosimy o kolejną przysługę, jak wtedy, gdy oddawał je pan Percy'emu. W końcu to Percy zdobył dla pana tytuł szlachecki, prawda?

- Pieprzyć Percy'ego. Przecież on nie żyje? Nikt mi nic nie daje, dziękuję bardzo. Sam wszystko zdobywam. Czego pan chce? Niech pan to z siebie wydusi, jednego kazania już wysłuchałem. Był tu ten tłuścioch Savoury z MSZ. W szkole dawałem mu baty. Był oferumą i oferumą pozostał.

Nie opuszczał ramion, prężąc agresywnie mięśnie grzbietu. Mogłem coś powiedzieć, ale czułem się jakoś dziwnie. Trzy dni przed emeryturą zacząłem zdawać sobie sprawę, że prawie w ogóle nie znam prawdziwego świata. Summers przyniósł szampana, otworzył butelkę i podał nam na srebrnej tacy dwa pełne kieliszki. Bradshaw chwycił jeden z nich i wyszedł do ogrodu. Ruszyłem za nim środkiem trawiastej alejki. Po obu stronach rosły wysoko azalie i rododendrony. W oddali w kamiennym kręgu pluskała fontanna.

- Kupił pan ten dom z okolicznymi ziemiami? - zapytałem, uważając, że chwila kurtuazyjnej rozmowy pozwoli mi pozbiierać się.

- A jeśli tak? - odparł Bradshaw i zrozumiałem, że nie chce, aby przypomniano mu, że kupił ten dom, a nie odziedziczył.

- Sir Anthony - odezwałem się.

- Słucham?

- Chodzi o pańską współpracę z belgijską firmą o nazwie Astrasteel.

- Nigdy o niej nie słyszałem.

- Ale łączą pana z nią pewne związki, prawda? - nalegałem z uśmiechem.

- Ani teraz, ani nigdy. Savoury'emu powiedziałem to samo.

- Ale ma pan udziały w Astrasteel, sir Anthony - drażyłem cierpliwie.

- Bzdura. Nic nie mam. Pomylił mnie pan z kimś, zły adres. Powiedziałem mu.

- Ależ ma pan stuprocentowy pakiet akcji firmy Allmetal of Birmingham Limited, sir Anthony. A Allmetal of Birmingham jest właścicielem firmy o nazwie Eurotech Funding&Imports Limited of Bermuda, prawda? A Eurotech of Bermuda jest właścicielem Astrasteel of Belgium, sir Anthony. Możemy więc przyjąć, że istnieje pewien luźny związek między panem z jednej strony a firmą, której

właścicielem jest pańska firma z drugiej. - Wciąż się uśmiechałem, wciąż go przekonywałem, udając, że to świetna zabawa.

- Żadnych udziałów, żadnych dywidend, żadnego związku z działalnością Astrasteel nie mam. Nie zajmuję się tym, to wszystko. Mówię to samo, co powiedziałem Savoury'emu.

- W każdym razie, kiedy Alleline nakłonił pana - stare dzieje, wiem, ale może nie aż tak stare? - żeby dostarczył pan pewne towary do pewnych państw, które nie znajdowały się na oficjalnej liście dostaw tychże towarów, Astrasteel była firmą, z której pan skorzystał. I Astrasteel wykonała pańskie polecenia. W przeciwnym razie Percy nie skontaktowałby się z panem, prawda? Byłby pan dla niego bezużyteczny. - Czulem, że uśmiech zastygł mi na twarzy. - Nie jesteśmy policjantami, sir Anthony, nie jesteśmy z Urzędu Skarbowego. Wskazuję panu jedynie pewne związki, które istnieją - jak pan twierdzi - poza zasięgiem prawa i w tej formie, z wydatną pomocą Percy'ego, zostały uaktywnione.

Moja wypowiedź wydawała mi się tak kiepsko pomyślana, tak mało przekonująca, że początkowo sądziłem, iż Bradshaw w ogóle ją ignoruje.

I w pewnym sensie miałem rację, gdyż wzruszył tylko ramionami i powiedział:

- Kurwa, co to ma do rzeczy?

- Właściwie bardzo dużo. - Czulem, jak krew zaczyna się we mnie burzyć i nie byłem w stanie tego powstrzymać. - Prosimy pana, żeby dał sobie spokój. Żeby pan przestał. Ma pan tytuł szlachecki, fortunę, ma pan pewne obowiązki wobec ojczyzny tak jak dwanaście lat temu. Więc niech pan wyniesie się z Bałkanów, przestanie mącić wśród Serbów, przestanie mącić w Afryce Środkowej, przestanie sprzedawać im na kredyt cały asortyment broni i dorabiać się na wojnach, które mogą nie wybuchnąć, jeśli pan i panu podobni nie będą się mieszać. Jest pan Brytyjczykiem. Ma pan w kieszeni więcej pieniędzy, niż większość z nas zobaczy przez całe swoje życie. Niech pan po prostu przestanie. Tylko o to prosimy. Czasy się zmieniły. W tę grę przestaliśmy już się bawić.

Przez chwilę wydawało mi się, że zrobiłem na nim wrażenie, gdyż zwrócił na mnie swe zgaszone spojrzenie, jakbym był kimś, kogo ostatecznie warto kupić. Ale iskra zainteresowania szybko zgasła i znów ogarnęło go zwątpienie.

- Zwraca się do ciebie twój kraj, Bradshaw - powiedziałem, naprawdę rozgniewany. - Na litość boską, człowieku, czego jeszcze potrzebujesz? Nie masz nawet odrobiny sumienia?

Podam wam odpowiedź Bradshawa tak, jak ją przepisałem, gdyż na prośbę Burra miałem w kieszeni marynarki magnetofon, a świszczący, nosowy głos sir Anthony'ego zapewnił doskonałą jakość nagrania. Postaram się też jak najwierniej opisać wam ten głos. Mówił po angielsku, jakby był to wyuczony język, choć nie znał żadnego innego. Produkował, jak to określa mój syn Adrian, „bełkot”, czyli niewyraźny londyński żargon z okolic Belgravii, który zamienia „myszy” w „mysi” i niemal całkowicie nie zwraca sobie głowy formalnością używania zaimków. Charakteryzuje się też swoistym słownictwem: nic się nie podnosi, tylko „wzlata”, z każdej sytuacji jest jakieś „zejście”, a każdy nieważny incydent określa się jako „sensacyjny”. Charakteryzuje się też pedantyczną niepoprawnością, która ma odróżnić go od mowy motłochu i tłumaczy klejnociki typu, jeśli się o to rozchodzi”. Ale nawet bez magnetofonu zapamiętałbym każde słowo, gdyż ta wypowiedź była niczym wieczorny okrzyk wojenny ze świata, który zostawiałem za sobą.

- Przepraszam - zaczął i było to kłamstwo na dobry początek. - Czyja dobrze rozumiem, apelujecie do mojego sumienia? Świetnie. Dobra. Chciałbym więc złożyć oficjalne oświadczenie. Ma pan coś przeciwko? Oświadczenie zaczyna się tutaj. Punkt pierwszy. Właściwie jest tylko jeden punkt. Gównu mnie to obchodzi. Różnica między mną a innymi głupcami polega na tym, że ja mówię, co myślę. Jeśli horda czarnuchów - tak, powiedziałem czarnuchów, nie przejęczyłem się - jeśli te czarnuchy powystrzelają się jutro moimi zabawkami, a ja na tym zarobię, dla mnie bomba. Bo jeśli ja

nie sprzedam im towaru, zrobi to jakiś inny cwaniak. Rząd kiedyś to rozumiał. Jeśli zmiękli, ich problem. Punkt drugi. Pytanie: słyszał pan, co wyprawiają ci od papierosów? Opylają toksyczny tytoń biedakom i wmawiają im, że poprawia potencję i leczy przeziębienie. Czy oni się przejmują? Siedzaw domu i przeżywają załamanie nerwowe, ponieważ szerzą wśród biedoty raka płuc? Akurat. Dokonują tylko sprzedaży, koniec kropka. Weźmy narkotyki. Sam ich nie zażywam. Nie potrzebuję. Mniejsza z tym. Jeśli sprzedawca dokonuje bez przymusu transakcji z klientem, radzę zostawić ich w spokoju, niech ją sfinalizują i Bóg z nimi. Jeśli nie zabiją ich narkotyki, to zatruje ich powietrze, albo usmażą się pod wpływem efektu cieplarnianego. Mówił pan, że jestem Brytyjczykiem. Jestem nawet z tego dumny. Jestem też dumny ze szkoły, którą skończyłem. Dziecko imperium. Odziedziczyłem tradycję. Kiedy ktoś wchodzi mi w drogę, łamię mu kark. W przeciwnym razie on mi złamię kark. Raczej dbam też o dyscyplinę. I porządek. Trzeba pamiętać o obowiązkach związanych z klasą społeczną i wykształceniem i pobić obcokrajowców ich własną bronią. Myślałem, że wy też jesteście przywiązani do tradycji. Najwyraźniej gdzieś nastąpił błąd. Nieporozumienie. Zależy mi na jakości życia. Tego życia. Na standardzie. Stare słowo, ale mniejsza z tym. Chodzi mi o standard tego życia. Myślisz, że jestem megalomanem. Dobrze, może, kurwa, jestem. Jestem faraonem, no nie? Jeśli kilka tysięcy niewolników musi zginąć, żebym mógł wybudować piramidę, taki jest świat. A jeśli oni potrafią zmusić mnie, żebym zginął, budując piramidę dla nich, niech im tak będzie, do cholery jasnej. Wiesz, co mam w piwnicach? Żelazne obręcze. Zardzewiałe żelazne obręcze wbite w mur, kiedy budowano ten dom. Wiesz po co? Dla niewolników. Taki jest świat. Pierwotny właściciel tego domu - człowiek, który go wybudował - człowiek, który za niego zapłacił, człowiek, który wysłał swego architekta do Italii, żeby nauczył się fachu - miał niewolników i niewolniczą zagrodę w piwnicy. Myślisz, że dzisiaj nie ma niewolników? Myślisz, że kapitał nie jest uzależniony od niewolników? Jezu Chryste, w jakim ty świecie żyjesz? Normalnie nie filozofuję, ale też nie lubię wysłuchiwać kazań. Nie znoszę tego, rozumiesz? Nie we własnym domu, dziękuję bardzo. To mnie wkurza. Nie wpadam łatwo w złość, jestem raczej znany z powściągliwości. Ale mam swój pogląd na świat; daję ludziom pracę i zarabiam na życie.

Nie powiedziałem nic, co też jest na taśmie.

Cóż można powiedzieć w obliczu absolutu? Przez całe życie walczyłem ze zinstytucjonalizowanym złem. Miało swoją nazwę, a najczęściej też i miejsce. Miało wspólny cel i spotkał je wspólny koniec. Ale zło, z którym teraz stanąłem twarzą w twarz, było niszczycielskim dzieckiem wykarmionym na naszym łonie. I ja też stałem się dzieckiem, bezbronnym, milczącym i zdradzonym. Przez chwilę czułem się, jakbym przez całe życie walczył z nie tym wrogiem, co trzeba. Zupełnie jakby Bradshaw skradł owoce mojego zwycięstwa. Przypomniałem sobie powiedzonko Smileya o tym, że właściwi ludzie przegrywają zimną wojnę, a niewłaściwi wygrywają. Pomyślałem, że powtórzę sir Anthony'emu te słowa jako pewnego rodzaju zniewagę, ale walczyłbym z wiatrakami. Chciałem mu powiedzieć, że teraz, kiedy pokonaliśmy komunizm, musimy wziąć się za pokonanie kapitalizmu, ale nie o to mi chodziło: zło tkwiło nie w systemie, tylko w ludziach. A poza tym zapytał mnie już, czy chcę zostać na kolacji, na co ja grzecznie odmówiłem i wyszedłem.

W końcu to Burr zabrał mnie na kolację i z zadowoleniem stwierdzam, że niewiele z niej pamiętam. Dwa dni później oddałem służbową przepustkę.

Patrzysz na swoją twarz. Nie należy do kogoś, kogo pamiętasz. Zastanawiasz się, gdzie ulokowałaś miłość, co odnalazłeś, na czym ci zależało. Chciałbyś powiedzieć: „Zabiłem smoka, dzięki mnie świat jest bezpieczniejszym miejscem”. Ale nie możesz, nie w dzisiejszych czasach. Zresztą chyba nigdy nie było to możliwe.

Mabel i ja prowadzimy szczęśliwe życie. Nie rozmawiamy o rzeczach, na które nie mamy

wpływu. Nie wchodzimy sobie w drogę. Jesteśmy kulturalni. Kupiliśmy domek nad morzem. Jest tam duży ogród, którym chciałbym się zająć, zasadzić kilka drzew, zrobić alejkę do morza. Zaangażowałem się w organizację klubu żeglarskiego dla biednych dzieciaków; sprowadzamy ich z Hackney, podoba im się. Powstał pomysł, żeby wciągnąć mnie do samorządu. Mabel zajmuje się kościołem. Ja odwiedzam czasem Holandię. Wciąż mam tam paru krewnych.

Od czasu do czasu wpada do nas Burr. Lubię go za to. Świetnie dogaduje się z Mabel, czego można się było spodziewać. Nie próbuje się wymądrzać. Rozmawiają o jej akwarelach. Nie wydaje sądów. Otwieramy sobie butelkę wina, przyrządzamy kurczaka. Przekazuje mi wszystkie nowiny i odjeżdża do Londynu. O Smileyu nie wiem nic, ale tak chciał. Nie cierpi nostalgii, nawet jeśli stanowi element nostalgii innych ludzi.

Tak naprawdę nie ma czegoś takiego jak emerytura. Czasem tylko wiemy za dużo i nie możemy na to nic poradzić, ale to po prostu wiek, jestem tego pewien. Często rozmyślam. Nadrabiam zaległości czytelnicze. Rozmawiam z ludźmi, jeżdżę autobusami. Jestem nowicjuszem w zwyczajnym świecie, ale szybko się uczę.